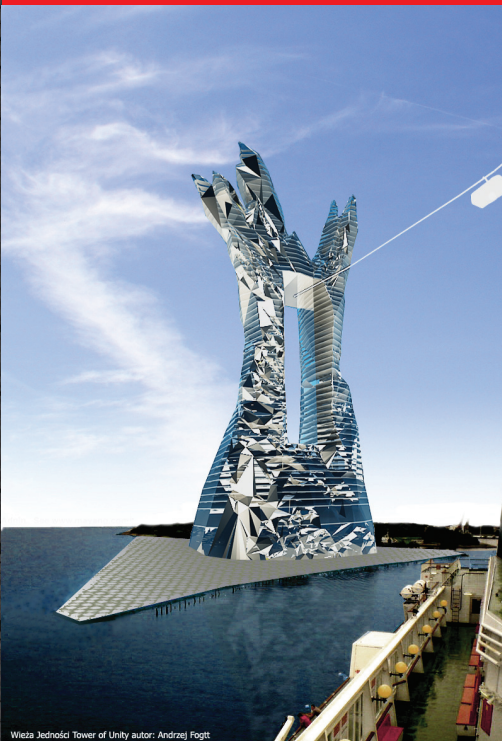


H i s t o r i a pamięcią pisana

B i o g r a f i e
polsko-niemieckie



Wieża Jedności Tower of Unity autor: Andrzej Foggt

redakcja:
Karol Czejarek
Krzysztof Garczewski
współpraca naukowa
Tomasz G. Pszczółkowski

ISBN 978-83-7549-180-7



9 788375 491807

Historia
pamięcią pisana
Biografie polsko-niemieckie

Książka ukazuje się w 75. rocznicę
wybuchu drugiej wojny światowej

W duchu kramarskiej niemieckości
Polacy mnie nie wychowali.
Wielkoduszność, co cnoty gości,
Honor, przyzwoitość –
Do tego mnie zawsze skłaniali.

Erhard Brödner, *Wstecz – do przodu*

każdego dnia niebo terroryzowało stolicę
jak w '39 gdy ani chmurki
jednak wasze samoloty nie pojawiły się
o wyznaczonej porze

to dobra wiadomość dla nas obu
Erhardzie

Piotr Roguski, *lato dwa zero zero osiem*

Akademia Humanistyczna im. Aleksandra Gieysztora
ost-west-forum Gut Gödelitz e.V.

Historia pamięcią pisana

Biografie polsko-niemieckie

redakcja:

Karol Czejarek

Krzysztof Garczewski

współpraca naukowa

Tomasz G. Pszczółkowski

Pułtusk 2014

Publikacja dofinansowana przez:
Akademickie Towarzystwo Edukacyjno-Naukowe „Atena”
Fundację Marion Dönhoff
Fundację Współpracy Polsko-Niemieckiej
Fairplay Towage Reederei

Książka ukazuje się w 20. rocznicę powstania
Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora

Komitet Redakcyjny
przewodniczący: Adam Koseski i Axel Schmidt-Gödelitz
Anna Warakomska
Karol Czejarek
Tomasz G. Pszczołkowski
Krzysztof Garczewski
Piotr Roguski
Jan Rodzim

Korekta: Magdalena Czejarek, Magdalena Rodzim

Redakcja, opracowanie notek biograficznych i załączników:
Magdalena Czejarek

Projekt okładki: Barbara Kuropiejska-Przybyszewska

Na okładce wykorzystano projekt Wieży Jedności Europejskiej,
autorstwa polskiego artysty-malarza Andrzeja Fogtta.

Wieża przedstawia postać „płonącej kobiety” i wywodzi się z cyklu obrazów
prezentowanych na 41. Biennale Sztuki w Wenecji.

Ten wizjonerski projekt, który jest już gotowy, może być zrealizowany w dowolnej
stolicy europejskiej. Jest też odzwierciedleniem intencji autorów tej książki,
pisanej z przesłaniem porozumienia i pojednania między Polakami a Niemcami.

© Copyright by Akademia Humanistyczna im. A. Gieysztora, Pułtusk 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Każda reprodukcja lub adaptacja całości bądź części
niniejszej publikacji, niezależnie od zastosowanej techniki reprodukcji (drukarskiej,
fotograficznej, komputerowej i in.), wymaga pisemnej zgody Autorów i Wydawcy.

Wydawca
Akademia Humanistyczna im. Aleksandra Gieysztora
ul. Daszyńskiego 17, 06-100 Pułtusk
tel. 23 692 98 15
e-mail: rektorat@ah.edu.pl

Skład i łamanie: Barbara Gawrychowska

ISBN 978-83-7549-180-7

Spis treści

1. Czejarek Karol: <i>Słowo wstępne</i>	7
Garczewski Krzysztof: <i>Nie ma jednej wizji historii.</i>	11
2. Biografie polsko-niemieckie	
Schmidt-Gödelitz Axel: <i>Ważne chwile w moim życiu</i>	13
Chruśliński Jan: <i>Stworzyli nam piekło.</i>	29
Chybowski Lech: <i>Zamiast uczyć się historii, jesteśmy w nią zapatrzeni</i>	51
Czejarek Karol: <i>Wyjmuję „drzazgę” z mojej duszy</i>	57
Dej Dominika: <i>W poszukiwaniu celu i sensu życia</i>	71
Dobkowska Iwona: <i>Wspomnienia z Niemiec.</i>	79
Dygo Marian: <i>Kilka refleksji o niemieckim wątku w moim życiu</i> . . .	87
Fogtt Andrzej: <i>Wspomnienia z podróży do Innego Świata</i>	95
Garczewski Krzysztof: <i>Moje polsko-niemieckie opowiadanie</i>	99
Gawor Katarzyna: <i>Niemcy u siebie i nie tylko</i>	103
Górny Mirosław Tadeusz: <i>Od babci Emmy „do Fairplay Towage Reederei”</i>	107
Heimann Kurt: <i>Fotograficzna podróż przez starą ojczyznę</i>	113
Hill Markus: <i>Polsko-niemieckie przebaczenie i pojednanie – znakiem naszych czasów.</i>	119
Hunger Walter: <i>Moja rodzina i Polska</i>	125
Kaczkowska Renata: <i>Za dwa, trzy lata.</i>	133
Kalka Dieter: <i>Koniec świata.</i>	139
Kamińska Krystyna: <i>Zacieranie śladów</i>	143
Karbaum Rolf: <i>Szkic biograficzny.</i>	149
Kirste Dominique: <i>Zastosowanie modelu biograficznego z Gödelitz w interkulturowym dialogu</i>	159
Koseski Adam: <i>Okruchy obozowych wspomnień</i>	163

Kröger Josef: <i>Moje spotkania z Polską</i>	169
Kutzner Frank: <i>Pokonałem nienawiść</i>	177
Lesner Emil Daniel: <i>Krótką historią nieoczekiwanych zdarzeń</i> . . .	181
Löhlein Cornelia: <i>Co skłoniło mnie do udziału w niemiecko-polskich rozmowach o biografach</i>	187
Mastalerek Anna: <i>Podróże kształcą, kontakty zbliżają</i>	193
Michaelsen Stefan Bruno: <i>Moja droga do Saksonii</i>	199
Milewska Marta: <i>Aby łączył nas wzajemny szacunek</i>	207
Monk Radjo: <i>Mój „Biomorphon”</i>	211
Nicht Wolfgang: <i>Moje życie jest dualizmem</i>	221
Ososiński Tomasz: <i>O niemieckich korzeniach rodziny</i>	241
Pszczółkowski Tomasz G.: <i>Życie w dwóch kulturach i między nimi</i>	245
Roguski Piotr: <i>Nad Menem i Renem</i>	259
Sarnecka Ewelina: <i>Moje życiowe fascynacje</i>	267
Söhner Felicitas: <i>Historia szwabsko-śląskiej rodziny z perspektywy czasu</i>	273
Sudek Hans Ulrich: <i>Wspomnienie biograficzne</i>	281
Szalai Wendelin: <i>„Opowiedzcie swoje biografie” – relacja z doświadczeń własnych</i>	295
Walter Horst: <i>„Goldbergowskie” impresje</i>	305
Walter Helga: <i>„Goldbergowskie” wariacje</i>	313
3. Pszczółkowski Tomasz G.: <i>Posłowie. O znaczeniu rozmów biograficznych Polaków i Niemców</i>	317
4. Informacje o:	
Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora	327
Fundacji Marion Dönhoff	328
Gut Gödelitz	329
Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.	330
potrzebie podjęcia badań różnic kulturowych.....	331
niemieckiej poezji klasycznej w przekładach Andrzeja Lama. . . .	332

Słowo wstępne

Książka powstała dzięki temu, że Axel Schmidt-Gödelitz, przewodniczący Stowarzyszenia ost-west-forum Gut Gödelitz, któregoś dnia (a było to w roku 2011) zaprosił mnie i innych polskich przyjaciół będących rzecznikami pojednania z Niemcami do Gödelitz na pierwsze pilotażowe seminarium pod nazwą „Biografie polsko-niemieckie”.

Książka jest wynikiem trzech seminariów zorganizowanych przez wspomniane ost-west-forum Gut Gödelitz oraz Międzywydziałowe Centrum Badań Niemcoznawczych AH w Pułtusk, ale nie jest sprawozdaniem z tych seminariów. Natomiast można powiedzieć, że jest swego rodzaju przekazem historycznych faktów przez ludzi, którzy chcieli o nich opowiedzieć. Bez zrozumienia naszych historii nie jest możliwe pokonanie wzajemnych uprzedzeń i budowanie przyjaznych relacji sąsiedzkich.

Idea systematycznych spotkań (odbyły się już trzy i będą kontynuowane) polega na tym, że zarówno Polacy, jak i Niemcy opowiadają historie swojego życia, które świadczą o tym, że mogą one stanowić ważny element w budowaniu właściwych relacji między Polakami a Niemcami pod umownym hasłem: „od wrogości do normalności”. Przy tym nie zapominamy o:

- napaści hitlerowskich Niemiec na Polskę w roku 1939, która *de facto* zapoczątkowała II wojnę światową,
- brutalnej eksterminacji narodu polskiego (nie tylko żydowskiego) w latach 1939–1945,
- okupacji Polski, która na mocy rozkazu Hitlera została przekształcona w Generalną Gubernię i miała być „zrównana z ziemią”,
- dokonaniu (na podstawie tajnego Paktu Ribbentrop–Mołotow) *de facto* IV rozbioru Polski i straszliwych gwałtów na ludności cywilnej w latach 1939–1945,
- założeniu niemieckiego obozu zagłady w Oświęcimiu i obozów w innych miejscach na terenie okupowanej Polski,
- totalnym zniszczeniu Warszawy, wypędzeniu jej mieszkańców z miasta i wywiezieniu do obozów koncentracyjnych i obozów pracy przymusowej (po upadku powstania warszawskiego).

To wyliczanie mogłoby oczywiście trwać dłużej, ale przecież nie o to chodzi. Chcemy sobie udowodnić nawzajem (przez publikowane w książce biografie), że dojście do dzisiejszej „normalności” we wzajemnych stosunkach jest możliwe.

Niemcy to dziś zupełnie inny kraj niż przed 65 laty, to przede wszystkim modelowa demokracja rzetelnie budowana od podstaw; są dzisiaj nie tylko naszym największym partnerem handlowym, ale także państwem, które bardzo aktywnie popierało starania Polski o uzyskanie członkostwa w UE, przyczyniło się do przyznania jej budżetu na lata 2006–2013 i 2014–2020, dzięki czemu Polska nie tylko odrobiła dystans cywilizacyjny, lecz także jest dziś państwem aspirującym w niedalekiej przyszłości do krajów „G 20”. Najważniejsze jednak jest to, że udało się:

- przełamać wiekowe uprzedzenia między Niemcami a Polakami,
- rozwinąć współczesną dynamikę partnerskich kontaktów, zwłaszcza gospodarczych (ale nie tylko),
- doprowadzić do „normalności” wzajemne relacje, zwłaszcza młodego pokolenia, nieobciążonego już „przeszłością”, choć daleko jeszcze do stanu „idealnego” – dlatego ten pozytywny proces musi być kontynuowany! Także ta idea legła u podstaw spotkań „biograficznych”. Bez nich nie byłoby tej książki.

Znajdziecie w niej Państwo zwierzenia bardzo różnych ludzi: naukowców rozmaitych specjalności, przedstawicieli różnych zawodów i wszystkich pokoleń. Wystarczy przeczytać „notki o autorach” poszczególnych tekstów, żeby się o tym przekonać.

Zachęcam Państwa do zapoznania się z poszczególnymi biografiami (i wyrażenia swych opinii na ich temat i tego, czy w ogóle ma sens kontynuowanie zarówno seminariów, jak i dalszych publikacji ich efektów). Mnie osobiście wydaje się, że tak, ponieważ:

- pojednanie Niemców i Polaków jest ważne dla pokoju w Europie i na świecie,
- podpisany w roku 1991 Traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy między Polską a Niemcami jest tylko podstawą do budowania jak najlepszych relacji między obydwoma państwami i narodami, jednak stereotypy nadal czynią „podziały”, a są groźne, gdyż nie potrzebują żadnego udowodnienia. Tym ważniejsza jest ta książka, ponieważ jej autentyzm i szczerść firmują ludzie swoim imieniem i nazwiskiem (i dziękuję im za to!).

Autorami tekstów są nie tylko uczestnicy trzech dotychczasowych spotkań biograficznych, lecz także inni, którzy z różnych powodów nie mogli wziąć udziału w dotychczasowych spotkaniach, zapowiadając jednak swój przyjazd na kolejne.

Teksty ułożone zostały w układzie alfabetycznym, po nich zamieszczono krótkie informacje o ich autorach. Aby książka była dostępna zarówno na

rynku polskim, jak i niemieckim, postanowiliśmy ją wydać w dwóch językach, jest bowiem źródłem wiedzy o losach ludzi, którzy wojny nie wywołali, a doznali jej bolesnych skutków. Jest też dokumentem czasów powojennych oraz przemian, które nastąpiły zarówno w Polsce, jak i w Niemczech. O analizę tekstów poprosiłem pana profesora dra hab. Tomasza G. Pszczółkowskiego, wybitnego germanistę, niemcoznawcę i politologa, więc nie będę w tym miejscu „merytorycznie” odnosił się do tekstów, bo czyni to p. Profesor w swoim posłowie. Natomiast poprosiłem młodego politologa, p. dra Krzysztofa Garczewskiego, aby w uzupełnieniu mojego słowa wstępnego wyraził swoją opinię na temat „spotkań biograficznych” jako przedstawiciel młodego pokolenia. Warto zapoznać się z jego opinią, którą w pełni podzielam.

Dziękuję p. dr hab. Annie Warakomskiej – germanistce i znawczyni problematyki polsko-niemieckiej – za to, że zgodziła się podjąć redakcji tekstów publikowanych w tej książce w języku niemieckim.

Bardzo wdzięczny jestem swojej żonie – Magdalenie Czejaręk, która podjęła się redakcji i adiustacji wszystkich polskich tekstów, kreśląc też notki autorskie. Tłumaczenia tekstów z języka niemieckiego na polski dokonali: oprócz niżej podpisanego, Tomasz G. Pszczółkowski i Krzysztof Garczewski, a z języka polskiego na niemiecki – Anna Warakomska, która też napisała „swoje” słowo wstępne do redagowanej przez nią części niemieckiej.

Panu Profesorowi Pszczółkowskiemu dziękuję też za to, że przyjął naukowy patronat nad książką; również za Jego niezwykle cenne i ważne uwagi, czym podniósł rangę tej książki – jak sądzę ważnej, jako źródła wiedzy o faktach, które trudno byłoby znaleźć w innych tego typu opracowaniach. Jednocześnie staraliśmy się – jako redaktorzy (myślę o Annie Warakomskiej, Krzysztofie Garczewskim i o sobie) – nadać tej książce również charakter beletrystyczny, choć poszczególne jej teksty mają walor dokumentu historycznego.

Jest jeszcze dużo osób, którym powinienem podziękować, nie wymienię wszystkich, bo ich lista jest długa, natomiast uczynię to odnośnie do JM Rektora Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieyszтора prof. dra hab. Adama Koseskiego, Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej w Warszawie, Fundacji Marion Dönhoff, Prezesa Towarzystwa „Atena”, dyr. Jana Rodzima – szefa Oficyny Wydawniczej ASPRA-JR oraz Axela Schmidta-Gödelitza.

Karol Czejaręk

Nie ma jednej wizji historii...

Gdyż nie istnieje jedna pamięć historyczna. Polsko-niemieckie rozmowy biograficzne są tego najlepszym przykładem. Niniejszy zbiór tekstów stanowi istotny przyczynek do rozważań nie tylko na temat trudnych rozdziałów wspólnej historii, lecz także nad przyszłością relacji między oboma narodami.

Myśląc o przeszłości, nie można tym samym zapominać o tym, co się wydarzyło. Dlatego też znajomość historii jest w tym przypadku kluczowa. Bez niej nigdy nie będziemy w stanie do końca zrozumieć otaczającej nas rzeczywistości, co w szczególności odnosi się do relacji sąsiedzkich. Znajomość historycznych faktów i pogłębiona refleksja nad nimi pozwala nie tylko lepiej zrozumieć przeszłość, lecz także – a może przede wszystkim – umożliwia spojrzenie na współczesne relacje z dużo szerszej perspektywy. Pomaga również bronić się przed destruktywnym wpływem stereotypowego myślenia, które nierzadko wynika z braku historycznej wiedzy na dany temat.

W tym kontekście dla obecnych stosunków polsko-niemieckich kluczowe znaczenie odgrywają osoby, które tragiczne wojenne wydarzenia znają jedynie z książek oraz opowieści świadków historii. Młode pokolenie najczęściej nie chce dziś rozmawiać o trudnej polsko-niemieckiej przeszłości. Interesuje je przede wszystkim stan obecny oraz to, co się może wydarzyć w najbliższym czasie. Z jednej strony nie można się temu dziwić. Wychodząc naprzeciw wyzwaniom współczesnej Europy, nie chce ono pozostać „zakładnikiem przeszłości”. Młodzi nie chcą przy tym rozpamiętywać wydarzeń, które – szczególnie z ich perspektywy – nie mają większego znaczenia dla współczesnych relacji, a przede wszystkim dla ich indywidualnych losów. Nie oznacza to jednak, że historia musi utracić w tym kontekście swoje istotne miejsce na mapie polsko-niemieckiego porozumienia. Punktem wyjścia do budowania wspólnej dobrosąsiedzkiej przyszłości powinna być znajomość historycznych faktów. Bez niej nie może być mowy o w pełni otwartym i rzetelnym dialogu.

Znajomość historii okazuje się w relacjach między sąsiednimi narodami kluczowa. Jednak nie trzeba jej wykorzystywać w sposób konfrontacyjny,

co znakomicie potwierdza zdecydowana większość uczestników polsko-niemieckich rozmów biograficznych, dając przykład innym.

Przedstawiciele młodego pokolenia mają przy tym ciągle niepowtarzalną możliwość skorzystania z daru, jakim jest nadal przekazywanie informacji o wydarzeniach historycznych bezpośrednio od „odchodzącej” już niestety generacji, pamiętającej jeszcze okres wojenny. Mam nadzieję, że takim darem okaże się także po części niniejsza książka.

Krzysztof Garczewski

AXEL SCHMIDT-GÖDELITZ

Ważne chwile w moim życiu

Koniec wojny i wysiedlenie

Urodziłem się 6 kwietnia 1942 r., jako czwarte i ostatnie dziecko moich rodziców, w dawnym majątku rycerskim Gödelitz. Gospodarstwo, w którym przyszedłem na świat, znajduje się w samym sercu „spichlerza zbożowego” – Saksonii i od wieków było własnością saksońskiej szlachty i księząt kościelnych. Dopiero w 1906 r. zostało przejęte przez „mieszczańskie” ręce. Wówczas mój dziadek odkupił gospodarstwo i w bardzo krótkim czasie uczynił z niego wzorcową hodowlę trzech gatunków zwierząt: owiec, byków i świń – jako zwierząt zarodowych. Jego pomysł okazał się opłacalny i przynosił duże zyski. W 1937 r. majątek po dziadku odziedziczył mój ojciec. Ożenił się z Johanną Hähnel, córką z pobliskiego, równie bogatego gospodarstwa. Młodzi wydawali się być wówczas chyba najszcześniejszymi ludźmi „pod słońcem”.

Jednak dwa lata później rozpoczęła się II wojna światowa.

Gospodarstwo, jak wszystkie inne w tamtym czasie, zostało określone jako strategiczne, to znaczy – ważne dla gospodarki III Rzeszy. Gdy Niemcy pracownicy zostali powołani do Wehrmachtu, w ich miejsca przysłano robotników przymusowych z Polski i Włoch. Gdy w 1944 r. mój ojciec został zadenuncjowany przez kogoś „życzliwego” na Gestapo, także i on został wcielony do wojska. Z konieczności gospodarstwem zajęła się wówczas moja mama. I tak zastał nas koniec wojny. Sowieckie wojsko doszczętnie splądrowało majątek, a wkrótce – na mocy decyzji „nowej władzy” – zostaliśmy pozbawieni także jego własności. Tak stało się ze wszystkimi w okolicy gospodarstwami powyżej 100 hektarów. Nowa władza zobowiązała jednak moją matkę do dalszego, ale czasowego kierowania majątkiem, aż do momentu przeszkolenia – w zakresie hodowli – następcy. Wkrótce został on

nominowany przez nową, „komunistyczną” władzę, przybyłą do wschodniej części Niemiec wraz z Armią Czerwoną. Przed Bożym Narodzeniem 1945 r. musieliśmy się z gospodarstwem ostatecznie wyprowadzić. Matka otrzymała decyzję nie tylko o wydziedziczeniu, lecz także całkowitym zakazie przebywania w majątku. I tak z dnia na dzień wraz z czwórką dzieci musiała opuścić swój prawowity majątek i została przymusowo skierowana do pracy w 5-hektarowym gospodarstwie, w pobliżu naszej byłej już siedziby. Na szczęście – nie spełniła żądania nowych władz, tylko z pomocą zaprzyjaźnionego z dawnych czasów burmistrza udało nam się ująć nadzorowi policji i uciec do Niemiec Zachodnich, wówczas amerykańskiej strefy okupacyjnej. Bezpieczne schronienie udało nam się znaleźć w małym miasteczku niedaleko Frankfurtu.

Mój ojciec został zwolniony z francuskiej niewoli w 1947 r. Był przekonany, że będzie mógł wkrótce wrócić do swej posiadłości w Gödelitz, zatem pracę w firmie farmaceutycznej na południu Niemiec przyjął jako tymczasową. I tam w Herlighof, jak dziś sięgam pamięcią, zaczęło się moje świadome dojrzewanie do życia.

Dzieciństwo w Herlighof

Wspominam tamte dziecięco-młodzieżowe lata spędzone na wsi jako wspaniałe! Uczęszczałem do pobliskiej, 4-klasowej, jednoizbowej szkoły podstawowej. Cztery klasy razem uczyły się w jednej sali! Lekcje odrabiałem w domu, a po nich był cudowny czas wolny; jak nie na koniu, to ganiało się po łąkach z psem, bawiło w podchody. Zdarzało się też pomagać starszym w oborach, stajniach i w różnych pracach polnych, za co dostawało się pierwsze własne „kieszonkowe”, a któż go nie chciał mieć, by kupić sobie coś słodkiego?

Podczas sortowania ziemniaków albo przy oczyszczaniu buraków kobiety opowiadały o swych dramatycznych przeżyciach i „ucieczkach” przed czerwonoarmistami. Słuchaliśmy tych opowieści z wypiekami na twarzy, gdy bez żenady mówiły z najdrobniejszymi detalami o gwałtach albo o tym, jak księży – za przykładem Chrystusa – przybijano do drzwi kościołów, których bronili.

Śniły mi się potem po nocach te straszne, nieprawdopodobne, ale prawdziwe opowieści. Widziałem we śnie, jak sowietów w swoich potężnych czołgach rozjeżdżali ludzi, rozstrzeliwali nieuzbrojonych cywilów, podpalali domostwa i zabijali nawet małeńkie dzieci za byle nieposłuszeństwo i przewinienie. To samo przytrafiło się także mojej rodzinie, gdy Rosjanie weszli do naszego majątku. Tych, których oszczędzono, bezlitośnie z niego wypędzono.

Strach przed Rosjanami i niemieckimi komunistami, którzy wraz z nimi tu przybyli, udzielał się w tamtym czasie dosłownie wszystkim! Z czasem, gdy już byłem nieco starszy, słuchając radia, dowiedziałem się o podziale Berlina na Wschodni i Zachodni, o utworzeniu ze stref okupacyjnych dwóch przeciwnych sobie państw niemieckich; jeszcze potem o wybuchu wojny w Korei, o krwawo stłumionym buncie niemieckich robotników przeciwko komunie 17 czerwca 1953 r.

W 1956 r. z biciem serca nasłuchiwałem wiadomości o powstaniu na Węgrzech, które początkowo dawało nawet jakąś nadzieję, że coś się zmieni, pęknie, że Zachód pomoże. Ale Rosjanie wciąż byli górą, tłumili w zarodku jakiegokolwiek próby przeciwstawienia się.

Także z Polski zaczęły w tym czasie nadchodzić wiadomości o próbach buntu przeciw sowieckiemu zniewoleniu. Żyliśmy coraz częściej nadzieją, że ustanowiony przez sowietów porządek, na terenach przez nich „wyzwolonych” po II wojnie światowej, musi się kiedyś skończyć. Tym bardziej, że życie w krajach zachodnich rozwijało się zupełnie inaczej. Ale potem wszyscy bali się ultimatum, jakie Chruszczow ogłosił wobec Berlina, aż wreszcie zbudowano mur berliński. Ludzie, którzy próbowali go forsować, by dostać się na zachodnią stronę, ginęli od kul, lub gdy ich złapano, skazywani byli na długie lata ciężkiego więzienia.

Jeszcze przed wysiedleniem nas z Gödelitz przez nasz majątek przewinęło się wielu uciekinierów z Prus i innych regionów, które po wojnie odebrano Niemcom. Opowiadali oni straszne rzeczy o dokonywanych tam rabunkach i gwałtach. Otoczenie, w którym wyrastałem, panicznie bało się kolektywizacji i przymusowego wstępowania do spółdzielni rolniczych i państwowych gospodarstw rolnych. Już jako dzieci szybko zrozumieliśmy, że sowietci i niemieccy komuniści – to była jedna siła, która nie wahała się przed niczym, zabierała ludziom wszystko, mordowała lub zamykała w więzieniach, gdy nie wykonywano ich rozkazów.

Antykomunizm i strach przed sowieckimi „hordami” był wpajany w niemieckim społeczeństwie już znacznie wcześniej i krzewiony nawet przez rodzimych nazistów. Pomogło to im utrzymywać władzę nawet w dniach, gdy klęska była już tylko kwestią czasu.

Wówczas i ja razem ze swoim przyjacielem, synem leśnika, gromadziliśmy amunicję i broń, którą porzucono w pobliskich lasach. Chowaliśmy ją po kryjomu w naszej wielkiej stodole w gołębniku pod dachem. Zgromadziliśmy pokaźny arsenał pistoletów i karabinów, także pociski przeciwczołgowe i dużą ilość amunicji. Dzieci również uległy tej propagandzie. I choć w dużej części złowrogie zapowiedzi sprawdziły się, broni nie użyliśmy.

Tęsknota za Gödelitz

Byliśmy rodziną chrześcijańsko-protestancką. Regularne chodzenie do kościoła, jak i codzienne wieczorne modlitwy były obowiązkowe. Przed snem prosiliśmy dobrego Pana Boga, by ocalił naszego ojca i pozwolił mu wrócić „cało i zdrowo” z wojny. Modliliśmy się też o to, aby Bóg pozwolił nam kiedyś powrócić do Gödelitz. I pozwolił, to znaczy wysłuchał naszych prośb. Amen!

Rozmawialiśmy o tym już przy śniadaniu, potem w czasie obiadu i wieczorami przed zaśnięciem... I mimo że musiałem opuścić „nasz majątek” w wieku zaledwie trzech i pół lat wiedziałem o nim wszystko, znałem tysiące szczegółów o rodzinie, jej znajomych, nawet o dalszych krewnych, o świętach rodzinnych obchodzonych w Gödelitz według starego zwyczaju. Wiedziałem też wszystko o obcokrajowcach, którzy w latach wojny pracowali u nas; o medalach, które przyznawano naszym owcom, świniom i krowom w miśnieńskich konkursach i podczas landowych dożynek. Nawet nasz ówczesny numer telefonu w Gödelitz do dzisiaj nie umknął z mojej pamięci.

Oczywiście rodzice opowiadali mi też o nazistach, od których trzymali się z daleka, jak i o miłości jednego z naszych polskich robotników do polskiej dziewczyny pracującej także w naszym majątku, która jednak niespodziewanie zachorowała na zapalenie wyrostka robaczkowego i zmarła, bo moja mama nie mogła dla niej znaleźć miejsca w szpitalu. Zapewniano je tylko rodowitym Niemcom, choć prawdą jest, że wszystkie szpitale były wówczas przepełnione rannymi z frontów.

Ci sami pracujący u nas „w majątku” przymusowi robotnicy z Polski uchronili potem (gdy weszli Rosjanie) moją matkę od niechybnej śmierci. Zasłonili ją własnymi ciałami przed rozstrzelaniem i w ten sposób uratowali jej życie.

Może właśnie to zapamiętane wydarzenie sprawiło, że po latach, jakby w dowód wdzięczności, postanowiłem powołać do życia w Gödelitz niemiecko-polskie Forum współpracy i pojednania?! A wcześniej wysyłałem do Polski – w okresie, gdy tam ogłoszono stan wojenny – paczki żywnościowe.

Kiedy „na wygnaniu” było nam źle, w mojej dziecięcej wyobraźni zawsze pojawiała się nasza posiadłość w Gödelitz, śniło mi się, że nasz dom otoczony był warownymi murami, a dostać się do niego można było tylko przez zwodzony most, zwisający nad głębokim rowem zalanym wodą. Byliśmy biedni w Herlighof, dokąd rzucił nas los po wypędzeniu z Gödelitz. Często byliśmy głodni, niedożywieni, ale najbardziej doskwierała wszystkim tęsknota za utraconym i jakże oddalonym stąd „domem”.

Coraz bardziej uświadamiałem sobie nasz los i sytuację, w której znaleźliśmy się po wojnie. A moja dziecięca fantazja przekraczała wszelkie granice wyobraźni.

Po ukończeniu szkoły podstawowej większość dzieci z okolicznych wsi przyuczano do jakiegoś praktycznego zawodu. Te bardziej uzdolnione przejmował pod swoją opiekę Kościół katolicki i umożliwiał dalszą naukę w gimnazjum, zapewniano to szczególnie dzieciom z rodzin przymusowo przesiedlonych. A my – dzieciaki – zdawaliśmy sobie doskonale sprawę, że tylko przez „wykształcenie” będziemy mogli poprawić swój los i kiedyś zmienić sytuację, w której się znaleźliśmy.

Również moje rodzeństwo poszło tą drogą, choć najbliższe gimnazjum było oddalone o wiele kilometrów. Aby dojechać do szkoły, musieliśmy wstawać już o 4.00 nad ranem, a do domu wracaliśmy niemiłosiernie zmęczeni późnym popołudniem. I gdyby nie internat, który z czasem dla takich, jak my, zorganizowano przy szkole, chyba nie dalibyśmy rady przechodzić z klasy do klasy. Tak dotarłem, nie bez kłopotów, do matury w roku 1962 w szkole w Ulm, w mieście leżącym „nad pięknym” Dunajem.

Studia w Berlinie Zachodnim

Marzeniem mojego ojca zawsze było to, abym kontynuował jego drogę życiową, to znaczy przejął kiedyś po nim gospodarstwo i poświęcił się hodowli, a w związku z tym – żebym studiował rolnictwo! On był przekonany, i to już w latach 50. ubiegłego wieku, że prędzej czy później Niemcy znów będą jednym państwem, a my wszyscy wrócimy do Gödelitz. Ale wtedy nic nie wskazywało na to, że to kiedyś nastąpi. On w każdym razie nigdy z tych marzeń nie zrezygnował. Gdy po maturze oświadczyłem mu, że zamierzam studiować politologię, nie ukrywał swego rozczarowania. Ale w końcu zgodził się. Zobowiązał mnie jedynie do tego, żebym równoległe z naukami politycznymi studiował także ekonomię i zarządzanie. Kto nie zna się na gospodarce, na której wszystko się opiera – twierdził – ten nigdy nie będzie dobrym politykiem! Do dziś dźwięczą mi w uszach jego słowa. I jakże mu jestem wdzięczny za tę radę. Również za wiarę w to, że Niemcy będą znowu połączone.

Tak więc pojechałem do Berlina Zachodniego, bo tylko tam można było oddać się moim wymarzonym studiom. Szczęśliwie udało mi się połączyć politologię z ekonomią i zarządzaniem. Dzięki temu łatwiej mi dziś zrozumieć, skąd biorą się różnego rodzaju przesilenia finansowe i kryzysy. Jakże trudno byłoby mi przez te wszystkie minione lata funkcjonować jako polityk, gdyby nie „poszerzone” studia, które pozwoliły mi rozumieć związek polityki z gospodarką i powiązane z nimi procesy społeczne.

Lata spędzone w Berlinie po zbudowaniu muru były okropne. Wcześniej dostałem się w sam środek buntów studenckich. Mieszkalem w mieszkaniu wynajmowanym tylko przez takich jak ja, studiujących „politykę”. Codziennym dyskusjom nie było końca. Jednoczyliśmy się jednak w zasadniczych sprawach: protestowaliśmy przeciwko wojnie w Wietnamie, byliśmy przeciwko wyzyskowi i nieograniczonej władzy kapitału. Postulowaliśmy o bardziej demokratyczną Republikę Federalną Niemiec, marzyliśmy o zbudowaniu społeczeństwa, w którym elementy socjalne byłyby nierozzerwalnie związane z pracą, dobrobytem dla wszystkich, i o społeczeństwie, w którym każdy miałby jednakowe szanse i był równym wobec prawa.

Walczyliśmy przeciwko wszelkiej dyktaturze, aby już nigdy nie powtórzyło się to, co zdarzyło się z winy Niemców. Ale Niemiecka Republika Demokratyczna nie była dla nas żadnym przykładem państwa, którego byśmy pragnęli. Boleśnie odczuwaliśmy to przy każdym przekraczaniu granicy; te wszystkie nieznośne kontrole, którym byliśmy poddawani, opuszczając Berlin Zachodni lub wracając do niego z terytorium Republiki Federalnej Niemiec. Nie znosiliśmy kontrolujących, ale i oni nas nie znosili.

Mimo tego wszystkiego – bliższa mi była wówczas ideologia socjalizmu niż kapitalizmu. Mój ojciec z tego powodu, że jego najmłodszy syn ma aż tak różniące się od niego poglądy, popadł w depresję. Moje „socjalistyczne” skłonności da się wytłumaczyć tylko tym, że o wydarzeniach, które zakończyły się Procesem Norymberskim i o zbrodniach dokonanych w niemieckim obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu nie mogłem zapomnieć. Denerwowało mnie to, że w latach 60. próbowano w Niemczech umniejszać odpowiedzialność Niemców. Przerzucać winę tylko na nazistów, a jeśli nawet tak było, to naziści dokonywali tego w imieniu państwa i narodu niemieckiego. Ktoś przecież finansował tych szaleńców, wspierał ich poczynania; przecież nie powstał z niczego ani też nie pojawili się znikąd, tylko latami rośli w siłę. Jak można było tłumaczyć te zbrodnicze czyny?! To przecież naród w 1933 r. w demokratycznych wyborach, w zdecydowanej większości poparł z własnej woli listy wyborcze nazistów! Do dziś nie potrafię sobie wytłumaczyć, jak to było możliwe, aby naród o takim dorobku kulturalnym i zdobyczach cywilizacyjnych dopuścił się tak niesłychanego barbarzyństwa.

Naszą studencką odpowiedzią na to było wówczas: raz na zawsze skończyć z tym, co było; uczynić wszystko, aby już nigdy podobne wydarzenia nie miały miejsca. Chcieliśmy w naszym młodzieńczym zapale wypełnić nienawiść z ludzkich serc i działań. Walczyliśmy z wszystkim, co wydawało nam się złe; opowiadaliśmy się za zbudowaniem społeczeństwa, w którym będą szanowane prawa człowieka, w którym nie tylko władze, ale

także gospodarka będą podlegały społecznej kontroli. Chcieliśmy, by demokracja oznaczała DEMOKRACJĘ!

Na takim myśleniu opierały się słynne w latach 60. w Niemczech Zachodnich protesty studentów, m.in. przeciw opieszałym procesom byłych zbrodniarzy nazistowskich i przeciw próbie pomniejszania ich roli i znaczenia. Dlatego, by wypłenić raz na zawsze zło z życia społeczno-politycznego, również gospodarczego, tak zdecydowanie protestowały młode pokolenia. I na tym polegało znaczenie tego buntu, chociaż co poniektórzy sprowadzali go tylko do rewolty studentów przeciwko ładowi i tradycyjnym, uświęconym prawem porządkom.

Swoje studia w tamtym czasie finansowałem sam, zmywając naczynia, podejmując się różnych prac fizycznych, aż po asystenta dźwięku w telewizji i lektora dzienników radiowych w Szwajcarii. Moim celem było zostać dziennikarzem, by pisać o tym, co według mnie było złe. W czasie studiów starałem się też zgłębić teorię marksizmu oraz wpływ gospodarki i związków zawodowych na życie społeczno-polityczne, a zwłaszcza na proces kształtowania się decyzji socjalno-ekonomicznych, przy czym szczególnie interesowało mnie zagadnienie współudziału tzw. czynnika społecznego w zarządzaniu zakładami pracy. Zawsze interesowałem się tym, co działo się w Europie Wschodniej, interesowały mnie stosunki wewnątrzniemieckie, a także problematyka biedy i ubóstwa Trzeciego Świata. Jak większość młodych ludzi mojego pokolenia, nie byliśmy specjalnie dumni z tego, że jesteśmy Niemcami. A nawet często wstydziłem się przyznać do swego pochodzenia, zwłaszcza, gdy odwiedzałem kraje, które ucierpiały z powodu Niemców. Marzyłem, jak większość mojego pokolenia, o zbudowaniu wspólnej Europy, której Niemcy będą jedynie częścią. W każdym razie nie były to na pewno marzenia o „niemieckiej” Europie! Nie, taka myśl po tym, co się wydarzyło, nigdy mi nawet nie zaświtała w głowie. Czułem się współwinny za pokolenie naszych ojców i matek.

Moja praca w Berlinie Wschodnim

Po uzyskaniu dyplomu magisterskiego zdecydowałem się na pisanie pracy doktorskiej na temat politycznej opozycji w jednym z krajów Trzeciego Świata, a konkretnie w Maroku. Uzyskawszy stypendium Fundacji Friedricha Eberta, udałem się do Rabatu – stolicy tego kraju. Tam zakopałem się „po uszy” w dokumentach i przeprowadziłem wywiady z przedstawicielami legalnej opozycji w całym kraju. Ale dotarłem także do wielu opozycjonistów, którzy musieli ukrywać swoją działalność, bojąc się represji. Najpierw na Uniwersytecie „Aix-en-Provence” w południowej Francji konsultowałem swoje spostrzeżenia z kompetentnymi naukowcami, by ostatecznie

w Wolnym Uniwersytecie Berlina zacząć prawdziwe zmaganie się z przewodem.

Byłem ambitny, może nawet za bardzo. Chciałem swoją pracą „zadziwić świat”. Poświęcałem wtedy cały swój czas na pisanie i studiowanie interesującego mnie zagadnienia, wiedząc, że będę miał przeciwników, którzy z podobną gorliwością spróbują obalić moje przemyślenia. Ale nim dotarłem do ostatniego rozdziału, zaskoczyła mnie propozycja z Urzędu Kanclerskiego. Szef Stałego Przedstawicielstwa Republiki Federalnej w Berlinie Wschodnim Günter Gaus szukał młodego dziennikarza, który potrafiłby relacjonować różne aspekty życia w NRD i komentować je dla zachodniego czytelnika. I choć zgłosiło się wielu chętnych, po rozmowach z każdym z kandydatów Günter Gaus wybrał mnie. Tak więc przeprowadziłem się z Berlina Zachodniego do mieszkania dla dyplomatów w nowo wybudowanym bloku, w samym sercu Berlina Wschodniego – stolicy NRD. I przeżyłem w nim od 1976 r. do początku 1982 r. pięć niezwykle ciekawych lat, „na moście” wewnętrznienieckiego łagodzenia wzajemnych stosunków, którego celem – nie będę ukrywał tego – miało być ewentualne przyszłe zjednoczenie Niemiec. Do takiego wydarzenia należało oczywiście pod każdym względem przygotowywać się i przyznam, że wiernie służyłem tej idei.

Pisywałem zatem przeróżne analizy o wewnętrznej sytuacji w NRD, oprowadzałem i opiekowałem się zachodnioniemieckimi grupami, które odwiedzały NRD, a także spotykałem się z przebywającymi w NRD-owskich więzieniach zachodnioniemieckimi obywatelami. Jako dyplomata Republiki Federalnej Niemiec nie byłem oficjalnie inwigilowany przez NRD-owską policję, ale z pewnością bacznie obserwowany przez tajną policję Stasi. Jednak mogłem swobodnie poruszać się po całym kraju. Odwiedzałem w tym czasie swoją ciocię w Dreźnie, przywożąc jej i wielu jej znajomym rzeczy, które kupić można było tylko w Niemczech Zachodnich. Dzięki temu zyskałem wielu nowych przyjaciół, także ze środowiska kultury, szczególnie artystów-malarzy i pisarzy. Oni chętniej niż zwykli ludzie dzielili się ze mną swoimi spostrzeżeniami.

Oczywiście – czego też nie będę ukrywał – wielu moich nowych znajomych i przyjaciół posądzało mnie, że pod przykrywką dyplomaty uprawiam swego rodzaju szpiegostwo. To, że w każdej chwili byle patrol policyjny mógł mnie zgarnąć z ulicy, tego nie brali pod uwagę. Niektórzy wprost pytali mnie, niby żartem, czy można, „będąc czystym”, to znaczy niemającym nic wspólnego ze służbami specjalnymi, ot tak po prostu służyć idei normalizacji stosunków między obydwooma powojennymi państwami niemieckimi? Ja w to wierzyłem. Stąd w pisywanych dla urzędu „analizach” nie wszystko było „czarne” lub „białe”. Także w NRD były sprawy, których Zachód mógł

zazdrościć wschodnioniemieckiej państwowości. Mogło być także prawdą, że wśród 90 pracowników urzędu, w którym byłem zatrudniony, byli i tacy, którzy mając papiery dyplomaty, zajmowali się zupełnie innymi sprawami. Günter Gaus z pewnością broniłby każdego, argumentując, że zatrudnia ludzi tylko uczciwie pracujących dla realizacji idei jego urzędu. Ja – oświadczam to jeszcze raz – do tej grupy pracowników w stu procentach należałem. Nigdy pracownikiem ani współpracownikiem tajnych służb nie byłem! Do tej roli nie nadawałbym się.

Pierwszy powrót do Gödelitz

Pewnego wieczoru, w roku 1977 – po zwiedzeniu byłego obozu jenieckiego w Bautzen – zdecydowałem się nie wracać od razu do Berlina. Pojechałem dalej, by odszukać majątek moich rodziców. Na mapie samochodowej najpierw znalazłem miasto Döbeln, zjechałem tam z autostrady, by następnie podążać przez miejscowości znane mi z dzieciństwa. Gdy zobaczyłem napis „Prüfern”, przypomniał mi się nasz stary numer telefonu „Prüfern 44”. Następna miejscowością była wieś „Beicha”. Gdy przejeżdżałem wzdłuż muru cmentarza, na którym znajdował się nasz grób rodzinny, serce zaczęło we mnie łomotać w dziwny sposób. W miejscowym kościółku, który właśnie mijalem, byłem w 1942 r. ochrzczony. Po chwili, w świetle reflektorów dostrzegłem drogowskaz: „do Gödelitz”. Coś ścisnęło mnie w gardle, serce znowu mocniej zabiło. Jechałem doskonale znaną mi drogą, która łagodnie przez dłuższy czas prowadzi pod górę. Wkrótce zobaczyłem tablicę z napisem „Gödelitz”! Teraz dopiero ogarnęło mnie ogromne wzruszenie, przez chwilę wydawało mi się, że umieram, nie mogłem złapać tchu, coś ścisnęło mnie w gardle. W dodatku lało jak z cebra, a dookoła panowała ciemność. W bladym świetle księżyca, który tylko od czasu do czasu przeblyskiwał przez ciężkie deszczowe chmury, zobaczyłem kontury naszych olbrzymich zabudowań. Przypominały nierealne, ogromne bydlęce cielska. Dopiero po chwili wysiadłem z samochodu. Długo stałem nieruchomo, przemoczony do suchej nitki. Wreszcie padłem na tę rozmokłą ziemię na kolana i długo nie mogłem powstrzymać płaczu.

W drodze powrotnej próbowałem uporządkować swoje myśli. Dlaczego się rozplakałem? Skąd to niebywałe wzruszenie? Mój ojciec zmarł, gdy powoływano do życia Niemiecką Republikę Demokratyczną jako drugie państwo niemieckie. Nie mógł przeżyć, że jeden naród podzielono na dwie zupełnie odrębne części! Jego nadzieja na powrót do rodzinnych stron i na odzyskanie majątku została mu ostatecznie odebrana. Mimo że urząd kanclerski objął właśnie Willy Brandt i wygłosił płomienne przemówienie do narodu.

Dla ojca przestał istnieć cel życia. Ja natomiast uważałem podział Niemiec za słuszną karę, jaką Niemcy musiały zapłacić za wywołanie II wojny światowej, a nade wszystko za zbrodnie nazistów dokonane chociażby w Auschwitz. I nie tylko.

Gdy po latach, razem z matką i trojgiem rodzeństwa, po raz pierwszy pojechaliśmy w odwiedzin do naszej utraconej posiadłości, była ona Państwowym Gospodarstwem Hodowlano-Rolnym. W naszym domu, w którym się urodziłem, a który był dla mnie „pałacem”, NRD urządziło szpital dla alkoholików, a w naszych „dziecięcych” pokojach leczono teraz pacjentów, którym praca w dawnym naszym gospodarstwie miała przywrócić zdrowie!

Nigdy wtedy nie myślałem, że któregoś dnia znów staniemy się prawowitymi właścicielami rodzinnego majątku. Minęło aż 13 kolejnych lat, nim nastąpił ten „historyczny” cud...

Ponowne zjednoczenie Niemiec

Niemcy znów stały się jednym państwem! Przez minione lata moje życie obfitowało w niespokojne podróże przez świat.

Od 1982 do 1986 r. przebywałem w Kairze jako przedstawiciel Fundacji Friedricha Eberta odpowiedzialny za współpracę z egipskim rządem, realizując przeróżne projekty egipsko-niemieckie.

Potem los rzucił mnie do Pekinu, w którym pełniłem podobną funkcję, jak w Egipcie, będąc koordynatorem współpracy z Niemcami. Zarówno w Egipcie, jak i w Chinach czułem się „jak u siebie w domu”, zgłębiając tamtejsze zwyczaje i kulturę. Ale w głębi serca byłem samotny. Gdy pracowałem w odległych od Niemiec krajach, wielokrotnie gnębiło mnie pytanie, czy nie narzucam obcym rządów naszego sposobu myślenia w planowaniu ich własnego rozwoju? A z drugiej strony rozumiałem sens budowania mostów wzajemnego partnerstwa tak odległych od siebie krajów, a przede wszystkim korzyści gospodarczych płynących z inspirowanej m.in. przeze mnie współpracy. Politologia była przecież moim wyuczonym zawodem i pasją.

W Pekinie przeżyłem jednak rok 1989 i dramatyczną noc burzliwych wydarzeń na placu Niebiańskiego Spokoju. Doznałem wstrząsu, obserwując z bliska brutalne i tragiczne w skutkach rozpędzenie protestujących studentów, z których wielu zmasakrowano na miejscu. Wciąż mam przed oczami obraz zabitych młodych ludzi. Te wydarzenia jeszcze bardziej umocniły moje przekonania, że humanitarna polityka, demokracja i praworządność powinny być celem wszystkich rządów współczesnego świata. I że wszyscy powinniśmy angażować się w osiągnięcie tego celu.

Gdy wsiadałem w styczniu 1990 r. do samolotu, żegnając się z Chinami, przysięgałem sobie, że w przyszłości poświęcę wszystkie swoje siły, aby

przynajmniej mój kraj już nigdy więcej nie dopuścił się żadnego barbarzyństwa. Zastanawiałem się, co jako Axel Schmidt mógłbym zrobić, aby prawa człowieka wszędzie na świecie były przestrzegane? I aby ich nie łamało, jak to miało miejsce w III Rzeszy czy w Chinach. Bezprawie nie może umacniać współczesnych totalnych reżimów oraz terroryzować przyjętych standardów praw człowieka i norm obywatelskiego społeczeństwa.

Po powrocie do Berlina mianowano mnie szefem biura Fundacji Friedricha Eberta. Był to czas narodowej euforii. Mur został zburzony i rozebrany do końca. Obywatele byłego NRD mogli teraz swobodnie poruszać się po całym kraju, a także wyjeżdżać na Zachód, wszędzie gdzie chcieli. W sklepach z dnia na dzień znalazły się niedostępne dla nich wcześniej towary z tzw. kapitalistycznego świata. Wiedziałem jednak, że ta powszechna radość z nagłego i niespodziewanego zjednoczenia, to poczucie „braterstwa”, które temu towarzyszyło, nie będzie trwało długo. To nie takie proste połączyć nagle w jeden organizm dwa zupełnie różne dotąd systemy polityczne i gospodarcze, i nie odbędzie się to bez kosztów, bez problemów społeczno-gospodarczych i psychologicznych.

Ponieważ wszystko stało się tak niespodziewanie szybko, nurtowało mnie pytanie, czy byliśmy wszyscy na te nagłe zmiany dostatecznie przygotowani? Czy finansowo zjednoczone niemal z dnia na dzień Niemcy potrafią udźwignąć ten ciężar?

Jeśli dzisiaj, po 22 latach od tamtych wydarzeń, próbuję spojrzeć wstecz, targają mną różne uczucia – od wdzięczności za dar zjednoczenia, do krytycznej oceny wielu wynikłych z tego faktu problemów. Rzuciłem się jak szalony w wir spraw, które wymagały rozwiązania i nadal pozostają jeszcze niezłatwione.

Byłem szczęśliwy z licznych osiągnięć, które stały się rezultatem integracji, ale też dostrzegałem błędy, jakie popełniono, próbując wszystko urządzić wyłącznie na zachodnią modłę. Moje poczucie sprawiedliwości społecznej wielokrotnie poruszyło moje sumienie. Najbardziej boleśnie odczuwałem zauważalne wciąż we wschodnich landach rosnące bezrobocie i pazerność przybyszy z Zachodu, którzy w szybkim tempie na prywatyzacji „Ossis”, jak pogardliwie określano obywateli byłego NRD, powiększali – często ich kosztem – swoje majątki.

Jako dyrektor Biura Fundacji Friedricha Eberta, wykorzystując swoje doświadczenie i wiedzę, próbowałem przeciwstawiać się zaobserwowanym zjawiskom, ale mam też świadomość, bilansując je dzisiaj, że na niewiele zdały się moje wysiłki.

Powrót do Gödelitz

Zaraz po zjednoczeniu, z upoważnienia rodziny, rozpocząłem z przedstawicielami władz pertraktacje w sprawie odzyskania zabranego nam po II wojnie światowej rodzowego majątku i odkupienia gospodarstwa. Po wojnie, w rosyjskiej strefie okupacyjnej, w której utworzono potem Niemiecką Republikę Demokratyczną, znacjonalizowano wszystkie gospodarstwa powyżej 100 hektarów, odbierając je bez żadnego odszkodowania i jakiegokolwiek rekompensaty ich prawowitym właścicielom. Po zjednoczeniu rząd kanclerza Kohla zdecydował, że odebrane wówczas – przez sowietów i niemieckich komunistów, którzy w większości wraz z nimi przybyli do rosyjskiej strefy okupacyjnej – dobra będzie można odkupić za rozsądną cenę od „Powiernictwa” (Treuhandanstalt: instytucja federalna powołana do reprivatyzacji majątków uspołecznionych przez władze NRD). Czekaliśmy więc i my w swojej kolejce, aby nasze zdekapitalizowane i w zasadzie zupełnie zniszczone gospodarstwo ponownie znalazło się w naszych rękach. Po długich staraniach nadszedł wreszcie dzień, w którym podpisałem akt odkupu gospodarstwa i dzierżawy należącej do niego ziemi!

Moje 50. urodziny obchodziliśmy w pustym jeszcze pokoju, w którym moi rodzice urządzali święta i wszelkiego rodzaju uroczystości rodzinne oraz przyjmowali gości. Tych 50. urodzin znów we własnym domu chyba nie zapomnę do końca swego życia. Rozpierała mnie radość i wdzięczność za los, który sprawił, że tak się stało.

Potem jednak zaczęły się żmudne dni odbudowy i przywracania gospodarstwa do dawnej świetności. Moja wówczas 77-letnia matka również przeprowadziła się z powrotem z Darmstadt do siedziby naszych przodków, to znaczy – wróciła na swoją ojcowiznę. I mimo że spała początkowo na łóżku polowym i przygotowywała posiłki na campingowej kuchence stwierdziła po latach, że również dla niej były to jedne z najpiękniejszych chwil w życiu. Podobnie jak ja, nie sądziła, że jeszcze kiedykolwiek tutaj powróci.

Oczywiście wiedzieliśmy, że właściciele dużych gospodarstw nazywano w czasach NRD-owskich pogardliwie „junkrami” i uważano za politycznie obcych, a nawet wrogów nowego państwa (robotników i chłopów, czasami dodawało się, że i inteligencji pracującej). Tak więc i nas, zaraz po powrocie, spotykały nie zawsze przyjazne spojrzenia okolicznych mieszkańców. „Na szczęście” nasze budynki mieszkalne i gospodarcze były kompletnie zrujnowane, nie musieliśmy nikogo z nich wysiedlać, bo stały puste. Nasza mądra mama z mozołem zaczęła nie tylko organizować odbudowę zrujnowanych pomieszczeń, ale także z wielką cierpliwością odbudowywała kontakty z najbliższymi sąsiadami. W końcu uznali, że stała się nam krzywdą, a nasz

powrót także i im może przynieść wymierne korzyści, choćby w postaci pracy w naszej odzyskanej posiadłości. Potrzebowaliśmy pilnie dużo rąk do pracy przy jej ponownym zagospodarowywaniu. Miejscowi zrozumieli też, że komuniści uczynili dużo złego, a oni sami, nie wiadomo kiedy, stali się produktem ich propagandy. Do dziś wciąż zadaję sobie pytanie: czy sami – przez odzyskanie utraconego majątku – też nie przyczynialiśmy się do tworzenia nowych podziałów i pogłębiania poczucia niesprawiedliwości? Zawsze marzyłem o czymś, co pozwoli przeciwdziałać w przyszłości tworzeniu się takich stereotypów. Co robić, aby ludzie mieszkający wokół nie zazdrościli nam, bo przecież wróciliśmy „na swoje”. Nie opuszczała mnie myśl o tym, aby stać się lepszym i uniknąć popełniania dotychczasowych błędów.

I tak, już w czasie intensywnej odbudowy naszej posiadłości, zrodziła się myśl powołania do życia Stowarzyszenia Wschód-Zachód. W 1998 r. ogłosiliśmy powstanie ost-west-forum Gut Gödelitz jako stowarzyszenie wyższej użyteczności publicznej.

Dlaczego właśnie ost-west-forum?!

Przez długie pracowite lata jako kierownik Stałego Przedstawicielstwa RFN w Berlinie Wschodnim poznałem bliżej funkcjonowanie tamtejszego społeczeństwa. Swoją początkowo ślepy antykomunizm wynikający z „wypędzenia” i utraty dosłownie „wszystkiego” przez moich rodziców udało mi się przezwyciężyć już w latach 60. ubiegłego wieku. Jednak to, co przeżyłem bezpośrednio po zjednoczeniu Niemiec, było huśtawką nastrojów – między euforią a rozczarowaniem. Euforia była spowodowana głównie faktem, że moja rodzina mogła wrócić na swoje stare włości i odzyskać znacjonalizowany majątek, być znowu u siebie! Moja wdzięczność uwzględniała także fakt, że ludzie wokół byli nareszcie wolni, mogli podróżować dokąd chcieli, i nikt nie kontrolował już ich poglądów, nie cenzurował wypowiedzi. Mogli bez przeszkód kupować towary, które wcześniej uchodziły za „kapitalistyczne”, i jako takie były dla obywateli NRD niedostępne. Moją radość ze zjednoczenia potęgował fakt, że wreszcie wiele tradycyjnych staroniemieckich miast o wspaniałej zabytkowej architekturze mogło odzyskać swój dawny blask, a zrujnowana gospodarka miała szansę odbudowy.

Gorszył mnie jednak sposób, w jaki postępowano z ludźmi. Bezrobocie stało się nagle zjawiskiem nagminnym. Moją dezaprobatę budziło też postępowanie przy zwrocie majątków byłym ich właścicielom. Nie zawsze odbywało się to w sposób humanitarny. Ludzi, którzy byli w nich dotąd zatrudnieni w tzw. uspołecznionych zakładach pracy i często też w nich mieszkali (szczególnie na wsiach w PGR-ach, powstałych ze znacjonalizowanych po wojnie dużych posiadłości junkierskich), z dnia na dzień wyrzucano na bruk

i pozbawiano pracy. Wykorzystywano też dokumenty byłej Stasi (Urzędu Bezpieczeństwa b. NRD) dla pochopnych oskarżeń wielu byłych mieszkańców wschodnich landów.

Arogancja, a często i bezprawie, w bardzo szybkim tempie zbudowały mur niechęci między dawnymi obywatelami NRD a przybyszami z landów zachodnich, którzy wszystko wiedzieli lepiej i na swoją modłę urządzali zjednoczone Niemcy, często negując dotychczasowe osiągnięcia swoich braci ze Wschodu. Ten mur niechęci, jak go wyżej nazwałem, stawał się coraz bardziej widoczny, gasząc entuzjazm wielu (także i mój) faktem, że Niemcy znów stały się jednym państwem!

Chciałem w jakiś sposób na to zareagować. Nie wystarczało mi „być rozczarowanym i powiększać rzeszę frustratów”. Postanowiłem się temu wszystkiemu z wszystkich sił przeciwstawić. I tak, któregoś dnia, podejmując hasło rzucone przez przewodniczącego Bundestagu Wolfganga Thiersego, zacząłem organizować wspólne spotkania pod nazwą „Biografie” ludzi ze wschodnich landów i Zachodnich Niemiec. Obydwie strony podczas weekendowych spotkań zaczęły sobie opowiadać historie swego życia. Nadrzędnym celem było przeciwstawienie się stereotypom, które lawinowo narastały po obu stronach. Stereotypy rodzą się szczególnie wtedy, gdy ludzie mało o sobie nawzajem wiedzą. Moja inicjatywa zyskała bardzo szybko na popularności, gdyż po takich osobistych zwierzeniach wcześniej nieznanym sobie ludzi szybko znajdowali zrozumienie, a niejednokrotnie zawiązywały się przyjaźnie, trwające potem latami – można powiedzieć „do dziś”! Dotychczas ponad 2000 osób wzięło udział w tych „biograficznych” spotkaniach w Gödelitz (w którym w międzyczasie powstały odpowiednie warunki do organizowania konferencji) i na razie nic nie wskazuje na to, aby miały się szybko skończyć. Na „niemieckim” modelu zaczęliśmy organizować także biografie niemiecko-polskie, rosyjsko-niemieckie, turecko-niemieckie, a ostatnio także południowo-północnokoreańskie, w których biorą udział Koreańczycy mieszkający w Niemczech. Powołaliśmy także do życia niemiecko-polskie ost-west-forum, aby – mimo że Polacy i Niemcy są dziś wspólnie w Unii Europejskiej – starać się pomniejszać rolę wciąż istniejących stereotypów i organizowanymi wspólnie seminariami, kolokwiami i konferencjami przyczyniać się do pogłębiania wzajemnych stosunków partnerstwa i dobrosąsiedzkiej współpracy. Ileż na ich gruncie powstało nowych, wspaniałych, osobistych przyjaźni. To one budują te najcenniejsze wzajemne relacje, mają istotny wpływ na procesy społeczne, a w tym przypadku na niemiecko-polskie i polsko-niemieckie kontakty.

Teraz próbujemy wspólnie powołać do życia – to jedna z naszych najnowszych inicjatyw – „Akademię Młodych”, którzy będą chcieli nasze

dotychczasowe dzieło kontynuować nie dla własnych karier, lecz by pogłębiać tę współpracę także w przyszłości. Aby już nigdy jakiegokolwiek nierozważne czyny nie poróżniły naszych narodów ponownie. Tragiczna przeszłość musi odejść do lamusa historii raz na zawsze!

Wraz z powrotem mojej rodziny do Gödelitz historia mojego życia zatoczyła ogromne koło. Tego, co przeżyliśmy, nie życzę nikomu! Naszym obowiązkiem jest i pozostanie budowanie społeczeństwa pokoju i sprawiedliwości społecznej. Powstanie ost-west-forum, tłumacząc nazwę na język polski: Stowarzyszenie Wschód-Zachód, jest realizacją tego celu i jego głównym zadaniem. Stało się sensem mojego – oby jeszcze jak najdłużej trwającego – życia. Wychodzi poza ramy wszystkich moich poprzednich działań, ponad materialną egzystencję. Brzmi to patetycznie, ale jak inaczej i skromniej to określić?! Nie potrafię.

(Przełożył Karol Czejarek)

Axel Schmidt-Gödelitz urodził się w Gödelitz 6 kwietnia 1942 r. Po zajęciu przez Rosjan i znacjonalizowaniu majątku ziemskiego rodziców rodzina wyemigrowała do Niemiec Zachodnich. Studiował nauki polityczne oraz ekonomię w Berlinie i we Francji. Po ukończeniu studiów pracował jako dziennikarz. W latach 1976–1981 był pracownikiem stałego przedstawicielstwa RFN w Niemieckiej Republice Demokratycznej, w Berlinie Wschodnim (stolicy NRD). Potem pracował jako koordynator projektów w Fundacji Eberta w Egipcie i w Chinach. Od roku 1990 do 2003 – dyrektor biura Fundacji (Friedrich-Ebert-Stiftung) w Berlinie. Założyciel Stowarzyszenia ost-west-forum Gut Gödelitz.

Żonaty, ma dwóch dorosłych synów. Wielki zwolennik niemiecko-polskiego pojednania i współpracy.

JAN CHRUŚLIŃSKI

Stworzyli nam piekło...

W czasie towarzyskiego spotkania u profesora Karola Czejarka rozmowa zeszła na od lat zaniedbywany rozdział historii ostatniej wojny dotyczący wywozu Polaków na przymusowe roboty do Niemiec, przesładowań i wyzyskiwania podbitych narodów Europy.

Obaj zgodziliśmy się, że temat tzw. pracy przymusowej (*de facto* niewolniczej) w III Rzeszy jest w Polsce traktowany marginalnie. W opinii profesora, bardzo niewiele osób i instytucji pamięta lub chce upamiętnić losy tych ludzi, ponieważ do tej pory zajmowano się tylko tematem zagłady. Uważam, że oba tematy są jednakowo ważne – niech stracone życia Polaków, z których pozostała już nieliczna grupa żyjących, zostaną spisane na „kartach pamięci” i w ten sposób przekazane dla potomnych. Uważam, że ten temat powinien zainteresować wszystkich nieznających dotychczas całej tragedii ludzi zgwałconych przez niemiecki narodowosocjalistyczny system.

Zebrałem relacje trzech osób spośród rodziny i znajomych, które w latach 1939–1945 pracowały niewolniczo na potrzeby gospodarki III Rzeszy. Świadectwa te są zaledwie wycinkiem losów milionów robotników przymusowych wywiezionych do Niemiec.

Zofia Piotrowska, z domu Burakowska (matka mojej żony), urodziła się 13.05.1924 r. w Albertynie, małym miasteczku nad Issą, w powiecie słonimskim, na kresach wschodnich II Rzeczypospolitej. Kiedy miała dziewięć lat, zmarła jej matka.

„Kraj lat dziecinnych” wyląniał się z jej pamięci jako piękny zakątek, położony na zielonej i swojskiej Nowogródczyźnie, wśród litewskiej puszczy „pełnej duchów”, kryształowo czystych jezior i starych zamków, pamiętających zmagania naszych przodków o wolną Polskę i Litwę. Z równym

sentymentem wspominała niezapomnianą atmosferę Wilna z Ostrą Bramą i wąziutkimi uliczkami Starego Miasta.

W 1939 r., tuż przed wkroczeniem do Albertyna wojsk sowieckich, jej ojciec Jan Burakowski wraz z synami bliźniakami i najmłodszą córką Zosią przedostali się do Sokołowa Podlaskiego. Tutaj razem z synami wstąpił do Armii Krajowej, podejmując czynną walkę z okupantem hitlerowskim. W 1942 r. za przechowywanie Żydów gestapo zaaresztowało całą rodzinę. Ojciec i dwaj bracia bliźniacy zostali rozstrzelani. W lipcu 1943 r. osiemnastoletnia Zosia została z łapanki w Sokołowie Podlaskim wywieziona do więzienia w Białymstoku, a następnie do obozu koncentracyjnego w Treblince. Stamtąd do Niemiec, do obozu pracy, przy zakładach zbrojeniowych w Hanowerze.

O przeżyciach w Treblince nie chciała wspominać i opowiadać. Pewnego dnia zapytałem, jaki był sposób na przeżycie tego piekła.

Z tego co zapamiętałem, odpowiedziała:

Rzeczywistość Treblinki – obozu śmierci – była antyświatem, w którym zniesione zostały wszystkie wartości zachodniej cywilizacji; rozpadła się tworzona przez wieki struktura zasad etycznych, intelekt poniósł śmiertelną porażkę, a zdegradowane uczucia zdawały się być luksusowym dodatkiem do biologicznej egzystencji.

Konieczne było całkowite wewnętrzne nastawienie na przeżycie. Ale również stworzenie w sobie zdolności do wewnętrznego dystansu wobec tego, co tutaj się działo. Codziennie przybywały transporty, trzy tysiące, pięć tysięcy ludzi; po dwóch godzinach już nie żyli.

Z opowieści Zofii Piotrowskiej, mojej teściowej, wyłania się obraz niewyobrażalnego wprost traktowania robotników wywiezionych na przymusowe roboty do Niemiec.

„Rozpoczęłam niewolniczą pracę w Maschinenfabrik Niedersachsen Hannover (MNH), przy produkcji części do pojazdów wojskowych i innego sprzętu wojennego w tym czołgów Panther i Jagdpanzer V. Był to słynny Hannomag, jeden z największych producentów czołgów i wozów transportowych w III Rzeszy” – opowiadała teściowa.

„Wszystkie kobiety z transportu rozmieszczono w obozowych barakach. Dzieci oddzielono od rodziców i w zależności od ich rasowej oceny kierowano do dziecięcych obozów koncentracyjnych albo do specjalnych ośrodków wychowawczych, gdzie podlegały znieważeniu. Byłyśmy fotografowane, pobierano nam odciski palców i nadawano numery. Obóz był otoczony drutem kolczastym, a w każdym rogu znajdowała się strażnicza wieża. To był niewielki obóz z zaledwie kilkudziesięcioma barakami, podzielony na dwie części, jedna dla mężczyzn, druga dla kobiet.

W hali dużego baraku stały metalowe łóżka piętrowe, wyłożone cienkim siennikiem ze słomą i taką też «poduszką» oraz kocem, a raczej grubą i ciężką derą z pokrzyw. W każdym łóżku spaliśmy po dwie. Ten ogromny barak w zimie ogrzewany był jednym żelaznym piecem, na dzień przydzielano do palenia 30 brykietów węgla brunatnego. Latryna znajdowała się w rogu baraku.

W takich warunkach, mimo zmęczenia i głodu, po ciężkiej, trwającej 12 godzin harówce, trudno było zasnąć i cokolwiek odpocząć, gdyż wszystkie byłyśmy pożywką dla żarłocznych pluskiew i innych insektów. Poza tym byłyśmy pozbawione wolności, gdyż nasz pobyt w obozie był ciągle strzeżony, zarówno w barakach, jak i w miejscu pracy. Wiadomo – produkcja specjalna dla potrzeb wojska.

Byłam oznakowana literą «P». Jeśli się jej nie nosiło, otrzymywało się karę. Traktowano nas z pogardą. Nawet dzieci obrzucały nas wyzwiskami «polskie świny». Byłam nie tylko wiecznie głodna, ale także nie miałam dobrej odzieży: posiadałam tylko drewniaki, spódnicę i kurtkę.

Przez cały okres pobytu w obozie pracowałam w ruchu ciągłym, na dwie zmiany po 12 godzin. Najtrudniejsza była zmiana nocna. Od godziny 18 do 6 rano – praca przy obsłudze maszyn na stojąco i o głodzie.

Raz dziennie otrzymywałyśmy tzw. suchy prowiant, to jest kawałek chleba, margarynę lub cuchnący ser, ewentualnie marmoladę. Ten całodobowy przydział wystarczał tylko na skromne jednorazowe spożycie, na śniadanie, które można było popić czarną, gorzką kawą lub herbatą, również niesłodzoną – taką zwyczajną lurą. Drugi posiłek był w porze obiadowej, tylko jedno danie, cienka zupa na przemian z brukwi lub buraków, a do tego dwa małe ziemniaki w łupinach, bez żadnego tłuszczu. Przez cały okres pobytu w obozie pracy w Maschinenfabrik Niedersachsen Hannover nie otrzymywałyśmy choćby najmniejszego kawałka mięsa, wędliny czy mleka.

W fabryce pracowało około 300 cywilnych robotników z Polski, Francji, Belgii, Holandi i i Związku Radzieckiego. Poza tym zatrudnieni byli sowieccy, francuscy i polscy jeńcy wojenni, z komanda zewnętrznego – Der Polnisches Vertrauensmann, Stalag XI B. – wojskowego obozu jenieckiego.

W końcu 1944 i na początku 1945 r., w czasie częstych nocnych nalotów dywanowych, wszystkie w panice, ale z nadzieją na wolność, wybiegałyśmy z baraku. Pod koniec marca sąsiednie budynki zostały w czasie nalotu zrównane z ziemią. Następnego dnia bomby zniszczyły baraki mieszkalne. Tym samym okres pracy przymusowej kobiet dobiegł końca.

Po zajęciu Hanoweru przez armię amerykańską zostałam przeniesiona do obozu «dla pozbawionych ojczyzny obcokrajowców» (obóz DP). W katolickiej kaplicy obozowej zawarłam związek małżeński z poznanym w obozie

Antonim Piotrowskim, żołnierzem kampanii wrześniowej, który jako jeńiec wojenny przebywał w stalagu. Po pewnym czasie wyjechaliśmy do Grudziądza, rodzinnego miasta męża. Tuż po powrocie, w 1946 r., przyszła na świat nasza córka Iza”. Zofia Piotrowska cierpiała na syndrom KZ. Zmarła w wieku 52 lat w 1977 r. i jest pochowana na cmentarzu parafialnym w Chmielniku w woj. Świętokrzyskim.

Jest to skrócona relacja spisana w 1971 r., w Chmielniku.

Stanisław Dulewicz, urodzony 24.04.1893 roku w Słomnikach w powiecie miechowskim, województwo krakowskie. Wykształcenie wyższe. Przed wybuchem wojny – nauczyciel w gimnazjum w Radziejowie Kujawskim.

Pana Stanisława poznałem w 1960 r., będąc na wakacjach w Darłowie. Jego siedemdziesięcioletnie życie mogłoby posłużyć jako scenariusz do kilku filmów długometrażowych. Poniższa opowieść dotyczy krótkiego wycinka przeżyć okupacyjnych z okresu pobytu na przymusowych robotach w Niemczech w latach II wojny światowej. Przez kilka wieczorów tamtego lata z zapartym tchem słuchałem jego opowieści.

Na początku maja 1944 r., wraz z dwiema córkami: Anną i Marią Weroniką oraz synem Andrzejem, podczas łapanki w Radziejowie Kujawskim, zostałem aresztowany i wywieziony do obozu przejściowego w Poznaniu, a następnie do obozu koncentracyjnego w Pile. Chory na czerwone zostałem z dziećmi skierowany dalej na przymusowe roboty do Rügenwalde (aktualnie Darłowo).

Z Piły do Darłowa jechaliśmy pociągiem w bydlęcych wagonach pod eskortą kilku żołnierzy i wachmistrza żandarmerii, który wiozł ze sobą dane personalne naszej grupy. Byłem całkowicie wyczerpany fizycznie po prawie tygodniowej głodówce w obozie i krwawej dyzenterii. Nie mogłem utrzymać się na nogach, do wagonu kolejowego wniesiono mnie na noszach służących do przenoszenia zmarłych.

Świadomość faktu, że w taki niezwykle sposób wyrwałem się z trojgiem dzieci z obozu śmierci, że jadę w nieznane i że przyszłe warunki życia nie mogą być gorsze od tych, z których wyszedłem, wzmocniły mnie o tyle na duchu, że wytrzymałem trudy podróży. Tym bardziej, że jadący ze mną współwięźniowie wzmocnili moje siły, dzieląc się ze mną i z moimi dziećmi swoimi skąpymi zasobami żywności.

Do Darłowa przybyliśmy pod koniec maja 1944 r. Przed budynkiem Arbeitsamtu rozpoczął się handel ludźmi. Kilkudziesięciu bauerów oglądało każdego Polaka, badając siłę jego mięśni, zaglądając w oczy i sprawdzając stan uzębienia. W ten sposób wybrana przez bauera osoba była brutalnie

odrywana od rodziny. Płacił on urzędnikowi 20 RM jako koszt transportu polskiego robotnika, kładł rękę na ramieniu zakupionego robotnika i popychał w kierunku zaprzęgu konnego, by zabrać go do swojego gospodarstwa. Cała ta transakcja odbywała się przy akompaniamencie rozdzierających serce krzyków, płaczu i spazmów w nieludzki sposób odrywanych mężów od żon, a dzieci od rodziców. Ze względu na biegłą znajomość języka niemieckiego wyznaczono mnie na tłumacza. Moja rola przy tych transakcjach była bardzo bolesna i trudna. Rozdzielanym przemocą członkom rodzin, nieznanym języka niemieckiego, musiałem tłumaczyć, co się z nimi dzieje, nie mogąc podać adresów dziwacznie dla nich brzmiących miejscowości, do których byli zabierani.

Nieszczęście rozbicia rodziny dotknęło i mnie. Najpierw jakaś Niemka porwała mi najstarszą córkę – Hanię, później czerwony jak burak bauer zabrał Weronikę i nawet nie wiem, kiedy zabrano mi syna – Jędrka, liczącego zaledwie 13 lat. Stało się to tak szybko, że nawet nie mogłem pożegnać się z dziećmi, nie mając żadnej pewności, czy je odnajdę i zobaczę jeszcze w swoim życiu.

Z gromady liczącej blisko sto osób zostałem sam – bezsilny, przerażająco tragiczny i ledwie żywy; stałem na tym targowisku ludzkim towarem już nie jako człowiek, lecz jak nikomu niepotrzebny przedmiot, nadający się jedynie do wyrzucenia na śmietnik. Oczy kilkudziesięciu bauerów niemieckich prześlizgnęły się po nędzy mojej postaci, lecz niczyja ręka nie szarpnęła mnie brutalnie za plecy, jak to robiono z innymi.

Wtem pojawił się jeszcze jeden spóźniony Niemiec – Paul Neitzke, mający swe gospodarstwo w Darłowie przy szosie prowadzącej do Sławna. Potrzebował tęgiego parobka i sądził, że z dużej liczby przybyłych Polaków dobierze sobie odpowiedniego.

Urzędnik, wskazując na mnie, powiedział:

– Pozostał tylko ten jeden.

Wówczas na moim ramieniu wsparła się ręka Neitzkego. Odwrócił moją twarz ku sobie, ujął dość mocno pod brodę i patrząc w moje przemęczone oczy, powiedział:

– Potrzeba mi krzepkiego chłopca, a ten...

Nie dokończył zdania. Nieukrywana ironia połączona z pogardliwym gestem wyraźnie wskazywała, że nie ma ochoty płacić za mnie 20 RM. Ale zapłacił!

Jadąc furmanką ulicami Darłowa, gospodarz zadawał mi różne pytania. Po pierwsze: kim jestem z zawodu?

Ich bin Gymnasialprofessor – odpowiedziałem.

Wydłużone w intonacji – „Wa-a-a-as?” wyrażało zdziwienie, ale przede

wszystkim niezadowolone, gdyż ludzie z takimi kwalifikacjami przeważnie nie nadają się do ciężkiej pracy na roli. Poza tym kondycja fizyczna po udrękach obozu koncentracyjnego nie zapowiadała, że mój gospodarz będzie miał ze mnie jakikolwiek pożytek w gospodarstwie. Oświadczyłem mu, że poza ojczystym, polskim językiem, i znajomością niemieckiego znam jeszcze: rosyjski, francuski, gorzej angielski, oraz dobrze język łaciński i grecki.

W pewnym momencie gospodarz zagadał do mnie po rosyjsku, który znał nieźle z okresu pierwszej wojny światowej, będąc jeńcem w niewoli rosyjskiej. Również ja udzieliłem po rosyjsku odpowiedzi, po czym wysłuchałem opowiadania Neitzkego. Następnie wypytywał mnie o rodzinę.

– Jestem wdowcem z trójką dzieci, które zostały zabrane do innych gospodarstw, ale nie wiem dokąd?

W tym momencie przybyliśmy na miejsce. Gospodarz wprowadził mnie do kuchni, kazał usiąść do stołu suto zastawionego wszelkim jadłem, o jakim w obozie nie mogłem nawet marzyć. Na stole, przykrytym białą ceratą, miałem przed sobą bielusienki chleb pszenny, obok żytni własnego wypieku i talerz gorącego rosółu z makaronem. Podano potem kurę w potrawce, kawał białej gotowanej kielbasy, a na koniec – duży garnek mleka kwaśnego i drugi mniejszy – słodkiego. Poza innymi przypadłościami obozowymi nabawiłem się szkorbutu, a żołądek mój, skurczony po głodowych racjach, nawet w drobnej części nie mógł „skosztować” tego, co miałem przed sobą i czym moje oczy delektowały się. – Jestem bardzo zmęczony i proszę o wypoczynek – odezwałem się wreszcie do gospodarza, który widząc moje wielkie znużenie, zaprowadził mnie po stromych schodach do pokoju na poddaszu. W pokoju stało łóżko, na którym piętrzyło się kilka śnieżnej białości poduszek, a na malowanej podłodze leżał kolorowy dywanik. By nie kłaść czystości łóżka i nie wprowadzić do mieszkania obozowych insektów, zdjąłem z siebie mocno zniszczone ubranie, wyszczotkowałem je resztkami sił, wymyłem się całą ciepłą wodą i włożyłem na siebie czystą, podarowaną przez Neitzkego bieliznę.

On i jego żona byli starymi, pracowitymi i dobronudusznymi ludźmi. Okazali się dla mnie w okresie mojej choroby bardzo wyrozumiali, gdyż za jedzenie i wielogodzinne wypoczywanie w łóżku nie żądali ode mnie żadnej pracy w gospodarstwie. Innym okiem patrzyła na mnie ich zameężna córka, matka niemowlęcia, której mąż przebywał gdzieś na wschodnim froncie. Traktowała mnie jak darmożjadę, ostro i niechętnie, a nawet wrogo; imperatywna, a nawet bezwzględna, była wyrazicielką nowej, hitlerowskiej moralności i mentalności. Rodzice i ich córka – to dwie diametralnie różniące się generacje.

Kilka dni po moim przybyciu, mimo nakazu Neitzkego, żebym nie wykonywał żadnej ciężkiej fizycznej pracy dopóki nie nabiorę sił, udałem się

wczesnym rankiem do stajni, by na taczkach wywieźć nawóz spod koni na wysoką stertę, na szczyt której wjeżdżało się po stromej desce. W ten sposób chciałem odwzajemnić się za dobre traktowanie. Jednak przeceniłem swoje siły, gdyż w połowie wysokości sterty upadłem, a wypełnione taczki przygniotły mnie swym ciężarem. Neitzke pomógł mi podnieść się i mocno mnie zrugął za nadgorliwość.

Po tygodniu od tego zdarzenia, gdy poczułem się lepiej, gospodarz zabrał mnie ze sobą na łąkę do grabienia i osuszania siana. Praca ta w promieniach czerwcowego słońca mogła wydawać się zdrowemu człowiekowi lekka i przyjemna, dla mnie była jednak zbyt męcząca, gdyż dwukrotnie zemdlałem. Osłabiony obozem i przebytą chorobą nie mogłem wykonywać żadnych ciężkich prac. Moje zasłabnięcia wyprowadziły bauera z równowagi i następnego dnia, po niespełna dwóch tygodniach pobytu u niego, zaprowadził mnie do Arbeitsamtu, prosząc, by mnie skreślono z listy jego pracowników i przeznaczono do lepszej pracy. W urzędzie odpowiedziano, że cudzoziemiec, a zwłaszcza Polak, nie może pracować w biurze, a nauczyciel, ksiądz czy doktor, jako „verfluchter Pole”, nie może liczyć u Niemców na żadne względy.

W trakcie przekazywania mnie do dyspozycji Arbeitsamtu w urzędzie była Frau Lignitz, właścicielka gospodarstwa obejmującego rozległe ogrody warzywne i sady owocowe. Przyszła tu w celu przydzielenia jej pracownika fizycznego. Arbeitsamt przyznał Lignitzowej prawo dysponowania moją osobą, z którą los połączył mnie do końca wojny. Dotychczasowy pracodawca Neitzke, znając widocznie dobrze reputację owej Lignitzowej, powiedział mi dyskretnie, że ilekroć będę głodny lub nie będę miał miejsca do przynocowania, mogę zawsze przyjść do niego, choć pracodawcą moim będzie kto inny. Gdy Lignitz otrzymała z urzędu odpowiedni akt nabycia praw do mnie, wczepiła w moje ramię swoje szpony i tak doprowadziła do swojego domu przy ul. Zamkowej.

Po przyjściu do domu krzykliwym głosem zakomunikowała, że:

„Od tej chwili, bezpośrednią władzę nade mną sprawuje ona – Frau Lignitz, później bürgermeister miasta, a ostatnią instancją, od której zależał mój los, a także życie – to policjant, do którego należała ul. Zamkowa”. Dalej poinformowała, że:

„Urzędowo nazywam się landsarbeiter, w ustach Lignitz – knecht Klaus. Landsarbeiterowi nie wolno wychodzić poza miasto, nie wolno spotykać się z innymi landsarbeiterami, nie wolno chodzić głównymi ulicami; idącemu z przeciwka Niemcowi należy ustąpić miejsca, schodząc z chodnika na jezdnię i uklonić się, zdejmując nakrycie z głowy, nie wolno czytać gazet ani książek, nie wolno rozmawiać z niemieckimi kobietami, nie wolno chodzić

do kościoła, nie wolno chorować”. Zdarzało się, że kiedy landsarbeiter zachorował, pozostawiano go własnemu losowi i bywały przypadki, że umierał z głodu.

Powyższe przepisy wydały urzędy hitlerowskie, a bauerzy, tacy jak Lignitz, gorliwie je wykonywali, osobiście karząc opornych lub podając ich nazwiska Bürgermeisterowi.

Jednak w późniejszym okresie w konspiracji odwiedzało mnie wielu Polaków z okolicy miasta i z Darłowa. Słyszeli, że jestem nauczycielem, przychodzili z prośbą o poradę lub o napisanie listu do kraju bądź też na pogawędkę. Również po informacje o tym, co dzieje się w Europie i na świecie. Wśród nich byli też tacy, których uczyłem matematyki, historii, geografii i czytali nieliczne – przemyczone z kraju – polskie książki, przechowywane jak cenny skarb, by na obczyźnie nie zapomnieć polskiej mowy.

Praca moja trwała od szóstej rano do siódmej wieczorem, z godziną przerwą na obiad. W ramach obowiązków miałem, po nakarmieniu licznych drobiu i królików, załatwić w sklepach wszystkie zakupy dla gospodarstwa domowego, po śniadaniu około siódmej – wziąć duży, ciężki wózek ręczny i przedostać się z nim przez most na rzece do oddalonych o kilka kilometrów nadrzecznych ogrodów. W porze obiadowej od 12.00 do 13.00 miałem przywieźć wózkiem owoce i warzywa, które Lignitz sprzedawała w domu. Po obiedzie praca w ogrodach trwała do godziny 19.00. I znów, po wyczerpującej pracy, musiałem wieczorem ciągnąć napęczniałe warzywami wózek i to pod dużą górę. Bywało często, że nie miałem siły spożyć skromnej kolacji.

Moje miejsce do spania wyznaczono mi na strychu zapełnionym połamany, starymi meblami i szmatami, ożywionymi w nocy kurami i innym drobiem, wśród pisku licznych myszy i szczurów. Na strych wchodziło się częściowo po stromych schodach i częściowo po drabinie. W okresie późnej jesieni i w zimie ulokowano mnie w maleńkiej pralni o jednym oknie z wybitymi szybami, w miejsce których włożona była dykta. Podłoga była cementowa. W jednym rogu palenisko zbudowane z kilku cegieł, na którym umieszczano kocioł z gotującą się bielizną. Od rozchodzącego się z paleniska dymu ściany były tak czarne, że przypominały kurne chaty. Drzwi wejściowe nie chroniły od zimna, gdyż były niezbyt dopasowane do futryny, miały duże szpary od dołu i góry, i były pęknięte po środku. Pieca do ogrzewania nie było. Nie miałem też łóżka; z paru desek zbiłem prymitywny tapczan, na którym położyłem zrobiony przez siebie ze starych, dziurawych worków siennik.

W takich warunkach doczekałem końca wojny. Przed zbliżającym się frontem na ulicach Darłowa było rojno od uciekinierów. Na furach siedzia-

ły kobiety, dzieci lub chorzy z dobytkiem takim, jaki udało się pochwycić w ostatniej chwili.

Tymczasem beznadziejność położenia ludności niemieckiej zwiększała się z każdym dniem. Kto z Niemców był „zaawansowany” w sferach nazistowskich, miał na swym koncie wiele grzechów antyhumanitarnych i ludobójczych, ale rozporządzał większym kapitałem – ten nabywał za wysoką sumę schiffkartę i znikał z horyzontu.

W nocy z 6 na 7 marca 1945 r., wojska radzieckie zajęły Darłowo. W kilka dni później odnalazły się moje dzieci: Anna, Maria – chora na zapalenie żył i Jędrzek z owrzodzeniem nóg.

Komenda Wojenna miasta określiła godziny policyjne i poleciła wszystkim Niemcom, Polakom, Francuzom i innym cudzoziemcom zameldować się pod groźbą kary. Pośpieszyłem i ja z trojgiem swych dzieci. Podczas rejestracji oświadczyłem, że jestem nauczycielem i poza językiem polskim, władam rosyjskim, niemieckim, francuskim, łaciną i greką i nieco gorzej znam język angielski. Wówczas oficer rosyjski, nie pytając o zgodę, powiedział:

– Będziecie u nas pracować jako tłumacz!

W mieście brakowało miejsc do pracy. W związku z tym ogłoszono nabór spośród Niemców, którzy pozostali w Darłowie. Przy szosie do Sławna zebrał się olbrzymi tłum ludzi, złożony przeważnie z kobiet, nielicznych mężczyzn i podrostków. Przed cegielnią rozpoczęto werbunek. Nagle w „kolejce” przesuwającej się w moim kierunku ujrzałem niespodziewanie Frau Lignitz, moją pracodawczynię nienawidzącą Polaków, a za nią dwoje jej wnucząt, niemających razem 10 lat; za dziećmi postępowała jej zamężna córka, popychając przed sobą wózek, w którym znajdowało się niedawno przez nią urodzone maleństwo. Zauważyłem, że mają ubrania wymięte, sprawiające wrażenie niezdejmowanych przez dłuższy czas. Buzie dzieci były blade i mizerne, główki i częściowo dolne części twarzy pokryte były strupami jakiejś choroby skórnej. U mnie natomiast, pod względem zewnętrznego wyglądu, zaszły zmiany o charakterze pozytywnym, gdyż ubrany byłem bez zarzutu. Nagle stara Frau Lignitz, gdy przyszedł moment sklasyfikowania jej przydatności do pracy, upadła mi do nóg, sięgając po rękę, by ją ucałować i zaczęła prosić, traktując mnie per „Sie”, bym ją wraz z córką przyjął za robotnice do jej dawnych ogrodów. Wyrwałem rękę, nie dopuszczając do jej pocałowania. Prośbę ich spełniłem i na odchodne przekazałem, by wróciły do swojego mieszkania. Swoją wizytę zapowiedziałem na wieczór. Jeżeli w moim sercu zagościła uraza czy żal, to teraz – wobec moralnych i fizycznych ciosów, jakie spadły na tę rodzinę pozbawioną środków do życia – wyzbyłem się wszelkiej wrogości. Już nie ja, ale obie Lignitzowe wymagały opieki i pomocy materialnej, której udzieliłem tego wieczoru, w obecności moich dzieci.

Nadmieniłem również, że jeżeli zajdzie potrzeba, mogą zwrócić się do mnie o pomoc.

Stanisław Dulewicz zmarł 13 września 1963 r. W latach od 1945–1947 był pierwszym polskim burmistrzem Darłowa po II wojnie światowej. Za jego kadencji odbudowano linię kolejową Darłowo–Sławno oraz założono spółdzielnię rybacką. W 1997 r. Rada Miasta w Darłowie przyznała mu pośmiertnie tytuł *Zasłużony dla miasta Darłowa*. Jest patronem miejskiego gimnazjum w Darłowie.

Antonina Abramiuk, urodzona 03.12.1928 r. we Francji. W 1932 r. rodzina wróciła do Polski i zamieszkała w Busku-Zdroju. Wykształcenie wyższe. Tłumacz przysięgły języka niemieckiego. Żyje i mieszka w Szczecinie, al. Wyzwolenia 2/3.

Jest to opowieść o przeżyciach wojennych widzianych oczami dziecka, wówczas 11-letniej dziewczynki Tosi Abramiuk, a więc niedokładne, niepełne, szczególnie z tych pierwszych lat, a bardziej szczegółowe w miarę dorastania.

„Busko-Zdrój, luty 1940 r., pewnego dnia ojciec mój nie powrócił do domu. Zabrano go z ulicznej łapanki i nie wiemy, co się z nim stało. Po jakimś czasie przysłał od niego wiadomość, że jest w Niemczech na robotach. A więc żyje. Pracuje w prywatnej firmie budowlanej w Wattenstedt, w okolicy Brunszwiku. W domu zostałyśmy same: mama, ja i dwuletnia siostra.

Kilkanaście dni później również mama dostała nakaz wyjazdu do Niemiec na roboty przymusowe. Na przygotowanie się do wyjazdu dostała zaledwie kilka dni. Starła się zabrać rzeczy najpotrzebniejsze, bo przecież nie wiedziała dokąd, na jak długo jedziemy i w jakich warunkach będziemy mieszkać. Pakowała więc pościel i trochę ubrań do dwóch worków, aby było wygodniej, a ja wepchnęłam do środka moją książkę do nauki języka polskiego pt. *Pieśń o Ziemi Naszej* do piątej klasy szkoły powszechnej. Książka, jak się potem okazało, miała mi towarzyszyć na wygnaniu przez długie 5 lat, zastępując mi lekcje języka polskiego. Nawet nie wiem, jak zdołała uchować się do dnia dzisiejszego, skoro nie uchowały się prawie żadne dokumenty i zdjęcia rodzinne. Dzisiaj jest moim skarbem, moją najcenniejszą pamiątką.

Wiozą nas do Kielc chłopskimi furmankami. Jest ich bardzo dużo. Ja siedzę w ostatniej. Gdy przejeżdżamy przez tzw. Kolonię Urzędniczą na skraju naszego miasteczka, widzę jak na jezdnię wybiega Jadzia Chruslińska z mojej V klasy. Zajęta czymś innym nie zwróciła uwagi na furmanki, nie zauważyła również mnie. Obrazek ten na zawsze pozostał w mojej pamięci jako pożegnanie ze szkołą i z Polską.

Droga z Buska do Kielc jest długa, około 50 km. Na dworze szalał wiatr, wzbijał w górę lekki śnieg i tworzył z niego małe leje, trąby powietrzno-śniegowe. I do tego ten świst! Z lasu, obok którego przejeżdżaliśmy, dobiegał hałas rozkołysanych drzew. Nad nami wisiały ciemne, ciężkie chmury. Padał z nich bardzo drobny śnieg. Białe, szorstkie igiełki opadały za kołnierze kurtek, osiadały na włosach i ramionach, kłuły w policzki. Duże płatki tworzyły w powietrzu białą, rozedrganą, niekończącą się zasłonę. Przedzielaliśmy się przez nią bardzo powoli.

Gdy przejeżdżamy przez niektóre wsie, Niemcy doładowują ludzi. Pamiętam, jak wybiegła z przydrożnej chaty mała dziewczynka, krzycząc – mamó! mamó! Podbiegła do naszej furmanki i wgramoliła się na nią. Była to, jak się później okazało, dziewięcioletnia Marysia, której zabrano matkę, panią Kowalową. Marysia pojechała z nami.

W Kielcach wyladowano nas obok dworca kolejowego. Noc spędziliśmy na ziemi. Na drugi dzień załadowano zmęczonych i brudnych do pociągu. Były to jednoprzedziałowe wagony towarowe. Straszny ścisk i tłok.

Po kilku godzinach wyladunek w Radomiu. Dokądś nas pędzą. Mama, kobieta silna, nie może poradzić sobie z bagażem. Nie nadąza za tłumem. Odnosi jeden worek i wraca po drugi, trzymając na rękę chore dziecko. Ja także jestem obciążona torbą i plecakiem. Po nocy spędzonej na podłodze dworca ledwie się trzymam na nogach. Wprowadzają nas do jakiejś hali długiego budynku, w którym stoją zasłane słomą piętrowe drewniane prycze. Padam ze zmęczenia. Mama przynosi dużą piętkę chleba z wyjętą z niej ośródką, w której jest łyżka stołowa marmolady; otrzymany prowiant.

Po kilku dniach dalsza jazda, z której pamiętam tylko migawki. Pierwsza – to duży napis Warschau-West. Potem kilkakrotnie Breslau, Bremen. Właśnie tu, w czasie postoju, na moment wymknęłam się, stoję przy sięgającym mi do brody murku i spoglądam z dość wysoka w dół na miasto, gdzie widzę niemieckie dzieci jeżdżące na rowerach lub śmigające beztrasko po chodniku na wrotkach. Toczy się normalne życie. A ja jestem tak bardzo zmęczona.

Wożono nas przez Niemcy tam i z powrotem przez dwa tygodnie, organizując w różnych miejscach handel współczesnymi niewolnikami.

Przychodzili bauerzy, oglądali ten materiał ludzki i wybierali dla siebie najmocniejszych. Transport po drodze topniał. Odeszła także gdzieś po drodze pani Kowalowa z Marysią. Na moją mamę z dwójką dzieci nie było zapotrzebowania, dlatego wożono nas bardzo długo. W końcu wyrzucono z wagonu. Następuje długi marsz do obozu, po oszronionych „kocich łbach”. Jestem bardzo zmęczona, dźwigam ciężki plecak, zataczam się, ktoś mnie podtrzymuje.

W budynku, w dużej sali, musimy się rozebrać do naga. Dzieci – chłopcy i dziewczęta razem z kobietami. Wstydę się mojej nagości. Prawdopodobnie była to łaźnia, ale moja pamięć nie zarejestrowała żadnej kąpieli, żadnej wody. Natomiast dokładnie widzę ustawiony wzdłuż jednej ze ścian rząd kilku stołów. Tworzyły z tą ścianą korytarz prowadzący do następnego pomieszczenia. Na stołach siedzą nagie kobiety poddawane przez mężczyzn w białych fartuchach badaniom ginekologicznym; w drzwiach wejściowych tłum rechoczących żołdaków. Wszystko to dzieje się bardzo szybko. Nie bardzo rozumiem, co się dzieje, wiem tylko, że dzieje się coś bardzo złego i staram się nie patrzeć.

Ostatecznie wylądowałyśmy w Nortenhof, około dziewięciu km od Brunszwiku: Zakłady Rzeszy Hermana Goeringa – Wattenstedt. Był to duży majątek rolny tych zakładów we wsi Uefingen.

Ulokowano nas w dość przyzwoitym pomieszczeniu, nawet z oddzielną kuchnią. Przydzielono żelazne łóżka z siennikami i najpotrzebniejsze sprzęty. Nareszcie jakaś stabilizacja. Wydaje się, że nie będzie tak źle. Okazało się jednak, że nie na długo.

Ten majątek to był zamknięty obóz pracy, którym zarządzał inspektor Geiz. Podwórze z wszystkimi budynkami gospodarczymi: stajnie, chlewnie, obory, owczarnie, nadzorował Jabs. Był wyjątkowo wredny. Robotami polowymi zajmował się Saxarra, który zawsze rano rozdzielał robotę. Mówił dość dobrze po polsku, śląską gwarą, dzięki czemu dobrze porozumiewał się z Polakami, a poza tym był to dość ludzki człowiek. Z Niemców byli jeszcze w majątku: owczarz Hoppe, tzw. szwajcar – maleńki Zuend, z ogromną żoną i czeredą rozwyrzonych, dających się nam często we znaki dzieciaków, stary stróż nocny Fricke. Do pracy w tym majątku przewidziani byli obcokrajowcy. Jedna z Niemek Nortenhofu wyraźnie powiedziała do którejś z naszych kobiet: «Hitler powiedział, że po wojnie my nie będziemy musieli pracować – za nas będziecie pracować wy, Polacy».

W ciągu kilku tygodni przywieziono tu następną grupę Polaków, zarówno samotnych, jak i całe rodziny, w tym także mojego ojca, Jana Abramiuka.

Osoby samotne umieszczono w jednym murowanym budynku, wyposażonym w piętrowe łóżka. Rodziny z dziećmi umieszczono w starym, bardzo zniszczonym budynku. Przeniesiono do niego także nas. Była to kłitka na poddaszu z ukośnym sufitem i okienkiem wielkości dużego lufcika. Mieściło się w niej tylko jedno łóżko, stół i niewielka szafka oraz żelazny piecyk. Na noc trzeba było rozkładać na podłodze drugi siennik. Na trzeci nie było już miejsca. Od nieba oddzielał nas tylko ukośny dach – sufit, składający się z dachówki i podbitki z desek, bez ocieplenia, dlatego latem było bardzo gorąco i duszno, a zimą potwornie zimno. Podłogę stanowiła posadzka be-

tonowa, trudna do umycia, gdyż wchłaniała wodę. Nad drzwiami wejściowymi do budynku umieszczono duży napis POLENLAGER, aby nie było wątpliwości, kto w nim mieszka. W tych warunkach żyliśmy do 10 kwietnia 1945 r., a więc ponad 5 przeogromnie długich lat.

Rodziny dostawały prowiant, najczęściej ziemniaki i brukiew i gotowały sobie same. Mniejsze dzieci otrzymywały odciągane mleko – ćwierć litra na dzień. Dzieci starsze wykorzystywano do pracy. Panował głód, ale można było sobie poradzić, kradnąc ziemniaki czy buraki, przy których się pracowało. Trzeba przyznać, że zarówno inspektor Geiz, jak i polowy Saxarra udawali często, że tego nie widzą. Nieludzkim i wyjątkowo podłym Niemcem był nadzorca Jabs, który posłał do obozu karnego Lager 21. Polaka za to, że pracując przy udoju krów, napił się trochę mleka, którym karmiono prosięta; również 14-letniego Wieska Zajacę za zerwanie jabłka z przydrożnego drzewa.

Cały ten olbrzymi majątek obrabiali niewolnicy z pobitych krajów. Oprócz Polaków byli także Rosjanie, Ukraińcy oraz jeńcy francuscy. Ci ostatni byli zakwaterowani w oddzielnym, czteroklatkowym budynku, z piętrowymi pryzmami, z «własnym» *wachmanem*, który zamykał ich na noc. Było także dużo Chorwatek. Zajmowały aż trzy duże pomieszczenia.

Spośród Polaków z Buska-Zdroju, oprócz mnie i moich rodziców Marii i Jana Abramiuków, byli także: Zofia Zajac z dziećmi (jej mąż przebywał na robotach w Osnabrück), Stanisław Zajac, Helena i Mieczysław Zajacowie z dziećmi, Władysław Górecki, Stefan Wójcik, Helena Kuza i starsi państwo Kumorowie. Była także Julia Walczak, która uciekła od bauera w Gryfnie.

Byliśmy oznakowani literą «P». Za jej nienoszenie otrzymywało się karę. Oddalenie poza teren majątku było zabronione i groziło więzieniem lub obozem koncentracyjnym. W polu pilnował nas zawsze nadzorca. Praktycznie było się stale pod nadzorem i do dyspozycji SS.

Nasz dzień powszedni wyglądał następująco:

Wieczorem, po sprawdzeniu, czy wszyscy są obecni, zamykano nasz budynek na klucz. Otwierano go o 5-tej rano. Obowiązek ten spełniał *wachmann*, który zamykał także jeńców francuskich.

Codziennie rano rozlegał się dźwięk sygnaturki uruchamianej przez Saxarrę, zwołującego w ten sposób ludzi po przydział pracy. Od niego zależało, czy otrzymało się pracę lżejszą czy cięższą, a także czy bliżej domu, czy na najdalszym polu. To ostatnie było ważne, szczególnie dla kobiet z dziećmi, ponieważ podczas przerwy obiadowej musiały zdążyć przyjść do domu i ugotować coś dla siebie i dzieci. A były przecież zmęczone ciężką pracą i niedożywieniem. Praca trwała do wieczora. Często także w niedzielę. A już regułą była praca w drugi dzień każdych świąt, np. rozręczanie obornika albo obrywanie brukselki.

Moją pierwszą pracą było przerywanie buraków. Przede mną wyschnięte pole, poprzecinane rzędami buraków cukrowych wysianych maszynowo. Z nieba leje się żar. W rękach mała ręczna «haczka». Robota polegała na tym, aby z roślinek o wysokości około 5 cm pozostawiać tylko po jednej, w odległości co 20 cm, aby buraki miały miejsce do rozrostu.

Rozebrana do koszulki i majteczek ledwo wytrzymuję upał. Praca wykonywana jest na kolanach i trwa przez cały dzień, co jakiś czas mam krwotok z nosa. Bołą obtarte kolana. Nigdy nie byłam silnym dzieckiem. I tak przez cały dzień, a potem drugi i następne. W ciągu roku buraki trzeba było jeszcze kilkakrotnie oczyszczać z chwastów, co na ogół załatwiały dzieci – oczywiście polskie.

Praca przy burakach była najgorsza jesienią, przy ich wykopywaniu. Wyrastały olbrzymie, a buraczane liście sięgały powyżej pasa. W tym okresie zawsze padał deszcz. Pracowałam w za dużych gumowych butach wypełnionych wewnątrz słomą, z workiem na głowie nasiąkającym deszczem, od dołu przemoczona od mokrych liści. A przecież wieczorem nie czekał w «domu» gorący piec ani ciepła łazienka, gdzie można by się wykąpać, wysuszyć i ogrzać, nie było też ciepłej strawy. Rano odzież nakładało się jeszcze mokrą.

Okropne były również dla mnie prace przy zbiorze dojrzałego lnu. Kosila go maszyna, a w snopy wiązali dorośli. Ja odnosiłam snopki i zestawiałam w sterty. Upał, a przy tym strasznie kłująca słoma solidnie dawały mi się we znaki.

Do nieco lżejszych robót należał zbiór zielonego groszku. Nie miałam z tym nigdy kłopotu. Miałam dość sprytne palce, a dodatkowo mogłam się najeść do syta. Nauczyłam się świetnie opróżniać z ziaren włożone do ust strąki, używając do tego tylko zębów. Następnie groszek ładowany był na przyczepy i odstawiany do przetwórnicy owoców i warzyw.

Druga taka praca to przebieranie «bobiku». To taki mały bób pastewny. Młócono go maszynowo, było więc dużo części zmiażdżonych i połówkowych. Trzeba było oddzielać całe i zdrowe ziarna od uszkodzonych kawałków. Pracę tę wykonywało się w zimie w pomieszczeniu, dlatego otrzymanie jej było wielką łaską. Dostawały ją tylko kobiety i dzieci.

Noszenie wody należało do ciężkich czynności. Wiadro zastępowała duża blaszana puszka po marmoladzie lub ogórkach, z drucianym kabłąkiem, który pod wpływem ciężaru wrzynał się w rękę. W izbie znajdował się większy pojemnik. Żeby go napęlnić, trzeba było kilkakrotnie pokonać odległość około 80–100 m. Zimą było jeszcze trudniej, ponieważ podejście do pompy było zupełnie oblodzone. Niejeden raz wyróciłam się i dotkliwie potłułam.

Głównym źródłem pożywienia były ziemniaki i brukiew. Tłuszczu nie dostawaliśmy wcale. Mama radziła sobie w ten sposób, że z tartych ziemniaków piekła na blasze piecyka placki, które były twarde i czarne, ale można je było zabrać ze sobą w pole zamiast chleba. Kiedyś podpatrzył mamę przy jedzeniu tego „rarytasu” Saxarra. Bardzo się zdziwił, że coś takiego można w ogóle jeść. Z propozycji spróbowania jednak nie skorzystał.

Rarytasem było, przynajmniej dla nas dzieci, otrzymanie 4 czy 5 razy w ciągu całego pobytu w obozie melasy z buraków. Ta ciemnobrązowa, ciągliwa masa miała zastąpić marmoladę. Była przynajmniej słodka i przypominała dawny smak cukierków.

Na terenie obozu działał miejscowy policjant – Abel, mieszkający w połączonej z majątkiem wsi Uefingen. W sposób szczególny nienawidził Polaków. Przeszukiwał o dowolnej porze nasze kwatery. Wyciągał skromne mienie z pudeł umieszczonych pod ukośnym sufitem i rozrzucał wszystko po podłodze. Oczywiście nie obeszło się przy tym bez wyzwisk, wśród których powiedzenie *polnisches Schwein* stanowiło stały punkt jego repertuaru. Bardzo się go bałam i na jego widok dostawałam nerwowych drgawek. Prawie wszyscy okazywali nam pogardę. Nawet dzieci niemieckie swoje własne kłótnie kończyły najgorszym w ich mniemaniu przezwiskiem: «du Pollake, Russe»! – właśnie w tej kolejności. Abel został skierowany na front wschodni, z którego już nie wrócił.

Ale byli również Niemcy, którzy zachowywali się w miarę przyzwoicie, takim był inspektor Geiz. Jeśli czegoś nie musiał widzieć, to nie widział. Jeśli musiał, to krzyczał na całe gardło tak, aby wszyscy go słyszeli, szczególnie Niemcy, bo przecież nigdy nie wiadomo, kto doniesie «komu trzeba».

W 1943 r. przydzielono mi pracę u «ober inżyniera» huty jako pomoc domowa. Mieszkał w sąsiedniej miejscowości Steterburg. Rodzina była duża. Najstarszy syn był w wojsku na Łotwie. Pan domu Wilhelm Werz, jego dwie córki: 21 i 18 lat oraz 15-letni syn pracowali w hucie. Wyjeżdżali rano i wracali o 18:10. Była jeszcze 6-letnia dziewczynka i babcia, a także wzięta na «przechowanie» przed nalotami dziewięcioletnia dziewczynka znajomych – Rosemarie.

Pani domu zajmowała się gotowaniem dla dziewięciu osób i robieniem zakupów, które ja przynosiłam ze sklepu do domu. Pamiętam, że w jednej torbie niosłam 7-litrową blaszaną kankę z mlekiem odciągany i dwulitrową z mlekiem pełnym dla dzieci. W drugiej kilka dużych bochnów chleba. Miałam wtedy czternaście lat i było mi bardzo ciężko. Tego roku była śnieżna i mroźna zima. Ponieważ nie miałam rękawic, nosząc zakupy gołymi rękami, odmroziłam sobie ręce tak bardzo, że miałam na nich otwarte rany.

Ponadto do moich obowiązków należało: obieranie ziemniaków, nakrywanie do stołu (dwa razy dziennie), zbieranie i mycie naczyń, sprzątnięcie kuchni i łazienki, codzienne sprzątanie głównego pokoju i ślanie wszystkich łóżek, raz w tygodniu gruntowne sprzątanie pozostałych 5 pokoi, czyszczenie butów, noszenie węgla z piwnicy, wożenie wózkiem do sąsiedniej wsi pościeli do magła. O godzinie 17.45 należało wywietrzyć mieszkanie i nakryć do stołu, przy którym o 18.10 rodzina zasiadała do obiadokolacji. Potem czekało mnie jeszcze zmywanie naczyń po dziewięciu osobach i sprzątnięcie kuchni.

Moim miejscem do spania było poddasze, gdzie w zimie zamarzała woda. Wstawałam o 5 rano i przez cały dzień kręciłam się jak w kieracie. Miałam zaledwie 14 lat; byłam bardzo zmęczona fizycznie i psychicznie. Wolne miałam tylko w niedzielę po południu, po dokładnym sprzątnięciu kuchni po obiedzie. Wtedy mogłam iść do oddalonej o około 5 km rodziny i wrócić dopiero następnego ranka.

W tym czasie aresztowano ojca. W rozmowie z innymi osobami wyraził się niepochlebnie o Niemcach i ktoś powtórzył to owczarzowi Hoppemu, a on, jako dobry Niemiec, przekazał to dalej. Ojca osadzono w więzieniu w Wolfenbüttel.

Mój władca – Werz był bardzo religijny. Któregoś ranka, wybierając się do kościoła, stanął wściekły przede mną, sprząającą właśnie główny pokój, i zaczął wrzeszczeć. Wtedy już dobrze znałam niemiecki, ale jego wrzasku nie byłam w stanie zrozumieć i nie wiedziałam, o co mu chodzi. Prawdopodobnie o buty, które nie były zbyt dobrze wyczyszczone. W pewnym momencie zaczął mnie bić po głowie i całym ciele. Upadłam na podłogę, a on wrzeszczał: wstawaj! Potem wziął książeczkę do nabożeństwa i poszedł do kościoła.

Następnego dnia żandarmeria zabrała mnie do obozu karnego – Lager 21. Hallendorf. W obozie ciągle wrzaski, bicie i duże psy, których do dziś się boję. W cienkich drelichach i w za dużych dla mnie sztywnych drewniakach bardzo marzłam, zarówno na długich apelach, jak i w pracy. Jedna z dziewczyn została dotkliwie pobita pałkami tylko za to, że podniosła kawałek surowego ziemniaka, aby go zjeść. Ja starałam się tak lawirować, żeby zjeść «wachmanom» z drogi, ale i tak kilka razy zostałam spalowana. Natomiast silne bicie ręką w twarz spowodowało u mnie uszkodzenie dwóch kręgów szyjnych.

Po miesiącu «zwrócono mnie» do macierzystego obozu pracy w Nortenhof i przydzielono do pracy w ogrodnictwie.

Ogrodnictwo prowadziła Frau Ostermann, jej mąż był w wojsku we Francji. Miała dwoje dzieci, na szczęście dość dobrze wychowanych. Oprócz

mnie pracował tam na stałe jeden francuski jeniec – Fernand, który wieczorem wracał do zamykanych na noc koszar. Frau Ostermann nie była złą kobietą. Gorszy był jej teść. Pracy jednak miałam dużo, od 5 rano do wieczora. Tutaj nie było wodociągu i wodę musiałam przynosić ze studni znajdującej się na trzecim podwórze. O świcie rozpoczynałam karmienie świń. Po sprzątnięciu domu szłam do pracy w ogrodzie na kopanie i pielęgnię. Ponadto musiałam codziennie wydoić kozy. I tak dotrwałam do końca wojny.

Od stycznia 1945 r. naloty na Niemcy stawały się coraz częstsze. W ciągu dnia nikomu z nas to nie przeszkadzało, ponieważ widać było lecące nad nami samoloty, które nam nie zagrażały; leciały bowiem dalej, najczęściej w kierunku Berlina. Powodowało to dosyć «przyjemną» przerwę w pracy. Gorzej sprawa przedstawiała się w nocy, gdyż był obowiązek przejścia do schronu. Ten dla obcokrajowców – był dość «bezpieczny». Połączony trzema wejściami rów wykopany w niskiej skarpie był nakryty pniami drzew i belami sprasowanej słomy.

Wiosną 1945 r. alarmy były już tak częste, że właściwie traciliśmy orientację, czy wyjące syreny to jest dźwięk alarmu, czy odwołania.

W marcu było już wiadomo, że wojska alianckie zbliżają się i że wojna ma się ku końcowi. Czekaliśmy na to tak długo, że aż trudno było w to uwierzyć. Niemcy byli zaniepokojeni i już nie tacy ważni. Przestali nawet zamykać nas na noc. Byliśmy podnieceni, bo to przecież najwyraźniej świadczyło o zbliżającym się końcu naszej niewoli. Pewnej nocy słysząc było od zachodu huki i widać błyski. Nikt nie spał. Niemcy również.

Noc z 9 na 10.04.1945 r. spędziliśmy w schronie, a rano już byli Amerykanie. Bez jednego wystrzału, drogą do wsi, dobrze widoczną ze schronu, przejechał jeep, a w kilka minut po nim ciężarówki z wojskiem. Część z nich zatrzymała się przy naszym schronie, któryś z żołnierzy wyciągnął gitarę. Częstoowali nas czekoladą, rozdawali konserwy i inne dobre rzeczy, których nie widzieliśmy od lat. Zachowywali się jak na biwaku. Rozlokowali się w naszym budynku i w stodołach. Niemcy gdzieś się pochowali. Wielu amerykańskich żołnierzy miało polskie korzenie i dobrze posługiwali się ojczystym językiem. Prosimy nas, aby wskazać Niemców, którzy nas krzywdzili, a zrobią z nimi porządek.

Nie oskarżyliśmy nikogo. Polacy – to nie jest mściwy naród. Nie oskarżyłam nawet Werza, który pobił mnie dotkliwie i oddał do obozu karnego. Nie mściłam się także na owczarzu Hoppe, który doniósł do gestapo na mojego ojca. To może nie był zły człowiek, ale prosty wieśniak, któremu wpajano, że krytyczne wypowiedzi o jego ojczyźnie szkodzą całemu narodowi, więc jako dobry Niemiec powinien o tym zameldować dalej.

Tylko nadzorcy Jabsowi, który w każdej sytuacji okazywał wyjątkową nienawiść do Polaków, nie podarowano. Polacy rozliczyli się z nim bez pomocy Amerykanów. Zaraz w pierwszych dniach po wyzwoleniu wybrano trzech młodych ludzi z sąsiednich miejscowości, którzy spuścili mu solidne lanie, ale krzywdy mu też nie wyrządzili.

Trzeciego maja 1945 r. wyruszamy transportem do Polski, ale po kilku dniach wyladowują nas w obozie nr 4 w Gebhardshagen, u podnóża gór Harzu. Ten bardzo duży obóz graniczył z wsią i był ogrodzony wysoką siatką. W rzeczywistości zostaliśmy tu zamknięci z zakazem oddalania się poza jego teren po godzinie 22. Otrzymywaliśmy prowiant oraz obiady z prowadzonej przez Niemców kuchni. No i była tam wreszcie łaźnia, w której można się było wykąpać i zrobić pranie. Obóz posiadał własną administrację i własne służby porządkowe. Zorganizowano szkołę dla najmłodszych, odbywały się odczyty i akademie, także międzyobozowe. Udzielono także kilka ślubów.

Nie było jednak żadnej pomocy lekarskiej ani odżywek dla osłabionych osób. W punkcie sanitarnym urzędował stary niemiecki felczer, ale nie posiadał lekarstw. Na moje otwierające się na podudziach wrzody miał tylko zasypkę.

Dopiero jesienią zaistniała możliwość powrotu do kraju. Był to pierwszy transport zabierający rodziny. Jechaliśmy etapami, zawsze z kilkudniową przerwą. Najpierw były to baraki w Wattenstedt, potem duże koszary w Lüneburgu.

Wreszcie długo oczekiwana granica. Biało-czerwony szlaban, niewielki baraczek z polską flagą, a przy nim nasz polski żołnierz, w rogatywce i z owijaczmi na nogach. Taki prawdziwie swój! I naraz rozległ się z wszystkich ciężarówek jeden wielki, głośny, spazmatyczny płacz, szczególnie męskich głosów. Ci twardzi mężczyźni «ryczeli» jak dzieci. A co dopiero mówić o nas. Było to tak mocne przeżycie, że i dzisiaj nie mogę o tym ani mówić, ani spokojnie pisać.

Następny przystanek to już Szczecin. Śpimy w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym na podłodze zasłanej brudną słomą. Otrzymujemy po dużej paczce herbatników oraz dowód rejestracji powrotu do Polski. Dla mnie jest to nr 12845 z dnia 24.11.1945 r. i jest to jedyny dokument, który poświadcza mój pobyt w Niemczech.

Nie mamy dokąd wracać, zabrano nam wszystko, nie tylko 6 lat życia, ale cały dorobek rodziców. Wracamy do pustki!"

Oto fragment pieśni robotników, przymusowo wywiezionych do Niemiec w latach 1939–1945 (z obozu pracy nr 4 w Gebhardshagen).

- I. Nasze baraki są w Gebhardshagen,
My oznaczeni literą P.
- II. Dali nam sztuby, a w sztubach czarno,
Łóżka piętrowe dali nam też,
Twarde poduszki, wypchane słomą
I brudne koce. Pod nimi leż.
- III. Na obiad dają trochę polewki
I same zlewki podają nam.
My nic nie wiemy i wszystko zjemy,
Kiedyś w przyszłości oddamy wam!
- IV. Rozpacz ogarnia człowieka tutaj
Kiedy o piątej rano ma wstać.
Wachman przychodzi i do drzwi wali
I woła – aufstehen! I trzeba wstać.
- V. Z wielką niechęcią zaraz wstajemy
I do roboty spieszymy wraz.
Po wielkich błotach tu się człapiemy,
A każdy zdążyć musi na czas.
- VI. Poznasz człowieku, co to jest wojna
Ciągłe na okna papiery lep.
Wali im Anglia bomby na głowy,
A my do schronu musimy wiać.

PS

W styczniu 1981 r. pani Antonia Abramiuk skorzystała z zapisów ustawy umożliwiającej jej przejście na wcześniejszą emeryturę. Nie jest ona wyso-ka, ponieważ „wypracowanie wyższej uniemożliwił mi mój stan zdrowia” – opowiada pani Antonina. „Jestem inwalidką I grupy. Z trudem więc wystarcza mi na zaspokojenie potrzeb życiowych i na zakup leków.

Po moim wystąpieniu o rentę wojenną bardzo młoda i wytworna pani lekarz orzecznik ZUS w Szczecinie podczas komisji lekarskiej potraktowała mnie tak wyniośle, i tak bardzo mnie upokorzyła, że po wyjściu od niej mu-

siałam sięgnąć po Relanium, co robię bardzo rzadko. Natomiast inna lekarz orzecznik, ignorując opinię kilku specjalistów (stwierdzających u mnie m.in. syndrom KZ), w swej opinii dla Sądu Rejonowego napisała, że – wprawdzie te dolegliwości są u mnie widoczne, ale nie przeszkodziły mi w życiu i ukończeniu studiów. Chciałoby się odpowiedzieć – ależ przeszkodziły, i to bardzo. Nie pozwoliły bowiem wykorzystać w pełni wrodzonych zdolności, ponieważ przez całe życie, oprócz dolegliwości kręgosłupa, zmagam się z nerwicą i innymi urazami, jak np. poczucie mniejszej wartości, zaburzenia równowagi itp. A to w pracy bardzo mi przeszkadzało. Natomiast pani sędzia Sądu Apelacyjnego powiedziała mi cynicznie: «wiemy, że pani ma te dolegliwości, ale była pani za krótko w obozie» (mam uznane 2 m-ce pobytu w obozie karnym – Lager 21.). Odczułam to jak policzek. Wyraziła się w ten sposób osoba, która wojnę i obozy zna tylko z tego, co ewentualnie przeczytała. Jeśli jej się w ogóle chciało coś na ten temat czytać, bo przecież są to nudne sprawy. Dobrze, że ta pani nie jest decydem w żyjącym w tamtych, złych czasach, bo być może dołożyłaby mi o kilkanaście miesięcy więcej.

Przykłady te przytoczyłam nie dlatego, aby się żalić, bo to mi nic nie da, ale żeby uzmysłowić decydom, jak nieludzkie podejmują decyzje. Zadaję również pytanie: czy mogę mieć większą pretensję do niemieckiego wieśniaka Hoppego, który był moim wrogiem, czy do wykształconej osoby, która w ten cyniczny sposób potraktowała swoją schorowaną rodaczkę?

W stosunku do Niemców nie mam ani urazy, ani nie odczuwam do nich nienawiści, jak zresztą do żadnej innej narodowości. Nigdy jej nie odczuwałam, nawet zaraz po wojnie. Starłam się wiele zrozumieć. Zawsze w moich osądach starałam się być rozsądna i sprawiedliwa. Uważam, że w każdym kraju i wśród każdej nacji są ludzie dobrzy i źli. Mam wśród Niemców przyjaciół, których ogromnie cenię.

Staram się nie wracać do przeszłości i nie myśleć o niej, ale niewielki mam wpływ na to, co tkwi w mojej podświadomości. A sprawy te mimo wszystko tkwią bardzo głęboko i co jakiś czas dają o sobie znać. Pisanie tych wspomnień potraktowałam więc także jako swego rodzaju oczyszczenie”.

Zebrał i opracował: Jan Chrusliński

Jan Chruśliński (ur. 11.03.1937 r. w Busku-Zdroju). Absolwent Oficerskiej Szkoły Inżynieryjnej we Wrocławiu. Ukończył studia na Wydziale Historycznym w Wojskowej Akademii Politycznej w Warszawie zwieńczone pracą magisterską na temat: *Emigracja sezonowa z województwa kieleckiego do Niemiec w latach 1926–1931*, oraz studia podyplomowe z obrony cywilnej w Moskwie. Służbę wojskową pełnił na różnych stanowiskach w 12. pułku drogowo-eksploatacyjnym w Modlinie Twierdzy, później w Głównym Kwatermistrzostwie WP i Centrum Doskonalenia Obrony Cywilnej w Warszawie. Pułkownik WP. 31 maja 1996 r., po czterdziestu latach służby przeszedł w stan spoczynku. W tym samym roku rozpoczął pracę w ARiMR w Warszawie. W 2009 r., po 52 latach służby i pracy, mając 72 lata, odszedł ostatecznie na emeryturę. Jest działaczem Warszawskiego Klubu Przyjaciół Ziemi Kieleckiej w Warszawie. Publikuje w piśmie „Świętokrzyskie – Środowisko – Dziedzictwo kulturowe – Edukacja regionalna” oraz w „Buskim Kwartalniku Edukacyjnym” artykuły o tematyce historycznej. Autor czterech książek: *Rozstania i powroty* (2009), *Tak było... wspomnienia oficera wojsk drogowych* (2010), *Życie wpisane w historię* (2012) i *Starość zaczęła się wczoraj...* (2013).

LECH CHYBOWSKI

Zamiast uczyć się historii, jesteśmy w nią zapatrzeni

Co kryje się dla mnie – siedemdziesięciolatka – pod sformułowaniem stosunki polsko-niemieckie?

Wiele i zarazem niewiele. I bardzo subiektywnie. Bo to oczywiście *Krzyżacy* Sienkiewicza i Kraszewskiego oraz strajk dzieci we Wrześni, to wóz Drzymały i germanizacja prowadzona przez Bismarcka, *Rota* Konopnickiej, ale i *Faust* Goethego oraz wiersze Heinego, *Czarodziejska góra* i *Buddenbrookowie* Manna (których mogę czytać „na okrągło”). Czyli literatura i lekcje historii.

Bo co może powiedzieć o dziejach stosunków polsko-niemieckich Polak urodzony w Warszawie w 1943 r., ale wywieziony z miasta na okres powstania warszawskiego?

Polak, z którego bliskiej rodziny nikt nie zginął w obozie koncentracyjnym lub na wojnie, który mając około 10 lat, dowiedział się o udziale stryja w powstaniu warszawskim, o okropnościach obozowych i o tym, że ciotka, najmłodsza siostra matki, przeżyła Ravensbrück?

Polak, którego babcia ze strony ojca była luteranką i nosiła po mężu nazwisko Oltze, a prababcia nazywała się Berta Retzlaff?

Polak, który pierwszy kontakt z językiem niemieckim miał dopiero podczas lektoratu na studiach polonistycznych, dla którego ruiny domów i ślady po kulach na warszawskich kamienicach były czymś oczywistym, który do dziś uważa, że popełniono ogromny błąd, rozbierając wstrząsająco piękne ruiny zbombardowanego domu u zbiegu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej (na których kilkakrotnie podczas 1 Maja wywieszano słynny plakat Tadeusza Trepkowskiego „Nigdy więcej wojny”). Gdyby je pozostawiono, Warszawa miałaby najpiękniejszy w świecie antywojenny pomnik...

W moim rodzinnym domu podczas częstych spotkań starsi mówili o wojnie rzadko, o bestialstwie żołnierzy hitlerowskich i sowieckich nigdy. Być może chcieli wymazać wojnę i jej okrucieństwo jak najszybciej z pamięci.

Czy dziwić więc może, że Niemcy bardzo mnie denerwowali, подростка, ale wtedy, gdy nasi kolarze nie mogli wygrać z Gustawem Schurem podczas Wyścigu Pokoju? Ale denerwowałem się też, bo trudno było pokonać kolarzy radzieckich.

Gdy kanclerz Willy Brandt klękał pod pomnikiem Bohaterów Getta, koledzy z działu zagranicznego „Głosu Pracy”, w którym wtedy pracowałem, mówili, że jego gest przeznaczony był dla Niemców, niewiele mnie to obchodziło. Gdy biskupi polscy wybaczały niemieckim i „cały kraj” był tym oburzony – było podobnie. Być może w tym czasie „odkrywałem” mazurskie powieści Ernsta Wiecherta...

Pierwszy raz pojechałem do Berlina – *Hauptstadt der DDR* w 1972 r. z wycieczką redakcyjną. Interesowały nas – byłem z żoną – dobrze zaopatrzone sklepy, podobała się aleja Unter den Linden, zaciekała panorama z wieży telewizyjnej, bo można było popatrzeć na Berlin Zachodni, zafascynował w jednym z przejść podziemnych automat, który za drobną opłatą... perfumował ludzi, zdumiał ołtarz i inne eksponaty w muzeum pergamońskim.

Dwa lub trzy lata później byłem u kolegów z „Tribüne” (bo tak się chyba nazywała ich związkowa gazeta) na tzw. wymianie. Obejrzałem dokładnie Lipsk (z uwagi na Bacha i fabrykę biurowców, które wtedy od Niemców kupowaliśmy), Weimar i Poczdam. Akwarele z widokami Sanssouci leżą gdzieś w szufladach do tej pory. Córeczce przywoziłem obiecane brązowe misia (herb Berlina), żonie jakiś sweterek.

W międzyczasie (używam tego germanizmu świadomie) dowiedziałem się, iż moi teściowie (ona z Kalisza, on z warszawskiej Pragi) poznali się na robotach w Bremie, gdzie on pracował w fabryce zbrojeniowej Francke Werke AG, a teściowa w Blumenthal. Gdy opowiadali, jak tam było, nie wyczuwałem w ich głosie nienawiści. Teść nigdy nie chwalił się, że „kilkusobowa grupa Polaków, w skład której wchodził, zatrudniona przy produkcji pocisków, dokonywała ciągłych sabotaży” – jak napisał w oświadczeniu jakiś jego obozowy kolega. Oświadczenie to znalazłem w papierach po teściu, dokumentujących pracę i pobyt w obozie. Jest tam m.in. *ausweis*, legitymacja z odciskiem kciuka wydana przez „komendanta obozu wysiedleńców polskich” Blumenthal-Bremen w grudniu 1945 r., a nawet karta jego badań stomatologicznych z 15 grudnia 1944 r. wydana przez Allgemeine Orstkranken-kasse der Hansestadt Bremen, Sandstrasse 10/12. I jak tu nie mówić o niemieckiej skrupulatności.

Po latach, gdy teść już nie żył, głośno było o odszkodowaniach wypłacanych przez Polsko-Niemieckie Pojednanie. Teczka z papierami bardzo by się wtedy przydała. Ale czy mogliśmy kogoś winić za to, że te odszkodowania przyszły za późno, że teść i większość jego kolegów nie żyli... Teściowa jakies pieniądze dostała.

Niemal w tym samym czasie dowiedziałem się, iż moja mama przechowywa listy kolegi, który trafił do obozu jenieckiego w 1939 r. Po pewnym czasie mama pokazała mi, chyba z pewnym zażenowaniem, tę korespondencję. Pierwsza była kartka, nadana 6 sierpnia 1941 r. „Może zdecydujesz się od czasu do czasu na wymianę myśli z człowiekiem, któremu tego b. brak”. Dopiero wtedy odczułem smutny wydźwięk piosenki, którą śpiewała Sława Przybylska, bodaj w „Pożegnaniach”. *Kriegsgefangenenpost* (jak przygotowana była ta machina wojenna, skoro pomyślano nawet o specjalnych blankietach listowych). Jeniec 209/8 z oflagu II E-K Neubrandenburg. Potem kolejne listy z 10 września 1941 r. („... świat zamknął swe podwoje jedynie dla nas, u Was wszystko płynie bodaj normalnym torem”), z 6 lutego i 16 kwietnia 1942 r. Nadawca był chyba kimś więcej niż tylko kolegą, ponieważ w tych listach strofuje mamę, bardzo delikatnie zresztą, iż nie powiadomiła go o swoim ślubie.

W roku 1986 zobaczyłem mur berliński od „tamtej” strony. Kuzyn (z rodziny brata mojej babki), młodszy o prawie 20 lat, wyjechał z żoną i bodaj pięcioletnim synkiem, przez Szwecję, do Berlina Zachodniego. Gdy pojechałem do nich, mieli już kwaterekowe mieszkanie w nowym domu przy Dessauerstr., oboje pracowali – ona w drogerii Rossmanna, on w drukarni, zaczęli zwiedzać nie tylko Niemcy. Wrażenia? No, gmach Reichstagu, Brama Brandenburska, gdzie Kennedy oznajmił „Ich bin ein Berliner”, muzeum przy Checkpoint Charlie, Tiergarten, kolumna Zwycięstwa, pustynia na miejscu Potsdamer Platz, niektóre ulice Kreuzbergu zaniedbane tak samo, jak nasze praskie, stada Polaków sprzedające masło i co się tylko dało na pchlim targu, pałac Charlottenburg z obrazami mojego ulubionego Caspara Dawida Friedricha (nie wiem, jak to zrobiłem, ale wszedłem tam, nie płacąc za bilet), książki Szczypiorskiego na wystawach kilku księgarni i Kudamm, właściwie odpychający swym blichtrzem.

Dwa lata później pojechałem do Berlina z dorastającą córką. Największe wrażenie wywarł na niej Stadion Olimpijski, okolice Wannsee i... tureckie budki z kebabami. Ot, różnica pokoleń... Kuzyn namawiał córkę, by po maturze studiowała na uniwersytecie w Berlinie Zachodnim, oferując lokum i utrzymanie, ale dziecko postąpiło inaczej.

Ostatni raz byliśmy w Berlinie z żoną w 2009 r. Kuzyn „pochwalił się” zupełnie nowym dworcem kolejowym, nowoczesnym centrum w okolicach

Potsdamer Platz i muzeum żydowskim, no i swoim, już niekwaterunkowym, mieszkaniem w spokojnej dzielnicy przy Suchlandstr. Syn pisze doktorat o historii Bundesratu, mieszka osobno. Dodam, iż mimo tylu lat mieszkania w Niemczech kuzyn ma polski dowód osobisty.

Może jeszcze wypada dodać, że interesuje mnie, jak sobie radzi nasza „trójca” w Borussii Dortmund, co nie oznacza, bym kibicował temu klubowi. Jak zresztą jakimkolwiek innemu. Zawsze jednak chcę, by wygrywali Niemcy, choćby ze względu na Klosego i Podolskiego. Oczywiście nie wtedy, gdy grają z Polską.

Ot i całe moje „stosunki polsko-niemieckie”.

Jak widać, nie wysłałem z mlekiem matki ani nienawiści do Niemców, ani germanofilstwa. Mówiono mi – w domu, w szkole, na studiach – jak trudna była historia naszych wzajemnych kontaktów, ile było w niej nienawiści i bestialstwa, ile błędów z obu stron. Ale nikt i nigdy nie powiedział mi, że mam nienawidzić „tego, co za Odrą”, bo muszę odpłacić Niemcom za krzywdy wyrządzane nam przez wieki. Miałem – widać – sensownych nauczycieli historii. Albo takich, którzy uważali, że to, „co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr”.

Zdaję sobie sprawę z tego, iż te zdania mogą bulwersować wielu. Szczególnie tych, którzy uważają, iż trzeba wznowić sprawę niemieckich odszkodowań dla Polski, zakazać Niemcom kupowania ziemi na Pomorzu, Warmii i Mazurach, wytoczyć proces Erice Steinbach itd. Muszę więc w tym miejscu zaznaczyć, że to, co robi ta pani, też mi się nie podoba. Jestem jednak zdania, że nie po to staramy się uczyć młodych historii, by „sterować” ich uczuciami, szczególnie w stosunku do sąsiadów, ze wszystkich zresztą stron. Jak od wieków powtarzano – *historia est magistra vitae*; życia, nie zaś nienawiści i żądzy odwetu.

Niestety, nie potrafimy z naszej historii wysnuwać wniosków, nauk i racji, które mogą być nam przydatne w przyszłości. Od dawna zamiast uczyć się historii, jesteśmy w nią zapatrzeni.

Lech Chybowski – urodzony w Warszawie w 1943 r., od 14 lat mieszka w Puławsku. Absolwent Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, po studiach rozpoczął pracę w dziennikarstwie. Długoletni dziennikarz prasowy („Głos Pracy”, „Rzeczpospolita”) i telewizyjny (Dziennik Telewizyjny, Panorama Dnia, Panorama). Laureat nagrody ministra za publikacje o łączności. Na emeryturze współpracuje z „Puławską Gazetą Powiatową”, w której zamieszcza cotygodniowe felietony oraz redaguje comiesięczny dodatek – Puławski Notatnik Kulturalny. Współautor publikacji książkowych i albumów: *Puszcza Biała – przyroda, krajobraz, historia, Puławsk – kocham to miasto, Powiat puławski – 101 obrazów, Puszcza Zielona – przyroda, folklor, historia, Puławski album wspomnień tom I, 13 puław piechoty, wpisani w puławski krajobraz*. Współtworzy życie kulturalne Puławska, współpracując z Biblioteką Publiczną im. Lelewela oraz Miejskim Centrum Kultury i Sztuki. Wieloletni juror konkursu poetyckiego im. Wiktora Gomułickiego „O laur błękitnej Narwi”. Członek Puławskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, puławskiego koła Związku Piłsudczyków RP oraz sekretarz Puławskiego Klubu Wodniaków. Zapalony bibliofil, kolekcjoner rzeźb ludowych. Nadal zadziwiony zmiennością świata, urokiem polskiego krajobrazu i urodą codzienności.

KAROL CZEJAREK

Wyjmuję „drzazgę” z mojej duszy

Urodziłem się 11 sierpnia 1939 r. w Berlinie na Livländische Straße 4, czyli dosłownie kilkanaście dni przed wybuchem II wojny światowej.

Ojciec mój – Roman był Ślązakiem z Zabrza, zaś moja matka – Maria, z domu Mellin, była rodowitą Niemką z okolic Hildesheim, której rodzina do dziś, w tym także moja siostra ze swoimi synami, mieszka w Ahrbergen. Tak bowiem nazywa się miejscowość, w której urodziła się i mieszkała mama.

Jeszcze przed wojną była to wieś. Dziś jest to urocze małe miasteczko (jakich wiele w całych Niemczech), leżące nad dwoma pięknymi jeziorami, otoczone polami uprawnymi i widocznymi w oddali nowoczesnymi połączeniami komunikacyjnymi.

Do Ahrbergen, do rodziny mamy, często jeździliśmy w mrocznych dniach wojny. Zwłaszcza kiedy w Berlinie zaczynało brakować żywności. Głód od tamtego czasu prześladował mnie do lat, w których sam zacząłem zarabiać na własne utrzymanie.

W Berlinie dorastałem do prawie 10 roku życia. Miałem kolegów, koleżanki, tu rozpocząłem naukę. Ukończyłem trzy klasy niemieckiej szkoły podstawowej, a gdy przyjechaliśmy do Polski w 1948 r., ojciec mój zapisał mnie od razu... do czwartej klasy (oczywiście polskiej szkoły) i podobnie uczynił z moją siostrą.

Również w Berlinie zostałem ochrzczony (przez krewnego, starszego brata mojego ojca, który był katolickim księdzem) i przyjąłem pierwszą komunię. Teraz, gdy jestem w Niemczech, odwiedzam te „święte” dla mnie miejsca, wspominając dzieciństwo i swój niemiecko-polski los. I jak to za-

zwyczaj „historia kołem się toczy” – obecnie mieszka tu moja córka z mężem, tu urodził się mój pierwszy wnuk – Jonasz. Wnuczka Natalia, która jest starsza od niego, urodziła się w Warszawie. Ale jaka to w sumie różnica, kto gdzie się urodził? O wszystkim i tak potem decyduje wychowanie i umocniona przez rodziców świadomość dorastającego dziecka, a potem samodzielna jego decyzja, kim tak naprawdę chce zostać. Stałem wiele lat temu przed podobnym problemem. Choć urodziłem się w Berlinie, zawsze chciałem być Polakiem i tak się stało, mimo że moja mama (po śmierci ojca) wróciła w swoje rodzinne strony i ponownie stała się obywatelką Niemiec. Nie podążyłem wówczas za jej decyzją i nigdy nie przyszło mi na myśl, aby mogło być inaczej. Moja decyzja pozostania w Polsce była absolutnie świadoma i suwerenna. Dumny jestem ze swej polskości i zadowolony z tego, co w Polsce osiągnąłem. Ale po kolei.

Kim był mój śp. ojciec i dlaczego „ciągnął” do Polski?

Na pewno duży wpływ na to miało jego miejsce urodzenia – Zabrze; w roku 1913 (kiedy się urodził) jeszcze tak się nazywało, choć było pruskim miastem z silnymi przez wieki śladami polskości, które dopiero w 1915 r. zostało przemianowane na Hindenburg. Ale wielu Ślązaków nadal walczyło m.in. poprzez XX-wieczne trzy powstania śląskie – o przynależność całego Górnego Śląska do Polski.

Mój ojciec, a jeszcze wcześniej dziadek, należeli właśnie do tych Ślązaków, którzy czuli się Polakami. Lecz referendum i przegrane powstania (w których dziadek brał czynny udział) zdecydowały, że Górny Śląsk, a więc i Hindenburg, pozostały (mimo powstania po I wojnie światowej państwa polskiego) do roku 1945 – „niemieckie”.

Wspominam o tym dlatego, gdyż „polskość” miałem właśnie po ojcu i dziadku „we krwi” i tak już pozostało, choć matka moja po śmierci ojca w roku 1953 wróciła do Niemiec (zmarła w 2001 r.).

Ojciec – tak jak jego brat – miał zostać księdzem, ale zdjął sutannę i udał się... w poszukiwaniu wiedzy i pracy do Reichu, jak na Śląsku do dzisiaj mówi się o Niemczech. Ukończył renomowane studia (m.in. w Niemczech, we Włoszech i we Francji), znał wiele języków obcych. Z wykształcenia był germanistą (i w tym zakresie podążyłem jego śladem!) i jeszcze przed wojną dostał pracę jako docent na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie. Pracując tam, włączył się aktywnie w działalność Związku Polaków w Niemczech, który władze III Rzeszy w 1938 r. rozwiązały. Za tę działalność (uznaną za antyniemiecką) zwolniono go i skierowano karnie do pracy w kopalni

w Giesen, do niewielkiej miejscowości leżącej w pobliżu Hildesheim. Właśnie tu wysiadł na dworcu i zapytał moją mamę o drogę. Ona, jako córka piekarza – cukiernika, akurat w tym dniu sprzedawała na dworcu pieczywo i słodycze. W ten sposób poznał swoją przyszłą żonę, która zawiozła go swoim samochodem na nowe miejsce pobytu. Widocznie los tak chciał, bo wkrótce potem pobrali się i wyjechali do Berlina, zapewne również dzięki staraniom ojca mojej mamy. „Niemieckiego” dziadka nie zapamiętałem, gdyż zmarł w 1941 r., gdy ja miałem niecałe dwa lata.

Tragiczne lata wojny zastały nas w Berlinie. Ojciec był na froncie, a matka – bez pracy i z dwójką dzieci – szukała „ratunku” na plebanii u naszego krewnego księdza w okolicy Varnsdorf (na terenie dzisiejszych Czech). Tuż przed wkroczeniem tam Rosjan uciekliśmy na Śląsk, do naszego „polskiego” dziadka, sądząc, że tam będzie bezpiecznie. Niestety – nie było!

Tym razem zostaliśmy wypędzeni przez wojsko radzieckie! Z całym „dobytkiem” na małym wózku szedłem z mamą i czteroletnią siostrą do Berlina. Pieszko! Przeżyliśmy gehennę, żyjąc z tego, co różni dobrzy ludzie po drodze dawali nam do jedzenia, czasami pozwalając u siebie przenocować. Rok 1945 był i pozostanie dla mnie rokiem nędzy i głodu. Jakimś cudem dotarliśmy do Berlina (wiem, że także z pomocą pewnego rosyjskiego oficera, którego jak przez mgłę odtwarzam w swojej pamięci).

Nasze berlińskie mieszkanie, na szczęście, nadawało się (po odgruzowaniu) do zamieszkania. Ale do jedzenia dalej było tyle, co „kot napłakał”. Dwie kromki suchego chleba z marmoladą na dzień, czasami jakaś zupa na ulicy, a kawałek mięsa tylko w niedzielę. Znaleziony gdzieś kartofel był niemałym rarytasem.

Po powrocie z angielskiej niewoli w roku 1946 ojciec mój rozpoczął pracę w Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie. Mnie zapisał do szkoły polskiej działającej przy „Misji” (w której uczyłem się popołudniami) i równolegle do niemieckiej, do której uczęszczałem rano. Znajdowała się ona w pobliżu naszego miejsca zamieszkania w dzielnicy Wilmersdorf. I gdy zaczęło nam się już „w miarę” powodzić, w roku 1948 ojciec zdecydował się wyjechać z całą rodziną do Polski!

Rodzinny dramat zaczął się w Szczecinie...

do którego przyjechaliśmy towarowym transportem, nadal mieszkając przez jakiś czas w wagonie, na bocznicym dworcu Szczecin-Turzyn. Ale wkrótce dostaliśmy (jako repatrianci) dwupokojowe mieszkanie. Ojciec miał nadzieję na pracę, jak mu to zresztą w Misji Wojskowej obiecywano, na mającym już wtedy powstać Uniwersytecie Szczecińskim. Ale uniwersytet nie powstał, ojciec do partii nie wstąpił, więc jako repatriant... z Niemiec,

w dodatku z żoną Niemką i z dziećmi, wtedy jeszcze niemówiącymi dobrze po polsku, błąkał się po różnych instytucjach, pracując na podrzędnych stanowiskach, najpierw w Urzędzie Morskim, potem w Zakładzie Doskonalenia Rzemiosła, a skończył w Szczecińskim Zarządzie Aptek (żadnej innej pracy odpowiadającej jego kwalifikacjom i ambicjom naukowym, mimo starań, wówczas nie otrzymał, choć w Szczecinie działały już inne wyższe uczelnie). Nawet w szkole odmówiono mu pracy na stanowisku zwykłego nauczyciela. Takie to były czasy, dziś określane jako stalinowskie, pełne nienawiści do wszystkiego, co „niemieckie”!

Rodzice bardzo ciężko przeżywali ten czas. Moim zdaniem, ojciec był poniewierany z powodów politycznych, a także za to, że będąc katolikiem, dorabiał jako organista w kościele, w którym i ja służyłem do mszy. Z księdzem proboszczem tej parafii (Ślązakiem z Rybnika) ojciec przyjaźnił się przez wiele lat. Nigdy nie słyszałem, aby skarżył się na swój los, jak również, że żałuje swojej decyzji o powrocie do Polski.

A mógł przecież z mamą udać się w jej rodzinne strony; jej bracia – jak wiem – namawiali go do tego i mama osobiście też. Ale on był niezłomny w swoim postanowieniu. Wszystkie kłopoty określał jako przejściowe. Stale natomiast podkreślał, że „Polska jest matką naszą, a o matce nie mówi się źle”. I ja tę prawdę Polaków, stworzoną na obczyźnie z jego udziałem – przyjąłem za „swoją”.

W listopadzie 1953 r. niespodziewanie, po krótkim pobycie w szpitalu, tata zmarł. A my zostaliśmy już tylko na łasce losu (ojciec był jedynym żywicielem rodziny, a mama przez wiele miesięcy pozostawała bez pracy). I znowu nastąpiły dla nas dni „chłodu i głodu”. Brakowało na jedzenie, na opał, na ubrania, na podręczniki szkolne, dosłownie – na wszystko. W dodatku były to akurat najgorsze w Polsce lata, nie tylko biedy gospodarczej, ale i represji, także wrogości wobec Niemców; w każdym razie źle nam się wtedy żyło, a mama ledwie wiązała koniec z końcem.

Wtedy pomagali nam przeżyć inni repatrianci z Berlina, dawni znajomi i koledzy ojca z urzędów, w których pracował. Również wspomniany wcześniej nieoceniony ksiądz proboszcz Franciszek Kotuła. Drugim człowiekiem, który nam wtedy pomagał, był najbliższy przyjaciel ojca, który też przyjechał z żoną z Berlina do Szczecina – Franciszek Welter (do Welterów chodziło się w niedzielę na obiady i było zapraszany na każde święta, po czym wracało się do domu „z wałówką” na cały tydzień). A ksiądz Kotuła zabierał mnie jako ministranta na... pogrzeby, wesela, „po kolędzie” i zawsze z wykonywania tych czynności uzbierało się trochę grosza. Po długich staraniach mama dostała pracę w aptece jako fasowaczka lekarstw.

Chcąc pomóc matce, która jako pracownica fizyczna (wtedy jeszcze sortowało się wszystkie leki ręcznie) zarabiała niewiele, najmowałem się „popołudniami” do różnych prac. Handlowałem na rynku owocami i warzywami z naszej działki, pomagałem w odrabianiu lekcji młodszym od siebie, cyklinowałem wiórkami podłogi, zrywałem ludziom owoce z drzew, jeździłem na Śląsk do pracy u dalszej rodziny. A wszystko po to, aby dorobić do skromnych zarobków mamy, mieć na książki do szkoły, ubrania i buty. Na szczęście spotkałem w tamtych latach wielu życzliwych ludzi: rodzinę Wików, Krajczewskich, Kowalskich, Stattlerów, Steblów, Magierów, Imiołczyków, Gałęckich, Polaków i jeszcze wielu innych.

Niestety nie pomógł nam wtedy brat ojca, który miał nadal swoją parafię w Varnsdorf zanim wyemigrował do Niemiec. Nie pomagała nam też rodzina matki przebywająca w Niemczech, która uważała ją za zdrażczynię, bo wyszła za Polaka i z Berlina wyjechała po wojnie do Polski zamiast wrócić w rodzinne strony. Ale – jak to się mówi – było, minęło!

Matura i pierwsza praca

W roku 1956 zdałem maturę i próbowałem dostać się na Wojskową Akademię Techniczną w Warszawie, na którą jednak mimo zdanego egzaminu wstępnego nie zostałem przyjęty, bo „miałem rodzinę na Zachodzie”. Wróciłem zatem do Szczecina i od 1 września rozpocząłem pracę jako praktykant w księgarni Domu Książki „Klubowa”. Po kilku latach zostałem jej kierownikiem. „Po drodze” była jeszcze obowiązkowa służba wojskowa (w latach 1959–1961), którą chciałem odbyć, bo sądziłem, że jako dobrze zapowiadający się kolarz dostanę dobre warunki do trenowania (marzyłem o Legii – wtedy CWKS Warszawa, a przynajmniej o OWKS – Okręgowym Wojskowym Klubie Wojskowym w Bydgoszczy). Ale niestety, znów moje pochodzenie (mimo liczących się sukcesów sportowych), nie pozwoliło na to.

Służbę wojskową odbyłem w normalnej jednostce liniowej, a kolarstwo uprawiałem w czasie wolnym, czyli „po służbie”. Ale nie skarżę się, ponieważ były to lata moich największych kolarskich sukcesów (z których do dziś jestem bardzo dumny). Zanim o nich opowiem, chcę przedstawić, jak wyglądał powrót mojej mamy i siostry do Niemiec w roku 1957, bo było to szczególnie ważne wydarzenie w moim życiu.

Powrót matki do Niemiec

Widząc rozpacz matki, zacząłem sprzyjać jej myśleniu o wyjeździe „w odwiedziny” do najstarszego brata, do Ahrbergen. Po długich staraniach

dostała paszport i pojechała; gwarancją, że wróci, byłem ja, który pozostał w Szczecinie.

Mama z siostrą wyjechały na trzy miesiące, ale jej bracia (jeden rodzony i dwóch przyrodnych) przekonali ją, by pozostała w Niemczech. Ona sama liczyła na to, że po jakimś czasie ściągnie mnie do siebie w ramach realnej wówczas możliwości łączenia rodzin. Na pewno w Niemczech odnalazła spokój (nikt już nie wyzywał jej od szwabek, co w Polsce zdarzało się nagminnie). Wkrótce znalazła pracę i wyszła ponownie za mąż za kolegę, którego ona – jak się okazało – była pierwszą miłością jeszcze ze szkoły (on od tamtego czasu pozostawał kawalerem).

Także moja siostra wyszła za mąż, zamieszkała w Ahrbergen i urodziła dwóch synów.

Ja, mimo nalegań matki, jej rodziny i mojej siostry – nie wyjechałem do Niemiec. Podjąłem studia germanistyczne, zostałem kierownikiem księgarni, byłem znanym „szczecińskim” kolarzem na torze i szosie. Początkowo było jednak bardzo ciężko. Odebrano mi mieszkanie po rodzicach i zamieszkałem u sąsiadów, u niezapomnianych Państwa Stanisława i Heleny Polaków, którzy się mną zaopiekowali jak synem. Wówczas ożeniłem się, z którego to związku urodził się syn Roman (dziś znany dziennikarz radiowy). Moja kariera sportowa i zawodowa potoczyła się wartko i nawet nie spostrzegłem, jak minęło 13 lat, od kiedy nie widziałem matki i siostry, pozostając z nimi tylko w kontakcie listownym.

W 1967 r. zakochałem się i po raz drugi ożeniłem z Magdaleną, z którą w szczęśliwym związku od ponad 40 lat pozostaję do dziś. Mamy dwoje dzieci – Anię, która jest historykiem sztuki, i Huberta, który ukończył Katedrę Języków Specjalistycznych na Uniwersytecie Warszawskim. Ania mieszka z mężem – Polakiem w Berlinie (mają dwójkę dzieci, o których już wspomniałem); Hubert pracuje jako nauczyciel języka niemieckiego oraz prowadzi szkołę językową. Ma też dwójkę dzieci (Bartosza i Anię), a jego żona Dorota jest moją ulubioną synową.

Spotkanie po latach

Muszę przedtem jednak wspomnieć, że od czasu, gdy matka z siostrą pozostały w RFN, wszelkie moje starania o paszport na wyjazd „w odwiedziny” kończyły się niepowodzeniem. Paszportu nie dostałem nawet na wyścig kolarski do Riesa w NRD, choć tam były już wydrukowane plakaty anonsujące mój (jako znanego kolarza) udział w zawodach.

W roku 1969 zadzwoniła do mnie z Niemiec siostra i powiedziała: „nasza mama umiera, a ty jeśli masz serce, przyjeźdź!” i odłożyła słuchawkę. Mama była rzeczywiście w tym czasie chora, jak się później dowiedziałem od opiekującego się nią lekarza.

Byłem wtedy dyrektorem Wydziału Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Szczecinie, więc na wysokim w województwie stanowisku, we władzach administracyjnych. Złożyłem – zgodnie z procedurą – wniosek o paszport, ale go nie otrzymałem (bez podania przyczyny).

Zdenerwowany odwołałem się do najwyższych wówczas urzędników w województwie i po niemałej awanturze – zgodę na wyjazd otrzymałem. Pojechałem na 5 dni.

Na schodach prowadzących do skromnego mieszkania matki zatrzymał mnie lekarz i powiedział, że jeśli będzie chciała wstać, nie mogę jej na to pozwolić. Ale wstała!

Nie muszę chyba opowiadać, co to była za chwila. Tego nie da się zapomnieć! Mama nagle „w cudowny” sposób ozdrowiała. Poznałem wtedy jej drugiego męża, jej braci z rodzinami, męża siostry i dzieci, a w pamięci z lat dzieciennych odżyło Ahrbergen!

Chciałbym podkreślić, że wtedy ani mama, ani jej bracia, ani moja siostra i mój szwagier, który stał się potem moim prawdziwym przyjacielem, nie wspomnieli nawet słowem, abym z nimi pozostał. Takich rozmów nie było, co świadczy o tym, że uznano mój wybór sprzed lat i uszanowali go. Byli dumni z moich osiągnięć, z ukończenia studiów, sukcesów w kolarstwie i sprawowania tak ważnych – jak to określali – funkcji w administracji państwowej. Po latach moje spotkania z rodziną w Niemczech nabrały charakteru systematycznych odwiedzin (zwłaszcza po roku 1989). My (to znaczy ja z żoną i dziećmi) jeździliśmy do nich na wakacje, święta i tak po prostu bez okazji; także oni często odwiedzali nas w Polsce.

O sukcesach w kolarstwie i pracy zawodowej...

Byłem m.in. mistrzem (juniorów) i wicemistrzem (seniorów) Polski w jeździe drużynowej na torze; wielokrotnym mistrzem Szczecina i szczecińskiego okręgu kolarskiego na torze i szosie. Wygrałem kilka bardzo poważnych wyścigów z udziałem najlepszych kolarzy Polski (wygrałem z tak znanymi wówczas kolarzami, jak m.in. – na torze: Bek, Józefowicz, Zając, Borucz, Mąkowski, a na szosie: z Pruskim, Zielińskim, którzy wygrywali etapy w Wyścigu Pokoju, Hałuszczakiem, Bednarkiem i wieloma innymi); jeździłem „wszystko”: od przełaju, po tor i szosę, a nawet ścigałem się „za motorami” – ale wtedy tak było można. Dziś zawodnicy specjalizują się w wybranych dyscyplinach. Ja byłem „głodny” zwycięstwa w każdym wyścigu, aż w końcu musiałem wybrać między sportem a nauką i pracą zawodową, gdyż pogodzić ze sobą tych wszystkich spraw nie dało się (zwłaszcza po osiągnięciu mistrzowskiego poziomu, tzw. licencji A). Zrezygnowałem więc ze sportu, a moja kariera zawodowa potoczyła się odtąd we właściwym kierunku.

W księgarni, w której zaczynałem jako „praktykant”, zostałem kierownikiem. Założyłem „Klub Bibliofilów” (pod jego nazwą organizowałem liczne wystawy, odczyty, spotkania, koncerty), awansowałem na dyrektora biura i sekretarza prezydium STK (Szczecińskiego Towarzystwa Kultury), stamtąd na dyrektora Wydziału Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Szczecinie.

Z perspektywy lat swoje „szczecińskie dokonania” oceniam pozytywnie, przede wszystkim w aspekcie m.in. odbudowy Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie, rozwoju festiwalu m.in: Współczesnego Malarstwa Polskiego, FAMA, Muzyki Organowej w Kamieniu Pomorskim, Chóralnych (w Międzyzdrojach), Krótkometrażowych Filmów Morskich. Również w zakresie rozwoju ruchu społeczno-kulturalnego w powiatach, powołania m.in. Książnicy Szczecińskiej, Muzeum, Teatru Muzycznego – Opery, jak i rozwoju bazy materialnej kultury, umocnienia znaczenia związków twórczych, rozwoju ruchu amatorskiego, powiatowych i gminnych ośrodków kultury. Działalem, by jak najszybciej przywrócić Ziemiom Odzyskanym polski charakter. Szczecińskie Towarzystwo Kultury było wtedy inicjatorem wielu imprez w skali ogólnopolskiej.

W roku 1973 zamieszkałem z żoną Magdaleną w Warszawie. „Dostaliśmy” spółdzielcze mieszkanie, tu urodziły się nasze dzieci. Podjąłem pracę jako zastępca dyrektora Centralnej Składnicy Księgarskiej, potem jako dyrektor Centralnego Ośrodka Metodyki Upowszechnienia Kultury (COMUK). Stąd awansowałem na dyrektora Departamentu Plastyki w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Gdy zaproponowano mi funkcję szefa stołecznej kultury, chętnie ją przyjąłem, zostając na ponad trzy lata dyrektorem Wydziału Kultury m.st. Warszawy. Przed zmianami politycznymi w Polsce byłem jeszcze dyrektorem Departamentu Książki i Wydawnictw w Ministerstwie Kultury i Sztuki.

Po roku 1989...

nastąpiły w Polsce głębokie zmiany społeczno-polityczne, które i mnie dotknęły. Z dnia na dzień przestałem być dyrektorem departamentu, a jedynym rzeczywistym powodem tego było niespełnienie przeze mnie żądania nowego kierownictwa resortu – natychmiastowego rozwiązania wszystkich państwowych wydawnictw (w tym takich, jak: „naukowe”, „wydawnictwa szkolne”, „lekarskie” itp.). Na to oczywiście nie mogłem przystać. Na szczęście miałem swój zawód; z wykształcenia jestem germanistą i doktorem nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa; miałem za sobą wiele przetłumaczonych książek, m.in. Georga Heyma, Güntera Kunerta, byłem autorem antologii niemieckich pisarzy wojennych, wcześniej przez kilka lat uczyłem języka niemieckiego jako lektor w Wyższej Szkole Han-

dlowej w Szczecinie oraz wykładałem w tamtejszym Studium Nauczycielskim. Pisywałem też do znanej (i czytanej) prasy: „Nowych Książek”, „Życia Literackiego”, „Literatury” i innych tytułów, w których miałem nawet swoje „stałe rubryki”, jak np. w „Głosie Szczecińskim”, „Expressie Wieczornym”, czy w „Głosie Pracy”. Dzisiaj mam taką rubrykę w „Pułtuskiej Gazecie Powiatowej”.

Nie bałem się pracy i nigdy „wysokie stanowiska” nie były moim celem (natomiast dumny jestem, że ciężką pracą doszedłem do nich), a z dokonaniań, które udało mi się zrealizować, wszystkie do dziś dobrze służą polskiej kulturze i polsko-niemieckiemu pojednaniu.

Zacząłem... od nowa

Po zwolnieniu mnie z ministerstwa znalazłem bez trudu pracę jako nauczyciel języka niemieckiego w kilku warszawskich liceach. Pracowałem też w Goethe-Institut w Warszawie, potem także w Nauczycielskim Kolegium Języka Niemieckiego Uniwersytetu Warszawskiego, po czym zatrudniono mnie w Instytucie Lingwistyki Stosowanej, w którym byłem adiunktem i kierownikiem Zakładu Kulturoznawstwa Stosowanego. W tamtym czasie, pracując w ILS, zaproponowano mi pracę w Pułtusk, w Wyższej Szkole Humanistycznej. I tak od roku 1999 coraz bardziej wiązałem się z tą uczelnią, która stała mi się bardzo bliska.

W tym czasie zacząłem tłumaczyć Hansa Hellmута Kirsta, napisałem również i wydałem m.in. *Gramatykę niemiecką Dla Ciebie* (czyli dla każdego), wydałem książkę o Kirście. Zostałem profesorem Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusk (do której to uczelni przeszedłem z Instytutu Lingwistyki Stosowanej Uniwersytetu Warszawskiego), współtworząc specjalność „Dydaktyka Języków Obcych” i powołując do życia Międzywydziałowe Centrum Badań Niemcoznawczych. W Akademii, w której pracuję do dziś, wydałem wspólnie z prof. Tomaszem Pszczołkowskim z Instytutu Germanistyki UW książkę pt. *Polska między Niemcami a Rosją*. Z Axelem Schmidtem powołaliśmy polsko-niemiecką sekcję ost-west-forum Gut Gödelitz. W Akademii Humanistycznej nadal wykładam m.in. glottodydaktykę (dydaktykę nauczania języków obcych), prowadzę seminaria magisterskie, konwersatorium języka niemieckiego oraz wykład w języku niemieckim o literaturze, kulturze i stosunkach polsko-niemieckich. Również w języku polskim – o Unii Europejskiej i globalizacji.

Byłem, jestem i pozostanę rzecznikiem współpracy polsko-niemieckiej

Im bardziej byłem z powodu swego niemieckiego pochodzenia hamowany w awansach zawodowych (i sportowych), tym bardziej angażowałem się w działania na rzecz pogłębiania współpracy Polaków z Niemcami. Także z Austrią i Szwajcarią. Robiłem to z przekonania, że tak właśnie trzeba!

W Niemczech mam dużo przyjaciół i poznałem bardzo wielu ludzi, którzy darzą Polskę i Polaków ogromnym szacunkiem i niejednokrotnie dają dowód na to, że wstydzą się swojej niechlubnej przeszłości. Moi niemieccy znajomi, koledzy i przyjaciele nadal robią wszystko, aby nasze wzajemne stosunki kształtowały się po partnersku. I wiem, że pracując tam, gdzie pracowali – na uczelniach, w szkołach, zakładach pracy – z odwagą i determinacją organizowali polsko-niemieckie „pojednanie” (choć nie lubię tego słowa, wolę pojęcie „dobrosąsiedzkiej współpracy”, na zasadach pełnego partnerstwa i obustronnych korzyści!).

Historia na szczęście sama wymierzyła po II wojnie światowej sprawiedliwość, zmusiła hitlerowskie Niemcy do bezwarunkowej kapitulacji. Nowe państwo niemieckie zdecydowanie odcięło się od haniebnego spuścizny. I konsekwentnie podąża drogą Goethego i Schillera, tych, którzy wytyczali drogę humanizmu i demokracji. Nazwali wszystkich ludzi na całym świecie, w tym i Polaków, braćmi!

I choć o „przeszłości”, o tym co się stało – zapomnieć nie wolno, nie możemy jednak młodego pokolenia Niemców obarczać winą za działania rodziców. Gdybym ja zrobił coś bardzo złego, nie mogą za to odpowiadać moje dzieci, ale powinny one znać prawdę.

Przekonała mnie o tym proza Hansa Hellmута Kirsta, którą tłumaczyłem. Także innych wybitnych pisarzy, jak m.in. Günthera Kunerta czy Anny Seghers (o której napisałem monografię). Historia Republiki Federalnej Niemiec, a wcześniej obydwu państw niemieckich, dowodzi, że Niemcy szczerze żałują tego, co się stało i po roku 1945 podjęli wszelkie działania, aby wyrzec się zła, postanawiając je naprawić.

Dziesiątki moich przyjaciół – od Axela Schmidta, przez księdza Josefa Krögera (z którym wspólnie organizowaliśmy pierwsze wymiany szkolne młodzieży polskiej i niemieckiej), przez mojego nieżyjącego już szwagra Helmuta Müllera (który organizował kontakty sportowców niemieckich z polskimi), także artystów, pisarzy, działaczy państwowych i partyjnych, dyplomatów, po setki zwykłych ludzi, których spotkałem w swoim życiu – nigdy nie spotkałem się z najmniejszą agresją, myśleniem innym, niż o realizacji idei pojednania i rzetelnej współpracy teraz i w przyszłości.

Dlatego podejmowałem osobiście wiele inicjatyw, które ten „most” polsko-niemieckiej współpracy dzisiaj stanowią. Jakie mogę na to podać przykłady? Ot, choćby prezentacje niemieckiej sztuki i twórczości przez polskie teatry, filharmonie, koncerty, wystawy i prezentacje muzealne (gdy sprawowałem funkcje kierownicze w kulturze, zarówno w Szczecinie, jak i w Warszawie, zwłaszcza na szczęblu Ministerstwa Kultury).

Również przez nauczanie języka niemieckiego w Polsce (jako nauczyciel w szkołach i jako wykładowca na wyższych uczelniach).

Popierałem też i nadal wspieram ideę współpracy miast, regionów, indywidualnych ludzi, a nade wszystko młodzieży.

Wspólnie z Axelem Schmidtem od blisko 10 lat organizujemy polsko-niemieckie konferencje naukowe. Spotkania na temat polsko-niemieckich biografii też są tego przykładem. Jak i zainicjowanie w uczelni, w której obecnie pracuję Międzywydziałowego Centrum Badań Niemcoznawczych.

Chętnie też przyjąłem na swoje barki reprezentowanie w Polsce – społecznie oczywiście – ost-west-forum Gödelitz.

Jako zwolennik Unii Europejskiej jestem przekonany, że Europa ma przyszłość tylko wtedy, gdy Polacy i Niemcy będą ją tworzyć razem, współpracować ze sobą na zasadach pełnego partnerstwa.

Boleję nad tym, że wciąż ważną rolę odgrywają stereotypy i jeszcze wiele wody upłynie, nim zafunkcjonuje normalność. Tyle, że z obranej drogi schodzić nam nie wolno. Stąd znaczenie naszych wspólnych spotkań biograficznych; powiedzenie sobie prawdy o tym, jak było, aby usunąć wszelkie przeszkody, które jeszcze nas hamują w rozwoju i tworzeniu wspólnej europejskiej przyszłości. Z pełnym, wzajemnym zaufaniem i wiarą, że innej drogi nie ma, jeżeli chcemy żyć w pokoju! Polacy i Niemcy w tym dziele mają wciąż wiele do zrobienia.

Dumny jestem z tego, że dziś właśnie tak możemy stawiać problem, dlatego kontynuujmy rozmowy biograficzne, ujawniajmy fakty, aby nie zastępowały ich stereotypy.

Cenię moją matkę – dziś już świętej pamięci – za to, że:

- nigdy nie czyniła mi wyrzutów, że nie wyjechałem razem z nią z Polski,
- uszanowała mój wybór obywatelstwa i przynależności narodowej i nigdy nie namawiała do zmiany mojej decyzji,
- z niezwykłą pokorą akceptowała swój los – w roku 1948 razem z moim ojcem przyjechała do Polski i nauczyła się języka polskiego,
- do końca swych dni pielęgnowała – przejęte od mojego ojca – polskie tradycje i zwyczaje,
- nigdy o Polsce, gdy już była z powrotem w Niemczech, nie mówiła źle,

- do ostatniej chwili swojego życia, chociaż była Niemką, miała „polską duszę”.

Za to niemiecki ksiądz katolicki, który odprawiał mszę pogrzebową, żegnając ją, ani słowem nie wspomniał o jej polskim życiorysie. Kiedy zwróciłem mu na to uwagę – zbył mnie, odpowiadając, że o tym wszyscy tu w Ahrbergen wiedzą. Miałem do niego wielki żal, więc dziś, wspominając to wydarzenie, symbolicznie wyjmuję „drzazgę” z mojej duszy, a wyjąwszy ją, więcej nie będę o tym wspominał.

Jak doszło do polsko-niemieckich spotkań biograficznych?

Powstały one na gruncie rozmów niemiecko-niemieckich; na jedną taką „rundę” zaprosił mnie Axel Schmidt. Jednak wcześniej spotykaliśmy się już w Gödelitz na innych seminariach polsko-niemieckich. Były one poświęcone m.in. współdziałaniu Polaków i Niemców w Unii Europejskiej, znaczeniu globalizmu w naszych krajach; rozmawialiśmy w gronie znawców o neoliberalizmie w Polsce i w Niemczech, o roli kultury we wzajemnym zbliżaniu, jak też na temat: „Polska między Niemcami a Rosją”.

O naszej stale rozwijającej się współpracy zdecydowało budowane latami zaufanie, jakim wzajemnie darzymy się, które jednak nie wzięło się znikąd. Na tej samej „fali” spotkały się nasze myśli i przekonanie, że świat może być lepszy i bezpieczniejszy, jeśli problemy będziemy rozwiązywać wspólnie.

Ważną rolę w naszym wzajemnym zbliżeniu odegrało bezpośrednie poznanie się naszych rodzin i to, że nasze życiowe losy były podobne. Wojna w tym samym stopniu dotknęła nas jako dzieci, bardzo boleśnie; cierpieliśmy głód i przeżyliśmy los ucieczki i wypędzenia (Axel ze wschodnich Niemiec, po utracie majątku rodzinnego, do zachodnich; ja z Zabrze do Berlina w 1945 r.).

Słowem – zbliżyły nas nasze biografie. Stąd postanowiliśmy organizować i kontynuować te spotkania, a ich efekty publikować. Niniejsza książka jest pierwszą z serii, którą zamierzamy wydać. Mam nadzieję, że powiedzie się nam.

Karol Czejarek, ur. w 1939 r. w Berlinie, doktor, profesor nadzwyczajny Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusk; przedstawiciel Forum Wschód-Zachód Gödelitz (ost-west-forum Gut Gödelitz) w Warszawie. Sekretarz Międzywydziałowego Centrum Badań Niemcoznawczych AH. Przez wiele lat wykładowca, starszy wykładowca i adiunkt w Instytucie Lingwistyki Stosowanej Uniwersytetu Warszawskiego, b. kierownik Zakładu Kulturoznawstwa Stosowanego w tym Instytucie. Tłumacz przysięgły i literacki m.in. Hansa Hellmuta Kirsta (także redaktor jego dzieł zebranych, Warszawa 1991–1995), Güntera Kunerta, Hansa Walldorfa, Christy Grasmeyer, Georga Heyma, Heine Müllera, Güntera de Bruyna; autor m.in. książek: *Anna Seghers* (Poznań 1986), *Polska między Niemcami a Rosją* (wspólnie z Tomaszem G. Pszczółkowskim, Pułtusk 2011), *Nazizm, wojna i III Rzesza w powieściach Hansa Hellmuta Kirsta* (Wrocław 2003), *Gramatyka języka niemieckiego dla ciebie* (wspólnie z Joanną Słocińską, Poznań 1999), antologii pisarzy wojennych NRD *Sonata wiosenna* (Warszawa 1981); spolszczenia (wraz z synem Hubertem) *Collins German Grammar* i *Collins German Verb Tables*; liczne artykuły i recenzje w pismach naukowych, czasopismach i prasie; przed rokiem 1990 m.in. dyrektor Wydziałów Kultury w Szczecinie i Miasta Stołecznego Warszawy; dyrektor Departamentów Plastyki oraz Książki i Bibliotek w Ministerstwie Kultury i Sztuki; dyrektor Centralnego Ośrodka metodyki Upowszechniania Kultury; studia na Uniwersytecie Poznańskim (magister filologii germańskiej, 1968), doktor nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa (Uniwersytet Szczeciński 1990); w roku 1958 i 1959 drużynowy mistrz i wicemistrz Polski na torze. Pracował również jako księgarz, kierując m.in. księgarnią „Klubową” w Szczecinie oraz będąc wicedyrektorem Centralnej Składnicy Księgarskiej w Warszawie. Założyciel Szczecińskiego Klubu Bibliofilów oraz sekretarz Szczecińskiego Towarzystwa Kultury. Członek Związku Literatów Polskich; w latach 1991–1993 pracownik Instytutu Goethego w Warszawie, a następnie nauczyciel języka niemieckiego w gimnazjach i liceach, m.in. Św. Augustyna i J.W. Goethego oraz Nauczycielskiego Kolegium Języka Niemieckiego Uniwersytetu Warszawskiego w Warszawie. Działacz społeczny, członek Komitetu Naukowego Międzynarodowej Konferencji na temat „Rozwoju demokracji i ochrony praw człowieka” organizowanej przez Sejmową Komisję Sprawiedliwości oraz Instytut Ekonomii i Administracji Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach.

DOMINIKA DEJ

W poszukiwaniu celu i sensu życia...

Urodziłam się w deszczowy, jesienny dzień w listopadzie 1979 r. Ciocia, zwana „Bocian”, położna w naszej rodzinie, pomagała w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci wszystkim dzieciom w rodzinie podczas przyjścia na świat. Niestety, nie mogła w tym dniu poinformować mojej wyczerpanej matki o narodzinach oczekiwanego chłopczyka. Zamiast tego oznajmiła o narodzinach dużej i zdrowej dziewczynki. Rozczarowanie młodej mamy minęło bardzo szybko i już wkrótce snuła ona fantazje o tym, jakimi to pięknymi sukienkami i ładnymi lalkami będzie rozpieszczała swoją córkę. Teraz brakowało tylko imienia dla nowo narodzonego dziecka. To jednak szybko się znalazło – Dominika. Do tej pory nie wiem, czy moi rodzice nazwali mnie Dominiką w nawiązaniu do słonecznej wyspy, tęskniąc za piękną pogodą w szare listopadowe dni, czy nazwali mnie tak z powodu mojego dużego wzrostu i wagi, i w związku z tym skojarzyli ze słynnym słoniem Dominikiem, którego znają wszystkie polskie dzieci... Szczerze mówiąc, ta pierwsza alternatywa wyboru imienia wydaje mi się o wiele sympatyczniejsza.

Moje dzieciństwo spędziłam na Giszowcu, zielonym i spokojnym przedmieściu Katowic, które są tętniącą życiem stolicą Śląska. Dnie spędzałam w przedszkolu oraz u dziadków w ich ogródku, gdzie stała przytulna altanka oraz ogromna huśtawka. Wokół rosły warzywa: marchewka, brukselka, buraczki i szczypiorek. Słowem – wszystko, co było potrzebne do babcinego „Eintopf”, którego serdecznie nienawidziłam, podobnie zresztą jak gotowanej przez nią zupy ogonowej. Kochałam jednak ogród dziadków. Obok huśtawki była wielka piaskownica i dużo pięknych kwiatów, którymi się zachwycalam.

Jak większość dzieci tamtych czasów, bardzo wiele godzin spędzałam z dziadkami. Uwielbiałam ich historie o starych dziejach. Niewiele opowiadali o wojnie, strachu i traumatycznych doświadczeniach, za to dużo o pięknym, późnym lecie 1939 r., pysznej wodziance, mięsie końskim, wizytach „ruskich” żołnierzy i przymusowej pracy babci w Niemczech. Wszystko to było bardzo interesujące i budziło moją ciekawość. Chciałam coraz więcej wiedzieć o przeżyciach moich dziadków, kończyli jednak swoje historie zawsze w jednym i tym samym miejscu. Na moje pytania nigdy nie uzyskałam jednoznacznej odpowiedzi. W dodatku mówili oni językiem, którego zupełnie nie rozumiałam i z ich punktu widzenia – nie powinnam była rozumieć. Niemniej jednak w mojej pamięci utrwaliły się niektóre wyrażenia, z którymi spotkałam się wiele lat później. Opowiadane po polsku historie kończyły się często obco brzmiącymi dla mnie zwrotami: „Warte mal!” (zaczekaj!), „Hör doch damit auf!” (przestań z tym!), albo „Sie ist zu klein” (ona jest za mała!). Te „tajemnice” nie podobały mi się. Przecież chciałam wiedzieć, dlaczego moja babcia jako młoda kobieta musiała jechać do Niemiec. O swojej „rodzinie gościnnej” (*Gastfamilie*) wypowiadała się bardzo pozytywnie, ale wspominała też, że zdarzało jej się dostawać klapsy. Podczas, gdy nieprzyjemne sytuacje miały miejsce dość rzadko, mniej szczęścia miały inne polskie dzieci, traktowane przez „rodziny gościnne” bardzo źle.

Interesowało mnie, dlaczego wybuchła wojna, a wszyscy mężczyźni musieli opuścić swoje rodziny, by bronić ojczyzny i co czuje człowiek, kiedy chowa się w ciemnym bunkrze? W historiach moich dziadków wydarzenia wojenne i powojenne były przedstawiane jako dramatyczne, jednak nie tragiczne. Nikt z rodziny nie zginął podczas wojny. Wyjątkiem była ciocia Helena, siostra mojej babci, która nie zniosła nędzy wojny i odebrała sobie życie w ciemniej piwnicy rodzinnego domu.

Do roku 1984 Niemcy nie interesowały mnie w sposób szczególny. Zmieniło się to jednak nieoczekiwanie i nagle, kiedy dowiedziałam się, że moja kuzynka i jednocześnie najlepsza przyjaciółka wraz z całą rodziną wyjeżdża na zawsze do RFN. Rozstanie było dla mnie bardzo dotkliwe i pozostawiło trwałe ślady w mojej psychice. Nie znalazłam lepszego sposobu, by zrekomensować ten smutek, jak tylko „skonfrontowanie” moich rodziców z życzeniem o młodszym rodzeństwie. Bóg i bocian stali po mojej stronie. Miałam 7 lat, kiedy przyszła na świat moja siostra Karolina. Od tej chwili świat stał się piękniejszy i lepszy. Wprawdzie nie potrafiłam na początku bawić się z małą siostrą tak, jak to sobie wymarzyłam, byłam jednak przeszczęśliwa, że już nigdy nie musiałam spędzać czasu sama w moim czterometrowym pokoju.

Moje życie zostało wzbogacone o kolejne wydarzenia, a jedno szczególnie utrwaliło mi się w pamięci. Dostawaliśmy regularnie paczki od krew-

nych, którzy wyemigrowali do zachodnich Niemiec. Pachniały one zawsze dalekim, cudownym i niedostępnym światem, za którym wiele ludzi w Polsce tęskniło, a nawet podążyło, zostawiając cały dobytek i rozdarte rodziny. Pewnego dnia również moi rodzice postanowili opuścić Polskę. Spakowali parę wartościowych rzeczy, zabierając ze sobą dzieci oraz babcię, i wyruszyli w drogę po lesze życie do RFN. Podróż odbyliśmy samochodem marki fiat 126p, który w Niemczech znany był jako fiat bambino, albo po prostu „polski fiat”. Droga prowadziła do Kassel, gdzie zostało przydzielone nam miejsce noclegowe w tzw. obozie przejściowym. Tam czekaliśmy na „przejście” nas przez kogoś z Urzędu (do spraw cudzoziemców). Mimo tęsknoty za lepszym życiem nie każdy z nas był przekonany o pomyśle „zgermanizowania się”. Mój tata był nastawiony sceptycznie, a babcia każdego wieczoru odmawiała modlitwę Ojciec nasz (*Vater Unser*) za szybki i szczęśliwy powrót do Polski. Mama jako jedyna wierzyła w to, że po drugiej stronie Odry a raczej Łaby, czeka nas dużo lepsze życie. Ja należałam do tych, którzy chcieli natychmiast wracać do Katowic. Oczywiście imponowały mi te wszystkie piękne zabawki, które można było kupić, a raczej oglądać na stacjach benzynowych. Również lalka Barbie, którą znałam wcześniej tylko z katalogów wysyłkowych, uśmiechała się do mnie z witryn sklepów z zabawkami. A co najważniejsze, w magicznym sklepie „Norma” mogłam samodzielnie kupić prawdziwe „misie żelki”. Mimo tych wszystkich „radości” nie mogłam być w Niemczech taką samą osobą, jaką byłam w Polsce. Wujek zabronił mi głośno mówić po polsku, a kuzynka, do której tak tęskniłam, znalazła w międzyczasie nowych przyjaciół. Obóz przejściowy, w którym nas zakwaterowano, nie wyglądał tak, jak mieszkania, którymi zachwycalam się, oglądając katalogi firmy wysyłkowej *Otto*.

Ostatecznie modlitwy babci i nas – dzieci, zostały wysłuchane i nie zostaliśmy przyjęci w Niemczech. Musieliśmy wracać do Polski! Powodem tego był pewnie fakt, że mój pradziadek walczył przeciwko Niemcom w powstaniu śląskim... Marzenie o dostatnim życiu w Niemczech prysło jak bańka mydlana. Za to wracaliśmy do Polski wymarzoną przez tatę, zakupioną w Niemczech peugeotem 305 combi.

W kolejnych latach moje polsko-niemieckie kontakty to zdecydowanie okres stagnacji. Relacje z sąsiednim krajem ograniczają się do materiałów szkolnych i podręczników, które musiałam obowiązkowo czytać. Obok Goethego i Schillera – mnóstwo literatury wojennej. Kiedy czytałam *Medaliony* i *Zdażyć przed Panem Bogiem*, stwierdziłam, że opowieści dziadków, starych ciotek i wujków wytworzyły u mnie fałszywe wyobrażenie o wojnie i niemieckiej okupacji. Dopiero teraz spojrzałam z zupełnie innej perspektywy na samobójczą śmierć mojej ciotki Heleny. Zrozumiałam, dlaczego nie potra-

fiła ona znieść okropności wojny i krzywd, jakie Niemcy wyrządzili swoim bliźnim. Temat ten interesował mnie bardzo i dlatego czytałam coraz więcej i więcej. To dziwne, ale tym trudniej było mi zrozumieć ten świat: złymi byli raz Niemcy, innym razem Polacy, a jeszcze innym – Rosjanie. Czytałam o miłości do ojczyzny, o oportunistach i donosicielstwie, o prześladowaniach Żydów, ale też o ich kolaboracjach z Niemcami. Wyraźny podział między dobrem a złem, między ofiarami a sprawcami był dla mnie coraz trudniejszy, a w końcu stał się niemożliwy do zrozumienia. Przysięgam sobie, że nie będę osądzać nikogo ze względu na kolor skóry, narodowość czy wyznanie i zawsze będę brać pod uwagę historyczny i sytuacyjny kontekst.

Jako dorosła zaczęłam konfrontować się z innymi niż wojna problemami. Musiałam teraz przygotować się do matury i zastanowić nad kierunkiem przyszłych studiów. Czasu dla przyjaciół i rodziny nie było zbyt wiele. Przeprowadziłam się do dziadków, gdzie miałam zapewniony spokój do nauki. Wtedy właśnie dziadek stał się moim „regularnym” partnerem do rozmowy. Przez swoją chorobę nie mógł w nocy spać, więc prowadziliśmy długie rozmowy o życiu i w ogóle o świecie. Niezależnie od wielu innych interesujących tematów, przekazał mi swoją wiedzę o tym, że prócz Polaków i Niemców istnieją jeszcze Ślązacy. Ci ostatni są bardziej podobni do Niemców, co, jego zdaniem, przejawia się przede wszystkim w ich mentalności, zamiłowaniu do ciężkiej pracy, a nawet w prowadzeniu innej – śląskiej kuchni. Ten zdecydowany pogląd dziadka raził mnie. Byłam dumna z bycia Polką, a przede wszystkim nie czułam się Ślązacką. Zdaniem wielu Polaków, Ślązacy mówią nagannym akcentem i mieszkają w tzw. familokach, wielorodzinnych domach na osiedlach robotniczych. Niemiecką mentalność, którą znałam z książek i opowieści, odbierałam wówczas jako „zimną, zdystansowaną i poważną”.

Po maturze rozpoczęłam studia psychologiczne na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Obok nowych doświadczeń oraz wiedzy zdobywanej na uczelni na mojej drodze życiowej pojawiły się nowe przyjaźnie, a także miłość. Pewnego dnia, jadąc autostopem z Beskidów w kierunku Katowic, zatrzymałam auto prowadzone przez młodego mężczyznę. Początkowo mówił do mnie śmiesznie, dziecięco brzmiącym polskim językiem, był jednak bardzo miły i zaprosił do siebie do domu. Okazało się, że jest Niemcem z polskimi korzeniami, a jego ognisko domowe znajduje się w odległym o 1200 km Bonn. Rok później siedziałam – ku radości mojej rodziny – w autobusie do Bonn i moja „przygoda” w Niemczech zaczęła się na dobre. Odległość nie miała dla mnie żadnego znaczenia, więc nadal bez przeszkód studiowałam w Katowicach. Pomału obmyślałam plan na moją przyszłość w Niemczech. Nie chciałam zostać gospodynią domową, marzyłam o pra-

cy i zarabianiu własnych pieniędzy. Jedynym problemem były moje słabe umiejętności językowe, a tym samym realne trudności w znalezieniu zatrudnienia. Pracowałam w wakacje charytatywnie w Ratyzbonie, zajmując się osobami upośledzonymi psychicznie i fizycznie. Pracowałam także jako praktykantka w przedszkolu w Bonn. Mimo że nie zarobiłam ani „centa”, czynności te wydawały mi się niezwykle interesujące, jako że czułam dużą odpowiedzialność za wszystko, co robię. Na wyjścia do kina i prezenty dla rodziny dorabiałam sobie jako sprzątaczką.

W Bonn spotkałam wielu obcokrajowców, a sam fakt, że ekspedientki w sklepie mówiły ze wschodnim akcentem, napawał mnie nadzieją, że i ja pewnego dnia znajdę w Niemczech coś dla siebie. Moim celem, a raczej marzeniem była praca w charakterze trenera umiejętności społecznych i osobistych, a to wymagało doskonałej znajomości języka niemieckiego. Zanim jednak skupiłam się na karierze zawodowej, w moim życiu nastąpiło bardzo ważne osobiste wydarzenie: ślub. Ceremonia i uroczystości odbyły się w Niemczech, ale wkrótce wyjechałam z rodzicami z powrotem do Katowic, gdzie przecież nadal studiowałam.

Pewnego dnia na ostatnim roku studiów, w październiku 2002 r., poproszono mnie do dziekanatu i zaproponowano wzięcie udziału w konferencji w Dreźnie. Pełna entuzjazmu, choć nie bez strachu, pojechałam tam razem z panią asystent. Wschodniej części Niemiec jeszcze nie znałam, ale wyobrażałam sobie, że jest tam niewiele inaczej niż w mojej polskiej ojczyźnie, czyli szaro i nieciekawie. Również inni uczestnicy konferencji, szczególnie z zachodnich Niemiec, nie sądzili inaczej. Kiedy jednak przekroczyłam most na Łabie – przeżyłam prawdziwy szok. Drezno okazało się tak piękne, że od razu wyobrażałam sobie, jak ekscytujące musi być życie w takim mieście. Konferencja była bardzo ciekawa, mimo że moja znajomość języka niemieckiego była zbyt słaba, aby w 100 procentach śledzić wszystkie wykłady. W szczególności spotkanie z profesorami z Uniwersytetu w Dreźnie było dla mnie fascynujące. W Polsce dystans między studentem a profesorem jest bardzo duży, a mój kontakt z naukowcami ograniczał się do zajęć dydaktycznych. Wkrótce podróżująca ze mną polska pani asystent zaproponowała mi współpracę w ramach projektu naukowego między Uniwersyte-tem Śląskim i Uniwersytetem Drezdeńskim. Tym samym otworzyły się dla mnie drzwi do Drezna. Po raz pierwszy dana mi była szansa zawodowego zrealizowania się w Niemczech. W projekcie badano przedsiębiorczość na obszarze przygranicznym Niemiec, Polski i Czech. Temat ten bardzo mnie zainteresował i prawdę mówiąc, ukształtował moją naukową działalność aż do dziś. Po pracy uczęszczałam codziennie na kurs języka niemieckiego. Moje marzenie o zamieszkaniu w Dreźnie spełniło się! Działalność naukowa

nadal mnie fascynowała. Zanim jednak zajęłam się planami na przyszłość, musiałam wrócić do domu, by ukończyć studia i napisać pracę magisterską. Kariera naukowa w Polsce nie wchodziła w grę. Nie uzyskałam żadnego wsparcia finansowego, a chciałam w końcu usamodzielnąć się. Tymczasem w Bonn czekał na mnie mój mąż.

Po obronie pracy magisterskiej nastąpiła rzecz niezwykła. Otrzymałam ofertę pracy jako naukowiec gościnny na TU Dresden. Byłam szczęśliwa i usatysfakcjonowana. Ale mąż i moi rodzice widzieli to zupełnie inaczej. Wbrew wszystkiemu postawiłam na karierę zawodową w Dreźnie, zaczęłam pracować i żyć na własny rachunek. Dwa lata po moim pierwszym pobycie w tym mieście spełniło się moje marzenie. I chociaż moja finansowa sytuacja nie była najlepsza, to ciekawa praca i życie w Dreźnie wynagradzały mi ten niedostatek. Bardzo dużo uczyłam się, zwłaszcza języka niemieckiego, mogłam też wykorzystać wiedzę zdobytą na studiach w Polsce.

Nie martwiłam się o przyszłość i cieszyłam się z każdego dnia. Współpraca z niemieckimi kolegami i koleżankami rozwijała się doskonale, aczkolwiek musiałam najpierw zrozumieć niemiecką interpretację słowa „punktualność”, które w Polsce ma trochę inne, nieco luźniejsze znaczenie. Szybko przyzwyczaiłam się również do tego, aby na służbowe spotkania nosić ze sobą kalendarz i notatnik, by móc dokładnie planować dni pracy i weekendy. Moi współpracownicy wydawali mi się czasem zbyt bezpośredni i niedyplomatyczni. Żeby uniknąć niemiłych dla mnie konfrontacji, starałam się nie popełniać nawet najdrobniejszych błędów. Nie zawsze mi się to udawało, a moje starania kosztowały mnie sporo wysiłku. Z czasem pogłębiło się moje rozumienie niemieckiej mentalności oraz stylu pracy. Rozpoczęłam też pracę w drezdeńskich szkołach językowych w charakterze nauczycielki języka polskiego, opiekowałam się również dziećmi dobrze sytuowanych rodziców. Życie w Niemczech wydawało mi się dobrze zorganizowane i przewidywalne. Nie chciałam więcej opuszczać Drezna; moje małżeństwo bardzo na tym ucierpiało. Po trzech latach nastąpił całkowity rozpad związku, a stosunki z rodziną stały się bardzo napięte.

Zawodowo wciąż zajmowałam się współpracą między Polską a Niemcami. Zdobytą wiedzę i doświadczenie podczas pobytu w Niemczech postanowiłam przekazać innym. Chciałam, aby zarówno Polakom, jak i Niemcom łatwiej było nawiązać pozytywne relacje i prowadzić owocną współpracę zawodową. Treningi i szkolenia były świetnym forum do realizacji tego celu. Choć brzmi to banalnie, wierzę, że na błędach z przeszłości można i należy się uczyć. Wierzę też, że możliwa jest synergiczna współpraca między Polakami a Niemcami, która może zamienić się w przyjaźń na całe życie. Aby profesjonalnie zrealizować pomysł dzielenia się swoimi doświadczenia-

mi międzykulturowymi, ukończyłam w latach 2007–2008 szkołę treningu w Lipsku i otrzymałam certyfikat trenera komunikacji. Dzięki temu jeszcze dokładniej poznałam niemiecką mentalność, którą uważałam teraz za wieloaspektową i niezwykle interesującą. Obraz „typowego” Niemca, jaki ukształtował się w okresie mojej młodości, został zweryfikowany. Podczas trwania szkoły trenerskiej oraz po jej ukończeniu zajmowałam się intensywnie komunikacją interkulturową, a od 2010 r. jestem też partnerem w małym przedsiębiorstwie, które zajmuje się doradztwem zawodowym w tym zakresie. Moja praca naukowca rozwijała się w upragnionym kierunku, prezentowałam wyniki moich badań na konferencjach w Europie, Australii i Południowej Afryce. Zdecydowałam się na doktorat. Praca na uniwersytecie i w firmie pochłaniała mnóstwo czasu, na czym – niestety – ucierpiało moje życie prywatne. Po obronie doktoratu postanowiłam coś zmienić. Szukając nowego celu i sensu życia, spotkałam wreszcie prawdziwą miłość. Relacje z moją rodziną znów ociepliły się. Poznałam również rodzinę mojego niemieckiego chłopaka. Życie prywatne stało się przepełnione radością i zadowoleniem, a dodatkowo miałam szansę poznania specyfiki życia na niemieckiej wsi. Byłam zdziwiona, że jest ono aż tak inne od życia w mieście. Rodzina odgrywa tu ogromną rolę i – podobnie jak religia – ma inną wartość. To przypomina mi Polskę, którą pamiętam z dzieciństwa. Brak anonimowości i ciągła troska o to, „co powiedzą inni” (tak zwana dulszczyzna), nie są obce niemieckiej prowincji. Na bazie wcześniejszych doświadczeń z Niemcami, z którymi konfrontowałam się na co dzień, ugruntowałam swoje przekonanie, że dystans i indywidualizm należą do głównych cech niemieckiej mentalności. Z perspektywy czasu sądzę jednak, że Niemcy nie są mniej emocjonalni niż Polacy i podobnie tęsknią za uczuciami i rodzinnym ciepłem. Jednakże te pragnienia są wyrażane zupełnie inaczej. Z dzisiejszego punktu widzenia samo słowo „ojczyzna” wydaje mi się pojęciem względnym. Sądzę, że ojczyzna znajduje się tam, gdzie człowiek czuje się dobrze i gdzie jest serdecznie witany. Osobiście odczuwam ten stan zarówno w Niemczech, jak i w Polsce. Pytanie o tożsamość narodową dla mnie nie istnieje. W czasach zjednoczonej Europy granice są tylko w naszych głowach, a mury są budowane przez ludzi, gdyż dają poczucie bezpieczeństwa i czynią postrzegany świat bardziej przewidywalnym. Im mniej murów budujemy wokół siebie, tym jesteśmy bardziej otwarci na świat i na kontakty z innymi ludźmi. Ta otwartość jest bardzo ważna, jeśli chcemy budować nową, lepszą przyszłość.

Tym krótkim odcinkiem mojego życia zamierzałam pokazać, że niezależnie od naszej narodowości mamy swoje życie we własnych rękach i możemy, a wręcz powinniśmy nim mądrze kierować. Mimo że los wpływa na

nasze życie i czasem płata nam różne figle, musimy konsekwentnie dążyć do realizacji swoich marzeń. Pamiętajmy jednak, że nie tylko cel, lecz także droga, którą pokonujemy, aby go osiągnąć, jest istotna. Na tej drodze możemy natknąć się na wiele przeszkód, ale mamy szansę pokonać je m.in. dzięki pomocy innych ludzi, niekoniecznie tych bliskich i znanych.

Różnice kulturowe dotyczą naszych wartości, zachowań i interpretacji świata, a jednak wszyscy niezależnie od kultury dążymy do miłości, przyjaźni i szacunku. W tym miejscu chciałabym zakończyć ten rozdział książki i poďziękować wszystkim, którzy ukształtowali moje życie i czynią to nadal.

Dominika Dej pracuje na Uniwersytecie Technicznym w Dreźnie, na Wydziale Psychologii Pracy i Organizacji. Studia ukończyła na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Praca doktorska: *Eksploracja sukcesu oraz zdrowia przedsiębiorców z perspektywy psychologicznej: pierwsza walidacja nowego instrumentu do pomiaru subiektywnego sukcesu*. Główne zainteresowania badawcze: psychologia przedsiębiorczości, różnice międzykulturowe dotyczące sukcesu oraz intencji przedsiębiorczej. Prowadzi zajęcia dla studentów z tematyki psychologii personelu, psychologii pracy i metod badawczych, również na temat komunikacji międzykulturowej, umiejętności prezentacji i retoryki oraz przedsiębiorczych kompetencji i motywacji. Jest współwłaścicielem firmy szkoleniowej „managing-cultures GbR”. Uczestniczy w pracach ost-west-forum Gut Gödelitz na rzecz dialogu między Niemcami i Polską.

IWONA DOBKOWSKA

Wspomnienia z Niemiec

Urodziłam się 23 lutego 1971 r. w Bartoszczach. Bartoszyce leżą na Nizinie Sępopolskiej w dolinie rzeki Łyny w województwie warmińsko-mazurskim. Miasto posiada bardzo ciekawą historię. Położone jest na terytorium Barcji (historyczna kraina dawnych Prus). W 1332 r. Wielki Mistrz Zakonu Luther z Brunszwiku w akcie lokacyjnym nazwał miasto Bartenstein. Nazwa ta (jako niemiecka) pozostała do roku 1945.

W Bartoszczach mieszkalam do 21 roku życia. Jak daleko sięgam pamięcią, moje życie powiązane było z niemiecką historią. Dwie siostry mojej mamy poślubiły Niemców, którzy po II wojnie światowej zostali w Polsce. Jeden z moich wujków nazywał się Erwin Holzman, drugi zaś Georg Bialas.

Kiedy byłam jeszcze dzieckiem, dziwiły mnie te nazwiska, ponieważ ja z domu nazywam się Pawłowska. Wcześniej nigdy nie słyszałam historii mojej rodziny (szkoda).

Mój wujek Georg Bialas wyjechał w latach 80. do Niemiec. Tam żyła jego matka i rodzeństwo. Matka, wyjeżdżając z Polski, była niepocieszona, że syn tu zostaje. Później moja ciocia wraz dziećmi była bardzo smutna, ponieważ wujek pojechał do swojej rodziny, żeby ją odwiedzić, i już nie wrócił. Do dziś tam mieszka i utrzymuje kontakt tylko z dziećmi. Ciocia już nie żyje.

W latach 80. żyło nam się bardzo ciężko. Moim wspomnieniem z tamtych czasów jest kielbasa zwyczajna na kanapkach albo serdelowa na posmarowanych smalcem bułkach (to był już rarytas).

Za to naprawdę przeżywaliśmy piękne chwile, kiedy ciocia otrzymywała z Niemiec paczki. Przychodziła do nas, żeby się pochwalić. Czasami dostaliśmy pakowaną w folię szynkę. Jaka ona była pyszna. Nie można było jej pogryźć, ale była „wspaniała”. Ten zapach zachodniej wędliny był dla nas

rarytasem. Czasami ciocia dawała nam trochę słodczy. Bardzo jej zazdrościliśmy tych paczek. Wujek przysyłał również ubrania, ale niestety moja cioteczna siostra nie była zbyt hojna, więc mogłam tylko na nie popatrzeć.

W niedługim czasie mama dowiedziała się, że do kościoła ewangelicko-augsburskiego przy ulicy Witosa w Bartoszycach przywieźli dary z Niemiec dla osób, które mają pochodzenie niemieckie. Obie wpadłyśmy na pomysł, że powiemy o wujkach – „może wtedy nam coś dadzą”. Tak też uczyniłam i ku mojemu zaskoczeniu pani zajmująca się tą akcją wpuściła mnie do środka kościoła i mogłam wybrać sobie ubrania, które mi się podobały.

Czułam się jak w raju, tyle ubrań, taki zapach. Nie wiedziałam, na co się zdecydować. Wszystko było inne, piękne i pachnące. Dotychczas nie miałam wiele ubrań, teraz byłam wyposażona na parę lat. Koleżanki mi zazdrościły, a miałam wówczas 12–13 lat.

Cała rodzina mojego wujka Erwina Holzmana, który ożenił się ze starszą siostrą mojej mamy – Heleną – zginęła podczas wojny. Wujek był wspaniały. Przez wiele lat jeździłam do nich na wakacje, do Giżycka. Ciocia zmarła jeszcze w latach 80. Wujek ożenił się drugi raz. Z ciocią nie mieli dzieci.

Być może jest to przeznaczenie...

W roku 1990 poznałam chłopaka. Miał na imię Ksawery. Był ode mnie osiem lat starszy. Mieszkał w małej wiosce Kosy (dawny PGR) niedaleko Bartoszy. Tam mieszkał ze swoją mamą. Długo zwlekał z przedstawieniem mnie jej, ponieważ była bardzo sroga i miała już dosyć poznawania nowych dziewczyn swojego syna.

Ale ten dzień nadszedł. Byłam zdenerwowana i bardzo obawiałam się tego spotkania. W międzyczasie Ksawery powiedział mi, że jego mama jest Niemką. Ma na imię Gertruda. Ta wiadomość zupełnie mnie zaskoczyła.

Jechaliśmy autobusem...

To była niedziela. Z okien autobusu Ksawery zauważył, że jego mama stoi na przystanku (co tydzień jeździła do kościoła). Byłam w szoku. Zobaczyłam piękną kobietę z „ostrym” wyrazem twarzy. W ogóle się nie uśmiechała. Myślałam, że serce mi wyskoczy. Wychodząc z autobusu powiedziałam „dzień dobry” i lekko się uśmiechnęłam. Ona z powagą odpowiedziała, a Ksawery dobrze się bawił moją wystraszoną miną.

Zapoznanie z mamą nie było takie straszne, ale z perspektywy czasu wiem, znając już trochę niemiecką mentalność, że była to kobieta bardzo uporządkowana, zasadnicza i konkretna.

Gertruda wyszła za mąż za Polaka, jej siostra również. Po wojnie ich matka wróciła z młodszą córką do Niemiec. Prosiła pozostające w Polsce córki, aby razem z nią wróciły, lecz one miały już swoje rodziny i nie chciały wyjeżdżać.

Po wielu latach w 1990 lub 1991 r. matka (pani Gertrudy) z córką i wnuczką przyjechały do Polski w odwiedziny. Miałam przyjemność uczestniczyć w tym powitaniu. Byłam pod wielkim wrażeniem. Pani Gertruda i jej siostra, po tylu latach zamieszkiwania w Polsce i nieużywania języka, mówiły pięknie i biegle po niemiecku. Ja tylko słuchałam i dziwiłam się, jak to jest możliwe. Matka znów próbowała namawiać obie córki do wyjazdu na stałe do Niemiec, ale one nie chciały, czuły się Polkami i nie chciały opuszczać kraju za żadne pieniądze.

Kontakt pani Gertrudy z matką i siostrą z Niemiec ograniczał się już tylko do listów. Otrzymywała jednak systematycznie paczki żywnościowe, z których ja też korzystałam. W każdą niedzielę pani Gertruda parzyła niemiecką kawę, której wspaniały aromat rozchodził się po całym domu. Pamiętam – była to Dallmayr Kaffee.

Nadszedł czerwiec 1992 r. Wyjazd z przyjaciółmi do Niemiec!

Przed nami było 1200 km do pokonania fiatem 125p. Niesamowite przeżycie, ale jednocześnie obawa przed nowym wyzwaniem. Zdawałam sobie sprawę, że jadę do obcego kraju, nie znając języka i nie mając żadnego doświadczenia. Byłam nieco przerażona, ale ponieważ należę do osób odważnych i ciekawych świata – postanowiłam stawić temu czoła.

Obok mnie było dwoje przyjaciół, na których mogłam zawsze polegać. Po długiej i zmudnej podróży dobrnęliśmy do celu. Byłam pod wielkim wrażeniem. Miasto Bad Nauheim (w Hesji) pachniało inaczej. Wszystko było inne, poukładane, równe i zadbane.

Na początku nie było łatwo o pracę, ale okazało się, że w jednej z cukierni szukają pomocy do kuchni. W pierwszej chwili zadałam sobie pytanie: A co będzie, jeśli sobie nie poradzę, przecież nie znam języka? Ale skoro właściciele się zgadzają, to na pewno dam radę.

Wiedziałam, co mam robić, ale właścicielka ciągle na mnie krzyczała. Z perspektywy czasu myślę, że lepiej było nie rozumieć, co do mnie mówi, bo na pewno nie były to miłe słowa. Jakoś przetrwałam te dwa tygodnie. Zarobiłam swoje pierwsze pieniądze, wtedy jeszcze marki. Nie muszę mówić, jakie były dla mnie cenne i wartościowe.

Raz w miesiącu była odprowadzana polska msza w niemieckim kościele katolickim, na którą wybraliśmy się z przyjaciółmi. Po mszy wracaliśmy do domu, a za nami szedł młody mężczyzna. Podeszedł do nas i zapytał wprost, czy jesteśmy z Polski. To był mój przyszły mąż, z którym żyję 21 lat. Ma na imię Zenon.

Mąż od dzieciństwa marzył, żeby wyjechać do Ameryki. W grudniu 1986 r. pojechał na wycieczkę do Niemiec. Płynął statkiem „przez” Szwecję i Danię. Była to podróż w jedną stronę. Statek miał postój w Travemünde, skąd

wycieczkowicze mogli pojechać na zwiedzanie autokarem do Lubeki lub do Hamburga.

Zenon pojechał do Hamburga, gdzie czekała na niego cioteczna siostra Danuta, która mieszkała w tym mieście od roku 1976. W tamtych latach Danuta i jej mąż otrzymali azyl polityczny i przyjęli obywatelstwo niemieckie.

Moim przyszłym mężem zajęła się mama Danuty, która była zamężna z bratem mamy Zenona. Ona była rodowitą Niemką, wyszła za mąż za Polaka.

Zenon zatrzymał się u nich około dwóch tygodni. W Hamburgu zgłosił się do urzędu dla azylantów (*Ausländerbehörde*), skąd skierowano go do specjalnego obozu (*Asylantenlager*) w Hamburgu-Harburgu; mieszkał tam przez miesiąc. Później trafił do innego obozu, który mieścił się w Itzehoe (Szlazwik-Holsztyn), tam mieszkał przez tydzień. Docelowym obozem, w którym mąż spędził aż dwa lata, był w Klanxbüll. Był to pierwszy obóz dla azylantów politycznych z bloku wschodniego w tym regionie (powiat Nordfriesland).

Pobyt męża w Niemczech miał być krótki, ponieważ jego brat mieszkał w Ameryce i miał mu stamtąd wysłać zaproszenie. Niestety, mąż nie dostał wizy do Ameryki i w ten sposób pozostał w Niemczech. Wtedy był niezadowolony, że nie udało mu się wyjechać do USA, ale teraz z perspektywy czasu cieszy się, że został w Niemczech. Tutaj poznał mnie (żeby zbieżność dat była zrozumiała, nadmieniam, że mój mąż jest ode mnie trzynastcie lat starszy), zdobył fachowe doświadczenie w hydraulice, doceniając niemiecką jakość i fachowość. Jego wielkim marzeniem jest, aby Polacy częściej jeździli na naukę do Niemiec, bo od nich można dużo się nauczyć, np. porządku, jakości, dokładności i zaradności.

To właśnie on pomógł mi w znalezieniu zatrudnienia...

Pracowałam jako pomoc domowa w wielu niemieckich rodzinach. Tygodniowo sprzątałam około 40 godzin. To była ciężka praca, ale bardzo cieszyłam się, że mogę zarabiać pieniądze. Doceniałam je bardzo, ponieważ pochodzę z biednej rodziny. Pracę wykonywałam solidnie. Mimo tego, że nie umiałam mówić po niemiecku, właściciele byli zadowoleni.

Tak minęło parę lat i przyszedł moment, gdy dwie małe dziewczynki powiedziały do mnie: „Ty jesteś sprzątaczką, bee., ty zawsze będziesz sprzątać...”. To zabolalo mnie najbardziej. Tłumaczyłam sobie, że pomagam innym, a przy tym mogę zarobić pieniądze. Ale był to moment, w którym zaczęłam zdawać sobie sprawę, że przecież ja nie chcę być zawsze sprzątaczką. Wydawało mi się, że przyjechałam tu tylko na chwilę, ale ta chwila trwała bardzo długo.

Pani Schmidt piła z koleżanką kawę, a ja musiałam sprzątać jej toaletę, czyścić buty. One siedziały przy stole, a ja biegałam z odkurzaczem po całym domu lub układałam bieliznę osobistą.

Cenne dla mnie było to, że Pani Schmidt nauczyła mnie, jak bardzo droga jest woda i jak trzeba ją oszczędzać; resztek mydła też nie trzeba wyrzucać, gdyż można przykleić je do nowej kostki i dalej używać. Zwróciła mi uwagę, że umywalkę myje się również pod spodem, polerując przy tym armaturę, a poza tym pokazała, jak szybko i sprawnie prasuje się koszule męskie.

To była dobra „szkoła”, którą zapamiętam do końca życia. Praca u rodzin niemieckich nauczyła mnie dużo praktycznych rzeczy, które do dzisiejszego dnia wykorzystuję, z drugiej zaś strony twierdzę, że cofnęłam się w rozwoju, ponieważ oprócz sprzątanania nie robiłam nic innego.

Nie ukrywam, że bardzo cenię Niemców za ich zaradność i szacunek dla drugiego człowieka. Cenię ich za to, że mają wszystko uporządkowane, zaplanowane, na wszystko znajdują sposób. W urzędach, w szpitalach jest wysoka kultura w podejściu do klienta czy też pacjenta. O wszystko można się zapytać. Nikt nie robi niezadowolonych min. Jednym słowem – Niemcy mają wysoką kulturę osobistą, szanują każdego człowieka bez względu na wykonywany przez niego zawód.

Jako pomoc domowa zawsze byłam doceniana za swoją pracę, zarówno w formie pieniężnej, jak i rzeczowej.

Kiedy moje rówieśniczki rozwijały się, ja tkwiłam „w wirze szmat i kurzu”. Przez wiele lat czułam się upokorzona (nie przez Niemców, lecz pracę, którą wykonywałam). Choć jestem zdania, że żadna praca nie hańbi, ale to było upokorzenie innej miary. Upokorzenie ducha, ambicji, niezrealizowanych marzeń. Może słowo „upokorzona” jest niewłaściwe, ale inaczej mojego uczucia nie potrafię określić.

Za każdym razem, gdy trafiałam do nowej rodziny, padało pytanie: „Dlaczego pani sprząta? Pani wcale do tego nie pasuje!” Zmobilizowałam się i postanowiłam coś zmienić!

Zapisałam się do prywatnej szkoły kosmetycznej *aja Kosmetikschule* we Friedbergu, w Hesji zrobiłam też prawo jazdy. W międzyczasie okazało się, że Volkshochschule w Bad Nauheim poszukuje Polki do prowadzenia kursów języka polskiego dla Niemców. Tu zaczęła się moja przygoda z nauczaniem.

Kursy prowadziłam przez pięć lat. Uczestnikami byli panowie lub panie, którzy mieli męża lub żonę z Polski; również Niemcy, którzy prowadzili interesy biznesowe z Polską, i osoby, które urodziły się przed wojną w Polsce i chciałyby tam pojechać w odwiedziny. Poznałam bardzo dużo wspaniałych ludzi. To było dla mnie bardzo ważne doświadczenie. Czułam się doceniona, dowartościowana.

Nadal aktywnie brałam udział w szkoleniach przygotowujących mnie do prowadzenia takich kursów.

W międzyczasie zaczęłam pracować jako opiekunka do dzieci. W 2001 r. urodził się mój pierwszy syn Florian Rafael. Trzy lata później urodził się Adrian Marcel. Pracowałam u wspaniałej rodziny adwokackiej, gdzie mogłam przyprowadzać ze sobą swoje dzieci. Opiekowałam się czterema chłopcami.

Nie było łatwo. Były chwile, kiedy mój starszy syn rwał książkę moich podopiecznych, młodszy płakał, bo chciał mleka, a ja smażyłam sznycle i nie wiedziałam, co mam robić: ratować książkę czy nakarmić własne dziecko, czy może jeszcze pilnować sznycle, żeby się nie przypaliły. To był koszmar. Takich sytuacji było wiele.

Prowadzenie kursów umocniło moją wiarę w siebie. Kursy prowadziłam w Bad Nauheim i we Friedbergu. Kursanci byli wdzięczni za czas spędzony na moich zajęciach.

Nadeszła pora powrotu do Polski. To był sierpień 2007 r. Spełniłam swoje marzenia. Ukończyłam studia, zdobyłam tytuł magistra. Nadal się rozwijam. Czasem zadaję sobie pytanie, czy nie żałuję czasu spędzonego w Niemczech? Teraz mogę śmiało odpowiedzieć, że nie! Niemcy dali mi mocno w kość, ale jednocześnie dużo nauczyli, przede wszystkim porządku, zaradności, oraz nauczyli doceniać to, co się ma. Otrzymałam wskazówkę, że mogę jeszcze coś w życiu osiągnąć.

Tak też dzięki znajomości języka niemieckiego i ukończonych studiów pracuję w gimnazjach w Goworowie i w Długosiodle jako nauczyciel języka niemieckiego. Moim priorytetem było znalezienie partnerskiej szkoły, która zechciałaby z nami współpracować. Zapisalam się więc do organizacji PNWM (Polsko-Niemiecka Współpraca Młodzieży).

Ku mojemu zdziwieniu (wiedząc, że nie jest łatwo) zaraz na początku mojej pracy w gimnazjum zadzwoniła pani z PNWM z zaproszeniem na Giełdę Kontaktów, która miała odbyć się w Wittenberdze. Byłam miło zaskoczona tą wiadomością i od razu się zgodziłam. W maju 2012 r. pojechałam tam i poznałam wielu wspaniałych nauczycieli zarówno z polskich, jak i z niemieckich szkół Dolnej Saksonii.

Podczas „Giełdy kontaktów” prezentowaliśmy własne szkoły, zachęcając się nawzajem do współpracy. Marita Bürger była jedną z tych nauczycielek, która wywarła na mnie największe wrażenie. Po prezentacji szkół okazało się, że nasze profile do siebie pasują.

Tak też nawiązała się współpraca...

A jej owocem było (w październiku 2012 r.) „spotkanie zapoznawcze” w Zielitz, niedaleko Magdeburga, dokąd pojechałam z moją koleżanką rusycystką i dwiema uczennicami. Było wspaniale. Wszystkie byłyśmy pod wielkim wrażeniem. Ustaliliśmy temat naszego pierwszego projektu (wzajemne uprzedzenia) i zaplanowaliśmy wizytę szkoły partnerskiej na maj 2013 r.

W ramach projektu w dniach 21–24 maja 2013 r., gościliśmy w Zespole Szkół nr 1 w Goworowie młodzież z *Ganztagschule Werner Seelenbinder* (szkoły całodniowej, w której uczniowie spędzają czas od rana do późnego wieczora) z Zielitz. Celem spotkania była integracja młodzieży polskiej i niemieckiej, poznanie polskiej historii, kultury, tradycji, doskonalenie konwersacji w języku niemieckim oraz realizacja projektu dotyczącego uprzedzeń. Była to pierwsza wizyta naszej szkoły partnerskiej z Niemiec w Goworowie.

W grudniu 2013 r. w Warszawie odbyło się spotkanie szkół partnerskich z okazji dziesięciolecia partnerstwa regionalnego między Województwem Mazowieckim a Krajem Związkowym Saksonia-Anhalt.

Delegacja naszej szkoły uczestniczyła w uroczystym koncercie zorganizowanym przez Marszałka Województwa Mazowieckiego – Adama Struzika. Następnego dnia spotkaliśmy się w hotelu Marriott z nauczycielkami z naszej szkoły partnerskiej i przedstawicielem Ministerstwa Oświaty w Dolnej Saksonii dr. Uwe Birkholzem.

W miłej, przyjacielskiej atmosferze rozmawialiśmy o naszym wyjeździe w marcu 2013 r. do Zielitz.

Reasumując, moje życie związane jest cały czas z Niemcami, z czego jestem bardzo dumna. Chętnie opowiadam swoim uczniom o moich wrażeniach z pobytu w Niemczech, tym samym zachęcając ich do nauki języka, ale również do poznania ich tradycji, mentalności i kultury.

Pobyt w Niemczech, jak i dalsza współpraca jest dla mnie bardzo cennym doświadczeniem; chcę je cały czas pogłębiać i rozwijać.

Iwona Dobkowska, ur. w 1971 r. w Bartoszycach. W latach 2005–2010 kierownik kursów języka polskiego dla Niemców na Uniwersytecie Ludowym we Friedbergu; 2009–2011 studia na filologii germańskiej w Kolegium Nauczycielskim w Ostrołęce; w 2011 r. uzyskała dyplom Uniwersytetu Warszawskiego na Wydziale Lingwistyki Stosowanej; 2011–2013 – studia magisterskie w Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Puławach. Nauczycielka języka niemieckiego w gimnazjum. Pełni funkcję koordynatora współpracy ze szkołą partnerską w Niemczech.

MARIAN DYGO

Kilka refleksji o niemieckim wątku w moim życiu

Niemieckość w moim życiu pojawiła się z racji miejsca urodzenia. Przyszędłem na świat w 1951 r. w powiatowym mieście Pasłęk, w byłych Prusach Wschodnich. Moi rodzice urodzili się na Kresach międzywojennej Polski, które dzisiaj należą bądź do Litwy, bądź do Białorusi. W Prusach Wschodnich osiedlili się zaraz po wojnie i nie z własnej woli, lecz – tak jak prawie dwa miliony obywateli polskich – w ramach przesiedlenia, które było następstwem decyzji podjętych przez wielkie mocarstwa na konferencjach w Teheranie, Jałcie i Poczdamie w latach 1943–1945.

Moi rodzice nie mieli wątpliwości, że wojna była najtragiczniejszym wydarzeniem w ich życiu. Jej następstwem była śmierć ich braci w kampanii wrześniowej 1939 r. i później w toku walk partyzanckich, a w końcu utrata „małej” ojczyzny i sowietyzacja Polski.

Rodzice nigdy nie zakorzenili się w pruskiej ziemi; obca im była miejscowa historia, obcy krajobraz kulturowy. Co najwyżej na pochwałę zasługiwało piękno przyrody, przynajmniej o tyle, o ile przypominało im krajobrazy rodzinnych stron. W domu mówiło się często o wysiedleniu, które w oficjalnym języku nazywało się repatriacją.

Gdy dzisiaj słyszę słowo „wypędzenie”, jestem w stanie zrozumieć cierpienie tych, którzy musieli opuścić swoją ojczyznę. Jednak natychmiast nasuwają mi się pytania: dlaczego wypędzenie? Kto jest temu winien? Na myśl przychodzą słowa niemieckiego dziennikarza i pisarza Ralpha Giordana z jego książki *Ostpreußen ade* (1994), będącej literackim zapisem jego podróży na początku lat 90. XX w. po „melancholicznym kraju” – byłych Prusach Wschodnich: „Hitler i jego zwolennicy. Oni, ich polityka, ich wojna

oraz ich zbrodnie są przede wszystkim odpowiedzialne za utratę ziem po tamtej stronie linii Odry–Nysy, zatem także Prus Wschodnich”.

Wróćmy jednak do Pasłęka. Miasto liczyło w latach 50. około siedem tys. mieszkańców, tj. mniej więcej tyle, ile przez wojnę. Stare Miasto wraz z pokrzyżackim zamkiem było spalone przez Sowietów. Mieszkaliśmy w wielorodzinnym, poniemieckim budynku przy ul. Zwycięstwa. Jako mniej więcej dziesięcioletni chłopak lubilem jeździć na rowerze na dworzec kolejowy, który – ponieważ był potrzebny Armii Czerwonej – „wyszedł” z wojny bez szwanku. Obserwując ruch pociągów, marzyłem o dalekich podróżach. W końcu lat 50. zacząłem uczęszczać do szkoły podstawowej. Jej potężny gmach pochodził z przełomu XIX i XX w. Dzisiaj wiem, że jego budowniczym był niejaki Gustav George.

Na początku lat 60. moi rodzice przeprowadzili się do Ostródy. To powiatowe miasto, odległe od Pasłęka o 50 km, liczyło wówczas około 18 tys. mieszkańców, o dwa tys. mniej niż w roku 1939. Sowietci obeszli się z Ostródą tak, jak z Pasłękiem: Stare Miasto z kościołem i zamkiem pokrzyżackim zostały spalone. Zamieszkaliśmy tu w poniemieckim budynku wielorodzinnym przy ulicy, której patronem był jakiś komunista. Obecnie ulica nosi godną nazwę: Herdera.

W Ostródzie ukończyłem szkołę podstawową oraz średnią, tam także zainteresowałem się poważniej historią. Ruiny gotyckiego zamku przywodziły na myśl zakon krzyżacki, tym bardziej, że w 1960 r. obchodzono 550-lecie bitwy pod Grunwaldem. W związku z tym nakręcono film „Krzyżacy” oparty na motywach powieści Henryka Sienkiewicza pod takim samym tytułem. Na polach Grunwaldu, odległych od Ostródy o 40 km, został wzniesiony pomnik. Wydano w dużym nakładzie książkę *Grunwald – 550 lat chwały*, przeznaczoną dla szerokiego kręgu czytelników; znalazła się ona także w naszym domu. W tle tych wszystkich przedsięwzięć stała polityka historyczna i socjotechnika komunistycznej władzy, co jednak wówczas nie musiało być dla mnie tak oczywiste i czytelne.

Lecz historia Ostródy to nie tylko Krzyżacy. Na jednym z poniemieckich cmentarzy oglądałem nagrobek Gustawa Gizewiusza (zm. 1848), pastora w Ostródzie, z napisem informującym o tym, że był on bojownikiem „o polskość i ludowładztwo na Mazurach”. Jak wiadomo, był on skądinąd lojalnym pruskim poddanym króla Fryderyka Wilhelma IV. Z kolei gdzieś wyczytałem, że marszałek Paul von Hindenburg miał zwyczaj jadać raki w restauracji miejscowego hotelu, ilekroć odwiedzał pomnik grunwaldzki w pobliskim Olsztynku (30 km od Ostródy), wzniesiony dla uczczenia zwycięstwa Niemców nad Rosjanami w 1914 r. W kształtowaniu mojej świadomości historycznej duże znaczenie miało drugie powojenne wydanie (1959)

książki Melchiora Wańkowicza *Na tropach Smętka*. W reportażu tym autor zawarł swoje wrażenia z podróży po Prusach Wschodnich w 1935 r., skupiając zainteresowanie na życiu ludności pochodzenia polskiego. W ten sposób stopniowo poznawałem zawiłą historię kraju, nazywanego w Polsce po wojennej Warmią i Mazurami.

W latach 60. w Ostródzie mieszkała pewna liczba Niemców. W następstwie układu zawartego w 1970 r. między PRL i RFN o podstawach normalizacji stosunków wielu z nich wyjechało do Niemiec Zachodnich. Przypominam sobie rodzinę zegarmistrza Hocha. Z jego synem Henrykiem chodziłem do szkoły średniej. Cała rodzina pozostała w Ostródzie także po roku 1970, a Henryk Hoch jest obecnie przewodniczącym Związku Stowarzyszeń Niemieckich Warmii i Mazur.

Ale Warmia i Mazury mają także swoją prahistorię. Na dziedzińcu zamku biskupów warmińskich w Olsztynie mogłem oglądać słup kamienny, na którym schematycznie, płytkim reliefem wyrzeźbiono zarys figury ludzkiej. Tajemnicza postać trzyma w ręce róg do picia. Pierwotnie rzeźba znajdowała się w Barcianach. Jest ona śladem pradawnych mieszkańców tej ziemi – Prusów, którzy dzielili się na wiele plemion. Pasłęk leży na obszarze plemienia Pogezanów, Ostróda – Sasinów, Olsztyn – Warmów, a Barciany – Bartów.

Postanowiłem zostać historykiem lub archeologiem. Zacząłem dość często jeździć do Olsztyna po różne publikacje dotyczące historii Prus, które kupowałem w antykwariacie. Ilekroć jestem w Olsztynie i przechodzę obok tej kamienicy, w której kiedyś był ów antykwariat, wracam myślą do moich częstych wówczas wypadów do tego miasta.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy na tamte lata, mogę stwierdzić, że wówczas rozpoczął się proces mojego „wrastania” w byłe Prusy Wschodnie. Nie miałem przedwojennych wspomnień. Przeszłość moich rodziców nie mogła mi do końca zastąpić wiedzy o przeszłości miasta czy regionu, gdzie mieszkałem.

Niemiecki publicysta Sebastian Haffner pisze w swojej książce *Preußen ohne Legende* (1979): „To, co wypędzenie unieważniło i aby tak powiedzieć – odwołało, to już nie była pruska historia: to był prapoczątek pruskiej prehistorii, historia kolonizacji XII i XIII w., dzieło niemieckich rycerzy, mnichów i osadników, którzy wówczas jechali na Wschód”. Otóż to! Polscy osadnicy w byłych Prusach Wschodnich po 1945 r. nie przekreślili 700 lat pruskich dziejów. Zasługują one na to, aby wciąż je badać i przybliżać ludziom.

W 1970 r. rozpocząłem studia historyczne na Uniwersytecie Warszawskim; specjalizowałem się w historii średniowiecznej. Wtedy poznałem w pewnym zakresie język niemiecki. Jednak do historii Prus powróciłem

dopiero w mojej dysertacji doktorskiej o polityce monetarnej zakonu niemieckiego w Prusach w XIV/XV w. Mój promotor, prof. Marian Małowist (zm. 1988), wybitny mediewista, traktował średniowieczne Prusy jako integralny składnik całej strefy bałtyckiej. To było interesujące i nowatorskie podejście, które zrywało z założeniami historiografii ugruntowanej w nacjonalizmie. M. Małowist zajmował się jeszcze przed wojną historią gospodarczą obszaru Bałtyku. W związku z tymi badaniami odbył w końcu lat 30. podróż naukową do Królewca. Z zainteresowaniem słuchałem jego wspomnień o tym mieście i porównywałem je z opisem tej metropolii nad Pregolą pióra M. Wańkowicza – w jego książce *Na tropach Smętka*. Moim drugim mistrzem był prof. Benedykt Zientara (zm. 1983), uczeń M. Małowista, znawca m.in. średniowiecznej historii Pomorza i Śląska, niemieckiej kolonizacji wschodniej w tym samym okresie, a także świadomości narodowej w średniowieczu. B. Zientara zawsze bezkompromisowo zwalczał prezytyzm w historiografii i uczynił wiele, aby – jak pisał – skończyć w nauce z „beznadziejną mistyką odwiecznej wrogości niemiecko-słowiańskiej”. Dysertację obroniłem w 1982 r.; pięć lat później ukazała się drukiem (w wersji skróconej) w języku niemieckim.

Moje badania przypadły na zwrotny okres, jeżeli chodzi o historiografię dotyczącą zakonu niemieckiego. Oto w następstwie wspomnianego wyżej układu polsko-niemieckiego z 1970 r. została powołana Polsko-Niemiecka Komisja Podręcznikowa. Dwa posiedzenia tej Komisji, w 1973 r. w Warszawie i w 1974 r. w Toruniu, dotyczyły tematu zakonu niemieckiego. W publikacjach możemy przeczytać: „Najważniejszą rzeczą było przedstawienie głównych punktów widzenia i rozbieżności obu historiografii na przeszłość Zakonu Krzyżackiego w Prusach, z próbą kierunkowania w przyszłości dyskusji oraz badań nad najbardziej spornymi problemami w pełni naukowej atmosferze”. Wystarczy porównać referaty z obu posiedzeń Komisji, aby przekonać się, jaki przełom wówczas się dokonał. Na posiedzeniu Komisji w 1973 r. przedstawiono stanowiska obu stron na sporne problemy z dziejów zakonu krzyżackiego w Prusach. Natomiast na posiedzeniu w 1974 r. jeden z polskich historyków postulował, aby zamiast niemieckiego czy polskiego punktu widzenia prowadzić „strukturalne badanie procesu historycznego”. Z kolei inny z historyków (niemieckich) podkreślał, że państwo krzyżackie zostało utworzone pod względem etnicznym przez Prusów, Polaków, Niemców i Litwinów. Takie wypowiedzi byłoby trudno sobie wyobrazić wcześniej. Dzisiaj, po czterdziestu latach, kiedy współpraca między polskimi i niemieckimi historykami zakonu krzyżackiego jest czymś bez mała rutynowym, nie jest łatwo docenić przełomowe znaczenie dorobku Komisji Podręcznikowej.

Na toruńskim posiedzeniu Komisji Podręcznikowej w 1974 r. pojawił się postulat, „aby debatować nad historią zakonu niemieckiego w szerszym kontekście historycznym i w większym, międzynarodowym zespole historyków”. Jestem pewien, że autorzy tego postulatu mają powody do pełnej satysfakcji, kiedy obserwują, z jakim rozmachem został on wcielony w życie. W 1981 r. odbyła się w Toruniu pierwsza międzynarodowa konferencja naukowa z cyklu „Ordines militares. Colloquia Torunensia Historica”, zorganizowana przez nieżyjącego już prof. Zenona H. Nowaka. Tytuł owej pierwszej konferencji: „Rola zakonów rycerskich w chrystianizacji i kolonizacji strefy Bałtyku” wskazuje, że obrady dotyczyły problematyki pierwszorzędnej rangi. Wśród referentów było trzech historyków polskich, trzech historyków niemieckich, jeden historyk duński i jeden estoński. Od tego czasu w Toruniu, regularnie co dwa lata odbywają się konferencje z tego cyklu. Materiały konferencyjne są publikowane.

Toruńskie konferencje stały się w ciągu trzydziestu lat uznanym, międzynarodowym przedsięwzięciem naukowym. Dotyczą wszystkich zakonów rycerskich w średniowieczu i wczesnej nowożytności. Finansowane są ze środków polskich i niemieckich. Obecnie organizatorami konferencji są: prof. Roman Czaja z Torunia oraz prof. Jürgen Sarnowsky z Hamburga. Obok języka niemieckiego na dobre zagościł też język angielski.

Jako referent wystąpiłem na konferencji z cyklu „Ordines militares” po raz pierwszy w 1991 r., potem jeszcze dwukrotnie. Jednak w tych konferencjach uczestniczyłem już w pierwszej połowie lat 80. jako młody doktor – czy to w charakterze słuchacza, czy dyskutanta. Klimat ówczesnych konferencji był niepowtarzalny: historycy polscy i niemieccy podejmowali trud badania historii zakonu krzyżackiego i jego władztwa w Prusach bez odwoływania się – mówiąc słowami prof. Wolfganga Wippermanna – do „zasobu zarówno niemieckiej, jak i polskiej ideologii ulegającej wpływom historyzmu XIX i XX w.”

Zaryzykuję stwierdzenie, że w obszarze polskich i niemieckich badań nad zakonem krzyżackim w Prusach cezura lat 1989/1991 miała relatywnie małe znaczenie. Tutaj przełom dokonał się piętnaście lat wcześniej. Wydarzenia znane pod mianem „Jesieni Ludów” jedynie umocniły u historyków niemieckich i polskich nowe podejście do historii korporacji krzyżackiej. Było to możliwe dzięki odwadze, odpowiedzialności oraz dalekowzroczności historyków z obu krajów. Jest dla mnie prawdziwą satysfakcją, że mogłem być nie tylko obserwatorem tego procesu, lecz także w nim w pewnym zakresie uczestniczyć.

Na marginesie tych refleksji chciałbym wspomnieć o pewnym epizodzie z roku 1989. Na początku czerwca uczestniczyłem w konferencji polskich

i niemieckich historyków gospodarczych, która odbywała się pod Warszawą, w pewnym barokowym pałacu. Właśnie w owych dniach wypadła pierwsza tura – po raz pierwszy w komunistycznej Polsce – częściowo wolnych wyborów do Sejmu. Koledzy niemieccy żywo interesowali się sytuacją polityczną w Polsce i całym sercem byli za demokratycznymi przemianami w moim kraju. Ów życzliwy stosunek niemieckich historyków do wydarzeń w Polsce wywarł na mnie pozytywne wrażenie.

Na początku lat 90., już w nowej Polsce, uzyskałem habilitację na podstawie rozprawy o początkach władztwa zakonu niemieckiego w Prusach. We wstępie napisałem: „Ambicją autora niniejszej pracy, poświęconej rodzinom władztwa krzyżaków w Prusach (...), było nawiązanie do dotychczasowych [niemieckich] badań nad władztwami. Ta okoliczność miała odróżnić nasze ujęcie od innych rodzimych prac naświetlających początki «państwa» zakonu niemieckiego nad dolną Wisłą, napisanych w duchu polskiej tradycji historiograficznej. Zakładaliśmy, że odnowiony kwestionariusz badawczy pomoże uzyskać nowe wyniki. (...) Wypada przy tym podkreślić, że również niemieccy badacze «państwa» krzyżaków w Prusach, tylko w niewielkim stopniu korzystali z rezultatów dyskusji poświęconej fenomenowi władztwa”.

Podjęcie się takiego zamierzenia byłoby niemożliwe bez dostępu do niemieckojęzycznej literatury fachowej. Na drugą połowę lat 80. i na początek lat 90. przypadają moje pobyty naukowe w Bonn, Berlinie czy Konstancji, ale także w Wiedniu. Osobiste kontakty z uczonymi niemieckimi nawiązane w Toruniu były bardzo pomocne przy organizowaniu takich wyjazdów. Muszę podkreślić, że wielokrotnie doświadczyłem życzliwości ze strony niemieckich kolegów.

Moja pierwsza publikacja poświęcona zakonowi niemieckiemu w Prusach ukazała się w 1983 r. Od tego czasu zebrało się tych publikacji kilkadziesiąt, przede wszystkim z lat 80. i 90. W ostatniej dekadzie w coraz większym zakresie podejmowałem inną problematykę. Mam satysfakcję, że nigdy nie uległem pokusie traktowania historii zakonu jako ideologii. Nawiązuję tutaj do książki prof. Wolfganga Wippermanna *Ordensstaat als Ideologie. Das Bild des Deutschen Ordens in der deutschen Geschichtsschreibung und Publizistik* (1979). Autor przyjmuje taką definicję pojęcia ideologii: „myślenie niezgodne z rzeczywistością, chociaż logicznie nie jest fałszywe”. W. Wippermann dał trafną analizę ideologizacji obrazu zakonu niemieckiego w piśmiennictwie niemieckim. Jeden rozdział poświęcił znaczeniu i funkcji ideologii państwa zakonnego w polskiej historiografii i literaturze.

Ideologizacja historii zakonu niemieckiego w Prusach jest obca praktyce badawczej współczesnej historiografii polskiej. Podobnie jest w historiografii niemieckiej ostatnich dziesięcioleci. Należy mieć nadzieję, że ten stan rzeczy jest nieodwołalny.

Marian Dygo, dr hab., prof. Wydziału Historycznego Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora, prorektor do spraw studenckich. Wykłada także na Uniwersytecie Warszawskim. Historyk wieków średnich. Punkt ciężkości jego badań spoczywa na historii Polski oraz Europy Środkowo-Wschodniej. W ostatniej dekadzie m.in. współautor książek: *Polska wobec Zachodu. Studia nad rozwojem średniowiecznej Europy* (2006), *Państwo Zakonu Krzyżackiego w Prusach. Władza i społeczeństwo* (2008). Współpracuje z Międzywydziałowym Centrum Badań Niemcoznawczych Akademii Humanistycznej. Żonaty. Hobby: podróże, literatura piękna.

ANDRZEJ FOGTT

Wspomnienia z podróży do Innego Świata

W 1989 r., z moją koleżanką – znaną polską artystką graficzką – Teresą Jakubowską, wybraliśmy się do Republiki Federalnej Niemiec. „Wybraliśmy się” – oznaczało wtedy otrzymanie od władz polskich paszportu i wizy z Niemieckiej Ambasady. Oba dokumenty udało się „załatwić”, tym bardziej szczęśliwie, że był to czas, co prawda już po stanie wojennym, ale za to w trakcie obrad okrągłego stołu. Czas nadal niespokojny nie tylko w Polsce, ale także w całej Europie, wyczekującej z niepokojem na rozwój wypadków. Wcześniej miałem ciekawe i bardzo dobre relacje z artystami po obu stronach berlińskiego muru, współpracowałem z galerią w Berlinie, a także z galerią w Oberhausen, mieście znanym z festiwalu filmów dokumentalnych. Tym bardziej, że już wcześniej miały miejsce spotkania z artystami niemieckimi podczas Biennale Weneckiego w roku 1984. Również podczas mojej wystawy w Galerii pod wieżą telewizyjną w Berlinie. Pamiętam z tamtego okresu wspólny „performens” (*performance*) z Wilfriedem Bonsackiem, literatem, na zakończenie mojej wystawy w Berlinie. Oficjalne władze ledwo wyraziły na to zgodę, sądząc, że zainteresowanie będzie niewielkie. Wilfried Bonsack, literat będący na przysłowiowym indeksie, nigdy nie gwarantował władzom Berlina imprezy grzecznej, a chociażby poprawnej politycznie. „Performens” się odbyło, przyszło kilkaset osób, które po zakończeniu przemaszzerowały z moim obrazem przez miasto do domu Wilfrieda. Było to niezwykle poruszające „widowisko” i w pewnym sensie zapowiadające rozwój wypadków politycznych, w tym zbliżający się upadek muru. A wracając do podróży, zaczęła się ona dość surrealistycznie na granicy NRD–RFN. Kiedy podszedł do mnie żołnierz pogranicza, prosząc o paszport, po sprawdzeniu

go zapytał, czy nie wymienilibym dolarów na marki. W pierwszym odruchu myślałem, że to zwykła i niewybredna prowokacja, jednak po chwili zdecydowałem się włożyć do paszportu 100 dolarów. Po kilku minutach żołnierz przyniósł mi marki, uśmiechnął się i powiedział: „to po dobrym kursie”! A następnie dodał: „Gute Reise nach Deutschland”. Zaczęło się jak u Mrożka, ale potem, gdy minęliśmy już granicę, nasza uwaga skupiła się na wypchanych różnymi towarami samochodach z polską rejestracją. Przewożono te towary masowo, a handel rozwijał się na niespotykaną dotąd skalę. W Polsce był to czas „polowych łóżek” na ulicach miast, gdzie towary z zagranicy szły jak woda. Powstawały początki wielkich fortun nowych kapitalistów. Ta towarowa ekspansja narastała w takim tempie, że w krótkim czasie doprowadziła do niebywałych wprost rezultatów handlowania towarami niemieckimi w Polsce. Dzięki temu wiele niemieckich firm uchroniło się od plajty. Trzeba zauważyć, że w tym czasie magazyny niemieckie pękały w szwach, a rynek zbytu był trudny. Patrząc na to z perspektywy czasu, był to wielki interes dla zachodniej Europy, ale przyświecał temu tylko jeden cel: rozwalić ten mur i cały komunizm, paradygmat ideałów wolności! Po kilku dniach jesteśmy już w Wolfsburgu, w bardzo wygodnym mieszkaniu lekarki polskiego pochodzenia, zresztą kobiety niezwykle eleganckiej i atrakcyjnej. Pani doktor, stomatolog, prywatna praktyka, znana, lubiana i bardzo szanowana wśród miejscowej społeczności. Zostaliśmy zaproszeni na prywatne przyjęcie do okazałej posiadłości dyrektora Fabryki Volkswagena. Gospodarze bardzo gościnni, zaprosili wielu znajomych i przyjaciół – ogromnie ciekawych polskiej kultury, polskiej sztuki, no i... wiadomości politycznych z Polski. Wspaniały bankiet, serdeczna atmosfera i ja – pokazujący filmy o polskiej sztuce współczesnej. Wszyscy nie szczędzili nam entuzjastycznych pochwał. Nie zapomnę oczywiście – a było już po północy, dobre wino szumiało w głowie kiedy przeemił gospodarz zaprowadził mnie na piętro domu, otworzył „tajnym” kluczem drzwi i powiedział: Andrzeju, tylko nic nie mów mojej żonie! Zobowiązanie rzecz święta, jesteśmy w pokoju ok. 25 m², moje zdumienie „powoduje uśmiech szczęśliwego dziecka”. Cały ten pokój wypełniony jest setkami torów, stacji, pasm górskich, pól, rzek z setkami miniaturowych kolejek. Siadamy w sterowni tego świata transportu kolejowego, palą się światełka mini-semaforów, nastawni, dworców kolejowych. Gospodarz uruchamia niezliczone składy miniaturowych pociągów. Na wagoniki wkładamy kieliszki z koniakiem, zabawa trwa do rana, dalej... już nie pamiętam, obudziłem się w wielkim wygodnym łóżku, gosposia podała śniadanie. Po „szalonym” tygodniu w Wolfsburgu ruszamy dalej, polecają nas przyjaciele Pani doktor, poznajemy nowych znajomych, odwiedzamy kolejne domy, rozmawiamy z ciekawymi ludźmi. Wycieczka

marzenie, kompletne oderwanie się od polskiej rzeczywistości, świat, w którym wszystko jest możliwe. Droga bez celu staje celem sama w sobie. Jesteśmy już w małym miasteczku w górach Harzu, piękny, okazały dom, wąskie uliczki dojazdowe. W tym domu mieszka koleżanka Teresy z dawnych lat, wyemigrowała do Niemiec w latach 60. Prowadziła świetną galerię sztuki, w której zajmowała się głównie konstruktywizmem. Jej mąż, niezwykle utalentowany malarz, doznał wylewu do mózgu i od tej pory był chory, coś w rodzaju schizofrenii. Jediną terapią było nadal malarstwo i to malarstwo niezwykle. Codziennie nasza nowa gospodyni przynosiła z ogrodu swojemu mężowi rozmaite kamienie. Zobaczyłem ten świat na własne oczy, zostałem do niego zaproszony, może jeszcze bardziej niż zaproszony, gdyż zostałem właściwie przez mojego chorego kolegę przymuszony. Rozległy pokój, na ścianach znakomite obrazy konstruktywistyczne „sprzed choroby”, a dalej wszystkie sprzęty, łącznie z podłogą, pokryte setkami pomalowanych kamieni. Widok nieprawdopodobny, wzruszający, można powiedzieć: „szlak terapii przez drogi wrażliwości na kolor” – taki szlak kolorowych kamieni życia. Niestety, nie mogłem wydostać się z tego domu, chory gospodarz zatelefonował do sąsiada i mój samochód (duży fiat 125p) został zablokowany w małej ulicy prowadzącej na posesję. „Bo tak się trudno rozstać!” – zrozumiałem, że moja empatia podziałała tak, że stałem się zakładnikiem tego niezwykłego artysty – malarza kamieni. Po dwóch dniach udało mi się przekonać go, że niestety – musimy ruszać w dalszą drogę.

Gdyby to było możliwe, ta podróż nie miałaby końca, roznosiła nas energia i ta cudowna niepowtarzalna atmosfera, więc tak po prostu zapytałem Teresę: jedziemy dalej, do Hiszpanii? A tymczasem – wiadomo: zupełnie realny stempel w paszporcie i nieubłagana data powrotu. Ponownie zbliżamy się do granicy; tysiące aut wypchanych towarami. Zapada zmrok, do mojego pustego samochodu podbiega kobieta i krzyczy, weźcie mi trochę towaru, bo w moim aucie się nie mieści, a przyczepy mi nie przepuszczą! Odmawiam jak mogę najuprzejmiej, ale reakcja jest okropna: wiązka inwektyw, a na koniec: ty niemiecka świniol!

Wracamy do polskiej rzeczywistości...

* * *

PS. Jak wieść rodzinna niesie – rodzina Vogttów podobno wywodzi się z zakonu Kawalerów Mieczowych. Rodzina von Vogtt, jak opowiadał mój ojciec, mieszkała w XVII w. w Kurlandii, następnie w Rosji, gdzie jeden z pradiadków był generałem w wojskach księcia Kutuzowa. Następnie rodzina przeniosła się do Naczy Starej koło Nowogródka (pradziadek ożenił

się z polską szlachcianką). W Naczy Starej urodził się mój ojciec Stefan Fogtt (nazwisko pisane przez F, zgodnie z alfabetem rosyjskim). Stefan Fogtt ukończył Szkołę Podchorążych w Grudziądzu i jako podporucznik 21. Pułku Ułanów walczył w kampanii wrześniowej. Trafił do niewoli, do obozu jenieckiego w Woldenbergu. Po wyzwoleniu znalazł się w więzieniu. Cudem uniknął wyroku śmierci! Po wyjściu na wolność osiadł w Poznaniu, gdzie w Spółdzielni Produkcyjnej Jankowice pracował jako księgowy.

Andrzej Fogtt – urodzony w Poznaniu 9 października 1950 r. Studia ukończył w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Dyplom uzyskał w 1974 r. w pracowni prof. Zdzisława Kępińskiego i prof. Magdaleny Abakanowicz. Brał udział w licznych wystawach, m.in.: jest laureatem VIII Festiwalu Sztuki w Zachęcie w 1979 r., laureatem Grand Prix Festiwalu Polskiego Malarstwa w Szczecinie w 1984 r. Reprezentował Polskę na 41. Biennale Sztuki w Wenecji w 1984 r., Polską Sztukę Współczesną w Londynie w 1987 r., w Moskwie i Berlinie w 1987 r., w Arras we Francji w 2007 r. Brał udział w wystawie: Polska Sztuka XX Wieku w Muzeum Narodowym we Wrocławiu w 1989 r. Prezentował swoje prace na licznych wystawach indywidualnych, w tym także w Narodowej Galerii Sztuki „Zachęta”.

Jego prace znajdują się w zbiorach m.in.: Muzeum Narodowego w Szczecinie, Muzeum Narodowego we Wrocławiu, Muzeum Narodowego w Kielcach, Muzeum Sztuki w Łodzi, Muzeum Narodowego w Pradze, Muzeum Puszkina w Moskwie, Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, Muzeum Środkowego Nadodrza w Świdnicy, Muzeum Okręgowego w Radomiu, Muzeum Etnograficznego w Chojnicach, Muzeum w Bielsku Białej, Muzeum Śląskiego w Katowicach, BWA w Warszawie, w Kolekcji Teatru Studio w Warszawie, Uniwersytetu Humboldta w Berlinie, Instytutu Polskiego w Paryżu, w Galerii w Berlinie, w Kolekcji miasta Arras we Francji, Wyższego Seminarium Duchownego w Olsztynie oraz w wielu kolekcjach prywatnych.

KRZYSZTOF GARCZEWSKI

Moje polsko-niemieckie opowiadanie

Niezwykle trudno jest mi opowiadać o polsko-niemieckich relacjach z własnego punktu widzenia. Moje osobiste doświadczenia w tym zakresie związane są nie tyle bezpośrednio z Niemcami, ile raczej z moim rodzinnym miastem, w którym ślady sąsiedzkich relacji nadal pozostają bardzo żywe.

Dlatego sądzę, że na moje zainteresowanie Niemcami w znacznym stopniu wpłynęło pochodzenie, ponieważ urodziłem się w „polsko-niemieckim” mieście – Bydgoszczy, która nazywana jest też „małym Berlinem”. Mały Berlin z polsko-niemiecką przeszłością. W Bydgoszczy uczęszczałem zarówno do szkoły podstawowej, jak i średniej. W tym mieście ukończyłem również studia.

Niemcy nazywają moje miasto „Bromberg”, ponieważ aż do końca I wojny światowej większość mieszkańców była niemieckiego pochodzenia. Znacząca ich część wyjechała stąd jeszcze w okresie międzywojennym. Krótko przed wybuchem II wojny światowej w Bydgoszczy mieszkało już tylko kilka tysięcy Niemców. Kiedy byłem dzieckiem, zobaczyłem mapę z zaznaczoną nazwą „Bromberg”. Nie mogę sobie niestety przypomnieć, czy sam ją znalazłem, czy też ktoś mi ją podarował. Pasjonowałem się wtedy mapami do tego stopnia, iż moja babcia przepowiadała mi, że kiedyś zostanę pewnie geografem. Nie miałem jednak żadnej mapy niemieckojęzycznej. Tym bardziej nie mogłem zrozumieć, co oznacza nazwa „Bromberg” i dlaczego tak wiele osób reagowało negatywnie na wszystko, co związane było z Niemcami. Do czasu aż wszystko wytłumaczyła mi moja prababcia Praksesta. W szkole nie dowiedziałem się tego.

U wielu mieszkańców nazwa „Bromberg” do dnia dzisiejszego wywołuje negatywne skojarzenia. Z powodu historii? Nie, z powodu polityki historycznej, która wystawiła oba narody na poważną próbę. Chodzi o wymyślane przez nazistowską propagandę pojęcie „Bydgoska Krwawa Niedziela”, co doprowadziło do nierozwiązanego do dziś konfliktu między Polakami i Niemcami (na ten temat czytaj: *Bydgoszcz 3–4 września. Studia i dokumenty*, red. T. Chinciński, P. Machcewicz, Warszawa 2008). Wśród znajomych mojej babci były też inne osoby, które przeżyły wojnę w Bydgoszczy. Kiedy pewnego razu rozmawialiśmy o wybuchu wojny w mieście, zareagowali oni bardzo emocjonalnie. Byli oburzeni, że „Niemcy nadal próbują pisać na nowo historię, mówiąc, że to oni byli ofiarami”. Kilka lat temu, kiedy byłem w Berlinie, odwiedziłem wystawę na temat polsko-niemieckiej historii. Kontrowersyjne wydarzenia zostały tam przedstawione w bardzo wyważonym, „politycznie poprawnym” tonie. Rozmawiałem z dwiema kobietami, które stanęły obok mnie. Kiedy powiedziałem, że „pochodzę z Bydgoszczy”, odpowiedziały, że „nie słyszały” o tym mieście. W końcu powiedziałem „Bromberg”. Wtedy jedna z nich odpowiedziała: „Ach, Bromberg! Przecież znam tę nazwę! To jest miasto, w którym (...)”. To była najlepsza lekcja historii, którą sam przeżyłem. One miały całkowicie odmienne wyobrażenie o tym, co się wydarzyło w Bydgoszczy w pierwszych dniach wojny.

Wtedy zrozumiałem, że wspomnienia nigdy nie są obiektywne, a historia nie ma tylko białej lub czarnej barwy. Dlatego musi ona być zawsze interpretowana w historycznym kontekście. Jest bowiem między ludźmi zbyt wiele historii, które są wobec siebie całkowicie sprzeczne.

W Bydgoszczy, tak jak w wielu innych miastach, także w nazewnictwie ulic „panowała swoista polityka historyczna”. Jedną z głównych arterii Bydgoszczy to dziś ul. Gdańska (Gdańsk, który w Niemczech znany jest jako Danzig, jest dziś jednym z największych miast portowych Polski). Jednak nie zawsze tak było. W XIX w. nazywała się ona Danzigerstraße, w okresie międzywojennym była ul. Gdańską, naziści zmienili ją później na Adolf-Hitler-Straße, po wojnie komuniści przemianowali ją na Aleje 1 Maja. W 1990 r. ponownie zmieniono nazwę ulicy na Gdańską.

Historia mojej rodziny także została naznaczona przez II wojnę światową. Skomplikowaną przeszłość poznałem dzięki mojej prababci Praksedzie. Również tę dotyczącą kontrowersyjnych tematów, a które do dnia dzisiejszego wywołują tak wiele emocji po obu stronach Odry. Prakseda, rocznik 1906, zmarła – podobnie jak mój dziadek Jan – w 1997 r., kiedy miałem 18 lat. Mówiła znakomicie po niemiecku.

Opowieści o życiu mojej prababci Praksedy i babci Czesławy (zmarła w 2012 r. w wieku 83 lat), które należały do pokolenia pamiętającego wojnę,

wywarły szczególnie duży wpływ na moje postrzeganie polsko-niemieckiej historii. Opowieści o „złych”, ale czasem także „dobrych” Niemcach były przedstawiane zawsze bardzo emocjonalnie. Upředzenia ze strony moich dziadków wynikały z ich osobistych przeżyć, ale nie były związane tylko z Niemcami, lecz także Ukraińcami i Rosjanami, ponieważ część mojej rodziny mieszkała podczas wojny w okolicach Lwowa. Dotyczyło to także mojej prababci. Gdy w 1990 r. zobaczyła po raz pierwszy nasz nowy blok mieszkalny pomalowany z zewnątrz na niebieski i żółty kolor (ukraińskie barwy), odżyły w niej dramatyczne wspomnienia z okresu II wojny światowej na Ukrainie. Pokazuje to, jak głęboki ślad pozostawiają w ludziach wojenne doświadczenia. O tych kwestiach rozmawiałem także z moim wujkiem – Walterem, który mieszka w Niemczech.

Na moje zainteresowanie tematyką niemiecką wpłynęły również rozmowy z prof. Zbigniewem Leszczyńskim, który był moim promotorem podczas studiów. Prowadzone z nim wielogodzinne dyskusje podczas seminariów rozpały we mnie naukową ciekawość i wpłynęły na moje dalsze zawodowe życie. Cenię go jako wspaniałego niemcoznawcę i naukowca, tak jak prof. Józefa M. Fiszerę, prof. Alberta Kotowskiego i prof. Krzysztofa Miszczaka. Także prof. Karola Czejarka, którego poznałem niestety bardzo późno, bo dopiero kilka lat temu w Pułtusk. Darzę go najwyższym szacunkiem.

Po ukończeniu studiów byłem zatrudniony ponad cztery lata w niemieckiej firmie niedaleko Bydgoszczy. Pracowałem w dziale kontroli jakości. Byłem odpowiedzialny przede wszystkim za utrzymywanie kontaktów z niemieckimi partnerami. Jednocześnie pracowałem w weekendy jako nauczyciel w szkole średniej i policealnej w Bydgoszczy.

Miałem okazję poznać wiele „polskich i niemieckich historii”, które pokazują, jak skomplikowana może być przeszłość. Moja teściowa Zofia urodziła się we wrześniu 1943 r. niedaleko Włocławka (zmarła w 2012 r.). Gdy zimą 1944/1945 zachorowała na zapalenie płuc, niemiecki lekarz uratował jej życie. Na krótko przez wyzwoleniem tych terenów uciekł przed armią radziecką.

Gdy usłyszałem jej opowieść, znów pomyślałem: ludzie, którzy przeżyli wojnę i niemiecką okupację, znają przecież historię dużo lepiej niż ja i to przede wszystkim oni powinni przekazywać ją kolejnym pokoleniom. Z historycznym kontekstem, lecz bez politycznych emocji. Mają do tego prawo! W przeciwieństwie do wielu polityków, którzy po obu stronach Odry wykorzystywali naszą wspólną historię do własnych politycznych celów. Dlatego jestem głęboko przekonany, że nasze biograficzne rozmowy również przyczynią się do lepszego zrozumienia obu narodów.

Krzysztof Garczewski: adiunkt na Wydziale Nauk Politycznych Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Puławach. Doktor nauk humanistycznych w zakresie nauk o polityce. Temat dysertacji: *Wysiedlenie Niemców z Polski jako problem polityki historycznej w stosunkach polsko-niemieckich w latach 1998–2010*. Zainteresowania naukowe: współczesne Niemcy i stosunki polsko-niemieckie, międzynarodowe stosunki polityczne, integracja europejska. Autor tekstów z zakresu współczesnych stosunków międzynarodowych, w tym polsko-niemieckich. Opublikował m.in. w języku polskim: *Polityka historyczna we współczesnych stosunkach międzynarodowych*, „Rocznik nauk politycznych” 2008, nr 11; *Polityka historyczna we współczesnych stosunkach polsko-niemieckich*, [w:] *Kultura pamięci. Studia i szkice*, red. A. Chlewicka, T. Kawski, Bydgoszcz 2013; *Fundacja „Ucieczka, Wypędzenie, Pojednanie” jako odpowiedź niemieckiego rządu na politykę historyczną Związku Wypędzonych*, „Myśl Ekonomiczna i Polityczna”, nr 2(41). W języku niemieckim: *Stiftung „Flucht, Vertreibung, Versöhnung” als politisches Problem in den deutsch-polnischen Beziehungen*, [w:] *Polen zwischen Deutschland und Russland – Polska między Niemcami a Rosją*, red. K. Czejarek, T. Pszczółkowski, Puławy 2011; *Polnische und deutsche Ostpolitik im Spiegel der heutigen internationalen Beziehungen*, „Nowa Polityka Wschodnia” 2012, nr 2(3). Uczestnik wielu krajowych i międzynarodowych konferencji naukowych. Członek redakcji naukowej w kwartalniku „Społeczeństwo i Polityka. Pismo edukacyjne” z zakresu najnowszej historii politycznej. Współpracownik Międzywydziałowego Centrum Badań Niemcoznawczych Akademii Humanistycznej w Puławach. Członek Polskiego Towarzystwa Nauk Politycznych. Był współpracownikiem portalu „e-polityka”.

KATARZYNA GAWOR

Niemcy u siebie i nie tylko

Moje pierwsze spotkanie z przedstawicielami naszego zachodniego sąsiada miało miejsce 2 września 1983 r. Miałam wówczas osiem lat i właśnie rozpoczynałam naukę w niemieckiej szkole podstawowej w Stambule. Nigdy nie dowiedziałam się, z jakiej przyczyny nie byłam obecna na rozpoczęciu roku szkolnego dnia poprzedniego. W każdym razie ominął mnie miły zwyczaj wręczania dzieciom tego dnia całkiem pokaźnej ilości słodczy. Nie ominęła mnie niestety pani sekretarka, która dowiedziawszy się, że mam na imię Katarzyna, ochrzciła mnie z niemieckiego Katarina, którego to imienia przez następne cztery lata serdecznie nie znośłam. Już przed wyjazdem do Turcji moi rodzice, wiedząc, do jakiej szkoły będę uczęszczać, podjęli pierwsze nader niezręczne próby zapoznania mnie z niemieckim. Używali w tym celu jednej z niewielu wówczas dostępnych książek do nauki tego języka, oczywiście dla dorosłych. Pamiętam do dziś, że materiał lekcji pierwszej zawierał informacje niezbędne do zakupu róż i tulipanów w kwiaciarni. Zbrojna w te umiejętności, miałam rozpocząć naukę w szkole niemieckojęzycznej.

Jednak owego 2 września byłam już przyzwyczajona do sytuacji, że nie rozumiem, co się wokół mnie mówi. Już od dwóch miesięcy mieszkałam w Stambule i zdążyłam nawiązać przyjazne kontakty z dziećmi z sąsiedztwa. Od tej chwili datuje się moja niezmienna miłość do tego narodu. I nie zmały jej nawet różne przeżycia z okresu mojej współpracy z Turkami, nader rzadko wykonującymi swoje zadania poprawnie. Tureckie dzieci były miłe, uczynne i wkładały naprawdę dużo wysiłku, aby doprowadzić do względnie werbalnego porozumienia się ze mną. Nie mogąc się początkowo ze mną nijak dogadać, „ochrzciły” mnie Liz Natalia, co dużo bardziej podobało mi się od nieszczęsnej Katariny.

Szkolne dzieci nie zrobiły już na mnie tak dobrego wrażenia i szybko podzieliły się na dwie kategorie. Typowi Niemcy – potomkowie dyplomatów lub Niemców pracujących w Turcji, oraz – jak nazwał ich jeden z moich kolegów, bez żadnych złośliwych podtekstów – „mieszańcy” z niemieckim rodowodem, ale też z cechami innych narodów. Z tą drugą grupą stanowczo łatwiej udawało mi się porozumieć. Wśród „typowych” Niemców prym wiodła niejaka Petra, której nazwiska szczęśliwie już dzisiaj nie pamiętam. Wyjątkowo wredna i złośliwa baba, której nie znosiłam. Tu uczciwie trzeba wspomnieć, że i w tej grupie zdarzały się jednostki łagodne, które nie wadziły nikomu, ale były jakoś mało interesujące. Być może wpływ na mój odbiór tego całego towarzystwa miał fakt, iż byłam od całej reszty dwa lata starsza. Jak wiadomo, w Niemczech dzieci rozpoczynają edukację szkolną w wieku sześciu lat, a ja zostałam dodatkowo „cofnięta” o rok ze względu na całkowitą niezajomość języka wykładowego. Niemniej jednak, z całego mojego czteroletniego pobytu w Stambule, jedyne negatywne wspomnienia związane są właśnie z niemiecką szkołą. Niewątpliwie mój pejoratywny odbiór tego miejsca jest spowodowany kontrastem między chłodnymi Niemcami a serdecznymi i ciepłymi Turkami, co dla dziecka miało szczególne znaczenie.

Żyjący w „europejskich enklawach” moi koledzy ze szkoły po kilkuletnim pobycie bardzo słabo lub nawet wcale nie znali języka tureckiego, który ja opanowałam już po dwóch latach. Patrząc na to z perspektywy matki, mogę się tylko dziwić rodzicom, że nie wykorzystali szansy, aby ich dzieci nauczyły się tak ciekawego i egzotycznego języka. Zresztą z identyczną sytuacją zetknęłam się w Chinach, gdzie Polacy również żyli odizolowani od świata zewnętrznego, nie czując potrzeby dowiedzenia się czegokolwiek o kraju swojego pobytu. Po czterech latach w Turcji wiedziałam już, że Niemców nie lubię. Jednak muszę powiedzieć, że niemieccy nauczyciele, przyzwyczajeni do dzieci wszelkiej maści, nie faworyzowali nikogo. Pamiętam zabawną sytuację, która miała miejsce chyba w pierwszej klasie, kiedy to mój ojciec, świeżo po zdjęciu gipsu z prawej dłoni, po jej uprzednim złamaniu, z jakichś przyczyn przybył na rozmowę do nauczycielki. Była to kobieta słusznej postury i bardzo energiczna. Uściśnęła ową prawą dłoń serdecznie i krzepko, a mój ojciec syknął boleśnie i gwałtownie zbladł.

Na zakończenie edukacji w szkole niemieckiej otrzymałam od klasy bardzo elegancki komplet filizanek dla lalek, który zabrałam ze sobą, wracając do Polski, i który potem wśród przeprowadzek i ciągłego pakowania i rozpakowywania gdzieś się niestety zawieruszył. Obdarowywanie osób wyjeżdżających było standardem i wpisywało się w specyfikę tego miejsca, które

wszyscy po kilku latach opuszczali, aby powrócić do ojczyzny lub udać się na kolejną placówkę.

Moje następne zetknięcie się z Niemcami miało miejsce już na ich własnym terenie, ale w okolicach Frankfurtu nad Menem, który jest chyba najmniej niemieckim z niemieckich miast, na czym, moim zdaniem, polega jego urok. Jako młoda żona spędziłam tam sześć najnudniejszych miesięcy swojego życia w charakterze pani domu. Całkowity brak zajęć, do czego nie byłam przyzwyczajona, niewątpliwie wpłynął na moją ocenę tego miejsca. Mieszkałam w Bad Soden, urokliwej miejscowości składającej się z jednego deptaku, parku, małego lasu i domków jednorodzinnych. Było to idealne miejsce dla matek z niemowlętami i dla emerytów, którzy stanowili gros mieszkańców tego miasteczka. Niekiedy wypuszczałam się dalej, do Frankfurtu, i dziś ogromnie żałuję, że nie zwiedziłam go dokładniej, ale wówczas byłam nieco wystraszona samotnym pobytem w zupełnie obcym środowisku. Co więcej, mój ówczesny mąż nie był osobą ani towarzyską, ani lubiącą rozrywki, za to oszczędną i zazdrosną, dlatego bardzo niechętnym okiem patrzył na moje samotne eskapady.

Podczas nielicznych spacerów po centrum Frankfurtu zwróciłam uwagę na ogromną rzeszę cudzoziemców o zdecydowanie smaglejszej cerze niż rodowici mieszkańcy. Muszę powiedzieć, że właśnie ta różnorodność szczególnie mnie zachwyciła. Bardzo ciekawe było obserwowanie różnych narodowości tak ze sobą przemieszanych. Wybrałam się nawet do dzielnicy tureckiej, gdzie poczułam się prawie jak w domu, widząc nad różnymi lokalami szyldy w języku tureckim.

Kontakty z Niemcami również były bardzo przyjemne. Od czasu do czasu gawędziłam sobie z sąsiadką, osobą młodą i również niepracującą, ale za to „obarczoną” siedmiomiesięczną córką. Miła pani w muzeum sprzedawała mi karnet wstępu na wszystkie wystawy z 70% zniżką. Równie mili starsi państwo przepuszczali mnie w kolejce w Aldim, gdzie chodziłam robić drobne zakupy. Wszystko to nie zmieniło jednak faktu, iż mieszkając tam – nudziłam się straszliwie.

Efektom wielu kontaktów z Niemcami jest z mojej strony zdecydowana niechęć do zamieszkania kiedykolwiek na terenie tego kraju, za to jeszcze bardziej wzrosła gorąca sympatia do wszelkich południowych nacji. Nie miałabym żadnych obiekcji, aby zamieszkać w Turcji, Grecji czy Włoszech. Ja i Niemcy – po prostu nie mieliśmy do siebie szczęścia. Gdybym chodziła do niemieckiej szkoły w Niemczech, być może moje odczucia byłyby zupełnie odmienne i sądzę, że nawet pozytywne, gdyż głęboko wierzę, iż wśród Niemców jest także wiele osób miłych, życzliwych i interesujących. Myślę jednak, że niewielu wyszłoby zwycięsko w konfrontacji z ludźmi tak uroczymi, przyjaznymi, otwartymi i pomocnymi, jak Turcy.

Katarzyna Gawor – jej przygoda z językiem niemieckim oraz kontakt z tą kulturą zaczęły się dość wcześnie i trwają w zasadzie bez przerwy od trzydziestu lat. Po czteroletnim pobycie za granicą przez następne trzy lata aż do końca szkoły podstawowej miała sporadyczny kontakt z językiem niemieckim. Ale od pierwszej klasy szkoły średniej zaczęła uczęszczać na kursy, ucząc się intensywnie tego języka. W wieku dziewiętnastu lat sama zaczęła nauczać języka niemieckiego i zajmuje się tym do dzisiaj. Interesuje się historią i kulturą Niemiec, co stanowi bazę dla pisanego przez nią doktoratu. Przez cały czas zgłębia wiedzę na ten temat i z ogromną przyjemnością sięga po publikacje zarówno polskie, jak i niemieckojęzyczne.

MIROSLAW TADEUSZ GÓRNY

Od babci Emmy do „Fairplay Towage Reederei”

Emma Schulz przysłała na świat w Pieruszycach koło Pleszewa, w roku 1910. Była wnuczką pochodzącego z okolic Flensburga niemieckiego osadnika, których wielu przybyło do Wielkopolski w drugiej połowie XIX w.

Wspólne życie osadników z lokalną ludnością polską musiało układać się w miarę normalnie, skoro w roku 1927 zakochała się (z wzajemnością) w młodym polskim artylerzyście – Władku Górnym, który właśnie odbywał służbę wojskową w Pleszewie. On – Polak, katolik, ona – Niemka, ewangeliczka. Pobrali się 21 stycznia 1928 r., zawierając równocześnie pierwszy, jakże ważny w ich życiu kompromis, że dla równowagi duchowej rodziny, mieszkając w Polsce, swoje przyszłe dzieci wychowają w religii i tradycji katolickiej. Z czasem Emma również stała się żarliwą katoliczką.

Krótko po ślubie, jak wielu ich rówieśników w tamtym czasie, zdecydowali się na emigrację z Polski, zwaną wtedy „emigracją za chlebem”. Ich ziemią obiecaną miała być Belgia, gdzie w jednej z kopalń Limburgii Władysław zetknął się z młodym Edwardem Gierkiem, który po latach miał odegrać bardzo ważną rolę w historii Polski i Polaków. W Belgii urodziły im się dwie córki: Wanda i Łucja, a w połowie lat 30., gdy na pewien czas wrócili do Pleszewa, przyszedł na świat syn Zygmunt. Na krótko przed wybuchem wojny wyjechali do Belgii ponownie, tym razem do Walonii – Marchienne-au-Pont, przedmieścia Charleroi. Dzięki pracy Władysława w zakładach lotniczych w Marchienne mroczne lata okupacji przeżyli w miarę bezpiecznie, aż do ostatniego okresu wojny, kiedy to od władz okupacyjnych Władysław dostał nakaz podjęcia pracy w ewakuowanej z Belgii filii zakładów lotniczych Junkerswerke w Kleinschönau, koło Zittau, w powiecie Görlitz. Bardzo bali się

rozdzielenia w tamtych wyjątkowych czasach, więc podjęli decyzję o przeniesieniu się całą rodziną o kilkaset kilometrów na wschód. W Kleinschö-nau, jako „element zdegenerowany” (małżeństwo Niemki z Polakiem), trafili do obozu pracy razem z wielonarodową rzeszą robotników przymusowych. Tam też przeżyli nadejście frontu ze wschodu i koniec wojny, który dla nich nie oznaczał niestety natychmiastowego końca wojennej traumy. W nowej sytuacji znowu stali się „elementem niepewnym i podejrzanym” (tym razem jako małżeństwo Polaka z Niemką) i dlatego musieli jeszcze przez pewien czas pozostać w obozie, teraz już razem z miejscową ludnością niemiecką. Tam właśnie byli świadkami koszmarów, jakie zwycięzcy z czerwonymi gwiazdami na czapkach gotowali (w ramach „sprawiedliwości dziejowej”) ludności cywilnej niedawnego najeźdźcy-okupanta... Rodzina Górnych przeżyła w komplecie. A gdy w końcu ucichły wybuchy bomb i wystrzały, Emma i Władysław – ku wielkiemu zaskoczeniu – zobaczyli, że do miejsca, gdzie się znajdowali, „przyszła” Polska. Najbliższe polskie miasteczko – Bogatynia (Reichenau/Sachsen) – znajdowało się o kilka kilometrów za miedzą. Choć wielu kierowało się na Zachód, oni – chyba nie do końca uświadamiając sobie zmiany polityczne i ustrojowe, jakie zaszły i wciąż zachodziły w Polsce – postanowili pozostać na nowych polskich Ziemiach Zachodnich. Najpierw w Markocicach koło Bogatyni (gdzie Władysław został nawet na krótko sołtysem), a od 1946 r. – w przepięknym dolnośląskim miasteczku, słynącym w średniowieczu z górnictwa złota – Złotoryi (dawniej Goldberg/Schlessien). To właśnie Złotoryja miała stać się ich „żyłą złota” na resztę życia. Tam zamieszkali w nowym domu z ogrodem, tam dorastały i zakładały rodziny ich dzieci, rodziły się wnuki i prawnuki. W Złotoryi przeszli na emeryturę i doczekali Złotych Godów (do diamentowych zabrakło im pięciu miesięcy). Emma była idealnym i wspianiałym przykładem pełnej polonizacji w jednym pokoleniu. W czasach, gdy na zamieszkałych głównie przez dawnych Kresowiaków terenach jej imię brzmiało dość obco, a także po doświadczeniach wojennych, u niektórych budziło bolesne skojarzenia, zaczęła zatem używać swego przybranego drugiego imienia – Cecylia.

Dzieci i wnuki wychowywała w duchu zdrowego patriotyzmu, odpowiedzialności i bezkompromisowych zasad moralnych. Nigdy jednak nie zapomniała o swoim pochodzeniu, przekazując najbliższym jedynie najlepsze i najwartościowsze wzorce i prawdy z obu kultur i tradycji, w których sama wyrastała. Szybko wtopiła się w nowe środowisko, była bardzo lubiana przez sąsiadów i znajomych, praktycznie nie miała wrogów. Dom Górnych był gościnny, otwarty i przyjazny dla wielu przybyszów, m.in. dla tych zza zachodniej granicy, których wielu przyjeżdżało, począwszy od lat 70., by odwiedzić swój utracony Heimat. Zazwyczaj kierowani byli przez sąsiadów

pod adres 11. Listopada 8, „bo tam mieszka pani, która zna język niemiecki i udzieli wszelkich informacji”. Otrzymywali nie tylko informacje, lecz także i serdeczne słowo, a bardzo często i gościnę. Można było wyczuć, że Emma Cecylia Górna czuła jakąś wewnętrzną potrzebę bycia – choćby tylko bardzo lokalnym – ambasadorem, pomagającym przerzucać pierwsze małe mosty, a raczej „kładki”, między brzegami dwóch różnych światów, w których żyli ludzie, „dziś miejscowi” i „kiedyś miejscowi”, a z którymi – zarówno z jednymi, jak i z drugimi – czuła swego rodzaju wspólnotę i solidarność. Zależało jej chyba na tym, by goście z Niemiec nie wracali do domów w nastrojach obcości i przygnębienia, ale by spostrzegli, że nowi mieszkańcy Złotoryi to normalni, otwarci na dialog i przychylni porozumieniu ludzie, którzy – zanim przyjechali na Dolny Śląsk – podobnie jak niemieccy wypędzeni, w wyniku rozstrzygnięć wielkiej polityki, utracili swe strony ojczyste.

Nie trzeba dodawać, że takie powtarzające się wizyty i znajomości (szczególnie tych „gorszych” Niemców z RFN) nie były w tamtych czasach dobrze widziane, czego wyrazem były pewne „rozmowy dyscyplinujące”, jakie z Górnymi raz po raz dyskretnie przeprowadzano. Pomimo tego kontakty i odwiedziny nie ustawały, a niektóre rozwinęły się w prawdziwe przyjaźnie, które przetrwały próbę czasu i są do dziś kontynuowane przez młode pokolenia.

A młode pokolenia... młodszy i starsi następcy Cecylii i Władysława (od których odejścia minęły zaledwie 22 lata), żyją dziś w zupełnie innym świecie. Nasi zachodni sąsiedzi nie są już, jak wmawiano przed laty, demonicznymi rewizjonistami, którzy tylko czekają, by odebrać Polakom swoje dawne, utracone ziemie. Nie są już też w polskich oczach bogaczami, którzy przez czarnorynkową siłę swoich D-marek wyłączali u wielu Polaków racjonalne myślenie. Dziś Niemiec to nasz *p a r t n e r* w biznesie, w polityce, w kulturze i w wielu innych dziedzinach. Dzięki otwartej Europie jesteśmy pełnoprawnymi partnerami dla większości europejskich nacji. I chyba wielu z nas, po chwili zastanowienia, zgodziłoby się z tezą, że to z Niemcami udaje nam się układać najlepiej, najefektywniej i najbardziej sensownie. To wzajemne poznanie się i rozumienie jest wielkim, wypracowanym przez lata, wspólnym sukcesem. Sukcesem przypominającym o tym, że poza bolesnymi doświadczeniami ostatnich z górą 200 lat (ze szczególnym uwzględnieniem koszmaru II wojny światowej), te dwa europejskie narody sąsiadowały ze sobą przez długie wieki w pokoju i współpracy.

Wielką misją starszego pokolenia jest dzisiaj przekazywanie młodym Polakom i Niemcom, oprócz wiedzy o trudnej historii, także informacji (często osobistych i indywidualnych doświadczeń) o sukcesach, osiągnięciach, pozytywach i korzyściach, czerpanych przez wieki i ostatnie lata ze

wspólnego sąsiedztwa. Czy np. dzisiejsza polska młodzież wie (bo nie może tego pamiętać), że w latach 80., w czasie ponurych dni stanu wojennego, najczęściej transportów z pomocą humanitarną przychodziło do Polski z Niemiec? (bardzo spłyca temat ten, kto twierdzi, że był to jedynie głos sumienia i solidarności z ofiarami wojny i własnej okupacji). O tamtej wielkiej, spontanicznej akcji winniśmy pamiętać szczególnie dzisiaj, gdy podobnego odruchu serc oczekują od Polski inni, będący w potrzebie.

Sporo jeszcze czasu upłynie, zanim z wzajemnych relacji polsko-niemieckich całkowicie znikną – czasem narosłe przez całe wieki – stereotypy, mity i obustronne uprzedzenia. Ale pozytywne zmiany zachodzą na naszych oczach. Niektóre z nich jeszcze przed 25 laty brzmiałyby, jak wizje *science-fiction*, a dziś przyjmowane są przez wielu jako coś zupełnie naturalnego. Jednak to wszystko nie byłoby nigdy możliwe bez polskich przemian z sierpnia '80, zburzenia muru w Berlinie czy też bez Unii Europejskiej. A dodatkowo, nie będzie chyba nadużyciem ani zarozumiałością stwierdzenie, że babcia Emma Cecylia miała w tym również swój drobny udział?

Fairplay Schleppdampfschiffs-Reederei Richard Borchard GmbH działa w niemieckich portach już od 108 lat, a od 10 lat także w portach polskich jako Fairplay Polska. Firma ta zasponsorowała w 2012 r. przekazanie do niemieckich bibliotek uniwersyteckich, wydanej przez Akademię Humanistyczną w Puławach, książki Prof. Karola Czejarka i Prof. Tomasza G. Pszczółkowskiego *Polska między Niemcami a Rosją*.

Los chciał, że dyrektorem Fairplay Polska jest dziś (piszący te słowa) wnuk babci Emmy.

Czy ktoś mógłby wymyślić ciekawszy scenariusz?

A babcia Emma Cecylia Górna, z domu Schulz..., jeśli obserwuje nas z góry, prawdopodobnie kwituje to wszystko uśmiechem i swoim ulubionym, wypowiedzanym po niemiecku słówkiem:

r i c h t i g...

Mirosław Tadeusz Górny (rocznik 1960) – lata dzieciństwa i wczesnej młodości spędził w Złotoryi, na Dolnym Śląsku (matura w złotoryjskim Liceum Ogólnokształcącym w 1979 r.).

W latach 1979–1985 studiował na Wydziale Inżynierijno-Ekonomicznym Transportu Politechniki Szczecińskiej, na kierunku Transport Morski.

Przez 15 lat (1979–1994) członek Chóru Akademickiego Politechniki Szczecińskiej im. Jana Szyrockiego, z którym uczestniczył w wielu

światowej rangi festiwalach i konkursach chóralnych, jak również tournée koncertowych tego zespołu po kilku kontynentach.

Od roku 1988 do 1999 związany zawodowo z firmami eksploatacji floty grupy Polskiej Żeglugi Morskiej w Szczecinie (Polsteam Ocean-tramp, Polsteam Asia Singapur).

W roku 1994 ukończył z wyróżnieniem kurs zarządzania przedsiębiorstwami żeglugowymi zorganizowany przez Norwegian Shipping Academy w Oslo.

W latach 2000–2003 – dyrektor Porta Żegluga – firmy logistyczno-żeglugowej Stoczni Szczecińskiej Porta Holding.

Od roku 2003 – dyrektor zarządzający i członek zarządów polskich firm, wiodącej europejskiej grupy żeglugowo-holowniczej Fairplay Towage w Hamburgu (Fairplay Polska w Świnoujściu, Project Żegluga w Szczecinie i w Gdyni oraz WUŻ Gdynia).

Od roku 2001 – honorowy dyrektor firmy żeglugowo-brokerskiej Seamind Pte.Ltd. w Singapurze.

KURT HEIMANN

Fotograficzna podróż przez starą ojczyznę

Urodziłem się 3 maja 1936 r. w Groß Strehlitz, OT Mokrolona (dziś Strzelce Opolskie), w rodzinie, której członkowie od setek lat działali w obrębie rolnictwa (rolnik, ogrodnik, owczarz, dojarz). Ślady po przodkach mojego ojca, Huberta Heimanna, mimo różniącej się pisowni, sięgają XVII w. Jak wskazują nazwiska, musieli osiedlać się w okolicach Opoła z różnych zachodnich obszarów Niemiec. Natomiast przodkowie mojej matki, Marie Kołodziej, byli przeważnie Górnoślązakami, możliwe że także Polakami. Można tak wnioskować na podstawie dokumentów dotyczących jej miejsca urodzin.

Mój ojciec był mistrzem dojarskim i odpowiadał za stado bydła hrabiowskich dóbr skarbowych „Elisabethhof” w Mokrolona koło Groß Strehlitz do stycznia 1945 r. Do tego czasu mieszkaliśmy razem – rodzice, dwie moje siostry i ja – także w tej miejscowości. 18 stycznia 1945 r. moja matka uciekła wraz z nami – trójką dzieci, krewnymi i wieloma mieszkańcami przed nadciągającym frontem, który docierał już do wschodniej granicy ówczesnej Rzeszy Niemieckiej. Po wielodniowej podróży pociągiem dotarliśmy do Miśni (Meißen) w Saksonii, gdzie – mogę to teraz powiedzieć – znaleźliśmy nową ojczyznę. Ojciec musiał pozostać i troszczyć się o bydło. Po wojnie, która w ostatnich miesiącach także i jego wciągnęła, szczęśliwie odnalazł nas.

W gospodarstwie rolnym niedaleko Miśni znalazł pracę również jako dojarz. Dzięki temu zapewnił naszej pięcioosobowej rodzinie skromną egzystencję. Nasza matka nie pracowała. Miała wystarczająco dużo codziennych zmartwień związanych z wychowywaniem trojga dzieci. Ponadto z powodów zdrowotnych nie była w stanie wytrzymać takiego obciążenia. Po upływie

roku ojciec zatrudnił się jako kontroler jakości mleka. Od 1 września 1950 r. zajmował się pracą nad sztucznym zapładnianiem bydła w Saksonii.

Dla mnie ta data to początek nauki w – oddalonej o osiem kilometrów – szkole średniej im. Ernsta Schnellera w Miśni, którą ukończyłem, uzyskując maturę – w lipcu 1954 r. Już wtedy byłem pewien, że w przyszłości mój zawód będzie związany z rolnictwem. Przez rok pracowałem jako kontroler jakości mleka, po czym przez dwa lata uczęszczałem do szkoły rolniczo-ogrodniczej w Dreźnie-Pillnitz. Naukę w niej zakończyłem w 1957 r., zdając państwowy egzamin na technika weterynaryjnego. W kolejnych latach moja praca związana była z „programem zwalczania gruźlicy wśród bydła”. W tym czasie ukończyłem jeszcze Zaoczne Studium Rolnicze na Uniwersytecie Karola Marksa w Lipsku i uzyskałem dyplom w zakresie rolnictwa.

Skromne zarobki mojego ojca i rozsądne postępowanie mamy stworzyły rodzinie względną stabilizację. Prawie nie odczuwało się niedostatku, a rodzice potrafili dostosować się do każdych warunków. Związki ze „starą ojczyzną” były nadal pielęgnowane. Niektóre rodziny, także i nasza, pełniły zarówno w Polsce, jak i w Niemczech rolę swego rodzaju punktów informacyjnych. Wujek, młodszy brat mojej matki, przebywał u nas przez pewien czas po zwolnieniu go z sowieckiego obozu jenieckiego aż do czasu usamodzielnienia się. Z zachowanych listów rodzinnych z tamtego okresu mogliśmy dowiedzieć się, jak wiele problemów i trudności trapiło naszych rodziców, ale wspominają oni też te bardziej radosne chwile. To, że skutki wojny nie mogły być nic nieznaczące, było dla dorosłych oczywiste, ale już i my – jako starsze dzieci (7 i 9 lat) – zostaliśmy w tę „atmosferę” włączeni.

Wszyscy byli zgodni co do przyczyn i okoliczności, które doprowadziły do takiej klęski. Żadna wojna nigdy i nikomu nie przyniosła nic dobrego.

Bieda była z naszej perspektywy relatywnie łatwiejsza do zniesienia, ponieważ wyjechaliśmy z naszej ojczyzny przed „wojennym walcem” i w miarę logicznie potrafiliśmy oceniać te wydarzenia. Nasi rodzice mówili nam, abyśmy nigdy nie zapomnieli, skąd pochodzimy i jakie okoliczności doprowadziły do wojny. Historyczne powiązania i kontekst pojęliśmy – my dzieci – oczywiście znacznie później.

W dawnej „ojczyźnie” mieliśmy jeszcze wielu krewnych ze strony i ojca i mamy. Utrzymywaliśmy przede wszystkim listowne kontakty, szczególnie z dziadkiem (ze strony mamy), który zmarł w lipcu 1949 r. W 1961 r. pojechałem pierwszy raz z mamą do Strzelec Opolskich. W pobliżu mieszkała Gertruda Kampczyk, najstarsza siostra mojej matki, z którą też długo i systematycznie utrzymywaliśmy kontakt.

Często jeździliśmy do krewnych, także po śmierci mojej matki (10 kwietnia 1967 r.). Dla mnie osobiście kulminacyjnym punktem tych spotkań były

dwie charakterystyczne wystawy w 1997 r. pod tytułem: „Fotograficzna wędrówka po rodzinnych stronach” w Strzelcach Opolskich i w Sanktuarium Św. Jacka w Kamieniu Śląskim. Przypominam sobie, że prowadziliśmy ożywione dyskusje podczas przygotowań do nich i przy ustalaniu tytułu. Nie było żadnych wątpliwości co do samego sensu wystaw. Dlatego przygotowując je, dołączyłem ulotkę z następującą informacją: „Zdjęcia nie mają symbolizować żadnej wielkiej sztuki, lecz pokazywać obrazy, które można zobaczyć i przeżywać w sposób całkowicie indywidualny. Podziwiać piękno i urok górnośląskiego krajobrazu! Prezentację traktuję jako pokłon dla miasta, w którym się urodziłem, a jednocześnie jest to mój skromny wkład w umacnianie idei tolerancji i przewycięzania bezmyślności. Wspaniały humanista, lekarz, teolog, muzyk i Laureat Pokojowej Nagrody Nobla – Albert Schweitzer, powiedział: „Wielkim przekleństwem naszych czasów jest bezmyślność. Musimy uczynić wszystko, aby się od niej uwolnić!”

Filozofia Alberta Schweitzera, wyrażająca się w pięknym tytule: „Poszanowanie życia”, bardzo wcześnie wywarła na mnie ogromny wpływ. W moim obszernym zbiorze artykułów znajduje się tekst z 1955 r. na temat Schweitzera; miał on wtedy 80 lat. Jednak systematycznie zacząłem się nim zajmować dopiero od początku lat 70., kiedy zostałem w Miśni kierownikiem działu informacji (*VEB Tierzucht Dresden*). Kierowany przeze mnie zespół otrzymał, po wcześniejszym złożeniu przeze mnie wniosku, niezwykle prestiżowy, zaszczytny i honorowy tytuł „Alberta Schweitzera”. Przyznał go Komitet im. Alberta Schweitzera, uznawany przez NRD aż do politycznego przełomu w Niemczech 1989/1990. Wraz z przeprowadzeniem reorganizacji (także w rolnictwie *VEB Tierzucht*), Komitet został rozwiązany, a wraz z nim – także kierowany przeze mnie dział.

Moje zainteresowanie filozofią tego wielkiego humanisty pozwoliło mi nawiązać szerokie kontakty również z Polskimi Towarzystwami noszącymi imię Alberta Schweitzera: w Poznaniu (dr med. Bogusław Stelcer), w Krakowie (prof. dr. med. Henryk Gaertner). W roku 2009 wziąłem udział w sesji poświęconej Schweitzerowi w Poznaniu, a 25 maja 2011 r. w Gliwicach jako przedstawiciel drezdeńskiego Koła Przyjaciół Alberta Schweitzera. To spotkanie zostało zorganizowane przez Ewangelickie Towarzystwo Edukacyjne (ETE) przy wsparciu Domu Współpracy Polsko-Niemieckiej w Gliwicach. Tematami tych posiedzeń były kwestie związane z etyką i tolerancją w odniesieniu do obecnej rzeczywistości.

Jak już wcześniej wspomniałem, w Polsce mam wielu krewnych, znajomych i serdecznych przyjaciół, z którymi utrzymuję niezwykle przyjazny kontakt. Zawdzięczam je również polsko-niemieckim rozmowom biograficznym. Prowadzimy ożywioną dyskusję na często kontrowersyjne tematy,

ale zawsze osiągamy konsensus, który jest podstawą każdego rozsądnego dialogu.

Bardzo interesująca dla mojej małżonki i dla mnie była podróż na Śląsk, zorganizowana przez parafię (kościół pw. Trzech Króli w Dreźnie) w dniach 20–22 czerwca 2008 r. pod hasłem: „Śląsk – miejscem pojednania”. Wykłady dotyczyły relacji polsko-niemieckich w aspekcie pojednania. Odbывały się one w mniejszych i większych miejscowościach, m.in: w Zgorzelcu, Trzebnicy, Wrocławiu.

We Wrocławiu zwiedziliśmy odbudowaną, przepiękną Starówkę i katedrę. Zostaliśmy też zaproszeni do „Centrum im. W. Brandta”, w którym prof. Krzysztof Ruchniewicz (dyrektor Centrum) wygłosił wykład na temat: „Wypędzenia i przesiedlenia – z polskiej i niemieckiej perspektywy”. Zwrócił m.in. uwagę na to, że polska ludność podczas II wojny światowej, co nie było nam aż tak powszechnie znane, także doznała ogromnych obciążeń i cierpień wskutek wypędzenia ze wschodnich terenów Polski.

Trzeciego dnia wzięliśmy udział w polsko-niemieckiej mszy świętej w Świdnicy, w wybudowanym w całości z drewna ewangelickim kościele. Podczas dalszej podróży pokazano nam międzynarodowe, historyczne miejsce spotkań młodzieży w Krzyżowej. Referat pt. „Przypomnieć przeszłość – kształtować przyszłość. Krzyżowa, jako przykład polsko-niemieckiego pojednania”, którego wysłuchaliśmy, unaoczniał nam, jak można dyskutować o przeszłości bez żadnych uprzedzeń. Niekiedy jednak trudno jest zrozumieć i zaakceptować historię i fakty. Schweitzer trafnie powiedział: „Jeżeli nie będziemy mieli jasno określonych wspólnych celów, nie wyrwiemy się z przekłętej przeszłości!”

Na moim biurku znajduje się tekst modlitwy Friedricha Christopha Oetingera (1702–1782): „Bóg daje mi spokój i każe przyjmować rzeczy, których nie mogę zmienić; daje odwagę, by zmieniać rzeczy, które mogę zmienić, oraz mądrość odróżniania jednego od drugiego”. Czy jest się chrześcijaninem, czy też nie, te słowa powinny być ważne, szczególnie w przypadku drażliwych tematów, dla każdego rozsądnego i obiektywnie myślącego człowieka.

(Przełożył Krzysztof Garczewski)

Kurt Heimann, ur. 03.05.1936 r. w Mokrolona/Groß Strehlitz, obecnie Strzelce Opolskie. W styczniu 1945 r. razem z matką i młodszym rodzeństwem uciekli przed Armią Czerwoną i zamieszkali w Meißen (Miśnia) w Saksonii. Pochodzi z rodziny pasterskiej. Ukończył studia rolnicze na Uniwersytecie Karola Marksa w Lipsku, także studia podyplomowe z zakresu hodowli zwierząt. Obecnie – na emeryturze. Interesuje się filozofią Alberta Schweitzera, udzielając się aktywnie w Towarzystwie jego imienia. Chętnie odwiedza swoje dawne rodzinne strony, ma w Polsce oddanych przyjaciół. Jego pasją jest dokumentowanie historii i tradycji Śląska Opolskiego. Swoje prace fotograficzne prezentował w roku 1997 m.in. w Domu Kultury w Strzelcach Opolskich.

MARKUS HILL

Przebaczenie i pojednanie – znakiem naszych czasów

Mozna by powiedzieć: „góra urodziła mysz”, gdyby wyłącznie na podstawie mediów i popularnej prasy miało się oceniać dokonane zbrodnie, wypędzenia i przesiedlenia, które miały miejsce w czasie II wojny światowej.

Rzecz dotyczy zarówno polskiej, jak i niemieckiej prasy popularnej (tzw. „popołudniówek”), nierzadko też i dzienników porannych (niby w swej wymowie poważniejszych), ale jakby tego nie nazwać, trudno na podstawie wyłącznie dziennikarskich doniesień opierać swoją opinię, w tych jakże niezwykle ważnych wciąż sprawach.

Zwłaszcza, że przy okazji pojawia się na ogół temat „zastępczy” – dotyczący zagadnienia, jakim jest „przebaczenie”!

Pozwolę sobie w tej sprawie wyrazić własne zdanie, w dużej mierze oparte na opiniach „wypędzonych”, które niekoniecznie musi być zgodne z myśleniem „zdeklarowanego” – w tych sprawach – „polskiego patrioty”. Ale wolno mi – skoro mamy demokrację i upłynęło już tyle lat od tamtych wydarzeń – mieć w tej sprawie swoje zdanie. Myślenie, jak dotąd, wolne jest od wszelkiej cenzury. Nawet, gdyby czytający w tej chwili te słowa w ogóle go nie podzielali.

Dlaczego jako ekonomista (który studiował też nauki polityczne) w ogóle ośmielałem się zabierać głos w tej sprawie? W gruncie rzeczy powinni się tym zajmować przede wszystkim politolodzy i historycy. Ale moja wieloletnia wymiana poglądów na tematy polsko-niemieckie (i nie tylko) z Ka-

rolem Czejarkiem i jego zaproszenie do niniejszej książki – zainspirowały mnie do tego.

Mój ojciec był w latach 90. ubiegłego wieku bardzo często służbowo w Polsce jako przedstawiciel jednego z niemieckich banków. Z wielu kontaktów, które wówczas nawiązał, rozwinęły się bardzo dobre, do dziś trwające znajomości i przyjaźnie. Jest z nich dumny i niejednokrotnie opowiadał mi o nich. Gdy np. zmarł Tomek, najlepszy – jak go określał – z polskich przyjaciół, wyraził swoje współczucie oficjalnym nekrologiem!

Kiedy rodzina Zmarłego przeczytała to – za pośrednictwem Karola Czejarka (bo nie znała niemieckiego), ojciec telefonicznie podziękował Karolowi za to, jednocześnie „poznając” go telefonicznie. Korzystając z okazji, poprosił także „Pana Profesora” o umożliwienie stałego kontaktu z nim interesującemu się historią synowi (czyli mnie). Wspominam tę chwilę do dziś z wielkim rozrzewnieniem, gdyż była to sytuacja niezwykła; w każdym razie od tamtej pory trwa moja korespondencja i wymiana myśli z Karolem. Jestem mu za to bardzo wdzięczny. Szczególne zainteresowania historią zawdzięczam swojemu nieżyjącemu już dziadkowi, który też był profesorem.

Karol i ja od bardzo długiego już czasu dyskutujemy ze sobą o Polsce i Niemczech, o najprzeróżniejszych sprawach związanych z życiem obydwu narodów i społeczeństw. Niejednokrotnie różnimy się oczywiście w poglądach. Albo inaczej, ja przyjmuję jego argumentację, zmieniając swoje myślenie o dyskutowanych przez nas zagadnieniach.

Chętnie też przyjechałbym do Polski na jedno z kolejnych seminariów „biograficznych”, mające odbyć się w Pułtusku w Akademii Humanistycznej, która powołała nawet do życia – jak się dowiedziałem – Międzywydziałowe Centrum Badań Niemcoznawczych, którego owocem jest m.in. wydana już książka (którą mam) *Polska między Niemcami a Rosją*. Ale wróćmy do zagadnienia „przesiedlenia” – jak to się nazywa oficjalnie w Polsce, i „wypędzenia”, która to nazwa funkcjonuje w Niemczech.

Przed zmianami politycznymi w Europie Wschodniej stowarzyszenia „pielegnujące” w Republice Federalnej Niemiec pamięć o wypędzeniach, bardzo często były wykorzystywane zarówno przez polskie, jak i rosyjskie organy rządowe w celu zahamowania rozpoczętego w szerokim wymiarze pojednania. Wykorzystywano je za żelazną kurtyną jako „straszaki” przeciwko tworzeniu się jakichkolwiek związków przyjaźni i współpracy.

Wciąż podkreślano, że godzą w tzw. jedność państw socjalistycznego systemu, że mają rewizjonistyczne plany i zamiary, zapominając o tym, że przecież zaledwie w dwa tygodnie po wkroczeniu niemieckiego Wehrmachtu w 1939 r. do Polski od wschodu weszła Armia Czerwona i to nie tylko jako obrońca Polaków, ale także jako „śmiertelny” wróg, którego po-

tem – już po roku 1945 – też nikt nie witał z otwartymi rękoma, a wręcz przeciwnie.

W 1945 r. w procesie Norymberskim zasiedli jednak wyłącznie zbrodniarze nazistowskiego reżimu, jakby zapomniano o zbrodniach dokonanych w Polsce również przez Armię Czerwoną. Ale oficjalnie Rosja znalazła się po stronie zwycięzców, więc nawet na myśl to nikomu wówczas nie przyszło. Choć oczywiście nie da się w sposób jednoznaczny i prosty obu zbrodni porównać i osądzić! Jako Niemiec nie kwestionuję w tym momencie naszej winy za wywołanie wojny, zbrodni i okrucieństw w Polsce. Zwracam tylko uwagę na pewne zagadnienia, które jak gdyby wymknęły się z oceny zdarzeń.

Wina Niemców jako sprawców tych tragicznych wydarzeń jest bezsporna! Do dziś nie mogę pojąć, jak można było ulec teorii rasy panów, dopuścić do rasizmu i mordowania systematycznego całych narodów. Ale problemu wypędzenia i kwestii odpowiedzialności za wszystkie cierpienia i ból ludzi po obu stronach nie wolno stawiać na tej samej płaszczyźnie. To zbyt duże uproszczenie sprawy. Rzecz w tym, i tu przytoczę słowa Zarathusta: „Kto nie wyciąga wniosków z przeszłości – tego przyszłość ponownie pokarze”. Chodzi o to, aby historia II wojny światowej i „jej” zbrodnie już nigdy się nie powtórzyły.

Ale wracając do stowarzyszeń „wypędzonych”, które napsuły tyle krwi w stosunkach polsko-niemieckich, szczególnie w przeszłości – wciąż jeszcze próbują one „podnosić głowę” i powstaje wrażenie, że pod wspólnym szyldem zgromadzili się sprawcy i ich ofiary

Wciąż jeszcze próbuje się przykryć własną odpowiedzialność winą tych, którzy „wypędzili” i dokonywali często na kobietach i dzieciach mordów i gwałtów. Ja tym ludziom odpowiadam, że w imię sprawiedliwości dziejowej i normalizacji naszych wzajemnych stosunków – „dajcie wreszcie spokój!”, a nawet w imię tych, którzy przez wypędzenie cierpieli i ginęli. A słowo „wypędzeni” proponuję wreszcie zastąpić wyłącznie słowem „przesiedleni”. Tym bardziej, że los ten dotknął także wielu Polaków, których już po wojnie przesiedlono siłą z byłych terenów polskich na wschodzie na tereny „poniemieckie”.

Nie ma niestety dzisiaj dokładnych liczb, ile osób – zarówno Niemców, jak i Polaków dosięgnął ten proceder. A wszystko to stało się z powodu zbrodni, którą wywołali naziści. A najgorsze jest to, że zwykle najbardziej poszkodowani są w takich przypadkach niewinni ludzie. Lecz czy dziś z tego powodu trzeba koniecznie dążyć do zemsty, nawoływać do rewizji, dyskutować o tym bez końca? Tego nie jestem pewien, a nawet jestem przeciwny.

Wszyscy Niemcy, którzy z takim entuzjazmem w roku 1933 wyciągali rękę z hitlerowskim pozdrowieniem, muszą raz na zawsze zrozumieć swoją winę w tym, że nie przeciwstawili się dojściu NSDAP do władzy, w wyniku czego miliony ludzi straciło życie.

Ale nie powinno się (przynajmniej już dziś) stosować wobec tych wydarzeń odpowiedzialności zbiorowej. Jako człowiek młodej generacji jestem za tym, aby przerwać niekończącą się dyskusję o odpowiedzialności. Nacjonalizm niemiecki raz na zawsze należy potępić i nie pozwolić, żeby podobne zbrodnicze cele kiedykolwiek zrodziły się w ludzkiej głowie.

Podobnie myślą ludzie w innych krajach, np. na Węgrzech czy w Czechach. Także w byłej Jugosławii podejmowana jest dyskusja, jak wobec niedawno mających tam miejsce czystek etnicznych przejść do życia w pokoju i w zgodzie bez wzajemnych pretensji i próby panowania jednych nad drugimi.

Oczywiście nigdy nie powinno to oznaczać, że zbrodnie nazistowskie kiedykolwiek mogą ulec przedawnieniu czy zapomnieniu; zbyt wiele ludzi, szczególnie w Polsce, z tego powodu ucierpiało i poniosło niepowetowane straty.

Wiele przykładów świadczy o tym, że dzisiejsze Niemcy zrozumiały swój błąd, szczerze żałują tego, co wydarzyło się z udziałem ich starszego pokolenia. I dziś – bez wielkich słów – współczują tym, których te tragiczne wydarzenia dotknęły.

Mogę tylko stwierdzić, że nie znam dziś nikogo ze swoich współziomków, którzy chcieliby „jutro” jeszcze raz wkroczyć do Polski, by np. odzyskać Śląsk czy inne utracone ziemie! Młode pokolenia z zażenowaniem wspominają niechlubną przeszłość i nie dopuszczają do tego, aby historia mogła się powtórzyć. Moje pokolenie wyciągnęło z tych doświadczeń właściwą dla siebie naukę.

W dyskusjach o przebaczeniu ten wątek został całkowicie pominięty, albo nawet niezauważony. Dziś młodzi Niemcy i Polacy co najwyżej wiedzą, że obydwie nasze narody miały wspólną, tragiczną w skutkach, brutalną – by rzecz nazwać po imieniu – historię. I że wszystkiemu winien był Hitler. Zapomina się o tym, że tego Hitlera, jego nazistowsko-nacjonalistyczną koncepcję państwa, wielu Niemców bezkrytycznie swego czasu poparło. Nie powstrzymały go także żadne międzynarodowe siły; pozwolono mu wdrażać zgubne i tragiczne dla milionów ludzi koncepcje. Można zatem powiedzieć, iż „cierpienia” dotknęły obie strony, choć na pewno nie w jednakowej skali. Tak wprost nie da się porównać cierpienia, którego doznał naród polski, z tym, którego doznali w wyniku przegranej wojny Niemcy. To oczywiste.

A piszę o tym dlatego, żeby podkreślić, iż nie wszyscy Niemcy byli „nazis” (nazistami)! I że nie wszyscy Polacy byli ofiarami. A na ogół tak właśnie

w uproszczeniu definiuje się „wspólną przeszłość”. Trzeba w tym „banku” wiedzy o przeszłości umieć rozgraniczyć pewne kwestie i nie wrzucać ich do jednego „koszyka” historii. Inaczej nigdy nie wydziemy z zaczarowanego kręgu mitów i stereotypów. W kontaktach osobistych łatwiej to sobie wzajemnie wytłumaczyć; gorzej w oficjalnych podręcznikach. Tragicznej historii nie zmienimy, powinniśmy ją umieć „po ludzku” (w imię przebaczenia i zrozumienia) interpretować. Wtedy znacznie łatwiej osiągnąć kompromis. Każda ze stron może mieć w tej interpretacji własne punkty widzenia; nie we wszystkim musimy się zgadzać, traktując nasze dzisiejsze dążenie jako proces do osiągnięcia pewnej wspólnoty interesów.

O jakiegokolwiek polityce rewizjonistycznej nie może być dziś mowy (a jeśli zdarza się, to nie ma ona żadnego społecznego, a tym bardziej politycznego poparcia). Można natomiast spojrzeć na minioną historię nie tylko w kolorach „czarno-białych”, lecz także pokusić się o próbę nowej jej interpretacji.

Okres, który minął od II wojny światowej, i tak potwierdza starą maksymę, że „czas leczy rany”, ale po ranach pozostają blizny, chodzi więc o to, aby te blizny już nie bolały i nie przeszkadzały normalnemu życiu. To dotyczy pokolenia przedwojennego i wojennego. Inaczej ma się rzecz w odniesieniu do młodych pokoleń Niemców i Polaków, które nie są winne temu, co się stało, ani też nic złego sobie nawzajem nie uczyniły.

Młode generacje łączą ze sobą: wspólne zainteresowania, fascynacje, wspólne interesy i poprawność we wzajemnym postępowaniu. Młodzi już nawet nie pamiętają, że jeszcze niedawno Europę przedzielała „żelazna kurtyna”, dzieląc ją na Zachodnią i Wschodnią. Urzeczywistniają się słowa b. kanclerza Niemiec – Willy’ego Brandta, który wiele zrobił dla wzajemnego zbliżenia i pojednania, głosząc: „Niech zrasta się to, co i tak ma wspólne korzenie”! I ten trend powinien rozwijać się dalej, powinien być mottem do wspólnej przyszłości.

Młodym Niemcom i młodym Polakom, ich odwadze i chęci przeciwdziałania złu zawdzięczamy to, że Niemcy dziś są znów jednym krajem. Polacy jako pierwsi dali temu impuls, obalając u siebie niechciany ustrój i budując most polsko-niemieckiego porozumienia, a dziś wspólnie tworzą jeden europejski „dom”, którego wszyscy mieszkańcy będą dla siebie zaprzyjaźnionymi i zgodnie współzyskującymi ze sobą sąsiadami! I znów można by się odwołać do starej maksymy: zgoda buduje, niezgoda rujnuje. Wszyscy pragniemy mieć wokół siebie tylko przyjaznych, uśmiechniętych i nawzajem życzliwych ludzi! Wierzę, że za sprawą młodych będzie to możliwe.

(Przełożył Karol Czejjarek)

Markus Hill, publicysta, menedżer i doradca biznesowy, od lat mieszkający w „międzynarodowym” Frankfurcie nad Menem – mieście finansów i kultury. Jako ekonomista łączy w sobie zainteresowania historią, filozofią i polityką, rozwojem gospodarczym i życiem kulturalnym zarówno swojego ukochanego miasta, jak i całych Niemiec oraz Unii Europejskiej. Szczególnie interesuje się Polską, jej przeszłością i teraźniejszością. Jest otwarty na spotkania, rozmowy, wszelką wymianę poglądów; można go również wykorzystać jako moderatora i referenta na konferencjach związanych z jego bezpośrednimi zainteresowaniami (ale nie tylko). Porozumiewa się dobrze w języku angielskim, ale oczywiście przede wszystkim w niemieckim.

WALTER HUNGER

Moja rodzina i Polska

Polska od lat jest dla mnie krajem bliskim, o którym opowiadam swoim uczniom, studentom i znajomym, zwłaszcza po tym, jak stała się członkiem Unii Europejskiej. Po długich latach – nazwałbym – „polityki nienawiści” (po tym, co hitlerowskie Niemcy wyrządziły złego w latach II wojny światowej) dziś Polska jest krajem, z którym Niemcy prowadzą politykę dobrosąsiedzkiej współpracy (popartej podpisanym dwustronnie traktatem) na zasadach obopólnych korzyści. Ale nie wchodząc w ocenę „wielkiej” polityki, pragnę się skupić na moich osobistych przekonaniach.

Słowo o rodzinie

Moi rodzice pochodzą z Zabrze, miasta nazwanego w 1915 r. Hindenburg. A więc Górny Śląsk jest poniekąd moją „małą ojczyzną”.

W styczniu 1945 r. moja matka, będąc ze mną w ciąży, uciekła z miasta, bojąc się nadejścia sowieckich oddziałów. Pierwsze pięć lat „po ucieczce” żyliśmy w Dreźnie, u przyrodniej siostry mamy Agnes.

Po dwóch nieudanych próbach przedostania się ze wschodnich do zachodnich Niemiec wreszcie udało nam się jesienią 1950 r. przedostać do Paderborn, gdzie mieszkał rodzony brat mamy.

Wtedy mój stosunek do Polaków i Polski był – przyznaję – „rewanżystyczny”, a wynikał z regularnego uczestniczenia w zebraniach stowarzyszenia wypędzonych Ślązaków i w uroczystościach kościelnych organizowanych dla „uciekierów” i „wypędzonych”, na których to śpiewano stare śląskie pieśni i kultywowano tradycje tych, którzy utracili swe niedawne rodzinne strony.

Msze i nabożeństwa w kościele odprawiali księża, którzy w Paderborn znaleźli się z tego samego powodu, co ja i moja matka. Do dziś pamiętam wszystkie te spotkania, zarówno „kościelne”, jak i „świeckie”, organizowane z najprzeróżniejszych okazji: Barbórki, Bożego Narodzenia i wielu, wielu innych. Jako

dziecko wzrastałem więc w atmosferze „antypolskiej” z powodu utraconej „ojczyzny” – Śląska, który w wyniku II wojny światowej został przyznany Polsce.

Spotęgowane to było także i tym, że mój ojciec walczył przeciwko powstańcom śląskim, opowiadając się w referendum za Śląskiem „niemieckim”, i był przekonany, że Polacy – swoimi „powstaniem” – siali niepotrzebny ferment. Pamiętam z dzieciństwa, że była o tym wielokrotnie mowa podczas każdego spotkania rodzinnego, a takie odbywały się zawsze w każde Boże Narodzenie i Wielkanoc.

Ale zdarzyło się też, że jeden z braci mojej mamy (a miała ich dziesięciu) w roku 1945, będąc już po drugiej stronie Odry, postanowił wrócić do Zabrza, z wielkiej miłości do swej żony, która była polskiego pochodzenia. Ale większość rodziny nie zaakceptowała jego decyzji.

Także jedna z moich kuzynek „uciekła” do Polski po to, by pracować w „polskim” hotelu.

Ale generalnie zostałem wychowany w duchu niemieckiego nacjonalizmu, który zawsze wskazywał na Polaków jako odwiecznych wrogów wszystkiego, co „niemieckie”.

Ale w Święta, gdy po niemieckich pieśniach śpiewano w kościele również polskie kolędy, wiele osób, nie kryjąc emocji ocierało chusteczką łzy.

Dzisiaj tamtych problemów nie ma.

Ludzie z Zabrza mieszkający w Zagłębiu Ruhry, oficjalnie kontynuują śląskie tradycje, pielęgnują język i szukają nawet najdalszych krewnych, by ich odwiedzać w Polsce. Wróciła tęsknota nie za krajem, lecz za miejscem urodzenia. Od lat także dużo Ślązaków przyjeżdża w odwiedziny „do Reichu”. Skończył się czas „plebiscytowych” wyborów. Nacjonalizm odgrywał dużą rolę w latach, gdy kończyła się I wojna światowa. Dawne spory i waśnie poszły w zapomnienie. Dziś ludzi łączy sentyment do górniczego stanu, troska o dialekt, który połączył niemczyznę z polszczyzną w bardzo specyficzny sposób. Dzisiejsze pokolenia chcą zachować i kulturę, i obyczaje, i tradycje swych przodków bez odwoływania się do polskiego czy niemieckiego pochodzenia! Ani to czysto niemieckie, ani też czysto polskie. Czy dzisiaj – we wspólnej Unii Europejskiej – jest to takie ważne?

Zagwiździe

Moje pierwsze spotkanie z powojenną Polską miało miejsce wiosną 1973 r. Przez trzy tygodnie wraz z grupą studentów teologii (którym też byłem) jechaliśmy autobusem przez Poznań, Kraków, Częstochowę, Warszawę, Gdańsk, Kołobrzeg, Zgorzelec, choć polskie nazwy nie były mi wtedy jeszcze znane, nadal więc mówiliśmy po powrocie, że zwiedziliśmy m.in.: Posen, Kraukau, Tschenstochau, Warschau, Danzig, Kolberg, Görlitz.

Jako zorganizowana grupa Postępowej Młodzieży Katolickiej (KSJ) zwiedziliśmy wtedy niemal całą zachodnią i środkową Polskę, podziwiając po drodze wspaniałe krajobrazy, rozmawiając z ludźmi i nawiązując liczne osobiste kontakty. Była to podróż pełna wrażeń i przeżyć, której nie zapomnę nigdy.

Jedna osoba z naszej grupy miała rodzinę w Zagwińdzu, w małej miejscowości na Opolszczyźnie. Korzystając z okazji, postanowiła ją z całą grupą odwiedzić. Przez wieś, jak pamiętam, prowadziła szosa, wzdłuż której po obu jej stronach stały domostwa i całe gospodarstwa. W samym centrum znajdował się bardzo duży (jak na tę niewielką miejscowość), masywny kościół.

Rodzina kolegi powitała nas niezwykle serdecznie, także miejscowy proboszcz był wcześniej poinformowany o naszym przyjeździe i jeszcze tego samego dnia oprowadził nas po swojej okazałej świątyni. Mówił do nas po niemiecku, choć w Polsce – o czym wiedzieliśmy – a zwłaszcza na Opolszczyźnie nie można było wówczas oficjalnie używać tego języka także w kościele. Zakaz obowiązywał do 1989 r., ale po roku 1956 nie był już tak rygorystycznie przestrzegany.

Cztery dni później wyruszyliśmy w dalszą podróż do Gdańska i zatrzymaliśmy się nad Wisłą na biwak. Od młodego wędkarza, który też zagaił nas po niemiecku, dowiedzieliśmy się, że uczył się niemieckiego już w szkole.

Przypomniało mi się, że gdy proboszcz w Zagwińdzu, które za czasów pruskich nazywało się Friedrichsthal, z dumą i pasją oprowadzał nas po swoim kościele, rozmawiając tylko w naszym języku towarzyszący nam polski pilot (który obowiązkowo przydzielany był do każdej zagranicznej wycieczki) był błydy, zdenerwowany i trząsł się ze strachu, a nawet w pewnym momencie zemdlał i musieliśmy go położyć na ławce. Bał się, by nikt go nie zadenuncjował, że na to pozwolił. Ale proboszcz nic sobie z tego nie robił i kontynuował po niemiecku swoje oprowadzanie, a na końcu nawet modlił się z nami.

Po zwiedzeniu kościoła zostaliśmy wszyscy zaproszeni przez księdza na plebanie – na ciasto i herbatę z rumem, a po kilku minutach nawet pilotowi minęła chandra. I nie zaprotestował, gdy zaczęliśmy rozdawać miejscowym mieszkańcom przywiezione przez nas paczki.

My – młodzi wówczas obywatele RFN zobaczyliśmy Polskę, może jeszcze niedemokratyczną, ale w której można było bez przeszkód się poruszać, rozmawiać z ludźmi, a odwiedzane miasta i nawet małe miejscowości – jak Zagwińdzie – były zadbane i czyste. Z pielęgowanymi według dawnych pruskich zwyczajów przeddomowymi ogródkami i uporządkowanymi gospodarstwami. Zauważyliśmy też, że w wielu miejscowościach oficjalnie i bez obaw posługiwano się nadal językiem niemieckim obok polskiego.

Odtąd także przez następne lata Zagwiździe zawsze było w programie naszych wyjazdów studyjnych do Polski. Bo każdy z nas – ponieważ mieszkaliśmy u rodzin – miał tu teraz oddanych przyjaciół.

Pragnę podkreślić niezwykłą gościnność wszystkich niemiecko-polskich rodzin, które nas podejmowały, nocowały i karmiły, chociaż wcześniej obawialiśmy się, że nie będzie „atmosfery” do swobodnego zwiedzania, otwartości i szczerości w czasie rozmów i spotkań z ludźmi. A wszystko odbywało się według starego śląskiego zwyczaju: Gość w dom, Bóg w dom!

Nawet polscy piloci (którzy z pewnością mieli „swoje” tajemne zadania, przed czym nas każdorazowo przestrzegano), zachowywali się poprawnie i byli wyraźnie usatysfakcjonowani, gdy spotykała nas wylewna polska gościnność.

W pamięci zostało mi do dziś niezapomniane spotkanie w miejscowym przedszkolu, a zwłaszcza występ artystyczny maluchów, które popisywały się przed nami w dwóch językach.

Gdy zatem dotarła do nas wiadomość, że po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego temu przedszkolu brakuje w zasadzie wszystkiego, co jest niezbędne dla jego prawidłowego funkcjonowania, ruszyliśmy natychmiast do Zagwiźdia busem wyładowanym po brzegi zeszytami, blokami rysunkowymi, kredkami i farbami wodnymi, ołówkami i długopisami (nawet papierem toaletowym) i wieloma prezentami dla dzieci i przedszkolank i mieliśmy ogromne szczęście na granicy, że nas nie skontrolowano, bo wieźliśmy wówczas także zabroniony przez władze papier, który był potrzebny związkowi zawodowemu „Solidarność” do drukowania tak niezbędnych w tamtym czasie ulotek, odezw, podziemnej prasy i książek.

I mała jeszcze na koniec anegdotka, choć prawdziwa

Na początku lat 80. dwie dziewczynki z Zagwiźdia nie wróciły do Polski z wycieczki, postanawiając pozostać w Republice Federalnej Niemiec. Decyzję o tym, że pozostaną tam – podjęły samodzielnie i spontanicznie, będąc już na miejscu i nie konsultując jej z nikim. Aby móc je później oficjalnie zameldować i umieścić w szkole, by dalej mogły się uczyć, miejscowe władze zażądały od nich „podkładek” w postaci aktów urodzenia, wcześniejszych świadectw szkolnych itp.

Zorganizowaliśmy natychmiast kolejną wycieczkę do Polski i przywieźliśmy żądane dokumenty, chowając je w busie między mapami drogowymi, które leżały na półce obok kierowcy.

Szyby w autobusie, którym jechaliśmy, udekorowaliśmy zdjęciami Lecha Wałęsy – laureata Pokojowej Nagrody Nobla, oraz plakatami

„czarnej Madonny” z Częstochowy, którą przywódca Solidarności nosił zawsze w klapie marynarki. I to także wówczas wystarczyło, byśmy nie byli kontrolowani ani na granicy, ani „na trasie” w czasie całej naszej podróży.

Dziś nie ma już przeszkód do wyjazdów i to w obie strony. Żyjemy we wzajemnej symbiozie, pomagając sobie wzajemnie, zapraszając się w odwiedziny. Dawne urazy przeszły do historii i pewnie już nigdy się nie powtórzą, bo młodzi (ale i starzy) nie dopuszczą już do tego. Wzajemne kontakty, z których wiele przerodziło się w trwałe przyjaźnie, są tego chyba najlepszą gwarancją.

I jeszcze o innych ważnych dla mnie spotkaniach z Polską w latach 1973–2001

Było ich wiele, gdyż Polskę odwiedzałem regularnie, zwykle jesienią każdego roku. Bo to jedna z najpiękniejszych dla mnie pór roku; jest jeszcze ciepło i wszystko bardzo dojrzałe w barwach zielono-brązowo-żółtych. W jesiennym słońcu podziwiałem w pełnym blasku odrestaurowane zabytki Warszawy, ale też innych miast. Pozostaną w mojej pamięci wizyty na warszawskim Zamku Królewskim, w warszawskiej Operze Narodowej. Wciąż brzmią w moich uszach koncerty chopinowskie (i nie tylko) w parku Łazienkowskim, także na krakowskim Wawelu i Rynku, a nade wszystko w kościele Mariackim. Każdy pobyt w Polsce wzbogacał moją wiedzę o tym niezwykłym, bohaterskim kraju, jego złożonej historii i mieszkańcach. Dzięki licznym pobytom w Polsce czuję się po prostu bogatszy. Wszystko nadal żyje w mojej pamięci! Zwłaszcza spotkania z niezwykłymi ludźmi. O niektórych pozwolę sobie w tym miejscu opowiedzieć, bo miały wpływ na kształtowanie się mojego wyobrażenia o Polsce.

Chciałbym zacząć od pewnej sceny, która wydarzyła się wiosną 1973 r., gdy przejeżdżaliśmy wczesnym przedpołudniem przez Opole. Mijaliśmy akurat oddział młodych żołnierzy udający się z koszar na pobliski poligon. Spoglądali z zaciekawieniem na nasz „niemiecki” autokar, gdy nagle jeden z naszej grupy głośno zawołał: „I to do nich mielibyśmy strzelać?” W autokarze zapadło głębokie milczenie, nikt nie odezwał się na te prowokacyjne słowa.

* * *

Bardzo wcześnie nawiązaliśmy kontakty, bo już w latach 70. ubiegłego wieku, z męskim Liceum im. św. Augustyna w Warszawie, które wtedy jeszcze nazywało się „Liceum Paxowskim”. Pierwsze „wymiany szkolne” nie należały jednak do najłatwiejszych, były jak gdyby konfrontacją dwóch systemów. Zaczynało się od tego, że z trudem zbieraliśmy grupę chętnych na

wyjazd do Polski, a i warunki, w których nas kwaterowano, początkowo nie były najlepsze. Odnosiliśmy wrażenie, że cały czas jesteśmy obserwowani, jakby nie ufano naszym dobrym intencjom. Także pierwsze rozmowy młodzieży ze sobą, czy też nauczycieli, były początkowo bardzo sztywne, by nie rzec sztuczne, a kontakt utrudniał jeszcze przekład i wzajemna nieznamość języków. Każde zdanie musiało być więc tłumaczone, i to nie przez zwykłych tłumaczy, a przez przydzielonych zawsze każdej grupie „specjalnych” pilotów.

Dopiero po „poczęstunku” rozwiązywały się wszystkim języki, tym bardziej, iż okazywało się, że niemal wszyscy doskonale mówili po niemiecku, ale i tak przez dłuższy czas dialog między nami wydawał się być sztuczny. Dawало jednak nadzieję, że z czasem lody zostaną przełamane. I tak w następnych latach się stało!

* * *

Na początku lat 80., gdy w Polsce obowiązywał stan wojenny, „odkryłem”, jaka była wtedy rzeczywista sytuacja gospodarcza Polski.

A było tak: jeden z naszych uczniów skaleczył się mocno w rękę i trzeba było z nim pojechać na pogotowie. Gdy lekarz już go opatrzył (mówił zresztą znakomicie po niemiecku) i chcieliśmy za usługę zapłacić, wyciągnął z szuflady cennik, w którym każda pozycja składała się z... kilkunastu cyfr. Powiedział wtedy: taką mamy obecnie inflację, że nikt z nas nie może zapamiętać cen, które w dodatku bez przerwy ulegają zmianom.

* * *

W czerwcu 1985 r. z grupą dorosłych zwiedzałem południowo-zachodnią Polskę. Jak wszyscy zafascynowany byłem Karkonoszami. Dla mnie osobiście wielkim przeżyciem w tej podróży był dzień 17 czerwca (Tag der deutschen Einheit) – wówczas jeszcze świętowano w RFN ten dzień na pamiątkę powstania robotniczego 17 czerwca 1953 r.

Byliśmy na Śnieżce, a z niej prowadziła wyasfaltowana droga, która nazywała się „polsko-czechosłowackiej przyjaźni”; ta droga była oficjalną granicą między obydwojma państwami: Polską a Czechosłowacją. A ponieważ urodziłem się w Czechach, skorzystałem z okazji, aby przynajmniej jedną nogą stanąć po stronie swojej dawnej „małej ojczyzny”. Gdy to zrobiłem, a wraz ze mną i inni z naszej grupy, natychmiast usłyszałem ostrzegawcze zawołanie żołnierza granicznego, który nas obserwował, abyśmy tego nie czynili. W tym samym momencie odbezpieczył swój pistolet maszynowy. Jak „spod ziemi” pojawił się cały oddział żołnierzy i pouczył nas groźnie, że nie wolno nam było tego zrobić. Bez słowa opuściliśmy to miejsce. Dlaczego w ogóle o tym wspominam?

Bo dziesięć lat później, w 1995 r. byłem z grupą uczniów w Orawce, w ówczesnym domu wypoczynkowym Paxu. Pamiętam też dzień, kiedy wybraliśmy się podczas gęstej mgły na Kasprowy Wierch, na który dotarliśmy kolejką linową. Mgła na górze był tak gęsta, że pobłądziliśmy i nagle znaleźliśmy się po stronie Słowacji. Ale wtedy na granicy nie było już żołnierzy i nikt nie krzyczał na nas, że przekroczyliśmy polsko-słowacką granicę. W ciągu zaledwie dziesięciu lat zmieniło się wszystko! Dziś już nie ma znaczenia, po której stronie słupa granicznego w Europie się znajdujemy.

Wróć w tym momencie jeszcze raz do roku 1985, kiedy z grupą młodzieży szkolnej nocowałem w Karpaczu. Podczas wieczornego spaceru trafiliśmy na młodzież siedzącą wokół ogniska jednego z tamtejszych ośrodków wczasowych. Zaproszono nas i okazało się, że była to grupa FDJ z NRD; gdy jednak dowiedzieli się, że reprezentujemy młodzież katolicką – podjęto z nami „pokojową” wymianę zdań i poglądów. Obserwując „pojednanie” młodzieży dwóch państw niemieckich przy ognisku pomyślałem, że nadejdzie dzień, kiedy ci młodzi ludzie znów będą „z jednego kraju”. I trafiać chciał, że odbyło się to na terenie Polski, która i naszemu narodowi pokazała teraz i wielokrotnie przedtem, jak należy walczyć o jedność narodową. Jak w praktyce realizować szczytne hasło, że wszyscy jesteśmy braćmi (i siostrami)! Tym bardziej, iż przełom w życiu społeczno-politycznym Polski – rok 1989 – jakby już był wyczuwalny w kontaktach młodzieży i nie tylko młodzieży polskiej – i niemieckiej (bez różnicowania, czy to ze strony NRD, czy Republiki Federalnej Niemiec). Można być wdzięcznym za to Polakom. I też jesteśmy.

* * *

Jeśli z perspektywy czasu ocenić naszą wymianę szkolną, jak i nasze podróże studyjne nauczycieli do Polski, to należy stwierdzić, że mogliśmy zaobserwować na przestrzeni lat, jak zmieniała się Polska. Byliśmy świadkami niebywalej historii przemian, które zapoczątkował w Polsce pamiętny rok 1956. Obserwowaliśmy potem z nadzieją, jak Edward Gierek otworzył Polskę na Zachód. Jak stopniowo opozycja polityczna ze Stanisławem Stomą w Sejmie przerodziła się w ruch społeczny „Solidarność”. Tylko w Polsce (w żadnym innym kraju byłego Bloku Wschodniego) takie znamienne wydarzenia mogły mieć miejsce. I wreszcie wszyscy podziwialiśmy, jaką rolę w tych przemianach odegrał papież Polak, Jan Paweł II!

* * *

Dla uczniów, z którymi przyjeżdżałem regularnie do Polski, były to tylko rozdziały z kolejnych etapów przemian, czasami dla nich jeszcze niezrozumiałe. Ale – muszę przyznać – z zainteresowaniem i ciekawością prosili

nas nauczycieli o ich komentowanie. Czyniliśmy to chętnie, podkreślając, że Polska jest ważną częścią Europy, bez której Europy nie ma. Jej tradycja i kultura wywodzi się od setek lat z tradycji Rzymu i nowożytnych Włoch. Że czerpała także od wieków z kultury Francji. A przy okazji mówiliśmy uczniom, jak bolesna często bywała historia Polski w kontaktach z Niemcami. Uświadamialiśmy im także, że kultura żydowska od wieków sprzężona jest z polską. Że wiele tradycji polskich wywodzi się z tradycji żydowskich. I tłumaczyliśmy (także woziliśmy za każdym razem naszą młodzież do Auschwitz, by na miejscu unaocznili sobie, co jedni ludzie uczynili innym), dlaczego ten obóz śmierci i niewyobrażalnych cierpień nadal pozostaje dla Polaków symbolem trudnego pojednania z Niemcami. Mimo upływu lat mało jest w Polsce rodzin, które nie ucierpiałyby w wyniku napaści hitlerowskich Niemiec we wrześniu 1939 r.

* * *

Od pierwszego dnia, gdy rozpocząłem w Paderborn organizację wyjazdów młodzieży do Polski, przekształconych potem w dwustronną wymianę szkół, także nauczycieli i dorosłych – byłem święcie przekonany, że to mój obowiązek i że w ten sposób – choć to były tylko drobne poczynania – przezwyciężymy dzielące nas bariery, ale nadejdzie czas, że będziemy – jak ongiś europejska kultura – jedną, rozumiejącą się i współpracującą ze sobą europejską rodziną! A przyspieszyć ten proces niewątpliwie mogą osobiste kontakty, ale także biografie zgromadzone w tej książce. I dumny jestem, że mogłem w tym przedsięwzięciu wziąć osobisty udział i z osiągniętego rezultatu jestem „nieskromnie” dumny.

(Przełożył Karol Czejarek)

Walter Hunger urodził się 4 lutego 1945 r. w Censka Kamenice (dawniej: Böhmisch-Kamnitz); maturę zdał w 1956 r. w Gimnazjum (pol. liceum) Theodorianum w Paderborn. Studiował germanistykę, pedagogikę oraz teologię katolicką we Freiburgu, Monachium i Münster. W latach 1972–2009 pracował jako nauczyciel w Gimnazjum Reismanna w Paderborn, a od 1980 do 1999 r. – jako wykładowca w Kolegium Kształcenia Nauczycieli. W latach 1999–2009 był dyrektorem Gimnazjum (Liceum) Christiana-Dietricha-Grabbe w Detmold.

Rodzice pochodzili z Zabrze; w roku 1945 po ucieczce przed Rosjanami zatrzymali się na pięć lat w Dreźnie, potem przenieśli się do Paderborn.

Współorganizator licznych kontaktów młodzieży niemieckiej i polskiej (w ramach wymiany szkół).

RENATA KACZKOWSKA

Za dwa, trzy lata...

Bardzo długo zastanawiałam się, czy powinnam napisać te wspomnienia. Doszłam jednak do wniosku, że jestem to winna wielu osobom, które poznałam w ostatnich latach.

Tak naprawdę moja historia nie jest nadzwyczajna. Spotkałam na swojej drodze ludzi, którzy – podobnie jak ja – z różnych przyczyn wyjechali za granicę. Zanim wyjechałam do Niemiec, pracowałam w Polsce w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych. Ponieważ nie zarabiałam zbyt dobrze, a moja rodzina też nie mogła mi pomóc finansowo, zdecydowałam się opuścić tę firmę tym bardziej, że mój przyjaciel (obecnie mąż) od pewnego czasu przebywał w Niemczech. Chciałam być wreszcie niezależna od moich rodziców, wzięłam więc pół roku bezpłatnego urlopu i udałam się w podróż w nieznane.

Do Frankfurtu nad Menem pojechałam pociągiem, a ponieważ nie rozumiałam nawet jednego słowa po niemiecku, martwiłam się, że za daleko pojedę. Wszystko poszło dobrze, a na peronie czekał na mnie mój przyjaciel. Pojechaliśmy do wynajętego wcześniej, jednopokojowego apartamentu w Offenbach. Dzieliliśmy go wspólnie z trzema osobami. Myślałam tylko o jak najszybszym podjęciu pracy, dlatego w najbliższą niedzielę pojechaliśmy do kościoła, próbując znaleźć kogoś, kto za pieniądze zajmuje się takim pośrednictwem. Na szczęście znalazł się ktoś, kto zaproponował mi pracę w tureckiej knajpie. Byłam tym mocno rozczarowana i zwyczajnie bałam się. Wszyscy zatrudnieni tam mężczyźni budzili we mnie lęk i nie wiedziałam, jak będę mogła się z nimi porozumieć. Jednak nie było tak źle, bo właściciel rozumiał trochę polski, a ja zaczęłam pilnie uczyć się niemieckiego. Moim zadaniem było przygotowywanie napojów i przekazywanie ich osobie, która je serwowała i przyjmowała pieniądze.

Po pewnym czasie poznałam w Offenbach dziewczynę, z którą nawiązałam dłuższą rozmowę. Zachęciła mnie do zapisania się na kurs języka niemieckiego. I tak rozpoczęłam naukę na kursie dla początkujących, w VHS we Frankfurcie. Na Nordring nie mieszkaliśmy długo, gdyż niektórym lokatorom przeszkadzało, że wracałam trochę później z pracy. Poza tym pięć osób w jednym pokoju nie czuło się komfortowo. Zaczęliśmy z moim przyjacielem szukać nowego lokum. Znaleźliśmy jeden pokój w trzypokojowym mieszkaniu we Frankfurcie. Niestety, w tym samym czasie straciłam pracę w Offenbach. „Moja” restauracja prawdopodobnie splajtowała, ale mam nadzieję, że nie z mojego powodu. Nigdy tego nie sprawdzałam, bo prawdę mówiąc – nawet ucieszyłam się. Nie czułam się w niej dobrze.

We Frankfurcie dość szybko znalazłam dwa miejsca do sprzątania. Jednym z nich był pensjonat, w którym zatrzymywali się prawie sami Arabowie, a drugim – mieszkanie prywatne. W pensjonacie musiałam najpierw nauczyć się kilku rzeczy, na przykład obsługi magła, ale także poznać choć trochę kulturę arabską po to, by nie popaść w tarapaty. Nauka była bardzo przydatna, gdyż już po kilku dniach niektórzy mężczyźni częstowali mnie cukierkami, których nie przyjmowałam! W Polsce poczęstowałabym się z uprzejmości, ale w kulturze arabskiej – w ten sposób składa się kobietom niedwuznaczną propozycję. W pensjonacie nie zarabiałam zbyt dużo, ale latem pracowałam więcej godzin, więc mogłam powoli wiązać koniec z końcem. Zimą „produkowałam” nawet zasłonki do mercedesa, które wytwarzał mąż mojej pracodawczyni. Zasłonki te były eksportowane przede wszystkim do krajów arabskich.

W drugim miejscu przytrafiło mi się zabawne zdarzenie. Pewna znajoma przekazała mi wiadomość, że bardzo miła pani potrzebuje pomocy, ponieważ jest w ciąży. Pani ta mieszkała dokładnie przy tej samej ulicy, co ja i mój przyjaciel. Poza tym to on do niej zadzwonił, gdyż ja nie potrafiłam jeszcze dobrze się porozumieć. I tak rozpoczęłam pracę u pani Eckardt, ale nie zauważyłam wcale, że jest ona w ciąży. Pani jeździła regularnie do lekarza, co było raczej normalne dla kobiety w odmiennym stanie. Ale w następnych tygodniach i miesiącach nic się nie zmieniał w wyglądzie mojej gospodyni. Później, kiedy poznałyśmy się lepiej, a moja znajomość języka na to pozwoliła, spytałam, jak to właściwie z nią jest? Dowiedziałam się, że ma 60 lat, a więc jest dokładnie w wieku mojej mamy. Była chora i musiała poddać się operacji. Kobieta, która poleciła mi tę pracę, nie mówiła dobrze po niemiecku i po prostu źle zrozumiała swoją znajomą. Serdecznie uśmialiśmy się z tej historii.

Z czasem mówiłam coraz lepiej po niemiecku i byłam polecana jako pomoc domowa innym osobom. Po roku miałam już tyle propozycji, że mo-

głam zrezygnować z pracy w pensjonacie. Wieczorami uczyłam się i pilnie uczęszczałam na kursy dla obcokrajowców. Osoby, u których pracowałam, cieszyły się z tego i mocno mnie wspierały. Niektóre nawet za bardzo. Pewnego razu, kiedy oddałam nauczycielowi do sprawdzenia moją pracę domową, otrzymałam uwagę: „Bardzo ładnie, ale kto to napisał?” Próbowałam rozwiązać moje zadanie samodzielnie, lecz okazało się, że było ono dla mnie za trudne i potrzebowałam pomocy. Pani Eckardt rozwiązała je za mnie, lecz zbyt dobrze, jak na mój poziom językowy. No cóż, po prostu miałam pecha.

W każdej wolnej minucie uczyłam się niemieckiego. Denerwowało mnie bardzo, że nie wszystko rozumiałam, a najtrudniejsze dla mnie były zapowiedzi w metrze i w szybkiej kolei miejskiej, kiedy trzeba było wysiadać, ponieważ wystąpiła jakaś awaria. Nie wiedziałam, co robić, więc naśladowałam innych ludzi. Prawie zawsze miałam w kieszeni kartkę, na której zapisywałam wyrazy do zapamiętania. Dialekt heski uważałam za trudny, ale jak usłyszałam w telewizji bawarski – przestałam narzekać; nie rozumiałam nic a nic! Czasami pytałam znajomych o znaczenie jakiegoś przestarzałego wyrazu, czego nie byłam wówczas świadoma, słyszałam: „Renata, ale ty zadajesz pytania!”

W nauce języka niemieckiego pomogła mi bardzo telewizja. W mieszkaniu mieliśmy tylko niemieckie kanały. Nasi polscy znajomi nie mogli zrozumieć, dlaczego nie mamy anteny satelitarnej, żeby odbierać nasze rodzime programy. Dziwne, ale takiej potrzeby nie mam do dzisiaj. W domu w Polsce oglądamy nadal programy niemieckie.

Osoby, dla których pracowałam, były bardzo miłe i uczynne. Wspomagały mnie w wielu sprawach, np. pomagały anulować nieprzemysłane umowy, rozwiązywać problemy z komputerem, poprawiały język. Szczególnie wiele zawdzięczam jednej rodzinie, która wynajęła nam mieszkanie. Przebywaliśmy w nim dziesięć lat. Było ono małe, ale bardzo przytulne. Rodzina, u której pracowałam, postarała się je wcześniej wyremontować. Pomogła też otworzyć nam konto, żebyśmy mogli bez problemu opłacać wszystkie mieszkaniowe rachunki. U rodziny tej pracowałam dwa razy w tygodniu; ja sprzątałam, a pani Eckardt gotowała dla swojego męża i dla mnie wspaniałe obiady. Poprawiała językowe błędy, co też czyni do dziś. Kiedy zdecydowałam się wrócić do Polski, mieszkalam przez pewien czas u niej, zaoszczędziłam wtedy trochę więcej pieniędzy i nie miałam żadnych problemów ze zdaniem poprzedniego mieszkania. Z panią Eckardt pozostaję w ciągłym kontakcie. Często dzwonimy do siebie i zawsze mamy sobie wiele do powiedzenia.

Bardzo trudno było mi podjąć decyzję o powrocie do domu. Przesuwałam ją ciągle z roku na rok. Moi znajomi w Polsce byli pewni, że nie wrócę

już nigdy. Za każdym razem, kiedy mnie o to pytali, odpowiadałam: „za dwa, trzy lata”. Bardzo dobrze czułam się w Niemczech, gdzie spotkałam niewiele osób, które były w stosunku do mnie nieuprzejme czy ksenofobiczne. Niektórzy mieli (co denerwowało mnie bardzo) pewne uprzedzenia bądź opowiadali stereotypy o Polsce. Ale my wszyscy jesteśmy tacy i każdy naród chętnie rozpowszechnia stereotypy. Przypominam sobie podsłuchaną kiedyś rozmowę – w moim głębokim przekonaniu – o Polakach. Chciałam wiedzieć, co mówią, więc spytałam o to wprost. Uśmiełam się, bo rozmowa nie była o Polsce, tylko o ... pyłkach. Miałam też inne wpadki z niemieckimi wyrazami z powodu mojej niepoprawnej wymowy lub dlatego, że nie było mi znane metaforyczne znaczenie niektórych wyrazów.

Dzięki osobom, u których pracowałam, nauczyłam się dużo, nie tylko języka. Myślę, że przez mój pobyt w Niemczech zmienił się też mój charakter. Wiele rzeczy widzę obecnie inaczej niż wcześniej. Jestem o kilkanaście lat starsza i bardziej doświadczona. Potrafię docenić wiele rzeczy, bo dobrze wiem, że „nic samo nie spada z nieba”, jak się niektórym wydaje. Nigdy nie żałowałam wyjazdu do Niemiec. Żałuję tylko, że nie wykorzystałam wszystkich szans, aby ten kraj poznać dokładniej.

W końcu podjęłam decyzję: zarezerwowałam bilet powrotny do Polski na pierwszego kwietnia! Dla moich znajomych w Polsce był to kolejny powód do śmiechu, bo w Polsce można w tym dniu „żartować” w sposób szczególny, więc i moi znajomi myśleli, że ich oszukuję. Tym razem jednak naprawdę wracałam i zostałam odebrana z lotniska przez mojego męża i... dwutygodniową suczkę. Pierwsze miesiące w Polsce nie były łatwe. Po dwunastu latach pobytu w Niemczech nie smakowały mi niektóre polskie produkty, a innych, np. dobrych niemieckich win, w małych polskich miasteczkach nie można kupić. Wiele moich polskich znajomości straciłam przez długą nieobecność w ojczyźnie. Wcześniej napisałabym „przyjaźni”, lecz tę ogromną różnicę między znajomością a przyjaźnią zrozumiałam dopiero w Niemczech. Więc te znajomości nie przetrwały próby czasu, a przyjaźnie – tak!

W Polsce zetknęłam się jeszcze z innymi problemami. Miałam nadzieję, że z moim małym i dużym dyplomem z języka niemieckiego łatwo znajdę pracę. Aby ją znaleźć w dużych firmach, miałam za mało znajomości. Żeby pracować w szkole, potrzebowałam dodatkowo pedagogicznego wykształcenia, chociażby po rocznym kursie. Jednak w czym innym był problem. Aby mogła uczestniczyć w tym kursie, musiałam mieć praktykę w szkole. I tak koło zamknęło się!

Podjęłam naukę w Kolegium Języków Obcych, które znajdowało się w naszym mieście. Studia trwały trzy lata. W tym czasie urodziłam syna, którego nazwałam Piotr. Po Kolegium chciałam kontynuować studia i po

niedługim wahaniu zdecydowałam się na Akademię Humanistyczną w Pułtusk. Tam studiowałam dwa lata dydaktykę języków obcych, którą ukończyłam w 2013 r. Poznałam wielu wspaniałych ludzi, a wśród nich – „mojego” profesora literatury, kulturoznawstwa i glottodydaktyki, dzięki któremu piszę te moje wspomnienia z Niemiec.

Przed rokiem odwiedziłam Frankfurt ponownie. Tym razem polecałam tam z moim trzyletnim synkiem. Zaprosiła mnie moja polska przyjaciółka, która wyszła za mąż za Niemca, a jej synek Adrian ma teraz dwa i pół roku. Pochodzi ona z tego samego miasta, co ja. Mamy podobne „problemy” z naszymi dziećmi. Oto jeden z nich: ona chce nauczyć swojego synka języka polskiego, ja swojego – języka niemieckiego. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. We Frankfurcie nie dałam rady odwiedzić wszystkich moich znajomych. Ci, których spotkałam, ucieszyli się serdecznie. Inni, którzy później dowiedzieli się, że byłam – mieli żal, że ich nie odwiedziłam. Mam nadzieję, że zobaczymy się następnym razem, gdyż osoby te bardzo polubiłam, tak jak i samo miasto, w którym czuję się jak u siebie w domu.

Renata Kaczkowska, absolwentka dydaktyki języków obcych Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusk. Ma 41 lat, urodziła się w Ostrołęce. Młode lata spędziła we Frankfurcie nad Menem, mieście, w którym czuje się jak w domu. Poznała tam wielu wspaniałych ludzi, z którymi pozostaje w kontakcie do dzisiaj. Matka czteroletniego syna – Piotra. Próbuje go zarazić sympatią zarówno do języka, jak i kraju, który jej samej stał się bardzo bliski. Od dwóch lat pracuje jako nauczycielka języka niemieckiego w Gimnazjum nr 1 im. Janusza Kusocińskiego w Ostrołęce oraz w gimnazjum w Ołdakach. Swoimi doświadczeniami z Niemiec chętnie dzieli się z uczniami, przez co próbuje zachęcić ich do jeszcze większego zaangażowania w naukę języka. Tytuł pracy magisterskiej: *Znaczenie motywacji w nauczaniu języka obcego*.

DIETER KALKA

Koniec świata*

Nawet dokładne określenie współrzędnych geograficznych nic by nie dało. Tymczasem jestem przekonany, że chodzi o pewien fenomen, o coś w rodzaju okna czasu, o fatamorganę lub coś podobnego do Trójkąta Bermudzkiego. A może chodzi tylko o jakieś nierozwiązane równanie, dla którego brak dowodu, albo też o sprawcę, któremu nie udowodniono przestępstwa. A zatem chodzi o coś, czego nie można by rozwiązać przez wieki. Są to po prostu zjawiska, którymi się fascynujemy, które na nas czyhają złudzeniami zmysłów i innymi bezwartościowymi rzeczami.

To, że koniec świata ma współrzędne, jest prawdziwym cudem, a to, że znajduję się w Polsce, jest kolejną osobliwością. Ale chcieć określać coś jeszcze po lub poza końcem świata postrzeganego czasowo lub przestrzennie, zgodnie z zasadami przeprowadzania pomiarów, jest czystym obłędem. Musiałem od samego początku ponieść klęskę. Niekiedy porażka jest czymś, co czyni dobro. Mimo że byłem pewien, iż tam byłem. I tak będę wydobywał z mojej pamięci czasy, miejsca oraz zdarzenia i przekazywał je papierowemu świadcowi.

Do budynku dworca, którego nie sposób odnaleźć, a w którym zamieszkivali matka, ojciec i dziecko zapraszający na niezwykle przyjęcie, dotarłem pieszo. Ale już w tym momencie wspomnienia się rozchodzą. Część pamięci chciałaby mi udowodnić, iż jechałem pociągiem. Inna jej część mówi o zakurzonej drodze przebytej piechotą aż do zakrętu tworzącego pętlę. Następnie droga wiodła w górę wzdłuż torów, pełna wzniesień i bardzo kręta, niekiedy tak wąska, że gdyby nadjechał pociąg, nie byłoby dokąd uciec. Jego sapa-

* Koniec świata – określenie geograficzne dwóch gospodarstw w pobliżu Cisnej, gdzie odbyło się opisane przyjęcie, koło dawnego dworca.

nie mogłoby stłumić morze drzew i pagórków tworzących las, mogłoby nas dosięgnąć na ostatnim zakręcie – tak, ale nas? Szedłem razem z Leszkiem, zagubionym, wiecznie szczerzącym zęby, jakby chciał w ten sposób zmusić ziemskość do zastanowienia się, jego żoną Teresą, malarką ikon, nadrabiającą także za niego część pobożności, cieszącą się życiem artystką pędzla i koniarką z miejscowości Cisna u podnóża gór. No i z Agnieszką.

Owa droga, pętla do zawracania, wijący się tor kolejowy – to wszystko można dobrze rozpoznać na zdjęciu satelitarnym. Jest niemal dowodem. Ale i podróż, a przede wszystkim to, w jaki sposób wysiadłem, jest niepewne, czy znalazłem się we właściwym miejscu – jedno i drugie się zgadza. Chociaż nie mogę już pokazać biletów. Pewne jest, że byłem tam tylko raz.

Czas: weekend na początku czerwca, sobota na przełomie tysiącleci. Dobry czas na tego rodzaju wstąpienia w nieskończoność. Było to w roku, zanim wybuchł pożar. Rok pechowców! Nikt bowiem nie przewidział potrzeby ubezpieczenia się.

Inna część pamięci podpowiada mi, że wysiadłem ze śpiworem i gitarą na stacji pośredniej kolejki wąskotorowej. Jako jedyny z podróżnych. Dzieci z matkami i ojcami pojechały dalej kolejką, którą ciągnęły dwa małe parowozy zwane Jasiem i Małgosią.

W małej kuchni można było zjeść nieco zupy, pod stołem powarkiwał piesek, przed domem był przywiązany łańcuchem wilk. Dzieci głaszały dzikiego zwierza. Za torami była Słowacja, ale żadna tablica nie informowała o granicy. Tam niedźwiedzie wyprawiały się do dużych miast i plądrowały pojemniki na śmieci.

Przed domem była łąka z miejscem do palenia ogniska. Na skraju lasu można było usiąść pod daszkiem chroniącym od deszczu. Dzieci szalały. Psy czekały. Wilki wyły. Pociąg dzienny odjechał. Nie można liczyć na dreżynę ani choćby na patrol pograniczników. Cztery lata przed przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej. Nie sposób określić współrzędnych kryjówek. Wódczany wieczór. Gwiazdzista noc. Teresa śpiewała huculskie pieśni. Leszek podśpiewywał bojkowskie pioseneczki. Jedna bardziej rozdzierająca serce od drugiej. Podano mi jako gościowi gitarę. Było już grubo po północy. Po pierwszej kolejce absyntu, ciemnozielonego jak lasy. Wilki wtórowały nam w śpiewaniu. Całe stado.

Jeszcze dziś mogę siedzieć upojony szelestem liści, załamujących się fal, mogę nasłuchiwać chmary ptaków, wchłaniać wiatr, przyglądać się załamaniom wody, wciągać w siebie bulgotanie, plaskanie, skapywanie wody, tak jakbym odczuwał pragnienie. Nie odczuwam przemijania, lecz tylko to, że jestem. Tak, jakbym był sobą. Zostałem zapomniany przez siebie samego. Na obrzeżach dźwięków. Na granicy muzyki. Gubi się ona w czymś nieokreślo-

nym w przestrzeni, ale ją chwytam i wiem, że umknie mi, jak skoczne żabki, młode ptaki albo jak jaszczurki obdarzone przez naturę przebiegłością.

Niekiedy stawiałem sobie pytanie, czy jestem jeszcze dzieckiem. W tych chwilach. Skąd bierze się to pragnienie. Pewien dźwięk przemija bezpowrotnie. Nie ma go. W czasie krótszym od chwili.

Bo to być może wystarczy do fascynacji. Aż do wieku średniego. Albo może i do starczego. Tymczasem unikam publicznych koncertów. Mówi się o muzyce, jak gdyby można było coś do niej dodać. Komentuje się ją, jakby się było papieżem krytyków. Nieznający nut słuchacze nie odróżniają choćby tonacji molowej od durowej. Jako aroganci bez żadnych zdolności pozbawiają wartości wyrastające przed nimi dzieła: katedrę symfonii, charyzmat pieśni, magię improwizacji. Obojętnie gdzie, czy to w przypadku chłopskiej muzyki dętej w górach, dni jazzu na rynku w Lipsku, nawet Gewandhaus nie jest przed nimi bezpieczny. Do tego doprowadziła demokracja. Idea równości. Gdzie każdy może równie wiele zepsuć. I sam jakby wnosi w to swą nicłość.

Warstwy społeczne, które niegdyś nie miały dostępu do muzyki, gdyż była celebrowana w zamkniętych kamerach, jak w tajnych związkach, niszczą ją dźwiękami telefonów komórkowych, wrzaskiem dzieci, banalną komunikacją. Ale nie w polskich górach. Za końcem świata. Wygląda na to, że tam zachowała się idea arystokratyzmu. Jako godność i nabożna cześć. Oddawana górom. Krzykowi dzikich zwierząt. Pomrukowi lasu. Szeptowi potoków.

Znam smutną pieśń, rzekłem.

Lubimy smutne pieśni!

Zaśpiewałem o lubelskim sztetlu, którego od półwiecza nie ma:

*Semdel und Milgraum versteckn den Plet / Fier de einikl aus Wolhinien,
/ Während ejn Nebechinker voribergeht / Und se de Besitzlosen mimen. //*
Noch ist das Quorum nicht erfüllt – / Auf der Brikn stejn nur ihrer sieben. /
Sie staunen und sin gor aufgewielt: / Wo ist unser Stetl gebliebn?

Odczułem potrzebę ponownego zaśpiewania pieśni. Wtórowało mi wycie wilków. Lasy gotowe połknąć całą czerń tego świata. Niewinne dusze, wódczane dusze, dusze końca świata. Ortodoksyjność tej krainy. Ogień żarzył się bezgłośnie, jakby mu nakazano zachowanie ciszy. Żadna gałąź nie chrzęściła. Żaden ptak nie śpiewał. Taka jest cisza w polskich lasach. Cisza i nabożność. Tak, jakby udało się powtórzyć akt stworzenia. Jakby Łazarz miał wnet zmartwychwstać z kurhanowego grobu tuż obok. I przysiąc się bez słowa. Jest jeszcze łyk w butelce. Niemal końcowy, ale nigdy nie będzie ostatni, ponieważ jest lub powinna być samonapełniająca się butelka. Łyk, który by sam z siebie się utopił, gdyby nie był łykiem.

Tak, jak płomienie ognia łączą się ze sobą, gdy zachodzą na siebie, tak i tuzin dusz unosił się nad łąką. W nich zamknięte było dzikie wycie zwie-

rząt posłusznych swej naturze tak, jak my posłuszni byliśmy Bogu. Naszemu Bogu: prawosławnemu, protestanckiemu, katolickiemu, żydowskiemu i ateistycznemu. Rzadki to przypadek, by bogowie byli tak zjednoczeni, a dusze, które były im posłuszne, były tak połączone w wierze w... Koniec świata. Koniec, który byłby równy początkowi. Znalazł ujście w czarnej dziurze. Wyszedł z jednego. Usta matki, usta ojca, bratobójstwo. Siostrzyczka, bratciszek. Mateczka. Nigdy nie było czarownicy. W tym lesie. Ani diabła. Nie tutaj – na końcu świata, gdzie wszystko się łączy w jedno, jak miód i smoła. Skupienie egzystencji jako strumień neutrin, szybszy od światła. W swej podróży do rozpadu w kilku minutach, w dwóch okrążeniach przez uniwersum. W tym czasie zaśpiewano dwie pieśni. O sztetlu, którego już nie ma. W Lublinie. Dwie pieśni podobne do siebie, jak krople wody. Rano zbudziłem się na materacu trochę z dala od paleniska. Zapach tłącej się świerczyny. Przejrzystość wschodzącego słońca. Na Wschodzie, gdzie świeci nieco bliżej niż na Zachodzie, dokąd powrócę. To absynt powalił mnie na materac. Dwa łyki. Dwie pieśni. Dwie rundy. Dwa kraje. Dwa końce. Koniec świata. Koniec nocy. Polska. Słowacja, Sztetl i sztetl.

Życie budziło się – jak każdego ranka – do życia. Głośno i pracowicie. Brzęczały naczynia. Podawano dzbanki z kawą. Odkryto ostatnią butelkę. Między dwoma kamieniami przy ognisku. Czterech mężczyzn siedziało wokół ognia. W milczeniu podawali sobie z rąk do rąk samonapełniające się szklane naczynie. Czterech mężczyzn siedziało jak królowie przy ogniu. Królowie zmartwychwstania. Po bitwie. Po libacji. Nie mieli sobie nic do powiedzenia. Milczenie mówiło więcej niż słowa. Wypełniło głębiej aż do gruntu ziemi. Sięgało wstecz aż do początku.

W Polsce byłem królem. Mógłbym napisać.

W Polsce byłem królem. Piszę. Przez godzinę.

A więc byłem Polakiem.

Jestem.

(Przełożył Tomasz G. Pszczółkowski)

Dieter Kalka, ur. w 1957 r. w Altenburg (Turyngia). Do szkół chodził w Meulsewitz, tu ukończył maturę. Następnie studiował informatykę w Ilemau.

Autor tekstów piosenek. Po zjednoczeniu Niemiec podjął studia z zakresu germanistyki, psychologii i logopedii w Lipsku i Zurichu. Obecnie opracowuje liczne projekty literacko-plastyczne; ma też własny gabinet logopedyczny w Lipsku. W Polsce ukazały się jego książki: *Wszystko to tylko teatr*, *Podwójne o potrójne* oraz *Lubelska winda*.

KRYSTYNA KAMIŃSKA

Zacieranie śladów

Moje dzieciństwo – w przeciwieństwie do dzieciństwa mojej mamy – nie zostało naznaczone latami wojny. Dla niej okres dziecięcej bez troski został gwałtownie przerwany przez wybuch II wojny światowej. Nagle jej dwujęzyczny, pełen harmonii świat (koleje losu spowodowały, że mama wychowywała się przed wojną w rodzinie polsko-niemieckiej), w otoczeniu przyrodniego, o niemieckich korzeniach rodzeństwa, nie tylko przestał istnieć. Owe koligacje stały się wręcz dla 9-letniego dziecka w okupowanej Warszawie ogromnym obciążeniem. Starsze rodzeństwo mamy (zwłaszcza to niemieckie) wraz z wkroczeniem Niemców zaczęło silnie manifestować swoją polskość. W domu zaniechano nagle używania języka niemieckiego. Mama, będąc najmłodszym dzieckiem w rodzinie, świetnie zdawała sobie sprawę, z czego wynika ta raptownie okazywana polskość, a odrzucana przez resztę rodziny niemieckość. Sama też poddała się tej wszechogarniającej niechęci do wszystkiego, co niemieckie.

Doskonałym przykładem ambiwalentnego stosunku naszej rodziny do Niemców jest historia, przekazana w rodzinnej anegdocie, o pewnym niedzielnym obiedzie w czasie wojny. W następstwie niespodziewanej „wizyty” niemieckiego oficera (otrzymał on zwyczajny, sąsiedzki donos) doszło wówczas do specyficznego jego „ugoszczenia”. Początkowa interwencja zamieniła się później w „popołudnie wspomnień” o Niemczech.

W czasie kilkugodzinnego pobytu w mieszkaniu dziadków oficer został oczywiście poczęstowany obiadem. Po jego wyjściu babcia zrobiła dziadkowi awanturę, której sens można skwitować jej słowami: „Szwab zżarł mi niedzielny kotlet”. Nawet biorąc pod uwagę kwestię ogromnego stresu związanego z tą wizytą, cała ta sytuacja ukazuje zupełnie inny, zmieniony stosunek do Niemców od momentu wybuchu wojny.

Przeżycia wojenne i zaangażowanie wszystkich członków rodziny w działalność konspiracyjną AK (nawet „niemiecka” jej część brała aktywny udział) oraz uczestnictwo niektórych z nich w powstaniu warszawskim nie sprzyjały po wojnie ujawnianiu prawdziwej, rodzinnej przeszłości. Przez lata nikt nigdy o tym nie wspominał, nawet wśród najbliższych. Jedynym śladem „niemieckości” było używanie w codziennych kontaktach typowo niemieckiego imienia przyrodniego brata mamy, ale on sam zamienił je później w dokumentach urzędowych na niczym niewyróżniające się polskie imię. Sam fakt zmiany imienia był długo nieznany większości naszej rodziny.

Z perspektywy lat wyraźniej widzę podejmowane przez mamę działania służące zacieraniu wszelkich śladów jej polsko-niemieckiego domu rodzinnego i wychowania na styku dwóch kultur. Wspominając swoje dzieciństwo czy opowiadając o domu dziadków, dokonywała mniej lub bardziej świadomie selekcji tych informacji. Koncentrowała się zazwyczaj na faktach, które jednoznacznie kojarzyły się z Polską, tak w aspekcie historycznym, jak i współczesnym. Niechętnie i bardzo rzadko opowiadała o wojnie i o swoich traumatycznych przeżyciach. Ten swego rodzaju dystans do okresu okupacji niemieckiej cechował również jej rodzeństwo. Jeśli już przy okazji rodzinnych spotkań pojawiał się niespodziewanie temat wojny, wszyscy wyśmiewali różne przywary Niemców, ich skąpstwo i nierzadkie przejawy „tępoty”. Zupełnie nie identyfikowali się z tą nacją, a niemiecki rodowód niektórych członków rodziny został wyrugowany nie tyle z ich pamięci, ile był po prostu skrętnie ukrywany przed dziećmi.

Zacieranie niemieckich śladów okazało się bardzo skuteczne, gdyż ani ja, ani moi kuzyni niewiele znamy wątków dotyczących tej sprawy. Po wielu latach mama nadal nie przejawiała chęci do intensywniejszych kontaktów z Niemcami. Jeśli zmuszana przez okoliczności musiała wchodzić z nimi w relacje, to zachowywała się nader powściągliwie. Podczas rodzinnych wyjazdów na Węgry zawsze w języku niemieckim rozmawiał mój ojciec, który nauczył się tego języka, będąc kilka lat na robotach w Niemczech w czasie II wojny (znał sporo słów, ale kaleczył ten język bardzo). W latach 70. ubiegłego wieku cała rodzina pojechała jeden jedyny raz do Berlina. Z uwagą obserwowaliśmy dziwne zachowanie mamy. Była niespokojna, przestraszona, a jednocześnie w tłumie Niemców nie potrafiła ukryć swojej do nich niechęci. Po powrocie do domu wszystko wróciło do normy. Świadome wykreślanie z życiorysu powiązań rodzinnych z Niemcami sprawiło, że ja sama przez lata nie wiedziałam o fakcie władania przez moją mamę językiem niemieckim. Dopiero po latach dowiedziałam się przez przypadek, że zna ona ten język bardzo dobrze, sądząc po widniejącej na świadectwie maturalnym ocenie. Jej znajomość niemieckiego potwierdziły potem osoby trzecie, któ-

re wspominały, że przed wojną nie tylko mówiła biegle w tym języku, ale nawet czytała niemiecką poezję w oryginale.

Znała też inne języki obce, miała duże zdolności w ich opanowaniu. Bardzo dobrze władała językiem francuskim, chociaż uczyła się go już jako osoba dorosła. To właśnie z języka francuskiego robiła przez kilkanaście lat tłumaczenia dla jednego z polskich czasopism specjalistycznych. Przy czym w przypadku trudniejszych fragmentów tekstu posiłkowała się językiem angielskim lub łaciną. Ale nigdy niemieckim. Niechęć mamy do tego języka była tak wielka, że włożyła ona sporo wysiłku w to, byśmy jako jej dzieci nie zainteresowali się jego poznaniem, a my, być może podświadomie, nie przeszkadzaliśmy jej w tym. Zawsze miałam silne wrażenie, że drażni ją dźwięk języka niemieckiego.

Awersja mamy do wszystkiego, co niemieckie, przeniosła się i na mnie. Mieszkając kilka lat w Bonn, odczuwałam zupełnie irracjonalny lęk przed Niemcami, chociaż moje kontakty z pojedynczymi przedstawicielami tej nacji były zawsze bardzo miłe, a niektóre osoby, prawdę mówiąc, były wobec mnie ujmująco serdeczne i uczynne, mimo że prawie nie znałam niemieckiego i zawsze silnie akcentowałam swoją polskość. W opozycji do jakichkolwiek przejawów niemieckości w naszym domu był zawsze odczuwalny silny wpływ kultury francuskiej. Świadomie zresztą umacniany przez mamę w okresie mojego dzieciństwa i młodości. Profrancuskie „preferencje” rodziców zdominowały nasze życie. Dla symptomów niemieckości nie było w nim miejsca. Bowiem swoją niechęć w stosunku do Niemców mama przeniosła pośrednio i na niemiecką kulturę. Nie lubiła niemieckiej sztuki, nie oglądała niemieckich filmów czy spektakli teatralnych. Nigdy w dzieciństwie nie słyszałam jej mówiącej po niemiecku. Dochodziło nawet do tego, że gdy ojcu brakowało w rozmowie odpowiedniego słowa niemieckiego albo mówił niegramatycznie, moja mama nigdy mu nie pomogła. W gromadzonej przez lata rodzinnej, obszernej bibliotece rzadko można było natrafić na książki niemieckich autorów, a pozycji niemieckojęzycznych w oryginale nie było w ogóle, podobnie jak słownika niemiecko-polskiego, chociaż pamiętam, że ojciec doskonalił znajomość tego języka, uczęszczając na kursy. Jednak językiem obcym, którym władała cała moja rodzina, był zawsze język francuski.

Trzeba przyznać, że mama bardzo dbała, byśmy z bratem znali języki obce (z wyjątkiem niemieckiego). Podobnie zachowywała się wobec wnucząt. Kiedy po kilkuletnim pobycie w Niemczech mój syn (zupełnie nieświadomy niemieckich wątków w historii rodziny) pragnął pochwalić się babci swoją znajomością języka niemieckiego i świetnym akcentem, moja mama zaskoczona tą sytuacją, nie potrafiła ukryć wzburzenia. Ten epizod

sprawił, że mój syn unikał potem w kontaktach z babcią podobnych napięć. Nie chciała go też uczyć języka niemieckiego przed wyjazdem do Niemiec. Musiałam szukać nauczycielki, która nauczyłaby go podstaw języka niemieckiego, aby bez przeszkód mógł uczęszczać tam do szkoły.

Dopiero pod koniec życia, gdy najmłodsze z jej wnucząt miało kłopoty z językiem niemieckim w szkole, zaproponowała swoją pomoc (ku wielkiemu zaskoczeniu całej rodziny). Babcina edukacja trwała jednakże bardzo krótko. Wspomaganie zostało przez nią natychmiast zakończone, gdy wnuczka odniosła pierwsze sukcesy. Starsze wnuki, jakkolwiek początkowo zdziwione faktem, że babcia zna język niemiecki, szybko o tym zapomniały. To właśnie ten drobny epizod, w kontekście wieloletniego wyparcia się tego języka, najlepiej ukazuje, jak trudne są relacje polsko-niemieckie i jak wielka jest trauma Polaków, nawet tych (a może szczególnie tych) wychowanych w rodzinach dwukulturowych i dwujęzycznych. Wojna sprawiła, że celowemu zapomnieniu uległy nie tylko dzieje rodziny (w odniesieniu do ich niemieckich przodków), ale zniszczona została tradycja, czyli przekaz, dziedzictwo i pamięć. Pozostały jedynie pełne napięcia relacje My–Oni. Zacieranie śladów nie służy naturalnemu rozdzieleniu teraźniejszości od przeszłości. Paradoksalnie: „zapomnieć” nie znaczy „nie pamiętać”. Jakkolwiek dorasta już kolejne pokolenie niedotknięte wojną, to jego przedstawiciele również zostali obarczeni nieswoimi przeżyciami. W tym kontekście zacieranie śladów wręcz wyostreza problem pamięci, a wraz z nim narasta (mimowolny) proces konfrontacji, zogniskowany wokół tożsamości, a widziany przez pryzmat winy.

Jednocześnie powstaje pytanie: jak długo i w jaki sposób nieredukowalne doświadczenia biograficzne jednego pokolenia – które zamiast wychowywać się na styku obu kultur i czerpać z zasobów własnej dwujęzyczności musiało opowiedzieć się za jedną z nich, w wyniku uwikłania w wydarzenia historyczne – będą oddziaływać na ich potomków w tzw. odległym horyzoncie pamięci pokoleniowej? W efekcie takich działań dokonuje się zubożenie ich własnego, wielokulturowego dziedzictwa, które przecież powinno wpływać na wzbogacenie ich osobowości.

Krystyna Kamińska, doktor nauk humanistycznych, absolwentka pedagogiki Uniwersytetu Warszawskiego i kulturoznawstwa Uniwersytetu Wrocławskiego. Obecnie nauczyciel akademicki Wydziału Pedagogicznego Akademii Humanistycznej im. A. Gieysztora w Pułtuskach. Wcześniej, przez ponad 15 lat, adiunkt w Katedrze Pedagogiki Przedszkolnej i Pedagogiki Wczesnoszkolnej na Wydziale Nauk

o Wychowaniu Uniwersytetu Łódzkiego. W latach 1998–2001 Przewodnicząca Polskiego Komitetu Światowej Organizacji Wychowania Przedszkolnego (OMEP). Od 2002 r. członek kolegium redakcyjnego „Wychowania w przedszkolu”, czasopisma adresowanego do nauczycieli wychowania przedszkolnego, ukazującego się od 1948 r. W swoim dorobku naukowym ma kilkadziesiąt artykułów i publikacji z zakresu edukacji przedszkolnej, w tym książki *Nauka czytania dzieci w wieku przedszkolnym* (4 wydania: 1999, 2002, 2004, 2005) i *Samorzędy lokalne wobec wdrożenia obowiązku edukacyjnego sześciolatków* (2004), jak również edukacji międzykulturowej, m.in. *W stronę wielokulturowości w edukacji przedszkolnej* (2005), *Nauczyciel wychowania przedszkolnego wobec wielokulturowości* (2007). Jest współautorką książki przeznaczonej dla nauczycieli edukacji wczesnoszkolnej *Jesteśmy tacy sami* (2009) oraz pozycji *Liczę sam – jakie to proste* – podręcznika wprowadzającego dzieci sześciolatnie w świat matematyki, nagrodzonego w 1994 r. w konkursie WSiP (najważniejszego wówczas wydawnictwa edukacyjnego).

ROLF KARBAUM

Szkic biograficzny

Urodziłem się w tej części Görlitz, która dzisiaj nazywa się Zgorzelec. Określenie mieszkańców dla tej części miasta brzmiało skromnie: „Miasto wschodnie” (*Die Oststadt*). Po śmierci mojej matki w 2000 r. natrafiłem w pozostałych po niej rzeczach na pęk starych listów, których nigdy za życia mi nie pokazywała. Były to listy moich rodziców z 1939–1945, a więc z czasów II wojny światowej. Mój ojciec został wcielony do wojska w 1939 r. i poległ tydzień przed zakończeniem wojny, 30 kwietnia 1945 r. Z tych listów dowiedziałem się, że moja mama przez długi czas szukała innego mieszkania. Mieszkaliśmy wówczas przy Götzenstraße, dziś ul. Czachowskiego. Dotychczasowe było za małe i przede wszystkim za zimne, a węgla było niewiele. W 1944 r. przeprowadziliśmy się do „południowej części miasta”, tzw. Südstadt. Nie byliśmy więc ani „wypędzonymi”, ani „przesiedleńcami”, co pozwoliło mojej matce pod koniec wojny zatrzymać dla obojga swoich dzieci i dla siebie meble, podczas gdy nasi mieszkaniowi „zmiennicy” (którzy przybyli ze Wschodu) stracili wszystko.

Dorastałem więc w podzielonym mieście, którego zachodnia strona pozostała niemiecka, a wschodnia – została polska, obie części dzieliła Nysa Łużycka. Ta granica została uznana, na mocy układu z Görlitz 6 lipca 1950 r. (którą podpisali ówczesni premierzy obu rządów – Cyrankiewicz i Grotewohl), za „pokojową granicę na Odrze i Nysie” (do dziś nie rozumiem, dlaczego ten układ nie nazywa się w niemieckojęzycznej literaturze „zgorzeleckim”; podpisanie nastąpiło przecież w Zgorzelcu, w dzisiejszym Domu Kultury (gdzie do dziś pozostały z tamtego okresu niektóre meble)). Ta granica w środku miasta stanowiła w powojennych latach dominujący temat rozmów. Ludzie stawali na brzegu Nysy i spoglądali na wschód, w stronę starej ojczyzny z nadzieją, że wkrótce będą mogli tam wrócić. Nie mogli pojąć ani zrozu-

mieć, co się stało? Jak daleko sięgam pamięcią – był to czas biedy, wielkiego smutku, narzekań i łez nie tylko po utracie bliskich, ale także domów i całego dobytku.

Reżim graniczny na „pokojoyej granicy” między oboma socjalistycznymi, bratnimi krajami, był surowy i absurdalny. Po polskiej stronie ciągnął się szeroki pas ziemi zagrabianej każdego dnia, aby można było tropić ślady ludzi próbujących przekraczać granicę. W około 100-metrowych odstępach stały wysokie wieże posterunków granicznych. Po zapadnięciu zmroku korzystanie z dróg leżących po obu stronach wzdłuż Nysy było zabronione. Straż graniczna patrolowała regularnie i skrupulatnie te tereny. Od czasu do czasu słychać było groźne strzały ostrzegawcze.

W pierwszych latach powojennych po polskiej stronie miasta było bardzo mało ludzi. Wiele starych domów po prostu rozpadało się, szczególnie w tzw. Malerviertel (najstarszej i najładniejszej przed wojną dzielnicy), aż w końcu w latach 50. ostatecznie ją wyburzono. Ja także stawałem często nad brzegiem Nysy i spoglądałem na drugą stronę. Byłem przede wszystkim ciekaw, jacy ludzie żyją tam teraz, czym się zajmują, co myślą? O tym, że w znacznej części byli nimi wypędzeni z dawnych polskich terenów wschodnich (które po wojnie przydzielono Związkowi Radzieckiemu), wówczas nie wiedzieliśmy.

Co roku natomiast, w rocznicę podpisania „pokojoyego układu”, do Zgorzelca udawała się delegacja niemiecka, gdzie oficjalnie świętowano „braterski związek” obu sąsiednich krajów. Członkowie tej delegacji stanowili zaufaną kadrę Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED), Wolnej Niemieckiej Młodzieży (FDJ) i Młodych Pionierów. Nigdy do nich nie należałem i zawsze zazdrościłem tym, którzy mogli brać w tym „świętowaniu” udział. Chętnie wybrałbym się wtedy też „za tę granicę”, ale zwykłym ludziom takim jak ja, nie wolno było jej przekraczać. Ten ceremoniał został zachowany do 1989 r.

Od 1972 r. pracowałem w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Görlitz, która była położona bezpośrednio przy przejściu granicznym, tuż przy moście. 6 lipca każdego roku, zarówno studenci, jak i nauczyciele oraz oczywiście pracownicy zakładów, tworzyli szpaler, aby była „godna” oprawa tych spotkań.

Gdy poszedłem do szkoły uczyłem się, że od setek lat po dwóch brzegach Nysy znajdowały się dwa miasta: leżące po zachodniej stronie Görlitz, oraz położony na wschodzie Zgorzelec. Pierwsza udokumentowana wzmianka o Görlitz pochodzi z 1071 r.! To tylko jeden, ale za to znamienity przykład na socjalistyczne fałszowanie historii.

Moje wielkie życzenie, aby pojechać do sąsiedniego kraju i poznać ludzi, spełniło się dopiero w 1966 r. i to podczas naszej podróży poślubnej.

Mój teść był dentystą i przyjmował czasem polskich pacjentów. Dzięki tym kontaktom, zostaliśmy zaproszeni do Leśnej (d. Marklissa), do gospodarstwa rolniczego. Trzeba było jednak przejść przez długie i drobiazgowo postępowanie w sprawie otrzymania zezwolenia na wyjazd, zanim mogliśmy po naszym weselu wsiąść z żoną na skuter i wyruszyć w drogę.

Z dzisiejszej perspektywy była to podróż niezwykle stresująca, bo „stróżę prawa” na każdym kroku „strzegli naszego bezpieczeństwa”. Mimo to organizowaliśmy wycieczki w pobliskie Karkonosze i odwiedzaliśmy miejsca, o których wcześniej opowiadali nam rodzice, krewni i znajomi. Jeździliśmy także do Wrocławia, który wówczas był jeszcze odbudowywany ze zniszczeń. Zwiedziliśmy również Zgorzelec, który w tym czasie był już „gęściej” zaludniony i ożywiony rytmem polskiego miasta.

Byłem szczęśliwy, że na nowo mogłem odkrywać ulice, zaułki, skwery i parki.

I wtedy nadszedł dzień 1 stycznia 1972 r. – otwarcie granicy dla tzw. małego ruchu granicznego!

Był słoneczny, mroźny dzień. Jak wielu innych mieszkańców Görlitz, ja również wybrałem się z rodziną do sąsiedniego Zgorzelca. Przed Domem Kultury zrobiliśmy sobie zdjęcie z naszym wówczas dwuletnim synem. Ludzie bardzo cieszyli się z otwarcia granicy, lecz początkowa radość niestety szybko przerodziła się w nieufność, a nawet nienawiść. Przyczyną takiego stanu rzeczy były ogromne braki i różnice w zaopatrzeniu mieszkańców sąsiadujących państw. Niemieccy handlarze próbowali zarzucić Polaków rupieciami wzdłuż całej Nysy, Polacy zaś szturmowali niemieckie sklepy, przede wszystkim spożywcze. W niektóre weekendy granicę przekraczało ponad 100 000 ludzi z całej Polski – a więc więcej, niż Görlitz miało mieszkańców (a przecież w przeciwnym kierunku tłumnie ciągnęli też Niemcy!). Miasto nie było przygotowane na tak ogromne spiętrzenie i ludzi, i pojazdów w jednym miejscu. Nie można było wejść do sklepów obuwniczych czy tekstylnych bez stania w ogromnych kolejkach. Teraz tego typu sytuacje już nie mają miejsca, ale wtedy był to widok przykry, zwłaszcza, że towarów nie wystarczało dla wszystkich. Nasze społeczeństwo coraz bardziej okazywało swe niezadowolenie z takiego stanu rzeczy. Po stronie niemieckiej zaczęto organizować handel w zakładowych kantynach dla pracowników, a więc zupełnie niezależnie od „publicznych” zakupów, zwłaszcza w okresach przedświątecznych (bo Polacy wykupowali dosłownie wszystko). Z okien „mojej” szkoły inżynierskiej mogliśmy codziennie obserwować ruch na przejściu granicznym. Rano ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód ciągnęły niezliczone tłumy ludzi, późnym popołudniem odbywał się ruch w drugą stronę. Niemcy wracali z Polski ubrani w dopiero co zakupione czarne skó-

rzane kurtki albo z wyplatanyimi meblami lub elektrycznymi wiertarkami, poszukiwanymi na terenie NRD. Polacy przybywali z Niemiec z torbami ze sztucznego tworzywa, wypełnionymi po brzegi czajnikami z gwizdkiem, a przede wszystkim z artykułami spożywczymi, alkoholami i urządzeniami technicznymi, których brakowało po polskiej stronie. Ta pozornie wesoła sama w sobie historia miała jednak i drugą stronę: ponieważ było za mało towarów, często dochodziło w sklepach do napięć oraz sporów i... stare stereotypy odżyły na nowo, z jednej strony o „leniwych Polakach” z drugiej – o niemieckich faszystach.

Był to czas pełen nerwowości i chaosu trudnego do opanowania. Wprawdzie już można było poznać kraj i ludzi, ale do zaufania i sympatii między nimi było niestety daleko. Na szczęście ta trudna dekada dobiegała końca, w PRL rozpoczęła swoją działalność „Solidarność”, którą śledziliśmy z wielką uwagą i nadzieją. Ale właśnie wtedy – w roku 1980 – granica ponownie została zamknięta, a marzenie o większej swobodzie dla nas, obywateli NRD, definitywnie skończyło się!

W 1989 r. w NRD rozpoczęły się pierwsze, a potem coraz częstsze ucieczki ludzi na zachód, więc granica przez Nysę w Görlitz znowu była pilnie strzeżona, gdyż wielu obywateli próbowało przedostać się stąd najpierw do Warszawy, do ambasady RFN, żeby w ten sposób wymusić swój wyjazd na zachód. Sam przeżyłem przykre dla mnie zdarzenie, kiedy pewnego wrześniowego poranka 1989 r., gdy szedłem do pracy, nagle z zarośli wyskoczyło w moim kierunku dwóch niemieckich pograniczników i szczególnie mnie skontrolowali. Tę historię wpisuję do rozdziału wspomnień o relacjach między socjalistycznymi, „bratnimi” (niestety tylko na papierze) krajami. W końcu jednak nadszedł wielki (oczekiwany przez wielu moich współziomków) przełom, który w istotnej części zawdzięczamy istniejącemu wtedy od dziesięciu lat ruchowi „Solidarność” i przemianom w Polsce. Granica dla bezpaszportowego i bezwizowego ruchu została ponownie otwarta późną jesienią 1989 r.!

Powoli, ale jednak zmieniały się relacje społeczne między ludźmi obu miast. Z wieloma zastrzeżeniami i uprzedzeniami przekraczali granicę, aby zobaczyć, co się zmieniło u sąsiada w ostatnim dziesięcioleciu. Oba miasta były niestety szare i ponure, doprowadzone do ruiny. Lecz znowu ożywiły się wspólne interesy, zwłaszcza handel przygraniczny, choć nadal istniała zazdrość, zawiść i podejrzliwość. Wspominało się wcześniejsze lata i „tamte” doświadczenia, ale teraz po niemieckiej stronie wszystkie towary dostępne były w nadmiarze. Zamiast jednak schlebiać polskim klientom, co w istotnej mierze zwiększałoby obroty, niejednokrotnie pojawiały się w niemieckich sklepach szyldy, informujące (po polsku), że „złodzieje sklepowi będą

ścigani przez policję”. Do wzajemnego zaufania i normalności nadal było jeszcze bardzo daleko.

Jednak ludzie dostrzegali szansę nowego czasu i szukali drogi do siebie. W kościołach, zrzeszeniach, związkach, szkołach, przedszkolach, w sporcie i w kulturze zawiązywały się pierwsze kontakty. Zapraszano się wzajemnie na różne uroczystości, uczęszczano na różne miejskie imprezy po drugiej stronie rzeki. Działo się to powoli, ostrożnie, ale coraz intensywniej. Chętnie wspominam koncert, który odbył się w nowym dużym kościele w Zgorzelcu, w połowie lat 90. XX w. W programie: IX Symfonia Ludwiga van Beethovena. Specjalne autobusy woziły niemieckich słuchaczy do kościoła św. Barbary i św. Józefa. Przekraczali oni granicę już bez wcześniejszej drobiazgowej kontroli paszportowej i celnej. Pierwszy raz w moim życiu mogłem przeżyć coś tak niezwykłego i wzruszającego. W przepelnionym po brzegi kościele siedzieli Polacy oraz Niemcy, melomani, wymieszani w kościelnych ławkach. Wówczas naszła mnie prosta refleksja: czy nie mogłoby tak być już „na zawsze?” Ale tego nikt nie mógł sobie wówczas jeszcze wyobrazić!

W Dniu Europy, w maju 1998 r. – niemieccy i polscy politycy proklamowali „Miasto Görlitz – Zgorzelec – Miastem Europy”. Jakże szybko nastąpiło wzajemne zbliżenie oraz poszukiwanie płaszczyzny współistnienia. Oczywiście ta proklamacja była swego rodzaju programem dla „drogi w przyszłość”, naznaczona wzajemnym poszanowaniem, zaufaniem i otwartością.

W tym samym roku zostałem wybrany na nadburmistrza miasta Görlitz. Od tego momentu mogłem mieć wpływ na kształtowanie się wzajemnych relacji między obydwoma naszymi miastami, które nie posiadały przecież – *de facto* – żadnych odrębnych cech. Osobliwością jednak było „ulożenie” współistnienia „jednego miasta z dwoma narodami” (około 90 000 mieszkańców), co wymagało określenia czytelnych zasad tej współpracy, najpierw przez utworzenie wspólnej komisji koordynacyjnej (istnieje do dziś!), czy organizowanie wspólnych posiedzeń Rady Miast. Wszystkie istotne decyzje dla polityki porozumienia zaczęliśmy ustalać i omawiać razem, w oparciu o codzienne potrzeby ludności obu miast i z uwzględnieniem planów na daleką przyszłość.

W burmistrzu Zgorzelca – Mirosławie Fiedorowiczu miałem wiarygodnego i zaufanego partnera. Mogliśmy na sobie polegać, przedstawiać swoje racje na każdy temat. Tworzyliśmy nowe relacje polsko-niemieckie dosłownie, ponieważ spotykaliśmy się z naszymi rodzinami także podczas szczególnych, np. świątecznych okazji; wychodziliśmy razem jeść albo na sportowe oraz inne imprezy. Miałem też możliwość przez dłuższy czas udzielania ślubów, w tym również wielu niemiecko-polskim parom, co było dla mnie

zawsze dużym przeżyciem, w dużej mierze z uwagi na piękne polskie panny młode.

W latach po przełomie zaobserwowałem ciekawe zjawisko, które było dla mnie całkowicie nowe. Polskie dzieci – mniej więcej trzecia powojenna generacja – szczególnie interesowały się historią naszego wspólnego miasta, legendami, opowiadaniem, piosenkami; odwiedzały nasze muzea i zaczęły mówić o „swojej ojczyźnie”, nie wchodząc w szczegóły, czy był to Görlitz, czy Zgorzelec.

Z moim kolegą, burmistrzem Fiedorowiczem, odbyłem wiele wspólnych podróży, podczas których działaliśmy na rzecz naszego europejskiego miasta. Bywaliśmy często razem w Brukseli i w Rzymie, zaprosiliśmy też do nas papieża. Wzięliśmy razem udział w przyjęciu szwedzkiej królowej Sylwii w Rzymie, spotkaliśmy tam Lecha Wałęsę. Odwiedziliśmy wspólnie niemieckie miasto partnerskie Görlitz – Wiesbaden, powołaliśmy tam do życia, w obecności premiera profesora Biedenkopfa, Związek Niemieckich Gmin położonych najbardziej na północ, zachód, wschód i południe. Zawsze wspólnie przyjmowaliśmy naszych „ważniejszych” gości, którzy przybywali do Zgorzelca lub Görlitz. Jeszcze dziś „widzę” zdumienie w oczach kancle-rza Schrödera, prezydenta Raua czy przewodniczącego Bundestagu Thierse i wielu innych prominentnych gości, gdy byli oni witani przez dwóch burmistrzów!

Na konferencji burmistrzów z byłej Jugosławii w Belgradzie obaj referowaliśmy, jak wspólnie i przede wszystkim pokojowo poszukiwać drogi do przyszłości. W naszej pracy wspólnie przyznawaliśmy wielu osobistościom ustanowioną przez nas „Nagrodę Mostu” miasta europejskiego Görlitz–Zgorzelec, w tym m.in. Arno Lustigerowi i Władysławowi Bartoszewskiemu.

Jeździliśmy razem do Berlina i Drezna, do Wrocławia i Warszawy, by przedstawiać tamtejszym władzom nasze wspólne cele i wzajemne wspieranie się. Nieustannie poszukiwaliśmy wspólnej drogi we wszystkich dziedzinach, którymi żyły nasze miasta. Nigdy jako konkurencji!

W noc sylwestrową 1999/2000 spotkaliśmy się o północy z naszymi rodzinami na miejskim moście, przy wspaniałych fajerwerkach nad Nysą, i publicznie życzyliśmy pomyślności dla rozwoju obu naszych miast. Było to dla nas obu bardzo poruszające, ponieważ poza nami zostawiliśmy wszystko to, co nas przez wcześniejsze „pół życia” dzieliło, tak jak dzieliło w przeszłości nasze narody. Nigdy nie zapomnę tamtego Sylwestra.

W 2001 r. urodził się mój pierwszy wnuk, a trzy lata później nadszedł czas na wysłanie go do przedszkola. Jego rodzice zdecydowali się na umieszczenie go w przedszkolu w Zgorzelcu. Chcieli skorzystać z wyjątkowej szansy, jakie daje miasto graniczne. Nie wybrali oficjalnego przedszkola polsko-nie-

mieckiego, lecz leżące blisko przejścia granicznego, polskie przedszkole. Tam nikt nie mówił słowa po niemiecku, nie było to przecież konieczne. Wkrótce Samuel nauczył się najważniejszych dla niego polskich słów oraz zwrotów i doskonale dogadywał się z polskimi dziećmi. W naszej rodzinie chętnie opowiadana jest historia, która wydarzyła się, gdy odbieraliśmy go z przedszkola. Samuel, gdy mijaliśmy z nim stojącą na moście „budkę graniczną”, podniósł do góry swoją przedszkolną legitymację, ale polska funkcjonariuszka nie skontrolowała mu jej, tylko pomachała ręką. Nie mógł on jednak tego widzieć, ponieważ był o wiele za mały i nie dosięgał „do okienka”. Nagle powiedział do pełniącej służbę urzędniczką: „Twoja budka już niedługo zostanie zlikwidowana. Nie jest potrzebna!”.

Także jego brat poszedł wkrótce za nim do tego samego przedszkola i tak po trzech latach mieliśmy między nami kolejne dobrze mówiące po polsku dziecko. W tym czasie Polska wstąpiła do UE. Któregoś dnia znowu spotkałem mojego kolegę Fiedorowicza na moście, który wówczas jako jedyny łączył nasze miasta, było to w nocy z 30 kwietnia na 1 maja 2004 r. Setki zachwyconych ludzi radoowało się po obu stronach rzeki, śpiewano, rzucono się sobie w ramiona. Byli to przede wszystkim młodzi ludzie. Tak świętowano wstąpienie Polski do Unii Europejskiej. Wszyscy odczuwali wyjątkowość tej chwili, zwłaszcza, że znów staliśmy się *jednym* europejskim miastem.

Od 2001 r. Görlitz i Zgorzelec wspólnie ubiegały się o miano Europejskiej Stolicy Kultury w 2010 r. Organizatorem były wprawdzie Niemcy, ale starania niemieckiego miasta wspólnie z jej polskim sąsiadem wzbudzało wiele emocji, w tym także wątpliwości. Nikt nie dawał nam początkowo szansy. W pierwszym etapie pokonaliśmy piętnastu niemieckich konkurentów, potem pozostało jeszcze dziesięciu. A następnie wskoczyliśmy do ostatniej dwójki – sensacyjny sukces, który jeszcze dziś napełnia nas dumą i radością. To, że w końcu nie udało się nam zwyciężyć, przypisuję jurorom w Brukseli. Nie pojęli oni prawdziwie „europejskiego” wymiaru naszych starań, lecz podjęli decyzję zgodnie ze znanymi dla nich z przeszłości wzorcami. Patrząc wstecz, konkurs ten był jednak dużym sukcesem dla obu miast. W szczególności Zgorzelec podniósł znacznie swoją wizerunkową wartość we własnym kraju. Wszystkie stacje radiowe i telewizyjne Niemiec oraz Polski przekazywały relacje z naszego „europejskiego” miasta, stawiając je za wzór przygranicznej współpracy w sercu Europy.

Z moim kolegą Fiedorowiczem byłem też kilka razy w Kehl i Strasburgu; oba miasta położone są nad Renem naprzeciw siebie. Mogliśmy się dużo nauczyć z ich ponad czterdziestoletniej niemiecko-francuskiej współpracy. Byliśmy dumni, gdy mogliśmy opowiadać także o naszych dwunastoletnich już doświadczeniach.

Wtedy też kończyliśmy dyskusję na temat nadgranicznego połączenia tramwajowego między Görlitz i Zgorzelcem. Projekt ten w naszym europejskim mieście nie został zrealizowany z powodów finansowych, ale teraz ponownie się o nim mówi i chyba doczeka się realizacji. A wówczas spełni się i moje marzenie, że pewnego dnia wsiądę w Görlitz do tramwaju i pojedę nim do Zgorzelca.

A może kiedyś będzie też tylko *jedna* administracja i *jeden* burmistrz dla obu naszych miast? Uważam, że to jest zadanie dla kolejnych generacji, ponieważ jest jeszcze wiele zawiłych problemów, w tym także między państwowych. Na budowę naszego staromiejskiego mostu przez Nysę potrzebowaliśmy więcej niż dziesięć lat, aż zostały wyjaśnione wszystkie sporne kwestie. Mógł zostać poświęcony dopiero w 2004 r. Jestem przekonany, że wszystko to, co powstało w naszych miastach po 1989 r., będzie dalej postępować naprzód w swoim rozwoju. To jest duża szansa dla europejskiego miasta Görlitz – Zgorzelec, ponieważ może ono pełnić dla Europy wzorcową rolę.

W nocy z 20 na 21 grudnia 2007 r. miało miejsce kolejne duże wydarzenie, o którym jako dziecko śmiałem tylko marzyć. Wraz z przystąpieniem Polski do strefy Schengen skończyły się kontrole paszportowe i celne na polsko-niemieckiej granicy. Tej pamiętnej nocy byłem oczywiście (mimo iż w międzyczasie odszedłem na emeryturę) na przejściu granicznym. O godzinie 23.59 sfotografowałem ostatni samochód, który był kontrolowany, a minutę później przeżyłem przejazd pierwszych pojazdów, już bez kontroli. Spełniła się w tym momencie przepowiednia mojego wnuka Samuela: graniczna budka kontrolna nie była już nikomu potrzebna! Dziś mogę przechodzić przez most, nie okazując dokumentów, nie odpowiadając na pytania o zawartość mojej torby ani o powód oraz cel mojej trasy. Na tle powojennych warunków i okresu komunistycznej władzy stał się cud, że to wszystko dokonało się w historycznie krótkim czasie. Jestem wdzięczny losowi za to, że byłem świadkiem tych wydarzeń i przemian, także w stosunkach polsko-niemieckich. Że to wszystko wydarzyło się za mojego życia i że w skromnej mierze i ja mogłem się do tego przyczynić.

Teraz z moimi wnukami siedzę każdego tygodnia u młodej polskiej nauczycielki w jej mieszkaniu. Otrzymują oni od niej pomoc w nauce języka polskiego. Starszy z nich chodzi już do dwujęzycznego gimnazjum w Görlitz, młodszy niebawem tam pójdzie. Obaj dorastają w wielkim przekonaniu, że w mieście z dwoma narodami da się żyć, jak w jednym, wydaje im się to najoczywistsze na świecie! Jak i to, że należy się uczyć języka sąsiada, poznawać jego kulturę i obyczaje.

Teraz, gdy jadę lub idę przez „granice” między naszymi krajami, cieszę się, że doświadczyłem w moim życiu dwóch wielkich cudów: ponownego zjednoczenia Niemiec i zjednoczenia mojego rodzinnego miasta Görlitz z sąsiednim miastem Zgorzelec. Że mogę w nim zadzwonić do drzwi, które otworzą mi moi przyjaciele, że przychodząc z wnukami do Pani Wandy, jestem przez nią serdecznie witany i przyjmowany. To czyni mnie szczęśliwym i spełnionym oraz daje nadzieję na dobrą przyszłość obu naszych krajów.

(Przełożyli: Krzysztof Garczewski i Karol Czejjarek)

Rolf Karbaum, prof. dr. inż., studiował na Uniwersytecie Technicznym w Dreźnie, wybitny specjalista w dziedzinie akustyki. Jest autorem wielu publikacji naukowych z zakresu swej specjalności. Przez wiele lat pracował jako wykładowca Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Görlitz, w mieście, w którym się urodził, a po zjednoczeniu Niemiec był w latach 1998–2005 jego nadburmistrzem. Jest wielkim przyjacielem Polski i Polaków, zwolennikiem pojednania i współpracy.

DOMINIQUE KIRSTE

Zastosowanie modelu biograficznego z Gödelitz w interkulturowym dialogu

Forum Wschód-Zachód w Gödelitz poznałam w lutym 2007 r., gdy znajomy zabrał mnie na spotkanie, podczas którego dyskutowano o radykalizacji islamu. Zachwyciła mnie otwarta i serdeczna atmosfera tego forum, jak również będący na wysokim poziomie wykład wraz z końcową dyskusją. Znalazłam się w miejscu, w którym wspierana jest demokracja i tolerancja, a ludzie są motywowani do aktywnego uczestnictwa. Podczas tego spotkania przyszło mi na myśl – a byłam tuż przed ukończeniem studiów historycznych – że byłoby cudownie, gdybym mogła pracować dla takiego stowarzyszenia, jak Forum Wschód-Zachód (ost-west-forum Gödelitz).

Trzy lata później, we wrześniu 2009 r. to niewypowiedziane głośno życzenie urzeczywistniło się! Mój poprzednik otrzymał inną atrakcyjną ofertę pracy, a tym samym stanowisko asystenta Axela Schmidta-Gödelitz (przewodniczącego ost-west-forum) nagle pozostało wolne. Miałam szczęście i otrzymałam je.

Naczelnym celem Forum Wschód-Zachód jest – przez model biograficzny z Gödelitz – przybliżać do siebie ludzi, którzy wychowywali się w odmiennych kulturach i społecznych kontekstach. Już od 1998 r. Axel Schmidt-Gödelitz zaprasza raz w miesiącu Niemców ze Wschodu i z Zachodu na „rundę biograficzną”. Uczestnicy spotykają się w małych, zamkniętych grupach, żeby wzajemnie opowiadać swoje życiowe losy. Te spotkania, które odbywają się na poznawczej i emocjonalnej płaszczyźnie, są niezwykle intensywne, chwilami wyczerpujące i długotrwałe, ale zawsze fascynujące.

Ponadto uczestnicy rund biograficznych uczą się dokładnego wsłuchiwania oraz rozważania o tym, że nie ma tylko jednej – „własnej prawdy”, lecz istnieją również „prawdy innych”.

Od czasu do czasu Axel Schmidt-Gödelitz zaprasza na te rozmowy osoby o imigranckich korzeniach. Niemieccy uczestnicy mają możliwość nowego i zupełnie odmiennego spojrzenia na społeczności z zewnątrz, jak również oceny tego, w jaki sposób te społeczności widzą Niemców. Dla niektórych uczestników rozmowy biograficzne stanowią jedną z rzadkich okazji, podczas których spotykają się z Niemcami na prywatnej stopie. To smutna konstatacja, że Niemcy bez imigranckich korzeni oraz osoby napływowe mieszkają i pracują w jednym kraju, w jednym mieście od dziesięcioleci, ale zaskakująco mało o sobie wiedzą. Jeden z uczestników kurdyjskiego pochodzenia wyjaśnił, że podczas spotkania biograficznego pierwszy raz w życiu spotkał się tak bezpośrednio z Niemcami.

To dało Axelowi Schmidtowi impuls do otwarcia modelu biograficznego z Gödelitz na spotkania między Niemcami i imigrantami – najpierw pochodzenia tureckiego. Osoby o tureckich korzeniach żyją i pracują w Niemczech od ponad 50 lat. Wśród imigrantów żyjących w Republice Federalnej Niemiec tworzą oni największą grupę. Jednak wiedza większości Niemców na temat współobywateli tureckiego pochodzenia jest zaskakująco mała. Kontakty ograniczają się często do powierzchownych spotkań w ciągu dnia powszedniego lub w miejscu pracy. Tym samym Niemców i osoby tureckiego pochodzenia dzieli mur uprzedzeń i nieporozumień, które wynikają z wzajemnej niewiedzy.

Kiedy rozpoczynałam swoją pracę w ost-west-forum, przygotowania do dwóch pierwszych spotkań projektu pod nazwą: „Rozmowy biograficzne – osoby niemieckiego i tureckiego pochodzenia opowiadają sobie swoje życie”, były praktycznie zakończone. Na każde spotkanie Axel Schmidt-Gödelitz oraz mój poprzednik wyszukiwali po pięć osób tureckiego pochodzenia oraz Niemców bez imigranckich korzeni. Obie rundy były finansowane przez Federalny Urząd Kanclerski, dzięki czemu uczestnicy pochodzący z całej Republiki Federalnej nie ponosili żadnych kosztów. Wnosili ciekawość, szczerłość oraz motywację w realizację tego niezwykle interesującego projektu. Oba spotkania były wielkim sukcesem i potwierdzały nasze założenie, że model z Gödelitz da się zastosować w interkulturowym dialogu. Sama wzięłam udział w obu rundach i byłam naprawdę pod wielkim wrażeniem. Ponieważ od początku było jasne, że żadne osobiste szczegóły nie wypłyną na zewnątrz, uczestnicy opowiadali swoje biografie z dużą otwartością i emocjonalnością.

Uświadomiłam sobie, że do tej pory nie miałam najmniejszego pojęcia, jak trudno było moim rodakom tureckiego pochodzenia stanąć na nogi w Niemczech. Dotąd byłam pewna, że wobec żyjących tu imigrantów nie

mam najmniejszych uprzedzeń. Dopiero podczas rozmów biograficznych stało się dla mnie jasne, że tak nie jest, a mój stosunek do nich oparty był o zupełnie nieświadome uprzedzenia. Przez poznanie życiowych historii innych uczestników nauczyłam się ich lepiej rozumieć. Uważam, że większość ludzi potrzebuje takiego osobistego kontaktu, żeby móc pozbyć się swoich wewnętrznych uprzedzeń.

Po uwieńczonej sukcesem starcie, pracowaliśmy nad propozycją niemiecko-tureckich rund biograficznych na terenie całego kraju. Byliśmy przy tym wspierani przez niektórych uczestników, którzy w swoich miejscach zamieszkania: w Berlinie, Saarbrücken i Konstancji przygotowywali miejsca do realizacji projektu i moderowali pierwsze rundy. Dzięki finansowemu wsparciu Fundacji Roberta Boscha mogły odbywać się szkolenia moderatorów, którzy potem tworzyli nowe punkty biograficznych spotkań na terenie Niemiec.

Latem 2011 r. powstał nowy model biograficzny w Gödelitz, służący wymianie między Niemcami a imigrantami z krajów byłego Związku Radzieckiego i spotkaniom między sąsiednimi krajami – Polską i Niemcami.

Obecnie „niemiecko-rosyjskie rozmowy biograficzne” są ograniczone do landu Saksonia i odbywają się raz w roku w Gödelitz. Ostatnie obie rundy były wspierane przez program krajowy „Otwarta na świat Saksonia”. W porównaniu do zachodnich landów na terenie byłego NRD odsetek osób tureckiego pochodzenia na tle wszystkich innych grup imigrantów jest bardzo mały. Osoby pochodzące z byłego Związku Radzieckiego tworzą jedną z większych grup imigrantów. Nie do końca jednak czują się „jak miejscowi”, mimo że szeroko korzystają z pełnej swobody działań. Praca, język, uznanie ich wykształcenia, ale i brak społecznych kontaktów utrudniają im tę integrację. Oba pierwsze niemiecko-rosyjskie spotkania biograficzne przebiegały emocjonalnie. Uczestnicy opowiadali swoje życiowe historie w różnoraki sposób, ale niezmiennie bardzo otwarcie. Na koniec tych spotkań stwierdzili, że opowiadanie o sobie pozwoliło im inaczej widzieć siebie w codziennych relacjach z Niemcami.

Również od 2011 r. Forum Wschód-Zachód organizuje niemiecko-polskie rozmowy biograficzne, aby zintensyfikować wymianę między sąsiednimi krajami, których przeszłość naznaczona jest napięciami, nienawiścią oraz wojną. W tej wspólnej historii Polska była w sposób szczególnie dotkliwy ofiarą agresji. Ludzie nie zapomnieli tego do dzisiaj. Takie projekty, jak niemiecko-polskie biografie, które m.in. przekazują wiedzę o wspólnej przeszłości, opartą o własne losy i doświadczenia – są konieczne.

Rozmowy są organizowane przez Forum Polsko-Niemieckie; jest to wspólny projekt Forum Wschód-Zachód Gödelitz, Uniwersytetu Warszawskiego oraz Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusku.

Jak dotąd, w ramach tych spotkań nastąpiło zbliżenie do polsko-niemieckiej historii, przeprowadzono analizę współczesnych problemów i sporów, ale także pozytywnych wydarzeń; określono też tematy naukowej wymiany. Specjaliści, którzy zajmują się profesjonalnie (ale też dziennikarsko) stosunkami polsko-niemieckimi, referowali i dyskutowali w „specyficznych obszarach tematycznych”. Już od wielu lat istniał pomysł uzupełnienia programu Polsko-Niemieckiego Forum o rozmowy biograficzne na wzór modelu z Gödelitz. W międzyczasie odbyły się dwie rundy biograficzne – wsparte przez mającą swoją siedzibę w Warszawie Fundację Współpracy Polsko-Niemieckiej oraz hamburską Fundację Marion Dönhoff. Także uczestnicy polsko-niemieckich rozmów biograficznych byli pod wrażeniem tej koncepcji i wyrazili mocne przekonanie, że przez czynne uczestnictwo tak wielu osób będzie narastało głębokie, wzajemne zrozumienie. Atmosfera między niemieckimi i polskimi uczestnikami była serdeczna, przyjemna, wolna od napięć i naznaczona wzajemnym szacunkiem. Z czasem skład polsko-niemieckich rund biograficznych będzie mniej jednolity – celem jest włączenie osób, które dotąd w małym zakresie albo w ogóle nie zajmowały się problemami sąsiadującego kraju.

Grupy różnych „projektów biograficznych” wymieniają się tematami, które są dla ich poszczególnych relacji bardzo ważne, ale jednocześnie różnią się od treści, którymi zajmują się uczestnicy np. niemiecko-tureckich rozmów biograficznych. Z tego powodu tworzyliśmy dotychczas rundy biograficzne z dwóch homogenicznych grup. Im więcej ich bierze udział w jednej rundzie, tym większe będzie spektrum tematów, co mogłoby skutkować tym, że rozmowy będą mniej szczegółowe. Z drugiej strony – żyjemy w Niemczech tak samo, jak w Europie, w społeczeństwie wielokulturowym. Planowane jest także przeprowadzanie rund biograficznych dla Niemców bez imigranckich korzeni, jak i grup innego pochodzenia.

(Przełożył Krzysztof Garczewski)

Dominique Kirste, w latach 2001–2008 studiowała historię nowożytną i historię sztuki na Uniwersytecie Technicznym w Berlinie. Jej szczególne zainteresowania dotyczą następstw antysemityzmu od średniowiecza po współczesność. Interesuje się też malarstwem i architekturą włoskiego renesansu. Studia ukończyła z tytułem magistra. Od roku 2009 jest dyrektorem koordynującym biura ost-west-forum Gut Gödelitz. W czasie wolnym studiuje historię Izraela; bada przyzyny zamachu na Icchaka Rabina (4.11.1995 r.).

ADAM KOSISKI

Okruchy obozowych wspomnień

Dzień 1 sierpnia każdego roku (kolejna rocznica wybuchu powstania warszawskiego) przypomina mi kadry z mojego dzieciństwa, mocno zakodowane w pamięci do dzisiaj. Przeżycia z tego okresu tkwiły w mojej świadomości przez długie lata i wciąż powracają w chwilach zadumy nad przeszłością, bo zapewne już czas na obrachunek z tym, co było i nie wróci więcej. Jestem przekonany, że wywarły one wpływ na moje życie.

Urodziłem się 12 października 1939 r. w Warszawie, zatem tuż po podbićiu przez hitlerowskie Niemcy II Rzeczypospolitej i okupowaniu ok. 50% jej terytorium z prawie 25 milionami mieszkańców. Druga połowa ziem polskich znalazła się – po agresji Armii Czerwonej (17 września 1939 r.) – pod okupacją ZSRR wraz z ok. 10-milionową rzeszą ludności zamieszkującą tzw. Kresy Wschodnie, w tym Polaków, Żydów, Ukraińców i Białorusinów.

Nie sposób przywołać wszystkich szczegółów mojego dzieciństwa do 1 sierpnia 1944 r., choć wydaje mi się, że pozostał w mojej pamięci fragment z pogrzebu ojca, który zmarł 3 sierpnia 1943 r. i został pochowany na cmentarzu katolickim w warszawskiej dzielnicy Wola. Od urodzenia aż do tego pamiętnego dnia mieszkaliśmy razem z rodzicami – Marianną i Janem, oraz przyrodnim rodzeństwem – Krystyną i Zbigniewem, w tej dzielnicy, przy ul. Przyokopowej 9, wówczas biednej i zaniedbanej, a dzisiaj, w 69 lat po wybuchu powstania, zmienionej nie do poznania, zabudowanej gmachami biur i banków, oddalonej o ok. 150 metrów od Muzeum Powstania Warszawskiego.

Życie w okupowanej i poddawanej represjom stolicy było niebezpieczne, głodne i chłodne. Warszawa i jej mieszkańcy nie poddawali się, mimo że

łapanek, wywózki do obozów zagłady, rozstrzeliwania na ulicach zarówno członków ruchu oporu, jak i bezbronnych cywilów, paraliżowały codzienną egzystencję, lecz nie gasiły ducha nadziei i wiary w klęskę nazistów. Pamiętam jedno wydarzenie, które mogło zakończyć się dla mnie i mojej matki tragicznie. Bombardowania niemieckich miast przez lotnictwo alianckie i kolejne klęski wojsk hitlerowskich na froncie wschodnim powodowały wzrost optymizmu umęczonej ludności Warszawy. Podczas jazdy tramwajem zacząłem – ku przerażeniu mojej matki – recytować tekst śpiewany na ulicach: „Berlin się pali, Hamburg się pali, Hitler z Göringiem powariowali”. Na szczęście był to tramwaj tylko dla Polaków, lecz czasami podróżowali nim również agenci i volksdojcz (Volksdeutsche). Na najbliższym przystanku wysiedliśmy pośpiesznie z tramwaju, a ja dostałem za swoje, chociaż mając 4,5 roku, nie bardzo wiedziałem, za co.

Nie pamiętam nic z 1 sierpnia 1944 r., kiedy rozpoczęły się walki. Dokładnie nie zapisane mam w świadomości wydarzenia z 9 sierpnia, najtragiczniejsze w moim życiu, potwierdzone po latach. Rano wszyscy lokatorzy drewnianego domu, w którym mieszkalem, oraz ludność z pobliskich budynków zostali wypędzeni na ul. Przyokopową i ustawieni do rozstrzelania przed czołgami i wozami pancernymi. Na chodniku żołnierze niemieccy z brygady SS Oskara Dirlewangera, a także najemnicy z Łotwy, Ukraińcy i Rosjanie z oddziałów SS RONA (Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii Ludowej), dowodzeni przez Bronisława Kamińskiego, celowali do nas z karabinów maszynowych. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co mi grozi, wypytywałem mamę i siostrę, co robią żołnierze. Z pewnością zostalibyśmy zamordowani, gdyby nie atak powstańców i skuteczne ostrzelanie przez nich naszych niedoszłych morderców.

Dzisiaj wiem, że był to prawdopodobnie jedyny przypadek na Woli uratowania od masowej egzekucji kobiet i dzieci. W tej robotniczej dzielnicy Warszawy od 3 do 12 sierpnia zabito ok. 60 tys. osób, a gen. Georg-Hans Reinhardt (1887–1963) „skarżył się”, że brakuje mu amunicji do rozstrzeliwania ludności. Wprawdzie inny generał, Erich von dem Bach-Zelewski, który dowodził siłami niemieckimi, 12 sierpnia zabronił rozstrzeliwania wziętych do niewoli, zwłaszcza kobiet i dzieci, lecz egzekucje mężczyzn trwały jeszcze długo, niemal do kapitulacji powstania 3 października 1944 r.

Cudem uratowani przed egzekucją zostaliśmy skierowani pod brutalną strażą rozbawionych żołnierzy na targowisko dzielnicy Ochota, zwane popularnie, także dzisiaj, Zieleniakiem. Ostatnim wspomnieniem z ul. Przyokopowej pozostał płonący drewniany dom po wrzuceniu do jego środka granatu.

Kolumna jeńców, wyłącznie kobiet i dzieci, prawie bez żadnego bagażu i zapasów żywności popędzona została, o czym przypomniałem sobie po

latach, ulicą Towarową, a następnie Grójecką. Gdy byłem uczniem Liceum im. Hugona Kollątaja w latach 1954–1958 (przy ul. Grójeckiej 93) i jeździłem codziennie do szkoły, nie mogłem sobie odtworzyć obrazu tej ulicy z 9 sierpnia 1944 r., chociaż wiedziałem, że doskonale ją znam jako płonącą, zdewastowaną, z powybijanymi w budynkach oknami. Udało mi się ją rozpoznać dopiero w czasie studiów na Uniwersytecie Warszawskim, który ukończyłem w 1963 r. Przypadek zrzucił, że szkołę średnią ukończyłem w sąsiedztwie Zieleniaka, który był miejscem tragicznym i przeklętym dla setek kobiet i dziewcząt.

Kiedy dotarliśmy na Zieleniak, nie był on już targowiskiem, lecz obozowiskiem zrozpaczonych kobiet i dzieci: miejscem rabunków, gwałtów i mordstw. Spędziliśmy tam z mamą i siostrą koszmarną noc i następnego dnia głodni, zmęczeni i spragnieni – zostaliśmy popędzeni do Pruszkowa, gdzie kilka dni koczowaliśmy w pomieszczeniach Zakładów Naprawy Taboru Kolejowego. Miejsce to odwiedziłem dopiero w 2011 r. Powróciły wówczas przeżycia tych dramatycznych dni i nocy, kiedy linie życia i śmierci prawie nałożyły się na siebie.

Po załadowaniu wszystkich spędzonych do wagonów towarowych, pod czujną wartą żołnierzy, pociąg został skierowany na zachód. Zatrzymywano go na dłuższe postoje w miejscowościach, których nazw nie pamiętam. Ostatecznie na początku listopada zostaliśmy osadzeni w obozie pracy w Berlinie. Ulokowano nas w wielkim baraku nad rzeką Sprewą (Spree) przy ul. Birkenstraße. Pomieszczenie znalazło w nim ok. 200 kobiet z dziećmi. Spaliśmy na dwu- i trzypiętrowych pryzach. Mamie, siostrze i mnie wyznaczono miejsce przy drzwiach wejściowych. Dorośli od razu zmuszeni zostali do pracy w systemie trzymianowym w fabryce amunicji. Byłem wiecznie głodny, bo nędzne racje żywnościowe nie wystarczały nawet dla dziecka. Wielkim przysmakiem była cienka zupa z dyni. Mama i siostra oddawały mi część swojego przydziału z własnego skąpego wyżywienia. Gdy one szły do pracy, często zostawałem sam zarówno w dzień, jak i w nocy. Podczas bombardowań obiektów wojskowych, w tym fabryk produkujących broń, opuszczaliśmy drewniany barak i biegiem pędziliśmy do schronów ukrytych w lesie oddalonym ok. 1–1,5 km. Razem z nami ukrywała się ludność niemiecka, początkowo w oddzielnych schronach, lepiej wyposażonych. Później, kiedy naloty alianckie stawały się coraz częstsze, Polki i Niemki z dziećmi szukały wspólnego schronienia.

Nieszczęście jednoczyło i zbliżało ludzi do siebie. Moja mama znalazła wsparcie u właścicielki willi przy Birkenstraße, sąsiadującej z barakiem dla jeńców. Jej córka musiała także pracować w zakładach zbrojeniowych, gdzie poznała moją mamę i siostrę. Obie Niemki były samotne, ich mężowie i sy-

nowie zginęli na froncie wschodnim. Wielokrotnie przychodziłem do tej willi, a jej właścicielki karmiły mnie chlebem i niekiedy miską zupy. Nie wiem, czy jeszcze żyją, prawdopodobnie już nie, tak jak moja mama (zmarła w 2002 r.) i siostra, która zakończyła życie w wieku 67 lat w 1993 r. Nie żyje też od 1997 r. mój przyrodni brat Zbigniew, powstaniec warszawski i żołnierz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Z opowiadań mojej mamy zapamiętałem, że w obozie byłem – jak na 5-latkę – samodzielny i dawałem sobie radę w trudnych sytuacjach. Nie bałem się nawet szczurów, które nadzwyczaj dobrze czuły się w jenieckim baraku. Bawiłem się z moimi rówieśnikami z Polski, niekiedy stykaliśmy się z niemieckimi chłopcami i dziewczynkami, lecz nigdy nie było z nimi wspólnych zabaw. Byliśmy ubrani dużo gorzej niż oni, ale głównie brakowało nam wspólnego języka. Baraku jenieckiego pilnowali strażnicy, a niektórzy z nich, zapewne Ślązacy, mówili dobrze po polsku. Bawiąc się w wojnę zaskoczyłem jednego z nich poleceniem: „Hände hoch!”. Zdumiony strażnik dostrzegł literę „P” (Polen) na moim ubraniu i zapytał, kim jestem i jak się nazywam? Krótka odpowiedź z mojej strony „warszawski bandit” rozśmieszyła go i rozbawiła. Dostałem klapsa i na tym skończyła się – jak opowiadały mi mama i siostra – moja zabawa w wojnę.

Z ich opowieści zapamiętałem też inne wydarzenie. Od rodziny mamy, Jadwigi i Kazimierza Korycińskich, zamieszkałych we wsi Leśniewo Dolne, w regencji Ciechanów (Zichenau), dwukrotnie otrzymaliśmy paczki żywnościowe. Pierwszą, nienaruszoną, odebraliśmy w urzędzie pocztowym na początku marca 1945 r. Druga, także w całości dotarła do nas na początku kwietnia tegoż roku. Szalała wojna, a niemiecka poczta działała. Nikt nie chciał i nie chce wierzyć, że było to możliwe. Niestety, drugiej paczki nie udało nam się dowieźć do obozu bez uszczerbku. W tramwaju część zawartych w przesyłce produktów została ukradziona przez niemieckich pasażerów, którzy mocno odczuwali na własnej skórze skutki polityki Hitlera i bezlitosnych alianckich bombardowań. W obydwu przypadkach po paczki mama jeździła ze mną.

Jedna z moich wypraw mogła zakończyć się śmiercią. W połowie lutego 1945 r. lotnictwo radzieckie zbombardowało statek przewożący ładunek cukru. Po lodzie, do unieruchomionego statku dotarli dorośli i dzieci, w tym i ja. Pakowaliśmy przemoczony cukier, gdzie się dało – do kieszeni, toreb i woreczków. Nie zwracałem uwagi na to, że w każdej chwili mogłem utonąć w utworzonym przez lodołamacz torze wodnym i w przeręblach powstałych po bombardowaniu. Przemoczony, lecz szczęśliwy ze zdobyczy, dotarłem do baraku zmarznięty na kość. Śmierć była niemal codziennym zjawiskiem w obozie, umierali dorośli, umierały dzieci. Zachowałem w pamięci pogrzeb

mojej rówieśniczki, którą w trumnie z nieheblowanych desek pochowano na obozowym placu.

Wyzwolenie zbliżało się szybko. Panowało ogólne rozprężenie. Zdarzały się coraz częstsze rabunki w niemieckich domach. 30 kwietnia, ukryci w schronach, zobaczyliśmy żołnierzy radzieckich. Byliśmy wolni, lecz nie wiedzieliśmy, co robić. Jeszcze dwa dni przebywaliśmy w jenieckim baraku, nie pilnowani już przez nikogo. Pamiętam, jak czerwonoarmiści wrzucali do rzeki granaty, łowiąc w ten sposób ryby. Z takiego połowu korzystały także nasze matki.

Grupa kobiet i dzieci z ul. Przyokopowej 9, wywieziona aż do Berlina, zdecydowała się na powrót do Polski. Była to niebezpieczna decyzja. Żołnierze frontowi, radzieccy i polscy nie zawsze przyjaźnie odnosili się do samotnych, bezbronnych kobiet. Pieszko, konnymi wozami, czasem przygodnym samochodem dotarliśmy z mamą i siostrą na dworzec kolejowy. Udało nam się znaleźć miejsce w transporcie wojskowym jadącym na wschód. 3 maja 1945 r. przekroczyliśmy Odrę, a 5 maja dotarliśmy do Warszawy. Zachorowałem wtedy na odrę i oczywiście byłem przekonany, że miało to związek z rzeką o tej samej nazwie.

Dziesięć miesięcy – od 1 sierpnia 1944 r. do pierwszych dni maja 1945 r. – to w pewnym sensie okres kluczowy w moim życiu. Nie zostałem rozstrzelany, nie utonąłem w rzece, nie spotkały mnie inne tragiczne nieszczęścia zagrażające dalszemu rozwojowi. Nie zdawałem sobie sprawy, chroniony przez najbliższych, że zawdzięczam im tak wiele. Na zawsze zachowam wspomnienia o ludziach, którzy pomogli mi przetrwać: o Polakach, Rosjanach, współczujących Niemcach. W pełni doceniam to obecnie. Skutki powstańczych i wojennych przeżyć trwają i będą trwać w mojej pamięci i świadomości, pomagają mi zrozumieć los człowieka. Przechowuję – jako znak czasu i pamięci – literę „P”, wówczas znak segregacji rasowej, szowinizmu, ksenofobii i nacjonalizmu, do dziś symbol tego, jaki los zgotowali ludzie ludziom. Przeżycia z tego okresu przypomina mi kartka pocztowa od przyrodniego brata Zbigniewa, wysłana z obozu jenieckiego (Kriegsgefangenenlager), z datą 31 stycznia 1945 r., do siostry Krystyny pod adres: Berlin-Tegel, Birkenstraße 18–22 Lager. Ocalał także jej Lagerausweis nr 62609170.

Na początku października 2008 r. na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie (Allenstein) wręczono dyplom doktora honoris causa Hansowi-Gertowi Pötteringowi (ur. 15 września 1945 r.), przewodniczącemu Parlamentu Europejskiego. Byłem jednym z recenzentów jego dorobku – obok Jerzego Buzka i Bronisława Geremka. I on, i ja byliśmy zgodni w ocenie przyczyn i konsekwencji II wojny światowej, chociaż patrzyliśmy

z różnej perspektywy na lata 1939–1945. Mój i jego rok urodzenia pozwolił nam dostrzec nieszczęścia ludzi i narodów w tym czasie. Hans-Gert Pötering rozpoczynał życie już po zakończeniu II wojny światowej, ja – samym jej początku.

Adam Waldemar Koseski, ur. 12 października 1939 r. w Warszawie. Po powstaniu warszawskim 1944 r. wywieziony wraz z matką i siostrą do obozu w Berlinie, skąd powrócił na początku maja 1945 r. Rektor Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusk, prof. zw. dr hab., historyk i politolog. Studia wyższe ukończył na Uniwersytecie Warszawskim (1963 r.), doktorat w 1972 r. na Wydziale Nauk Politycznych UW; habilitacja w 1979 r., profesor zwyczajny (tytułarny), od 1987 r. Współzałożyciel Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora (1994). Pierwszy prorektor AH (1994–2004) i rektor od 2004 r. Doktor honoris causa Moskiewskiej Akademii Ekonomiki i Prawa (2008) i Uniwersytetu im. Immanuela Kanta w Kaliningradzie (2009). Członek Komitetu Monitorującego Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Mazowieckiego na lata 2007–2013. Przewodniczący Rady Programowej Muzeum Mazowieckiego w Płocku i Muzeum Szlachty Mazowieckiej w Ciechanowie. Promotor 25 prac doktorskich, recenzent 11 rozpraw habilitacyjnych i kilkunastu prac doktorskich. Autor 21 książek i prac zbiorowych, ponad 250 artykułów naukowych i popularnonaukowych, tłumacz literatury bułgarskiej. Odznaczony: Złotym Krzyżem Zasługi (1974), Krzyżem Kawalerskim (1983) i Krzyżem Oficerskim OOP (2003), bułgarskim Orderem Cyryla i Metodego I stopnia (Złoty; 1976), Medalem Komisji Edukacji Narodowej (2000), Honorowy Obywatel Pułtusk (2004), odznaka honorowa „Zasłużony dla Mazowsza” (2009), Złoty Medal Akademii Polskiego Sukcesu (2010).

JOSEF KRÖGER

Moje spotkania z Polską

Udział w wymianie szkolnej i wyjazdy grupowe (zainteresowanych tym osób) do Polski w roku 1972 były dla mnie – jako człowieka urodzonego i wychowanego w Westfalii – podróżami „w nieznaną kraj leżący za tzw. żelazną kurtyną”. Z Polską nigdy wcześniej, jak i z NRD, która też znajdowała się w tym bloku, nie miałem wcześniej żadnego kontaktu, zarówno oficjalnego, jak i rodzinnego. Poznanie „nieznanego” zaczęło się dla mnie w Helmstedt, gdzie znajdowało się przejście graniczne między tzw. Wschodem a Zachodem. Aby udać się do Polski, trzeba było mieć wizę tranzytową na przejazd przez NRD i potem przejść upokarzającą kontrolę przez ludzi (z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału), którym towarzyszyły psy. A kontrolowano dosłownie wszystko, zaglądając nawet „pod auto”. Nieco przyjemniejsza była następna kontrola we Frankfurcie nad Odrą, zwłaszcza ta po „polskiej” stronie.

Do odwiedzenia Polski namówili mnie Brigitte i Winfried Lipscherowie (zaprzyjaźnione ze mną małżeństwo), którzy w roku 1971 wyjechali do Warszawy, gdzie Winfried objął funkcję tłumacza w Przedstawicielstwie Handlowym Republiki Federalnej Niemiec. Pierwsze zaproszenie do ich odwiedzenia, podpisane przez nich oboje, otrzymałem w roku 1971. I tak zaczęły się moje intensywne spotkania z Polską, którą odwiedziłem aż 26 razy. W znaczącej większości były to wyjazdy z młodzieżą szkolną, które Winfried popierał, będąc przekonany, że kontakty międzypaństwowe najbardziej umacniają się przez bezpośrednie spotkania ludzi. Stąd wszystkie moje wyjazdy do Polski zawsze zaczynały się od wizyty u państwa Lipscherów, którzy wprowadzali nas w atmosferę polityczno-społeczno-kulturalną Polski. Były to dla nas rozmowy bardzo cenne, odbywane „przy kawie i drobnym poczęstunku”.

Lipscherowie, w pełnym tego słowa rozumieniu, przybliżali nam historię Polski, w tym także dzieje niemiecko-polskich stosunków. Nasze wizyty w nieznanym dotąd kraju stawały się coraz intensywniejsze i miały znaczny wpływ na kształtowanie wzajemnie dobrych relacji. Lipscherowie byli tymi, którzy wprowadzali nas w „nowy świat” i ułatwiali rozumienie Polski i Polaków.

* * *

Pierwsze wyjazdy do Polski miały charakter studyjny i rozpoznawczy; nie były jeszcze objęte wieloletnim planem kontaktów „wymiany szkolnej”. O takich zresztą – na początku lat 70. ubiegłego wieku – nie można było jeszcze myśleć. Odwiedzając Polskę, należało mieć oficjalnego partnera, który pobyt organizował. W naszym przypadku była to Agencja Młodzieżowa „Juventur”. Pierwsza wymiana szkolna nastąpiła w roku 1973 z prywatnym Katolickim Liceum „PAX” w Warszawie, którego dyrektorem był wówczas Wiesław Herczyński, a kierownikiem internatu przyszkolnego – Zdzisław Piasecki. Dzięki tym osobom powstała możliwość zobaczenia polskiego liceum „od środka”, spotkania się z jego nauczycielami i uczniami.

Z inicjatywy drugiego już dyrektora liceum – Jana Górskiego, nasze kontakty uległy pogłębieniu. Od roku 1986 stały się oficjalne dla obu szkół, które postanowiły ze sobą współpracować w zakresie wymiany uczniów. W 1985 r. przyjechała z Warszawy do Paderborn grupa nauczycieli i po zapoznaniu się na miejscu z warunkami i okolicą, postanowiła ze szkołą, w której pracowałem – Liceum im. Reismanna – systematycznie współpracować. Od roku 1988 grupy polskiej młodzieży były każdorazowo goszczone przez burmistrza miasta.

Następnym krokiem było wspólne ustalanie programu wzajemnych pobytów. Zdecydowaliśmy się na zwiedzanie terenów północnej, względnie południowej Polski: Warszawy, Gdańska, Krakowa. Uszczegółowione programy wymagały jeszcze – w latach przed przemianami w Polsce – akceptacji władz, ale już będąc „w trasie”, często okazywało się (co np. w NRD byłoby niemożliwe), że „akceptacja” ta była w zasadzie tylko formalnością, natomiast plany podróży zmienialiśmy często w zależności od potrzeb. Kimś obcym był zawsze dla mnie oficjalny pilot, który na granicy odbierał nasze grupy i towarzyszył im do końca pobytu w Polsce. Pilot pierwszej mojej wycieczki studyjnej, którą odbywałem w roku 1973, już pierwszego wieczora pokazał mi wytatuowany na przedramieniu numer jeńca obozu oświęcimskiego, który był jednym z niższych – jeszcze z tzw. serii A. Nie muszę w tym momencie podkreślać, jakie zrobiło to na mnie wrażenie.

Podczas pobytu w Krakowie, gdy w programie popołudnia był zaplanowany tzw. czas wolny, udaliśmy się (oczywiście bez naszych pilotów) do

biura Stowarzyszenia „Znak”, gdzie oczekiwał nas prof. Stanisław Stomma, szef tego stowarzyszenia, a jednocześnie poseł na Sejm.

Dyskutowaliśmy o polskim katolicyzmie i pozwolę sobie przytoczyć to, co zanotował w swoim „dzienniku” jeden z uczestników tego spotkania:

– „Prof. Stomma uważa swój ruch (chodzi o stowarzyszenie «Znak») jak i ogół «katolicyzmu» w Polsce, za permanentną opozycję wobec aktualnego establishmentu. Kościół katolicki – jego zdaniem – był zawsze w historii razem z narodem i wspólnie z nim dzielił jego los.

– Jest symbolem przynależności kraju do łacińsko-rzymskiej spuścizny i oznacza (także w czasach komunizmu) przynależność do zachodniej (a nie wschodniej) Europy. Wschodnia granica Polski jest jednocześnie symboliczną granicą katolicyzmu, za nią są prawosławni.

– Kościół katolicki w Polsce żyje skromnie, a księża i kościoły utrzymują się z tego, co ludzie składają na tzw. tacę oraz z dobrowolnych darowizn”.

Przypominam sobie tę rozmowę z prof. Stommą, jakby miała miejsce wczoraj, choć od tego momentu upłynęło blisko 40 lat. Zazdrościłem mu takiego podejścia do roli Kościoła w życiu narodu, że religia i naród to jedno. W Niemczech od czasów odrodzenia Kościół katolicki (w ogóle Kościoły) nie cieszy się aż takim autorytetem.

Jeszcze wielokrotnie potem, podczas swych pobytów w Polsce, wracałem w rozmowach z przedstawicielami Kościoła rzymsko-katolickiego do „opinii” nt. swoistej symbiozy Kościoła z narodem, wyrażonej przez prof. Stommę (m.in. z biskupem opolskim Alfredem Nossolem, profesorem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, jednym z uczonych teologów wśród polskich biskupów).

Tego rodzaju rozmowy i spotkania były dla mnie zawsze fascynujące, gdyż pozwalały mi lepiej zrozumieć skomplikowaną historię Polski i wyrosłą na jej gruncie mentalność Polaków. A gdy papieżem został Polak – Karol Wojtyła, pomyślałem sobie: „Jeśli złoży wizytę w Polsce, to system komunistyczny na pewno będzie miał problemy”. I tak też się stało!

* * *

Kraków otrzymał od komunistów po II wojnie światowej nową dzielnicę – Nową Hutę. Planowano, że stanie się socjalistyczną dzielnicą mieszkaniową dla zatrudnionych w olbrzymiej, tworzonej tam hucie stali. Miała być wielka, i – według planów rządzącej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – być nowoczesnym miastem „bez Boga”.

Jednak na przełomie lat 50. i 60. ubiegłego wieku doszło tam do krwawo stłumionych demonstracji hutników, żądających wybudowania w Nowej Hucie kościoła rzymsko-katolickiego. W roku 1967 – po wielu staraniach –

udzielono na to zgody. Ówczesny biskup Krakowa kard. Wojtyła jego proboszczem uczynił ks. Józefa Gorzelanego, który zaplanował i wybudował ogromny kościół, mogący pomieścić co najmniej 5 tys. wiernych. Gdy w 1972 r. po raz pierwszy odwiedziłem tę „dzielnicę” – miasto, pracowało w niej 16 księży, a niedzielne msze św. odprawiano nie tylko w kościele, ale także na zewnątrz. Ludzie tłoczyli się wokół, stali nawet na ulicach, a gdy zbliżał się autobus – rozsuwano się, aby mógł przejechać, po czym szpaler ludzki znów się zamykał. Czegoś podobnego nigdy dotąd nie widziałem.

Dolną część kościoła stanowi bogato zdobiona kaplica upamiętniająca cierpienia doznane przez Polaków i inne narody w obozie śmierci Auschwitz. Swoje miejsce pamięci mają tu także bohaterowie powstania warszawskiego, Westerplatte i pomordowani w Katyniu. W jej wnętrzu zwraca również uwagę olbrzymia drewniana rzeźba zamordowanego w Oświęcimiu ojca Maksymiliana Kolbego, odzianego w biało-niebieski strój więźnia obozu Auschwitz-Birkenau. Monumentalny kościół w Nowej Hucie za czasów probostwa ks. Gorzelanego stał się punktem pomocy poszkodowanym w okresie stanu wojennego w Polsce. W jego podziemiach utworzono ogromną aptekę, do której napływały leki z całego świata w ramach pomocy Polakom w tym złowrogim dla nich czasie. Ale w tym kościele rozdzielano nie tylko leki, lecz także brakujące wtedy w Polsce artykuły, m.in. dla niemowląt. Raz w miesiącu odbywały się msze św. dla kobiet w ciąży, rozdawano potrzebującym zgromadzone w kościele artykuły, w tym przypadku dla niemowląt i dla dzieci. Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem w roku 1981, a więc w szczytowym okresie stanu wojennego w Polsce, ktoś włożył do mojej skrzynki pocztowej kopertę, w której było ponad 200 adresów ludzi z Nowej Huty, z krótką charakterystyką sytuacji materialnej danej rodziny. Choć nie było nadawcy listu, dla mnie było oczywiste, że ten wykaz osób potrzebujących pomocy podesłał mi ks. Józef Gorzelany. Akcja pomocy Polakom w stanie wojennym była wówczas jedną z ważniejszych inicjatyw ze strony Niemców.

W moim otoczeniu zorganizowano aż trzy tego rodzaju akcje. Ale wysyłano także paczki do indywidualnych osób. Co ja zrobiłem z otrzymaną listą ponad 200 osób? Z inicjatywy Kościoła św. Antoniego w Kolonii organizowano w całych Niemczech tzw. nocne modlitwy polityczne. Takie organizowała również moja parafia akademicka, w której pracowałem. Wpadliśmy na pomysł, aby adresy zbiorowe wydrukować w formie listy „z paseczkami”, na których widniał jeden adres. Dawał się on łatwo oderwać od pozostałych i takimi paseczkami z adresem udekorowaliśmy nasze kościelne choinki. Ludzie po mszy lub po modlitwach adwentowych zabierali ze sobą te adresy i wiem (od zaprzyjaźnionych ze mną parafian), że nawiązało się z tego wiele osobistych kontaktów.

Innym efektem moich wyjazdów do Polski były dwie inicjatywy: m.in. zbieranie prezentów dla Polaków przez uczniów szkoły, w której pracowałem. Dwa olbrzymie samochody ciężarowe Caritasu zawiozły je następnie do Krakowa i Nowej Huty. W jednym z tych transportów pojechałem nawet jako pomocnik kierowcy. Przyczepę rozładowaliśmy w krakowskiej kurii biskupiej, natomiast samochód ciężarowy, który ją ciągnął, przekazaliśmy do rozładunku w Nowej Hucie. Ja znalazłem gościnę bezpośrednio u proboszcza Józefa Gorzelanego, który przed pójściem spać zapewnił mnie: „Możesz spokojnie zasnąć, gdyż straż parafii pilnuje wszystkiego dzień i noc”. Pokazał mi nawet pistolet, który miał w swoim łóżku pod poduszką, dodając: „A jeśli przyjdą Rosjanie, w Polsce poleje się krew”.

* * *

Będąc z młodzieżą w Polsce, odwiedzaliśmy zawsze Oświęcim – nazistowski obóz śmierci „Auschwitz”. Chciałbym swoją relację ze spotkania z tym niewyobrażalnym dowodem zbrodni oprzeć na dzienniku jednej z uczestniczek – młodej nauczycielki, która mi wówczas z grupą gimnazjalistów towarzyszyła.

Oto – dosłownie – co zanotowała w swoim dzienniku (bo ja nie potrafiłbym zrobić tego lepiej):

...Aby dzisiejszej młodzieży przybliżyć „fenomen” Auschwitz (jako niemieckiego, a nie polskiego obozu śmierci!), trzeba tam z nią koniecznie pojechać. I w programie każdej „wymiany szkolnej” – zwiedzanie Auschwitz powinno się znaleźć obowiązkowo! Zwłaszcza dlatego, że coraz mniej żyje świadków tego strasznego wydarzenia. Na szczęście – pozostało Muzeum „Auschwitz” i zwiedzając je, można o wszystkim, jak było naprawdę – dowiedzieć się. To trzeba zobaczyć, bo opowiedzieć o tym słowami jest bardzo trudno. Dla mnie osobiście zwiedzenie tego niemieckiego obozu zagłady pozostanie niezapomnianą lekcją! Jak człowiek człowiekowi mógł zgotować taki los? Każdy młody Niemiec powinien z tą „lekcją” się zetknąć. I odwiedzić nie tylko Auschwitz, ale również Birkenau!

Właśnie tu po raz drugi rozpoczynam swoje zwiedzanie tych strasznych miejsc. Robią jeszcze większe wrażenie niż poobozowe baraki Auschwitz. Przed bramą główną obozu skręcam w prawo, idąc następnie wzdłuż kolczastego płotu (obok niego jest droga, a przy niej rozciąga się brzozyowy las. Tędy szli więźniowie do krematorium IV i V). Przez dziurę w płocie przechodzę z innymi w pobliskie obiekty, które do dziś budzą przerażenie i zgrozę.

Zatrzymując się w tym miejscu, wpadamy w zadumę, a po chwili wrzucamy do pobliskiego stawu czerwoną różę, która nie tonie, tak gęsta w nim woda... od ludzkich prochów!

Po chwili nasza wycieczka pod przewodnictwem Josefa Krögera rusza dalej. Przechodzimy obok zburzonej już wartowni i pomieszczenia, które kiedyś było „łaźnią” (niby dla „odwszenia” więźniów, a *de facto* służyła ona uśmiercaniu ludzi gazem).

Następnie zwiedzamy dwa krematoria i kobiece baraki obozowe, gdzie dla kilkuset kobiet „kwaterowanych” na drewnianych, wieloosobowych pryczach było tylko kilka latryn i kilka „umywalek” z zimną wodą. Wszystko sprawia straszne wrażenie, gdy uświadamiamy sobie, w jakich warunkach przetrzymywano ludzi!

Wreszcie docieramy do budynku straży obozowej. Jakaż diametralna różnica między tamtymi barakami a warunkami, jakie zapewniano strażnikom.

Zdarza się, że w grupie zwiedzających są osoby, które mają takie same nazwiska, jak dawni „głośni” oprawcy. Oczywiście można sprawdzić w bibliotece obozowej, czy to tylko przypadkowa zbieżność nazwisk i nawet dwukrotnie byłam świadkiem takiego sprawdzania. Dobrze, że daje się to wyjaśnić od ręki w obozowym archiwum i w bibliotece.

Co dziś możemy jeszcze zrobić dla pamięci pomordowanych w obozach? Na pewno zadbać o pełną dokumentację ich istnienia. To obowiązek, o którym powinniśmy pamiętać, aby nie zatarły się żadne ślady dokonanych zbrodni. Aby nigdy młodzi Niemcy nie zapomnieli o tragicznej przeszłości, której sprawcami byli naziści...

* * *

Po każdym powrocie z Polski odbywałem z młodzieżą spotkanie (czasami kilka), aby wspólnie podsumować to, co zobaczyliśmy, z czym wróciliśmy do Niemiec, co utkwiło nam najbardziej w pamięci, jakie zabytki, przeżycia i wrażenia ze spotkań z Polakami?

Dla jednych był to Grunwald, dla innych Jasna Góra w Częstochowie, pomnik Kilińskiego i Małego Powstańca na Starym Mieście w Warszawie i liczne tablice upamiętniające miejsca kaźni Polaków w powstaniu warszawskim, dla jeszcze innych – pomnik Solidarności w Gdańsku, kościół w Nowej Hucie, albo grób ks. Popiełuszki.

Generalnie – stwierdzali wszyscy – Polska jest krajem narodowym i katolickim, co daje się zauważyć na każdym kroku.

Podstawą jej kultury jest kult Matki Boskiej.

Ten kult datuje się od króla Jana Kazimierza, który 1 kwietnia 1656 r. złożył swoją koronę u Jej stóp. Od tego czasu św. Maryja jest nie tylko matką Jezusa, ale także Regina Poloniae – Królową Polski! I chyba nie ma pieśni maryjnej, w której nie byłby wyrażony ten niespotykany gdzie indziej i na

taką skalę kult jej przewodzenia całemu narodowi. Wyrażają to szczególnie takie pieśni, jak: Boże coś Polskę i Bogurodzica; w innych śpiewa się m.in. „my chcemy Boga w książce, w szkole”.

To przekonanie Polaków potwierdził także papież Jan Paweł II, gdy na Placu Zwycięstwa w dniu 2 czerwca 1979 r. m.in. powiedział: „historii Polski nie da się zrozumieć bez Chrystusa”, a kardynał Wyszyński wyjaśniał: „Już od najdawniejszych czasów, od samego przyjęcia przez Polaków chrztu, istnieje szczególna symbioza pomiędzy wartością kulturową Kościoła katolickiego a tradycją i historią narodową i nikt nie jest w stanie temu zaprzeczyć. Polak – oznacza po prostu chrześcijanin. I dzięki tym wartościom naród polski przetrwał wszystko co najgorsze było w jego historii – wynarodowienie, rusyfikację, germanizację, poddanie się Kościołowi prawosławnemu czy protestantyzmowi. Było to możliwe tylko dzięki swoistej jedności narodu wokół Chrystusa, jego Krzyża i jego matki – Maryi”.

Ta symboliczna historia stała się (choć jeszcze niezupełnie) „przeszłością”, gdy Polska w roku 1989 odrzuciła komunistyczne jarzmo, integrując się – przez przemiany społeczne, gospodarcze i polityczne – z tzw. Zachodem, ale symbioza polityki z religią jest nadal wyraźnie wyczuwalna. Narodowo-religijna empatia – moim zdaniem – wciąż towarzyszy polskiej historii, do tego dochodzi jeszcze szczególne upamiętnianie walk o polskość podczas rozbiorów, powstań narodowych, a w szczególności w latach okupacji niemieckiej w czasie II wojny światowej.

Odnoszę wrażenie, po licznych podróżach do Polski, że wciąż pokutuje wśród wielu Polaków przekonanie szczególnego cierpiętnictwa, szczególnego mesjanizmu i braku krytycznej refleksji na temat własnej historii i popełnionych win. Uważam, że ważnym zadaniem Kościoła w Polsce jest przewartościowanie myślenia wiernych z pesymistycznego na bardziej pragmatyczne. Zdynamizowałoby to pozytywne przemiany, pozwalające temu mądrymu i szlachetnemu w swych intencjach społeczeństwu dołączyć do przodujących krajów Europy Zachodniej, stanowiących trzon dzisiejszej UE. Niech wiara w Jezusa Chrystusa mu w tym dopomoże.

* * *

PS. Jeszcze ostatnie zdania o moich „Spotkaniach z Polską”, a szczególnie dotyczące wymiany szkolnej. Zdecydowali o niej bardzo zaangażowani w jej rozwój i systematyczne trwanie ludzie. Bez Arkadiusza Nelkego, Krzysztofa Masta, Zdzisława Piaseckiego i Karola Czejarka po polskiej stronie, oraz Waltera Hungera, Klausa Hohmanna, Karoli Hennemeyer i popierających ich dyrektorów szkół (Gimnazjum Reismanna w Paderborn i Liceum pod wezwaniem św. Augustyna w Warszawie) – nigdy by do nich nie doszło i nie

byłyby aż tak udane; bogate w wydarzenia i wiedzę przybliżającą młodzieży obu szkół historię, ale też dzień dzisiejszy Polaków i Niemców. Że jest możliwe porozumienie, współpraca, pojednanie i przebaczenie. Mało tego – stało się faktem, a przez tych młodych ludzi, którzy dziś są już dorosłymi obywatelami obydwu państw – będzie nadal owocowało.

Wykonano wielkie zadanie, spełniając tym samym wolę wyrażoną w słynnym liście biskupów polskich do biskupów niemieckich. Bo zawsze wszystko zależało od ludzi, ich zaangażowania i umiłowania bliźniego.

(Przełożył Karol Czejarek)

Josef Kröger – rocznik 1936. Miejsce urodzenia i wychowania – Westfalia. Studiował teologię i nauki społeczne m.in. na uniwersytetach w Paderborn, Monachium i Münster. Od roku 1962 – ksiądz katolicki. Przez wiele lat nauczyciel Reismann-Gimnazjum w Paderborn. Był na misji m.in. w Kolumbii. Od roku 1970 regularnie odwiedzał Polskę, w której do dziś ma wielu przyjaciół. Organizator pierwszej wymiany szkolnej między Liceum im. św. Augustyna w Warszawie a Gimnazjum Reismanna w Paderborn. Zaangażowany w pomoc humanitarną dla Polski (w czasie stanu wojennego), obecnie taką pomoc organizuje dla Filipińczyków. Od roku 2003 – na emeryturze.

FRANK KUTZNER

Pokonałem nienawiść

Jeśli chodzi o moje dzieciństwo spędzone w NRD, to nie mam specjalnych wspomnień, o których warto by napisać. Nie pamiętam także dokładnie roku 1989, kiedy następował polityczny przełom, po którym Niemcy ponownie stali się jednym państwem. Na to byłem wówczas jeszcze za młody.

Zresztą wcześniej nie działa się w mojej rodzinie ani też w moim życiu nic szczególnego. To, o czym chcę opowiedzieć, nastąpiło już po zmianach politycznych w kraju.

W czasach NRD byliśmy normalną, zwyczajną, „socjalistyczną” rodziną. Ojciec zajmował się hodowlą, oczywiście w uspołecznionym gospodarstwie hodowlanym, a mama pracowała w tym gospodarstwie jako księgowa. I mimo że nam się „nie przelewało”, żyliśmy spokojnie i w miarę dostatnio, jak na warunki w NRD, w porównaniu do innych krajów byłego Bloku Wschodniego.

Jak pamiętam – zaraz po zjednoczeniu – na terenach byłej NRD było bardzo wielu bezrobotnych! Na szczęście ojciec mój szybko odnalazł się w nowej rzeczywistości, zakładając własne gospodarstwo hodowlane, natomiast mama długo szukała nowego zajęcia i mimo że chodziła i ukończyła kursy kwalifikacyjne pracy od razu nie znalazła. Podobne kłopoty przeżywało wielu spośród naszych znajomych i krewnych. Największy strach budził lęk przed bezrobociem.

Był to też czas wielu rozwodów, co także spotkało moich rodziców. Od dłuższego czasu w niczym dosłownie nie mogli się porozumieć, aż w końcu rozeszli się. Nie muszę chyba podkreślać, co rozwód oznacza dla dzieci? Razem z bratem bardzo przeżywaliśmy tę przykrą i trudną dla nas sytuację. Jednak lepiej, że się rodzice rozeszli, niż mielibyśmy być dłużej świadkami

ich nieustannych kłótni. To było nie do zniesienia. Od tamtej pory nigdy nie obchodziłem już „rodzinnych” urodzin, choć jest to tak ważne święto w niemieckiej tradycji. Tym bardziej, iż każde z rodziców znalazło sobie nowego życiowego partnera.

Miałem wtedy zaledwie 13 lat i przyznaję, że już wtedy zacząłem nadużywać alkoholu, a moim stałym miejscem pobytu stały się dyskoteki. A jakie towarzystwo się w nich spotyka – wiadomo. Każdy tam nagle czuł się „dorosły” i zapragnął „zakosztować życia”. Z tamtego okresu najbardziej zapamiętałem głośno graną w dyskotekach muzykę z tekstami neonazistowskimi. Ich hasła szybko wtedy stały się moimi; zachowanie i niebywała arogancja wobec wszystkiego, co nie jest „narodowe” – także! I tak, mając niespełna 16 lat, stałem się aktywnym członkiem tej – jak ją nazywano – „nienormalnej” młodzieży. Zastanawiało mnie, dlaczego mama nie przeciwstawiła się wówczas mojemu zachowaniu i sprzyjaniu neonazistom? Ojca wówczas od dawna nie widywałem i po odejściu od mamy nie interesował się mną w ogóle.

Szcześliwie nie zostałem zupełnie sam ze swoimi ówczesnymi przekonaniami. Koledzy (i koleżanki) ze szkoły nie odwrócili się ode mnie, a zwłaszcza ci, których nie interesowała polityka, tylko tzw. porządne życie.

Bardzo wiele zawdzięczam swojej babci, również nauczycielowi historii i innym – w tym klasowej wychowawczyni. Krytykowali moje poglądy i zachowanie, ale mnie „nie odrzucili”. Także moja klasa szkolna, choć nie akceptowała mojego zachowania ani specyficznego ubioru (skórzanej kurtki i spodni, wysokich butów i ogolonej głowy), nie odsunęła się ode mnie. Co prawda jawnie krytykowała moje uczestnictwo i zaangażowanie w – ich zdaniem – niegodnym ruchu młodzieżowym naśladowującym „stare nazistowskie czasy”, ale wciąż byli blisko mnie. Któregoś dnia na lekcji pani wychowawczyni powiedziała do mnie głośno przy całej klasie: „nie chce mi się wierzyć, że ktoś tak inteligentny jak ty, może popierać takie zło!”

Pewnie pod jej wpływem nauczyciel historii przez wiele następnych lekcji dyskutował z nami o „trudnym” okresie nazizmu, stale przy tym odwołując się do mnie, pytał: „czy wy naprawdę chcecie powrotu do tamtych czasów? Powrotu do nienawiści i pogardy, a w szczególności do Żydów? Do czasów obozów zagłady za poglądy i z powodów rasowych?” Po tych „wydarzeniach” nauczyciel wf zorganizował nam „wycieczkę szkolną” do byłego obozu koncentracyjnego Ravensbrück i tam przeżyłem prawdziwy szok!

Do dziś cenię sobie swoją dawną szkołę za to, że mnie wówczas z niej nie wydalono, a koleżanki i kolegów, że się ode mnie nie odsunęli; rozmawiano ze mną, wyjaśniano, proszono. To poskutkowało – dyskusja na argumenty i cierpliwość nauczycieli wobec mojego postępowania.

Wówczas przypomniałem sobie, gdy kiedyś moi dziadkowie opowiadali, jak to było zaraz po wojnie, po której musieli (za hitlerowskie zbrodnie) opuścić swój ukochany Śląsk i przeżyć okrutny los wypędzonych. Na szczęście żywi i cali – po wielu dniach poniewierki – dotarli nad Nysę Łużycką. I uświadomiłem sobie, bo wreszcie dotarło to do mnie, że ja robię teraz wszystko, co mogłoby tamte czasy rekultywować. Także poprzez głoszone hasła, że „Niemcy są wyłącznie dla Niemców!”

Dziś cieszę się, że dzięki wielu życzliwym ludziom udało mi się wrócić do normalnego życia, zdać maturę i pójść na studia. Przyczyniła się do tego również moja obecna żona. W dużym stopniu dzięki niej zacząłem unikać niebezpiecznego dla mnie towarzystwa.

Pomogło w tym także to, że po studiach osiedliliśmy się w zupełnie nowym środowisku – w landzie Badenii-Wirtembergii, gdzie przyszły na świat obie nasze ukochane córeczki. Tam poznałem nowych ludzi, którzy nie podzielali moich dotychczasowych rewizjonistyczno-anarchistycznych poglądów. Sześć lat pobytu w innym landzie pozwoliło mi otrząsnąć się z mojego „ekstremistycznego” myślenia.

Ale ciągle tęskniliśmy za „naszymi” rodzinnymi stronami i któregoś dnia postanowiliśmy powrócić do naszej dawnej „małej ojczyzny” – do Saksonii. Próbuję ją dzisiaj swoją pracą zmienić na lepsze, w porównaniu z tą, którą pamiętam z lat mojego dzieciństwa. Umacniam przyjazne kontakty z Polakami i Polską, które w Saksonii mają swoją wielowiekową tradycję. Zgłosiłem się nawet na dwa kursy językowe, aby choć trochę nauczyć się polskiego, by móc porozumiewać się ze swoimi polskimi przyjaciółmi i „gospodarczymi” partnerami i aby nasze wzajemne relacje układały się jak najlepiej. Korzystam także w tym względzie z doświadczeń zdobytych w Badenii-Wirtembergii, gdzie dokonało się wcześniej pojednanie niemiecko-francuskie, które stanowi bazę dla rozwijania korzystnych dla obydwu stron przyjaznych stosunków. I nie robię tego, ponieważ mam jakieś szczególne zobowiązania wobec Polaków i Polski, ale dlatego, że po prostu jako człowiek młodej generacji uważam pokojowe współistnienie państw i narodów za nasz moralny obowiązek. Dlatego też przyjechałem do Gödelitz, gdzie od dawna odbywają się m.in. „niemiecko-polskie spotkania biograficzne”, by dać wyraz temu, że są czymś bardzo ważnym i pożytecznym. Pozwalają bowiem zrozumieć ludziom ich losy, które nie zawsze były od nich bezpośrednio zależne. Zbliżają przez wzajemne poznawanie swych biografii! Oby jak najwięcej organizowano tego rodzaju seminariów i spotkań. Także publikowano rezultaty ich efektów, co – jak wiem – dzięki polskim partnerom wkrótce będzie miało miejsce.

(Przełożył Karol Czejjarek)

Frank Kutzner, urodzony w 1979 r. w Görlitz (w niemieckiej części Zgorzelca). Studiował ekonomię i rysunek techniczny w jednej z saksońskich politechnik. Następnie spędził wiele lat w Badenii-Wirtembergii, pracując w tamtejszym Instytucie Ochrony Środowiska Badenii. Żeby być bliżej przyjaciół, rodziny i miejsca urodzenia – powrócił do Saksonii. Żonaty, dwie córki. Aktualnie pracuje w jednym z biur projektowych.

EMIL DANIEL LESNER

Krótką historia nieoczekiwanych zdarzeń

Urodziłem się w 1984 r. w Szczecinie. Z Niemcami związany jestem od urodzenia ze względu na babcię, która się tam wychowała. To głównie z jej opowieści wiem, że pradziadek jeszcze przed wojną, na początku lat 20., zdecydował się wyjechać na Zachód w poszukiwaniu pracy. Tam spotkał swoją przyszłą żonę, która także wyjeżdżała na roboty sezonowe w celu polepszenia sytuacji materialnej. Historia pradziadka i prababci przypomina trochę opowieść Arystofanesa o tęsknocie i szukaniu drugiej połówki ze słynnej *Uczty* Platona. Pradziadkowie mieszkali bowiem w tej samej wsi, a ich domy dzieliła jedynie rzeka. Los jednak nie pozwolił im wcześniej spotkać się w Polsce. Platoński wymiar historii ich spotkania pogłębia dodatkowo zbieżność imion, ponieważ on nazywał się Franciszek, a ona Franciszka. Babcia urodziła się w Niemczech (w miejscowości Rubenow w pobliżu Greifswaldu), uczęszczała do niemieckiej szkoły, a po wojnie wraz z pradziadkami i swoimi siostrami wróciła do Polski, gdzie mieszka do dziś w jednej z podszczecińskich wsi. Jako dziecko rozmawiała i w szkole, i z rówieśnikami po niemiecku. W domu, w kontaktach z rodzicami, używała wprawdzie języka niemieckiego, ale odpowiadano jej po polsku, co przyczyniło się do jej dwujęzyczności. Dopiero pobyt w Polsce i związany z nim dostęp do prasy miał wpływ na jej biegłą aktywność w tym języku w mowie. Po przeprowadzce do Polski babcia wielokrotnie przyjmowała w swoim domu gości z Niemiec, którzy w wyniku zawirowań wojennych musieli opuścić zamieszkiwane przez nich domy i uciekać do swojego kraju. W tamtym czasie, niemalże jako jedyna osoba we wsi mówiąca biegle w dwóch językach (oprócz niej mieszka tam do dziś jej również dwujęzycz-

na siostra), niejednokrotnie służyła pomocą w kontaktach z zagranicznymi sąsiadami, którzy po wojnie przyjeżdżali odwiedzić zamieszkwane przez siebie w przeszłości tereny. Jedno z takich spotkań, kiedy babcia zdecydowała się im pomóc i ugościła grupę osób mieszkających w Siegen, zaowocowało wieloletnią znajomością i obfitowało w ich późniejsze liczne wizyty u niej. Mój kontakt z językiem niemieckim zaczął się więc od wczesnych lat dziecięcych. Kilka razy do roku do babci przyjeżdżali znajomi z Rubenow oraz z Siegen, którzy za pomocą prostych zdań wypowiedzianych do małego chłopca, jakim wówczas byłem, próbowali mnie „zagadywać”. Odwiedziny gości z Niemiec były zawsze, z dziecięcego punktu widzenia, wielkim wydarzeniem, ponieważ przebiegały w przemiłej atmosferze, której „towarzyszyły” prezenty. Niemieckie kontakty podtrzymywane są już w trzecim pokoleniu. A babcia kontaktuje się do chwili obecnej również z dziećmi i wnukami swoich znajomych.

Z babcią po niemiecku nie rozmawiałem, bo nie było ku temu potrzeby, dopiero w czasie mojej szkolnej nauki języka odbyliśmy kilka niemieckich rozmów, ale pewnie bardziej w celu treningu i przełamywania barier w mówieniu, które – jak wiadomo – musi pokonać każdy uczeń. Jej dwujęzyczność była niekiedy przyczyną zabawnych sytuacji, kiedy to wołając do swoich wnuków *pupcia*, wywoływała u mnie, głównie za sprawą typowo polskich skojarzeń, zawstydzenie (nie znałem wtedy języka niemieckiego). Uczucie to nie powinno być niczym uzasadnione, bo przecież chodziło jej tylko o niemiecki rzeczownik *die Puppe* (*lalka*) – wzbogacony o polski morfem *-cia*. W języku polskim ma on niewątpliwie funkcję zdrabniającą i nadającą wyrazom pieszczotliwy ton, tu zaś zabrzmiał po prostu śmiesznie.

Bardziej świadoma nauka języka obcego rozpoczęła się dla mnie przed podstawówką. Wówczas rodzice zapisali mnie na kurs językowy organizowany przez szkołę podstawową, do której w przyszłości miałem uczęszczać. Sytuacja była o tyle interesująca, że nie umiałem jeszcze ani pisać ani czytać. Do dziś pamiętam, jak jeden z moich starszych kolegów biorących udział w tym kursie (w owym czasie chodził chyba do czwartej klasy) – dostał odpowiedzialne zadanie: spisywanie do mojego zeszytu wszystkiego, co mówiła pani nauczycielka oraz pilnowanie, aby „nic mi się nie stało”. Po tym, jak opanowałem umiejętność pisania w domowym zaciszu, przeglądałem monolingwalne, niemieckie słowniki obrazkowe dla dzieci, próbując przepisywać i odczytywać nazwy określanych w nich przedmiotów (było to w pierwszych trzech latach nauki, a jak wiadomo – przed reformą edukacyjną w Polsce nauczanie języka obcego wprowadzano od klasy czwartej). Mając wsparcie rodziców oraz motywację w postaci corocznych odwiedzin znajomych mojej babci, którzy przyjeżdżali w odwiedziny także do nas, do

Szczecina (oczywiście z babcią w roli tłumacza), nie podlegało dyskusji, że naukę języka obcego będę pogłębiał w szkole średniej.

Pierwszym sukcesem było uzyskanie w drugiej klasie liceum certyfikatu *Zentrale Mittelstufenprüfung*, który w tamtym czasie zwalniał ucznia z egzaminu maturalnego z języka obcego. Wspomniany sukces był efektem nie tylko zdolności zdającego, ale przede wszystkim dodatkowych zajęć językowych, w których uczestniczyłem przez całą szkołę średnią. Przez ponad dwa lata przychodzili do mnie studenci germanistyki, aby rozszerzyć materiał przerabiany w szkole. To m.in. dzięki temu mogłem służyć jako przewodnik podczas wielu wizyt znajomych mojej babci, oprowadzając ich po reprezentatywnych miejscach Szczecina. Na rok przed maturą trzeba było zdecydować się na wybór studiów. Do rozważenia miałem dwie możliwości, motywowane głównie osiągnięciami szkolnymi: ochrona środowiska na Politechnice Szczecińskiej (dzisiejszy: Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny) oraz filologia germańska na Uniwersytecie Szczecińskim. Ze względu na zainteresowania humanistyczne (w szkole średniej rozmiłowany byłem w literaturze polskiej) i odnoszone już pewne sukcesy w nauce języka niemieckiego mój wybór padł na filologię germańską. Decyzja ta była zupełnym zaskoczeniem dla mojej rodziny, która, jak się okazuje, budowała we mnie motywację do nauki języka, ponieważ miał to być dodatkowy atut w przyszłej pracy, a nie główna umiejętność, dzięki której miałbym zarabiać na życie.

W wyniku kolejnej autonomicznej decyzji po pomyślnie zdanych egzaminach wstępnych znalazłem się, ku mojej wielkiej radości, na filologii germańskiej, gdzie mogłem, głównie za sprawą prof. Ryszarda Lipczuka oraz prof. Piotra Sulikowskiego – pogłębiać swoje językoznawczo-translatorskie zainteresowania naukowe. W czasie studiów miałem także okazję pracować jako tłumacz. Doświadczenie to obejmowało przekład konsekwentny i symultaniczny. Studia umożliwiały mi wyjazdy za granicę i użytkowanie tam kolejnych certyfikatów w zakresie komunikacji i korespondencji gospodarczej.

Wspomniane powyżej zamiłowanie do polskiej literatury, głównie poezji, stało się jedną z podstawowych przyczyn napisania pod kierunkiem prof. Lipczuka pracy magisterskiej na temat *Attributive Substantivgruppen in der Dichtung Jan Twardowskis und ihre deutschen Übersetzungen* (*Przydawkowe grupy imienne w poezji Jana Twardowskiego i ich niemieckie tłumaczenia*). Po pomyślnej obronie podjąłem pracę jako nauczyciel języka niemieckiego. Miałem wtedy okazję uczestniczyć w polsko-niemieckim projekcie wymiany młodzieży, pomagając w jego realizacji koledze, który ten projekt koordynował. Tłumaczyłem wówczas negocjacje dotyczące dalszej współ-

pracy między dyrekcją polskiej i niemieckiej szkoły. Do moich obowiązków należały również wyjazdy (w charakterze tłumacza i opiekuna wycieczek szkolnych) z młodzieżą do miasta Pasewalk i uczestniczenie w zorganizowanych tam warsztatach gastronomicznych. Był to czas niewątpliwie bardzo interesujący, a jego częścią były wspólne, polsko-niemieckie rywalizacje, m.in. na... kręgielni. Wówczas nocowałem w bardzo oryginalnym „hotele” położonym na terenie byłej Lokomotywni. Wraz z podjęciem pracy w szkole rozpocząłem również studia doktoranckie, z zamiarem napisania pracy na temat *Problem przetłumaczalności na podstawie polskich utworów poetyckich ich tłumaczeń na język niemiecki*, w której opisywałem przekłady XX-wiecznej polskiej poezji, eksponującej warstwę językową, brzmieniową oraz problemy przekładu wyrażen kulturowych. Tytuł doktora uzyskałem w listopadzie 2012 r. Podjęta w ramach studiów III stopnia praktyka na Uniwersytecie Szczecińskim sprawiła mi wiele satysfakcji, zapewniając możliwość pogłębiania własnych zainteresowań. To m.in. dzięki niej mogłem zaistnieć jako tłumacz wierszy dr Ise Sareckiej, niemieckiej poetki mieszkającej przez dłuższy czas w Szczecinie, oraz opublikować – stworzone jeszcze w czasie studiów magisterskich – przekłady literackie prozy Tomasza Manna i Rilkego.

Odrębnym rozdziałem w mojej polsko-niemieckiej biografii są podróże, a spośród wielu zagranicznych miast, które dotychczas zwiedziłem (m.in. Pragę, Paryż, Asyż, Wenecję, Barcelonę, Wilno), największe wrażenie wywarły na mnie miasta niemieckiego obszaru językowego: Drezno, Lipsk, Berlin i Wiedeń. Ta jednoznaczna opinia jest wynikiem nadzwyczajnej wprost życzliwości mieszkańców tych miast i panującej tam atmosfery. Nie zapomnę nigdy przepięknych koncertów muzyki poważnej, które (pod osłoną nocy) obejrzałem i wysłuchałem z ogromną rzeszą ludzi przed telebimem umieszczonym na ścianie wiedeńskiego ratusza. Zawsze niezwykle interesujące były dla mnie zabytki: wiedeńskie parki i pałace z bogatymi skarbcami, imponująca berlińska katedra z kryptą (w której pochowani są prawie wszyscy członkowie rodu Hohenzollernów) czy też zbiory drezdeńskiej porcelany. Jeszcze czymś innym jest świadomość, że w tych miejscach bywały osoby (mające znaczący wpływ na rozwój historii oraz kultury), których życiorysy poznawałem na studiach. Wszystko to powoduje, że zawsze bardzo chętnie wracam do niemieckiej stolicy, pragnąc także powtórnie odwiedzić stolicę Austrii. Osobie rozmiłowanej w zagranicznych wycieczkach znajomość języka obcego zawsze ułatwiała podróżowanie. Język niemiecki był paradoksalnie moim podstawowym narzędziem komunikacji podczas dwukrotnej wycieczki do Pragi, a także do Rzymu. O wiele trudniej było mówić po niemiecku we Francji i w Hiszpanii.

Do połowy roku 2013 pracowałem jako konsultant wsparcia technicznego, pomagając przez telefon klientom z Niemiec, Austrii i Szwajcarii rozwiązywać problemy ze sprzętem i oprogramowaniem notebooków. Obecnie jestem adiunktem w Instytucie Filologii Germańskiej Uniwersytetu Szczecińskiego, i staram się przez pracę w dziedzinie translatoryki łączyć swoje literaturoznawcze i językoznawcze zainteresowania. Moja polsko-niemiecka biografia jest jeszcze zapewne w fazie rozwoju, a ja sam często myślę, co przyniesie mi upływający czas.

Emil Daniel Lesner, ur. w 1984 r. w Szczecinie. Rozprawa doktorska na temat: *Problem przetłumaczności na podstawie polskich utworów poetyckich i ich tłumaczeń na język niemiecki*. Absolwent, a od niedawna pracownik Instytutu Filologii Germańskiej w Szczecinie. Autor kilku prac z zakresu translatoryki. Zainteresowania: wytwory kultury duchowej i – na gruncie zawodowym – m.in. leksykologia, językoznawstwo kontrastywne oraz teoria przekładu.

CORNELIA LÖHLEIN

Co skłoniło mnie do udziału w niemiecko-polskich rozmowach o biografiach

Spojrzenie na „Wschód” – pojęcie to rozumiem nie geograficznie, lecz raczej politycznie, gdyż Wschód dla nas – dzieci – zaczynał się po tamtej stronie wewnętrznienieckiej granicy, po drugiej stronie muru berlińskiego – było w mojej rodzinie czymś oczywistym. Mój dziadek ze strony ojca był profesorem Politechniki Gdańskiej i był właścicielem lasów i gruntów w Meklemburgii – Pomorzu Przednim; zmarł już w 1936 r., a jego spadkobiercy, w tym mój ojciec, zostali po II wojnie światowej wywłaszczeni. On i jego rodzeństwo mieszkali po wojnie w Niemczech Zachodnich.

Ojciec, zapalony leśnik, zawsze bardzo cierpiał z powodu utraty stron rodzinnych i w latach 90., po „przełomie” odkupił las w Meklemburgii i oddał go w opiekę wnukowi. W Gdańsku znalazł się ponownie dopiero po roku 1989, ponieważ przedtem odmawiał wpisywania we wniosku wizowym polskiej nazwy miasta – Gdańsk – jako miejsca urodzenia (tego domagały się władze socjalistycznej Polski). Zawsze podkreślał, że urodził się w 1918 r. w wolnym mieście Gdańsku.

Mój ojciec brał udział w kampanii rosyjskiej jako zwiadowca, został zestrzelony nad jeziorem Czudskim (Pejpus) w Estonii, jednak udało mu się schronić za niemiecką linią frontu.

Dziadek ze strony matki pochodził z Saksonii i był nadleśniczym na pograniczu sasko-czeskim. W 1943 r., w wyniku konfliktu z gauleiterem, został przymusowo przeniesiony w Góry Harzu w Dolnej Saksonii (w późniejszej NRD) i nigdy nie odwiedził już swoich rodzinnych stron.

Kiedy w połowie lat 60. pojechałam z moją mamą do Szwajcarii Saksońskiej, gdzie mama dorastała, odwiedziłyśmy Drezno. Było to pierwsze ponowne spotkanie mojej matki z jej miastem rodzinnym. Pamiętam, jak rozpląkała się, widząc zniszczenia.

O wojnie nie rozmawiało się w moim dzieciństwie, ale często mówiło o jej bezpośrednich skutkach – utracie stron rodzinnych i biedzie lat powojennych. W leśniczówce mojego dziadka w Górach Harzu zakwaterowanych było wielu uchodźców. Bliskość tak wielu ludzi była dla mnie czymś przyjemnym, nie miałam świadomości związanych z nimi obciążeń...

Ba, potem zawsze była obawa przed „Ruskimi”, zwłaszcza wobec nadchodzących relacji z rosyjskiej strefy okupacyjnej, gdzie mieszkali przyjaciele i krewni rodziny.

Moja młodość i stawanie się osobą dorosłą naznaczone było zimną wojną.

W moim bardzo konserwatywnym domu rodzinnym dużą wagę przywiązywano do wykształcenia. Uczęszczaliśmy do gimnazjum humanistycznego, uczyliśmy się gry na instrumencie i oczywiście wszystkie pięć córek uczestniczyło w politycznym dyskursie. Wykształcenie ogólne miało bardzo wysoką wartość. Osobiście uczestniczyłam także w różnych zajęciach pozalekcyjnych (w kółkach zainteresowań) i skorzystałam w 1967 r. z okazji, by z grupą uczniów pojechać do Rumunii tuż po otwarciu niemieckiej ambasady w Bukareszcie. Musieliśmy bardzo dobrze przygotować się do tej podróży. Dzięki temu wiele nauczyłam się o państwach RWPG i Układu Warszawskiego.

Szokujące było dla nas to, że przy wjeździe do Rumunii, na granicy między tym krajem a Węgrami, stały wieżyczki graniczne i stráže podobne do tych na granicy między obiema częściami Niemiec. Bardzo nas to poirytowało, gdyż były to bratnie państwa. Poza tym pierwsze spotkanie z uczniami i studentami z państwa socjalistycznego było wspaniałe. Przyjęto nas z nieprawdopodobną ciekawością i gościnnością nie tylko w Bukareszcie, ale także w zamieszkiwanych wówczas jeszcze przez wielu Niemców miastach Braşów i Sybin.

Pierwsze spojrzenie za tzw. żelazną kurtynę wzbudziło moje wielkie zainteresowanie. W ostatnich latach szkolnych – poza trzema językami obowiązkowymi – zaczęłam uczyć się dodatkowo rosyjskiego na zajęciach pozalekcyjnych. Przez wiele lat utrzymywałam listowny kontakt z Rumunią, ale potem nawiązałam nowe znajomości!

Od roku 1967 brałam udział w akcjach międzynarodowego workcampu. Spotykała się tam młodzież z wielu krajów, aby w czasie wakacji wspólnie popracować przy jakimś projekcie (opieka nad dziećmi, wykopaliska, prace budowlane itd.). Jeden z tych workcampów wpłynął bardzo wyraźnie

na moje życie: latem 1968 r. odwiedziłam pewien camp w Manchesterze w Wielkiej Brytanii. Przebywali tam młodzi ludzie reprezentujący 12 narodowości, zakwaterowani w szkole w dzielnicy biedoty, oddzieleni barykadą od otoczenia. Spaliśmy na matach w wielkiej sali gimnastycznej. Otoczenie szkoły było zaniedbane. W ciągu dnia jeździliśmy z dziećmi z tej nędznej dzielnicy do parków, by tam zorganizować im jakieś zajęcie. Wiele dzieci było w wieku mojego młodszego rodzeństwa, ale żyli w okropnych warunkach.

Kiedy po pięciu tygodniach wróciłam do domu, zaczęłam się burzyć przeciwko niesprawiedliwości społecznej. A był to rok 1968: przypominam sobie noc, kiedy na campie z pewnym Szwedem i młodym Rosjaninem słuchaliśmy radia. 21 sierpnia – tego dnia Rosjanie wkroczyli do Pragi! Dimitrij, rosyjski student z Pragi, siedział płacząc przy radioodbiorniku i powiedział, że już nie będzie mógł wrócić do Pragi... (został w Wielkiej Brytanii).

Rok później, w sierpniu 1969 r., wzięłam udział w workcampie w Czechosłowacji. Jego uczestnicy pochodzili z Europy Zachodniej, Afryki Północnej i Słowacji. Nadzieja na spotkanie innych Wschodnioeuropejczyków niestety nie spełniła się. Ale mieliśmy częste kontakty z mieszkańcami, którzy okazali nam wielką gościnność. Słowo *g o s c i n n o ś ć* stało się wkrótce synonimem wszystkich moich wizyt w Europie Wschodniej.

Miejscowy działacz partyjny dowiedział się z zasłyszanych relacji (?), iż zamierzam studiować język rosyjski – trzeba przyznać, iż zamiar taki (w rok po wkroczeniu wojsk radzieckich do CSRS) był dosyć oryginalny. Działacz ten zaprosił mnie do siebie i na początek chciał wymienić pieniądze na dewizy... Na pożegnanie podarował mi *Dekamera* w języku rosyjskim!

W rocznicę 21 sierpnia akademik, w którym mieszkaliśmy w czasie campu, był kontrolowany przez rosyjskich żołnierzy.

Do Polski przyjechałam po raz pierwszy w roku 1974. Pewien przyjaciel, który studiował nie tylko język rosyjski, ale także polski, w trakcie swego rocznego pobytu na studiach na Uniwersytecie Warszawskim ożenił się z Anną, piękną Polką. Namówił nas na wspólną podróż do Warszawy i na Mazury. Pojechaliśmy czterema samochodami (w cztery pary) do Warszawy. Anna była jedynaczką, rodzina jej ojca walczyła z Niemcami w powstaniu warszawskim. I ta właśnie rodzina przyjęła nas z niezwykle serdecznością i oddała nam do dyspozycji swoje mieszkanie (później, po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce, mogliśmy jej odwdziżyć się za okazaną gościnność). To zrobiło na mnie bardzo duże wrażenie. Oprócz Warszawy zwiedzaliśmy Mazury i dotarliśmy aż do radzieckiej granicy. Wówczas były to bardzo biedne tereny, częściowo niezelektryfikowane. W drodze powrotnej odwiedziłam z moim chłopakiem i późniejszym mężem Gdańsk, gdzie obejrzałam dom, w którym niegdyś mieszkali moi dziadkowie.

Zastałam to otoczenie takim, jak mi je opisał ojciec. W domu tym mieszkali wówczas Polacy z Galicji.

Nawiasem mówiąc, w czasie moich licznych wyjazdów do krajów wschodnioeuropejskich, jako Niemka, osobiście nigdy nie natknęłam się na resentymenty. Dla porównania – dzieci w Manchesterze drugiego dnia pobytu przywitały mnie radosnym „Hitlergirl, Hitlergirl”, nie wiedząc, co to zawołanie znaczyło.

Ponieważ studiowałam język rosyjski, oczywiście byłam wielokrotnie w Związku Radzieckim, a później w Rosji. Nawiązanie osobistych kontaktów było zwykle trudne, ponieważ ludzie byli kontrolowani. Ale mimo to można było znaleźć cudowne sposoby nawiązywania znajomości. Niejednokrotnie kelner serwował nam w lokalach „szampanskoje” w kubelku z lodem; osobami stawiającymi napój byli nieznajomi. To, że Niemka z RFN dobrowolnie uczyła się rosyjskiego (w NRD był to język obowiązkowy), przyjmowane było ze zdziwieniem i uznaniem. Zupełnie inaczej podchodzono do tego w rodzimej Republice Federalnej. Tam moje zainteresowania Europą Wschodnią i moja ciekawość polityki były często komentowane zdaniem: „Przeprowadź się na Wschód!”

Spośród podróży do ZSRR bądź do Rosji dwie były szczególnie interesujące. We wrześniu 1989 r. na zaproszenie późniejszej litewskiej premier Prunskienė odwiedziłam z grupą dziennikarzy Litewską Republikę Radziecką. W Wilnie odbywały się liczne demonstracje, ruch niepodległościowy był widoczny wszędzie, ludzie pomstowali na Gorbaczowa. Kiedy niejednokrotnie pytano mnie, co sądzę o Gorbaczowie – nie zdawałam sobie sprawy, na ile prawidłowa była wówczas moja ocena: sądziłam, że my – Niemcy – chyba możemy się czegoś po nim spodziewać. Dwa miesiące później oczekiwanie to sprawdziło się!

Narody Związku Radzieckiego musiały jeszcze poczekać na Jelcyna, ale my będziemy zawsze „wielbić” Gorbaczowa.

W trakcie jednej z moich podróży w latach 90. do kapitalistycznej już Rosji szczególnie zapadła mi w pamięć wizyta w Wołgogradzie, dawnym Stalingradzie. Obawiałam się nieco emocji, a te okazały się zupełnie inne, niż się spodziewałam: naturalnie wstąpiliśmy na słynny Kurhan Mamaja, wysłuchując nadawanych tam akustycznych odgłosów wojny, które były bardzo poruszające. A później na górze w hali memoriału, tam gdzie stoi warta honorowa złożona z kilku żołnierzy przy wiecznym ogniu, usłyszałam nadawane z taśmy nagranie „Marzenia” Schumanna, niemieckiego kompozytora. Rosjanie mają naprawdę wspaniałych kompozytorów, a mimo to, w tym niezwykłym miejscu pamięci, grają Schumanna. To poruszyło mnie bardzo głęboko.

W samym mieście, pytając o doświadczenia z Niemcami, raz po raz słyszałam: „Ach, dziecko, II wojna światowa jest już tak odległa, nasi synowie polegli w Afganistanie, a teraz boimy się, że stracimy naszych chłopców w Czeczenii...” Żywa nauka historii, wszechobecna.

Po roku 1989 nadal jeździłam do Rosji, ale także wielokrotnie do Polski i innych byłych krajów socjalistycznych. To, co mnie od tamtej pory porusza i czego bardzo żałuję, to żenująco niskie zainteresowanie Zachodu tym, co się dzieje w tych krajach. Polska jest wśród nich z pewnością wyjątkiem, ale generalnie młodzi Zachodnioeuropejczycy okazują niewielkie zainteresowanie Europą Środkową i Wschodnią.

(przełożył Tomasz G. Pszczółkowski)

Cornelia Löhlein, urodzona w październiku 1950 r. w Osterode, w masywie górskim Harzu, jako drugie z sześciorga dzieci. Dorastała w Dolnej Saksonii, Hamburgu i w pobliżu Marburga. Maturę ukończyła w gimnazjum klasycznym w Marburgu. Studia: język rosyjski, historia i nauki polityczne we Fryburgu, Wiedniu i Heidelbergu. Po złożeniu I egzaminu państwowego w 1975 r. – studia przygotowujące do zawodu nauczyciela gimnazjum (odpowiednik polskiego liceum – przyp. tłum.) języka rosyjskiego, historii i wiedzy o społeczeństwie. Następnie zostaje dziennikarką. Od 1978 do końca 2010 r. – redaktorka w radiu Hessischer Rundfunk we Frankfurcie nad Menem, najpierw w dziale wiadomości, później w dziale polityki. Od 2011 r. na emeryturze. Mężatka, ma córkę. Nadal mieszka we Frankfurcie.

ANNA MASTALEREK

Podróże kształcą, kontakty zbliżają...

Pracuję w małym mieście – Wyszkanie – jako nauczycielka języka niemieckiego. Wyszkanie nad Bugiem w czasie wojny był bardzo zniszczony, a dziś jest pięknie odbudowany. Typowe polskie miasto średniej wielkości (40 tys. mieszkańców). Leży ok. 70 km na północny wschód od Warszawy i jest ważnym ośrodkiem przemysłowym oraz rekreacyjnym na Mazowszu. Pragnę podzielić się, w imieniu ludzi urodzonych w latach 80., moimi spostrzeżeniami dotyczącymi stosunków między Niemcami a Polakami. Korzystając z okazji, dziękuję panu profesorowi Karolowi Czejarkowi (pod jego kierunkiem pisałam pracę magisterską na Wydziale Pedagogicznym w Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Puławach) za zaproszenie mnie do Gödelitz i cieszę się, że w tym spotkaniu brał udział Jego Magnificencja Rektor tej uczelni, pan profesor dr hab. Adam Koseski. Dumna jestem, że mogłam się kształcić w jego uczelni, która w Polsce cieszy się renomą i uznaniem, a w której zdobywa wiedzę (także w systemie zaocznym) wiele podobnych do mnie osób i – tak jak ja – pochodzących z małych miast i gmin nie tylko Mazowsza. Zatem przygotowuje kadre, która przyczynia się w znaczącym stopniu do rozwoju Polski przez pracę w małych miejscowościach, takich jak Wyszkanie, a często bezpośrednio w gminach. Polska to nie tylko Warszawa, Kraków, Gdańsk czy Poznań, ale też Wyszkanie, Puławki, Maków Mazowiecki, Płock i wiele innych miast, jakich na Mazowszu i w całej Polsce jest wiele.

Pragnę też podkreślić, że Akademia, której zawdzięczam wykształcenie, edukuje swoich studentów także w zakresie stosunków polsko-niemieckich i że działa w niej cenione w Polsce środowisko naukowe, skupione m.in. w Międzywydziałowym Centrum Badań Niemcoznawczych.

Podkreślę także, że to właśnie w Akademii Humanistycznej w Puławach nauczyłam się m.in. szacunku dla kultury i literatury niemieckiej, dowiedziałam się o roli, jaką pełnią obecnie Niemcy w Unii Europejskiej i jak ważny jest rozwój wzajemnych kontaktów oraz współpraca obu państw dla obopólnych, oczywiście, korzyści. Wciąż wiele jest w tym zakresie do zrobienia. Trzeba przełamywać stereotypy, a w szczególności „kruszyć lody” w kwestii zaszczołu historycznych. Wiedza o trudnej przeszłości polsko-niemieckiej nie przeszkodziła mi w postanowieniu, aby uczyć się języka niemieckiego, a tym samym zgłębiać prawdę o tragicznych latach II wojny światowej. Jako nauczycielka tego języka zachęcam młodzież do poznawania kultury i historii Niemiec, z którymi Polska ma dziś bardzo dobre relacje – gospodarcze, polityczne i kulturalne. Wszak Traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy między Polską a Niemcami ma już ponad dwadzieścia lat! Nie chciałabym tylko, aby kiedykolwiek tragiczne momenty z naszej wspólnej historii powtórzyły się i jestem pewna, znając obecnie wielu Niemców, że się nie powtórzą. Tej idei staram się służyć ze wszystkich sił, żeby także inni, a mam na myśli nie tylko „swoją” młodzież, przez poznanie i osobiste kontakty uwierzyli, że z Niemcami można się przyjaźnić, współpracować i żyć. I że obydwie strony mogą mieć z tej współpracy jeszcze większe niż dotąd korzyści.

W tym duchu przekazuję wiedzę uczniom. Mówię o tym dlatego, że w moim mieście wciąż trzeba namawiać ich do uczenia się języka niemieckiego. I czynię to z pełnym przekonaniem, że tak trzeba, gdyż Niemcy to nie tylko nasz sąsiad, ale także najważniejszy partner handlowy i znaczący partner w integracji europejskiej, której od momentu przystąpienia mojego kraju do Unii jestem zwolennikiem i rzeczniką.

Ważną rolę we wzajemnych kontaktach spełniają takie spotkania, jak dzisiejsze. Zbliżają do siebie ludzi przez wzajemne, osobiste poznanie się i dzielenie swoimi biografiami, które w wielu przypadkach są bardzo do siebie zbliżone i podobne. Opowiadają o dramatycznych przeżyciach z okresu wojny, o przesiedleniach, głodzie, utracie bliskich i całego majątku, choć różne były tego przyczyny. Ale nie wchodząc w szczegóły – wzajemne kontakty i poznawanie się umacniają zaufanie i przyjaźń. Normalizują stosunki między nami, między naszymi narodami i krajami, a szczególnie między pokoleniami młodych Polaków i Niemców, którzy w tym dziele „pojednania” (mówiąc w pewnym, symbolicznym skrócie) mają wiele do zrobienia. Muszą jednak zetknąć się – tak jak ja na studiach – z postawami proeuropejskimi, w których mieszczą się także relacje polsko-niemieckie, nieobciążone już przeszłością, nacechowane wolą i przekonaniem, że to, co było złego między nami, więcej się nie powtórzy. Przez przyjaźń i osobiste

kontakty ludzie będą potrafili zawsze porozumieć się ze sobą. I w tym dziele zbliżania znajomość języka niemieckiego ma znaczenie zasadnicze. A może coraz więcej młodych Niemców będzie się uczyć także języka polskiego w szkołach (przynajmniej we wschodnich landach) i studiować polonistykę czy sławistykę na uniwersytetach, choć te kierunki, o ile wiem – są akurat w Niemczech w zaniku.

Zawsze chciałam podróżować, poznawać „inny” świat, „innych” ludzi... i taką szansę dostałam w ostatniej klasie liceum, kiedy po raz pierwszy, dzięki mojej nauczycielce niemieckiego, wyjechałam na wycieczkę do Niemiec.

Jako nastolatka zobaczyłam wówczas, że można żyć inaczej, bez większego pośpiechu; że w sklepach jest dostatek towarów, a w pięknych, zadbanych parkach można leżakować na trawie, co dla mnie było ogromnym zaskoczeniem. Na każdym kroku widziałam uśmiechniętych ludzi, ich życzliwe spojrzenia i nienaganne zachowanie. Ich pracowitość, dbałość o zabytki, o środowisko – to oddzielny temat. To byli ci sami Niemcy, o których słyszałam w Polsce tak wiele niepochlebnych opinii...

Po powrocie do domu jeszcze bardziej utwierdziłam się w przekonaniu, że moja przyszłość związana jest z językiem niemieckim. Że muszę o tym wszystkim, co zobaczyłam, opowiadać swoim uczniom, szukać dla nich kontaktów z ich rówieśnikami. Dlatego po maturze zdecydowałam się wyjechać do Niemiec, do pracy w charakterze opiekunki do dzieci, by móc potem studiować germanistykę i doskonalić się w zawodzie nauczycielki języka niemieckiego. Napisałam listy do kilku rodzin (których adresy otrzymałam od znajomych) i... udało się! Już w pół roku po ukończeniu liceum wyjechałam do Magdeburga. Trafiłam do wspaniałej rodziny, w której rodzice pracowali jako lekarze, a ja opiekowałam się ich trzema dziewczynkami. Dla mnie – 18-letniej wówczas dziewczyny, było to niemałe wyzwanie: bardzo dużo obowiązków, ale i możliwość zdobycia cennego doświadczenia. I o mało co, Niemcy stałyby się moją drugą ojczyzną. Bowiem znalazł się pan, który zaproponował mi małżeństwo.

Pobyt w Magdeburgu spowodował jednak, że po powrocie do Polski rozpoczęłam wymarzone studia germanistyczne; najpierw we Wszechnicy Mazurskiej w Olecku (tam zdobyłam dyplom licencjata), potem kontynuowałam naukę niemieckiego w Instytucie Austriackim w Warszawie i na studiach magisterskich w Akademii Humanistycznej w Pułtusk. W Akademii trafiłam na profesora Karola Czejarka, który na dobre rozkochał mnie w Niemczech i zwrócił moją uwagę (nie tylko zresztą moją, ale bardzo wielu studentów) na znaczenie pojednania polsko-niemieckiego. Profesor Czejarek stał się dla mnie kimś, do kogo chyba już zawsze będę zwracała się z prośbą o radę w sprawach nauczania języków obcych (a niemieckiego

w szczególności), jest bowiem świetnym specjalistą w tej dziedzinie, nie tylko znawcą języka niemieckiego, ale też niemieckiej historii, kultury i literatury. Jest wybitnym tłumaczem literackim i autorem wielu książek, z którymi zetknęłam się jeszcze jako uczennica (m.in. z tłumaczeniami Hansa Hellmuta Kirsta).

Po przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej w 2004 r., rozpoczął się dynamiczny rozwój mojego kraju, który dzisiaj nie różni się wiele od wiodących krajów Europy Zachodniej. Wiem, że Niemcy odegrały ważną rolę w przyjęciu Polski do UE. Dlatego traktuję również i ten gest jako potwierdzenie woli Niemców nie tylko pojednania, ale też szerokiej współpracy z Polską. I chciałoby się – to takie moje w tej chwili marzenie – aby każde polskie miasto, każda polska szkoła, każda rodzina miała w Niemczech swego „partnera”, żeby i na tej drodze, a nie tylko oficjalnej, kształtowały się przyszłościowe stosunki między naszymi krajami, a młodzi ludzie mieli więcej możliwości kontaktowania się ze sobą. Aby już nigdy Niemcy (jak i Rosjanie) nie byli dla Polski i Polaków (co w stereotypach wciąż pokutuje) „wrogami”, którzy dokonali we wrześniu 1939 r. IV rozbioru Polski, a potem przez wiele lat okupowali nasze ziemie: Niemcy do 1945 r., a Rosjanie – praktycznie do przemian politycznych w Polsce w roku 1989.

Dzięki Unii dzisiejsza Polska staje się z dnia na dzień coraz piękniejsza, zadbana, silna gospodarczo i kulturalnie. Z unijnego dofinansowania korzystają polscy przedsiębiorcy, urzędnicy, rolnicy, również nauczyciele i młodzież.

Ja osobiście rok temu w lipcu, w ramach projektu finansowanego ze środków unijnych, już po raz drugi miałam możliwość wyjazdu do Austrii. Uczestniczyłam w kursie dla nauczycieli języka niemieckiego. Miałam okazję nie tylko zwiedzić Wiedeń, ale także poznać nowe techniki nauczania, a zwłaszcza praktycznego zastosowania multimediiów na lekcjach języka obcego. I co bardzo ważne – nawiązałam znajomość z nauczycielami z różnych stron świata, w tym przede wszystkim z Niemiec i Austrii, z którymi nadal pozostaję w ciągłym kontakcie przyjacielskim i zawodowym. Odwiedzamy się wzajemnie, ponieważ postanowiliśmy, że będziemy razem spędzać jak najwięcej wolnego czasu.

Po powrocie z Wiednia, jako koordynator współpracy z młodzieżą niemiecką w szkole, w której pracowałam, zorganizowałam w Domu Kultury w Wyszku „Dzień Niemiecki”. Dokonaliśmy wymiany doświadczeń na temat polsko-niemieckiej współpracy uczniowskiej. Rodowici Niemcy, mieszkający na stałe w Wyszku i jego okolicach opowiadali o swoim życiu w Polsce. Wszyscy uczestnicy podkreślali, jak ważna jest nauka języków obcych, w tym szczególnie języka niemieckiego i to nie tylko ze względu

na nasze sąsiedztwo. Imprezę zakończył polsko-niemiecki mecz siatkówki i wspólne ognisko, na którym wszyscy świetnie się porozumiewali zarówno w języku polskim, jak i niemieckim. Raz jeszcze przekonałam się, że coraz więcej Niemców uczy się języka polskiego, stara się rozmawiać z polskimi partnerami po polsku! Do domów wróciliśmy w dobrych humorach, a „Dzień Niemiecki” postanowiliśmy organizować także w następnych latach; goście specjalni tej imprezy obiecali, że wrócą do Wyszkowa za rok.

Po moim pobycie w Gödelitz, gdzie uczestniczyłam w sesji (za co jestem organizatorom bardzo wdzięczna), będę z całą pewnością orędowniczką współpracy polsko-niemieckiej, propagatorką nauczania języka niemieckiego w Polsce (i to od przedszkola!); będę też rzeczniczką intensyfikacji wymiany międzyszkolnej z Niemcami. Chodzi o to, aby w kontaktach między Polakami a Niemcami przestano mówić o przeszłości, a skupiano się na budowaniu wspólnej przyszłości.

Tego rodzaju spotkania są najwłaściwszą formą zbliżania do siebie ludzi. I to jest obecnie dla nas – Polaków i Niemców – najważniejszym wyzwaniem!

Anna Mastalerek, rocznik 1980. Mieszka i pracuje w Wyszowie nad Bugiem. Studia: germanistyka we Wszechnicy Mazurskiej w Olecku (licencjat), potem na Wydziale Pedagogicznym w Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Puławach. Jako nauczycielka języka niemieckiego w liceum była koordynatorem współpracy młodzieży szkolnej z młodzieżą niemiecką. Jej pasją są podróże, zwłaszcza do krajów niemieckiego obszaru językowego.

STEFAN BRUNO MICHAELSEN

Moja droga do Saksonii

W akcie urodzenia wpisano mi imiona: Stefan Bruno. Urodziłem się w 1956 r. w Wismarze, niedaleko Morza Bałtyckiego. Swoje dzieciństwo i młodość spędziłem w Meklemburgii, regionie wówczas administracyjnie podlegającym okręgowi rostockiemu, którego stolicą jest Rostock.

Nauczycielska rodzina, w której przyszedłem na świat, zapewniła mi względnie normalne i dostatnie życie. Uczęszczałem najpierw do przedszkola, a potem pobierałem nauki w szkole, do której chodziłem bardzo chętnie.

W każdym razie moje dzieciństwo przypadające na lata 50. i 60. ubiegłego wieku było podobne do większości moich rówieśników w okolicy. Polityką wtedy jeszcze nikt z nas się nie zajmował, choć był to czas muru, który dzielił świat na wschodni i zachodni. Jako dzieci nie interesowaliśmy się jednak specjalnie tym, co się działo po drugiej stronie tego muru. Tylko czasami w moim domu rozmawiano o tym, zwłaszcza po odwiedzinach naszej rodziny z Hamburga. Na przyjazd cioci Friedy i wujka Hansa rodzice „załatwiali” nawet nasze najlepsze eksportowe, rostockie piwo, by ich tylko wystawnie ugościć. Zatem wujostwo przyjeżdżało do nas chętnie i regularnie, przynajmniej raz w roku, pociągiem, który nosił nazwę *Interzonenzug*, czyli takim, który kursował wtedy między obydwoma państwami niemieckimi.

Jako dzieci czekaliśmy na te odwiedziny, bo wujostwo z kolei (a w innych rodzinach było podobnie) przywozili ze sobą towary, których nie mogliśmy kupić w NRD, np. mydło Fa, czekoladę firmy Sprengel, kawę Jacobsa, no i... banany

Wtedy u nas w domu – jak pamiętam – nie było telewizji zachodnio-niemieckiej, bo mój ojciec – jako dyrektor szkoły państwowej i posłuszny

członek SED – przestrzegał skrupulatnie wszelkich partyjnych zasad i obowiązków. A kanały telewizji zachodnioniemieckiej były – jak w partii to wówczas objaśniano – źródłem rewizjonizmu i walki z socjalizmem. A poza tym ojciec bał się denuncjacji, gdybyśmy jednak te zachodnie programy odbierali. I w takim oto środowisku dorastałem, bez jakiegokolwiek świadomości opozycyjnej. Przyszła znacznie później, gdy już byłem mieszkańcem Drezna.

Mój ojciec, rocznik 1923, był w latach wojny żołnierzem Wehrmachtu i służył jako radiotelegrafista we Francji. Miał szczęście, że nic przykrego mu się nie przytrafiło, nawet nie był ranny. Po krótkim pobycie w obozie na terenie Belgii pełen optymizmu wrócił do Niemiec i postanowił oddać się „budowie socjalizmu”. Jego „sen” trwał mniej więcej do końca lat 50. Wtedy zaczynało docierać do niego, że nie wszystko przebiega tak, jak sobie to idealistycznie wyobrażał. Widział, jak ideały i demokrację zaczynała wypierać partyjna ideologia i doktrynerstwo, z czym „wewnętrznie” trudno mu było się pogodzić. Musiał np. rokrocznie werbować spośród uczniów swej szkoły określoną liczbę kandydatów do szkół oficerskich. Rodzina, którą miał na Zachodzie, również zaczęła przeszkadzać jego przełożonym. Z czasem, z powodu groźby utraty pracy, po prostu poprosił ją, aby już więcej do nas nie przyjeżdżała. Duchowo cierpiał z tego powodu, ale podporządkował się całkowicie partyjnym zaleceniom i nie protestował. I o to miałem do niego żal.

Na ten temat ze mną nie rozmawiał, albo tylko mimochodem; nie był człowiekiem skłonny do dyskusji, w domu – jak w partii i w szkole – zachowywał się autorytatywnie. Jednak pewnego dnia, przed jego śmiercią w roku 2000, doszło między nami do „politycznej” kłótni. Coraz bardziej denerwowała mnie jego służalczość wobec systemu i brak reakcji na sprzeczne w moim odczuciu – wydarzenia. Pod tym względem nasze drogi zaczynały się rozchodzić! I szczerze mówiąc – było mi lżej, że mu wreszcie powiedziałem, co o jego postępowaniu sądzę.

Nie podobało mi się, że gdy w roku 1974 mogłem pójść na studia, musiałem najpierw odbyć trzyletnią służbę wojskową. Przez pierwsze pół roku było w zasadzie tylko „maglowanie” nas pod względem ideologicznym, każdego z nas próbowano ubrać wyłącznie w „czerwony” mundur. Jak dalece politrukom się to udawało, może świadczyć następujące zdarzenie.

Pewnego razu, w Wigilię, wyznaczono mi służbę wartowniczą przy magazynie amunicji. W pewnym momencie huraganowy wiatr wyrwał pobliskie drzewo, które przewróciło się na moją budkę wartowniczą, niszcząc także kolczasty płot, którym był otoczony magazyn. Myślałem w pierwszej chwili – tak byłem ideologicznie „naładowany” – że to rzeczywiście napad

ze strony zachodnioniemieckiego imperializmu, a że mogła zrobić to „natura”, bo huraganowy wiatr hulał w najlepsze dalej, nawet nie przyszło mi do głowy. Co chcę przez to powiedzieć? Że byliśmy politycznie manipulowani! I wykorzystywani. Że mając 18 lat, niewiele wiedzieliśmy o życiu, nie mieliśmy porównania, jak to może być gdzie indziej; zostaliśmy pozbawieni indywidualności i możliwości rozstrzygania o sobie. Wszystko zostało w NRD skolektywizowane i podporządkowane jednej, jedynie słusznej ideologii.

W 1977 r. dostałem się wreszcie na studia medyczne w Berlinie, które z bardzo dobrymi wynikami ukończyłem w 1983 r. Moja praca dyplomowa z zakresu profilaktycznej opieki medycznej nad ciążą uzyskała wyróżnienie.

Czas studiów w Berlinie był jak dotąd najwspanialszym okresem mojego życia, mimo że nawet medycyna nie była wówczas wolna od marksizmu-leninizmu! Ale mimo to w Berlinie wszystko było dla mnie interesujące i odkrywczе; nie było porównania z tym, czego doznałem wcześniej w szkole, w domu rodzinnym, w wojsku.

Nawet architektura domów wokół Helmholtz-Platz w dzielnicy Prenzlauer Berg i Dunckerstraße, przy której mieszkaliśmy, jest „jednorazowa”, a przede wszystkim atmosfera tego miejsca. Codzienny kontakt z rówieśnikami z zachodniego Berlina, z telewizją zachodnioniemiecką, jak i słynną stacją radiową RIAS zupełnie zmienił moje myślenie i nastawienie do świata. W soboty zwykle czekały nas odwiedziny rodzin – z nową wałówką i finansowym wsparciem; czas (poza nauką) płynął beztrudno, zwłaszcza nad Sprewą, wzdłuż której rozsiane były kafejki i knajpy. Nawet wciąż istniejący mur dzielący obie części miasta nie bardzo nam przeszkadzał. Studenci traktowali go jako „antyfaszystowski wał ochronny”. Ale z czasem zaczął nas jednak uwierać, bo nie mogliśmy przejść na drugą stronę. Ale w codziennym życiu „wrosliśmy” w niego, jak w całe NRD. Z czasem wydawał się czymś normalnym.

W czasie studiów zaprzyjaźniłem się z wieloma studentami zachodnioniemieckimi. Im się nawet podobało życie w NRD, ale przez te kontakty moja ocena sytuacji stawała się coraz bardziej krytyczna. Od wtedy tak naprawdę datuje się mój „świadościowy” konflikt z ustrojem, w którym wyrosłem. W czasie kolejnych wakacji, my NRD-owcy, mogliśmy co najwyżej wyjeżdżać do krajów socjalistycznych. Byłem więc w Pradze czeskiej, gdzie nawet pracowałem, dorabiając sobie jako robotnik budowlany. Poznałem Budapeszt, praktykując w klinice uniwersyteckiej, i kilka razy, bo mi się podobało, przemierzyłem też Polskę.

Budapeszt w tamtych latach był dla mnie najbardziej „zachodni”. W sklepach było bardzo dużo towarów, jakie u nas trudno było znaleźć.

No a poza tym Węgrzy mogli swobodnie podróżować, jeździć po całej Europie, co u nas było nie do pomyślenia. Naszym marzeniem (NRD-owców) była zawsze wolność podróżowania oraz zmiany polityczne. Tłumaczono nam, że wyjazdy za mur są niepotrzebne i w dodatku politycznie szkodliwe. A przez to – niemożliwe!

Ale czas studiów minął szybko i bezpowrotnie. Otrzymałem skierowanie do pracy jako chirurg w klinice akademickiej w Dreźnie. Praca tam była pewna, ale próbowałem zostać w Berlinie, tym bardziej, że miałem tam dziewczynę, wobec której miałem poważne zamiary. Udałem się zatem do Ministerstwa Zdrowia, licząc na stosowną pomoc w zatrudnieniu. Ale jakie było moje zaskoczenie, gdy zaproponowano mi w zamian za pracę – funkcję agenta służby bezpieczeństwa! Miało to miejsce w kawiarni, w wieży telewizyjnej, dokąd „chcący mi pomóc” agent – zaprosił mnie, abym został ich informatorem. Byłem rozczarowany i wściekły i za nic w świecie nie zostałbym szpiclem i donosicielem, w dodatku na własne środowisko. Nie mogłem się zgodzić, aby takim kosztem uzyskać posadę lekarza w Berlinie! I dziś jestem pewien, że odmowa – to była moja najlepsza decyzja w życiu!

Tak więc, chcąc nie chcąc, pojechałem do Drezna. Po zrobieniu specjalizacji rozpocząłem pracę lekarza rodzinnego. Uważam, że zrobiłem dobrze i nigdy tego nie żałowałem! Drezno to w końcu wspaniałe miasto! Ale długo jeszcze brzmiały mi w uszach słowa agenta, że jeśli pisnę komukolwiek słowo o propozycji, jaką mi złożyli, to znajdą mnie wszędzie. Ale ja natychmiast z tej „tajemnicy” zwierzyłem się mamie, zrzucając z siebie ten okropny balast; na szczęście nigdy więcej się do mnie nie zgłosili.

W 1987 r. pojechałem ze swoją ówczesną żoną do Gruzji. Kraj ten nadal był dumny, że wydał na świat wodza wszechczasów – Józefa Stalina. I zaskoczyło mnie, że od roku 1984, kiedy byłem tam po raz pierwszy, nic się pod tym względem nie zmieniło. Także w pozdrowieniach wielu Gruzinów, którzy złośliwie witali mnie wyciągniętą ręką i zawołaniem „Heil Hitler”. Zupełnie inny kraj, w niczym nie przypominął Związku Radzieckiego. Ale i ten skądinąd potężny kraj zmienił się w moich oczach, zwłaszcza po katastrofach z ropą naftową na Morzu Czarnym i uszkodzeniu elektrowni atomowej w Czarnobylu... żeby światu o tym nie powiedzieć? Tego nie mogłem zaakceptować... takiego zakłamania i drwiny z ludzi i ekologii.

Rok 1987 był też pierwszym rokiem, kiedy mogłem po latach pojechać do Hamburga w odwiedziny do cioci Friedy. Wizę i paszport dostałem na jej urodziny, które przypadały 30 kwietnia i pierwszy raz zauważyłem, że można 1 maja demonstrować dobrowolnie, bez przydzielonej szturmówki czy transparentu. W Hamburgu ludzie spotykali się po prostu na wiecach, maszerowali i zachowywali się jak na zwykłym pikniku czy ognisku.

Przyznam, że paszport zawdzięczałem pewnemu urzędnikowi w Biurze Paszportowym, który kazał mi napisać w ankiecie, że ciocia jest bardzo ciężko chora. Otrzymałem zgodę na mój wyjazd. Odwiedziłem wtedy nie tylko Hamburg, ale także Kaiserslautern i Walsrode, obserwując ludzi, którzy żyli w wolnym kraju, ale żeby w nim pozostać – nigdy mnie nie ciągnęło. I choć podróż była bardzo ciekawa, a przeżycia podczas niej „niezapomniane” – mnie jakoś zawsze ciągnęło już po kilku dniach, aby do NRD wrócić, bo tu był mój dom, moi znajomi, miałem dobrą pracę i kochałem „swoje” Drezno. Żeby jakimś fortelem uciec z NRD, nigdy nie przyszło mi do głowy.

W moim życiu nastąpił czas założenia rodziny.

W roku 1988 poślubiłem swoją żonę (z którą przyjaźniłem się już od dłuższego czasu) – Astrid. Była to kobieta niezwykle pod wieloma względami. Wkrótce urodziła nam się córeczka, a ja po złożeniu odpowiednich egzaminów – rozpocząłem praktykę lekarza ogólnego.

Byliśmy szczęśliwi, gdy po jakimś czasie otrzymaliśmy przydział na 4-pokojowe mieszkanie w nowym budownictwie, na wzgórzu, z widokiem na rzekę i Drezno. Ale długo nie cieszyliśmy się „własnym” mieszkaniem, ponieważ z naszych okien można było też „rejestrować” kamerą (przez satelitę) uciekinierów z NRD (przez granicę – do Czechosłowacji). Wprowadziły się do nas odpowiednie służby, zabierając nam zupełnie oficjalnie jeden pokój. Zaczęło się rejestrowanie obywateli naszej Republiki przekraczających swoimi trabantami i wartburgami granicę. Działo się to latem 1989 r. Niepokoje społeczne z dnia na dzień stawały się coraz bardziej widoczne. Także z Czechosłowacji liczni mieszkańcy próbowali dostać się na Zachód. Z tego też powodu nie doszło do mojego kursu zawodowego (na wyższy stopień specjalizacji medycznej), który w tym czasie miałem odbyć w szpitalu w Schwerinie.

Także w Dreźnie z dnia na dzień odczuwało się w tych miesiącach coraz większe napięcie. System, który do tej pory zdawał się być nie do pokonania, zaczął – w sposób zauważalny – rozpadać się! Razem z żoną postanowiliśmy być w centrum tych wydarzeń. Ludzie zbierali się w grupkach i prowadzili ożywione rozmowy. Dochodziło do wielu prowokacji i aresztowań. I trzeba było bardzo uważać, aby nie zostać „nagranym” przez któregoś z licznych tajniaków udających „zbuntowanych wobec władzy” obywateli.

Ale i tak trafiliśmy któregoś wieczoru na posterunek policji, w którym przeprowadzono z nami ostrzegawczą rozmowę. Wielu ludzi po takich „rozmowach” nie wracało do swych domów. Wiezorami w kościele ewangelickim, do którego należeliśmy i do którego chodziliśmy, odczytywano listy osób zatrzymanych i organizowano dla nich pomoc. Był to czas okropny! Żyliśmy w nieustającym strachu i obawie, żeby coś złego nam się nie przy-

trafiło. Wielu ludzi wyrzucano wtedy z pracy i my obawialiśmy się tego samego. W moim życiu wiele się w tych dniach zmieniło.

Udało mi się przede wszystkim otworzyć własną praktykę lekarską. Ten gabinet, który mnie uniezależnia od innych, do dziś pozostaje moją radością i dumą. Tak, mam własną praktykę lekarską w Dreźnie, w której do dziś przychodzi wielu pacjentów. Ale jednocześnie spotkało mnie wówczas osobiste nieszczęście; z żoną zajęci sobą, sprawami społecznymi i zawodowymi, w porę nie zapobiegliśmy nieszczęściu naszej niepełnosprawnej córki. Z tego też powodu doszło do naszego rozwodu; nawzajem zarzucaliśmy sobie winę i dalsze wspólne pożycie stało się niemożliwe. W roku 2008 postanowiliśmy się rozejść, ale naszej córki nie pozostawiliśmy w jej nieszczęściu samej. Na przemian, przez tydzień, każde z nas opiekuje się nią. Żał tylko, że nie ma z nią obecnie już żadnego intelektualnego kontaktu; nie mówi, jest przykuta na zawsze do łóżka, a wtedy, gdy można jeszcze było z nią rozmawiać – nie mieliśmy dla niej czasu.

Do chwili, gdy poznałem swą obecną partnerkę życiową, która aktywnie pomaga mi w opiece nad córką, życie straciło dla mnie na wartości. Już będąc w nowym partnerskim związku, poznałem też bliżej Polskę. Moje zainteresowanie stało się tym większe, że moja urodzona w 1900 r. babcia wróciła po wojnie do miasta, w którym się urodziła – do Kołobrzegu (za czasów niemieckich – Kolberg). W Kołobrzegu chodziła do szkoły, czuła się „korzeniami” związana z Polakami. Mimo wysiedlenia jej w 1945 r. z miasta postanowiła do niego – do swych korzeni – powrócić. Choć długo nie mogła przebaczyć tym, którzy z chwilą zakończenia wojny brutalnie ją stamtąd wyrzucili. Przecież ona – jak mi się kiedyś zwierzyła – nie miała z wojną ani z nazizmem nic wspólnego. Protestowała (w duchu) przeciwko odpowiedzialności zbiorowej. I o to miała do końca swego życia żal do Polaków, którym osobiście – jak twierdziła – niczego złego nie uczyniła. Przeciwnie. Jej mąż, czyli mój dziadek, był przed wojną właścicielem hotelu – pensjonatu nad Bałtykiem, ona zaś prowadziła w Kołobrzegu pralnię chemiczną. Stanowili zatem normalną, niczym szczególnym niewyróżniającą się rodzinę, która w politykę się nie angażowała. Mnie też nigdy nie nastawiała „rewizjonistycznie” przeciwko Polakom; odwrotnie – zaszczepiła zainteresowanie historią i kulturą narodu polskiego. Za to jestem jej dzisiaj, kiedy oba nasze państwa współtworzą z innymi krajami Unię Europejską – niebywale wdzięczny.

Nigdy też, przez wszystkie lata mojego dotychczasowego życia, nie przyszło mi na myśl, aby powojenny podział terytorialny między Polską a Niemcami zmienić! Zawdzięczam to także babci, a przede wszystkim swoim rodzicom, którzy wielokrotnie mi powtarzali, że z wszystkim sąsiadami,

w tym i z Polską należy żyć w zgodzie i dla obopólnych korzyści. Przyznam, że gdyby nie nasze spotkania „biograficzne”, na których mówi się jeszcze o przeszłości, sam do tych zagadnień nie wróciłbym. Interesuje mnie tylko przyszłość i utrzymanie tego, żeby nigdy już nie było wojny ani zawiści z którejkolwiek strony.

Mój dziadek ze strony ojca, który był krawcem, wspominał mi też, że na początku wojny przydzielono mu pomocnika, który był Polakiem, ale traktował go jak przyjaciela, a po wojnie wielokrotnie odwiedzał w Raciążu, gdzie mieszkał. Wspólnie nawet spędzali urlopy w Borach Tucholskich, kontynuując przyjaźń zawartą w pierwszych latach wojny, gdy wspomniany tu Polak – Leon Ott – trafił do jego pracowni krawieckiej jako jeniec wojenny. To on po wojnie szukał kontaktu z moim dziadkiem, proponując kontynuację znajomości nie tylko osobistej, ale także ich rodzin. Co zresztą nastąpiło i trwa do dzisiaj – w następnych już pokoleniach.

Ja także – o czym już wspomniałem w swym tekście – od 1978 r. regularnie odwiedzam jako turysta Polskę, poznałem Warszawę i planuję jeszcze wielokrotnie ją odwiedzać. Nie tylko zresztą Warszawę, można powiedzieć, że zakochałem się w Polsce i nie dziwię się, że w przeszłości Saksończycy (za jakiego się uważam) mieli Augusta II i III, którzy jednocześnie byli królami Polski! Tę współpracę powinniśmy kontynuować.

(Przełożył Karol Czejarek)

Stefan Bruno Michaelsen, praktykujący lekarz, ur. w 1956 r., absolwent Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Humboldta; pobyt w Berlinie w latach 1977–1983; lekarz rodzinny w przychodni lekarskiej. Obecnie prowadzi własny gabinet lekarski. Człowiek o wszechstronnych zainteresowaniach. Pasjonuje go kultura, polityka i sprawy społeczne – w tym również, a może w szczególności – współpraca niemiecko-polska.

MARTA MILEWSKA

Aby łączył nas wzajemny szacunek...

Urodziłam się w Ciechanowie. Z powodów zdrowotnych nie uczęszczałam do przedszkola, ale zanim rozpoczęłam naukę w szkole podstawowej, umiałam już dobrze pisać i czytać. W szkole podstawowej i liceum nauka nie sprawiała mi problemu. Po maturze zaczęłam zastanawiać się: co dalej? Interesowały mnie przedmioty humanistyczne, dlatego wybrałam studia na kierunku historia, na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie.

Obecnie jestem doktorem nauk humanistycznych w zakresie historii. Pracę doktorską pod tytułem: *Ochrona zdrowia w guberni płockiej w latach 1865–1915* obroniłam w 2010 r. na Wydziale Historycznym Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtuskach. Rozprawa doktorska dotyczyła stanu sanitarnego, warunków higienicznych, chorób epidemicznych, szpitali i personelu medycznego na terenie guberni płockiej. Z Akademią Humanistyczną nadal współpracuję, prowadzę w niej też zajęcia ze studentami.

Przedmiotem moich naukowych zainteresowań były dotąd głównie dzieje społeczno-gospodarcze ziem polskich w okresie porozbiorowym, ale im bardziej zastanawiałam się nad dalszą tematyką badawczą, tym coraz bardziej skłaniałam się ku relacjom polsko-niemieckim w minionych wiekach. Uważam, że młodzi ludzie muszą znać historię swojego kraju, ale nie koniecznie o tej przeszłości, zwłaszcza przeszłości polsko-niemieckiej, trzeba bez przerwy mówić. Wydaje mi się, że obecnie ważniejsze jest wspólne kształtowanie przyszłości, oparte na przyjaznych relacjach i dobrosąsiedzkiej współpracy. Początki mojej pracy w Akademii Humanistycznej zbiegły się z powstaniem Międzywydziałowego Centrum Badań Niemcoznawczych.

Z uwagi na mój wiek można uznać, że jestem przedstawicielem pokolenia, które historię Polski i Niemiec zna z opracowań książkowych, z nauki w szkole i programów telewizyjnych. W dzieciństwie moje wyobrażenie dotyczące narodu niemieckiego kształtowane było na podstawie przekazów ustnych seniorów mojej rodziny. Dziadkowie w czasie II wojny światowej pracowali u kolonistów niemieckich, natomiast brat mojej babci przebywał w hitlerowskim obozie koncentracyjnym w Stutthoff (Sztutowo). Ich smutne, a niekiedy tragiczne wspomnienia spowodowały, że w mojej głowie powoli powstawał – niestety – negatywny obraz Niemiec. W liceum uczęszczałam do klasy, w której wśród obowiązkowych przedmiotów nauczania nie było języka niemieckiego, a w mojej najbliższej okolicy rodowitych Niemców można było spotkać sporadycznie, co w pewnym sensie miało wpływ na powstawanie i umacnianie stereotypów. W moim rodzinnym domu zwracano uwagę na symbole narodowe, język i genealogię rodziny, czyli na to, co kształtuje tożsamość narodową. Właśnie z domu wyniosłam zarówno poczucie odrębności własnego narodu, jak i poszanowanie kultury innych narodów. Obserwując dzisiejszy świat, dostrzegam, jak bardzo jest to ważne.

Przełom w moim postrzeganiu relacji polsko-niemieckich nastąpił w czasie studiów na kierunku historia. Wykłady z zakresu historii krajów sąsiednich, na które w tym czasie uczęszczałam, oraz lektura dostępnych na rynku wydawniczym opracowań spowodowały, że zaczęłam dostrzegać również te pozytywne zjawiska, jakie miały miejsce w minionych wiekach między Polską i Niemcami. Podróże na Zachód pozwoliły mi poznać młodych Niemców, którzy, podobnie jak ja, dostrzegali potrzebę przywracania normalności w naszych dwustronnych relacjach. Niestety, bariera językowa uniemożliwiła mi nawiązanie z nimi ściślejszych kontaktów. By pokonać tę barierę zaczęłam uczęszczać do szkoły językowej, by uczyć się tam języka niemieckiego. W tym zakresie mam jeszcze bardzo wiele do zrobienia.

Mimo szacunku, jaki mam do narodu niemieckiego, muszę zaznaczyć (ze względu na pamięć o ofiarach), że II wojna światowa była tym wydarzeniem, które przekreśliło wszystko, co w wielowiekowej, sąsiedzkiej współpracy polsko-niemieckiej było dobre. Osobiście nie mam złych doświadczeń i traumatycznych przeżyć, dlatego nie potrafię do końca wszystkiego zrozumieć. II wojna światowa rzuca potężny cień na nasze sąsiedzkie relacje, a efektem tego są funkcjonujące do dziś w społeczeństwie i polskim, i niemieckim stereotypy. Wiem, że sformułowanie „normalność” jest często używane w mediach, ale obserwując w życiu codziennym zachowanie Polaków i Niemców, zastanawiam się, czy określenie to jest właściwe.

Od dziecka lubiłam podróżować, dlatego gdy dorosłam, uzyskałam licencję pilota wycieczek. W sezonie letnim opiekuję się więc grupami turystycz-

nymi i w związku z tym spotykam się z różnymi sytuacjami, które pokazują, że te stereotypy są wciąż obecne. W ubiegłym sezonie turystycznym opiekowałam się polską grupą, którą zresztą do dziś mile wspominam. W grupie przeważali jednak seniorzy i dla nich problemem był fakt, że w miejscu zakwaterowania w restauracji musieli spożywać posiłki razem z grupą niemieccką. Stąd moje pytanie: jak to nazwać? Inny przykład: Mazury, rejs statkiem po jeziorze Tałty. Nikt z grupy Polaków którym towarzyszyłam nie wyszedł na górny pokład statku. Na pytanie: dlaczego? – usłyszałam: „bo tam są Niemcy”. I znów wraca pytanie: normalność czy uprzedzenie? W innej części Polski recepcjonistka poinformowała mnie, że grupa, którą się opiekuję, będzie mieszkać w innej części hotelu, tak by nie mieć kontaktu z „konfliktową grupą Niemców”. Na szczęście takie sytuacje nie są zbyt częste, ale zdarzają się i pokazują, że nie wszystko mamy już za sobą.

Dialog o przyszłości polsko-niemieckiej jest więc nadal bardzo ważny, a pytanie: co zrobić, by wyeliminować wszelkie uprzedzenia – wciąż pozostaje aktualne. Na polu naukowym jest w tej kwestii wiele do zrobienia. W dziejach Polski i Niemiec dostrzegam zagadnienia dotyczące obu narodów, które nie doczekały się jeszcze odrębnego opracowania.

W literaturze poświęconej dziejom Mazowsza informacje dotyczące chociażby osadnictwa niemieckiego pojawiały się fragmentarycznie. Tematyka ta była pomijana lub tylko sygnalizowana w monografiach mazowieckich miast i powiatów. W miarę gromadzenia materiałów na ten temat pojawiło się wiele ważnych problemów do analizy, na przykład: liczba przybywających osadników, tereny z których przybywali oraz sposób zagospodarowania przejętych przez nich gruntów. Celem opracowania zagadnienia osadnictwa niemieckiego na Mazowszu jest nie tyle jego narracja faktograficzna, ile analiza tego zjawiska i jego interpretacja. Chodzi głównie o pokazanie pozytywnych zmian, jakie dokonały się na Mazowszu wraz z pojawieniem się osadników niemieckich, np. regulacja miast, ich architektury, naprawa mostów i rozbudowa zakładów przemysłowych. Należałoby też zauważyć, jak duży wpływ miały osady zamieszkałe przez kolonistów niemieckich na rozwój gospodarczy mazowieckich miast, a tym samym na rozwój ekonomiczny Królestwa Polskiego.

Mazowsze od dawna cieszyło się zainteresowaniem historyków, ale są zagadnienia dotyczące relacji polsko-niemieckich, które nie zostały dotąd opracowane, na przykład: Królestwo Polskie w latach 1914–1918, a właściwie Mazowsze w okresie istnienia Generalnego Gubernatorstwa Warszawskiego. Dążąc do wypełnienia tej luki badawczej, prowadzę kwerendę archiwalną i biblioteczną, której efektem jest materiał źródłowy zarówno rękopiśmienny, jak i drukowany, oraz korespondencja, pamiętniki, prasa i li-

teratura przedmiotu. W opracowaniu tym należałoby nie tylko określić podstawy prawne organizacji i działalności aparatu administracyjnego, ale pokazać także ekonomiczne aspekty obecności Niemców na Mazowszu, a przede wszystkim przedstawić charakterystykę ludzi, w tym także mniejszości niemieckiej. Warto też przypomnieć sytuacje, kiedy żołnierze noszący niemieckie mundury zawierali znajomości z ludnością polską. Zagadnienia tego nie uda się jednak opracować bez kwerendy akt generała Hansa von Beselera, które znajdują się w zasobach Archiwum Federalnego w Koblencji. Wierzę jednak, że z czasem uda mi się pozyskać na to środki finansowe, by pokonać wszelkie przeszkody z tym związane.

Mam nadzieję, że wspomniane przeze mnie zagadnienia zostaną w przyszłości opracowane i staną się jednym z elementów przywracania normalności w stosunkach polsko-niemieckich. Jestem przekonana, że przez publikacje naukowe pokazujące pozytywne strony współpracy polsko-niemieckiej można dotrzeć do młodego pokolenia Polaków tak, by ponad wszelkie podziały łączył nas wzajemny szacunek dla kultury i dla odmienności obu narodów.

Podsumowanie

Polska i Niemcy ze względu na położenie geograficzne są krajami sąsiednimi. Z faktu tego wynika wiele zadań dla Polaków, jak i dla Niemców dotyczących sąsiedzkiej współpracy politycznej, gospodarczej i kulturalnej. Państwa wypowiedzi są najlepszym przykładem tego, jak współpraca ta może być kształtowana w życiu codziennym i jak wiele zależy od nas w pokonywaniu stereotypów. Wierzę, że dzięki takim ludziom, jak Państwo, możliwa jest normalność w relacjach polsko-niemieckich w pełni tego słowa znaczeniu.

Marta Milewska, ur. 7.04.1979 r. Uczęszczała do Szkoły Podstawowej im. Szczepana Dobosza w Sońsku; absolwentka Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza w Ciechanowie. Ukończyła studia magisterskie na kierunku historia, na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie oraz studia podyplomowe w zakresie geografii w Szkole Wyższej im. Pawła Włodkowica w Płocku. Rozprawę doktorską obroniła na Wydziale Historycznym Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtuskach w 2010 r. Jako doktor nauk humanistycznych w zakresie historii prowadzi zajęcia ze studentami tej uczelni. Przedmiotem jej naukowych zainteresowań są dzieje społeczno-gospodarcze w XIX i XX w. Jest autorką wielu artykułów dotyczących ochrony zdrowia i opieki medycznej.

RADJO MONK

Mój „Biomorphon”

Słowo „biografia” składa się z dwóch wyrazów: „bio” i „grafie” i pochodzi z greckiego, oznacza: „życie” i „pisać” (o kimś lub o sobie); w tym przypadku – o sobie, co nie jest łatwe.

Będzie to zatem próba spisania tego, z czego składało się do tej pory moje życie, oczywiście – nie wprost, ale według przyjętego przeze mnie kodu, który niekoniecznie musi być zrozumiały dla każdego. A może się mylę? Mam też wątpliwości, czy słowo pisane może w pełni oddać przeżywane chwile, uczucia, myśli? Czy rzeczywiście wszystko da się opowiedzieć tak, jak by się chciało?

Dlatego zamiast wyrażenia „biografia” zatytułowałem swoje zwierzenia za angielskim antropologiem A.C. Haddonem „biomorphon”. On pierwszy użył tego wyrażenia odnośnie do opisywanych przez siebie zjawisk, które badał.

Jeżeli zatem w tej chwili rozmyślam o swoim życiu, to jest to swego rodzaju spekulacja na bazie przekazów rodzinnych, często wrywkowych, niepełnych i w dodatku obarczonych indywidualną, subiektywną oceną opisywanych zdarzeń, czyli nie można tego wszystkiego, o czym będzie niżej mowa, rozumieć dosłownie, jako jedyną obiektywną prawdę. Nawet nie chciałbym, żeby tak było.

Czynię te zastrzeżenia na wstępie, aby pozostać sobą; człowiekiem, który rzadko posługuje się mitologią, a przynajmniej jej nie ulega, szukając we wszystkim, co przeżył, racjonalnych przesłanek i obiektywnej prawdy opowiedzianej z własnej perspektywy.

Kim zatem jestem?

Jestem Europejczykiem, który ma swoje korzenie na Węgrzech, w Polsce i w Niemczech, a także w Hiszpanii i Francji. Trudno mi to wprawdzie udowodnić, bo trwałoby to zbyt długo, więc powiem tylko, że wszystkie te wymienione nacje uzewnętrzniają się w moim temperamencie, kulturze,

obciążają moją osobowość, psychikę i postępowanie. Żyję w każdym razie na gruncie dorobku tych wszystkich narodów, które wymienilem – ich kultur, zwyczajów i dorobku cywilizacyjnego. Moja mentalność zawiera w sobie wszystkie ich elementy i wypełnia moją współczesną obecność.

Nie odżegnuję się też od celtyckiego pochodzenia, jak i atlantyckiej przestrzeni życiowej, która mnie popycha do nieustannego działania, a czasami tracę nad tym wszystkim, co i skąd mam, kontrolę. Ale czy to jest w końcu takie ważne?

Na co dzień posługuję się językiem niemieckim. Są w nim wszystkie języki narodów, których sam czuję się częścią, mimo że w porozumiewaniu się z ich współczesnymi przedstawicielami – tych języków nie używam. Ale nie mam żadnych wątpliwości, że stanowią „produkt” większej całości.

Na świat przyszedłem w styczniu 1959 r., w małym saksońskim miasteczku Hanichen, jako Andreas Chistian Heckel. Heckel nie jest nazwiskiem rodowym mojej matki, ona urodziła się w 1933 r. w Königsbergu (Królewcu, dzisiejszym Kaliningradzie) jako Helga Thiel. Całą jej rodzinę wypędzono stamtąd zimą 1945 r. i skierowano przez Meklemburgię do Saksonii. To przesiedlenie było wielkim przeżyciem dla całej rodziny i miało także wpływ na moją dotychczasową egzystencję. Moi bezpośredni przodkowie przeżyli to wypędzenie, gdyż mieli szczęście, że nie dostali się na pokład Gustloff'a. Po wielu latach w dzienniczku swojej babci wyczytałem, że moja mama w roku 1951 wyszła za mąż za Gerharda Heckela (który zmarł w 1956 r.) i oprócz mnie urodziła jeszcze – rok później – mojego brata Michaela. Portret naszego ojca przez wiele następnych lat wisiał nad fotelem, który stał obok kaflowego pieca w dużym pokoju. Ojciec miał gładko zaczesane do tyłu blond włosy i spoglądał na nas z tego portretu surowym wzrokiem.

W okresie dzieciństwa nie zastanawiałem się nad jego życiem, stało się to dopiero, gdy moja matka nagle postanowiła zostać panią Riedel, a ja i mój brat – nadal nazywaliśmy się Heckel. Działo się to w połowie lat 60. ubiegłego wieku. Upłynęło jeszcze trochę czasu, nim zacząłem matce zadawać pytania na temat naszej rodzinnej przeszłości, która mnie bardzo interesowała. Dopiero po latach dotarło do mnie, że spośród moich znajomych nikt nie był rodowitym Saksończykiem; wszyscy skądś do tej Saksonii przybyli, najczęściej ze Wschodu, z miejscowości, których nazwy niewiele mi wtedy mówiły. Ich nazwiska – w porównaniu z niemieckimi – brzmiały również dziwnie, jak np. Jarosz, Sarnes i tym podobnie. Po latach, gdy już chodziłem do szkoły, skojarzyłem sobie, że ich los był podobny do mojego, o czym dowiedziałem się z pamiętnika mojej babci Olgi. Choć – szczerze mówiąc – nie był to czas, w którym my – młodzi – zastanawialiśmy się dłużej nad naszym

pochodzeniem. Żyliśmy teraźniejszością i naszymi przyziemnymi sprawami. I przynajmniej – jak długo było NRD – w rodzinach nie rozmawiano o utracionym Śląsku, a tym bardziej o byłych Prusach Wschodnich. Nie rozmawiano o tym także w szkole i w instytucjach publicznych.

Z czasem jednak coraz bardziej zaczęły mnie te tematy interesować i chciałem dowiedzieć się, skąd tu przybyliśmy i dlaczego; jak wyglądała „droga” do naszego obecnego miejsca pobytu, przez jakie rzeki przeprawialiśmy się i jakimi środkami lokomocji tutaj dotarliśmy? Co jedliśmy po drodze, gdzie spaliśmy i inne podobne pytania kłębiły się w mojej głowie. A ponieważ nie odpowiadano mi wprost na prawie żadne z nich, kwitując je na ogół stwierdzeniem: „nie ma o czym mówić”, moja fantazja i domysły nie miały końca. Dotyczyło to także moich kolegów i koleżanek szkolnych oraz dorastającej młodzieży z podwórka.

Moja matka uzyskała swoje nazwisko po Hugo Thielu, który ożenił się z Olgą Heyduschką (o czym też dowiedziałem się z pamiętnika babci Olgi), którą – z uwagi na jej niebywały temperament – nazywano również Mimi. Na uroczystościach rodzinnych potrafiła nawet tańczyć na stole i wyśpiewywać sprośne piosenki, kiedy inni się pod nim chowali.

Mimi po raz ostatni widziała się ze swoim mężem Hugo w koszarach, w Boże Narodzenie w 1944 r., potem, gdy miasto przekształcono w twierdzę, stało się to już niemożliwe. Do końca kierowała w Królewcu ich piekarnio-cukiernią, dzięki czemu mojej rodzinie żyło się całkiem znośnie, gdy w tym czasie inni już cierpieli głód.

Matka miała rodzeństwo: Huberta, Monikę, Susanne i Gabrielę. Hubert i Monika z tego rodzeństwa żyją jeszcze w Hainichen. Susanne i Gabriela nie przeżyły wypędzenia i podzieliły los tych, którzy tego także nie wytrzymali.

Całą swoją rodzinę z tamtych lat poznałem ze zdjęcia, które zachowało się w pamiętniku babci Olgi. Z tego pamiętnika poznałem też sagę rodziny Heyduschków od 1700 r.

Wywodzili się z Węgier, byli szlachcicami z okolic Debreczyna. Około 1850 r. część rodziny przeniosła się do Królewca, prowadząc tam – można powiedzieć – koczowniczy tryb życia. W każdym razie przemieszczali się z miejsca na miejsce.

Gdy byłem młodym człowiekiem i po raz pierwszy wędrowałem jako tramp przez Polskę, brano mnie za węgierskiego Cygana, na Węgrzech zaś uchodziłem za polskiego Cygana. Tak było jeszcze w latach 70. ubiegłego wieku.

Swoją wędrówkę rozpocząłem wtedy od Świnoujścia. Gdy przekroczyłem w jego okolicach granicę z Polską i szedłem w kierunku miasta plaż, nie rozmyślałem o tym, że moja matka w 1945 r. chodziła gdzieś tu i z

pokładu frachtowca słyszała krzyk tysięcy ludzi, cywilów, matek z dziećmi i starców, którzy załadowani jak śledzie, zginęli – storpedowani na statkach, które miały ich przewieźć w bezpieczne miejsce. Jakie to szczęście, że moja matka nie dostała się wówczas, w 1945 r., na pokład „Gustloff’a”, w przeciwnym razie nie pisałbym teraz tego wspomnienia. Ten sam los spotkał nie tylko „Gustloff’a”, ale także kilka innych dużych jednostek „ratowniczych”. 33 lata później po tamtych tragicznych wydarzeniach, gdy zwiedzałem Muzeum Historii Najnowszej w Lipsku, nie znalazłem ani słowa na ten temat. Owszem, były liczne zdjęcia baraków hitlerowskich obozów koncentracyjnych, gabloty z odebranymi więźniom walizkami, dziecięcymi zabawkami i różnymi innymi rzeczami, ale były to dokumenty świadczące wyłącznie o zbrodniach nazistów... O „Gustloffie” i wielu podobnych przypadkach zbrodni muzeum pokazywało film. Dobrze i to, choć przecież zachowały się zdjęcia ludzi wsiadających na ten statek, którzy pokorni, pogodzeni z losem szli w długiej, ciągnącej się kilometrami kolumnie. Trzymali w rękach swój skromny dobytek, pełni nadziei, że przeżyją tę wojnę. Moja matka ze swoim rodzeństwem też stała w tej kolejce, by dostać się na statek, który miał ich przewieźć do nowego miejsca pobytu w Niemczech. Jakże chwalę dzisiaj Boga, że szczęśliwym trafem odcumował bez nich, inaczej nie byłoby mnie dzisiaj na tym świecie.

Dlatego z pewnym lękiem siedłem wówczas w kierunku Świnoujścia, myślałem o tym, jak Polacy przyjmą mnie – Niemca, który po raz pierwszy w latach 70. przekracza ich granicę.

Zdziwiłem się, że już wtedy nikt specjalnie nie interesował się mną. Na koncertach, na których wówczas też byłem, ludzie tłoczyli się, jakby wcześniej nic złego nie stało się między Niemcami a Polakami. Obojętnie, czy za pulpitem stał niemiecki dyrygent, a orkiestrę stanowili niemieccy muzycy, czy było odwrotnie, lub na sali byli wśród słuchaczy Niemcy, którzy chcieli posłuchać muzyki w wykonaniu polskich artystów – nikt się tym nie interesował. Ludzie łaknęli po prostu dobrej muzyki, która pozwalała im przeżywać artystyczne uniesienia, bez odnoszenia się do przeszłości. Dla nich najważniejszy w tym momencie był sam koncert, starania o to, aby dostać bilet, zająć jak najlepsze na sali miejsce (choćby nawet na przystawkach), a nie myślenie o tym, co jeszcze nie tak dawno dzieliło nas, a czasami jeszcze dzieli. Dlatego wiosną 2009 r. ponownie wróciłem (i wciąż wracam) do tego pięknego i bliskiego mi kraju.

Ale wróćmy do zasadniczego tematu, dla którego piszę ten „biomorphon”. Historia wypędzenia i przesiedlenia była w NRD tematem tabu! Nie rozmawiano, bo nie wolno było o tym rozmawiać, a co dopiero zadawać pytań publicznie. Przecież między krajami socjalistycznymi panowała jedność i peł-

ne zaufanie. Po co więc wracać do tego, co było, skoro budowano wspólną, wolną od ponurych wspomnień historycznych przyszłość. Świat komunistyczny nie odpowiadał za to, co wyprawiali podczas II wojny światowej naziści.

Dopiero w roku 1989 zrozumiałem, dlaczego wcześniej mama nie chciała mi powiedzieć o tamtym wypędzeniu i przesiedleniu, które sama przeżyła jako dwunastoletnia dziewczynka. Nie wypowiadano się też na ten temat oficjalnie w NRD, która budowała „lepsze” Niemcy niż te za Łabą.

Dlaczego jednak nigdy więcej nie chciała wrócić do swojej utraconej ojczyzny i zobaczyć ponownie Królewca? Odpowiem później, co na ten temat od niej usłyszałem. A teraz wrócę do świnoujskiej plaży, od której zacząłem swoją wędrówkę po Polsce „jako węgierski Cygan”. Dziwiłem się, że mogłem na niej spokojnie leżeć, a nawet pospać, niebudzony przez nikogo. Na plaży, co prawda, było wtedy mało ludzi, ale w przeciwieństwie do NRD-owskiego pasa Morza Bałtyckiego nikt mnie ze świnoujskiej plaży nie przepędzał. Nie budził mnie but uzbrojonego po zęby żołnierza NRD-owskiej Narodowej Armii Ludowej. Nikt nie wrzeszczał: „Wynocha stąd (ty taki i owaki) i żebym cię tu nigdy więcej nie spotkał..., bo to teren przygraniczny, nie kapujesz?!”

Teren przygraniczny? I to ma być ten inny, lepszy świat budowany przez „nowych” Niemców? Że nie było wolno nawet przebywać na plaży, położyć się na piasku ani wejść do wody? Dopiero w Polsce zaznałem tej swobody; mogłem przynajmniej oddychać powietrzem morza, wypatrywać horyzontu i nikt mi w tym nie przeszkadzał. W NRD tak nie było, więc Polskę polubiłem od razu.

Natomiast dziwnego uczucia doznałem w jakiejś małej miejscowości w okolicach Kołobrzegu. Czekając na pociąg, przypominałem sobie, że mój dziadek też był maszynistą i też woził ludzi, ale tutaj na tej małej stacyjce pociągi zatrzymywały się, ludzie wsiadali i wysiadali z nich. Być może kiedyś – przemknęło mi przez głowę – tymi samymi torami wożono ludzi tylko w jednym kierunku, gdzie ich potem wyladowywano z bydlęcych wagonów, a potem selekcionowano. Teraz rozumiem, dlaczego moja matka wołała milczeć...

Wędrując wówczas przez Polskę, w zasadzie omijałem duże miasta, chciałem poznać życie na tzw. polskiej prowincji. Pewnego razu, gdy byłem bardzo zmęczony całodzienną wędrówką, zatrzymałem jakiś samochód ciężarowy. Kierowca dał znak, żebym wskoczył na platformę, na której siedziało już wielu autostopowiczów, ale nie byli to trampowie, za którego ja się uważałem. Nim porządnie wspiąłem się na samochód, ciężarówka ruszyła, i gdyby nie pomocne ręce wyciągnięte w moim kierunku, wylądowałbym niechybnie z powrotem na szosie.

Jakaś dziewczyna, która była wśród wciągających mnie do góry, trzymała teraz mój duży plecak. Była piękna, ale nie zapomnę jej nieco drwiącego uśmiešku, widocznie oceniła mnie jako niezdarę, skoro trzeba było mi pomóc dostać się na samochód. Miała czarne włosy, niebieskie oczy, wysokie czoło i namiętne usta; tylko ten jej drwiący uśmiešek nieco mnie deprymował. Coś wtedy głośno wykrzykiwano do mnie, ale ja nie rozumiałem ani jednego ich słowa, nie znałem polskiego. Mój wzrok wciąż napotykał oczy dziewczyny, która od pierwszego wejrzenia bardzo mi się spodobała. Mogła mieć co najwyżej 20 lat, podobnie jak inni. Nie wiem, skąd wracali, może z pracy, bo nie mieli przy sobie żadnego bagażu.

Po pół godzinie ciężarówka gwałtownie zatrzymała się, kierowca podszedł do tylnej klapy i coś mówił do mnie, zrozumiałem, że mam wysiąść, bo skręcali w bok, w polną drogę w kierunku widocznej z oddali wioski. I znów kilka osób pomogło mi zejść z platformy i podało plecak. Dziewczyna też była wśród nich, żegnając mnie swoim wiele „obiecującym” wzrokiem. Ale na jej twarzy nie było już drwiącego uśmiešku. Po chwili ciężarówka znikła i zostałem sam, widząc w oddali morze i ogarniający je zmrok. Nie bardzo wiedziałem, dokąd dalej iść. W zasadzie moim zamiarem było wtedy odszukanie grobu jednego z moich przodków z rodziny Heyduschków; spoczywał gdzieś tu w okolicy. Wiedziałem tylko, że za czasów niemieckich miejscowość, w której został pochowany, nazywała się Frauenburg. Urodzony 4 października 1879 r. w Królewcu zmarł 2 stycznia 1946 r., przez wiele lat był we Frauenburgu kanonikiem miejscowej kolegiaty, a jego grób – podobno – wciąż był pielęgnowany. Chciałem zatem odwiedzić to miejsce, do którego wcześniej dotarł już mój brat Michael.

Teraz i ja, przemierzając Polskę przez małe miasteczka i wsie jako tramp, nie wyczułem niczego, co zapowiadałoby zmiany, które miały nastąpić wkrótce pod sztandarem „Solidarności”. Tu – w porównaniu do NRD – czułem się człowiekiem wolnym, ale na czym miały polegać rzeczywiste zmiany, o które ten społeczny ruch walczył, zrozumiałem znacznie później. W czasie swego pierwszego pobytu w Polsce nie byłem niczym krępowany, a nawet nie zwracano na mnie – jako na Niemca, co prawda z NRD, ale Niemca – żadnej specjalnej uwagi. Mogłem w sposób absolutnie swobodny poruszać się wszędzie, gdzie chciałem, chodzić niekontrolowany wzdłuż plaż, po drogach i szosach, wszędzie doznawałem uprzejmości i pomocy. Ale któregoś dnia dotarło do mnie, o co rzeczywiście walczyła „Solidarność”, nie tylko o poprawę bytu materialnego Polaków, ale także o zrzucenie jarzma komunistycznej dyktatury. Ta idea dodawała skrzydeł jesienią 1989 r. tysiącom demonstrantów.

Gdy miałem 19 lat, musiałem odbyć obowiązkową służbę wojskową w Armii Ludowej NRD; trafiłem na Pomorze do koszar, które już za czasów

Hitlera służyły umacnianiu nazistowskiego systemu. Było to w miejscowości Torgelow-Drögeheide, niedaleko Szczecina. Gdyby wybuchła wojna, nasza dywizja miała zająć Hamburg. Swoją służbę wojskową wspominam jako czas absurdalnych szykan, byłem nieustannie ideologizowany i zastraszany imperialistyczną napaścią na system, w którym żyliśmy. Pisałem w tamtych dniach potajemnie pamiętnik, który zamierzałem po wyjściu z wojska opublikować na Zachodzie. Ale moi koledzy szczerze mi to odradzali, a gdy przy pomocy jednego ze swoich przyjaciół chciałem cywilną pocztą wysłać ten dziennik, o wszystkim natychmiast dowiedziała się bezpieka, no i dostałem za swoje.

Krótko przed zakończeniem służby, jesienią 1979 r., odkryłem, że w naszych koszarach były przygotowane mundury wojska polskiego, w które mieliśmy się przebrać, aby wesprzeć wojska radzieckie, które miały zlikwidować polską kontrrewolucję. I przypomniałem sobie, jak to historia lubi się powtarzać, czyż nie było tak kiedyś z prowokacją w Gliwicach? Czego to się nie robi, aby uzasadnić zbrojną interwencję. Do dziś czuję ścisk w gardle na myśl, że musiałbym w tym zamiarze, jako posłuszny żołnierz, wziąć udział!

Moja babcia Olga, która urodziła się w 1908 r. w Królewcu, już wtedy określała w pamiętniku swoje miasto jako „hanzeatyckie”, co pewnie dziś określiłaby jako wielokulturowe, choć tamten związek miast, do których przystąpił też Królewiec, rodził się przed ponad 800 laty, ale dzięki uzgodnionej współpracy – rozwinął handel na niespotykaną skalę. Miało świadczyć o tym zdjęcie z jej ślubu, na którym obok pary młodych stoją obok siebie dwie pochodzące z różnych stron rodziny: Thielów i Heyduschków. Przypomniałem sobie, kiedy babcia dała mi to za przykład, mówiąc: „pamiętaj, że obok siebie mogą i powinni żyć w zgodzie rodziny wszystkich narodowości: Rosjanie z Niemcami, Polacy i Litwini, i nie powinno być różnicy, czy ktoś jest Żydem, czy ma skośne oczy, pochodzi z Turcji, Anglii czy Hiszpanii... wszyscy jesteśmy sobie równi i mamy tylko jedno życie. Pamiętaj o tym i dąż do tego!”

Ale z tej jej nauki nic nie potwierdziło się w Hainichen. W domu, w którym się urodziłem przy ul. Dr.-Otto-Nuschke-Straße, a który był typowym domem mieszczańskim – nie było innych narodowości. Chociaż było w nim sporo pustych, niezamieszkałych mieszkań, ale żeby otrzymać na nie przydział, trzeba było spełniać tzw. kryteria. W pamięci pozostały mi z tego okresu kartki, za które można było dostać potrzebne do życia produkty. I jeszcze jedno: w mieszkaniu zimą paliło się tylko w kuchni, a od święta – w dużym pokoju. Ale żeby ludzie nawzajem pomagali sobie, tego akurat nie pamiętam. W każdym razie nic z tych rzeczy, o których „mówiła” mi babcia.

Nuschke-Straße od roku 1991 znów, tak jak dawniej, nazywa się ul. Sądowa (Gerichtstraße) i jest taką typową dla saksońskich małych miast ulicą, które powstały po wojnie niemiecko-francuskiej 1871 r. Pełno przy niej różnego rodzaju zakładów rzemieślniczych, począwszy od pralni aż do wszystkich możliwych rodzajów sklepów, oczywiście z kamienicą sądu (i więzieniem w podwórzu), kortem tenisowym, na którym grywał jeszcze mój ojciec – Karlheinz Trompa.

Przybył na kilka lat przed moim urodzeniem do Hainichen w celu odbycia praktyki zawodowej w zakładach „Barkas”. Z wykształcenia był inżynierem, który ukończył studia techniczne w Zwickau. Miał też papiery wyuczonego mechanika samochodowego z Oschersleben. Gdy go pytano o pochodzenie, odpowiadał: „jestem dzieckiem polskiej rolniczki, a ojciec mój zginął na froncie wschodnim”.

W rzeczywistości ojciec urodził się w 1936 r. w Berlinie, stamtąd – nie wiadomo dlaczego – rodzina przeniosła się do Madrytu, w sam „środek” trwającej tam wojny domowej. Nigdy nie udało mi się wyjaśnić, dlaczego tak się stało, że dziadek nagle sprzedał dom i przeniósł się do Hiszpanii. Ojciec opowiadał mi tylko, że w zasadzie nie znał prawie swego ojca, bo nigdy nie było go w domu. Choć ze zdjęć w starych albumach wynika całkiem inna historia.

Na swoje 40. urodziny, ponieważ wszyscy wiedzą, że interesuję się genealogią rodzinną, otrzymałem od Ursel, pierwszej żony swego ojca, pamiętnik rodu Trompa. Na dole „drzewa”, bez daty, znajduje się niejaki Mathias Trapa, jego następca nazywał się Peter Trapowicz. Rodzina żyła w dzisiejszym poznańskim, wtedy dokładnie w powiecie Meseritz (dzisiaj: Międzyrzecz), a jeszcze dokładniej – w miasteczku o nazwie Tirschtiegel (dzisiaj: Trzciel), gdzie weszła w koligacje z rodzinami Trzeboniki, Omieczynski, Mrotz i Polczyn.

Uprawiali różne profesje i w przeciwieństwie do Heyduschków – nie byli piekarzami; żyli z rolnictwa, z czasem dorabiając się kuźni, rzeźni, a nawet gospody z hotelem, albo pracowali na kolei.

Raz wymawiano ich nazwiska z polskim akcentem, to znów z niemieckim. Na przełomie wieków XIX i XX część rodziny znalazła się w Berlinie, gdzie Roamus Trompa był nauczycielem, a potem nawet wicedyrektorem znanego gimnazjum, natomiast Wilhelm August Krüger, ze zwykłego początkowo pracownika, został szefem urzędu celnego.

Mój pradziadek Leo, urodzony w 1902 r. w Szubinie (Schubin), zginął zastrzelony przez sowieckiego żołnierza w Weimarze. Jak do tego doszło, że znalazł się aż w Weimarze, nie udało mi się dokładnie ustalić. Jest prawdopodobne, że jako bankowiec, co wynika z różnych starych albumów fotograficznych, wspierał faszystowskiego generała Franco.

Udało mi się ustalić, iż w roku 1943 lub 1944 wrócili do Niemiec i zamieszkali najpierw w okolicach Poznania, a potem przenieśli się do Oscherleben. Moja prababcia Hertha jako pianistka uwielbiała Chopina i swobodnie mówiła po polsku, francusku i angielsku. Zmarła w 1945 r. w słynnym berlińskim szpitalu Charité na raka.

W lutym 2011 r., gdy miałem nostalgiczny dzień i rozmyślałem o swoim życiu, zastanawiałem się, co w zasadzie znaczy rodzina? I nie potrafiłem sobie na to pytanie udzielić odpowiedzi. Różne obrazy, jak w atrakcyjnym filmie, przewijały się przez moją pamięć. I chyba z tego powodu nigdy nie napiszę własnej biografii. Natomiast nad „biomorphonem”, jak nazwałem spisane tu refleksje, będę nadal pracował i starał się go napisać i opublikować. To, co przedstawiam tutaj, jest tylko małą zapowiedzią tego, co zamierzam. Czy mi się to uda, trudno powiedzieć, ale taki mam plan. Aby własne dzieje zrekapitulować, skomentować i rozwinąć w postaci filozoficznego opowiadania – szukam natchnienia. Impulsem jest dla mnie zaproszenie do tego tomu niemiecko-polskich biografii, czy też odwrotnie polsko-niemieckich. W każdym razie chcę sam dla siebie ustalić:

kim jestem,

co wynikało z mojego życia dobrego albo złego,

dłaczego ludzie na ogół klęczą na kolanach i o coś się modlą,

(może dlatego, że to nic nie kosztuje?).

Kończąc swoje wspomnienia, sformułuję to inaczej:

Moje narodziny miały miejsce w domu, jak mi potem opowiedziała mama, ponieważ z powodu śnieżycy i zasp nie dotarła na czas karetka; na szczęście w pobliżu mieszkała akuszerka i przyszedłem na ten świat bez większych problemów. Jej mężem był Gerhard Heckel, który po śmierci swego ojca i matki (która odebrała sobie życie, gdy otrzymała wiadomość o bohaterskiej śmierci swego męża na froncie wschodnim) wychowywał się od szóstego roku życia u swego wujka w Hainichen. Nie wzięto go do Wehrmachtu, ponieważ był maszynistą kolejowym. Gerhard studiował architekturę, zmarł jednak młodo na raka, gdy mój brat Michael miał zaledwie 5 lat.

W 1668 r. po raz pierwszy ukazał się „Simplicissimus”, w którym Grimmelshausen opisał, jak ludzie zmieniają się w warunkach wojny – wtedy 30-letniej – i jak bardzo ulegają złu, i ja po latach sięgnąłem po tę lekturę i zadaję sobie pytanie: co się od tego czasu zmieniło w Europie? Czy kiedykolwiek ludzie staną się lepsi? Chciałbym, abyśmy wszyscy wierzyli, że już nigdy nie podzielił nas wojny, religie, gwałty, dominacja jednych nad drugimi...

(Przełożył Karol Czejjarek)

Radjo Monk, ma 55 lat, mieszka i pracuje w Lipsku. Od 1998 r. żonaty ze znaną artystką malarką Edith Tar, z którą współpracuje od 1987 r. Jest nie tylko pisarzem, ale także realizatorem różnych – wspólnie z żoną – projektów artystycznych. Mają dwóch synów. Radjo Monk jest absolwentem Wyższej Szkoły Grafiki i Sztuki Książkowej. Od roku 1993 pracował jako stypendysta miasta Monachium w Międzynarodowej Galerii Sztuki „Villa Waldbetha” w Feldafing. Współpracuje od lat z pracownią rzeźby monumentalnej „Hoefgen” w Saksonii. Wspólnie z Edith Tar i dwoma moskiewskimi artystami utworzyli Grupę Artystyczną o nazwie „FRELYNA IMPERATRITZE”, podejmującą międzynarodowe realizacje artystyczne. Aktualnie pisze biografię Hansa-Jürgena Müllera (1936–2009), założyciela Parku Sztuki „Mariposa”. Radjo Monk jest autorem kilku tomików poetyckich, powieści i sztuk teatralnych (tłumaczonych również m.in. na język polski). Jego książki i publikacje ilustrowane są w większości grafiką Edit Tar. Do roku 1989 jego utwory ukazywały się pod nazwiskiem Christian Heckel. Jest autorem wielu artykułów i wystaw artystycznych organizowanych wspólnie z żoną. Lubi uprawiać pieszą turystykę, szczególnie uwielbia spacerować po lesie. Kocha muzykę.

WOLFGANG NICHT

Moje życie jest dualizmem...

Pochodzenie i dzieciństwo

Moje dzieciństwo nacechowane jest tym, że zawsze byłem otoczony rodziną. Dorastałem w stolarni, która należała najpierw do dziadka, a później do mojego ojca. Rodzice zawsze byli zajęci w domu, w warsztacie bądź w przynależnym do niego sklepie. Moja rodzinna miejscowość liczyła wówczas około 3000 mieszkańców. Istotne jest to, że zawsze była miejscem centralnym dla okolicznych wsi zamieszkałych przez chłopów. Mieszkańcy Altdöbern nie chcą być uważani za wieśniaków, chętnie podkreślają, iż miejscowość miała lokację „miejsca targowego”, ale miastem nie jest.

Moje dzieciństwo to przede wszystkim wspólne zabawy z moimi braćmi – dwoma starszymi i jednym młodszym. Ogród i przylegający do niego plac składowania drewna były do tego idealnymi miejscami, choć ojciec niechętnym okiem patrzył, kiedy bawiliśmy się na pokładach drewna, gdyż groziło to wypadkiem.

Wielu krewnych, a ich krąg było szeroki, było chłopami na własnych gospodarstwach w pobliżu nas i dalej, w Szprewaldzie.

Mój dziadek ze strony matki pochodzi z Sonnenwalde. Jest to dzisiaj mało znacząca miejscowość w powiecie Elbe-Elster. Pradziadek był tam robotnikiem dniówkowym i owczarzem w majątku hrabiego Solmsa. W XIX w. Sonnenwalde i Finsterwalde były miejscowościami mniej więcej równymi pod względem wielkości. Kiedy w ramach uprzemysłowienia miała być zbudowana linia kolejowa łącząca Chociebuż z Lipskiem, ówczesny hrabia Solms odmówił prawa do jej budowy przez swoje włości. Dlatego linię poprowadzono przez Finsterwalde, dzięki czemu miejscowość przeżyła duży rozkwit gospodarczy i stała się miastem powiatowym. Sonnenwalde jest dziś w Brandenburgii mało komu znane.

Mój ojciec pochodzi z Wilke. Miejscowość ta nazywa się dziś na Dolnym Śląsku Wilka. Urodził się w rodzinie stolarza i „wzenił” w zakład stolarski swego teścia.

W jaki sposób można określić orientację społeczną i polityczną mojej rodziny? Rodzice byli chrześcijanami, mocno zaangażowanymi w działalność lokalnej społeczności kościelnej. Czy był to dom mieszczański, przywiązany do pruskich cnót, a może raczej do protestanckiego etosu pracy? Berlin Zachodni był oddalony tylko o 100 km. Mój dziadek Gustav D. często tam jeździł, RIAS zaś (radio w sektorze amerykańskim Berlina) było dla niego najważniejszą stacją.

Jednak punktem odniesienia wszelkich działań i decyzji było zawsze przedsiębiorstwo. Finansowo raczej nigdy nie powodziło nam się źle, ale pieniądź był czymś, co służyło działalności przedsiębiorstwa. Bogactwo, jako służące życiu i spożyciu, nigdy nie odgrywało roli i takie podejście do niego było nam dzieciom przekazywane przez wychowanie, za co jestem rodzicom wdzięczny. Znaczenie tego czynnika widać w tym, że mój ojciec nie pisał kroniki swego życia, ale w roku 1995 napisał kronikę przedsiębiorstwa, poświęconą przede wszystkim jego najmłodszemu synowi, który kontynuuje prowadzenie firmy.

Okres szkolny i młodość

Kiedy w roku 1951 rozpocząłem naukę w szkole podstawowej w Altdöbern, od zakończenia wojny upłynęło zaledwie sześć lat. A mimo to dla mnie i moich szkolnych kolegów wojna była bardzo odległa, choć jeszcze wiele rzeczy o niej przypominało. Jedna scena zapadła mi na długo w pamięci. Byłem z ojcem w Finsterwalde i staliśmy na moście, gdy w pobliżu przejeżdżał pociąg. Był przepełniony, mężczyźni jechali na stopniach wagonów, wszystkie okna pełne ludzi. Machali do nas, a ojciec, jak i inni przechodnie odwzajemnili z entuzjazmem ten gest. To byli obcy mężczyźni, dlaczego więc tata im machał? Czułem, że coś go z tymi ludźmi łączyło. Zapytałem o to i odpowiedział: „To są repatrianci”. Wtedy niewiele z tego zrozumiałem. Byli to żołnierze, którzy – podobnie jak on – musieli pójść na wojnę. A powrót do domu dopiero teraz mógłby być także moim losem.

We wszystkich większych miastach ulice zagrodzone były zaporami, a w domach mieszkali żołnierze Armii Radzieckiej. A poza tym istniały jeszcze komendantury, nawet w tak małych miejscowościach, jak Altdöbern.

8 maja 1945 r., dzień wyzwolenia. Czym on był dla moich rodziców? Mama nie mówiła o wyzwoleniu, nazywało się to *Umschwung* (nagła zmiana), *Umbruch* (przełom). Niekiedy mówiło się *Zusammenbruch* (załamanie). [Ale czy to nas dzisiaj dziwi? Zamiast mówić o *naszej rewolucji*, wydarzenia

lat 1989/90 nazywa się mianem *Wende* (przełomu). I dawno zapomniano, iż to Komitet Centralny SED zapowiedział przełom w pełnym znaczeniu tego słowa].

Gdy myślę o latach 50., przypominam sobie różne szykany – także wobec naszej rodziny. Obowiązywał zakaz wychodzenia z domów i zakaz zgromadzeń. W mojej miejscowości były liczne aresztowania rzemieślników i kupców. Najpierw aresztowano Herberta R., właściciela fabryki wyrobów spirytusowych R. & Syn. Był on członkiem synodu Kościoła ewangelickiego, a więc nie bardzo pasował do „nowego” społeczeństwa. Właściciel tartaku B. także został „zabrany”, podobnie jak przedsiębiorca budowlany P. i handlujący węglem F. Następnymi w kolejności mogli być mój dziadek i ojciec.

Wiosną 1953 r. mój najstarszy brat uczęszczał do szkoły w Altdöbern. W jednej z akcji, zorganizowanej przez władzę przeciwko młodzieży ewangelickiej (uważana była za poplecznika amerykańskich tajnych służb), został wydalony ze szkoły (po 17 czerwca i zmianie kursu politycznego SED został nawet poproszony o powrót do szkoły, jednak zakończył w niej edukację w 10. klasie).

W 1953 r. miały miejsce co najmniej dwa przypadki profanacji kościołów. Jednym z nich było rzucenie kałamarzem wypełnionym atramentem w mozaikę Jezusa nad wejściem do kościoła ewangelickiego. W tym samym czasie wyrwano drewniany krzyż z wizerunkiem Maryi w parku nieopodal zamku i wrzucono do pobliskiego stawu solnego. Obraz Maryi powstał z inicjatywy sióstr zakonnych, prowadzących w zamku sierociniec i dom starców. Oba przypadki profanacji nigdy nie zostały oficjalnie zbadane i wyjaśnione.

Jako dziecko byłem świadkiem szykan wobec zakładu stolarskiego. Rzemieślnicy byli potrzebni, a mimo to utrudniano im życie, jak tylko to było możliwe, np. przy przydziałach materiałów czy też w stosowaniu prawa podatkowego i gospodarczego.

W końcu lat 50. szkoła w Altdöbern została zamknięta, a w jej budynku ulokowano Instytut Kształcenia Nauczycieli. Dla mieszkańców oznaczało to zaostrenie sytuacji w sferze ideologicznej (notabene – mieszkańcy jako sprawców obu profanacji kościołów podejrzewali osoby związane z tą instytucją). Studenci Instytutu jeździli na akcje żniwne wozami, na których umieszczane były napisy o treści: „Zbierzemy plony bez Boga i słońca”. Musieli także uczestniczyć w szkoleniach obronnych. Młodzi ludzie obojga płci maszerowali przez miasto z wiatrówkami lub karabinami małokalibrowymi, do dawnej strzelnicy. Przedtem te rozpadające się stanowiska strzeleckie były symbolem nazistowskiego militarizmu. Ludzie byli oburzeni, patrząc zwłaszcza na uzbrojone kobiety.

W tamtych latach wprowadzono także święto pasowania na dorosłego (*Jugendweihe*), będące świadomym atakiem na konfirmację. Altdöbern zdecydowanie przodowało pod względem liczby osób uczestniczących w tym święcie, co wynikało z udziału w nim wielu studentów wspomnianego Instytutu Kształcenia Nauczycieli. Ale oczywiście w Altdöbern zwiększyła się też liczba wykładowców, co oznaczało także zmianę w strukturze społecznej miejscowości.

Moi rodzice, a zwłaszcza ojciec, usiłowali nam wpoić, iż nie należy się angażować politycznie, ale też nie należy wyróżniać się negatywnie. Dopiero później dowiedziałem się, że ojciec był członkiem NSDAP. W albumie rodzinnym było małe zdjęcie przedstawiające go w partyjnym mundurze. W latach 30. był z dużą grupą mieszkańców Altdöbern w Norymberdze. Dzisiaj wiem, że pojechali na zjazd partii. Często słuchałem opowieści o tym, jak powracający z niewoli wojennej ojciec musiał zaopatrzyć się w gminie w świadectwo denacyfikacyjne. Dlaczego to musiał zrobić, wtedy nie wiedziałem i bliżej nie interesowałem się tym.

W ogóle niewiele mówiło się o latach 1933–1945, a w NRD było to rzeczą wręcz niepożądaną. Jeńcy wojenni w Związku Radzieckim? Czegoś takiego nie było. Żołnierze uczestniczący w zbrodniach wojennych? Ci byli tylko w Niemczech Zachodnich.

Jako członek partii hitlerowskiej mój ojciec był tak bierny, że nie poniósł żadnych z tego tytułu konsekwencji. I właśnie z takiej postawy wynikała jego rada: trzymać się z daleka od polityki i nie rzucać się w oczy. Jednakże osobiście taką postawę zacząłem kwestionować co najmniej od czasów mojej nauki w szkole.

Serbołużyckie korzenie? Związki z Polską?

Jak już wspomniałem, mój ojciec pochodzi z obecnie polskiej części Dolnego Śląska, z Wilke (obecnie Wilka, powiat zgorzelecki – przyp. tłum.). Co to dla mnie oznacza? Wilka była dla mnie miejscem abstrakcyjnym. W pokoju dziennym wisiała mała akwarela przedstawiająca dom mieszkalny i warsztat stolarski. Nigdy w mojej rodzinie nie usłyszałem: „To nam zabrali Polacy”. Mój wuj i mój dziadek przybyli z Polski około roku 1946. Przedtem pracowali w swej stolarni na potrzeby polskich przedsiębiorstw górniczych i kolejowych.

Dlaczego w zbiorach filatelistycznych gromadzonych przez nas – uczniów – było tak wiele znaczków polskich (i czeskich), nie było przedmiotem naszych dociekań.

Niekiedy odwiedzało się też rodziny, z którymi nie było się spokrewnionym. Byli to sąsiedzi sprzed wojny, wypędzeni lub wysiedleni. Ale w rozmowach nie słyszało się ani oskarżeń, ani myśli o rewanżu.

Altdöbern położone jest na obszarze osadnictwa Dolnołużyczan. Sama miejscowość nie była pierwotnie osadą Serbów łużyckich. Moja babka używała określeń *polnische Wirtschaft* (oznaczające nieporządek w naszych pokojach dziecięcych) i *wend'sche Matka* (które to określenie oznaczało raczej niechlujną kobietę). Ona sama miała niekiedy w swym słownictwie wstawki serbskie, np. chrust sosnowy nazywała *Kunschakken*, różne rośliny nazywała po serbołużycku (np. *Gullenka*). Ale sama wyraźnie odcinała się od związków z Serbami.

Do naszych krewnych należało także kilku chłopów w Szprewaldzie. Mam tu na myśli przede wszystkim rodzinę L. w Boblitz. W ich gospodarstwie nosiło się serbski strój ludowy, a na uroczystości rodzinne, jak np. na złote wesele moich dziadków, zakładano odświętne stroje serbskie.

Szkoła średnia w Calau w latach 1959–1963

Moje wyniki szkolne stale poprawiały się od 1. do 8. klasy. I dlatego mogłem ubiegać się o przyjęcie do poszerzonej szkoły średniej (*Erweiterte Oberschule*, EOS), jak nazywało się w NRD gimnazjum (odpowiednik polskiego liceum – przyp. tłum.). W lipcu 1959 r. wszyscy moi koledzy otrzymali odpowiednie powiadomienia o przyjęciu do szkoły w rozpoczynającym się 1 września nowym roku szkolnym. Tylko ja takiego powiadomienia nie otrzymałem. Nic dziwnego, ponieważ mimo usilnej agitacji, nie poszedłem na „socjalistyczne pasowanie na dorosłego”. A ponadto uważany byłem za „dziecko kapitalisty”, chociaż mój ojciec, z punktu widzenia prawa socjalnego, był tylko robotnikiem, ale zatrudnionym u swego teścia. Jednak w ostatnim tygodniu wakacji otrzymałem zawiadomienie o przyjęciu do EOS.

Cztery lata poszerzonej szkoły średniej oraz życie w internacie wspominam na ogół dobrze. Na ten okres przypada wyjątkowo silna agitacja, aby odbyć „dobrowolną” służbę wojskową, oraz kampania na rzecz tworzenia rolniczych spółdzielni produkcyjnych (w trakcie której byliśmy w nią włączeni jako agitatorzy). Miała również miejsce wielka ofensywa ideologiczna po zbudowaniu „antyfaszystowskiego wału ochronnego”, którym to pojęciem wolno było nazywać mur berliński. W 10. klasie zacząłem pisać pamiętnik. Z pewnością jestem nieregularnym piszącym, ale dzienniki z tomów I–XXXVII są dla mnie ważnym zbiorem materiałów z tych „arcyciekawych czasów”.

Okres pobytu w szkole w Calau zakończyłem maturą, której wyniki były lepsze niż oczekiwałem.

Dwa piękne lata w Görlitz: Spotkanie z Polską

Mój zamiar podjęcia studiów na Uniwersytecie Technicznym w Dreźnie udaremnił powiatowy radca szkolny. Moje zgłoszenie po prostu nie zostało przez niego przekazane dalej. Nie słyszałem przedtem o podobnym przypadku.

Dlatego zdecydowałem się na przeniesienie do Görlitz, by tam wyuczyć się zawodu kelnera. Koledzy twierdzili wówczas, iż z uwagi na moją znajomość języków – angielskiego, rosyjskiego i (częściowo) francuskiego, mógłbym obsługiwać cudzoziemców. A byli nimi w większości polscy turyści. Wziąłem zatem do ręki podręcznik i zacząłem samodzielnie uczyć się „polskiego dla kelnerów”: *jadłospis, rachunek, wszystko razem?* ...

W tamtych czasach na wyjazd do Polski trzeba było mieć zezwolenie właściwej jednostki policji, które udzielane było zazwyczaj tylko raz w roku. Wielu polskich gości przyjeżdżało do NRD grupowo z biurem podróży Orbis. W NRD ludzie przewyżczali akurat szok po budowie berlińskiego muru w latach 1961–1962. Polska sztuka i kultura były w Görlitz obecne dość wyraźnie. Pierwsze płyty gramofonowe, które zakupiłem, zawierały polską muzykę jazzową, a sprzedawane były w ramach Dni Kultury Polskiej w miejscowym domu towarowym. Poza tym mieliśmy tu bardzo postępowy klub filmowy, w którego programie dominowały współczesne filmy z Polski i Czechosłowacji. Bardziej do oglądania, a także, aby przeczytać podpisy pod zdjęciami, kupowałem „Film”, „Ekran” lub „Panoramę Północy”. Również czasopismo „Polska” bądź jego wersję niemiecką „Polen”, w którym było wiele materiałów dotyczących polskiej sztuki.

W październiku 1964 r. pojechałem po raz pierwszy do Polski. Z rodzicami wykupiliśmy przez biuro podróży wycieczkę i pojechalismy prywatnym samochodem w Karkonosze. Nocleg mieliśmy zarezerwowany w hotelu „Nad Zaporą”, niedaleko Jeleniej Góry. W drodze „tam” wstąpiliśmy najpierw do Zawidowa i Wilki. Ojciec chciał zobaczyć swój rodzinny dom. Ale zanim tam dotarliśmy, znaleźliśmy się na posterunku milicji w Zawidowie. Doniósł na nas jakiś „drogowiec”, jakoby fotografowaliśmy granicę. Najpierw milicja musiała znaleźć kogoś, kto by znał język niemiecki, a później wskazał, kto miałby robić te zdjęcia. Milicja zachowywała się bardzo oględnie, sprawdziła paszporty, a następnie zwolniła nas po uprzednim pouczeniu.

W Wilce przyjęto nas bardzo serdecznie. Młoda kobieta, Teresa, nieźle znała niemiecki i pełniła rolę tłumaczki. Na moje pytanie, gdzie nauczyła się języka, jej odpowiedź była dla mnie ciosem: w Dachau! Tam nauczyła się

języka niemieckiego, będąc na przymusowych robotach. Kontakty z Władysławem i Teresą utrzymywaliśmy do końca ich życia.

Uniwersytet i rok 1968

Od 1965 do 1972 studiowałem matematykę, studia zaś ukończyłem promocją doktorską. Należałem do nielicznych studentów, którzy studiowali nie bezpośrednio po maturze i dlatego byłem starszy od moich kolegów. Jako jeden z niewielu nie byłem członkiem socjalistycznego związku młodzieży FDJ.

Bardzo szybko zrozumiałem, że szkoła wyższa była czymś innym niż rzeczywistość poza jej murami. Ideologia i zachowanie zgodne z oczekiwaniami państwa odgrywało tu podstawową rolę, podczas gdy w ciągu dwóch lat mojej pracy zawodowej na pierwszym planie była dobrze wykonywana praca.

W tym czasie działałem także w Ewangelickiej Wspólnocie Studenckiej. W roku 1972 uzyskałem doktorat na podstawie rozprawy dotyczącej teorii automatów stochastycznych. Uzyskanie go w 14. semestrze studiów wyższych było dużym osiągnięciem. Niemniej dziś, np. w porównaniu z życiorysami innych emerytów, uchodzę za leniwego studenta, gdyż od 9. do 14. semestru miałem status doktoranta i pod względem ubezpieczenia społecznego traktowany byłem jak student. Obecnie w porównaniu z moimi zachodnioniemieckimi kolegami, którzy robili doktoraty jako asystenci, czuję się pokrzywdzony, ponieważ oni uważani byli za pracowników.

Na okres moich studiów przypada także rok 1968. Dla mnie nie wiąże się on z niepokojami studenckimi w Paryżu i wydarzeniami we Frankfurcie nad Menem czy w Berlinie Zachodnim. 1968 – to rok Praskiej Wiosny. Wówczas można było w każdej chwili pojechać do Pragi i samemu przeżyć tamte wydarzenia. Odpowiednie teksty na ten temat, jak np. „Manifest 2000 słów”, powszechnie krążyły także wśród studentów.

Ale przede wszystkim chciałbym wspomnieć o zredagowanym przez Eduarda Goldstückera tomie protokołów poświęconych konferencji naukowej na temat Franza Kafki w roku 1963. Książki tej nie można było w NRD kupić, a jej przeczytanie było prawie niemożliwe. Dzięki zaprzyjaźnionej bibliotekarce (z miejskiej biblioteki) miałem niekiedy dostęp także do książek z „zatrutą literaturą” (*Giftschrank*). Tak nazywano tę część zbiorów bibliotek publicznych, które nie były dopuszczone do powszechnego wypożyczania. Wspomniany tom protokołów był zresztą zbiorem artykułów literaturoznawczych. Dla nas było rzeczą nową i fascynującą dostrzeżenie związku między utworami Kafki i ich opracowaniami a nieprawidłowościami społecznymi w XX w. Literatura Kafki, jako antycypacja stalinowskiego

systemu gułagów, była dla mnie odkryciem. Kiedy czytaliśmy tę książkę, dyskutowaliśmy o niej nie przeczuwając, iż miała być jednym ze źródeł próby „demokratyzacji socjalizmu”.

Drugą ważną książką była broszura wydana w małym formacie, podobnym do publikacji Wydawnictwa Reclam. Książkę tę przechowywałem zawsze w kopercie na listy. Od częstego czytania była tak zniszczona, że rozpadała się na poszczególne kartki. Żaden inny egzemplarz nie był czytany przez tak wielu ludzi. W książce tej, której niemiecki tytuł brzmiał *Ich gestehe* (tytuł oryginalny: *L'aveu, Dans l'engrenage du procès de Prague* – przyp. tłum.), Arthur London, dziennikarz i członek francuskiej partii komunistycznej, opisuje proces Rudolfa Slanský'ego. Ów pokazowy proces, wytoczony przywódcom ruchu komunistycznego w Czechach, Morawach i na Słowacji przeżyło tylko trzech ludzi, a wśród nich – Arthur London. Książka ukazała w szczegółach funkcjonowanie stalinowskiego terroru. Czytanie praskiego tekstu Londona umożliwiło nam wówczas zrozumienie przeprowadzonych czystek w Związku Radzieckim i uświadomiło znaczenie enerdowskiego sądownictwa kierowanego przez komunistyczną partię.

Trzecią książką jest autobiografia Ludvíka Svobody zatytułowana *Von Busuluk bis Prag* (tytuł polski: *Od Buzułuku do Pragi* – przyp. tłum.). Buzułuk – to miejscowość w Związku Radzieckim, gdzie formowane były czeskie oddziały, uczestniczące następnie (jako część Armii Czerwonej) w II wojnie światowej w marszu aż do Pragi. Książka ta, wydana w 1963 r. w Pradze, a w 1967r. w Berlinie, poświęcona jest przede wszystkim kwestii, czy armia czechosłowacka mogła przeciwstawić się zbrojni Hitlerowi. Kwestia ta stała się oczywiście bardzo aktualna wczesnym latem 1968 r. Czy można było sobie wyobrazić sytuację, by armia czechosłowacka obroniła zmiany zachodzące w państwie przed komunistycznymi „braćmi”?

Rok 1968 był także rokiem, w którym spory o cybernetykę w wyższych uczelniach NRD osiągnęły apogeum. Stało się rzeczą znaczącą, a dla ideologów SED także niepokojącą, iż można było nagle interpretować społeczeństwo nie tylko jako walkę klas, ale także za pomocą kategorii używanych w teorii systemów.

Był to także rok, w którym w Polsce studenci zażądali więcej duchowej wolności, na który to postulat władze zareagowały silnymi antysemickimi represjami. Wtedy to z Polski wyjechała połowa zamieszkującej kraj ludności żydowskiej.

Dla mieszkańców Drezna Praga leży jak gdyby „tuż za drzwiami”. Studenci bardzo licznie do niej podróżowali, a „Manifest 2000 słów” przekazywali sobie w formie fotokopii opatrzonej dla zmylenia władz tytułem z jakiejś enerdowskiej gazety, informującym o wykonaniu planu produkcji

w gospodarstwach rolnych. Przypominam sobie także epizod, gdy pewien zaprzyjaźniony student powracający do NRD, zapytany przez celnika, czy przewozi „Tysiąc słów”, odpowiedział w stylu wojaka Szwejka: „znam co najwyżej pięć czeskich słówek”.

Nerwowość, obawa SED o utrzymanie przywództwa i jej monopolu na kształtowanie opinii publicznej były wszędzie odczuwalne. Czasopismo „Das Forum” zawiesiło w tym czasie działalność. Od 1 maja przeprowadzano wzmożone kontrole w akademikach Uniwersytetu Technicznego, zwiększyła się też częstotliwość i intensywność zebrań partyjnych i organizacji FDJ.

Ważnym miejscem do dyskusji wśród studentów był klub studencki *Bärenzwinger*. Zarządzali nim w większości studenci architektury, czyli tzw. artyści. Tu raz po raz krążyły sprawozdania z Pragi, pojawiali się przy okazji także czescy studenci odwiedzający akurat Drezno. To było dla władz uczelni wystarczającym powodem do zamknięcia klubu „ze względów bezpieczeństwa budowlanego” (kilka miesięcy później klub ponownie otworzono jako placówkę FDJ całego Uniwersytetu Technicznego pod egidą tej organizacji).

Mój młodszy brat pełnił wówczas służbę wojskową jako żołnierz Narodowej Armii Ludowej. Od czerwca 1968 r. otrzymał przydział do wojsk interwencyjnych w CSRS. Obowiązywało prawo wojenne, wojska były uzbrojone w broń i ostrą amunicję. Nie było dostępu do żadnych informacji. Radia tranzystorowe zostały zarekwirowane, nie było w wojsku enerdowskich gazet i dostępu do telewizji. Ukazywała się tylko jedna gazeta, drukowana specjalnie dla żołnierzy. Mój brat dowiadywał się o sytuacji tylko przez okazjonalne kontakty z cywilami w Górnych Łużycach. Aby poprawić nastroje wśród młodych mężczyzn, pokazywano im niedubbingowane szwedzkie filmy pornograficzne.

Przygotowań zbrojnych nie sposób było nie zauważyć także w okręgu drezdeńskim. Latem, na dworcu w Radebeul, stały wojskowe pociągi szpitalne. Nie widziałem nigdy wcześniej tego rodzaju pociągów, oznakowanych dla samolotów dużymi znakami czerwonego krzyża. Ogromna baza ciężarówek na Hellerze (teren dawnego lotniska w Dreźnie – przyp. tłum.) była wypełniona do ostatniego miejsca; spośród tego materiału w przeciągu drugiego półrocza wykorzystano najwyżej 20% środków, tak wielkie były rezerwy materialne przygotowane na tę „wojnę”.

21 sierpnia 1968 r. byłem na praktyce w jednym z przemysłowych instytutów badawczych w Karl-Marx-Stadt, dzisiejszym Chemnitz. Gdy poszliśmy tego dnia do pracy, koledzy skarżyli się, że się nie wyspali. Pododdziały transportowe przelatywały nad miastem i dalej nad Rudawami aż do Pragi i na inne lotniska.

W czasie praktyk mieszkalem w mieszkaniu mojej ciotki. W lokalu tym zamieszkiwała równocześnie rodzina policjanta. Mężczyzna ten był od 20 sierpnia skoszarowany w powiatowym urzędzie Policji Ludowej, a jego żona nie miała żadnych informacji o nim. Zapytała mnie, co się mówi w wiadomościach stacji zachodnich. Obawiała się o swego męża, sama jednak bała się słuchać zachodniego radia. Cóż to było za państwo, w którym było możliwe coś tak absurdałnego?

Nie przypominam sobie, by pracownicy Instytutu Badawczego dyskutowali o CSRS czy też o wkroczeniu wojsk do tego kraju. O 12.30 ukazało się wydanie specjalne gazety „Freie Presse”. Redakcja pisma mieściła się dokładnie naprzeciw Instytutu, więc mogłem zaopatrzyć się w egzemplarz gazety z pierwszego wyłożonego do sprzedaży stosu. Czy trzeba było czytać te doniesienia specjalne? Co naprawdę się działo i jakie były cele, było dla wszystkich jasne. To, co mówiono oficjalnie albo co było przemilczane, jakie uzasadnienia przekazywano – było jak najbardziej istotne i interesujące.

Jedynym bezradnym gestem, jakim zareagowałem osobiście na tę inwazję, było to, że do przedniej szyby auta z czeską rejestracją, zaparkowanego w Karl-Marx-Stadt, przykleiłem różę. Jestem przekonany, że czescy obywatele, przypuszczalnie turyści, którzy nie wiedzieli, w jaki sposób wrócić do kraju, zrozumieli ten gest zgodnie z moim zamiarem.

W tym miejscu chciałbym przemyśleć pewną kwestię szczególną. Twierdzi się, iż wojska Narodowej Armii Ludowej (NVA – *Nationale Volksarmee*) wkroczyły do Czech. Niekiedy mówi się nawet o enerdowskich pododdziałach w Pradze. Myślę, że wokół tej kwestii powstała w międzyczasie legenda.

Prawdą jest, że oddziały NVA uczestniczyły w akcji zbrojnej. Oficerowie rozpoznania i innych służb wojskowych oraz bezpieczeństwa, znający język czeski, oraz oficerowie łącznikowi byli przy oddziałach radzieckich w Czechach i na Morawach. Oddziały NVA dyslokowane były jednak w masywie górskim Rudaw po stronie enerdowskiej. Fotoreportaż w prasie NRD ukazujące „akcję pomocy” bratnich armii zawierały obrazy z polskiego obozu polowego. Zaś na defiladę wojsk, zorganizowaną w Czechach, przywieziono małą grupę żołnierzy NVA radzieckimi samolotami wojskowymi.

Narodowa Armia Ludowa, armia mojego państwa, napadła na sąsiedni kraj! Było to złamanie prawa międzynarodowego, zanegowanie wzniosłych proletariackich zasad. Czy ta inwazja obciąża nasze sumienie? Czy wszyscy czuliśmy się i czy ja czułem się moralnie współwinny? Chciałbym na te pytania odpowiedzieć zdecydowanie przecząco: lufy czołgów na placu Wacława (w Pradze – przyp. tłum.) skierowane były przeciwko Komitetowi Centralnemu Komunistycznej Partii Czechosłowacji przeciwko praskim intelektualistom, robotnikom, pracownikom umysłowym i chłopom CSRS;

lufy tych czołgów skierowane były też przeciwko mężczyznom i kobietom w NRD, w Polsce i na Węgrzech, którzy tęsknili za wolnością bądź przeciwstawiali się jedynowładztwu partii komunistycznej. Czuliśmy się nie jako sprawcy, lecz jako ofiary. To uczucie dominowało również wśród młodych żołnierzy, ukrytych gdzieś w lasach dolnołużyckich. I niejeden Czech postrzegał to tak samo.

W tygodniach po inwazji opowiadano sobie mnóstwo politycznych dowcipów. Uważam to za szczególnie godne uwagi, gdyż jest rzeczą osobliwą, kiedy dowcipy powstają, a kiedy ich nie ma. Pamiętam również, jak w lecie i jesienią 1989 r. w czasie masowych ucieczek z NRD istniało wiele dobrych dowcipów politycznych.

Rok 1968 był także rokiem protestów przeciwko wojnie Stanów Zjednoczonych w Wietnamie. Ten temat jednak nagle całkowicie pominięto w mediach NRD. „Jankesi precz z Wietnamu” i „Zakończcie agresję przeciwko bratniemu narodowi wietnamskiemu” – w czasie jednej z demonstracji w Berlinie Wschodnim i takie hasła się pojawiały – były naturalnie w tych tygodniach i miesiącach za każdym razem pomyślane i rozumiane jako wypowiedzi związane z Czechosłowacją i armią NRD.

Jesienią odbyła się w Dreźnie „defilada zwycięstwa”: ludzie pracy socjalistycznej NRD przywitali wojska radzieckie i ernerdowskie, które „pomogły” narodowi czeskiemu. Taki był główny ton gazety partyjnej „Neues Deutschland”. W ramach przygotowań do tej defilady odbyły się w dwie noce (na wydzielonych odcinkach trasy) ćwiczenia jednostek zmotoryzowanych. Drugiej nocy tej próbnej defilady na bruk i czołgi poleciały butelki po piwie. Czy był to wyraz protestu przeciwko akcji zbrojnej w Czechosłowacji, czy też przeciwko zakłócaniu ciszy nocnej, jest sprawą niewyjaśnioną. Organa bezpieczeństwa NRD były jednak tym protestem całkowicie zaskoczone. Kiedy nieco później przeczesywały akademik, jego mieszkańcy, którzy mogli mieć z tym coś wspólnego, nadal jeszcze byli w knajpach. To także tylko pewien epizod z roku 1968.

Lata 80.

Od roku 1972 byłem pracownikiem Akademii Nauk. W moim Instytucie Badawczym zatrudnieni byli przede wszystkim chemicy, technicy odzieżowi i fizycy. Byłem jedynym matematykiem, który prowadził badania naukowe. W ten sposób byłem włączony w prace różnych grup i tematów roboczych.

W tymże Instytucie przez dwie kadencje, czyli przez cztery lata, byłem także członkiem kierownictwa organizacji związkowej (BGL – *Betriebsgewerkschaftsleitung*). Zostałem od razu zastępcą przewodniczącego, a prze-

wodniczącym lub przewodniczącymi byli za każdym razem oczywiście członkowie partii SED. Sam narzuciłem sobie, by nie być działaczem przez okres dłuższy niż cztery lata, ponieważ z biegiem czasu narasta groźba, iż działa się coraz bardziej nie po myśli koleżanek i kolegów, ale kierownictwa. Przedtem byłem członkiem komisji do spraw rozwiązywania konfliktów. W tym przypadku było to gremium złożone z członków pracujących społecznie, będące pierwszą instancją w sprawach spornych związanych z prawem pracy. Nota bene – w tych komisjach wszędzie działało dużo chrześcijan.

Zasiadanie przy stole dyrekcji z ramienia związków zawodowych było jak balansowanie na krawędzi. I tak najtrudniejsze bądź najważniejsze decyzje podejmowane były przedtem w gronie kierownictwa partyjnego lub na zebraniu partyjnym SED.

W opisywanym czasie Instytut utrzymywał regularne kontakty z Polską. W latach 60. współpracował naukowo z Instytutem Krajowym Włókien w Poznaniu. Ówczesne tematy badawcze dobiegły końca, ale istniała wymiana miejsc na wczasach zakładowych w każdym z obu krajów. Dlatego często jeździłem do Poznania. Kiedyś pojechałem razem z drugim członkiem kierownictwa organizacji zakładowej. Kolega ten był tajnym współpracownikiem służby bezpieczeństwa Stasi. Później miałem okazję przeczytać w moich aktach „skargę”, że jestem skryty i mało rozmowny (tych ludzi można było intuicyjnie wyczuć!)

Ważne jednak było to, że przy okazji takich wizyt mogłem także dużo rozmawiać z naukowcami o sytuacji politycznej.

Latem 1980 r. patrzyliśmy z wielką fascynacją na Polskę. Zmasowana propaganda antypolska, wspierana komentarzami we wszystkich gazetach, ale także antypolskimi dowcipami, była w szerokich kręgach ludności jako taka postrzegana i odrzucana. Jeżeli trudności zaopatrzeniowe np. w zakresie wyrobów włókienniczych czy odzieży dziecięcej tłumaczono zakupami czynionymi przez Polaków „na zapas” (*Hamsterkäufe*), to powinno się dodać, że Polacy płacili za te zakupy pieniędzmi, które wydali energowscy turyści w czasie swoich „zakupów na zapas” w Polsce.

W roku 1980 mieliśmy do czynienia z sytuacją zupełnie odmienną od tej, która miała miejsce w 1968 r. Wtedy nie można było w NRD kupić żadnych wydawnictw prasowych z CSRS. Dotyczyło to zarówno niemieckojęzycznych gazet (np. „Prager Volkszeitung”, „Im Herzen Europas”) jak i gazet w języku czeskim, natomiast teraz prasę polską można było kupić w NRD w każdej chwili. Dzięki temu mogłem przeczytać o porozumieniach gdańskich i szczecińskich w „Trybunie Ludu”.

Moich kolegów – a bardzo dużo o tym dyskutowaliśmy w czasie przerw śniadaniowych – interesowało kilka kwestii: co się dzieje w Polsce i do cze-

go to może doprowadzić? Czy to samo jest możliwe również w NRD? Co jest u nas innego, a co podobnego? Historia poprzedzająca strajki i niepokoje w Polsce – Poznań 1956, Gdańsk 1970 i Ursus 1976 – była w NRD nieznana.

I tak mogłem moim kolegom i przyjaciółom wyjaśnić istotę 21 żądań strajkujących oraz treść zawartych porozumień. Od tego czasu aż do lat 90. w moim miejscu pracy w Instytucie wisiało zdjęcie z „Panoramy Północy”, przedstawiające gdański pomnik poległych stoczniowców 1970. Zdjęcie pokazywało pomnik w trakcie budowy, dlatego nie można było od razu rozpoznać, co przedstawiało, więc żaden z członków partii nie zwracał na nie uwagi. Natomiast moim przyjaciółom objaśniałem treść ilustracji.

Patrząc wstecz na tamte lata, był to okres naszej rewolucji. Dla mnie rozpoczęła się ona nie od poniedziałkowych demonstracji latem 1989 r. w Lipsku, lecz całkiem „prywatnie” – już w 1983 r. Wtenczas w Dreźnie odbył się Zjazd Kościoła Ewangelickiego (NRD). Jego mottem było: „Odważcie się mieć zaufanie” (*Vertrauen wagen*). Zjazd ten poprzedził przygotowujący go kongres (*Kirchentagskongress*), na którym najliczniejsze grupy robocze zajmowały się tematami społeczno-politycznymi. Chrześcijanie w różnych grupach wiekowych dyskutowali o tym, co znaczy chrześcijańska działalność w naszym świecie, w naszych czasach. Czuło się to, jak wielka była gotowość do angażowania się w przemianę społeczeństwa.

Lata 80. naznaczone były także akcjami pomocy Polsce. Zazwyczaj dużo pisze się o mieszkańcach RFN i często tylko marginalnie i negatywnie o obywatelach NRD. Ale to nie jest cała prawda. Wiele rodzin wykorzystywało swoje prywatne kontakty do wysyłania paczek z pomocą. A kiedy napisałem do polskich pracowników Ośrodka Kultury Polskiej list, w którym zapewniałem ich o mojej solidarności i współczuciu, ryzykowałem więcej niż niejeden obywatel RFN. Mój przyjaciel Franciszek B. z Poznania potwierdził mi później, jak ważny był dla niego i jego przyjaciół ten list. Jednak musiałem tu działać bez rozgłosu, a z tego, co czynilem i pisałem, nie mam żadnych notatek. Człowiek był świadomy tego, że Stasi mogła czytać korespondencję i podsłuchiwać ludzi.

Kiedy byłem służbowo w Polsce (po zniesieniu stanu wojennego), mogłem przeglądać u Ewy K. część biblioteki Solidarności, którą udało się jej w grudniu 1981 r. uratować przed zajęciem przez służby bezpieczeństwa. Czytałem o powstaniu 1956 r. w Poznaniu, jak i o Katyniu oraz strategii „S” 1980/81. To było dla mnie szkołą zmian społecznych w *moim* kraju.

Wiosną 1989 r. doszło do bardzo wyraźnego konfliktu z władzami mojej dzielnicy. Chciano wówczas na południu Drezna zbudować zakłady produ-

kujące silikon w najczystszej postaci. Technologia ma zastosowanie w przemyśle elektronicznym, ale też jest bardzo niebezpieczna (groźba zatrucia i eksplozji), dlatego też w innych krajach podobne zakłady lokuje się z dala od osiedli mieszkaniowych. Mieszkańcy stworzyli ruch protestacyjny, pisząc setki petycji, prowadząc publiczne dyskusje. Wówczas mogliśmy sprawdzić, jak organizuje się takie protesty. Nie widzieliśmy zbyt wielu szans na realizację naszego celu, ale musieliśmy pokazać państwu – to znaczy partii SED, że już nie na wszystko się godzimy. Zniszczenie środowiska w naszym kraju było widoczne gołym okiem. W moim dzienniku znajduję na ten temat, w lutym 1989 r., taką oto myśl, której znaczenie pojąłem dopiero później: „Sytuacja jest tak zła, że nie możemy już pozwolić sobie na strach”. Miałem tu na myśli strach przed Stasi, przed partią. Ludzie czuli wówczas, że coś musi się zmienić.

Regularnie chodziłem do Ośrodka Kultury Polskiej w Berlinie. Tam nawiązałem kiedyś rozmowę z jedną z pracownic. W czasie jednej z wizyt w ośrodku pożyczyłem tej pani teczkę z materiałami informacyjnymi z serii „kirche nebenan” (kościół w pobliżu). Materiały te wydawane były w Berlinie Wschodnim z dekretem: „Tylko do wewnętrznego użytku Kościoła”. W momencie, gdy pracownica ośrodka chciała mi zwrócić teczkę, zauważyłem, iż wszystkie kartki były z niej powyrywane. To wskazywało jednoznacznie, że jakiś współpracownik Stasi miał do nich dostęp i świadomie zostawił ślad swej działalności. Mieliśmy to wiedzieć i bać się.

Latem 1989 r. byłem, w związku z przygotowaniami do Zjazdu Kościoła Ewangelickiego w Berlinie, na naradzie w wąskim kręgu w gabinecie księdza Rainera Eppelmanna. Kilka miesięcy później dowiedziałem się z radia Deutschlandfunk, że w tymże gabinecie odkryto aparaturę podsłuchową. Było to dla mnie swego rodzaju wybawieniem: skoro już teraz się mnie podsłuchuje, nie muszę już tak bardzo ukrywać się.

Ostatnią podróż do Polski, jako obywatel NRD, odbyłem w maju 1989 r. Wówczas przez tydzień uczestniczyłem w seminarium zorganizowanym przez Międzynarodowe Centrum Matematyczne im. Stefana Banacha w Warszawie. Był to okres kampanii wyborczej do Sejmu, w którym PZPR w trakcie obrad okrągłego stołu zapewniła sobie jeszcze 65% miejsc, ale opozycyjna Solidarność wywalczyła wszystkie pozostałe. Byłem w głównej siedzibie kampanii wyborczej w chwili, gdy akurat wyekspediowano paczkę z pierwszym wydaniem „Gazety Wyborczej”. To, że dostałem drugi egzemplarz z tej paczki, było dla mnie czymś szczególnym! Przekazałem wówczas także datkę na akcję wyborczą „Solidarność”.

Zaś na Uniwersytecie Warszawskim wziąłem udział w demonstracji przeciwko zaostrzeniu prawa do aborcji. Sam temat mnie nie interesował,

ale badałem wówczas dokładnie, w jaki sposób była organizowana demonstracja i jaki miała przebieg.

Podróż ta zakończyła się w Görlitz czterogodzinnym przesłuchaniem. Powszechnie obowiązywała zasada, że podróżni z wizą na wyjazdy służbowe nie byli kontrolowani. Dlaczego więc zwrócono uwagę na mnie? Czy rzuciłem się w oczy w Warszawie jakiemuś siepaczowi ze Stasi? Pokwitowanie złożenia datku na „S”, obszerna literatura dotycząca „S”, wiersze Czesława Miłosza (2 tomy po polsku) – to wszystko było podejrzane. Do dziś nieprzyjemnie wspominam czekanie i „rozmowy” w zimnym pomieszczeniu, byłem przy tym zmęczony długą podróżą pociągiem. Ale to doświadczenie „wyostrzyło” moje spojrzenie na moje państwo w końcówce lat 80.

Patrząc wstecz na lata 1989–1990, odczuwam dumę: zrobiłem to, co powinienem. Należę do zwycięzców rewolucji, ale tymi, którzy na niej zyskali, są inni. Jeżeli jestem pewien swojej oceny, mówiąc o dumie, to wynika ona z tego, że w moich dziennikach można przeczytać o tym, co wówczas myślałem, co czyniłem, komu pomagałem.

Działalność w sferze edukacji politycznej na rzecz związków zawodowych

Tak, jak dla wielu obywateli Niemiec Wschodnich, tak i dla mnie lata 1990–1991 związane były z wielkimi zmianami w życiu zawodowym. Zdecydowałem się złożyć wypowiedzenie w Akademii Nauk i rozpocząć pracę w organizacji związkowej. Wiele osób nie rozumiało mojej decyzji. Jak można dobrowolnie zrezygnować w tak niepewnych czasach z bezpiecznego zatrudnienia? Czy matematyka nie jest czymś pięknym? Przyjaciele, z którymi w owych latach angażowałem się politycznie, utwierdzili mnie co do słuszności podjętej decyzji. Tkwiła w niej także odrobina idealizmu: nie chciałem, by nowe związki zawodowe pod szyldem DGB (*Deutscher Gewerkschaftsbund*, Zachodnioniemiecka Centrala Związków Zawodowych – przyp. tłum.) były naznaczone przez dawnych działaczy enerdownskich związków centrali FDGB (przykłady takich działań widoczne były w tamtym czasie).

Działalność na rzecz dobrych stosunków polsko-niemieckich

Jestem zaangażowany w działalność Towarzystwa Niemiecko-Polskiego w Saksonii od chwili, kiedy ono powstało i przez ponad dziesięć lat kiero-

wałem nim także jako przewodniczący. Duże znaczenie dla naszego Towarzystwa mają wielorakie związki z polskimi inicjatywami i towarzystwami. Szczególnie dobrze rozwijają się te relacje z polskimi grupami, szkołami, gminami. Jak dobre są te relacje, świadczy o tym to, że polityczne zawirowania na linii Bruksela–Berlin–Warszawa sprzed kilku lat nie wpłynęły na tę niemiecko-polską działalność.

Dlatego też często mówiłem: dla działalności naszego Towarzystwa polsko-niemieckie relacje są mało interesujące. Ważna jest dla mnie współpraca między Saksonią a Dolnym Śląskiem. Decydujące jest dla mnie to, w jaki sposób mieszkańcy Görlitz i Zgorzelca, Bogatyni i Zittau (Żytawy) odnoszą się do siebie. Dlatego też utrzymujemy intensywne stosunki z Wrocławiem i Zgorzelcem, Łomnicą i Morawą, Jelenią Górą i Bogatynią. Zaś miasta Drezno i Wrocław mogły w ubiegłym roku obchodzić 50-lecie swego partnerstwa.

Towarzystwo Niemiecko-Polskie Saksonia zostało założone w roku 1992. Wówczas na Wschodzie Niemiec nie było tradycji społeczeństwa obywatelskiego. Pełna nazwa naszego Towarzystwa brzmi:

DEUTSCH-POLNISCHE GESELLSCHAFT SACHSEN –
– GESELLSCHAFT FÜR SÄCHSISCH-POLNISCHE
ZUSAMMENARBEIT e. V.

*(NIEMIECKO-POLSKIE TOWARZYSTWO SAKSONII –
– TOWARZYSTWO WSPÓŁPRACY
SAKSOŃSKO-POLSKIEJ T.Z.)*

A jak na to wskazuje nazwa Towarzystwa, ważnym punktem odniesienia jest specyficzna historia sasko-polska. Mam na myśli czasy Fryderyka Augusta I, księcia Saksonii, późniejszego Augusta II, króla Polski i Fryderyka Augusta II, księcia Saksonii, Augusta III, także króla Polski. Można to wyrazić prościej, operując latami 1697–1733 i 1736–1763, czyli okresem panowania Augusta Mocnego i jego syna.

Nasze Towarzystwo i ówczesna jego przewodnicząca Elżbieta Zimmermann zainicjowali wystawę pt. „Unter einer Krone” (Pod jedną koroną), która w roku 1997 zaprezentowana została w warszawskim Zamku Królewskim, a w roku 1998 w zamku drezdeńskim.

Przypominam ponadto o wystawie pt. „Architektura Warszawy doby saskiej i jej dalsze losy”. Pokazywane są na niej planistyczne i architektoniczne osiągnięcia polskich i saskich budowniczych od XVIII w., ale także to, że akcją niszczenia Warszawy w roku 1944 dowodził w sposób szczególny pewien saski inżynier.

Nasze Towarzystwo zorganizowało Kongres Niemiecko-Polski w roku 1996. Związek Federalny zaproponował, aby odbyć kongres w Lipsku, gdzie dysponowano doświadczeniem w organizowaniu dużych imprez, a ponadto istnieje tam silna Polonia i żywe są polskie tradycje. Postanowiliśmy ostatecznie zorganizować konferencję w Görlitz i w Zgorzelcu, ponieważ chcieliśmy pokazać uczestnikom z Polski i z Niemiec, jak się żyje nad Nysą. W 1996 r. Nysa była zewnętrzną granicą UE i NATO, odbywały się kontrole graniczne, a przeliczenia walutowe z PLN na DM i odwrotnie – były dla organizacji niekomercyjnych bardzo trudne. Otwarcie kongresu miało miejsce w niemieckim *Stadttheater* (teatrze miejskim), wspomniały bal kongresowy odbył się zaś w polskim Domu Kultury.

Możemy być dumni z jeszcze jednej rzeczy: Niemiecko-Polskie Towarzystwo Saksonii jest jedynym spośród innych Towarzystw Niemiecko-Polskich czy Towarzystw Polsko-Niemieckich, które wyróżnione zostało przez polski Sejm i przez niemiecki Bundestag Nagrodą Polsko-Niemiecką („*Deutsch-Polnischer Preis*”) w roku 2001.

Nasze Towarzystwo liczy dziś ok. 160 członków, przy czym ich liczba powoli, ale stale rośnie. Nasz zarząd składa się dziś z czterech członków powyżej 60. roku życia, pozostałych sześciu – ma mniej niż 40 lat. Więc nie ma mowy o starzejących się członkach! Szczególnie ludzie młodzi wstępują w nasze szeregi. Są to np. studenci, którzy udają się na semestr lub na jakiś kurs do Wrocławia na uniwersytet albo do Centrum im. Willy Brandta i odkrywają nagle, jak interesująca jest dla nich Polska.

Inną osobliwością naszego Towarzystwa jest jej oficjalna siedziba: Muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego. I tego eksponowanego miejsca, jakie my posiadamy w Dreźnie, zazdroszczą nam wszystkie inne Towarzystwa Niemiecko-Polskie.

Jako przykład naszej działalności, chciałbym wymienić relację z Gostyniem. Miasto to położone jest około 70 km na południe od Poznania. Między Gostyniem a Dreznem istnieje pewien szczególny, bolesny związek: dwunastu młodych Polaków zostało w Dreźnie 23. i 24 czerwca 1942 straconych po tym, jak Gestapo odkryło, iż chcieli założyć grupę oporu w Gostyniu. Byli to gimnazjaliści i uczniowie zawodu, którzy z miłości do swej polskiej ojczyzny i katolickiej wiary walczyli o Polskę, o czym świadczą ich pożegnalne listy.

Wśród skazanych znaleźli się także pan Marian Sobkowiak i pan Józef Kordus, którzy nie zostali straceni tylko dlatego, że nie ukończyli jeszcze 18 lat. Oni, a także polscy historycy i pracownicy Miejsca Pamięci przy Münchner Platz, opracowali i udokumentowali tę historię. Relacje Drezna z Gostyniem będą na zawsze naznaczone martyrologią patriotów Czarnego Legionu.

Symbolem pamięci straconych w Dreźnie młodych polskich patriotów, dzięki którym możliwe stało się pojednanie, jest kamienna rzeźba „Płomień Pojednania” stojąca na jednej z narożnych wieżyc drezdeńskiego kościoła Marii Panny (*Frauenkirche*), ufundowana przez mieszkańców Gostynia. Pamiątka ta powstała dzięki usilnemu zaangażowaniu pana Sobkowiaka i została uznana przez niemieckiego prezydenta federalnego i miasto Drezno za „dar posiadający szczególną wartość moralną”.

A przed jakimi zadaniami stoimy dzisiaj? Oczywiście chcemy wzmocnić sieć powiązań łączących szkoły, miasta, gminy i stowarzyszenia działające na Dolnym Śląsku i w Saksonii. Dla młodszego pokolenia Polacy (i Czesi) muszą być całkiem zwyczajnymi sąsiadami. A to znaczy również, iż musimy uczynić znacznie więcej w kwestii nauczania języka sąsiadów. Niedostatki widać tu bardzo wyraźnie po stronie saksońskiej.

Chcemy także umieścić związki niemiecko-polskie w kontekście europejskim. Dlatego nie może być tak jak dotychczas, że rozumieć się będzie Towarzystwa Niemiecko-Polskie jako towarzystwa „niemieckie i tylko polskie”. Tematy takie, jak „Język sąsiadów”, obejmują także Czechy. A inny temat – „Serbołużyczanie jako pomost między Niemcami a Polakami” – rozszerzyłby nasze spojrzenie na kolejne problemy. W pracy z młodzieżą spotkania trójstronne i wielostronne stały się już rzeczą całkowicie normalną.

Życie nad Nysą pozostanie probierzem naszej działalności. W tej kwestii zalecam Niemcom, by przyjrzeni się problemom na granicy w taki sposób, jak gdyby patrzyli ze strony Zgorzelca na Zachód, ponad rzeką Nysą.

W tej części Europy powstał już transgraniczny rynek pracy. Aby ludzie przychodzący do pracy w Niemczech znali swe prawa, Międzyregionalna Rada Związkowa Łąba/Nysa wydała serię polskojęzycznych bądź trójjęzycznych biuletynów informacyjnych.

Moje życie jest dualizmem

Nie ja sam siebie, lecz inni ludzie umieszczali mnie zawsze na dwóch przeciwstawnych pozycjach.

Formalnie rzecz biorąc, mój ojciec był robotnikiem bądź pracownikiem najemnym. Ale dorastałem w rodzinie mieszczańskiej. Z punktu widzenia państwa mój ojciec należał do klasy kapitalistów, mimo że nie miał własnego przedsiębiorstwa. Tę sprzeczność dostrzegałem już, gdy byłem uczniem. Dlatego nigdy nie mogłem traktować poważnie marksistowskiego przyporządkowania do określonej klasy społecznej.

Wśród moich krewnych większość stanowią chłopi. Sam nazwałbym siebie osobą wychowaną w duchu mieszczańskim.

Odkąd jestem dorosły, żyję w Saksonii, ale nie czuję się Saksończykiem. Do dziś nie przyswoiłem sobie tutejszego dialektu. Ale w wieku około 40 lat odkryłem, jak bardzo jestem ukształtowany przez to, co brandenburskie. I często mogę i muszę o sobie powiedzieć, że jestem Prusakiem. Pod tym pojęciem rozumiem pewnego rodzaju trzeźwość i wstrzemięźliwość. Okazywana publicznie wylewność, kumplowski język zachodnich Saksończyków są mi obce.

W NRD pełniłem różne funkcje, np. w socjalistycznym związku zawodowym FDGB, mimo że nie sympatyzowałem z SED.

W związkach zawodowych byłem uważany za „czarnego”, tzn. za kogoś, kto należał do partii chrześcijańskich demokratów CDU lub z nią sympatyzował. To przyporządkowanie było proste, ponieważ jestem chrześcijaninem. Jednak czuję się o wiele bardziej związany z socjaldemokracją.

Kiedy jestem w Polsce, reprezentuję niemiecki punkt widzenia, niemiecki sposób myślenia. Ale w dyskusjach w mojej ojczyźnie ludzie myślą często, że słyszą z moich ust stanowisko polskie.

(Przełożył Tomasz G. Pszczółkowski)

Wolfgang Nicht, urodzony w 1944 r. w Niederlausitz (Niemcy). W latach 1963–1965 mieszkał w Görlitz (Zgorzelcu) i nawiązywał w tym czasie intensywne kontakty przyjaźni i współpracy z Polakami.

W latach 80. studiował matematykę i cybernetykę na Uniwersytecie Technicznym (Politechnice) w Dreźnie, które ukończył zdobyciem tytułu doktorskiego.

Aktywny działacz Kościoła Ewangelickiego, szczególnie w zakresie ochrony praw człowieka; w latach 1991–2005 członek władz Związku Zawodowego Saksonii. W latach 2002–2012 przewodniczący Towarzystwa Niemiecko-Polskiego Saksonii. Liczne artykuły w zakresie współpracy niemiecko-polskiej, także spraw społecznych i problematyki „wewnątrzniemieckiej” po zjednoczeniu Niemiec.

TOMASZ OSOSIŃSKI

O niemieckich korzeniach rodziny

Moja rodzina ze strony matki miała korzenie niemieckie, choć uświadomiłem to sobie dość późno. Moi pradziadkowie mówili po niemiecku (ci ze strony babki; rodzice dziadka byli Białorusinami). Pradziadek Otto Michelis (czy Michaelis – jak się sam podpisał na zachowanym w rodzinnym archiwum egzemplarzu niemieckiego wydania *Nasładowania Chrystusa* Tomasza a Kempis) urodził się w roku 1883 w Chełmie Lubelskim, w ewangelickiej rodzinie nauczycielskiej, pochodzącej z Niemiec, a osiadłej na ziemiach polskich prawdopodobnie pod koniec XVIII w. W opowieściach rodzinnych mówiło się często, że do Rosji przyjechali na wezwanie carycy Katarzyny, która zachęcała Niemców do osiedlania się tam (a więc także na terenach polskich) i zapewne nie było to zupełnie bezpodstawne. Otto był najmłodszym, trzynastym dzieckiem Ludwika i Heleny Michelis. W okolicach Chełma i Lublina mieszkało wtedy co najmniej kilka rodzin o tym nazwisku. Michelisowie pełnili ważne funkcje w sądownictwie: Marcin Władysław był prezesem sądów w Radomiu i Chełmie, Witold był wybitnym prawnikiem, odznaczonym Złotym Krzyżem Zasługi, związanym z Sądem Apelacyjnym w Warszawie oraz Sądem Najwyższym. Podejmował też działalność naukową w zakresie prawa karnego, czego efektem były liczne artykuły w prasie fachowej okresu międzywojnia; Bronisław Piotr Henryk oraz Bronisław Juliusz byli wybitnymi inżynierami, współzałożycielami powojennej Politechniki Warszawskiej; Michelisowie byli też m.in. właścicielami Hotelu Europejskiego przy Krakowskim Przedmieściu w Lublinie. Trudno jednak dziś ustalić stopień pokrewieństwa tych rodzin z Ludwikiem, ojcem Ottona. Blisko z nim spokrewniony był na pewno Zygmunt Michelis (1890–1977), późniejszy biskup-adiunkt kościoła ewangelicko-augsburskiego w Polsce i prekursor ekumenicznej współpracy z Kościołem rzymskokatolickim.

tolickim (był bratankiem Ottona). Pradziadek Otto miał podobno zdolności językowe: poza niemieckim mówił po polsku, rosyjsku, łotewsku oraz w jidysz. Na przełomie wieków uzyskał dyplom agronoma i administrował majątkami ziemskimi. W roku 1906 ożenił się z Emmą Bellą Sander (1887–1982), córką łódzkiego fabrykanta, urodzoną w pałacu podwarszawskim Stara Wola. Emmę poznał w Łodzi: przebywał tam akurat u swojej rodziny w odwiedzinach, ona zaś mieszkała wtedy czasowo u swoich dziadków. Jej rodzina posiadała w Łodzi fabrykę koronek i piekarnię. Cześć rodziny wyjechała właśnie w tamtym czasie na Florydę, podobno mieli dołączyć do nich również Emma z Ottonem, z jakichś powodów jednak wyjazd ten nie doszedł do skutku (w opowieściach rodzinnych pojawiał się czasem w tym kontekście motyw niewykorzystanych biletów na Titanica – trudno jednak ocenić, na ile można dawać temu wiarę). Otto miał z Emmą siedmioro dzieci. Drugim z nich była Olga, moja babka.

Pradziadek Otto pracował jako leśnik i rządcą w różnych majątkach. Przed I wojną był właśnie leśnikiem w jednym z majątków w Apszeradzie na Łotwie (babcia Olga urodziła się w – jak mówiła – Medzynie, czyli prawdopodobnie w dzisiejszej Madonie na Łotwie), potem m.in. w Skępem pod Włocławkiem i w Woli Chojnacie (w województwie warszawskim). Od roku 1925 do 1935 był rządcą majątku hrabiów Tyszkiewiczów w Zatroczu. Od 1935 do 1939 r. administrował majątkiem Tyszkiewiczów w Duniłowiczach w powiecie wilejskim. Zmarł w roku 1939 na wyrostek robaczkowy.

Najstarsze dzieci, w tym moja babcia Olga, mówiły w domu po niemiecku, młodsze, urodzone po roku 1918, rozmawiały z rodzicami już tylko po polsku. Babka Olga w 1927 r. wyszła za mąż za Białorusina, Serafina Radziwonowicza, wyznania prawosławnego. Na ślubie oboje przeszli na katolicyzm. Zamieszkali w rodzinnej wsi dziadka, w Krzywym Siole (na dzisiejszej Białorusi). Większość rodziny babci pozostała jednak do wybuchu wojny w Zatroczu lub w sąsiednich majątkach (w Budkach). W pierwszych dniach wojny zaginął – służący w policji – brat babci Eryk. Jak okazało się wiele lat później, został zamordowany w Ostaszkowie. W czasie wojny pałac zajmowany był na przemian przez Rosjan i Niemców, rodzina pozostała na miejscu, była świadkiem m.in. zbrodni popełnianych przez Niemców (i Litwinów) na Żydach.

Po wojnie, gdy Wileńszczyzna stała się częścią ZSRR, Michelisowie, czując się Polakami, przyjechali do Polski; osiedlili się m.in. w Braniewie i Suchowoli. Babcia Olga z Suchowoli przeniosła się po jakimś czasie na Ziemię Zachodnie do Ińska w pobliżu Stargardu Szczecińskiego.

Po wojnie na Kresach nie pozostał nikt z rodziny babci (zostali tylko krewni dziadka o korzeniach białoruskich), a ponieważ kultura niemieckojęzyczna przestała tam praktycznie istnieć – na tym skończył się wątek nie-

miecki w rodzinnej historii. Ci, którzy pozostali na wschodzie, m.in. rodzina dziadka, nie posługiwali się językiem niemieckim, więc „niemczyzna” jako język kontaktów z bliskimi nie była już nigdy więcej używana.

Z mojego częściowo niemieckiego pochodzenia zdałem sobie sprawę dość późno. Nie dlatego, żeby przeszłość była w jakiś sposób ukrywana, ale babcia nigdy nie budowała opozycji polskie–niemieckie, niemieckojęzyczność była dla niej po prostu jednym z wątków w historii rodziny jak najbardziej polskiej (na pewno wpływ na taki właśnie sposób opowiadania miały realia Polski Ludowej, gdzie pochodzenie niemieckie nie było czymś, czym należałoby się chwalić).

Pochodzenie nie miało też żadnego wpływu na moje germanistyczne zainteresowania: zainteresowanie literaturą niemiecką, które skłoniło mnie w końcu do wyboru studiów germanistycznych, choć czasem oczywiście zastanawiałem się, czy nie były one nieświadomym powrotem do korzeni. Podobnie, jak nieraz myślałem o (nie)przypadkowości powrotów do miejsc obecnych w historii rodziny: moi rodzice osiedlili się na Kujawach, w okolicach związanych z Michelisami. W roku 1994, po ukończeniu szkoły średniej w Toruniu, podjąłem naukę w Warszawie na Międzywydziałowych Indywidualnych Studiach Humanistycznych. W ramach MISH ukończyłem filologię klasyczną oraz germanistykę. Pracę magisterską na filologii klasycznej napisałem pod kierunkiem prof. Jerzego Wojtczaka, na germanistyce zaś – prof. Karola Sauerlanda.

Jeszcze w czasie studiów rozpocząłem pracę w Ośrodku badań nad Tradycją Antyczną, gdzie zajmowałem się wydawaniem korespondencji XVI-wiecznej, łacińsko- oraz niemieckojęzycznej. Wydałem m.in. katalog niemieckich listów Jana Dantyszka, jak również korespondencję Jana Dantyszka z dyplomatą habsburskim Zygmuntem Herbersteinem (autorem jednej z pierwszych zachodnioeuropejskich relacji z podróży do Moskwy). Zajmowałem się też korespondencją Dantyszka z księciem pruskim Albrechtem Hohenzollernem; wydałem kilka listów z tej korespondencji (prowadzonej po niemiecku) oraz nieznane wcześniej utwory poetyckie Dantyszka załączone do jednego z listów. Jednocześnie zajmowałem się tłumaczeniem literatury niemieckiej: Friedricha Schlegla, Georga Hamanna, Rainera Marii Rilkego i innych.

W roku 2000 rozpocząłem studia doktoranckie na Uniwersytecie Warszawskim pod kierunkiem prof. Karola Sauerlanda. Moja praca doktorska dotyczyła ironii romantycznej u L. Tiecka i F. Schlegla. Po zakończeniu studiów pracowałem jako nauczyciel akademicki we Wszechnicy Polskiej i w Lingwistycznej Szkole Wyższej oraz jako adiunkt w Bibliotece Narodowej, gdzie zajmowałem się historią drukarstwa i kolekcjonerstwa, m.in. historią polskich księgozbiorów przechowywanych dziś w bibliotekach niemieckich. Jednocześnie tłumaczyłem literaturę niemiecką (zarówno auto-

rów romantycznych jak i współczesnych, m.in. Gottfrieda Benn, Elfriede Jelinek, Paula Celana, Jana Wagnera, Judith Hermann, Rolfa Hochhutha).

Właściwie dopiero dzięki studiom uświadomiłem sobie niemieckie pochodzenie mojej rodziny, w której – jak mówiłem – polskość i niemieckość nigdy nie stanowiły opozycji. Dopiero na uniwersytecie zdałem sobie sprawę z powojennych napięć polsko-niemieckich i z trudności w kontaktach między narodami polskim i niemieckim, które z takim mozołem trzeba było przezwyciężać. Jest to może jakoś symptomatyczne, że dla mojego pokolenia te trudności jednak już nie istniały. Zostały pokonane w dziesięcioleciach powojennych, a w momencie upadku muru berlińskiego, nie było już zasadniczo spornych kwestii, bo w pewnym sensie Polacy i Niemcy znajdowali się wtedy po tej samej stronie barykady (w każdym razie Niemcy ze Wschodu). Stosunki układały się dobrze w latach 90. i można by zaryzykować twierdzenie, że dziś nie ma już w stosunkach polsko-niemieckich żadnych napięć, wrogości; relacje układają się świetnie, co widoczne jest w wielu dziedzinach, również w najbliższej mi – dziedzinie literatury. Na język polski tłumaczy się bardzo wielu niemieckich autorów i jesteśmy wręcz jednym z największych importerów niemieckich dzieł literackich. Osobiście też nigdy nie zdarzyło mi się natrafić na żadne trudności w moich kontaktach polsko-niemieckich; przeciwnie – często zaskakiwany byłem liczbą organizacji i ilością ułatwień, stypendiów, warsztatów itp. dla osób zajmujących się pośrednictwem między kulturą polską a niemiecką (dużo w tej dziedzinie robią m.in. Instytut Goethego i Fundacja Roberta Boscha). Dziś zadanie polega wyłącznie na utrzymaniu dobrych stosunków, gdyż okres odbudowywania i trudnych relacji zakończył się, a rozpoczął okres koleżeństwa i współpracy.

Tomasz Ososiński, ur. w 1975 r., nauczyciel akademicki, autor i tłumacz; adiunkt w Zakładzie Starych Druków Biblioteki Narodowej oraz w Lingwistycznej Szkole Wyższej w Warszawie. Autor publikacji naukowych i literackich (ostatnio w Wydawnictwie Zeszytów Poetyckich ukazał się jego tomik *Pięć bajek*, nominowany m.in. do nagrody Silesius oraz nagrodzony na Festiwalu Złoty Środek Poezji, a w Wydawnictwach Uniwersytetu Warszawskiego – monografia dotycząca koncepcji ironii u Friedricha Schlegla *Ironia i jednostka*). Autor przekładów z literatury łacińskiej i niemieckiej, tłumaczył m.in. Friedricha Schlegla, Johanna Georga Hamanna, R.M. Rilkego, Gottfrieda Benn, Paula Celana, Judith Hermann, Elfriede Jelinek, Jana Wagnera (ostatnio w jego tłumaczeniu ukazał się *Dziennik schmargendorfski* R.M. Rilkego oraz *Atlas wysp odległych* Judith Schalansky). Założyciel i pierwszy prezes Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury. Organizator wydarzeń kulturalnych, m.in. spotkań tłumaczy literatury niemieckiej, współpracuje z Fundacją im. Roberta Boscha oraz Instytutem Goethego.

TOMASZ G. PSZCZÓŁKOWSKI

Życie w dwóch kulturach i między nimi

Tytuł mojego szkicu biograficznego odzwierciedla zarazem moje pojmowanie samego siebie, czyli człowieka, który dorastał zarówno w kulturze polskiej, jak i niemieckiej, ale także między nimi, a w swym życiu zawodowym w sposób świadomy przeżywał ten stan intra- i interkulturowości. Tym, co ukształtowało moje widzenie świata i określiło całe moje życie, były dwa kilkuletnie pobyty w Niemczech – najpierw w NRD, a nieco ponad 20 lat później – na zachodzie Niemiec. Pobytu te były dla mnie okazją do refleksji nie tylko na temat Niemców, lecz także Polaków, do których się zaliczam, ale też do których mam z uwagi na owe doświadczenia zagraniczne inny stosunek aniżeli ktoś, kto nie miał takiej perspektywy oglądania swego kraju z zewnątrz. Chciałbym w swych dalszych rozważaniach zrekonstruować moje ówczesne i dzisiejsze obserwacje związane z życiem w Polsce i w Niemczech.

W języku niemieckim istnieje trudno przetłumaczalne na język polski słowo *Lebensmittelpunkt*, czyli główny obszar życia człowieka, w którym skupione są jego sprawy. W moim przypadku tym obszarem była w pierwszych latach mojego życia Warszawa, gdzie urodziłem się w 1951 r. i uczęszczałem do pierwszych trzech klas szkoły podstawowej. Następnie, w latach 1961–1965, mieszkalem z rodzicami i młodszym bratem w Berlinie, gdzie mój ojciec pracował w Biurze Radcy Handlowego Ambasady PRL. Wówczas moim *Lebensmittelpunktem* był Berlin. Miasto to miało się stać raz jeszcze miejscem mojego dłuższego pobytu, między 1987 a 1988 r., o czym napiszę więcej w dalszej części tego szkicu. W listopadzie 1965 r. moja rodzina wróciła do Warszawy, gdzie podjąłem naukę w liceum ogólnokształcącym z rozszerzonym nauczaniem języka niemieckiego. Po maturze rozpocząłem

w 1969 r. studia germanistyczne w Uniwersytecie Warszawskim, a po ich ukończeniu w roku 1974 zostałem zatrudniony w charakterze lektora języka niemieckiego w Instytucie Germanistyki UW. Jednak po trzech miesiącach pracy na uczelni powołany zostałem do odbycia rocznej służby wojskowej w Szkole Oficerów Rezerwy w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych im. Tadeusza Kościuszki we Wrocławiu, skąd po dwóch miesiącach przeszkolenia w pododdziale tłumaczy wojskowych, skierowany zostałem do pełnienia dalszej służby w charakterze tłumacza w Inspektoracie Szkolenia MON w Warszawie.

Po odbyciu służby wojskowej i promocji na stopień podporucznika rezerwy powróciłem do pracy naukowo-dydaktycznej i w roku 1985 uzyskałem na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW doktorat z nauk politycznych. Moja rozprawa doktorska poświęcona była społeczno-politycznej doktrynie ordoliberalizmu. Jej przeredagowana wersja ukazała się w 1990 r. w Państwowym Wydawnictwie Naukowym w Krakowie. Oprócz pracy naukowej byłem także tłumaczem. Owo moje dodatkowe zajęcie było w czasach Polski Ludowej bardzo lukratywne, zwłaszcza że współpracowałem z kilkoma ważnymi instytucjami, m.in. z Komitetem do spraw Radia i Telewizji (w Biurze Współpracy z Zagranicą), z MSZ, z Centralną Radą Związków Zawodowych, Polską Agencją Interpress, Instytutem Badania Współczesnych Problemów Kapitalizmu i in. Pracowałem także jako tłumacz i redaktor w redakcji czasopisma „Nowości Wydawnictw Polskich”, kierując jego niemiecką mutacją, która ukazywała się pod tytułem „Polnische Neuerscheinungen”. W wydawnictwie Wiedza Powszechna ukazał się w 1989 r. mój przekład książki *Geschichte der jüdischen Philosophie* Heinricha i Marie Simon (pod polskim tytułem *Filozofia żydowska*), za który otrzymałem wyróżnienie Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich. Do innych ważnych w moim dorobku przekładów książkowych zaliczam m.in. *Knaurs großer Religionsführer* (tytuł pol.: *Leksykon religii świata*) Gerharda J. Bellingera (współtłumaczem był Tadeusz Kachlak), Wiedza Powszechna, Warszawa 1999 i Dietricha von Hildebranda *Der verwüstete Weinberg* (*Spustoszona winnica*), Fronda, Warszawa 2000.

Od września 1987 do grudnia 1988 r. mieszkalem w RFN – najpierw w Getyndze, a następnie w Berlinie Zachodnim. Korzystałem wówczas ze stypendium naukowego Fundacji im. Alexandra von Humboldta, dzięki któremu mogłem napisać swą pracę habilitacyjną pt. *Zur Methodologie der Interpretation des Politischen bei Friedrich Nietzsche* (*O metodologii interpretacji tego, co polityczne w pismach Fryderyka Nietzschego*, książka ukazała się w roku 1996 w wydawnictwie Peter Lang Verlag we Frankfurcie). Po powrocie do Polski wznowiłem pracę w Instytucie Germanistyki UW

i kierowałem w nim najpierw Zakładem Kultury Krajów Niemieckiego Obszaru Językowego, a po jego restrukturyzacji – objąłem kierownictwo nowo powstałego Zakładu Studiów nad Krajami Niemieckiego Obszaru Językowego. W swej działalności naukowo-dydaktycznej skupiam się na historii Niemiec, historii doktryn politycznych oraz na komparatystyce kulturowej, zwłaszcza na porównaniu kultur: polskiej i niemieckiej. Tego ostatniego zagadnienia dotyczy moja najnowsza książka pt. *Deutsche und polnische Kultur im kulturwissenschaftlichen Vergleich*, która ukazała się w 2013 r. w Warszawie.

Zarówno moja działalność translatorska, jak i praca nauczyciela akademickiego odzwierciedlają to, co nazywam życiem w dwóch kulturach i między nimi. Będąc Polakiem w Niemczech, żyje się w tamtejszej kulturze. Mówi się wówczas po niemiecku, myśli w tym języku, choć nie można się całkiem oderwać od kraju swego pochodzenia. Wskutek dłuższego przebywania w drugim kraju jest się na każdym kroku konfrontowanym z co prawda znanymi rzeczami i zjawiskami, ale przez dystans, jaki nas od nich dzieli, wydają się one czymś innym niż ludziom stale tam mieszkającym. Jeżeli inna kultura jest nam znana i znajdziemy się w niej po jakimś czasie ponownie, mamy wrażenie, iż znajdujemy się m i ę d z y k u l t u r a m i, czyli między kulturą własną a obcą. Określenia typu „własny” i „obcy” są nieco dyskusyjne, tym bardziej, że po dłuższych pobytach w innym kraju i ze względu na znajomość zwyczajów i obyczajów jego mieszkańców niekiedy chcielibyśmy nie utożsamiać się z kulturą własnego kraju. Dotyczy to zwłaszcza sytuacji, gdy jesteśmy konfrontowani z negatywnymi zachowaniami naszych rodaków. Ktoś, kto wyrósł w rodzimej kulturze, ale musiał przyswoić sobie inne sposoby zachowań kulturowych obowiązujących w kraju jego kilkuletniego pobytu, ma nie dwie, lecz aż trzy perspektywy widzenia kultur, czyli kultury własnej i obcej, albo mówiąc dokładniej: kultury przyswojonej. Perspektywa pierwsza jest związana z postrzeganiem kraju ojczystego; perspektywa druga – to postrzeganie kultury kraju swojego nowego miejsca pobytu; trzecia zaś perspektywa wynika z połączenia pierwszej z drugą. Ta ostatnia determinuje myślenie i działanie człowieka, którego dotyczy, w sposób niezrozumiały dla ludzi, którzy wyrosli tylko w jednej kulturze i jedynie z nią są związani. Jednostka mająca tę trzecią perspektywę ma przewagę w stosunku do innych ludzi, mających tylko jedną perspektywę patrzenia na własną (i obcą) kulturę, ponieważ postrzega i rozumie wiele rzeczy, które pozostaną dla tych ostatnich, nieznających innej kultury, niedostępne. Pojawia się w tym kontekście kwestia otwartości i ciekawości wobec tego, co obce i inne, czyli wartości, od których posiadania lub braku zależy tolerancja jednostki.

Dla mnie, a także dla mojej rodziny tolerancja nie była pustym słowem. Wprawdzie rzadko się go używało, ale to, co ono znaczyło, było zawsze obecne w postawach członków rodziny wobec otoczenia. Moi dziadkowie ze strony matki urodzili się jeszcze w czasach zaborów: dziadek Aleksander w roku 1900 w ówczesnym austriackim Lembergu, czyli we Lwowie, moja babcia w 1899 r. w zaborze rosyjskim, we wsi Kampinos niedaleko Sochaczewa. Dziadkowie znali języki zaborców – moja babcia – rosyjski, dziadek – niemiecki, co wówczas nikogo nie dziwiło, gdyż oba języki były używane jako urzędowe na terenach zajętych przez Rosjan i Austriaków. Mój dziadek przybył w latach 20. jako młody nauczyciel do wsi mojej babci, gdzie oboje się poznali i pobrali. Także dziadkowie ze strony mojego ojca byli otwarci wobec inności i obcości. Oboje żyli w miasteczku Błonie pod Warszawą, gdzie zamieszkiwało prócz Polaków także wielu Żydów, a ponadto Cyganów i inne grupy ludności niepolskiej. Dziadkowie byli Polakami i katolikami, ale bratanek mojej babci ze strony matki ożenił się z Ukrainką. To można uznać za oznakę tolerancji moich bliskich. Ludzie w Polsce, odrodzonej po I wojnie światowej, nauczyli się żyć w pokoju z mniejszościami narodowymi. Wprawdzie występowały w okresie międzywojennym napięcia między zamieszkującymi Rzeczpospolitą narodowościami, ale o tym w mojej rodzinie nigdy się nie mówiło, ponieważ w jej otoczeniu relacje między narodowościami były w gruncie rzeczy dobre.

Druga ważna wartość (a może jednak pierwsza, kolejność nie jest tu istotna), którą się w naszej rodzinie ceniło, była miłość do ojczyzny. Mój dziadek Aleksander walczył w obronie Lwowa, był wśród Orląt Lwowskich podczas wojny polsko-ukraińskiej lat 1918–1919 i nawet otrzymał za to odznakę (w czasach Polski Ludowej była z oczywistych powodów schowana głęboko w dolnej szufladzie biurka). W Kampinosie, późniejszej miejscowości zamieszkania i pracy, dziadek jako porucznik rezerwy był komendantem „Strzelca”, paramilitarnej organizacji młodzieżowej. Niemniej patriotyzm rodziny mojej mamy opierał się raczej na racjonalnych, a nie emocjonalno-nacjonalistycznych podstawach. Zawirowania wojny polsko-ukraińskiej, a następnie polsko-radzieckiej, zwanej także polsko-bolszewicką, pozostawiły w rodzinie głębokie ślady. Także okupacja hitlerowska przeorała świadomość rodziny mojej mamy. W dużym domu moich dziadków kwaterowali najpierw żołnierze niemieccy, a następnie wcieleni do Wehrmachtu Kozacy i inni kolaboranci Niemiec hitlerowskich ze Wschodu. Najgorzej według rodzinnych relacji zachowywali się Kałmucy w niemieckich mundurach. Mój dziadek ze strony ojca był kolejarzem. Jako młody człowiek brał udział w obronie Lwowa, dokąd specjalnie pojechał. Dziadek zmarł w 1943 r. na płuca i cały obowiązek utrzymania rodziny (mamy i trzech siostr) spoczął na moim wówczas 20-letnim ojcu.

Mój ojciec, który przed wojną uczył się w Technikum Kolejowym w Warszawie, pracował w czasie okupacji na warszawskiej Poczcie Głównej. Dzięki wstawiennictwu swego niemieckiego przełożonego uniknął – częściej wówczas wysyłki na przymusowe roboty do Niemiec. Pracując na poczcie, miał możliwość otwierania listów konfidentów do gestapo i przekazywania zawartych w nich informacji swoim kolegom z podziemia, dzięki czemu można było unieszkodliwić niemieckich szpiclów i uratować życie wielu ludziom.

Ja sam uważam, że patriotyzm moich dziadków i ojca był wartością jakby wrodzoną, w każdym razie w obliczu ówczesnych okoliczności – odrodzonego państwa polskiego, a następnie jego zajęcia przez okupantów – czymś naturalnym. Dziś patriotyzm zdaje się już nie odgrywać tak wielkiej roli w (po-)nowoczesnych społeczeństwach; ponad siedemdziesięcioletni okres pokoju sprawia, iż myślenie w kategoriach miłości do ojczyzny i gotowości poświęcania się za kraj uczyniło z patriotyzmu przeżytek. Ponadto różnie rozumiano patriotyzm w dwóch różnych ustrojach społeczno-gospodarczych i politycznych w powojennej Polsce. Przypominam sobie, jak pewnego razu w latach 70. ubiegłego wieku mój ojciec, który pracował wówczas w Anglii jako dyrektor polsko-angielskiej spółki, powiedział do Polaka mieszkającego w tym kraju od zakończenia wojny, iż patriotą można być tylko we własnym kraju, dla którego się pracuje, a nie na emigracji. Wyobrażam sobie, jak te słowa odebrał tamten Polonus, ale uważam, że ojciec miał rację. Jego patriotyzm, jego pracowitość, jego miłość do rodziny, jego tolerancja, ale także jego humor były dla mnie zawsze ważne.

Piszę te słowa jako naukowiec zajmujący się od ponad 40 lat problemami niemieckimi. Naukowcy mają skłonność i chcą przez swą pracę osiągnąć taki cel, by przedmiot ich badań był jasno określony, badany przedmiot był przedstawiony, opisany, przeanalizowany, syntetyzowany w sposób obiektywny, a wyniki badań były usystematyzowane i przedstawione w uporządkowanej formie. W przypadku przedmiotu badawczego, wobec którego nie można zachować czysto rzeczowego podejścia, gdyż trzeba je uzupełnić o osobiste doświadczenia, te immanentne cechy pracy naukowej muszą być potraktowane z dystansem. Pojawia się w tym momencie pytanie, czy można pozostać na gruncie naukowej dokładności i ścisłości, gdy przedmiotem badań jest sam naukowiec?

Fakt, że zostałem naukowcem zajmującym się tematami niemieckimi wiąże się z moim pobytem w Berlinie, który stał się dla mnie drugą ojczyzną. Moja prywatna historia związana z tym miastem rozpoczyna się 1 czerwca 1961 r. Wówczas jako prawie 10-letni chłopiec przyjechałem z rodzicami do Berlina Wschodniego, który według oficjalnej nomenklatury władz enerdownskich było stolicą NRD. Nasza rodzina nigdy przedtem nie była za granicą,

nie znałem niemieckiego, a moi rodzice już na początku lipca wysłali mnie na półkolonie zorganizowane przez tamtejsze władze oświatowe w podmiejskiej wówczas dzielnicy Berlina Buch, gdzie dzieci przebywały pod opieką nauczycieli i wychowawców szkoły, do której miałem następnie trafić. Stało się to we wrześniu, poszedłem wówczas do czwartej klasy 10. Ogólnokształcącej Politechnicznej Szkoły (*10. Allgemeinbildende Polytechnische Oberschule*) w dzielnicy Pankow, gdzie zamieszkiwaliśmy z rodziną przy Talstraße 16, niedaleko Wisbyer Straße.

Wczesne lato roku 1961 było piękne, każdego ranka o godzinie 8.30 odbierała mnie z domu wychowawczyni, następnie szliśmy pieszo na dworzec kolejki miejskiej i jechaliśmy do Buchu. Język przyswoiłem sobie w sposób naturalny – najpierw porozumiewając się gestami, ale z biegiem czasu także rozmawiając. Bardzo dobrze przypominam sobie moich niemieckich towarzyszy zabaw, wszyscy byli ciekawi „polskiego przyjaciela”, który wkrótce miał stać się ich kolegą szkolnym. Trzy tygodnie półkolonii, w trakcie których bawiliśmy się na świeżym powietrzu, a w dni deszczowe także w pomieszczeniach, były moim najintensywniejszym spotkaniem z językiem niemieckim. Wprawdzie moja ówczesna niemczyzna była mało poprawna, ale była komunikatywna, gdyż ostatecznie w kontaktach językowych idzie o porozumiewanie się, a to stawało się coraz lepsze. Półkolonie po trzech tygodniach dobiegły końca, lecz w tamtym czasie zawarłem nowe znajomości i przyjaźnie, które później pielęgnowałem. Nowo poznane dzieci chodziły do szkoły, do której i ja miałem trafić. Nie patrzyliśmy już na siebie jak sobie obcy, nie wydawaliśmy się sobie już tak egzotyczni, jak w czasie pierwszych spotkań. Gry i zabawy na podwórku były kontynuacją tej „naturalnej szkoły językowej”.

Weekendy spędzaliśmy z rodzicami w Berlinie i okolicach miasta. Pewnego dnia, bodajże w połowie lipca 1961 r., pojechaliśmy S-Bahnem do Poczdamu. Dziwiłem się, że do pociągu wsiedli nagle umundurowani policjanci i zaczęli kontrolować dokumenty podróżnych. Pociągi jeździły wówczas przez Berlin Zachodni, dzięki czemu przejazd ze stacji Prenzlauer Allee do Poczdamu zajmował ok. 45 minut.

Moja pierwsza wizyta w Berlinie Zachodnim mniej więcej w tym samym czasie była niespodzianką. Nagle zauważyliśmy z bratem, iż ulice pełne były samochodów z nieznanymi nam rejestracjami, ruch był o wiele większy niż w Berlinie Wschodnim, wystawy pełne towarów, których przedtem nigdy nie oglądaliśmy. Musiało to być gdzieś w pobliżu Bornholmer Straße, która jest przedłużeniem Wisbyer Straße, dokąd poszliśmy z rodzicami. Mój ojciec chyba nie miał zbyt czystego sumienia, ale ciekawość zobaczenia zachodniej części miasta była większa, gdyż nie posiada-

jąc paszportu dyplomatycznego, musiałby przedtem zgłosić taki zamiar władzom ambasady.

Pewnej nocy wyrwany zostałem ze snu hałasem z ulicy, którego nigdy przedtem nie słyszałem. Dzieci zwykle śpią głęboko, ale tamten hałas był tak donośny, że się przebudziliśmy. Następnego ranka niczego niezwykle nie było już słychać. Jak zwykle poszliśmy na spacer, ale na Wisbyer StraÙe zauważyliśmy wcześniej niewidziane głębokie ślady na jezdni. Tajemnica nocnego hałasu i uszkodzonej nawierzchni ulicy wkrótce się wyjaśniła. Ich przyczyną były czołgi i inne pojazdy wojskowe, które w nocy z 12 na 13 sierpnia 1961 r. przejeżdżały z hukiem także wspomnianą ulicą w pobliżu naszego domu, by brać udział w zamknięciu granicy do Berlina Zachodniego. Nie miało to dla nas dzieci szczególnego znaczenia i nie przypominam sobie, abym rozmawiał o tym z niemieckimi dziećmi na podwórku. Dopiero w szkole, która rozpoczęła się 1 września, uświadomiłem sobie skutki i zasięg podziału miasta.

To, co mi się wówczas w NRD rzuciło w oczy, było poczucie wspólnoty, uspołecznienia, także wysoki stopień zorganizowania mieszkańców. Widać to było w szkole i świetlicy po zajęciach szkolnych, w organizacji pionierskiej i na obozach w czasie wakacji. Oczywiście można z dzisiejszej perspektywy, po odkryciu ciemnych stron w dziejach NRD i mając obecne doświadczenie życiowe, krytykować te właściwości Niemców wschodnich. Ale wówczas mur berliński był dopiero co budowany, wschodni berlińczycy zaś, także moi koledzy szkolni, znali Berlin Zachodni jako otwarte miasto. Pamiętam, jak sytuacja w szkole stawała się coraz bardziej napięta. Uczniowie mieli się zobowiązać do tego, że nie będą oglądać zachodniej telewizji, odgraniczenie się od Zachodu miało być coraz większe. Kontakty z Zachodem, mimo że oficjalnie utrudnione, były jednak przez mieszkańców Berlina Wschodniego utrzymywane. Niemal każdy miał krewnych na Zachodzie i w ten sposób berlińczycy wschodni i zachodni żyli przynajmniej mentalnie razem, mimo zbudowanego muru, a na pewno obok siebie.

Jako nastolatkowi dorastającemu w dwóch kulturach różnice między Wschodem a Zachodem miasta rzucały się coraz bardziej w oczy – wprawdzie znałem Zachód tylko z kilku krótkich wypadów przed budową muru, ale codziennie oglądałem zachodnią telewizję – kryminały, filmy przygodowe, ale i reklamę, która wzbudzała w nas – ludziach ze Wschodu – raz po raz poczucie zazdrości i tęsknoty za lepszym życiem. Podział miasta na dwie części był elementem świadomości nas „wschodniaczków” (tak tłumaczę potoczne w Niemczech po zjednoczeniu określenie Osis), do których sam się zaliczałem. Szczególnie denerwujący był np. przejazd S-Bahnem ze stacji Schönhauser Allee do stacji Pankow. Pociąg jechał tam z zawrotną pręd-

kością między murami dzielącymi obie części miasta, aby potencjalny uciekinier, skacząc z wagonu, natychmiast odniósł obrażenia lub zginął. A do Poczdamu nie jeździło się już przez Westkreuz, lecz objazdem wokół Berlina Zachodniego, półtorej godziny. Codzienna propaganda, a zwłaszcza program telewizyjny pt. *Der Schwarze Kanal* (Czarny kanał), autorstwa naczelnego komentatora enerdowskiej telewizji Karla-Eduarda von Schnitzlera, psuł nastroje wśród ludności NRD, nawet gdy ludzie unikali oglądania wschodniej telewizji.

Mój okres pobytu w NRD dobiegł końca w listopadzie 1965 r. Opuściłem wówczas bardzo bliskie mi otoczenie – szkołę, którą dobrze wspominam, m.in. ze względu na przyjazną atmosferę w niej panującą. Szczególnie ważny wydawał mi się niewielki dystans między nauczycielami a uczniami, ale także między samymi uczniami, który jest w Polsce o wiele większy. Nauczyciele w polskich szkołach zwracają się do uczniów po nazwisku. W mojej szkole, z rozszerzonym językiem niemieckim, do której uczęszczało wiele dzieci byłych pracowników ambasad, stosunki były bardzo dalekie od przyjacielskich czy przyjaznych wobec ucznia. Brakowało mi po powrocie do Polski atmosfery przyjaźni, którą znałem z NRD. Jeszcze przez kilka lat utrzymywałem kontakty z moimi enerdowskimi przyjaciółmi; każdego roku przyjeżdżałem przynajmniej na kilka dni do Berlina i sam przyjmowałem gości stamtąd. Nigdy wówczas nie rozmawialiśmy o podziale Niemiec, moi dawni koledzy zdawali się być zadowolonymi z życia w NRD. Żaden z nich nigdy nie powiedział złego słowa o swoim kraju. Jako dzieci nie interesowaliśmy się polityką, żyliśmy w zasadzie bez trosk w socjalistycznym państwie. Dopiero po latach dowiedziałem się, że jeden z kolegów trafił do więzienia, ale nie za nieposłuszeństwo polityczne, lecz za przestępstwo kryminalne. Większość prowadziła zwyczajne życie, pracowała, założyła rodzinę, a po zjednoczeniu – żyje jak większość przeciętnych Niemców na Wschodzie.

Pamiątką z mojego okresu berlińskiego jest parka trzymających się za rączki niedźwiadków z brązu, którą otrzymałem od mojej nauczycielki fortepianu, pani Gerdy Zühlendorf. Zostały odlane przez znajomego nauczycielki i miały symbolizować jedność miasta przed jego podziałem. Owa parka niedźwiadków (niedźwiedź jest symbolem Berlina) do dziś stoi w mojej serwantce w salonie.

Mój drugi dłuższy pobyt w Berlinie przypada na czas od września 1987 do grudnia 1988 r. Byłem wtedy stypendystą Fundacji im. Alexandra von Humboldta (AvH) w ówczesnym Instytucie im. Ottona Suhra na Wolnym Uniwersytecie, gdzie przygotowywałem swą pracę habilitacyjną. Trafiłem tam dzięki profesorowi Helmutowi Wagnerowi, który przyjął mnie pod swą opiekę, zapewniając mi miejsce pracy naukowej. Poznałem profe-

sora Wagnera swego czasu u promotora mojej rozprawy doktorskiej, prof. Teodora Filipiaka. AvH jest instytucją zasłużoną nie tylko dla nauki, ale przez przyznawanie stypendiów przyczynia się pośrednio do zbliżenia się naukowców niemieckich i zagranicznych, ale także do porozumienia między narodami. Prof. Wagner pracował wówczas w Instytucie Podstaw Polityki i zadeklarował swą gotowość sprawowania opieki naukowej nade mną podczas mojego pobytu na stypendium. Ponadto prof. Wagner pomógł mi znacząco w sprawach organizacyjnych (poszukiwanie mieszkania, topografia miasta itd.).

Mój wybór Berlina Zachodniego jako miejsca pobytu badawczego w ramach stypendium Humboldta był decyzją dobrze przemyślaną, choć niezgodną z oficjalną polityką władz polskich wobec RFN. Była to swego rodzaju gra, którą podjąłem z władzami, a która za każdym razem, gdy jechałem do Warszawy i przekraczałem granicę między NRD i PRL, powodowała uczucie dyskomfortu, bo przecież działałem wbrew oficjalnej polityce zagranicznej Polski. Ponieważ Berlin Zachodni od chwili podpisania w 1971 r. traktatu czterech mocarstw w sprawie Berlina nie był zgodnie z oficjalną interpretacją tej polityki „częścią konstytutywną” Republiki Federalnej, mimo że Berlin Zachodni od 1949 do 1990 r. *de facto* był krajem związkowym, według urzędowej wykładni polskiej wolno było naukowcom przyjmować wyłącznie stypendia do wykorzystania w RFN, nie zaś w Berlinie. W tej sytuacji przyjęliśmy z prof. Wagnerem rozwiązanie zastępcze – miałem zgłosić jako miejsce pracy naukowej Uniwersytet w Getyndze. Fundacja Humboldta przyłączyła się do tej gry, poświadczając, że będę pracował właśnie w Getyndze. Jestem bardzo wdzięczny instytucji, która mnie przyjęła, a w szczególności kierownikowi Seminarium (odpowiednikowi polskiego instytutu) Historii Średniowiecza, profesorowi Manfredowi Hildermeierowi, za udzielenie mi naukowej gościny. Przy okazji poznałem w ciągu dwumiesięcznego pobytu także znany Uniwersytet w Getyndze.

Mój pobyt w Berlinie Zachodnim od października 1987 r. do Bożego Narodzenia 1988 r. należy do najpiękniejszych okresów mojego życia, mimo że mnie również dotknął syndrom podziału miasta. Wkrótce poczułem szczęście bycia jednym z „wyspiarzy” – podobnie jak kilku moich polskich znajomych, którzy znaleźli się w Berlinie Zachodnim przed lub po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce, ale także jak poznani w międzyczasie nowi zachodniobерlińscy przyjaciele – naukowcy, kilku pracowników banków, kelner, fryzjerka i in. Berlin Zachodni jako wyspa pośrodku „czerwonego morza”, pod którym to pojęciem rozumiano otaczającą miasto komunistyczną NRD – to obrazowe określenie, znane starszym pokoleniom, ale niewiele mówiące młodszemu, wyrażało doskonale ówczesną sytuację mieszkańców.

Zachodni berlińczycy żyli jak na ówczesne okoliczności polityczne dostatnio i w sumie, jak mi się zdaje, szczęśliwie. Wschód miasta był dla wielu z nich nieznanym, nie chcieli też tam jeździć – dopiero kilka lat po upadku muru moi zachodniobерlińscy znajomi i przyjaciele zaczęli odkrywać wschodnią część miasta. W każdym razie zachodni berlińczycy przed upadkiem muru przystosowali się do istniejących w związku z jego istnieniem warunków. Week-endy spędzało się w domu, w klubach, w Grunewaldzie i nad tamtejszym jeziorem albo nad Wannsee (pobliski ogródek piwny „Loretta” jest znanym miejscem spotkań mieszkańców miasta). Dom dla gości Wolnego Uniwersytetu przy Thielallee 19, w którym mieszkałem, był bardzo korzystnie położony – blisko uniwersytetu, otoczony zielenią, w niewielkiej odległości od stacji metra Thielplatz i Dahlem Dorf, skąd w około 20 minut można było dotrzeć do centrum Zachodniego Berlina.

Tym, co mnie w czasie mego pobytu w Berlinie Zachodnim najbardziej zadziwiało, był dobrobyt jego mieszkańców (mówi się, że zawdzięczali go dotacjom z budżetu federalnego i innym ułatwieniom). Otoczenie Wolnego Uniwersytetu należy do najpiękniejszych i zarazem najdroższych w Berlinie. Jako Wschodnioeuropejczyk pochodzący z kraju, w którym różnice między biednymi a bogatymi nie były takie wyraźne, nauczyłem się przechodzić obojętnie obok pięknych domów, samochodów, restauracji, w których spędzali czas berlińczycy. Codziennie stykałem się z zachodniobерlińskim dobrobytem i mogłem się cieszyć z tego, że miałem w nim swą część w postaci stypendium, które nie tylko starczało na to, by godnie pracować i żyć w Niemczech, ale i poprawić sobie warunki bytowe po powrocie do Polski. Z zaoszczędzonych pieniędzy można było przy ówczesnym kursie wymiany walut, który dziś wydaje się nieprawdopodobny, żyć kilka lat. Na przykład obiad w warszawskim hotelu Victoria Intercontinental dla trzech osób, na który zaprosiłem dwóch przyjaciół, kosztował 20 DM – za aperitif, zimne przekąski, zupę, danie główne, deser i napoje. W tym samym czasie przelot samolotem LOT z Warszawy do Berlina Wschodniego kosztował w przeliczeniu na walutę 6 DM – dla porównania: autobus dowożący pasażerów z lotniska Schönefeld do Wieży Telewizyjnej w Berlinie Zachodnim kosztował wówczas... 7 DM! Takie absurdalne kursy wymiany walut odzwierciedlają ówczesną sytuację społeczno-gospodarczą krajów bloku wschodniego. Posiadacze dewiz cieszyli się w socjalistycznej Polsce statusem klasy uprzywilejowanej. Ja także muszę przyznać, że dzięki niemieckiemu stypendium zaliczałem się do niej.

Te obserwacje wysokiego poziomu życia w Niemczech, a zwłaszcza w Berlinie Zachodnim, zainspirowały mnie do zainteresowania się różnicami między systemami społeczno-ekonomicznymi i politycznymi na Wschodzie i na

Zachodzie, które to różnice później badałem naukowo, a następnie przenieśliem do dydaktyki, czyli na zajęcia ze studentami. Dziś żyjemy wprawdzie w świecie, w którym takie różnice coraz bardziej zanikają, a przynajmniej nie są zbyt jaskrawe. Ale o tych faktach z przeszłości powinno się mówić młodszemu pokoleniu, jeśli nie dla samej prawdy, to przynajmniej dla wiedzy historycznej. Już w latach 80. miałem okazję do przemyśleń na temat różnych sposobów życia i różnych światów, w których żyli Niemcy i Polacy, nie tylko na podstawie lektury publikacji naukowych, literatury pięknej i prasy, ale także przez bezpośrednie kontakty z ludźmi po obu stronach muru dzielącego Europę Wschodnią od Zachodniej. Pod koniec roku 1982 otrzymałem miesięczne stypendium na pobyt w Uniwersytecie w Tybindze. Był to mój pierwszy wyjazd do Niemiec Zachodnich. Przeżyłem jeszcze większy szok kulturowy, aniżeli podczas moich dwóch wcześniejszych pobytów u rodziców przebywających wówczas w Wilmslow, eleganckiej miejscowości w pobliżu Manchesteru, obserwując z bliska funkcjonowanie kapitalizmu. Pojechałem do Tybingi, by zebrać materiały do przygotowywanej wówczas pracy doktorskiej na temat ordoliberalizmu. Miałem naprawdę szczęście, ponieważ mogłem pracować naukowo pod okiem kierownika tamtejszej Katedry Ekonomii Uniwersytetu w Tybindze, profesora Josefa Molsbergera, współwydawcy czasopisma „ORDO – Jahrbuch für die Ordnung von Wirtschaft und Gesellschaft”, które jest bardzo zasłużone dla popularyzacji idei ordoliberalizmu. Jestem prof. Molsbergerowi niezmiennie wdzięczny za ówczesną opiekę nad moim zamierzeniem badawczym. Wówczas rozumiałem stosunkowo niewiele z liberalnego ustroju gospodarczego i ze społeczno-ekonomicznych i politycznych poglądów ordoliberalów lub niemieckich neoliberalów (bo tak też bywają nazywani, w ówczesnym, a nie dzisiejszym znaczeniu tego słowa!). Otóż dane mi było wówczas przyjrzeć się z bliska funkcjonowaniu, niegdyś jakże skutecznego, systemu społecznej gospodarki rynkowej, którą niektórzy badacze umiejscawiają w pobliżu doktryny ordoliberalizmu. Prof. Molsberger jeździł wówczas dwudziestoletnim mercedesem, już wtedy uważanym niemal za zabytek, który jednak nie tracił na wartości, a wręcz przeciwnie – zyskiwał. Tę ekonomiczną zagadkę wyjaśnił mi mój opiekun naukowy.

Wynikiem moich badań nad myślą czołowych przedstawicieli ordoliberalizmu – Alfreda Müller-Armacka, Franza Böhma, Wilhelma Röpkego, Alexandra Rüstowa i innych – była moja dysertacja doktorska. Jednakże pracowałem nad nią, co warto szczególnie podkreślić, jeszcze przed przełomem roku 1989, tzn. w czasach tzw. realnego socjalizmu. Za oznakę wolności badań naukowych w byłej Polsce Ludowej uznają to, że tego rodzaju tematy, jak ordoliberalizm były w ogóle akceptowane przez rady wydziałów pol-

skich uniwersytetów. Przed rokiem 1989 badania nad kapitalizmem oczywiście nie służyły temu, by go w Polsce wprowadzić, lecz – według mojej oceny – by wykorzystać jego pozytywne aspekty. W każdym razie decydenci polityczni w Polsce byli doskonale zorientowani w teorii i praktyce kapitalistycznego ustroju gospodarczego i liberalizmu. Sam tłumaczyłem teksty społeczno-ekonomiczne dotyczące różnych aspektów funkcjonowania tzw. społeczeństwa burżuazyjnego, współpracując z Instytutem Badania Współczesnych Problemów Kapitalizmu w Warszawie. Nie ukrywam, że czułem się przy lekturze i tłumaczeniu tych tekstów, jak osoba wtajemniczona w idee i problemy, które dla polskiej opinii publicznej pozostawały ukryte. Opublikowanie mojego doktoratu w prestiżowym wydawnictwie uważałem za swój osobisty wkład do poszerzenia i pogłębienia wiedzy o wolnościowo-demokratycznym ustroju Republiki Federalnej. W ówczesnych warunkach politycznych książka, mimo swego niskiego nakładu wynoszącego 820 egzemplarzy, była pierwszym w Polsce źródłem wiedzy o ordoliberalizmie.

Różnice ustrojowe między Wschodem a Zachodem, immanentna, związana z systemem słabość ustroju komunistycznego, za którym jeszcze gdzieś niedzie się tęskni – w Polsce rzadziej, w Niemczech (Wschodnich) częściej – są zbadane w stopniu wystarczającym i nie muszą tu być wyjaśniane. Musimy jednak uświadamiać młodszemu pokoleniu to, że trzeba uczyć się na błędach z przeszłości i że nie wolno dawać wiary społecznym utopiom.

Przełom roku 1989, zapoczątkowany w Polsce 4 czerwca zwycięskimi dla obozu antykomunistycznego wyborami do Sejmu, w Niemczech zaś, szczególnie w Berlinie, upadkiem muru w dniu 11 listopada, akurat podczas wizyty kanclerza Helmuta Kohla w Warszawie, co doprowadziło do zjednoczenia obu państw niemieckich, został odebrany w Polsce i w Niemczech w różny sposób. W tym przejawyły się podstawowe różnice w podejściu do realnego socjalizmu czy też do komunizmu, jak się zwykle nazywa dawną formę władzy w Polsce. Byłem na początku roku 1990 w Berlinie i obserwowałem tzw. *Mauerspechte* (dziecióły stukające w mur), czyli ludzi rozbijających młotkami, kilofami i innymi narzędziami mur berliński. Burzenie muru było wówczas wyrazem protestu przeciwko tej kuriozalne budowli, ale i atrakcją turystyczną i sposobem na zarobienie pieniędzy, bo jej kawałki były także sprzedawane ludziom, którzy sami nie chcieli urąbać sobie własnoręcznie fragmentu dla siebie. Widać było euforię tych „dzieciółów”, ale także licznych gości z kraju i zagranicy obserwujących demontaż niegdysiejszego „antyfaszystowskiego wału ochronnego”, jak nazywano umocnienia graniczne wokół Berlina Zachodniego w oficjalnym języku NRD. Podobny do berlińskiego mur, który był częścią żelaznej kurtyny, nie istniał w żadnej części świata i pod tym względem wschodni Niemcy w odgraniczaniu się

od swych braci i siostr z Zachodu nie mieli sobie równych w żadnym kraju świata. Berliński mur jawił się Polakom jako upiorny obiekt, NRD zaś jako państwo, z którym łączyła ich „przymusowa przyjaźń”, której prawdziwe oblicze ujawniało się dopiero w bezpośrednim zetknięciu ze wschodnio-niemieckimi pogranicznikami i celnikami. Szykany enerdowskich funkcjonariuszy wobec Polaków były znane. „Czy przewozi Pan radiostację, broń, amunicję?” – to standardowe pytanie było zadawane przy przekraczaniu granicy między oboma państwami niemieckimi. Sam kilkakrotnie byłem drobniawczo kontrolowany. Zupełnie inaczej zachowywali się funkcjonariusze straży granicznej i celnicy RFN – zawsze „na luzie”, z uprzejmym uśmiechem wykonujący swe obowiązki, byli zaprzeczeniem swych wschodnio-niemieckich odpowiedników, sprawiających wrażenie Prusaków. Po upadku muru granica ta miała wreszcie przestać istnieć i wszyscy zdawali się z tego cieszyć. Swoboda podróżowania stała się oczywistym dla każdego prawem obywatelskim.

Tymczasem od upadku komunizmu w Polsce i muru berlińskiego minęło ponad 20 lat. Narodziły się nowe pokolenia Polaków i Niemców, dla których komunizm, podział świata i mur jako jego symbol stały się jedynie fragmentami biografii ich rodziców i dziadków. Młode pokolenia bynajmniej nie żyją w beztrudnych czasach, ba, ich problemy wydają się trudniejsze aniżeli te, które mieli ich rodzice i dziadkowie. Jednakże każde pokolenie ma swoje własne problemy i trudności, także swoje własne radości, których nie można porównywać z tymi, jakie mają następne generacje.

Co się tyczy mojego pokolenia i co mnie osobiście zawsze cieszy, to fakt, że dane nam było żyć w Polsce i w Niemczech już prawie 70 lat w warunkach pokoju. Żyjemy w jednoczącej się Europie. Wprawdzie droga do federacyjnego systemu państw europejskich jest jeszcze dość długa, a perspektywa stabilnej Unii Europejskiej o wyrównanym poziomie życia we wszystkich krajach członkowskich dość daleka. Ale powinniśmy wspólnie, Polacy obdarzeni słowiańską fantazją i Niemcy posiadający zmysł praktyczny, jak też i inne narody europejskie, z których każdy ma właściwe mu cechy pozytywne, pracować nad tym, aby w nadchodzących dziesięcioleciach w Europie nadal panował pokój, ludzie zaś wykorzystali ten długo trwający stan dla własnej pomyślności, a przede wszystkim, by go zachowali i umocnili. Takie jest moje życzenie jako człowieka urodzonego w polskiej kulturze po II wojnie światowej i jako Europejczyka wyrosłego i żyjącego między kulturami Polaków i Niemców.

Tomasz G. Pszczółkowski, urodzony w 1951 r. w Warszawie. W latach 1961–1965 przebywał wraz z rodzicami w Berlinie (NRD). Studia germanistyczne na Uniwersytecie Warszawskim (1969–1974). Doktorat (1985) i habilitacja (1997) w zakresie nauki o polityce na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW. W latach 1987–1988 stypendysta Fundacji im. Alexandra von Humboldta w Getyndze i Berlinie Zachodnim.

Od 1974 r. pracownik naukowo-dydaktyczny w Instytucie Germanistyki UW (lektor, starszy asystent, adiunkt, od 1999 r. profesor nadzwyczajny UW); w latach 1991–2009 kierownik Zakładu Kultury Krajów Niemieckiego Obszaru Językowego, od 2009 r. kierownik Zakładu Studiów nad Krajami Niemieckiego Obszaru Językowego. Główne obszary badań: historia Niemiec, kultura krajów niemieckiego obszaru językowego, komunikacja międzykulturowa.

W latach 1998–2011 profesor Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Puławach. W roku akademickim 2005/2006 profesor nadzwyczajny w Katedrze Business Communication w Szkole Głównej Handlowej. W latach 2007–2013 profesor Wszechnicy Polskiej – Szkole Wyższej w Warszawie.

W latach 1980–1990 tłumacz i redaktor prowadzący czasopisma „Polnische Neuerscheinungen” (Nowości Wydawnictw Polskich, Agpol Warszawa).

Członek komitetu redakcyjnego czasopisma „Studia Niemcoznawcze” *Studien zur Deutschkunde* (Instytut Germanistyki UW) i „Rocznika Katedry Badań Niemcoznawczych Uniwersytetu Łódzkiego”.

Autor ponad 100 publikacji, w tym trzech książek: *Ordoliberalizm. Społeczno-polityczna i gospodarcza doktryna neoliberalizmu w RFN*, Warszawa–Kraków 1990; *Zur Methodologie der Interpretation des Politischen bei Friedrich Nietzsche*, Frankfurt am Main 1996; *Deutsche und polnische Kultur im kulturwissenschaftlichen Vergleich*, Warszawa 2013.

Współredaktor kilku książek, m.in.: *Teksty liberalne* (Warszawa 1993); *Nowoczesny liberalizm i Moderner Liberalismus* (wspólnie z Hansem-Georgiem Fleckiem, Warszawa 1997); *Polska między Niemcami a Rosją* * *Polen zwischen Deutschland und Russland* (wspólnie z Karolem Czejarkiem, Pułtusk 2011).

Tłumacz literatury z zakresu filozofii, myśli politycznej i religioznawstwa, m.in. książek: Heinrich i Marie Simon, *Filozofia żydowska*, Warszawa 1990; Claus Menze, *Wilhelm von Humboldt*; Warszawa 1993; Barthold C. Witte, *Friedrich Naumann. Człowiek i dzieło*, Warszawa 1998; Gerhard J. Bellinger, *Leksykon religii świata*, Warszawa 1999 (współtłumacz: Tadeusz Kachlak); Dietrich von Hildebrand, *Spustoszona winnica*, Warszawa 2000.

PIOTR ROGUSKI

Nad Menem i Renem

Wszystko jest lub może stać się symbolem, zwłaszcza gdy żyjemy świadomie w przestrzeni symbolicznej. Drobnny przykład. Co może czuć Polak przekraczający granicę polsko-niemiecką w noc z 31 sierpnia na 1 września?

To moje pytanie, które zadawałem sobie, siedząc w pociągu relacji Warszawa Wschodnia–Frankfurt nad Menem. Czasu było do woli, ponad dwadzieścia godzin jazdy od stacji początkowej do stacji końcowej, wystarczyło więc na wszystko: na ogólne zdenerwowanie, nudę podróżną, obserwację krajobrazów i na refleksję.

Wtorek 31 sierpnia okazał się ze wszech miar dniem symbolicznym. Wsiadając o 9.15 do pociągu udającego się „na Zachód”, z każdym kilometrem pozostawiałem za sobą „wschodnią” rzeczywistość. Nie pamiętam, czy podróż przebiegała planowo, jeśli tak, to ok. 20.00 opuściłem w Zgorzelcu obszar PRL-u, ok. 4.00 nad ranem dnia następnego – obszar Układu Warszawskiego, by przez Bebrę, Fuldę i Hanau dotrzeć o 6.15 do innego Frankfurtu, tego nad Menem.

Dziś, po trzydziestu latach od tamtej podróży, wiele ważnych szczegółów uległo oczywistemu zatarciu. W niebyt historii odeszły uciążliwe i mało przyjemne kontrole celno-paszportowe na obu granicach (PRL-NRD oraz NRD-RFN), cała egzotyka podziałów ideologicznych, łącznie z istnieniem NRD. Pozostała istota symbolicznego pytania.

1 września Frankfurt/M powitał mnie bezchmurnym niebem i temperaturą sięgającą 30 stopni. Cudowna pogoda panowała zresztą przez cały miesiąc, identycznie jak w 1939 r. „na Wschodzie”, dokąd ochoczo i z pieśnią na ustach udawali się inni młodzi ludzie... Różnica między nami była przynajmniej jedna: ich nikt tam nie prosił, a już na pewno nie w bombowcach,

czołgach i z bronią w rękę, ja miałem w kieszeni zaproszenie z miejscowego uniwersytetu i niewielki tylko bagaż podróżny!

Po podpisaniu umowy o pracę zdałem sobie sprawę, że znalazłem się w dogodnej, jeśli nie komfortowej sytuacji w porównaniu z mizernym statusem tysięcy rodaków, którzy różnymi drogami i sposobami dotarli do RFN. Dzięki zaproszeniu uniwersytetu miałem w kieszeni dokument legalizujący mój pobyt i zgodę na pracę, czyli usuwający z pola widzenia troski dnia codziennego zwykłego emigranta. Co więc zrobię ze swoim pobytem, zależało już tylko ode mnie.

Przez kontakty z rodakami w trakcie coniedzielných odwiedzin „polskiego kościoła” i przez nawiązane tam znajomości szybko zorientowałem się, że przedstawiciele polskiej społeczności obierają jedną z dwóch dróg. Większość, z uwagi na deficyty językowe, brak zgody na dłuższy pobyt, a tym samym na legalną pracę skazana była na trudną doraźną egzystencję i frustrującą niepewność. Przyczynę stanowiła urzędowa marginalizacja tych ludzi, a skutek – postępująca samoizolacja. W okresie pionierskim był to jedyny sposób na przetrwanie (pomoc rodaków), na dłuższą metę rodziło opłakane skutki. W odmiennej sytuacji znaleźli się ci, którym na podstawie rozmaitych dokumentów (nie zawsze autentycznych) władze uznały „pochodzenie niemieckie”. Niemiecki dowód osobisty rozwiązywał podstawowe problemy, ale i wytwarzał nacisk, by skończyć z polską przeszłością, zrzucić ją z siebie, jak znoszony płaszcz i przedzierzgnąć się w Niemca (-kę). Jak ten proces obywatelskiej i narodowej inkorporacji przebiegał, łatwo można sobie wyobrazić. Mimo nowych dokumentów pozostawali przecież nadal Polakami, a dla stałych mieszkańców wyłącznie niechcianym elementem, co okazywano im przy każdej możliwej sposobności. Trudno zatem powiedzieć, że poczuli się wreszcie spełnieni, „u siebie”, ale to już nieodzowny koszt takiego wyboru.

Pozbawiony na szczęście podobnych dylematów skupiłem się na roli obserwatora, którego interesowało praktycznie wszystko. Od otaczającej mnie t e r a z rzeczywistości, ideologicznie i narodowo definiowanej jako „wroga”, przez życie niemieckiej Polonii, tego zadziwiającego konglomeratu postaw (między twardą realnością a marzeniami), po konfrontację historycznych i aktualnych relacji polsko-niemieckich.

Obserwacje z dłuższych pobytów, najpierw we Frankfurcie nad Menem, później w Kolonii, znalazły swój wyraz w dwóch dwujęzycznych zbiorach poezji. W 2007 r. opublikowałem tomik wierszy pt. *Co mnie obchodzą Niemcy*, a w 2009 r. – tomik *adieu, cologne*.

Podmiot liryczny moich niemieckich wierszy, w pewnym sensie *alter ego* autora, nie czuje się ani podróżnym, zwykłym turystą, ani uchodźcą poli-

tycznym czy ekonomicznym. Z literackich kreacji przypomina najbardziej *flanera* (franc. *flâner*), „łazika miejskiego” wałęsającego się po mieście, zwykle bez specjalnego celu, choć „bezczelowość” oznacza w takich wypadkach wyrafinowany zabieg intelektualny. Łazikowanie po znanym lub nieznanym mieście zawiera w sobie ważny element „zadziwienia” (miejscami, ludźmi, sytuacjami), które prowadzi do odkrycia czegoś istotnego, zastanawiającego, wartego namysłu i utrwalenia. Ponieważ *flaner* – włóczykij nie ma większych kłopotów materialnych, całą swą energię poświęcić może na miłe spędzanie czasu. W równym stopniu – na filozofowanie, jak i na nudę.

Jakie miasto zobaczył podmiot liryczny moich wierszy w latach 80. XX w.? Każdego przyjeżdżającego z kumunistycznego Wschodu Frankfurt nad Menem fascynował przymiotami, których nie znajdował we własnym kraju, czyli rozmachem, bogactwem, kolorowymi fasadami budynków i „kolorową” wolnością ludzi, inaczej ubranych i zachowujących się.

Czy mógł zatem oprzeć się pokusie spędzania wolnych dni na Dworcu Głównym, wmieszany w przelewający się wielojęzyczny tłum pasażerów? Obserwacji tego ogromnego mechanizmu przyjazdów i odjazdów, z nieodłącznym folklorem dworcowym, nieznaną mu rzeszą bezdomnych i narkomanów? Ponieważ Hauptbahnhof sąsiaduje ze słynną Kaiserstraße, ulicą „rozpusty”, po wizycie na dworcu każdy w podobnej sytuacji udawał się na spacer w kierunku centrum. Po drodze lustrowano wystawy *Sex Shop*’ów, z pewnym zażenowaniem zaglądano do środka, z rzadka decydując się na obejrzenie „ pornosów”. Hamulec wychowania, zakazu i grzechu działał silnie.

Kaiserstraße prowadzi wprost do śródmieścia, do położonego między Hauptwache a Konstablerwache ekskluzywnego centrum handlowego, także centralnego deptaku przyciągającego setki domorosłych muzyków, akrobatów, połykaczy ognia, żonglerów, łącznie z wyznawcami znanych i nieznanymi religii, sekt, organizacji, tworząc rojowisko, od którego zakreślić się mogła głowa człowieka ze Wschodu. Zwłaszcza granice swobody i wolności jednostkowej, w ubiorze, zachowaniu i głoszeniu poglądów zostały niewiarygodnie poszerzone i rozluźnione. Wiele dziwnych myśli przyszło mu wtedy do głowy.

Po szoku pierwszego zderzenia z nową rzeczywistością nastąpił czas na głębsze nieco refleksje. Przybysz z Polski, chciał czy nie, kontaktował się codziennie z obcym otoczeniem: z obcą mową, znakami, symbolami, prasą, telewizją, komentarzami. „Obcość” zawsze zmusza do zastanowienia i porównań, wymusza też przewartościowania, które mogą pójść w kierunku jej akceptacji lub odrzucenia.

„Obcość” ma jednakże niejedno imię. „Obcość” w kostiumie niemieckim stanowi prawdziwe wyzwanie dla serca, duszy i mentalności polskiej. Nie trzeba wymieniać tu historycznie ukształtowanej listy różnic, dość zgodzić się, że istnieją i określają nasze wzajemne relacje. Jak zatem odnaleźć się w tym gąszczu historycznych i aktualnych faktów, ideologii, uprzedzeń, stereotypów, zachowując przy tym własną tożsamość?

Podmiot liryczny moich wierszy niemieckich konfrontował się w okresie frankfurckim, a później kolońskim przede wszystkim z najnowszą historią, okresem II wojny światowej i jej skutkami w psychice obu narodów. Zauważył, że o ile on sam tkwił silnie w „rozpamiętywaniu ran”, o tyle społeczeństwo zachodnioniemieckie żyło teraźniejszością, korzystało z dobrodziejstw demokracji i „cudu gospodarczego”. Czym więc była wojna? Wyłącznie przeszłością, o której chciano zapomnieć, wyrzucić z rejestru spraw pilnych, przysypać kurzem archiwalnym. A przecież żyli jeszcze świadkowie wydarzeń, sprawcy i ich ofiary! Mój obserwator na widok najstarszego pokolenia Niemców maniakalnie wprost pytał: „gdzie wtedy byli, co robili?” Na pamięć przychodził mu dla porównania los polskiego pokolenia, zwanego „rocznik dwudziesty”. Analizując nekrologi w poczytnych dziennikach, odczuwał silną potrzebę poddania ich refleksji. W wierszu *Starzy Niemcy* pisał:

Starzy Niemcy umierają
dwa trzy razy na tydzień
w nekrologach eFAZet
lub Frankfurter Rundschau

wygrzebuję z ofert
rocznik około dwudziesty
dekorowany na koniec
(licho wie czemu?)
złamaną różą żalu
jakby TERAZ
dopełniało się naturalnie
a WTEDY
było aż tak dawno
że na pomarszczonych fotografiach trudno
bez ryzyka błędu
rozpoznać pytona zła w mundurze SS
z twarzą bardzo bliskich krewnych

otulajcie wasz smutek pokorą
wystarczy

Po lekturze moich obu tomików niemieckich można odnieść wrażenie, co wyraził zresztą wprost Lew Władymirowicz Bondarijewski, ich tłumacz na język rosyjski, że „Polacy ciągle wracają do tych spraw”. Być może jest to przypadłość mojej psychiki, bo przecież nie biografii, jako że urodziłem się pod koniec 1945 r. Uważam jednak, iż mimo upływu lat, ogrom zbrodni nazistowskich Niemiec i ogrom cierpień zadanych innym nie tylko nie może ulec przedawnieniu, ale i nie powinien zniknąć z pola widzenia poety (pisarza, humanisty).

Jeszcze jeden prosty przykład. Jako chrześcijanin odwiedzałem liczne kościoły niemieckie, zarówno w celach turystycznych, jak i sakralnych. Moją uwagę, poza podziwem dla architektury, przykuwały tablice pamiątkowe fundowane poległym w czasie ostatniej wojny. Z ich pełną akceptacją miałem zawsze problemy. Nie odnajdywałem na nich bowiem informacji, czy dana osoba była dobrym czy złym człowiekiem i w jakiej sprawie zginęła, a taka powinna być moralna kwalifikacja tablicy (czy słuszne byłoby upamiętnianie po kościołach złoczyńców?).

Każdy naród ma oczywiście prawo do opłakiwania własnych zmarłych, przechowywania pamięci o poległych, ale są granice tych praktyk wyznaczane przez zwykłą ludzką sprawiedliwość i przyzwoitość. Nie każda tablica i nie z każdym nazwiskiem powinna znaleźć miejsce w przestrzeni publicznej.

Dlatego w pełni zaskoczył mnie projekt artystyczny Guntera Deminga, upamiętniający w sposób szczególny ofiary nazizmu. Artysta nazwał swoją ideę i jej rozliczne realizacje *Kamieniami pamięci* (Stolpersteine). Owe „kamienie pamięci” to 10-centymetrowe betonowe kostki brukowe z osadzonymi na nich mosiężnymi tabliczkami, na których wyryto nazwisko osoby z datą urodzenia i informacją, gdzie została zamęczona. Wmurowane w chodnik, przed domami ofiar, lekko wystają, na tyle by przechodzień celowo potknął się o nie, a tym samym zatrzymał się i przeczytał umieszczony napis. Do roku 2007 wbudował Deming w zwykłe ulice miast niemieckich kilkanaście tysięcy *Kamieni pamięci*.

Wrażenie jest piorunujące i chyba silniejsze niż z tablicami wmurowanymi w budynki. O ile te ostatnie mają działać na nasze oczy, domagając się należytej uwagi, o tyle *Kamienie pamięci* atakują nogi, a przez nie wytrącają całe nasze ciało (i ducha) z bezpiecznej równowagi. Potknięcie poszukuje wyjaśnienia, a tego aż nadto dostarcza napis.

Gdy któregoś dnia majowym popołudniem 2003 lub 2004 r. spacerowałem ulicą Weyertal w pobliżu siedziby Instytutu Sławistyki uniwersytetu w Kolonii, zetknięcie z wystającą kostką było dla mnie prawdziwym zaskoczeniem. Zachwianie fizyczne nie spowodowało upadku, bardziej dotknięta została równowaga ducha, więc z należytą uwagą oddałem się analizie odkry-

cia. I co za uczucie radości mnie przepełniło! Wreszcie odnalazłem w Niemczech tych z grona sprawiedliwych (niejedynych przecież, ale to kwestia osobna), którzy nie zapomnieli o zbrodniach swoich rodaków i dawali temu publiczny wyraz nawet po upływie półwiecza.

Symboliczne spotkanie z *Kamieniem pamięci* długi czas nie dawało mi spokoju, aż powstał wiersz pt. *Żywy*, próbujący tematyzować to wydarzenie.

Żywy
przywędrowałem ze wschodu nad Ren
bez zamiaru składania wizyt
nie swoim zmarłym

Salomon Levenbach
(z nieodłączną Margarethe)
ostatni adres Kolonia Weyertal 127
wędrując transportem w '41 na wschód
nie przypuszczali
że ktoś stamtąd zrewizytuje ich
rodzinny dom

nie pytałbym
dlaczego tak się stało
gdyby nie wystający kamień z mosiądzu
wśród ulicznego bruku
magiczny kwadrat wypalonego życia

Hier wohnte
Salomon Levenbach
Jg. 1880
deportiert 1941
LODZ AUSCHWITZ
???

nieudolność kamieniarza
happening zielonego artysty

a może
doszło do proroczej kolizji
buta z materialnym śladem ducha?

sprawa z pogranicza (ironii) cudu

Wyjazd z Kolonii wczesną wiosną 2011 r., z powodu przejścia na emeryturę, nie spowodował rozstań w dawnym stylu po tylu latach pobytu w Niemczech. Dzisiejsza łatwość w przemieszczaniu się z kraju do kraju pozwala utrzymywać i pielegnować wcześniejsze związki. Moje powroty do Frankfurtu/M. i Kolonii może są teraz nieco rzadsze, ale niepozbawione silnych emocji i nowych podniet do refleksji.

Swoje uwagi zakończę jednym z wcześniejszych wierszy, z okresu frankfurckiego, który posłużyć może za swoistą kłamrę poetycką całej mojej „przygody niemieckiej”:

Od lat

Od lat posuwam się ruchem wahadłowym
przed sobą mam Frankfurt nad Menem
za sobą Warszawę n. Wisłą
zachód wschód
lub na odwrót W/Z

dalej nie wybieram się
wystarczy na jedno życie

Piotr Roguski, rocznik 1945. Profesor Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusku, emerytowany profesor w Instytucie Sławistyki Uniwersytetu Kolońskiego (Universität zu Köln). Autor licznych prac w zakresie literackich związków polsko-niemieckich i niemiecko-polskich. Opublikował m.in. książki: *Tulacz polski nad Renem. Literatura i sprawa polska w Niemczech w latach 1831–1845* (Warszawa 1981), *Kuszenie Polaków. Diabeł w świecie dramatu romantycznego* (Warszawa 1993), *Aufsätze zur polnischen und deutschen Romantik* (München 1996), *Cmentarz polski w Dreźnie* (Katowice 2000), *Dzielny kosynier i piękna Polka. Powstanie listopadowe w poezji niemieckiej* (Katowice 2004), *Do przyjaciela wroga. Niemcy w poezji polskiej. Antologia* (Katowice 2010), *Polnische Literatur als Mentalitätsgeschichte* (Nümbrecht 2011), *Słodkie imię wolności... Przejście Polaków przez Niemcy po upadku powstania listopadowego* (Warszawa 2011). Autor pięciu tomików poetyckich. Współwydawca dwujęzycznego pisma społeczno-literackiego w Niemczech „Zarys”.

EWELINA SARNECKA

Moje życiowe fascynacje...

*Moją polsko-niemiecką biografię
zawdzięczam ukochanej babci Bogdzie Zacharkiewicz
oraz mojemu mentorowi i przyjacielowi
– Heinzowi D. Stuckmannowi.
Im dedykuję ten tekst.*

27 października 2011 r. poleciałam z Warszawy do Kolonii, aby wspólnie z przyjaciółką Kasią pożegnać Stuckiego (tak nazywałyśmy Heinza Stuckmanna), naszego wspólnego znajomego, mojego mentora i najlepszego przyjaciela. Heinz D. Stuckmann był dziennikarzem, pisarzem o poglądach lewicowych, założycielem renomowanej szkoły dziennikarstwa w Kolonii. Zmarł 6 października 2011 r., cztery dni po swoich 89. urodzinach. Trzy tygodnie później został pochowany – zgodnie z jego życzeniem – anonimowo, na cmentarzu leśnym, na kolońskim przedmieściu.

Kasia przyleciała do Kolonii dwa dni później. Była osobą bliską Stuckmannowi, której przyjaźń szczególnie cenił, dlatego postanowiłam, że opowiem jej o moim szalonym pomysle: chcę wykopać urnę Stuckiego i zabrać ją ze sobą do Warszawy. Reakcja Kasi była jednoznaczna: „wchodzę w to”, więc już pierwszego wieczoru zaczęłyśmy planować szczegóły. Wiedziałyśmy, że jeśli zostaniemy przyłapane, grozi nam zarzut profanacji grobu. Ten fakt nie odstraszał nas jednak dostatecznie, tym bardziej, iż Stucki był za życia tą myślą poruszony.

Anonimowy grób Heinza D. Stuckmanna znajduje się we wschodniej części cmentarza. Będąc w Kolonii dwa dni przed Kasią, wybrałam się tam pierwszego dnia, aby zweryfikować miejsce położenia urny. Kiedy 29 października dotarłyśmy obie na cmentarz, zauważyłyśmy że Stucki nie jest już

sam w miejscu swojego spoczynku. Wskazywały na to leżące dookoła kwiaty i palące się świece, których ustawianie było w zasadzie zabronione, jako że cmentarz znajduje w lesie. Ewentualność, że ktoś przyniósł je tu dla Stuckmanna, była od razu do wykluczenia, ponieważ nikt z rodziny i znajomych nie przyszedł na pogrzeb, więc też nikt oprócz mnie nie mógł znać dokładnego miejsca pochówku. Wobec tego stanu rzeczy, z szacunku dla pozostałych zmarłych oraz ich bliskich, zrezygnowaliśmy z Kasią z naszego niecodziennego i chyba jednak nieprzemyślanego przedsięwzięcia. Pozostałyśmy na cmentarzu jeszcze przez parę godzin i pożegnałyśmy się ze Stuckim, pijąc „z nim” jego ulubione wino lodowe, które przechowałam dokładnie na tę chwilę. Około północy opuściłyśmy cmentarny las.

Heinz D. Stuckmann był jednym z moich pierwszych przyjaciół w Niemczech i tą osobą, która wywarła największy wpływ na moje życie i rozwój po opuszczeniu domu rodzinnego. On sam niejednokrotnie wyrażał zdumienie i podziw, że ja, dziewiętnastoletnia dziewczyna, wyjeżdżam 1000 km od domu do milionowego miasta na obczyźnie i szybko staję się pewną siebie młodą kobietą, otwartą na świat i niczym nie różnię się od kobiet z Zachodu. Ale to właśnie dzięki Heinzowi Stuckmannowi Kolonia stała się moim nowym domem, a ja – nie bez trudności – w końcu uwierzyłam w siebie.

Decyzję o wyjeździe do Niemiec podjęłam w wieku 19 lat, zaraz po maturze. Choć egzamin maturalny zdałam wzorowo, nie mogłam rozpocząć studiów (germanistycznych), ponieważ moich rodziców nie stać było na utrzymanie mnie w mieście uniwersyteckim, w Toruniu. Zaś z powodu wysokiego bezrobocia znalezienie w okolicy pracy po liceum ogólnokształcącym graniczyło niemal z cudem. Poza tym podczas egzaminu na studia, do którego podeszłam z ciekawości, dowiedziałam się, że większość studentów ma już w życiorysie dłuższy pobyt w Niemczech, w związku z czym ich niemiecki – w przeciwieństwie do mojego – był płynny. Tak więc (krótko po zdanym egzaminie) wyjechałam do Niemiec, aby zarobić na studia i jednocześnie udoskonalić znajomość tego języka.

Moim pierwszym przystankiem w Niemczech był Butzheim, wioska leżąca na południowy zachód od Düsseldorfu. Opiekowałam się tam ponad rok dwiema dziewczynkami, i oto tak „zostałam” nowym członkiem rodziny, a Butzheim stał się moim nowym domem. Niestety, oprócz serdeczności doświadczyłam tam również pierwszych negatywnych reakcji niemieckich sąsiadów. Często odczuwałam nieprzyjazne spojrzenia mieszkańców wioski oraz ich wrogie nastawienie do obcych (być może była to niechęć tylko do Polaków?). Płakałam często, a poczucie niższości rosło we mnie z każdym dniem. Punktem zwrotnym była chwila, kiedy postanowiłam nauczyć się

niemieckiego perfekcyjnie, aby wymusić u Niemców, ich własnym językiem, szacunek dla mnie.

Kiedy w roku 2003 przeprowadziłam się z Butzheim do Kolonii, mówiłam po niemiecku wprawdzie komunikatywnie i dość płynnie, ale do perfekcji było jeszcze daleko. Zapisalam się więc na kurs językowy w szkole wieczorowej. Niestety, już po krótkim czasie zorientowałam się, że ten kurs nie przynosi oczekiwanych efektów. Tym bardziej, że poziom pozostałych słuchaczy był zdecydowanie niższy od mojego. Wprawdzie przeszłam po krótkim czasie do grupy zaawansowanej, jednak i tu sytuacja nie wyglądała obiecująco. Stwierdziłam, że powinnam nie tylko lepiej zorganizować swój czas, ale także rozsądnie zainwestować pieniądze: zdobyłam najwyższy certyfikat, pożegnałam się ze szkołą wieczorową i zaczęłam szukać nowej pracy. Tę znalazłam zaledwie parę dni później, przeglądając koloński tygodnik „Kölner Wochenspiegel”. Zaciekało mnie w nim jedno krótkie ogłoszenie: *Starszy pan, pisarz, zamieszkały w Kolonii (Rodenkirchen), szuka gosposi domowej i pomocy w pracy biurowej...* Natychmiast zadzwoniłam pod podany numer, a następnego dnia pojechałam do Rodenkirchen na rozmowę. Po tygodniu otrzymałam telefon: „Ma Pani u mnie pracę!” Tej radości nie da się opisać słowami. Nie wiedziałam wówczas, że tym samym zaczął się najważniejszy okres w moim życiu – spotkałam swojego mentora.

Moja polsko-niemiecka biografia zaczyna się jednak 20 lat wcześniej, w sercu mojej ojczyzny, w maleńkiej wiosce Sosnówka, 40 km na południe od Grudziądza. Do 1945 r. miejscowość ta należała do Prus Wschodnich (Klein Rosenthal) i była częścią majątku (Rosenthal) pruskiego właściciela ziemskiego. Po II wojnie światowej Sosnówka stała się ośrodkiem hodowli bydła i trzody chlewnej, a po upadku PGR-ów czas tu się zatrzymał. W jednym z domów tej wsi, w dawnym baraku dla robotników i służby, mieszka dziś moja 75-letnia babcia. Sosnówka jest oddalona od mojego domu rodzinnego tylko o 3 km, więc jako dziecko często przebywałam pod opieką babci, ponieważ rodzice zajęci byli pracą w gospodarstwie. W ten sposób byłam „skazana” na towarzystwo mojej nietuzinkowej babci i fakt ten wpłynął fundamentalnie na moje późniejsze życiowe decyzje.

Babcia wzbudzała moją ciekawość bardziej niż ktokolwiek inny. Z fascynacją przysłuchiwałam się jej opowieściom o utraconym dzieciństwie i poruszającym historiom z czasu II wojny światowej. Wspomnienia te wydawały mi się tym bardziej ciekawe i wyjątkowe, iż towarzyszyły im zawsze trzy tajemnicze słowa: *Verdunkelung, Flieger, Feuer*. Ich rozszyfrowanie stało się dla mnie pierwszym prawdziwym wyzwaniem. Chłonełam więc opowieści

przy każdej okazji, zarówno by odkryć znaczenie owych tajemnych słów, jak i poznać ten odległy, a jednocześnie – dzięki mojej babci – realny świat. Pierwsza praktyczna okazja, aby rozpocząć naukę niemieckiego, nadarzyła się, kiedy mój ojciec kupił antenę satelitarną, która stała się „moim oknem na Zachód”! Od tej pory spędzałam prawie każde popołudnie z „zachodnią telewizją” (jeśli nie musiałam akurat pomagać ojcu w gospodarstwie, co było prawie codziennością, ojciec bowiem wychował mnie jak syna, straciwszy przy narodzinach trzeciej z kolei córki nadzieję na męskiego potomka). Język niemiecki brzmiał w moich uszach jak muzyka, natomiast świat, jaki odkrywałam w telewizji każdego dnia, wydawał się być rajem na ziemi. Swego rodzaju szok kulturowy wywoływały we mnie reklamy. Ludzie w nich byli piękni, pewni siebie, szczęśliwi i zadowoleni, jakby życie było przysłowiową bajką, a wydawanie pieniędzy jedynym w nim zajęciem. Przepaść między znaną mi rzeczywistością a tą z telewizji była szokująca. Wtedy pojawiła się w moim życiu kolejna okoliczność do zgłębienia „sekretnego języka” babci: nauczanie niemieckiego w szkole podstawowej w Ryńsku. Do roku 1992 nauczano tam tylko jednego języka obcego, rosyjskiego, wobec tego czułam się prawdziwą szczęściarą, kiedy mi oznajmiono, że poczynawszy od klasy czwartej wprowadza się dodatkowo właśnie język niemiecki. Naszą nauczycielką okazała się być starsza pani: jej lekcje były mało oryginalne i pani nie cieszyła się zbyt dużą sympatią uczniów i rodziców. Dla mnie jednak była wzorem. Zawsze ze szczególną koncentracją i zaangażowaniem przysłuchiwałam się jej lekcjom tak, aby nie umknęło mi ani jedno słowo, ani jedna reguła gramatyczna czy cenna uwaga. Po powrocie do domu spędzałam wieczory w „towarzystwie” starego, pożyczonego słowniczka, kolejno tłumacząc coś i ucząc się sumiennie nowych słówek, oraz regularnie powtarzając te już mi znane. Po paru miesiącach dokupiłam podręcznik wyższego stopnia, bo moja ciekawość i apetyt na język niemiecki rosły. Opowiadania i teksty z nowej książki opanowałam w krótkim czasie tak, że recytowałam je podczas lekcji bezbłędnie i z taką lekkością, jak gdyby były moimi własnymi wypowiedziami. Nauka języka niemieckiego stała się moją najprawdziwszą pasją.

Przełomowym momentem w okresie mojego dzieciństwa było zdarzenie, kiedy kolejny raz oglądałam z babcią jej stare, czarno-białe zdjęcia, na których była jeszcze małą dziewczynką, z krótkimi blond włosami, ubrana w śliczną sukienkę; sama lub w towarzystwie niezwykle eleganckiej kobiety. Babcia wyciągnęła niewielką poślódką kartkę papieru, zapisaną jakby dziecięcym niezdałym pismem. Był to list jej mamy do niej, do mojej babci. Kazała go przeczytać! Po chwili dowiedziałam się, że moja najukochańsza babcia nazywa się Erika Wolf i jest rodowitą Niemką.

Urodziła się w 1938 r. w Bonn. Zimą 1944 r. przyjechała razem ze swoją matką Teklą Wolf oraz siostrą w odwiedziny do rodziny w Pacóltowie (położonym niedaleko Olsztyna). Adolf Wolf, ojciec babci, walczył już wtedy na froncie. 13 stycznia 1945 r. Armia Czerwona wkroczyła na teren Prus Wschodnich. Tysiącom mieszkańców udało się uciec; Tekla Wolf nie zdążyła opuścić zagrożonych terenów. Nie widząc szansy na ucieczkę z dwiema małymi córeczkami, postanowiła oddać je pod opiekę zaufanej polskiej gospośi i wyjechała sama z Pacóltowa. Była pewna, że odbierze dzieci, gdy tylko unormuje się sytuacja. Kiedy Rosjanie wtargnęli do domu rodziny Wolfów, Erika widziała, jak żołnierze strzelają do jej siostry. Ona sama miała więcej szczęścia – jeden z mężczyzn okazał litość nad bezbronnym dzieckiem, twierdząc, że ono nie jest winne. Mimo że Erika przeżyła, nie mogła jako Niemka pozostać dłużej w polskiej rodzinie, więc otrzymała akt urodzenia, który zachował się po zmarłym synu gospośi – Bogdanie Podborowskim. W celu zachowania brzmienia polskiego imienia żeńskiego, została skreślona ostatnia litera „n”, natomiast w nazwisku „i” przerobiono na „a”. Erika Wolf żyje od tamtej pory jako Bogda Podborowska. Jej matka nigdy nie wróciła.

Babcia dowiedziała się o liście zawierającym jej prawdziwą tożsamość dopiero w 1968 r., kiedy jej „polska” matka leżała na łożu śmierci. Od tego czasu zaczęły powracać do niej okrucieństwa wspomnień, które do tej pory skutecznie wyparła ze świadomości trauma wojenna. Kilka lat później babcia zwróciła się do Czerwonego Krzyża o pomoc w poszukiwaniu rodowej matki i pozostałych członków rodziny. W roku 1983, ze względu na brak informacji, zrezygnowano z dalszych starań. W ostatnim liście z Hamburga, gdzie znajdowała się siedziba Czerwonego Krzyża, uzasadniono tę decyzję tak:

Szanowna Pani Wolf,

Z przykrością informujemy, że poszukiwania Pani matki Tekli Wolf, ur. dnia 15.05.1915 r., nie przyniosły oczekiwanego wyniku.

Mielśmy nikłą nadzieję odnalezienia Pani matki, otrzymując adres od kościelnego biura pewnej pani, Marthy Wolff, ur. 10.09.1916 r. w „Gr. Pötzdorf”, która, jak się okazało, nie jest osobą poszukiwaną i piszącą się przez dwa f – Wolff.

Uważamy jednak, że Pani mamusia Thekla Wolf miałaby dzisiaj, przy pomocy organizacji Czerwonego Krzyża, rozsianych niemal po całym świecie, możliwość poszukiwania swojej córki Eryki Wolf. Skoro Pani matka tego jednak do tej pory nie uczyniła, to należy przyjąć do wiadomości, że już zmarła lub nie jest absolutnie zainteresowana losem swojego dziecka. Przyczyna to wiadomość dla Pani, ale należy się z losem pogodzić.

Podczas mojego niespełna sześcioletniego pobytu w Niemczech babcia odwiedzała mnie wielokrotnie. Była za każdym razem poddenerwowana, trochę nieśmiała, ale chętnie wracała. Z kolei Stuckmanna też zaprosiłam wiele razy do Polski. W pierwszej kolejności jechaliśmy do mojej rodzinnej wsi Ryńsk, w której – według niego – znajduje się najpiękniejsza szkoła, jaką w życiu widział. Odwiedziliśmy Sosnowkę, gdzie razem z babcią spacerowaliśmy po okolicznym lesie pamiętającym jeszcze czasy wojny. Również – po byłym majątku pruskiego gospodarza, gdzie pozostał niewielki, podniszczony pałacyk. Zwiedzaliśmy Toruń: tamtejszą starówkę i bulwar filadelfijski, które urzekły Stuckiego tak bardzo, że do ostatnich dni swojego życia marzył, aby ponownie je odwiedzić. W Krakowie, gdzie byliśmy jesienią 2010 r., Stuckmannek „delektował się” codziennie hejnałem. Siedział w jednej z kawiarenek na Rynku, spoglądając na Kościół Mariacki i popijając swoją ulubioną Café au Lait. Ostatnią polsko-niemiecką wyprawę odbyliśmy, oboje po raz pierwszy, do Muzeum Auschwitz-Birkenau.

Moją biografię ukształtowały dwie wyjątkowe osoby: babcia i Heinz D. Stuckmann. Babcia zaszczerpiła we mnie zainteresowanie i fascynację obcym krajem. Heinz Stuckmann przyjął mnie na obczyźnie, „wyrzeźbił” moją intelektualną świadomość i sprawił, że Niemcy stały się dla mnie drugą ojczyzną... Dokąd zaprowadzi mnie jeszcze moja biografia? Wkrótce z pewnością do Pacółtowa, gdzie razem z babcią będziemy szukać śladów przeszłości, czyli naszych wspólnych korzeni.

Ewelina Sarnecka, ur. 1982 r., doktorantka Uniwersytetu Warszawskiego. Wychowała się na wsi pod Wąbrzeźnem. Po ukończeniu liceum ogólnokształcącego w Toruniu wyjechała do Niemiec (Kolonia), gdzie obudziła się w niej fascynacja językiem i kulturą niemiecką. W roku 2007 przeprowadziła się do Warszawy i ukończyła studia magisterskie na Wydziale Neofilologii Instytutu Germanistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Mieszka w Warszawie, gdzie pracuje dla prywatnej agencji współpracującej z Niemcami i Szwajcarią.

FELICITAS SÖHNER

Historia szwabsko-śląskiej rodziny z perspektywy czasu

Niełatwo przystąpić do pisania własnej biografii (czego w zasadzie oczekiwali ode mnie autorzy książki), zwłaszcza gdy jest się jeszcze w pełni sił fizycznych i twórczych, a przed sobą wiele planów, które chciałoby się zrealizować. W związku z tym skupię się w tym tekście głównie na opowieści o swoich przodkach, mniej zaś będzie bezpośrednio o mnie.

Jako dziecko dorastałam w małym miasteczku w Szwabii, a był to jeszcze czas, w którym język mówiony w mieście różnił się znacznie od tego, którego używano na wsi. I wtedy właśnie zauważyłam, że moja matka mówiła czysto po niemiecku, w odróżnieniu od ojca, w którego wymowie i wyrażeniach często pobrzmiwało coś obcego, innego – wtedy dla mnie jeszcze niezrozumiałego.

Również moja babcia ze strony ojca mówiła „inaczej”, np. zamiast *Senf* (musztarda) – „Mostrich”, czy w miejsce *Vanillezucker* (cukier waniliowy) – prosiła, aby jej podać „Fanilzucker” albo „Waniljezucker”, co też nie było czysto po niemiecku. Do dzisiaj zachowałam w pamięci tamte „dziwne” wówczas dla mnie określenia.

Jednocześnie miałam to szczęście, że moi rodzice i dziadkowie byli zwykle bardzo zajęci, pracując na gospodarstwie – w ogrodzie, w polu, czy przy inwentarzu, a ja mogłam spędzać z nimi jako dziecko dużo domowego czasu. Rozmawiając z nimi (zwykle wieczorami), także poznawałam „ich” język, a nade wszystko lubiałam słuchać opowieści, „jak to dawniej bywało”, gdy oni sami byli jeszcze dziećmi. Opowiadali chętnie o swej młodości, zabawach i żartach, jakie robili, dowiedziałam się z tego bardzo wiele, również o tzw. życiu społeczno-politycznym, czego nie znalazłabym

w żadnym podręczniku szkolnym. Każde z nich z osobna inaczej oceniało te same fakty, interpretowało je z własnej perspektywy, a zdarzało się, że przy powtórnym opowiadaniu tego samego zdarzenia – nie były one już takie same. Wsłuchiwałam się w te opowieści z ogromną dziecięcą fascynacją i ciekawością.

Najwięcej z nich dotyczyło rodziny ze strony mamy oraz okolic, w których mieszkała. Ale moja babcia opowiadała, właśnie w przeciwieństwie do mamy, o „zupełnie innych stronach”, w których się wychowywała. I tak poznałam z jej opowieści Breslau (dzisiaj Wrocław), okolice Nadodrza i dowiedziałam się o swych pradziadkach i nieznanych mi wcześniej krewnych, dowiedziałam się o wsiach i miasteczkach, w których żyli i mieszkali, chodzili do szkoły, również o innych obyczajach i tradycjach.

Było to tym ciekawsze, że przy okazji pokazywano mi stare fotografie, na których byli dziadkowie ojca, czyli moi praprzodkowie. Ich stroje także zasadniczo różniły się od ubrań noszonych w okolicy. Godzinami mogłam słuchać tych opowieści, wprowadzały mnie w inny świat, kulturę, pokazywały różnice między tym co było, a tym, co jest teraz.

Babcia wychowała się w małej miejscowości pod Wrocławiem. Ale do gimnazjum trafiła już w samym Wrocławiu. I choć jej językiem był niemiecki, opowiadała mi o koleżankach i kolegach, których nazwiska nie brzmiały niemiecko. Były to imiona i nazwiska Polaków, którzy mówili bardzo mieszanym językiem, określanym i wtedy, i dzisiaj jako *wasserpölnisch* (gwarą śląską, w której jest dużo naleciałości niemieckiego słownictwa). I tak dowiedziałam się o Renatce, najlepszej przyjaciółce babci, której rodzina pochodziła z okolic dzisiejszego Gogolina (Rosenberg); dowiedziałam się także o innych, bliskich jej wówczas ludziach, z którymi chodziła wspólnie na Górę św. Anny (miejsce wielkiego kultu religijnego Ślązaków ku czci Matki Boskiej). Dowiedziałam się też o strasznej powodzi, która nawiedziła te tereny, a z której uratowano się sprytnie dzięki wannom, wykorzystanym jako łódki. Dowiedziałam się również o niezwykle żyznej ziemi, na której wszystko rosło lepiej, było okazalsze, smaczniejsze niż gdziekolwiek indziej. To wszystko żyło w pamięci babci, było powodem jej nostalgii i nieukrywanej tęsknoty za utraconym „rajem”.

Opowiadała o różnicach społecznych panujących w czasach jej młodości; o innym traktowaniu Ślązaków – jako „nierodowitych” Niemców, a jednocześnie sprzyjających Polakom. Również o odradzającej się Polsce po I wojnie światowej.

Nie pomijała bolesnej tematyki II wojny światowej i niesprawiedliwości, jaka wtedy spotkała ludność polską. Ale opowiadała również o tradycji

świąt Bożego Narodzenia, która nakazywała przygotowanie 12 potraw na wigilijną wieczerzę i pozostawienie jednego pustego talerza dla niespodziewanego przybysza.

Gdy zdawałam maturę, babcia podarowała mi swój pamiętnik, z którego pożółkłych stron wyczytałam, jak w wieku 17 lat musiała opuścić swoją ojczyznę. Jednak nie znalazłam w jej pamiętniku nic o przyczynach, które spowodowały, że nie tylko ona, ale także wielu innych Niemców musiało wówczas z dnia na dzień opuścić swoją rodzinną ziemię i oddać cały dorobek swego życia innym przybyszom (przeważnie ze Wschodu). Nie znalazłam też niczego, co świadczyłoby o tym, że ludzie, których ten los spotkał, wiedzieli, dlaczego tak się stało. Był to raczej opis obaw, lęku i strachu, co teraz zmieni się w ich życiu i jaka czeka ich przyszłość. Przyznam, że wówczas czytałam jej zapiski jak najlepszy „kryminał” – tyle było w nich ciekawych informacji o przeżyciach młodej wówczas dziewczyny. Oceniałam ten pamiętnik jako dokument niezwyklej wartości i do tego bardzo ciekawie napisany. Postanowiła więc któregoś dnia nagrać te swoje „dziewczęce wspomnienia” na kasetę magnetofonową i w czasie następnych świąt Bożego Narodzenia podarowała to nagranie nam wszystkim, to znaczy swoim dzieciom i wnukom. Zarówno kasetę, jak i pamiętnik, który od niej otrzymałam, były dokumentami szczególnej wagi. Odtąd mieliśmy jej nagrany głos. Nie muszę podkreślać, jaka to przyjemność po latach ponownie słuchać głosu bliskiego człowieka, któremu tak wiele się zawdzięcza.

Nawet kiedy już studiowałam, zabierałam tę kasetę ze sobą i woziłam z miejsca na miejsce. A teraz „historie” mojej babci opowiadam swoim bliskim.

To od jej pamiętnika i kasety, także od wielu wieczornych opowieści „na dobranoc” wzięły się moje szczególne zainteresowania śląskimi korzeniami rodziny ze strony ojca. Więcej, wybrałam świadomie kierunek studiów, który pozwolił mi zgłębić dzieje, literaturę i kulturę ludu śląskiego, by włączyć tę wiedzę do moich pedagogicznych zainteresowań i odpowiednio przekazywać ją młodym pokoleniom.

Szczególnym obszarem moich badań stał się wiek XIX, w którym rozwój Śląska był niezwykle dynamiczny, ale też obfitujący w wiele dramatycznych wydarzeń. Interesowało mnie, jak losy małych rodzin składają się na większą całość i jak istotny wpływ miały one na kształtowanie ogólnej wiedzy o regionie. Co tak naprawdę świadczyło o pewnej wyjątkowości badanych rodzin i o ich wielkiej moralnej sile.

Miałam wielkie szczęście, że trafiałam na profesorów, którzy pozwalali mi bez ograniczeń rozwijać zainteresowania i nie próbowali od nich odciągnąć jako politycznie czy społecznie zbędnych. Wymienię tu nazwiska dwóch

osób, którym zawdzięczam najwięcej. Byli to: Peter Brandt i Friedhelm Boll, którzy opiekowali się moim doktoratem i inspirowali moje myślenie do ważnych badań „historycznych”.

Dzięki nim mogłam wyjaśnić i skonfrontować swoją wiedzę nabytą jeszcze w dzieciństwie z wiedzą podręcznikową. Mogłam odpowiedzieć sobie na pytanie (i nie tylko sobie), dlaczego Śląsk od wieków kojarzony jest z Polską? I dlaczego jego niemieccy mieszkańcy zostali w roku 1945 wysiedleni, by nie używać terminu (często spotykanego w literaturze przedmiotu) wypędzeni?

W czasie studiów wielokrotnie odwiedzałam Polskę, rozmawiałam z wieloma ludźmi, którzy utwierdzili mnie w przekonaniu, że warto na postawione sobie pytania badawcze znaleźć naukową odpowiedź. Dlaczego istnieją dwa odrębne „Śląski” – Dolny i Górny? Jakie były powiązania dzisiejszego Śląska z Czechami, na czym polegała odrębność Śląska Cieszyńskiego? Nurtowało mnie wiele zagadnień i problemów, do wyjaśnienia których w tak istotny sposób przyczyniło się pochodzenie mojej babci i swego czasu „inność” językowa mojego ojca. Zastanawiające dla mnie było to, co podkreślali często moi polscy rozmówcy: „Śląsk to mimo wszystko nie jest jeszcze prawdziwa Polska”, a z drugiej strony ci sami rozmówcy zdecydowanie bronili jego polskości! Chciałam dowiedzieć się, jak jest naprawdę?!

I dotarło do mnie, że ludności tego regionu nie da się jednoznacznie określić. Wielokrotnie zdarzało się, że pytana przeze mnie osoba nie mogła się zdecydować, czy jest pochodzenia niemieckiego, polskiego czy po prostu „śląskiego”.

Większość ankietowanych podawała podwójną narodowość: albo niemiecko-śląską, albo polsko-śląską. Ale na pytanie: za jaką państwowością się opowiadają, pozostawiali niewypełnioną rubrykę albo wpisywali: jestem opolaninem albo: Europejczykiem i jednocześnie wrocławianinem (*Breslauer*, mówiąc z niemiecka). Lub wpisywali: „Posiadam obywatelstwo polskie, ale czuję się katowickim Ślązakiem”.

Ciekawa jestem, co wpisałaby moja babcia, gdyby żyła? Może: „zanim stałam się mieszkanką Szwabii, którą uznałam za swoją «nową ojczyznę» – byłam Ślązaczką”.

W moim osobistym przeświadczeniu do końca życia pozostała rodowitą Ślązaczką, taką z krwi i kości, bo wyniesione stamtąd tradycje starała się przenieść (zaflancować – mówiąc po śląsku) do nowego miejsca pobytu, które zostało jej narzucone, a nie przez nią wybrane z własnej woli.

Jako wnuczka, przedłużająca jej generację, cieszę się ze swoich „śląskich” korzeni i dumna jestem, że część z nich wzbogaciła moją obecną, naddunajską „ojczyznę”. Tu np. jada się, jak ongiś sałatkę ziemniaczaną na obiad

w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia (bo nie tracąc czasu na obieranie ziemniaków, można ją przygotować wcześniej). A w Wigilię podaje się makówki (według przepisu mojej niezapomnianej babci) i to w miseczkach z Bolesławca! Będąc jeszcze dzieckiem – słyszałam o tych śląskich zwyczajach.

To, czego do dziś nie wiem, a babcia nie odpowie mi już na to pytanie: czy lepiej by jej było, gdyby swoje życie spędziła we Wrocławiu, czy w przydzielonej w wyniku przesiedlenia po II wojnie światowej – Szwabii?

To samo pytanie postawiła sobie żyjąca dziś nadal we Wrocławiu jej najlepsza przyjaciółka szkolna Christa, która zmieniła imię na Krystyna i nie dała wysiedlić, tylko przekonała nowe władze do swych śląsko-polskich korzeni i w tym pięknym mieście pozostała.

Obie panie, choć poszły inną drogą, coś jednak „po drodze” bezpowrotnie utraciły – w pewnym sensie swoją tożsamość. Jedna na zawsze utraciła swoją ojczyznę i musiała przenieść się w obcy dla niej świat, druga utraciła kontakt ze swym językiem i kulturą, ponieważ do Wrocławia przybyli zupełnie obcy ludzie, przywożąc ze sobą inne tradycje i zwyczaje, zmieniając całkowicie oblicze miasta.

Obie dawne przyjaciółki nigdy więcej nie spotkały się, tak dalece rozeszły się ich drogi, ale też nie rozpaczały z tego powodu, bo każda z nich zachowała dla siebie i swoich najbliższych „kawałek” starej ojczyzny. Nadal posługiwały się językiem swych przodków, śpiewały w swych domach poznane w młodości pieśni, przekazywały tak, jak umiały – w swych nowych rodzinnych kręgach – śląskie obyczaje, które przez nas – „młodych” – są kontynuowane i szanowane.

Tak więc i moja obecna rodzina zachowała w genach coś zarówno „niemieckiego”, jak i „polskiego”, uważając to za swego rodzaju bogactwo. Mam nadzieję, że kultura śląska będzie w dalszym ciągu żywa i będzie wzbogacać swoimi wartościami zarówno Polaków, jak i Niemców!

PS

Jeszcze kilka refleksji na marginesie rozmów biograficznych w Gödelitz.

W 2002 r. w konkursie literackim znanego polskiego dziennika „Rzeczpospolita” i Polskiego Radia na opowiadanie, esej, słuchowisko, względnie reportaż na temat „Niemcy, moi sąsiedzi”, jeden z jego uczestników stwierdził, że „powojenna młoda generacja Niemców znalazła się w położeniu nie do pozazdroszczenia przez czyny swoich ojców”. Inaczej mówiąc, spotkała się z wielką nieufnością ze strony młodych generacji innych narodów, które ucierpiały w wyniku działań II wojny światowej, wywołanej przez hitlerowskie Niemcy. I trzeba było wiele długich lat, aby z tej nieufności i izolacji,

w jakiej znalazł się po roku 1945 naród niemiecki – w końcu wydostać się. Mówiąc szczerze – do dzisiaj nie udało się tego osiągnąć w 100%, mimo wielu starań, które polegały głównie na całkowitym odrzuceniu przez Niemców złej przeszłości.

Potwierdza to opublikowany w „Rzeczpospolitej” (11.03.2010) artykuł, który nosił znamienity tytuł: „Już się Niemców nie boimy”. Mowa w nim m.in. o tym, że stało się tak dzięki udanej próbie wzajemnego zrozumienia historii, na co ogromny wpływ miały osobiste kontakty ludzi po obu stronach granicy! „Obustronne zrozumienie przeżytych dramatów w znacznym stopniu może łagodzić wciąż istniejące stereotypy i uprzedzenia” – powiedziała m.in. Gesine Schwan w jednym z przeprowadzonych z nią wywiadów (07.10.09, Berlin).

Biografie opowiadane osobiście trafiają szybciej i łatwiej do świadomości i bardziej przekonują ludzi niż niejedno „dzieło historyczne” (co nie oznacza, że tych „dzieł” nie powinno być). Relacje z dnia codziennego zbliżają ludzi bardziej niż „wielkie” społeczne treści, zazwyczaj odległe od opisów „zwyczajności”. To szczególne podejście do historii praktykował już w swojej twórczości Bertolt Brecht, by tylko powołać się na jego wiersz pt. „Pytania czytającego robotnika”. Nadzwyczajną wartością „spotkań biograficznych” w Gödelitz jest to, że bezpośrednio można referującemu postawić pytania, a jednocześnie „od ręki” wyjaśnić pojawiające się wątpliwości. Ich uczestnicy opowiadają o losach zwykłych ludzi, przedstawiają ich „małą historię”, a przysłuchujący się konfrontują te biografie z własnym życiem i własną wiedzą historyczną opartą na przeżyciach, jak również na książkach i opracowaniach historycznych. Z tych często subiektywnych relacji składa się obiektywna Historia, pisana przez duże „H”. W indywidualnych historiach łatwiej dostrzec niejednokrotnie wspólne przeżycia, cierpienia, utratę dobytku, ojczyzny i wyłania się z nich pewien specyficzny autentyzm. Niczym nieskrępowany narrator *wraca pamięcią do własnej historii przeżyć*. Często są to opowieści, które jeszcze nie znalazły żadnej interpretacji w oficjalnych podręcznikach czy opracowaniach. Taka szansa pojawia się, jeśli omawiane tu seminaria biograficzne zostaną utrwalone w formie książkowej (lub innej). W ten sposób przyszli badacze, a w szczególności historycy otrzymają dodatkowe źródła informacji, jakich nie znajdą w dokumentach archiwalnych i w bibliotekach. „Gödelitzkie” spotkania utrwalają „życie takim, jakim ono było”, inną kwestią jest, jaki się miało na swoją historię wpływ, a w jakim stopniu było tylko jej przedmiotem?

Z pamięci historycznej odtwarzane są warunki minionej rzeczywistości, które w żaden inny sposób nie byłyby możliwe do odzyskania. Pojawiają się w nich także epizody zabawne, anegdota i zasłyszane opinie, ale z tej różno-

rodności wylania się pewna całość, choć często składająca się z niechronologicznie opowiadanych zdarzeń, bardzo osobistych, emocjonalnych, ale nade wszystko prawdziwych. Wartością spotkań w Gödelitz jest także to, że obok zwykłych ludzi biorą w nich udział historycy, profesjonalnie badający relacje polsko-niemieckie (minione i obecne). Przekazujący potem swe naukowe spostrzeżenia w publikowanych pracach, książkach, artykułach i również w formie publicystycznej. Podczas takich spotkań można naocznie stwierdzić, jak opowiadane biografie zbliżają do siebie ludzi, ułatwiają dialog w duchu zrozumienia i pojednania. W czasie przerw między oficjalnymi wystąpieniami następuje dalsza wymiana myśli, zawiązują się przyjaźnie między ludźmi, którzy jeszcze przed chwilą byli dla siebie obcy.

Na takim gruncie możliwe jest dalsze zbliżenie obu naszych narodów, polskiego i niemieckiego! Między partnerami rodzą się dość jasne perspektywy współpracy, co może mieć znaczący wpływ na oficjalną bilateralną współpracę naszych państw. Im więcej będziemy wiedzieć o swojej przeszłości, tym „wolniejsza” od nich będzie nasza przyszłość. Warto w każdym razie „gödelitzki model spotkań biograficznych”, trwający nieprzerwanie od roku 1998, upowszechniać i kontynuować. W międzyczasie i tak już się rozwinął: od spotkań „wewnątrzniemieckich”, przez polsko-niemieckie, aż do niemiecko-tureckich, a nawet północno-południowo-koreańskich i innych.

Szczególne znaczenie ma atmosfera, w jakiej te spotkania się odbywają. Dyskusja trwa nie tylko na sali obrad, ale też na wspólnych spacerach i podczas posiłków. Ważnym czynnikiem integrującym uczestników spotkań jest wspólne ze sobą przebywanie przez niemal cały weekendowy okres pobytu w Gödelitz, nie bez znaczenia jest też niezwykła gościnność gospodarza Stowarzyszenia ost-west-forum.

Celem spotkań jest dalsze pogłębianie partnerstwa między uczestnikami seminariów i krajami, które reprezentują. Również spowodowanie interkulturowej wymiany i zetknięcie ze sobą jak największej liczby osób. Do spotkań należy włączyć jeszcze więcej młodzieży, przedstawicieli różnych zawodów i poglądów politycznych – dla budowania wspólnej perspektywy, opartej na wzajemnym zrozumieniu trudnej dla obu narodów historii. W pełni zatem popieram tezę twórcy tych niezwykłych seminariów pana Axela Schmidta, że „powiedzenie sobie prawdy, nawet gdyby była bardzo gorzka, stanowi podstawę pojednania, a w perspektywie – pogłębienia obecnej współpracy”.

Na zakończenie mojego Post Scriptum powiem, że nie ma nigdzie takiej lekcji historii, jakiej doświadczyłam tu, w tym precudownym miejscu. Oby te lekcje, które przeżyłam „całą sobą”, były kontynuowane i rozpowszech-

niane! O ich wartości, biorąc udział w jednym z takich biograficznych seminariów, przekonałam się osobiście. Dziś w Europie nikt nikogo nie musi się już bać, to dotyczy również relacji polsko-niemieckich i wszelkich innych relacji międzyludzkich. Gödelitz jest tego pięknym przykładem!

(przełożył Krzysztof Garczewski i Karol Czejarek)

Felicitas Söhner, urodzona w 1976 r. w Dillingen nad Dunajem, z rodziców mających swoje korzenie w Szwabii i na Śląsku; matka czwórki dzieci (Frederica, Adriana, Eleny i Seraphina). Studiowała kulturoznawstwo (historię, filozofię, literaturę i socjologię) oraz pedagogikę specjalną na Fern-Universität Hagen; magisterium – w roku 2008. Adiunkt na Wydziale Historii Johannes-Kepler-Universität w Linzu. Doktorat na temat „Kultura i historia Śląska na przykładzie wybranych rodzin” pod kierunkiem prof. dr. Petera Brandta (Fern Universität Hagen) oraz prof. dr. Friedhelma Bolla (Universität Kassel) obroniła w 2012 r.

Współpracuje stale z uniwersytetami w Passau i Ulm jako asystentka profesorów w zakresie historii, etyki, psychiatrii i psychoterapii.

Ważniejsze artykuły naukowe: *O regionalnych stereotypach w Europie* (2010), *Polsko-niemieckie różnice zdań w ocenie wybranych zagadnień historycznych* (2011), *Przemiany w stosunkach polsko-niemieckich z perspektywy historycznej* (2011), *Refleksje na temat wypędzenia i przesiedlenia* (2012); liczne recenzje w pismach naukowych m.in. w: „Deutschland Archiv”, „Jahrbücher für Geschichte Osteuropas”, „Jahrbuch für europäische Prozesse”.

Zainteresowania badawcze: historia medycyny i psychiatrii oraz zagadnienia z tzw. pamięci narodowej; lubi czytać książki i uprawiać różne w przydomowym ogródku. W czasie wolnym interesuje się sztuką i muzyką; pisuje również do miejscowej prasy.

HANS-ULRICH SUDEK

Wspomnienia biograficzne

W gonitwie codziennego życia nie ma zbyt dużo miejsca na wspomnienia. Nie w każdej chwili myśli się o rodzicach, rodzeństwie, przyjaciółach, nawet o własnych dzieciach czy współmałżonku. A nawet nie pamięta o tym, co robiło się wczoraj, przed tygodniem itp. Ale jest i tak, że czasami świadomie nie chce się pamiętać o tym, co robiło się kiedyś, zwłaszcza gdy były to czyny, których powinniśmy się wstydzić. A jaka jest odpowiedzialność współczesnych Niemców za działania, które wyrządziły tyle zła ludziom innych narodów, a zwłaszcza polskiemu w czasie II wojny światowej? Myślałem również o sobie i o mojej rodzinie: jaka jest nasza odpowiedzialność za te niegodne czyny?

Myślałem o tej przeszłości, kiedy przez sześć godzin jechałem samochodem ze swego miejsca zamieszkania do Gödelitz, zastanawiając się, co w tej sprawie powiem na pierwszym niemiecko-polskim spotkaniu biograficznym? Czasami oczywiście rozmawiałem o tym ze swoją żoną, czasami ze swoimi dziećmi, gdy mnie o to prosiły. Ale nigdy nie odnosiłem się do „tej” przeszłości w obecności Polaków, którzy – gdy dotarłem już do Gödelitz – byli na miejscu i mieli wspólnie z takimi osobami, jak ja – zasiąść nazajutrz przy seminaryjnym stole. Polacy i Niemcy, ludzie wcześniej sobie nieznani, zwierali się teraz ze swych życiorysów, a opowiadając swoje biografie zerkali, jak reagują na nie obecni. Patrzyliśmy sobie głęboko w oczy, żeby nie rzec – sumienia. O sprawach trudnych mówiono szczerze, choć wszyscy staranie dobierali słowa, by nie urazić nikogo. Wreszcie i ja odważyłem się, idąc śladem swoich przedmówców, na szczerłość wypowiedzi. Zresztą atmosfera spotkania zachęcała do tego, więc podobnie, jak inni, „otworzyłem się”! Mówiłem jednak wolno, ważąc słowa, aby nadać każdej swojej myśli właściwy sens, zgodny z moim przekonaniem w wypowiadanych kwestiach.

Zacząłem od przedstawienia się, poinformowałem zebranych skąd przyjechałem, gdzie mieszkam, ile mam lat i co miało wpływ na moje wychowanie i obecne myślenie o sprawach, które w tym spotkaniu przywiodły nas do wspólnego stołu.

Urodziłem się 15 września 1943 r. w Seelow w Brandenburgii, nad Odrą. Zatem jestem „dzieckiem wojny”, które – jak wiele innych – najczęściej musiało przebywać w schronie, aby ratować się podczas „dywanowych” nalotów, którymi alianci chcieli ukarać Niemców, a w których zginęło wielu niewinnych cywilów – w tym i dzieci takie jak ja, nieświadome, za co ginęły!

Na szczęście nie pamiętam szczegółów z tamtych okrutnych i dla nas lat, gdyż byłem na to za mały; pierwsze zapamiętane i pozostające do dzisiaj w mojej świadomości przeżycia datują się z zimy 1946 na 1947 rok. Zapamiętałem głód, który wieczorami nie pozwalał mi zasnąć.

Inne dramatyczne wydarzenie to ogromny pożar hotelu w Lubece-Travemünde. Hotel znajdował się w pobliżu domu, w którym mieszkaliśmy w pierwszych latach po wojnie. Ogień strawił i nasze mieszkanie, a ja, nie bacząc na grożące mi niebezpieczeństwo, uratowałem z tego pożaru lalkę swojej o pięć lat ode mnie starszej siostry.

Po tym „wstępie”, nabrawszy już odwagi, by zacząć mówić o sprawach, które nas tutaj zgromadziły, chciałbym jeszcze pokrótce przedstawić „drzewo genealogiczne”, z którego się wywodzę.

Nazwisko Sudek ma swoje korzenie w Czechach. Moi przodkowie ze strony ojca wywodzą się bowiem z habsburskich Czech, którzy po wojnie 7-letniej przywędrowali na Śląsk.

Mój prapradziadek – Gottfried Szudeck (bo tak się pierwotnie pisało nasze nazwisko) – urodził się w 1826 r. we Wrocławiu, wówczas Breslau. Jego syn urodzony w 1854 r. również we Wrocławiu (był dziennikarzem), przeprowadził się do Monachium, gdzie w 1881 r. przyszedł na świat mój dziadek. Jako wyuczony inżynier przeniósł się do Zagłębia Ruhry i w Essen zatrudnił się w kopalni „Katharina”. W Essen urodził się 15 sierpnia 1909 r. mój ojciec – Alfred Sudek.

Ze strony matki: moi przodkowie wywodzili się z zachodnich Prus. Rodzicami prababci – Wandy Nikleniewicz – urodzonej w 1884 r., byli Marian Nikleniewicz i Julia Lasarska, wywodzący się z drobnej szlachty. Pradziadek miał kilka piekarni, a jego syn założył w Wejherowie aptekę, która istnieje do dzisiaj. Mój dziadek ze strony matki, urodzony w 1878 r., nazywał się Peter Majewski i był nauczycielem w Gościszewie (Braunswalde), w późniejszym powiecie sztumskim. Następnie pracował w nadzorze pedagogicznym dla całego regionu – w Gdańsku. Ponie-

waż nie zgodził się na wstąpienie do NSDAP, doświadczył wielu szykan i upokorzeń, aż do karnego przeniesienia do małej szkoły wiejskiej niedaleko Gdańska, do której jednak nie było dojazdu. I tam także odmówił zawieszenia w klasach portretów Hitlera, wieszając w zamian krzyże. Do końca swego życia pozostał nieugięty wobec nazistów. Ale nie tylko za to bardzo go szanowałem. Jego brat Aloisius, który był organistą w kościele św. Brygidy, ujmował się w latach 20. za Polską! A opowiadał o tym dlatego, żeby podkreślić swoją znajomość problematyki polsko-niemieckiej w tym regionie. Moi dziadkowie mieli sześcioro dzieci, w tym i moją matkę – Marię Annę Majewską, która urodziła się 9 kwietnia 1911 r. w Gdańsku (ówczesnym Danzig).

Dziadkowie mieszkali ze swoimi dziećmi w dzielnicy Wrzeszcz (niem. Langfuhr) przy ul. Möller-Weg 5. To miejsce stało się „święte” dla całej rodziny, bo u dziadków odbywały się najważniejsze spotkania rodzinne. Nieopodal znajdował się kościół Serca Jezusowego, w którym wszyscy zostaliśmy ochrzczeni, przystępowaliśmy do I komunii i sakramentu bierzmowania. Tu pobrali się moi rodzice w 1936 r.

Po maturze w 1928 r. ojciec przeprowadził się z Essen do Gdańska, by studiować w tamtejszej politechnice (wówczas tylko szkole wyższej) budowę maszyn. Swoją żonę poznał na sopockim moło. Po uzyskaniu dyplomu inżynierskiego ojciec otrzymał posadę w Lufthansie w Berlinie. Do jego zadań należało doskonalenie silników i praca nad nowymi konstrukcjami samolotowymi, miał do tego i zdolności, i uprawnienia potwierdzone specjalnym licencjatem. Kiedy byłem mały, często opowiadał mi o swojej lotniczej pasji, a w szczególności o testowaniu zaprojektowanych przez niego nowych typów maszyn, m.in. Ju 87. W czasie wojny przeniesiono go do Lubeki-Travemünde, gdzie projektowano samoloty bojowe.

Latem 1944 r. z mamą i siostrą zostaliśmy ewakuowani do Netzhä, małego miasteczka leżącego między Bydgoszczą (niem. Bromberg) a Piłą (Schneidemühl), gdzie – co wiem z opowiadań mojej matki – przeżyliśmy bardzo trudne chwile, mieszkając u rodziny ewangelickiego księdza o nazwisku Hermann, do której „urzędowo” nas dokwaterowano. Obawiano się przede wszystkim Sowietów i zemsty, jakiej dokonywali na kobietach i podejrzewanych o sprzyjanie nazistom mężczyznom.

W Gdańsku po raz ostatni byliśmy u dziadków w święta Bożego Narodzenia 1944 r. Ja wtedy – jak mi później opowiedziała mama, zaczęłam samodzielnie stawiać pierwsze w życiu kroki.

Szczególnie dramatyczna była podobno „ucieczka” z Netzhä (pol. Osiek nad Notecią) w dniu 7 stycznia 1945 r. Właściwie odbyła się pieszo, tylko częściowo pociągiem towarowym i jakimś przypadkowo spotkanym samo-

chodem, ale udało nam się szczęśliwie dotrzeć do ojca w Travemünde. Tam zastał nas koniec wojny.

Moi dziadkowie oraz mieszkająca z nimi ich najstarsza córka, czyli moja ciocia Lucia, zostali wysiedleni (my – Niemcy – nadal określamy to wypędzeniem) z Gdańska i pieszo udali się do Berlina, gdzie zamieszkali w zniszczonym mieszkaniu moich rodziców. Ciocia, która w drodze do Berlina straciła obie nogi, wkrótce zmarła.

W Travemünde mieszkaliśmy po wojnie jako sublokatorzy w dwupokojowym mieszkaniu, w którym dochodziło często do kłótni między dorosłymi. Dla nas – dzieci – położenie mieszkania było idealne; dom, w którym mieszkaliśmy, znajdował się na promenadzie przy Kaiserallee, a do plaży mieliśmy dosłownie „przez ulicę”. Tam przeżyłem najpiękniejszy okres swego dzieciństwa. Morze i zabawa na piasku pozwalała nam zapominać o codziennych niewygodach powojennego życia.

Travemünde znajdowało się w brytyjskiej strefie okupacyjnej. Ale brytyjscy oficerowie nie obchodzili się z ludźmi, nawet z dziećmi zbyt łaskawie; przepędzali nas skąd się tylko dało i niejednokrotnie bili pałkami, które nosili pod pachą.

Dopiero gdy w Travemünde Anglików zastąpili Kanadyjczycy, nasza sytuacja zmieniła się zdecydowanie na lepsze. Byli oni niezwykle przyjaźni i serdeczni, częstowali nas słodyczami, które wyjmowali z przepastnych kieszeni swoich mundurów.

Ale tak w ogóle był to czas niesłychanej biedy! Nie było jedzenia, brakowało opału, wszystko trzeba było organizować. Dworzec, na którym od czasu do czasu zatrzymywał się jakiś pociąg z węglem, był pilnie strzeżony; nawet z pola nie wolno było niczego zbierać, ale czasami nam – dzieciom udawało się. Byłem drobny i niski, więc bez trudu przeciskałem się przez każdą dziurę, aby w ciągu dnia zdobyć chociaż jajko. Rodzice odejmowali sobie od ust, byleby w jakiś sposób załagodzić nasz głód. Często widziałem spływające po ich policzkach łzy. Najgorsza była zima z roku 1946 na 1947, wtedy zmarło w Niemczech z zimna i głodu wiele ludzi.

Na ulicach widywało się żołnierzy wracających z obozów jenieckich, większość mężczyzn była kalekami, ukradkiem zbierali pety, z których robili tzw. skręty do palenia. Dzieci szybko zorientowały się, jaką wartością jest tytoń, więc zaczęły go „zbierać” i handlować nim, by w zamian uzyskać coś do jedzenia. Do dzisiaj jednak nie potrafię przejść obojętnie obok zebrzącego, bo wciąż przed oczyma mam widok głodujących ludzi, proszących o cokolwiek, aby tylko przeżyć tę straszną biedę. W pamięci odtwarzam naloty samolotów, które bombardowały, co się dało, zabijając cywilów. Wkrótce dowiedziałem się o zatopieniu statków, m.in. „Kap Arkona” (i innych)

z uciekinierami na pokładzie. Mniej więcej do lat 60. można było znaleźć na plażach resztki ludzkich kości.

Jako dziecko bałem się wtedy dosłownie wszystkiego. Zwłaszcza, kiedy dowiedziałem się o mordowaniu ludzi w obozach koncentracyjnych; pozostających przy życiu przewożono jak bydło, ze Stutthofu (pol. Sztutowo) do pobliskiego Neustadt (Wejherowo). Nie mogę zrozumieć, jak SS-mani mogli jeszcze rozstrzeliwać więźniów, mimo że wojna się kończyła, a oni byli już przegrani. Trauma z tamtych lat do dziś powraca do mnie w snach.

Z czasem sytuacja wokół zaczęła się normalizować. Nasz tata znalazł pracę, najpierw w cegielni, potem w zakładach przemysłowych w Lubece.

Dwie siostry mojej mamy i jeden z moich wujków również dołączyli do nas, choć z niemałymi przygodami, do Travemünde. Było nam różnie, że rodzina znów była w jakimś sensie razem, mogła nawzajem się wspierać. Można powiedzieć, że życie zostało uratowane, choć dawne miejsca pobytu na zawsze utracone. I nie było dnia, aby nie rozmawiano o tym, jak to kiedyś było w Gdańsku. Dzieci też przysłuchiwały się, i dorastając – tak jak ja – tęskniły za utraconym Gdańskiem.

Przysłuchiwanie się historii spowodowało u mnie autentyczne zainteresowanie się nią. Wpływ na to miał także mój dziadek ze strony matki. Jego opowieści o tym, jak to było „ongiś”, jeszcze „za cesarza”, rozbudzały moją wyobraźnię; miał wielki talent do opowiadania. Żał tylko, że jego bogata biblioteka domowa bezpowrotnie przepadła w czasie wojny.

W każdym razie od niego uczyłem się historii Gdańska, relacji między Niemcami a Polakami. Gdy dziadek zmarł, miałem już 27 lat i do dzisiaj w swoim sercu przechowuję o nim serdeczną pamięć.

W czasie licznych odwiedzin dziadków, którzy ostatnio mieszkali w Kolonii, niezapomniane dla mnie były szczególnie wieczory. Dziadek przed snem modlił się po niemiecku, a babcia po polsku!

Rok 1953 był jedną wielką cezurą w moim życiu! Nie dlatego, że w międzyczasie wydorosłałem i wiedziałem co to jest „życie”, ale dlatego, iż z braku pracy w Lubece, w której dotąd mój ojciec pracował jako inżynier w zakładach Kruppa, musieliśmy przenieść się „za chlebem” do Essen. W Lubece w międzyczasie urodziła się moja siostra. Travemünde i Lubekę osobiście opuszczałem z żalem, bo po pierwsze, bardzo przywiązałem się do Morza Bałtyckiego, a po drugie – żał mi było miejsc, które zapamiętałem jako moją rzeczywistą „małą ojczyznę”. I nie zdarzyło się jeszcze, abym przynajmniej latem nie odwiedzał tych urokliwych miejscowości. Do dzisiaj moim ulubionym miejscem na ziemi pozostało sopockie molo. Pobliski las, który znajdował się w nowym miejscu zamieszkania, nie zastąpił mojej tęsknoty za plażą i widokiem falującej wody. Jeśli już coś przykuwało moją uwagę,

to szlaki górskie, leżące niedaleko miejsca zamieszkania moich dziadków ze strony ojca, których teraz częściej odwiedzaliśmy, bo mieszkaliśmy po prostu bliżej nich.

Mieli bardzo duży ogród, własne ziemniaki, różnego rodzaju drzewa owocowe, hodowali warzywa i drób. Stali się w pewnym sensie naszą „spizarnią”. W dodatku babcia piekła znakomite ciasta i fantastycznie gotowała. Chętnie jeździliśmy do nich i lubiliśmy tam przebywać, mimo że dziadek był dość surowy i bezwzględnie wymagał od nas porządku. W ogóle był człowiekiem z zasadami, a już jego „konikiem” były na błysk wyczyszczone buty. Broń Boże, gdyby któreś z nas weszło do mieszkalnych pomieszczeń brudne. Ale to był bardzo dobry człowiek. Nauczył mnie wiele dobrego, przede wszystkim szacunku dla innych oraz realnego oceniania własnych możliwości. Jako czternastoletni chłopak bardzo przeżyłem jego przedwczesną śmierć. Na zawsze zapamiętałem jego mądre słowa: „Pamiętaj, że jeżeli wygrywasz – nawet w zabawach – nigdy nie ciesz się za bardzo, zawsze miej szacunek dla pokonanego, bo role szybko mogą się odwrócić. I rzeczywiście: w stosunkach polsko-niemieckich „historycznie” role te odwróciły się.

Mówiono o tym podczas wielu spotkań rodzinnych. W każdym razie „przeszłość” była zawsze żelaznym tematem rozmów i wspomnień. Choć z roku na rok ludziom w Niemczech żyło się lepiej i dostatniej, to jednak ten spokój zburzyły dramatyczne wydarzenia w Polsce i na Węgrzech w 1956 r., a potem kryzys kubański, wejście wojsk Układu Warszawskiego do Pragi w 1968 r., które to napięcia eskalowały zimną wojnę. Powrót do normalności znów stał się sprawą odległą.

W 1954 r. zdałem egzamin wstępny do gimnazjum Alfreda Kruppa w Essen. Była to typowo męska szkoła o matematyczno-fizycznym profilu. Nasi nauczyciele byli w wieku naszych dziadków, bo nie było młodszych; najstarszy miał już 84 lata. Nauczanie biologii polegało na tym, że na lekcjach myśliśmy jego akwaria, bo rybki – to było jego hobby. A poza tym przysłowiowa różga była podstawowym elementem wychowawczym, stosowanym nagminnie przez wszystkich starszych wiekiem nauczycieli. I wtedy przypominały mi się metody, jakie zaraz po wojnie stosowali wobec nas Anglicy. Ponieważ byłem przewodniczącym uczniowskiego samorządu klasowego, zdecydowanie przeciwstawiłem się temu, czasami nawet z pozytywnym skutkiem.

I tak nastał rok 1959. W szkole z roku na rok przybywali młodzi nauczyciele, byli lepiej wykształceni, stosowali nowe i zupełnie inne metody wychowawcze. Duży wpływ na moją życiową postawę wywarł wtedy mój wychowawca Friedrich Hammacher, który pozostał dla mnie nauczycielem nr 1 do samej matury. Ale i inni byli już z pokolenia, które przeżyło wojnę,

doznało upokorzeń w niewoli, miało zupełnie inne podejście do „życia”. Obecni byli 35–40-latkami.

Mój wychowawca ujął mnie od samego początku. Kiedy przyszedł do szkoły, przywitał się z każdym i po przedstawieniu się, powiedział: „Panie, będziecie dla mnie partnerami – jestem tu pod każdym względem dla was”. I dodał jeszcze: „Gdy ja będę mówił – wy milczycie, ale potem możecie pytać o wszystko, a ja – jeśli będę tylko potrafił – zaspokoję waszą ciekawość”. Te słowa stały się dla mnie drogowskazem. Spotkać kogoś, z kim będzie można rozmawiać o trudnych sprawach. W klasie nastał wspaniały okres intensywnej nauki i pierwszych sukcesów. Przygoda z panem Hammacherem trwała w moim życiu przez ponad sześć lat! Twórczych lat, które mnie w dużym stopniu ukształtowały.

Friedrich Hammacher uczył nas łaciny, historii i geografii. Szczególnie na lekcjach historii opowiadał o zbrodniach dokonanych przez nazistów, o holocauście i antysemityzmie. Był tym nauczycielem, który czynnie przeciwstawiał się modnemu wówczas hasłu „zostawić przeszłość bez szukania winy ogółu”, a przecież tak wielu Niemców to zło poparło! Nawet w rodzinach starano się o przeszłości nie mówić. Stawiane przez dzieci pytania na ogół pozostawały bez odpowiedzi! Po prostu zbywano nas stwierdzeniem: „dajmy już spokój i nie rozmawiajmy o tym więcej”, po czym zwykle zapadała niezrozumiała dla nas cisza.

Tymczasem Friedrich Hammacher niestrudzenie wyjaśniał nam wszystkie wątpliwości, zastępował w tym najbliższych, którzy nie mieli odwagi powiedzieć nam prawdy. Tylko dlaczego milczeli? Wkrótce nasz ulubiony nauczyciel stał się dla mnie duchowo bliskim człowiekiem, a nawet przyjacielem; pozostał nim nawet po ukończeniu przeze mnie gimnazjum. Bezpośrednio od niego dowiedziałem się, że w 1944 r. wysłano go na front wschodni, stamtąd jakimś cudem jako dezertier przedostał się do grupy cywilnych uciekinierów znad Donu do Essen. Tu odkryto jego dezercję i skazano na śmierć; czekając na nią przesiedział wiele dni w celi śmierci w Darmstadt. Nie zdążono wykonać na nim wyroku, tylko przewieziono go do obozu koncentracyjnego w Neusustrum, gdzie doczekał, ważąc zaledwie 36 kg, końca wojny. Tamte przeżycia były z pewnością przyczyną jego samobójczej śmierci 6 maja 1983 r. Widocznie nie miał już siły żyć dalej i walczyć z przekłętymi wspomnieniami.

W roku 1965 przenieśliśmy się z Essen do Freiburga, by studiować na tamtejszym uniwersytecie germanistykę, historię i geografę. Był to niezapomniany, by nie rzec wspaniały okres mojego życia w „trójkacie” między Niemcami, Szwajcarią a Francją. Spotkałem tam wielu profesorów, którzy w pełni zaspokoili moje oczekiwania. Studia zakończyłem egzaminem pań-

stwowym w 1970 r. Początkowo pracowałem w szkole katolickiej prowadzonej przez zakon księży „Serca Jezusowego”, a od 1 sierpnia 1972 r. przyjąłem posadę germanisty w gimnazjum/liceum w Handrup.

W roku 1970 ożeniłem się z dziewczyną, którą poznałem jeszcze w dzieciństwie, a potem studiowała pedagogikę we Freiburgu, dokąd i mnie los życiowy przywiódł. Z naszego związku w latach 1971–1977 przyszły na świat dzieci: dwie córki i syn. I teraz uwaga: w latach 80. ogarnęła mnie nagle chęć studiowania teologii katolickiej i w związku z tym zapisałem się na studia zaoczne w Hildesheim, które oczywiście ukończyłem. Moim hobby był też teatr szkolny, który prowadziłem przez ponad 40 lat swojej nauczycielskiej pracy. Zdążyliśmy w tym czasie wystawić aż 70 premier!

U moich przodków rodzinnych zawsze obowiązywała zasada: mężczyzna powinien w życiu wybudować dom, zasadzić drzewo i napisać książkę. W 1985 r. powinności te spełniłem. Posiadałem własny dom, ogród, rodzinę, byłem zadowolony z wyników swej pracy pedagogicznej, realizowałem się przez teatr. Nagle musiałem przenieść się ze szkoły katolickiej do publicznej w Meppen, w niewielkim mieście powiatowym.

Lata 80. były czasem niepokoju na Wschodzie, a także wielu emigracji stamtąd do Niemiec. Do naszego miasteczka przybywali „uciekinierzy” z byłej NRD i z Polski. Któregoś dnia od żony pewnego adwokata, która uczestniczyła w stowarzyszeniu pomocy ludziom zza żelaznej kurtyny, dostałem adres pewnej rodziny na Śląsku z prośbą, abym i ja wysłał w ramach akcji dobroczynnej paczkę do Chorzowa. Zgodziłem się, a gdy nadeszła odpowiedź od tej rodziny z podziękowaniem, razem z żoną postanowiliśmy pomagać im dalej. Któregoś dnia postanowiłem osobiście pojechać do Polski samochodem z wypchany po brzegi bagażnikiem.

Po szesnastu godzinach dotarłem do celu i doznałem olśniewającej polskiej gościnności! Ponieważ miałem akurat ferie, z pomocą polskich przyjaciół zwiedziłem Katowice, Kraków, Częstochowę i oczywiście Oświęcim (Auschwitz). Cóż to były za przeżycia, żałuję tylko, że nie znałem polskiego, aby móc bezpośrednio rozmawiać ze spotykanymi życzliwymi ludźmi. Auschwitz jednak „wdeptał mnie w ziemię”. Jak to wszystko było możliwe?

Po sześciu dniach pobytu w Polsce wróciłem do domu i odtąd jeszcze wielokrotnie ją odwiedzałem.

Opowiadałem w szczegółach o swoim zachwycie Polską. Szczególnie rodzice, którzy byli już mocno starszymi ludźmi, bardzo interesowali się wszelkimi wieściami z kraju, w którym spędzili swą młodość, choć Gdańsk nie był wtedy w stu procentach polskim miastem. Ale oni byli zawsze „za Polakami”. Ich marzeniem, ale także mojego rodzeństwa, było „odwiedzenie starych kątów”. I taki przypadek się zdarzył.

Mój ojciec został zaproszony jako członek studenckiego stowarzyszenia założonego w 1902 r. „Baltia Danzig”, które reaktywowano w 1949 r., a które w 1988 r. organizowało dla swych byłych członków wycieczkę do Gdańska. Zabrał ze sobą mamę, mnie i moją starszą siostrę. Nareszcie i rodzice mogli udać się na 10-dniowe odwiedziny do swej „starej ojczyzny”. Byli przeszczęśliwi! Zwłaszcza ojciec, gdy ponownie mógł zwiedzić Politechnikę, w której kiedyś studiował. Zachwyciła nas fenomenalna odbudowa Gdańska, szczególnie Starego Miasta i to, że polscy gospodarze pozwolili nam zajrzeć do naszego byłego mieszkania, choć wcześniej rodzice (zwłaszcza mama) obawiali się, jak ich przyjmą nowi gospodarze. Nie tylko nas przyjaźnie przyjęto, choć gospodarze nie byli uprzedzeni o naszej wizycie; nawet poczęstowano nas kawą i ciastem.

W mieszkaniu mama zastała jeszcze swoje stare pianino, na którym zachowały się jej inicjały; wzruszeniom nie było końca, tym bardziej, że instrument był zadbane, nastrojony i nadal miał piękne brzmienie. A jednak – powiedziała mama – Rosjanie nie wszystko zniszczyli w 1945 r., a Polacy – jako nowi gospodarze – wspaniale zaopiekowali się instrumentem.

W czasie tej podróży zwiedziliśmy też Kaszuby. Po drodze widzieliśmy wiele budowanych nowych kościołów. Przy jednej takiej budowie nawet zatrzymaliśmy się i rozmawialiśmy z robotnikami, wśród których, jak się okazało, był też miejscowy proboszcz Bronisław Kabat, który sprzedął nam cegielkę, a my chętnie kupiliśmy ją za 100 marek. Kazał podać coś do jedzenia i nasze spotkanie przeciągnęło się na kilka godzin.

Dla wszystkich, którzy brali udział w tej wycieczce, były to niezapomniane dni. Po powrocie niemal każdy z jej uczestników zaczął wysyłać paczki do Polski, w której wówczas jeszcze brakowało wszystkiego, najbardziej lekarstw, środków czystości i owoców południowych.

W szkole, w której pracowałem, młodzież spontanicznie zorganizowała zbieranie różnych rzeczy, szczególnie ubrań i zabawek; wzruszyłem się, obserwując jako nauczyciel ich akcję. Wiedziałem, że wielu osobom w Polsce sprawiliśmy jakąś drobną radość. Przy tym uczniowie bardzo pilnowali, aby wysyłane rzeczy były najwyższej jakości, a nie zbieranina używanych ubrań. Adresy osób, którym w pierwszym rzędzie należało pomóc, otrzymaliśmy od wspomnianego już przeze mnie księdza Kabata. Do akcji naszej młodzieży włączył się miejscowy oddział DRK (odpowiednik PCK, przyp. tłumacza), zapewniając bezpłatny transport. Akcję poparło też wielu miejscowych biznesmenów. W sumie wysłaliśmy do Polski towary dużymi samochodami ciężarowymi. O przygodach na granicy nie będę tutaj wspominał, w każdym razie celnicy i pogranicznicy, zwłaszcza w NRD, nie ułatwiali nam zadania. Powiem tylko, że podróż

z Meppen do Gdańska trwała ponad dobę i to nie z powodu zimowej wówczas aury.

Do Polski woziliśmy m.in. wózki inwalidzkie, przekazaliśmy również gabinet dentystyczny (z pełnym wyposażeniem), tysiące par butów, bardzo dużo zabawek, ale najwięcej oczywiście żywności i lekarstw. Na prośbę proboszcza Kabata zaczęliśmy też obsługiwać sąsiadującą z nim parafię i skontaktowaliśmy się z prałatem Jankowskim – proboszczem parafii św. Brygidy w Gdańsku. Bardzo wiele osób z naszej strony było zaangażowanych w organizowanie pomocy na rzecz Polaków, a przede wszystkim nauczyciele, uczniowie, rodzice uczniów, przedstawiciele Czerwonego Krzyża, właściciele sklepów, nawet władze miasta Meppen i liczne pozarządowe organizacje społeczne z naszego regionu. Ludzie spontanicznie chcieli po prostu pomóc i bezinteresownie włączali się do akcji zainicjowanej przez młodzież!

Tzw. ciężki sprzęt, jak wspomniany już gabinet dentystyczny, aparaty rentgenowskie, papier i maszyny drukarskie dostarczaliśmy bezpośrednio do księdza Jankowskiego, który zgłosił nam takie zapotrzebowanie. Mimo licznych uciążliwości, zwłaszcza na granicy, udało nam się wyekspediować kilkanaście transportów, w tym także z materiałami dla budujących się kościołów św. Doroty i Maksymiliana Kolbego. Zebraliśmy i przekazaliśmy 100 tys. marek zachodnioniemieckich na budowę kościoła w Gdańsku – Jasieniu. Miałem potem szczęście być osobiście zaproszonym, obok innych oczywiście gości z Niemiec, na uroczystą konsekrację tego kościoła. Byłem niebywale dumny i szczerze wzruszony.

W 1997 r. Gdańsk obchodził 1000-lecie swego istnienia. Z tej okazji gimnazjum, w którym wciąż pracowałem, spotkał wielki zaszczyt – prezydent miasta Paweł Adamowicz wraz z Radą Miasta przyznali nam Medal Pamiątkowy z podziękowaniem za okazaną pomoc „społeczności gdańskiej w trudnych chwilach”. Nie muszę podkreślać, że to wyróżnienie bardzo ucieszyło nasze środowisko i że pomoc z naszej strony została doceniona. Tym bardziej, iż medal został nam wręczony podczas uroczystej mszy świętej konsekracyjnej z okazji oficjalnego otwarcia kościoła Maksymiliana Kolbego. W tej budowie mieliśmy przecież swój bezpośredni i znaczący udział.

Podczas tych uroczystości poznałem nauczycielkę języka niemieckiego – panią Annę Rink, z gdańskiego XX Liceum Ogólnokształcącego, z którą postanowiliśmy podjąć dwustronną współpracę naszych szkół. I nie robiąc wokół tego specjalnego rozgłosu, postanowiliśmy pierwszą wymianę uczniowską zorganizować już w roku 1998. I tak, jak sobie obiecaliśmy, dopięliśmy swego. Nasi uczniowie jechali na to pierwsze spotkanie z Polską nie bez obaw, ale byli ciekawi, jak zostaną przyjęci przez rodziny, u których mieli

zamieszkać. Wszystko udało się jak najlepiej i od tamtej pory nasza współpraca trwa nieprzerwanie już 15 lat!

Muszę w tym miejscu pochwalić swojego kolegę Norberta Kreimera, bez którego nie udałooby się zrealizować wszystkich corocznych wymian uczniowskich. Mamy nadzieję, że w przyszłości nasi młodszy koledzy, którzy w międzyczasie także uczestniczyli w organizacji wyjazdów, będą nasze dzieło kontynuowali. Tym bardziej, że mamy w naszej szkole nauczyciela polskiego pochodzenia i to na niego najbardziej w tej sprawie liczymy. Że wprowadzi nowe elementy programowe, aby wymiana nie była tylko „wycieczką”!

Choć wszystkie dotychczasowe spotkania młodzieży były wyjątkowo udane, a nawet fascynujące, przyszedł mi do głowy pewien nowy projekt, który wiązałby młodzież w jeszcze głębszy sposób, niż tylko udawanie się z wizytą do Polski czy z rewizytą do Niemiec. W związku ze zdarzającym się i w Niemczech, i w Polsce niszczeniem symboli żydowskich oraz pojawiającymi się ruchami nacjonalistycznymi, o których tak często donosiła prasa, chciałem przy pomocy wspólnego projektu teatralnego spróbować przeciwstawić się tym zjawiskom i radykalnej ekstremie, której tak łatwo ulegają młodzi ludzie.

Cieszyłem się, że mój już nowy dyrektor w szkole – dr Hamacher zaakceptował ten pomysł, choć początkowo był sceptyczny co do powołania wspólnej grupy teatralnej między szkołami oddalonymi od siebie o ponad 1000 km. Mimo wszystko postawiliśmy na swoim i zaczęliśmy wspólne przygotowania do wystawienia sztuki Petera Weissa pt. „Dochodzenie”.

Przedstawienie Weissa oparte było na dokumentach z procesu, który się odbył w latach 1963–1965 we Frankfurcie nad Menem przeciwko zbrodniarzom wojennym, którzy służyli w nadzorze obozu Auschwitz.

Na moich lekcjach „z dramaturgii” opracowaliśmy z młodzieżą 90-minutowy scenariusz; w roku 1990 zaprezentowaliśmy go szkole w Gdańsku. Nie został on entuzjastycznie przyjęty ze względu na temat. Pytanie, na które musieliśmy polskim kolegom odpowiedzieć brzmiało: czy koniecznie trzeba wracać, budując dzisiejszą normalność w stosunkach między naszymi państwami – z tak drażliwym tematem i angażować jeszcze w to młodzież?

Po wielu rozmowach i wymianie poglądów nie udało nam się wypracować kompromisowego w tej sprawie stanowiska. Ja jednak upierałem się i proponowałem, aby pozwolić w tej sprawie wypowiedzieć się młodzieży. I okazało się, że młodzież niemiecka i polska bez żadnych oporów zaaprobowwała wybór tematyki sztuki! Polscy uczniowie uczący się niemieckiego podjęli się zagrania w niej ról ofiar i świadków, a niemieccy uczniowie zagrali role oprawców i zbrodniarzy! O tym także zdecydowali ludzie młodzi.

Próby w Gdańsku realizowała pani Anna Rink, ja zaś organizowałem je w Meppen. Moim zadaniem było ponadto dostarczenie polskim uczniom dokładnej relacji z przebiegu procesu we Frankfurcie nad Menem. Premierę sztuki wyznaczaliśmy na 11 maja 2001 r. w Meppen (uczniowie – wykonawcy spektaklu – przyjechali do nas oczywiście już 7 maja, by wziąć udział we wspólnych próbach). Szkoła pękała w szwach w dniu premiery; projektowi towarzyszyło ogromne zainteresowanie prasy, do szkoły dotarł nawet list w tej sprawie... od samego kanclerza Schrödera!

Podczas przedstawienia panowała bezwzględna cisza, a aplauz po spektaklu wydawał się nie mieć końca. Ktoś na sali zaintonował nawet głośną modlitwę za pomordowanych, odmówiono też modlitwę żydowską. Zabrzmiała stosownie do powagi tematu – muzyka. Przedstawienie parokrotnie przez następne dni musiano powtarzać w Meppen, podobnie było także w Gdańsku. Ktoś zaproponował nawet wprowadzenie sztuki do repertuaru Teatru Miejskiego w Gdańsku.

My (przedstawiciele szkoły, w tym oczywiście i ja), w wyniku realizacji tego projektu zostaliśmy zaproszeni przez Ministerstwo Oświaty Landu Dolnej Saksonii do Hannoveru, gdzie nie tylko pokazaliśmy to przedstawienie, ale także otrzymaliśmy nagrody i wyróżnienia. Również polscy uczniowie i ich opiekunowie. A forma projektu odtąd na stałe weszła do programu naszych kolejnych wymian szkolnych. Gdy już byliśmy z p. Kreimerem na emeryturze, poproszono nas nawet do przeprowadzenia seminarium dla polskich i niemieckich organizatorów wymian na temat metody projektu, zrealizowanej na przykładzie naszej inicjatywy. Seminarium finansowały nasze „dolno-saksońskie” władze oświatowe.

W wyniku seminarium urodziło się wiele pomysłów. Jednym z najciekawszych, który został też zrealizowany, było napisanie przez samych uczniów sztuki na temat wybranych fragmentów z historii „polskiej” i „niemieckiej”. Na szczęście nasi następcy nie musieli już „żebrac”, jak my, o fundusze, do pomocy włączyła się Fundacja Współpracy Młodzieży Polsko-Niemieckiej (Jugendwerk), przeznaczając na ten cel ponad 30 tys. euro.

Wyłoniono grupy uczniowskie po 25 osób z każdej ze stron, powstał specjalny sztab realizacyjny i w ten sposób spełniły się moje marzenia, aby „pogłębić” wymianę szkolną o realizację wspólnych długofalowych przedsięwzięć, nie tylko teatralnych. Nasza inspiracja znalazła też szybko rozgłos w środowisku oświatowym w obu naszych krajach, ale i konkretnych naśladowców w innych regionach Polski (m.in. – jak wiem – w Ostrołęce) i niemieckich landach. Ale wróćmy jeszcze do naszej „teatralnej” inicjatywy. Jej ciąg dalszy to uzyskanie patronatu bardzo wysoko postawionych ludzi, jak np. wojewody pomorskiego p. Jana Kozłowskiego czy premiera Dolnej

Saksonii p. Christiana Wulffa. W 2008 r. odbyły się dalsze, wspólne polsko-niemieckie premiery teatralne: 10 i 11 października 2008 r. w Meppen, a 20 października w Gdańsku. Uczestniczyłem w nich już jako „gość honorowy”, co było oczywiście dla mnie wielkim zaszczytem i satysfakcją.

I kończąc swoje „Wspomnienia biograficzne”, pragnę dodać, że z opisanym wyżej spektaklem uczniowskim na kanwie utworu Petera Weissa pojechaliśmy także do Krzyżowej, prezentując go grupie polskich i niemieckich historyków. Oni także przyjęli go z uznaniem, a młodzież przy okazji bliżej poznała to specyficzne miejsce niemieckiego protestu przeciwko wodzowi Rzeszy.

Ze spektaklu powstała też płyta DVD, która stanowi jego prezentację w języku polskim i niemieckim. I znajduje się obecnie w wielu bibliotekach szkolnych i u osób prywatnych, które ją nabyły po przedstawieniach.

Ku naszemu zaskoczeniu jeszcze w roku 2009 prezentowaliśmy nasz „teatr” w Gdańsku, co wymagało „douceń” wielu nowych uczniów, gdyż ci, z którymi rozpoczynaliśmy nasze dzieło, byli już poza szkołą.

Efektami naszej współpracy zainteresowano się nawet w Seulu, gdzie wspólnie z moją wieloletnią partnerką Anną Rink – prezentowaliśmy je na kongresie nauczycielskim poświęconym współpracy Południowej i Północnej Korei.

Zostaliśmy też docenieni przez prezydentów Niemiec i Polski: Wulffa i Komorowskiego, którzy obu szkołom – Gimnazjum Windhorsta w Meppen i XX Liceum w Gdańsku przyznali medal „Dobrzy sąsiedzi” wraz ze stosownymi listami gratulacyjnymi.

Współpraca naszych szkół trwa już ponad 15 lat! Ponad 700 uczniów wzięło w niej udział, tworząc silny fundament naszej przyjaźni, nie tylko w aspekcie szkolnym. Zawarte w młodości kontakty są kontynuowane w życiu dorosłym; zbliżają do siebie całe rodziny, często także zakłady pracy. Ja także w międzyczasie ponad 50 razy byłem w Polsce! Gdyby to podsumować w kilometrach, już kilkakrotnie okrążyłem kulę ziemską.

Nie ma dziś między nami tematu, na który nie moglibyśmy rozmawiać ze sobą.

Moim zdaniem, razem tworzymy już pewną nieodwracalną całość, dwa narody, które mają korzyści z tego, że się porozumiały i zbliżyły, a z przeszłości wyciągnęły dla siebie właściwe wnioski.

(Przełożył Karol Czejarek)

Hans-Ulrich Sudek, urodzony 15 września 1943 r. w Seelow, miejscowości na północ od Frankfurtu nad Odrą. W 1945 r. rodzina została wysiedlona i zamieszkała w Lubece-Travemünde, skąd przeniosła się do Essen w Zagłębiu Ruhry. Po maturze w 1965 r. studiował germanistykę, geografię i historię na uniwersytecie we Freiburgu. Po ukończeniu studiów i uzyskaniu kwalifikacji nauczycielskich pracował w Ludwig-Windhorst Gymnasium w Meppen. Obok teatru szkolnego jego pasją są podróże, czytanie dobrych książek i pisanie drobnych utworów, w szczególności adaptacja tekstów dla potrzeb prowadzonego przez niego teatru.

Jest inicjatorem wymiany szkolnej z XX Liceum Ogólnokształcącym im. Zbigniewa Herberta w Gdańsku oraz utworzenia wspólnej grupy teatralnej, która zrealizowała pod jego reżyserskim patronatem m.in. spektakl o tematyce niemieckich obozów koncentracyjnych.

Nadal interesuje się historią, w szczególności w kontaktach z Polską. Organizował m.in. transporty z pomocą w czasie stanu wojennego w Polsce. Ma wielu przyjaciół w Polsce, z którymi pozostaje w dwustronnym kontakcie. Emeryt.

WENDELIN SZALAI

„Opowiedzcie swoje biografie” – relacja z doświadczeń własnych

Tytułowe zdanie – rozumiane jako rada, wezwanie – odgrywa od r. 1994/1995 we wschodnioniemieckich landach ważną rolę. Dlaczego? Zewnętrzną jedność Niemiec osiągnięto zaskakująco szybko i względnie łatwo, co było szczęśliwym przypadkiem w historii. Ale właśnie tego, po niecałym dziesięcioleciu, wielu wschodnich Niemców już nie odczuwało. Czuli się oni wobec zachodnioniemieckich współobywateli często mniej wartościowi i nierzadko urażeni w swej godności. „Niemieccy bracia i siostry” sprzed 1989 r. stali się sobie jakby obcy. Odżyły dawne uprzedzenia, pojawiły się inne. Takimi nowymi stereotypami stały się określenia *Besserwessis* (Niemcy z Zachodu, którzy wiedzieli wszystko lepiej od Niemców ze Wschodu, wciąż ich pouczając) i *Jammerossis* (tj. Niemcy ze Wschodu, narzekający z powodu odczuwanej drugorzędności i skarżący się na Niemców zachodnich postrzeganych jako dominujących). Okazało się, iż wewnętrzne zjednoczenie pozostawało w tyle za zjednoczeniem zewnętrznym. Cóż należało uczynić? Ludzie z Zachodu i Wschodu musieli więcej o sobie wiedzieć. Powinni się dokładniej poznać i nauczyć lepiej rozumieć siebie, a przede wszystkim uznawać się za równorzędnych i równowartościowych. Prowadzenie wzajemnych rozmów zamiast mówienia o sobie, wzajemne opowiadanie swoich biografii i dzielenie się historiami swego życia uznano za skuteczną drogę do osiągnięcia wewnętrznej jedności.

Od początku było wiadomo, że osiągnięcie tej wewnętrznej jedności będzie procesem długotrwałym, wymagającym wiele czasu i cierpliwości.

Ważne musiało być przy tym przełamanie dawnych, głęboko zakorzenionych postaw. Należały do nich także uprzedzenia i wyobrażenia wroga. Obie postawy są w równym stopniu zwodnicze i niebezpieczne. Obiecują łatwe odpowiedzi na bardzo skomplikowane pytania i zwalniają z wysiłku, aby się zastanowić. Obrazy wroga i uprzedzenia cechują się długotrwałością i można je przełamać oraz zniwelować tylko w długotrwałym procesie. Szybko zauważono, że politycy mają problemy z długofalowością procesów społecznych. Kierując się dążeniem do uzyskania i utrzymania władzy, skłaniają się raczej ku myśleniu od jednej kadencji wyborczej do drugiej i odpowiednio do tego – zajmują się procesami krótkofalowymi, dostrzegalnymi jedynie zewnątrz. Głębsze procesy zachodzące w długich okresach czasu nie są ich silną stroną. W takiej sytuacji ujawniła się mocna strona społeczeństwa obywatelskiego. Prywatne fundacje, akademie ewangelickie i katolickie, stowarzyszenia obywatelskie i grupy inicjatywne okazały się właściwymi miejscami do wymiany poglądów, opowiadania sobie biografii i dzielenia się swoimi historiami życiowymi. Powstało wiele projektów zarówno jednostkowych, jak i imprez cyklicznych, a ich nazwy określały program. Nazywały się np. *Erzählwerkstatt* (Warsztat opowieści), *Biografiegespräch* (Rozmowa o biografii), *Ost-West-Club* (klub Wschód-Zachód), *Lebensläufe hüben und drüben* (Życiorysy po obu stronach dawnej granicy), *Erzählte Zeitgeschichte* (Opowieści z historii najnowszej), *Ost-West-Forum* (Forum Wschód-Zachód), *Dialog der Generationen* (Dialog pokoleń), *Aus Fremden wurden Freunde* (Obcy stali się przyjaciółmi), *Deutsch-polnisches Forum* (Forum niemiecko-polskie) *Verstehen beginnt mit Zuhören* (Zrozumienie zaczyna się od słuchania), *Brücken begehen* (Wchodzenie na mosty). Wszystkie te projekty realizowane były w miejscach zapewniających wolne od uprzedzeń spotkania ich uczestników. Można było w ich ramach rozmawiać ze sobą jako ludzie równi rangą i o tej samej wartości. Spotkania nie podlegały przymusowi działań partyjno-politycznych, względem codziennej polityki, wolne były także od żądnych sensacji mediów. Niemala grupa tych projektów zakończonych sukcesem, ze względu na pozytywne oddziaływanie rozmów o historiach, została upubliczniona, a historie życia ludzi – opublikowane.

Osobiście miałem szczęście uczestniczyć od 1995 r. w większej liczbie tego rodzaju projektów biograficznych. Niektóre z nich jeszcze z powodzeniem trwają. Chciałbym pokrótce przedstawić swoje doświadczenia z kilkoma takimi przedsięwzięciami.

Do rozpoczęcia wspomnianych projektów zachęcił mnie Friedrich Schorlemmer. Ten ksiądz ewangelicki z miasta Marcina Lutra Wittenbergi i opozycjonista w czasach NRD został dyrektorem Akademii Ewangelickiej Saksonii-Anhaltu. Tam zainicjował pod nazwą „Kulturforum” serię dysku-

syjnych spotkań mieszkańców ze Wschodu i Zachodu Niemiec. W czasie kilkudniowych imprez odbywających się pod koniec tygodnia chodziło o wypełnione treścią, odważne opowiadanie wspomnień z życia, o wolne od uprzedzeń, cierpliwe słuchanie, o rozmowę zakładającą chęć zrozumienia rozmówcy. Spotykali się tam zupełnie odmienni ludzie: bliscy dawnemu systemowi i opozycjoniści – byli obywatele NRD, Niemcy z Zachodu i cudzoziemcy. Friedrich Schorlemmer, jako człowiek wspaniale rozumiejący ludzi, zadawał pytania i moderował spotkania z dużym wyczuciem. Zawsze dominowała w nich empatia, umiejętność wczuwania się i rozumienia obcych, nigdy zaś potępienie wynikające z zadufania. Ja sam, jako były energowski nauczyciel akademicki i socjalistyczny, „sprawca działający z przekonania”, opowiedziałem wieczorem 25 stycznia 1995 r., historię swego życia, która była wszystkim innym, tylko nie biografią bohatera-opozycjonisty. Przede mną wystąpił młody Niemiec ze Wschodu ze swą historią więźnia politycznego w NRD. Zestawienie obu naszych całkiem przeciwstawnych biografii było bardzo poruszające. Friedrich Schorlemmer opublikował rozmowy biograficzne w kilku książkach. Moja historia znalazła się w 3. tomie tekstów z konferencji Akademii Ewangelickiej Saksonii-Anhaltu (Friedrich Schorlemmer, red., *Lebenswege. Gesprächsnotizen aus der Wittenberger Akademiereihe Kulturforum*, Magdeburg 1995). W książce tej zawarte są teksty autobiograficzne 17 osób, w tym wschodnioniemieckiej pisarki Christy Wolf, byłego członka Biura Politycznego Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności Wernera Eberleina, byłego zachodnioniemieckiego ministra spraw zagranicznych Hansa-Dietricha Genschera, austriackiego artysty Alfreda Hrdlicki, byłego ambasadora radzieckiego w RFN Walentyna Falina oraz polskiego dziennikarza i bojownika o prawa obywatelskie – Adama Michnika. Udział zagranicznych narratorów i interlokutorów okazał się bardzo pomocny. Zawsze, gdy niemieccy uczestnicy akcentowali, niekiedy nadmiernie, przeciwieństwa między Niemcami ze Wschodu i z Zachodu, uświadamiali im w sposób przyjazny to, co jest dla nich wspólne.

Współuczestnictwo cudzoziemców w spotkaniach ukazało wyraźnie, iż rozmowy o biografiach są sensowne i pożyteczne nie tylko w dziele zjednoczenia Niemców. Proces ten, przy całej swej niepowtarzalności, jest także częścią szerszych procesów. Mam tu na myśli przede wszystkim transformację posocjalistyczne po implozji „światowego systemu socjalistycznego” (w Polsce, inaczej niż na obszarze języka niemieckiego, używa się zwykle pojęcia systemu komunistycznego – przyp. tłum.), budowę „wspólnego domu europejskiego” oraz postępującą globalizację. Nowe, zjednoczone Niemcy były teraz otoczone z wszystkich stron przyjaciółmi. Zaś niektóre spośród sąsiednich krajów miały z Niemcami ze Wschodu wspólną „socjalistyczną

przeszłość”. Dawna, odgórnie pożądana, zarządzona i zorganizowana „przyjaźń między narodami” mogła i miała się obecnie przerodzić w pożądane dobrowolnie i dotyczące codzienności obywateli dobre sąsiedztwo i przyjaźń. Obok dominującego dotychczas sposobu patrzenia na historię jako na wydarzenia i struktury musiała się obecnie pojawić i być uprawiana historia mentalności. Rozumienie „wielkiej historii” wymagało znajomości i rozumienia wielu „historii małych”. Sąsiednie narody powinny o wiele więcej wiedzieć o sobie nawzajem, o tym, co je historycznie i kulturowo ukształtowało, o ich mentalności, zwyczajach i obyczajach, o ich codziennych przyzwyczajeniach. Powinny się one lepiej poznać, uznawać za równowartościowe. Należało przewyciężyć utrzymujące się nadal uprzedzenia, przełamać głęboko zakorzenione postawy. Wzorcem mogły być relacje niemiecko-francuskie. Z niegdysiejszych „śmiertelnych wrogów” (*Erbfeinde*) Niemcy i Francja, wykazując się aktywną cierpliwością przez lata i dziesięciolecia, stały się prawdziwymi sąsiadami i przyjaciółmi.

W moim miejscu zamieszkania, w Dreźnie, należałem do działającego tam wiele lat „Ost-West-Club” (Klubu Wschód-Zachód). Heidrun Müller, w czasach NRD opozycjonistka ze sfer kulturalnych, po przełomie roku 1989/1990 zatrudniona w biurze pierwszego saskiego premiera, założyła to stowarzyszenie obywatelskie w roku 1995. Jego mottem było „miteinander reden” (rozmawiać ze sobą). Niemcy ze Wschodu spotykali się z Niemcami z Zachodu, którzy po przełomie przybywali do Dreznia, aby pomóc radą i czynem w budowie nowych struktur w polityce, gospodarce, bankowości, orzecznictwie prawnym i edukacji w Saksonii. Nasze comiesięczne wieczory dyskusyjne poświęcone różnym tematom odbywały się w swobodnej i otwartej atmosferze w jednej z drezdeńskich restauracji. Dlatego nazywaliśmy je mianem *Stammtische* (stoły stałego bywalca). Pamiętam takie tematy, jak *Medienverständnis in Ost und West* (Pojmowanie mediów na Wschodzie i na Zachodzie), *Probleme der Menschen aus Ost und West aus psychologischer Sicht* (Problemy ludzi ze Wschodu i z Zachodu z punktu widzenia psychologii), *Brückenbauer oder Sprengmeister?* (Budowniczowie czy burzyciele mostów?), *Bräuche zur Weihnachtszeit und zum Jahreswechsel* (Zwyczajne okresu Bożego Narodzenia i końca roku kalendarzowego).

Zainspirowany i zachęcony dobrymi doświadczeniami związanymi z rozmowami o biografiach u Friedricha Schorlemmera urządziłem w Dreźnie podobny „Erzählwerkstatt”, czyli warsztat opowieści.

W latach 1996 i 1997 co miesiąc spotykali się w wybrany wieczór „Ossis” (zwykle używane z sympatią określenie Niemców Wschodnich), z „Wossis”, (tak nazywani są Niemcy Zachodni, którzy po przełomie przybyli na Wschód Niemiec jako „pomocnicy przy budowie” nowych struktur)

i opowiadali swoje życiowe historie. Każdego wieczora głównym punktem spotkania i późniejszej rozmowy była jedna biografia. Także tutaj udział cudzoziemców okazał się pomocny i wzbogacający spotkanie. Dwóch rosyjskich Żydów i Japonka byli wartością dodaną naszych spotkań. Odbływały się one w drezdeńskim domu, mającej swą siedzibę w Hamburgu, renomowanej prywatnej fundacji *Körber-Stiftung*. W ciągu niecałych dwóch lat staliśmy się autentyczną wspólnotą opartą na wzajemnym zaufaniu. Niektórzy uczestnicy do dziś utrzymują ze sobą przyjazne kontakty. Będąc przekonanymi o dużych korzyściach płynących z rozmów o historiach, chcieliśmy zainspirować innych ludzi do realizacji podobnych projektów, wydając publikację z naszymi historiami życia. Książka opisująca nasze życiowe drogi ukazała się w roku 1998 i była później wznowiona (*Dreizehn deutsche Geschichten – erzähltes Leben aus Ost und West* pod red. Winfrieda Rippa i Wendelina Szalaiego, Edition Körber-Stiftung, Hamburg 1998, 420 stron.) Richard von Weizsäcker, były niemiecki prezydent federalny, któremu posłałem tę książkę, napisał mi w swoim liście: „Wymieniając się swoimi opowieściami, przybliżamy się do siebie w sposób bardziej humanitarny, aniżeli przez to wszystko, co można uczynić metodami politycznymi, ekonomicznymi i społecznymi. W mojej ocenie jest to dające przykład innym dzieło, którego lektura za każdym razem przynosi pożytek, a w końcu także daje poczucie nadziei i otuchę”.

Nierzadko w trakcie naszych rozmów miałem poczucie, iż spotkanie wieczorne, trwające około trzech godzin, właściwie jest za krótkie na przedstawienie całej długiej historii życia. Dlatego zrodziła się idea, by w ramach drugiego warsztatu opowieści autobiograficznych opowiadać o krótszych etapach życiowych. Z inspiracji i przy współudziale Astrid von Friesen odbyły się w latach 2001 i 2002 comiesięczne wieczory opowieści i rozmów na temat, który łączył wszystkich uczestników, a było nim „wypędzenie”. Wypędzeni ze Śląska i z Prus Wschodnich, z Sudetów i z Węgier oraz dzieci tych ludzi przekazywali swoje własne i zasłyszane wśród rodziców wspomnienia z wojny, ucieczki i wypędzenia. „Wossis” czynili to bardziej swobodnie, ponieważ byli do tego bardziej przyzwyczajeni niż „Ossis”, którzy najczęściej po raz pierwszy mówili o tym temacie tabu z czasów NRD. W często bardzo emocjonalnych rozmowach chodziło o uznanie doznanego cierpienia – bez uczuć związanych z żądzą zemsty i bez jakichkolwiek rewanżystowskich żądań. Sprawą wiążącą wszystkich były pokojowe i przyjazne relacje z naszymi dzisiejszymi sąsiadami. Nasze spotkania odbywały się w zwykłym miejscu; drezdeński dom fundacji *Körber-Stiftung* stał się tymczasem siedzibą Fundacji Obywatelskiej Drezna (*Bürgerstiftung Dresden*). Także w tym wypadku sukces naszych rozmów o historiach zachęcił nas do opublikowania

zebranych opowieści. Już w 2002 r. ukazały się w formie książki (Astrid von Friesen, Wendelin Szalai, red., *Heimat verlieren – Heimat finden. Geschichten von Krieg, Flucht und Vertreibung aus einer Erzählwerkstatt in der Bürgerstiftung Dresden*. ddp goldenbogen, Dresden 2002, 349 stron).

Oba drezdeńskie warsztaty pokazały, iż szczere opowiadanie i rozmowa o życiu na przestrzeni około pięćdziesięciu lat, z chcącymi je zrozumieć uczestnikami, funkcjonuje dobrze. Teraz chcieliśmy wiedzieć, czy możliwe są takie otwarte, nacechowane empatią i tolerancją wspomnienia wydarzeń z czasów mniej odległych. W ramach trzeciego warsztatu opowieści tematem miały być lata 1990–1993. Jako tytuł wybraliśmy „Geschichten aus dem wilden Osten” (Opowieści z dzikiego Wschodu). W latach 2003 i 2004 spotkała się w tym samym miejscu i z tym samym scenariuszem spotkania grupa dyskutantów złożona z „Ossis” i „Wossis”. Na początku serii spotkań powiedziałem m.in.: „Naszym głównym celem mają być wspomnienia z obfitujących w wydarzenia, intrygujących, pełnych nadziei pierwszych lat – nazywanych dzisiaj mianem «przełomu»... Chcemy ocalić od zapomnienia nasze przeżycia i doświadczenia, a wspomnienia mogą uporządkować następujące pytania: «Co zachowałem w szczególnie żywej pamięci z lat 1990–1993 i dlaczego? Co przeżyłem w tym czasie nowego, pięknego, interesującego, intrygującego, kuriozalnego, ciężkiego, obciążającego? Jak się wówczas przy tym czułem i oceniałem te wydarzenia? Jak się czuję dzisiaj, gdy wspominam ówczesne wydarzenia i stany? Jak oceniam je dziś?» Chcemy opowiedzieć nasze wspomnienia, ustnie wymienić się opowieściami z lat 1990–1993. Chcemy mówić o tym, w jaki sposób nasze «małe historie» były splecione z «wielką historią». Oczywiście sami chcemy w tych rozmowach znaleźć radość, ćwicząc się w opowiadaniach pełnych treści, w uważnym słuchaniu i rozmowie nacechowanej empatią. Są to dziedziny, które w naszym szybkim i głośnym społeczeństwie mediów, nacechowanym powierzchowną mentalnością, charakterystyczną dla talk show, zwykle są zaniedbywane... W naszym warsztacie opowieści uczestniczyli mieszkańcy Niemiec Wschodnich, urodzeni w NRD i podlegający tam socjalizacji. Wśród nich także ci, którzy budowali bądź wspierali socjalistyczny system polityczny, ale także ludzie nastawieni wobec niego krytycznie lub odrzucający go. Prawdopodobnie będziemy słuchać historii o negatywnych doświadczeniach, zwolnieniach i bezrobociu, jak i opowieści o przynoszącym wolność i dodającym otuchy nowym początku i budowie czegoś nowego. A być może utrata i zyskanie czegoś są połączone ze sobą w jedną życiową historię. W naszym gronie są też zachodni Niemcy, którzy już w latach 1990–1993 aktywnie współdziałali w gruntownej przebudowie stosunków w Niemczech Wschodnich. Częściowo działali oni jeszcze w starych lan-

dach, najczęściej jednak wybierali nowe, główne miejsce swego działania na Wschodzie. Mogą opowiadać o swoich ówczesnych odpowiedzialnych decyzjach, ale może i o tym, w jaki sposób dzisiaj je oceniają. Kilku spośród naszych zachodnioniemieckich członków jest w rzeczywistości osobami urodzonymi w Dreźnie, ale jako młodzi ludzie opuścili NRD i na fali przełomu powrócili do swej «dawnej ojczyzny»... Będziemy słuchać historii o mężczyznach i kobietach, ludziach młodszych i starszych. Nasz najstarszy uczestnik urodził się w roku 1932, najmłodszy przyszedł na świat w 1979. Bardzo różne historie wynikają też z wykształcenia zawodowego i z wykonywanych w latach 1990–1993 czynności. W naszym gronie jest ówczesna uczennica, jak i nauczycielka, dyrektor banku i notariusz, żołnierz i student, burmistrzynie i mistrz piekarnictwa, bezrobotny i artystka-malarka, założyciel firmy i prezydent rejencji, dziennikarz i szef firmy”.

Nasze trzecie warsztaty opowieści były jeszcze bardziej emocjonujące. Byliśmy w dalszym ciągu bezpośrednio wpleceni w wydarzenia, o których opowiadano w sposób całkowicie realny i zawsze emocjonalny. Zdaliśmy sobie sprawę z tego, że historia i drogi życiowe ludzi, czyli wspomnianie zbiorowe i indywidualne – to zarówno rekonstruowanie, jak i konstruowanie przeszłości. Retrospekcja zależna jest zawsze od punktu widzenia, jak i od interesów, jest ona zawsze połączona z interpretacją i oceną. Odczuliśmy na nas samych to, jak dalece refleksja nad własną biografią służy upewnieniu się w samoocenie i jest pewnego rodzaju upiększeniem samego siebie. Każdy z nas opowiedział o swoim postrzeganiu fragmentu wspólnej przeszłości, czyli ukazał własną prawdę. A chodziło o to, by skonfrontować tę swoją prawdę z prawdami innych opowiadających osób. Owo ćwiczenie się w wieloperspektywiczności i tolerancji było trudne. Dla dwóch spośród naszych uczestników było to zbyt trudne i dlatego opuścili nasze grono.

Właściwie chcieliśmy także wydać książkę z „opowieściami z dzikiego Wschodu”. Ale tym razem nam się to nie udało. W czasach ograniczeń finansowych nie udało nam się znaleźć sponsorów, którzy by pokryli koszty druku. Ale być może piętnaście lat po rozwiązaniu NRD zainteresowanie „pokojową rewolucją” po prostu spadło.

Od 1999 r. współpracuję społecznie z ost-west-forum Gut Gödelitz (Forum Wschód-Zachód w majątku Gödelitz).

To ponadpartyjne stowarzyszenie obywatelskie założone w 1998 r., opisuje swoje cele na stronie internetowej następująco: „Chcemy, by ludzie z obu części obecnie zjednoczonych Niemiec byli lepiej poinformowani o społeczeństwie każdej ze stron, w którym przeżyli socjalizację i które ich ukształtowało. Chcemy budzić zaciekawienie ich osobistą historią przez relacje ukazujące zupełnie inaczej ukształtowane ich światy, chcemy przeka-

zywać wiedzę i zrozumienie dla tego, co inne, co obce i być może także dla tego, co dziwne, a także krzawić tolerancję”. W internecie pod adresem www.ost-west-forum.de można dowiedzieć się więcej o różnorodnych projektach tej wspólnoty obywatelskiej. Jednym z nich są *Biografiegespräche* (Rozmowy o biografiiach), odbywające się zawsze od piątku wieczorem do niedzieli w południe. Stowarzyszenie formułuje cel projektu następująco: „Organizując weekendy biograficzne, chcemy przede wszystkim przełamać głęboko zakorzenione uprzedzenia obciążające relacje między Niemcami ze Wschodu i z Zachodu, pozostawiając wewnętrzną jedność Niemiec niedokończoną. Uprzedzenia te są zakorzenione i szerzą się na gruncie niewiedzy o życiu w każdej z dwóch części podzielonego swego czasu pod względem politycznym narodu. Zapraszanie uczestników odbywa się według określonego klucza: pięciu Niemców ze Wschodu i pięciu z Zachodu, mężczyźni i kobiety różnych zawodów, grup wiekowych i o różnych zapatrywaniach politycznych. Każdy opowiada swoją historię życiową, przy czym nie wolno mu przerywać. Nikt nie musi się obawiać tego, że będzie musiał bronić się, gdy zacznie opowiadać o takich zdarzeniach, które niegdyś uważał za słuszne, choć dziś być może ocenia je, bądź inni je oceniają, bardziej krytycznie. Wszyscy uczestnicy muszą być otwarci na innych. Korzyścią z takiego postępowania jest to, że słuchacz śledzi jakiś obcy lub nawet dziwny życiorys, ale nie odwraca się od niego wewnętrznie już po kilku zdaniach albo nie okopuje się na przeciwstawnej pozycji. To, czego się tu oczekuje, wydaje się oczywiste: istnieje nie tylko Twoja prawda, lecz istnieje także prawda drugiego człowieka. A tę kształtują w sposób bardzo mocny jego biograficzne przeżycia”.

Liczne weekendy rozmów biograficznych okazały się bardzo sensowne i pożyteczne. Były one i są polem ćwiczenia się w empatii i tolerancji.

Niebawem nasze „Forum Wschód-Zachód” rozszerzyło swoje zainteresowanie ograniczone do relacji niemiecko-niemieckich na płaszczyznę europejską. A dzięki temu na znaczeniu zyskały także perspektywy globalne.

Miało to miejsce najpierw na naszych comiesięcznych publicznych imprezach sobotnich, w trakcie których eksperci wygłaszają wykład, a następnie odbywa się dyskusja na aktualne tematy polityczne, obejmująca także tematykę społeczną. W imprezach tych uczestniczy za każdym razem od 100 do 250 osób.

Wnet nastąpiło także rozszerzenie kręgu uczestników weekendów biograficznych. Oprócz rozmów niemiecko-niemieckich zaczęto organizować spotkania biograficzne niemiecko-tureckie i niemiecko-rosyjskie.

Osobiście uczestniczyłem w jednym weekendowym spotkaniu biograficznym niemiecko-niemieckim i jednym niemiecko-rosyjskim. Oba uznałem za bardzo inspirujące i ubogacające.

W roku 2005 nasze stowarzyszenie obywatelskie zapoczątkowało w Gödelitz nowy projekt, „Forum Niemiecko-Polskie”. Nasz przewodniczący zarządu, Axel Schmidt-Gödelitz, określił przyczyny i cele tego przedsięwzięcia następująco: „Uczucia Niemców wobec ich kraju sąsiedniego – Polski – są bardzo chłodne. Spośród nowych krajów sąsiadujących z Niemcami – według ankiety czasopisma GEO Special z września 2004 r. – osiem krajów otrzymało ocenę w sumie pozytywną. Jedynie Polska oceniona została przez Niemców negatywnie. Jest przy tym rzeczą niepokojącą, iż młodzi Niemcy oceniają sąsiedni kraj na Wschodzie o wiele bardziej negatywnie aniżeli starzy. Polskę i Niemcy łączy sąsiedztwo, którego losy w długich okresach czasu były tragiczne. To samo odnosi się także do Francji. Ale w jej przypadku udało się w historycznie bardzo krótkim czasie silnie ugruntować pojednanie i przyjaźń między oboma narodami. Dlaczego nie udało się tego zrobić między Niemcami a Polską? Czy brakuje politycznej woli? Brak pieniędzy i niezbędnej infrastruktury instytucjonalnej? A jeśli tak jest, to czy możemy się z tym tak po prostu pogodzić? Na początku września 2005 r. założone zostało pod egidą Forum Wschód-Zachód w majątku Gödelitz Forum Niemiecko-Polskie. Uczynimy w ramach naszych możliwości wszystko, aby poprawić stosunki między oboma narodami, przezwyciężyć ignorancję i uprzedzenia.” Już w następnej publicznej imprezie, w sobotę 22 października 2005 r., w Gödelitz rozmawialiśmy o codziennych relacjach między Niemcami a Polakami. Krzysztof Wojciechowski czytał fragmenty swojej książki *Meine lieben Deutschen* (tłumaczenie z języka polskiego, Westkreuz-Verlag Berlin/Bonn 2002, 264 strony, tytuł oryginału: *Moi kochani Niemcy*, Mefisto Editions, Gdańsk 2000). Po odczycie odbyła się bardzo ożywiona, otwarta, ale i pełna humoru dyskusja. My – uczestnicy – dowiedzieliśmy się nie tylko wielu interesujących rzeczy o naszym polskim sąsiedzie. Pełne sympatii, ale równocześnie krytyczne i dowcipne spojrzenie polskiego autora na jego niemieckich sąsiadów przyczyniło się do lepszego zrozumienia nas samych, w tym także naszych nieuświadomionych uprzedzeń. Poznałem polskiego naukowca i znakomitego znawcę Niemców kilka lat przedtem przez jego książkę. Przez niego nawiązałem także kontakt z niemiecko-polskim stowarzyszeniem *My Life – erzählte Zeitgeschichte* (Moje życie – opowiedziana historia najnowsza). Krzysztof Wojciechowski jest przewodniczącym zarządu. Stowarzyszenie to zbiera i archiwizuje historie życiowe. Ludzie starsi opowiadają o swoim życiu, a młodzież zapisuje ich opowieści. 4 marca 2005 r. na konferencji zatytułowanej *Aus Fremden wurden Freunde* (Obcy stali się przyjaciółmi) zaprezentowano tego rodzaju historie życia. Uczestniczyłem w tej imponującej imprezie w Collegium Polonicum w Słubicach i mówiłem o moich doświadczeniach z dzielenia się historiami z życia ludzi.

Rekapitułując: biorąc pod uwagę moje dotychczasowe, w sumie bardzo dobre doświadczenia z wymianą historii życiowych, uważam za wciąż aktualne motto *Erzählt euch eure Biografien* (Opowiadajcie sobie swoje biografie). Sądzę również, że odrębna seria „niemiecko-polskich rozmów o biografii” jest potrzebna, godna kontynuowania i obiecująca sukces. Zapewne można w tym celu twórczo wykorzystać „Model z Gödelitz”. Proponowałbym tylko drobne uzupełnienie: mam dobre doświadczenia z publikowaniem życiorysów i dlatego uważam, że wyniki niemiecko-polskich rozmów biograficznych powinno się publikować.

(Przełożył: Tomasz G. Pszczółkowski)

Wendelin Szalai, urodzony w 1939 r. na Węgrzech. Rodzina, jako „węgiersko-niemiecka”, została w roku 1948 przesiedlona do Niemiec (w Saksonii). W latach 1957–1960 studia z zakresu historii i historii sztuki w Dreźnie; następnie w latach 1962–64 studia zaoczne (na kierunku Historia) w Poczdamie.

Od roku 1960 do 1967 nauczyciel historii w Radebeul, potem zatrudniony jako metodyk nauczania historii w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Dreźnie. Doktorat w 1973 r. Habilitacja w 1979 r., od roku 1983 profesor zwyczajny. W roku 1992 zwolniony z pracy i odwołany z funkcji z powodów politycznych. Bezrobotny. Od roku 1995 (w semestrze letnim) profesor nadzwyczajny, w zastępstwie kolegi na Uniwersytecie w Hamburgu. Udział w projekcie „Żyjemy we wspólnej Europie”, finansowanym przez Fundację Körbera.

Od 1996 r. inicjator Stowarzyszenia „Bezrobotnych naukowców”, od tego roku także społeczny działacz „ost-west-forum”. Inicjator projektu „Niemieckie biografie” zakończonego publikacją: *13 niemieckich historii ze Wschodu i Zachodu* (Edition Körber-Stiftung 1998).

Członek wielu stowarzyszeń i organizacji działających na rzecz wewnętrznej integracji „niemiecko-niemieckiej”; obecnie członek zarządu ost-west-forum Gut Gödelitz, redaktor (wspólnie z Astrid von Friesen) publikacji *Utrata ojczyzny – zadamowanie się w nowej* (ddp goldenbogen Dresden 2002), a także książki (wspólnie z Barbarą Amelung) pt. *Przeszłość, która ma kolce. Wspomnienia z lat 1989–1993*.

Autor licznych publikacji i artykułów z zakresu historii, metodyki nauczania historii oraz procesów zjednoczeniowych w Niemczech.

Od maja 2003 r. na emeryturze; żonaty, dwie dorosłe córki. Działacz społeczny.

HORST WALTER

„Goldbergowskie” impresje

Nasz przyjaciel Mirek mieszka w Szczecinie. My, rodzina Walterów, od roku 1945 mieszkamy w pobliżu hanzeatyckiego miasta Wismar w Meklemburgii.

To, co łączy Mirka i mnie, to nasze rodzinne miasto. Ja, Horst Walter, urodziłem się w 1936 r. w Goldberg, obecna nazwa to Złotoryja (Dolny Śląsk). Mirek Górny urodził się w tym samym mieście 24 lata później, w roku 1960 w Polsce.

Obu nas łączy jednak dużo więcej. Podczas naszych spotkań we dwóch i w kręgach rodzinnych uczymy się zainteresowania biograficzną prawdą o innych, „aby opowiadając sobie nasze życiorysy, jeszcze bardziej zbliżyć się do siebie i zrozumieć odmienne, a jednak – wspólne w jakiejś mierze – losy”. Tak właśnie nazywa to w swoim artykule *Budowa pomostu pomiędzy Polakami i Niemcami na przykładzie wspólnych życiowych opowieści* Axel Schmidt-Gödelitz. Cytat pochodzi z książki *Polska między Niemcami a Rosją* pod redakcją Karola Czejarka i Tomasza G. Pszczółkowskiego, wydanej przez Wydawnictwo Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Puławach w 2011 r.

Mirek jest przyjacielem naszej rodziny. Poznaliśmy go w Polsce, gdy miał 13 lat, w małym mieście na Dolnym Śląsku. My, czyli moja żona i ja, a później i nasze dzieci. Te rodzinne historie splatają się, a łącząca nas przyjaźń jest tak silna, że przetrwała wszelkie polityczne zawirowania przez pół wieku, od wypędzenia po zakończeniu wojny, przez odgórnie narzuconą przyjaźń między NRD i Polską Rzeczpospolitą Ludową, aż do czasów „Solidarności”, kiedy wszelkie kontakty były zakazane przez rząd NRD. A teraz żyjemy w zjedno-

czonej Europie, kiedy jedynie język mógłby utrudniać komunikację. Ale nasz przyjaciel zna język niemiecki od dziecka bardzo dobrze. O tym, co łączy rodzinę z Goldberg, z rodziną ze Złotoryi – chcemy tu opowiedzieć.

Musimy przy tym cofnąć się w czasie, kiedy to historia Śląska była jeszcze niemiecka. Moi dziadkowie mieli sklep z obuwiem przy Liegnitzer StraÙe w Goldberg. Żyli jako poważani, pokojowo usposobieni obywatele, także wśród polskich sąsiadów. Dopiero narodowy socjalizm i wojna przyniosły nienawiść, uprzedzenia i napięcia wśród grup narodowościowych.

Urodziłem się w Goldberg w domu przy RitterstraÙe, który wybudowali moi rodzice. Był to mały jednorodzinny domek – duma całej rodziny! Moje dziecięce ścieżki prowadziły przez miasto, które wydawało mi się ogromne... – do basenu, do rzeki (Katzbach/Kaczawa), do moich krewnych. W 1942 r. zostałem przyjęty do przyklasztornej szkoły. Towarzystwo zakonników nie było mi obce, gdyż moja matka chodziła regularnie do kościoła katolickiego. Chroniony i bezpieczny dobrze się czułem w tym małym i przewidywalnym dla mnie świecie.

Wojnę postrzegałem przez obawy dorosłych oraz pożegnanie z moim ojcem w styczniu 1945 r. W momencie rozstania z nim miałem 8 lat. Został zaciągnięty do oddziałów Volkssturmu i natychmiast znalazł się w rejonie ciężkich walk, w okolicach Ścinawy nad Odrą (Steinau an der Oder). 4 lutego 1945 r. został wzięty do niewoli, po czym spędził ponad cztery lata w sowieckim więzieniu. Rozstanie z ojcem było dla mnie wielką traumą. On był tym, który własnymi sprawnymi rękami utrzymywał dom, ogród oraz „zbudował na wieczność” (jak zawsze powiadał) moją zabawkę. I nagle – gdy go tak potrzebowałem – przestał być dla mnie osiągalny.

Czas, gdy Rosjanie doszli do Legnicy – 9 lutego 1945 r. – przeżyłem z daleka od armatniego huku. Uciekliśmy z Goldberg tuż przed ich wkroczeniem do miasta (13 lutego), po pośpiesznie zarządzonej ewakuacji całego regionu sudeckiego. Obraz mojej matki (w zaawansowanej ciąży) na peronie w Goldberg, z dziecięcym wózkiem, w którym znajdowała się część naszego dobytku, utkwił w mojej pamięci na całe życie. Jeszcze dziś pakowanie walizek stanowi dla mnie przeszkodę nie do pokonania, bo ciągle przypomina tamte ponure chwile. Koniec wojny przeżyliśmy z mamą (czworo dzieci) w Sudetengau (w obwodzie sudeckim). Moja matka była załamana. Jedno z niewielu zdjęć, jakie pozostało z tego okresu w rodzinie, ukazuje nas na balkonie Willi Mimosa, gdzie mieszkaliśmy wszyscy razem w jednym pokoju. Tutaj urodził się mój brat Hartmut. Żył krótko i został pochowany w Wartenberg am Roll. Dziś ta miejscowość w Czechach nazywa się – Stráž pod Ralskem.

Czechosłowacki rząd zarządził od połowy maja przymusowe wysiedlenie Niemców i 4 czerwca 1945 r. przybyliśmy ponownie do naszego rodzin-

nego miasta Goldberg, które w międzyczasie zostało zajęte przez Rosjan. Zastaliśmy nasz spustoszony dom. Mój zawsze uporządkowany pokój dziecięcy był kompletnie zrujnowany. Pamiętam szczególnie, że z małżeńskiego łóżka naszych rodziców Rosjanie urządzili w piwnicy zagrodę dla królików. Wszystkie weki były potłuczone. Mama była zdruzgotana tym widokiem, ale jej wola – mimo wszystko – pozostania w naszym domu była ogromna. We wspomnieniach widzę moją matkę sprząającą w domu i przy pracy w ogrodzie. Wszyscy zabraliśmy się z energią, aby mamie w tych pracach pomóc.

Jednak, gdy od 20 czerwca 1945 r. na Dolnym Śląsku rozpoczęła się duża fala przesiedleń, musieliśmy opuścić Goldberg pieszo w kolumnie, z ręcznymi oraz dziecięcymi wózkami i niewielką ilością rzeczy. Uciekaliśmy przez Löwenberg-Lauban (Lwówek Śląski – Lubań) do Zodel nad Nysą Łużycką, w towarzystwie uzbrojonych polskich żołnierzy, których się bałem, ponieważ nieustannie nas popędzali. Ówczesny polski minister administracji publicznej Edward Ochab nakazał „przepędzenie Niemców w małych grupach za Odrę i Nysę”. Dowiedziałem się o tym wiele lat później.

Przejście graniczne na Nysie Łużyckiej do dziś przywołuje we mnie jak najgorsze wspomnienia. Eskortujący nas żołnierze zabrali mojej czteroletniej siostrze jej ukochaną lalkę; rolnikom zabierano przede wszystkim konie wraz z całym dobytkiem znajdującym się na furmance. Mój wujek musiał sam ciągnąć dalej wózek, w którym wiózł swoją maszynę do szycia. Niektórzy próbowali przekroczyć Nysę obok mostu, przez mieliznę, co było szczególnie niebezpieczne. To były straszne dni.

Później przez Cottbus (Chociebuż) i Berlin dotarliśmy do Meklemburgii, gdzie początkowo znaleźliśmy schronienie u krewnych. Jedzenie chleba do syta i spanie pod czystą bielizną po 45 dniach spędzonych „w drodze” odebraliśmy jako raj. Chcieliśmy pozostać w tej okolicy. Nasza nowa „ojczyzna”, mimo wszechobecnej w niej biedy, o czym się szybko przekonaliśmy, gwarantowała nam bezpieczeństwo. Mama zajmowała się nami, zajmując się jednocześnie do każdej pracy we wsi, aż do czasu powrotu z niewoli mojego ojca – 1 kwietnia 1949 r.

Dorastałem w malutkim mieszkaniu dla uciekinierów nad idyllicznie położonym Jeziołem Swarzyńskim (Schweriner See). O troskach codziennego życia dzieci dowiadywały się jedynie z rozmów matki z naszą ciocią. Tak naprawdę nie chcieliśmy w to wierzyć. Latem mieliśmy miejsce do kąpieli, a zimą lodowisko i „górkę” do jazdy na sankach. Pokoje były małe, ale za to duży ogród i las. W szkole staraliśmy się uczyć jak najlepiej. Widzieliśmy radość i dumę naszej matki, że udało się nam przeżyć „najgorsze”. Że jesteśmy zdrowi, mamy co jeść i w co się ubrać.

Po maturze studiowałem weterynarię w Berlinie, po czym pracowałem jako weterynarz w powiecie Wismar (Kreis Wismar). Po założeniu rodziny w 1964 r. ostatecznie znalazłem swój nowy dom. Moi rodzice mieszkali przez pewien czas z nami, do czasu śmierci ojca w 1967 r. Ogród znów wyglądał okazale, jak kiedyś ten przy naszym domu na Śląsku; było w nim wiele kwiatów, warzyw i owoców. Tu urodziły się nasze dwie córki.

A Goldberg (dziś Złotoryja) zawsze odgrywał w naszej rodzinie, przez opowieści moich rodziców oraz nasze wspomnienia, ważną rolę.

U mamy wyczuwało się jednak zdecydowaną niechęć do rozmów o przeszłości. Wspomnienia były chyba zbyt bolesne. Goldberg to była jej mała ojczyzna, do której chciała początkowo wrócić, nawet bez ojca. Jednakże, kiedy później wśród nas, dzieci, pojawił się pomysł odwiedzenia „starej ojczyzny”, zareagowała powściągliwie, a nawet niechętnie. W swoich wspomnieniach – jak twierdziła – chciała zachować wszystko tak, jak przeżyła to w szczęśliwym dla niej okresie życia rodzinnego. Wśród mojego rodzeństwa pozostało wiele tęsknoty za ojczyzną na Śląsku. Utraciliśmy nasz dom rodzinny z wszystkimi ukochanymi przedmiotami. Obrazy z dzieciństwa przeplatały się z różnorodnością bieżących zdarzeń, takich jak np. odważny skok naszej siostry z 5-metrowej trampoliny w pobliskim basenie. Wzbudził on nie tylko podziw, ale stał się głównym tematem „nowych” opowieści rodzinnych.

Wraz z dorastaniem naszych córek pojawiło się u mnie pragnienie pokazania im miejsc z moich dziecinnych wspomnień. Żona wspierała mnie w tych zamierzeniach, wiedząc, że ucieczka z mojego rodzinnego miasta pozostawiła we mnie ślad na całe życie. Nieustannie próbowałem analizować i wyjaśniać te tragiczne wydarzenia, dopytując o to moich krewnych. Wśród rodzeństwa nie znalazłem jednak specjalnego zrozumienia, gdyż wspomnienia z Goldberg dręczyły – jak się okazało – przede wszystkim mnie.

Zaplanowaliśmy więc z żoną pierwszą podróż do Złotoryi. Naszym samochodem, „moskwiczem” chcieliśmy przejechać częściowo drogę mojej „ucieczki”, a potem odwiedzić grób mojego brata.

Bezwizowy ruch turystyczny do Polski umożliwił nam tę podróż w 1973 r. Widok na miasto z drogi dojazdowej do autostrady, z charakterystyczną sylwetką kościoła, odebrał mi mowę. Odwiedziliśmy w pierwszej kolejności domy rodziców. Rozpoznałem wszystko! Znalazłem nawet mały pagórek, który służył naszym pierwszym próbom narciarskim, mimo iż wydał mi się teraz dużo niższy od tego, który zachowałem w pamięci.

Z nieśmiałością i z biciem serca rozmawiałem, używając kilku polskich słów, z obecnymi mieszkańcami „naszego” dawnego domu, choć z wielką obawą, że zostanę źle zrozumiany lub skojarzony z ludźmi z odwetowego – zachodnioniemieckiego „Związku Wypędzonych”, potępianego też przez

władze NRD. Przyznam, że w tych rozmowach z mieszkańcami naszych byłych włości mieliśmy w sobie poczucie winy za dokonane przez nazistów zbrodnie. Ale zaskoczyło nas to, że zostaliśmy przyjęci niezwykle przyjaźnie i z wielką otwartością. Mogliśmy robić zdjęcia, wejść do domu, a nawet byliśmy serdecznie ugośczeni i otrzymaliśmy stare rodzinne zdjęcie, które nowi właściciele znaleźli na strychu. Na zdjęciu widać było naszą mamę w dniu jej I komunii w Goldberg. Nasza radość mieszała się z zawstydzeniem, bo nie spodziewaliśmy się takiej otwartości i gościnności.

Podczas spaceru ulicą, przy której mieszkała nasza ciocia, zwróciliśmy uwagę na ogród przed domkiem, który wydawał się być szczególnie kolorowy i radosny. Obok krzewów i kolorowych kwiatów, nagietków, zobaczyliśmy „niemieckie” krasnale ogrodowe. Wszystko było starannie wypielegnowane i wyglądało przepięknie. Zatrzymaliśmy się, a już po chwili zostaliśmy przyjaźnie powitani w języku niemieckim i zaproszeni do domu. Tak poznaliśmy panią Górna, babcię Mirka, wspaniałą, uroczą kobietę, która zyskała natychmiast nasze zaufanie. Wyraźnie wyczuwalne było jej zainteresowanie nami i naszą historią. Byliśmy pod wielkim wrażeniem gościnności całej rodziny Górnych.

Mirek miał wówczas 13 lat i z zainteresowaniem słuchał babci, która była wyraźnie uradowana, mogąc rozmawiać z nami po niemiecku. Później dowiedzieliśmy się, że pani Górna ma na imię Emma Cecylia i jest wnuczką niemieckiego osadnika z okolic Flensburga do Wielkopolski. Wyszła za mąż za Polaka w roku 1928.

Po bardzo krótkim czasie nasza zażyłość zaowocowała dość częstymi kontaktami rodzinnymi. Moje rodzeństwo chciało również pojechać z nami do Polski, co wkrótce się stało. Wszyscy zostaliśmy serdecznie przyjęci przez rodzinę Górnych. W innych domach było podobnie. W byłym domu mojej cioci poznaliśmy przyjaznych polskich gospodarzy, którzy po wojnie zostali przymusowo przesiedleni ze wschodniej Polski, nasze powojenne doświadczenia życiowe były więc podobne. Zorganizowane w Złotoryi urodziny mojej siostry, która mieszkała od 1960 r. w zachodnich Niemczech i której od wielu lat nie mogliśmy zobaczyć, były dla nas szczególnym wydarzeniem. Było to jakby niemiecko-niemieckie połączenie się rodzin na polskiej ziemi. Rodzina Górnych zrobiła podczas tej uroczystości wszystko, co tylko mogła, aby nas ugościć. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że nie było to wcale łatwe, bo kupienie tych wszystkich produktów wymagało dużego wysiłku. A uczta była naprawdę wspaniała. Do tego wszystkiego – te pyszne owoce z ogrodu, grzyby i borówki z lasu i na koniec legendarne, „własnej roboty” kiszone ogórki! Jeszcze długo wieczorem siedzieliśmy przy niemieckich i polskich piosenkach. Wtedy właśnie Mirek chwycił za akordeon, który przywieźliśmy mu z NRD, ponieważ już wcześniej zauważyliśmy, że był umuzykalnionym chłopcem.

Czuliśmy się dobrze w gronie tych ludzi, którzy byli radośni i przyjaźni, umocnieni swoją katolicką wiarą, ze swego rodzaju poczuciem wolności w czasie, kiedy sklepy były puste, a drogi kiepskie. Znajdowaliśmy z nimi wspólne obrazy z naszego życia, przysłuchiwalimy się sobie, przełamując wszelkie bariery i uprzedzenia. Mieliśmy podobne doświadczenia z represyjnymi systemami realnego socjalizmu istniejącego w obu krajach, dlatego rozumieliśmy się dobrze. Poczucie wspólnoty łączyło bardziej niż polityczne spory o przeszłość. Wszechobecna Służba Bezpieczeństwa została w naszym zespolonym gronie sprowadzona do roli „krasnala”, przed którym traciło się na krótko poczucie strachu.

Uznanie faktów z naszej historii było bazą i przesłanką dla naszej przyjaźni, a mówienie o tym wprost, w tym także o naszych biografjach – pozwalało nam zaakceptować tę trudną rzeczywistość, a jednocześnie być wzajemnie tolerancyjnymi.

O tych podróżach opowiadaliśmy naszej mamie. Widzieliśmy wtedy w jej oczach niepewność, rozterkę, a nawet zwątpienie. W końcu mówiliśmy o jej ojczyźnie, o tym, co było dla niej bliskie, bolesne i z pewnością – w chwilach rozmyślań – wywoływało cichą rozpacz. Trudno jej było zrozumieć nasze nowe doświadczenia i cieszyć się razem z nami. Najpewniej i najbezpieczniej czuła się teraz wśród swoich dzieci w Meklemburgii, które wybudowały własne domy i zakorzeniły się tam na dobre. Tęsknotę za jej rodzinnymi stronami przełaziła na swoje dzieci. Nam jednak „pozostawiła” akceptację nowych granic, a nowych przyjaźni nauczyliśmy się sami i ona w żadnym przypadku nie była im przeciwna. Szanowaliśmy ją za to.

Okazana ze strony rodziny Górnych gościnność wywarła na nas głębokie wrażenie, a nigdy nie chcieliśmy ukrywać, że początkowo my – jako Niemcy – przybyliśmy do Polski także z poczuciem winy. Trwające latami odwiedziny i kontakty pozwoliły nam stać się przyjaciółmi. Język niemiecki Mirka stawał się z roku na rok coraz lepszy, a on sam przygotowywał wycieczki w Karkonosze, przyjmował rolę tłumacza i pomagał tak, że pozwoliło nam to lepiej zrozumieć Polaków, a także ich polityczne postawy. Odbieraliśmy ich jako ludzi odważnych i „wolnych”. To, że takie postrzeganie było słuszne, okazało się niebawem, gdy powstała „Solidarność”. Rząd NRD natychmiast zabronił wyjazdów w odwiedziny do Polski. Sytuacja w Polsce mogła mieć „niebezpieczny” wpływ na obywateli NRD. „Z całego socjalistycznego obozu – to w polskim baraku jest zawsze najwesелеj” – mówił powszechnie znany dowcip z tamtego okresu. A to przecież mogło być zaraźliwe!

Nasze spotkania z rodziną Górnych nie mogły być już tak częste. Mirek był młodym człowiekiem, który przełamał ten mur, kiedy przyjechał do nas w wie-

ku 18 lat. Zjawił się nieoczekiwanie przed drzwiami, kiedy świętowaliśmy moje 42 urodziny. Zgodnie z dobrym polskim obyczajem, stanął przed nami z pięknym bukietem kwiatów. Później, w roku 1980, już jako członek znanego chóru Politechniki Szczecińskiej, przyjechał z tym chórem na koncert do Rostocku. W gorącej politycznej atmosferze spotkaliśmy się po koncercie i podzieliliśmy naszymi opiniami na temat najnowszych politycznych wydarzeń. Myśleliśmy podobnie i było to wspaniałe właśnie w tamtym czasie, który naznaczony był nieufnością i strachem, a my rozmawialiśmy ze sobą bez jakichkolwiek barier. Darzyliśmy się wzajemnie wielkim szacunkiem i zaufaniem.

Szczególnym momentem w naszych relacjach był ślub Mirka w 1987 r. w Nidzicy. Długa podróż przez Polskę, na Mazury – była niezapomniana. Wyczuwało się zmiany w tym kraju, gotowość ludzi do przełamania starych struktur. Wesele, na którym znów spotkaliśmy się po dłuższym czasie z rodziną Mirka, było huczne. Z nieodłącznym polskim polonezem przez stare, malownicze krużganki nidzickiego, „krzyżackiego” zamku. Uroczystości weselnej towarzyszyła też muzyka chóru ze Szczecina. Pełne stoły, tańce i śpiewy trwające dwa dni. To jest możliwe tylko w Polsce. Byliśmy wdzięczni za to szczególnego rodzaju przeżycie. W tzw. czasie przełomu wszystko stawalo się nowe i inne. Na bieżąco utwierdzaliśmy się wzajemnie w ocenie politycznych wydarzeń. W Polsce wydarzyło się tak wiele wspaniałych i niepojętych rzeczy, o których nie sposób napisać w tej biografii. Z naszego punktu widzenia Polska była zawsze w czołówce krajów, które miały znaczący wpływ na zmiany w Europie. To z Polski przyszedł impuls do zmian u nas! I nigdy tego nie zapomnimy. Nie ma już NRD, a my mamy ponownie zjednoczone Niemcy!

Wszystkie postępy w kierunku zjednoczonej Europy docenialiśmy w częstych telefonicznych rozmowach, a później w emailach. Technicznie stały się możliwe kontakty, które wcześniej trudno było sobie wyobrazić. Absorbowała nas kwestia, czy dzięki temu może wzrosnąć wzajemne porozumienie. Uważałem, że tak!

Osobiste spotkania i rozmowy ciągle wydają się nam właściwą bazą przyjaźni. I chcemy je kontynuować. Pomaga nam w tym od kilku lat autostrada Lubecka–Szczecin i fakt, że między naszymi krajami nie ma już formalnej granicy.

Mirek mieszka ze swoją rodziną w Szczecinie i prowadzi tam dużą firmę. Jego dom to przebudowana i zmodernizowana willa, którą przed wojną zbudowała niemiecka rodzina, a dziś należy do naszych polskich przyjaciół, jak najbardziej słusznie i sprawiedliwie.

Nasze córki mieszkają ze swoimi rodzinami w Osnabrück i Poczdamie. Mają ochotę na pokazanie swoim dzieciom rodzinnych stron dziadka. My też marzymy o tym, żeby pokazać im Złotoryję, z Mirkiem jako przewodnikiem.

Na emeryturze zająłem się historią Wismaru i wyuczyłem nowego „zawodu”: miejskiego przewodnika. Podczas oprowadzania przez to hanzeatyckie miasto chętnie wskazuję na powiązania z Polską. Przeplatam je moimi osobistymi refleksjami. Często zgłaszają się Ślązacy, którzy przez mój charakterystycznie brzmiący dialekt (jak u ich rodziców), czują się tymi zwierzeniami poruszeni. Do kanonu mojego „opowiadania” należy też podkreślanie więzi z polskimi przyjaciółmi.

Szczególnie chętnie robię to, gdy jako przewodnik opiekuję się polskimi gośćmi, wtedy przypominam sobie, jak Mirek oprowadzał nas po Złotorzy. Dzięki osobistemu odniesieniu się do moich doświadczeń rozmowy są żywsze i bardziej interesujące. Wycieczkę przez miasto kończę zazwyczaj krótkim koncertem w kościele św. Mikołaja; gram przepiękną polską pieśń pt. „Barka”, która mówi o tym... „jak to Pan kiedyś stanął nad brzegiem... i nakazał nam żyć w zgodzie...” A na finał gram na organach niemiecki chorał. Zdarza się, że ludzie mają łzy w oczach.

Przychodzi mi przy tym ponownie na myśl babcia Emma Cecylia, która tak chętnie śpiewała z nami niemieckie pieśni ludowe, a muzyka zawsze odgrywała ważną rolę podczas naszych spotkań. Zaproszenie do Szczecina, do domu rodziny Mirka przed rokiem, stanowiło wyjątkowy moment w historii naszej przyjaźni. I znowu, jak przed laty, Mirek wyciągnął swój stary NRD-owski akordeon... Przy tej muzyce babcia Mirka znowu była z nami.

(Przełożyli: Krzysztof Garczewski i Karol Czejarek)

Horst Walter, ur. 30 czerwca 1936 r. w Goldberg (dzisiejszej Złotorzy) na Śląsku, w którym przebywał do lutego 1945 r., kiedy musiał ostatecznie opuścić swoje rodzinne miasto, by przenieść się i osiedlić w Wismarze – na terenie b. NRD. Tu ukończył szkołę średnią, następnie studiował na Uniwersytecie Humboldta weterynarię i został w roku 1962 doktorem nauk medycznych w zakresie leczenia zwierząt. W 1964 r. ożenił się z Helgą Hold, z którego to związku urodziły się dwie córki.

Po roku 1989 został wybrany burmistrzem miasta Bobitz, w okręgu północno-zachodniej Meklemburgii; funkcję tę pełnił przez 12 lat. Jest również autorem projektu Ogrodu Zoologicznego.

Od ponad 40 lat gra na organach w jednej z parafii na terenie Wismaru. Na prośbę miejscowych władz został również przewodnikiem miejskim (w 2002 r.); w tym celu ukończył nawet specjalny kurs. Ta społecznikowska pasja wynika z jego zainteresowań, szczególnie historią i muzyką.

HELGA WALTER

„Goldbergowskie” wariacje

Urodziłam się we wrześniu 1945 r. na wsi w Meklemburgii. Od 1964 r. jestem żoną Horsta Waltera.

Chciałabym również i ja – w ramach niemiecko-polskich rozmów biograficznych – dorzucić kilka własnych wspomnień, związanych z różnymi losami naszej rodziny, zarówno w przeszłości, jak i teraźniejszości.

W *Goldbergowskich Impresjach* wyraźnie widać, jak głębokie ślady pozostawiły w Horście ucieczka i wypędzenie z Goldbergu, dziś – Złotoryi. Jednak już po pierwszej naszej powojennej wizycie w tym mieście narodziła się niezwykła i do dziś bliska przyjaźń z rodziną Górnych. Chciałam oprzeć na niej moje refleksje dotyczące obecnych polsko-niemieckich relacji. Spostrzeżenia te będą niewątpliwie różniły się od innych zawartych w tej książce opowieści, gdyż ja urodziłam się już po wojnie i wychowywałam – można by rzec – już w czasie „pokoju”, a do tego w rodzinnej piekarni, więc w przeciwieństwie do Horsta, nigdy nie zaznałam głodu. Na ulicy często bawiłam się z dziećmi „w uciekinierów”.

Podczas wojny wydarzyło się wiele złego, ale tego domyślałam się tylko, kiedy moja mama rozmawiała z kobietami ze wsi o ich osobistych przeżyciach i nieszczęściach. Od mężczyzn słyszało się mniej, byli raczej milczący i niechętni do zwierzeń.

Pytanie ich o to, jak było na wojnie, nie miało już z resztą w latach 50. większego sensu, a i rodzice nie rozmawiali z nami na ten temat, jakby coś chcieli wyraźnie przemilczeć. Ale już jako dziecko domyślałam się, że dorosli pewnie mają swoje powody, aby o tym nie rozmawiać, a tym bardziej z dziećmi.

Potem w szkole dowiadywałam się z innymi rówieśnikami, do jakiej brutalności są zdolni ludzie podczas wojny. Wizyta w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie, do którego prowadzano wszystkich 14-latków, wywołała

u mnie ciężką traumę i nigdy tego już nie zapomnę. Te obrazy kładły się ciężarem na moje ramiona jako wina i wstyd. Słowo „niemiecki” przykleiło się do mnie jak skaza. To „my” – Niemcy – rozpoczęliśmy tę wojnę i ponosimy tego skutki!

Wiele lat później wizyty w Złotorii stały się dla mnie swego rodzaju uwolnieniem od winy. Nasi nowi polscy przyjaciele byli dalecy od tego, żeby stawiać mojemu pokoleniu zarzuty. Niektórzy z nich sami byli wypędzeni, tyle, że ze wschodniej Polski, z terenów, które po wojnie przypadły Związkowi Radzieckiemu. Ale zdarzało się, że moja niemieckość przysparzała mi też pewnej satysfakcji i w duchu mogłam być dumna, kiedy babcia Górna cieszyła się z „mojego” języka, pieśni i sztuki poetyckiej.

Standard życia w Polsce był skromny, ale byliśmy zawsze podejmowani z wielką gościnnością. Podobnie jak my, gospodarze żyli w tym samym represyjnym systemie. Jednak ludziom więcej radości sprawiała ich własna mała wolność, niż poddawanie się dyktaturze. Łączyła nas wyczuwalna wspólnota wyznawanych wartości oraz dążenie do całkowitej wolności. Zbliżał się czas, gdy cały świat spoglądał na Polskę, na jej „Solidarność”, podziwiając odwagę ludzi, którzy nie dali sobie wszystkiego zakazać i bardziej obawiali się zniewolenia niż społecznego chaosu. Uznaniem dla takiej postawy było niewątpliwie przyznanie Lechowi Wałęsie, w październiku 1983 r., Pokojowej Nagrody Nobla. Było to wielkie i prestiżowe wydarzenie.

Nasz związek z rodziną Górnych troskliwie pielęnowaliśmy pomimo zakazu podróżowania z NRD do Polski.

Wraz z upadkiem muru berlińskiego nastąpiły ogromne zmiany nie tylko u nas, ale także w krajach sąsiednich, należących dotąd do tzw. Bloku Wschodniego. Żał tylko, że nadal jest wiele wzajemnych uprzedzeń, zwłaszcza w pasie przygranicznym. Powinniśmy im zdecydowanie przeciwdziałać.

Odwiedziliśmy Złotoryję krótko przed uroczystością 800-lecia miasta. Bardzo się ono zmieniło. Domy naszych krewnych były prawie nie do poznania. W ogrodzie bawiła się beztrząsco prawdopodobnie już nowa generacja wnuków. Byli tutaj u siebie, w domu.

W drodze powrotnej jechaliśmy przez Zodel, miejscowość na Łużycach, leżącą przy dzisiejszej niemiecko-polskiej granicy. Gdy Horst zobaczył most na Nysie Łużyckiej, znów powróciły gorzkie wspomnienia z jego ucieczki. Rozpoznał krajobraz, przęsła mostu, jak również starą brukowaną ulicę prowadzącą do mostu, choć wiele miejsc porośniętych było trawą.

Nasz udział w niemiecko-polskich rozmowach biograficznych sprawił, że wspólnie z Horstem, we wspomnieniach, powróciliśmy znów na chwilę do lat dzieciństwa.

Teraźniejszość przeżywamy wspólnie w zjednoczonej Europie i jesteśmy wdzięczni za te wszystkie spotkania z naszymi polskimi przyjaciółmi. Wciąż podejmujemy trudne, ale jednocześnie bardzo serdeczne i potrzebne rozmowy. Pozwalają nam one zachować pewien zdrowy dystans do wydarzeń bardzo już odległych. I chociaż wielu z tych osób już nie ma, zawsze wracamy w myślach do tych chwil, które dane nam było przeżyć z przyjaciółmi z Polski, w niełatwych przecież latach powojennych. W tej chwili ten serdeczny kontakt utrzymujemy nadal, z następnym już pokoleniem.

(Przełożył Krzysztof Garczewski)

Helga Walter, urodziła się 22 września 1945 r. w Grevesmühlen w Meklemburgii. Do szkoły uczęszczała w Bobitz, a egzamin maturalny złożyła w 1964 r. w Wismarze (NRD). Żona Horsta Waltera, z którym ma dwie córki. Przez wiele lat pracowała w przychodni dla zwierząt prowadzonej przez jej męża – lekarza weterynarii. Następnie studiowała zaocznie pedagogikę specjalną na Uniwersytecie Humboldta i przez 23 lata była pedagogiem w szkole dla dzieci specjalnej troski i współpracownikiem kliniki rehabilitacyjnej. Hobby: gra na pianinie i śpiewanie w chórze; interesuje się sztuką, sama chętnie maluje i rzeźbi.

TOMASZ G. PSZCZÓŁKOWSKI

Posłowie.

O znaczeniu rozmów biograficznych Polaków i Niemców

Niniejsza książka jest publikacją niezwykłą – przede wszystkim dlatego, że dotychczas brak było na rynku wydawniczym w Polsce i w Niemczech zebranych w jednym tomie, w dwóch językach, tekstów biograficznych Polaków i Niemców, których łączy to, że mają określone doświadczenia i przemyślenia związane z narodem sąsiadów i chcieliby się nimi podzielić z innymi. Publikacja zawiera biografie zwykłych, choć niezwykajnych ludzi. Nie są to celebryci, osoby znane z pierwszych stron gazet ani też prominenci, ale ludzie o uznanej pozycji zawodowej: dziennikarze i literaci, artysta-plastyk, nauczyciele, naukowcy różnych specjalności (germaniści, sławista, historycy), tłumacze i wykładowcy wyższych uczelni, urzędnicy i przedsiębiorcy. Autorami tekstów są także ludzie dopiero wchodzący w życie zawodowe – młodzi nauczyciele, naukowcy, doktoranci. Wśród piszących są zarówno ludzie młodszy, jak i emeryci.

Zdecydowana większość biografii zebranych w tej książce to fragmenty życiorysów ludzi zasługujących na miano niezwykłych i wielkich w swoich środowiskach. Biografie tych niezwykłych „zwykłych” ludzi zasługują na przybliżenie szerszemu kręgowi dlatego, że wielu czytelników odnajdzie w nich niekiedy także podobieństwa do swoich życiorysów. Lektura tych kilkudziesięciu relacji biograficznych pozwala poznać losy nie tylko pojedynczych osób wypowiadających się o sobie, ale także ich rodzin, bliskich

i znajomych, a także miejsc i środowisk, w których wyrastali i żyli. Przez to książka jest zbiorem indywidualnych obrazów Niemiec i Polski oraz obu narodów widzianych oczami osób bezpośrednio doświadczających wzajemnego sąsiedztwa – nie zaś z perspektywy „wielkiej polityki” czy stosunków międzypaństwowych. Wszystkie osoby wypowiadające się w książce mają określone, ukształtowane przez osobiste doświadczenia poglądy na to sąsiedztwo, niekiedy różniące się od oficjalnych, wyrażanych czy to przez polityków, czy też przez mainstreamowe media. Ale to też stanowi o wartości niniejszej publikacji, bo odzwierciedla ona poglądy „zwykłych” ludzi, choć są one często wypadkową także oddziaływania rodziny, polityków, szkoły, mediów itd.

Oczywiście trudno jest mówić o reprezentatywności autorek i autorów wypowiadających się w książce na tematy niemiecko-polskiego sąsiedztwa, bo wszystkie zaproszone do udziału w publikacji osoby, decydując się zamieścić swoje przemyślenia, wykazały gotowość podzielenia się nimi z czytelnikami w obu krajach, pisząc zaś, dokonały świadomego wyboru materiału, który w przypadku przeznaczenia go dla innego kręgu czytelników (np. tylko rodzimych) mógłby być ujęty inaczej. Względ na czytelnika jest jednym z elementów wspólnych wszelkiej literatury, także (auto)biograficznej, będącej częścią literatury faktu, do której zaliczyć można niniejszy zbiór.

Biografia i autobiografia jest gatunkiem literackim związanym najściślej z życiem jednostki ludzkiej. Historycy piszą biografie sławnych bądź mniej prominentnych, ale na pewno interesujących ludzi. Sposób ujęcia sylwetki bohatera przez pisarza historycznego zależy od wielu czynników – od poglądów piszącego na temat roli danej jednostki w dziejach, od zapotrzebowania politycznego na określoną ocenę tej jednostki, od dążenia pisarza do prawdy, ale i do kamuflażu czy też zafałszowania określonych zdarzeń z życia bohatera. Z kolei ludzie wielcy piszą niekiedy autobiografie, w których ukazują się zazwyczaj w najkorzystniejszym świetle, pragnąc pozostać w świadomości czytelnika kimś wybitnym, zasłużonym dla ogółu, zwłaszcza dla własnego państwa i narodu. Autorzy piszący w tej książce dokonują wiwisekcji własnych życiorysów i postaw w zdecydowanej większości w sposób bardzo szczery i otwarty, bez upiększeń, często krytycznie wobec samych siebie oraz państwa i narodu, do którego należą. Poziom samokrytycyzmu autorów niemieckich wydaje się większy niż autorów polskich, wszak ci pierwsi, zwłaszcza starszego pokolenia, czują się odpowiedzialni za zbrodnie popełnione przez Niemców na innych narodach, Polacy zaś czują się słusznie ofiarami, choć nie wszyscy piszący tu swoje historie skarżą się na prześladowania, co więcej – zdaje się, że wybaczyli swoim czy swoich przodków oprawcom.

Ważnym wyróżnikiem książki jest to, że zebrano w niej istotne dla ich autorów fragmenty życiorysów, mające często charakter bardzo osobisty. Fragmentaryczność biografii polega tu na tym, że ich autorzy skupiają się na osobistych relacjach związanych ze stosunkami polsko-niemieckimi, czyli że wypowiadają się o sprawach, które dotyczą ich bezpośrednio, nie zaś o „wielkiej” polityce rządzących, choć ta ostatnia wpłynęła i wpływa nadal na ich losy.

Kolejnym elementem wyróżniającym ten zbiór jest to, że zawiera on relacje autorów dwóch narodowości, których dzieje splotły się w XX w. w sposób tragiczny, niemający przykładu w dziejach Europy, a może i świata: Polaków i Niemców, choć nie wszyscy autorzy odczuli ten tragizm polsko-niemieckiego sąsiedztwa w równy sposób.

Istotnym składnikiem świadomości społecznej, wpływającym na postrzeganie tego sąsiedztwa, jest wiek osób piszących. Książka zawiera wypowiedzi ludzi trzech generacji. Pierwszą jest pokolenie Polaków i Niemców urodzonych przed II wojną światową lub w jej trakcie, którzy przeżyli tę wojnę i mają ją w pamięci jako traumę – każdy naród na swój sposób: Polacy jako ofiary agresji niemieckiej (ale także radzieckiej we wrześniu 1939 r.), Niemcy jako agresorzy, ale niektórzy także jako ofiary późniejszych wypędzeń i przesiedleń. Drugą generację stanowią ludzie młodszy, urodzeni już po wojnie, ale znający te tragiczne dzieje z bezpośrednich opowieści swych najbliższych, niektórzy także pamiętający jeszcze zniszczenia wojenne w pierwszych latach po wojnie (w Polsce i w Niemczech jej pozostałości były widoczne jeszcze w latach 60.). Do trzeciej generacji piszących należą Polacy i Niemcy urodzeni w latach 70. i 80., którzy dorastali już po przełomie roku 1989 w Polsce i w okresie po zjednoczeniu Niemiec; dla nich Polska i Niemcy są normalnymi państwami europejskimi. Te trzy pokolenia postrzegają przeszłość i teraźniejszość obu narodów odmiennie. Starsza generacja podchodzi do swoich biografii bardziej krytycznie aniżeli młodsze pokolenia, przede wszystkim z racji swego naznaczenia przeżyciami wojennymi (Polacy i Niemcy), okupacyjnymi (tylko Polacy, choć i Niemcy, ale już ci powojenni, którzy znaleźli się pod okupacją czterech mocarstw), wygnania ze stron rodzinnych (Polacy i Niemcy), albo też niewolą przymusowego robotnika (tylko Polacy, choć byli w Polsce powojennej także obozy pracy dla Niemców, którzy nie zdążyli uciec przed nadciągającą Armią Czerwoną, *volksdeutschow*, Ślązaków i osób podejrzewanych o wrogi stosunek do nowego ustroju). Średnie pokolenie, zwłaszcza żyjące w czasach PRL i NRD, charakteryzuje się większym dystansem do przeszłości, choć i ono nie może być zadowolone ze swego statusu, gdyż ludzie ci wprawdzie nie doświadczyli bezpośrednio losu swoich ojców i matek, żyjąc we względnie

ustabilizowanej teraźniejszości bez wojen, głodu i poniewierki, ale sytuacja polityczna, wynikająca z istniejącego w tych krajach systemu komunistycznego, znacząco ograniczała wolność i możliwość kształtowania indywidualnego rozwoju ludzi. Wreszcie pokolenie dzisiejszych 25–35-latków, nieoglądające się zbyt wstecz, patrzące w przyszłość, jako że cechą tego pokolenia jest myślenie o tym, co będzie, reprezentuje często ahistoryczne albo wręcz antyhistoryczne nastawienie do przeszłości, choć osoby młode, piszące w tej książce, cechuje zadziwiająca niekiedy refleksyjność w wypowiedziach o przeszłości i przyszłości właśnie – świadomość bycia Europejczykiem czy Europejką jest wśród nich wszechobecna.

Zmiany granic w roku 1945 spowodowały migrację milionów ludzi ze Wschodu na Zachód i dotknęły w porównywalnym stopniu Polaków i Niemców. O ile w Niemczech o losach wysiedlonych bądź według terminologii niemieckiej – wypędzonych Niemców mówiło się od pierwszych lat powojennych (w mniejszym stopniu w byłej Niemieckiej Republice Demokratycznej), to w powojennej Polsce (Ludowej) zagadnienie to z powodów politycznych, tj. deklarowanej przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, było przemilczane bądź traktowane marginalnie. Skutkiem tego była m.in. niewiedza o tragicznych losach „repatriantów”, którym to eufemizmem określano w Polsce Ludowej także polskich przesiedleńców ze Wschodu, osiedlanych następnie na terenach dawnej Rzeszy Niemieckiej, zwanych w PRL także „ziemiami odzyskanymi”, pod którym to pojęciem kryła się teza części polskich historyków o powrocie ziem niegdyś utraconych i zajętych przez Niemców do Macierzy, czyli włączeniu ich w 1945 r. do Polski. Większość Niemców do dziś nie zna gehenny Polaków deportowanych po wkroczeniu Armii Czerwonej we wrześniu 1939 r. na wschodnie ziemie II Rzeczypospolitej czy też przymusowo wysiedlanych po wojnie ani też nie wie, że ich losy – jako przesiedleńców – są częściowo porównywalne z losami niemieckich wypędzonych (tak nazywa się w Niemczech wysiedleńców z dawnych ziem wschodnich Rzeszy Niemieckiej) – pomijam wypędzenia Polaków np. z Wielkopolski po wkroczeniu armii hitlerowskiej do Polski, które także przypominają późniejszą sytuację niemieckich wysiedleńców ze Wschodu.

Książka zawiera zapiski autobiograficzne osób uczestniczących w niemiecko-polskich rozmowach o biografiach, organizowanych od 2011 r. przez działające w Saksonii Forum Wschód-Zachód w majątku ziemskim Gödelitz (ost-west-forum Gödelitz e.V.). Instytucja ta założona została przez niemieckiego dziennikarza, dyplomatę i działacza politycznego Axela Schmidta-Gödelitza. W jego bardzo osobistej, poruszającej relacji znajdujemy wyjaśnienie motywu powołania Forum: autor wspomina polskich

robotników przymusowych pracujących w majątku jego rodziny, którzy w chwili wkroczenia do niego żołnierzy radzieckich stanęli w obronie jego matki i uratowali ją przed rozstrzelaniem. Axel Schmidt-Gödelitz sam także zalicza się do pokolenia wypędzonych – tak założyciel Forum nazywa ludzi zmuszonych przez komunistyczne władze do opuszczenia swoich stron rodzinnych w radzieckiej strefie okupacyjnej i późniejszej NRD wskutek przeprowadzonej tam reformy rolnej, likwidującej dawne duże majątki. Ich powrót na rodzinne włości stał się możliwy po ich uprzednim wykupieniu (sic!) dopiero po zjednoczeniu Niemiec.

Idea dzielenia się przeżyciami i przemyśleniami ze swego życia, realizowana przez Forum Wschód-Zachód, pierwowzór Forum Polsko-Niemieckiego, miała zbliżyć najpierw Niemców ze Wschodu i z Zachodu żyjących w latach 1949–1990 w dwóch państwach niemieckich o odrębnych ustrojach społeczno-gospodarczych i politycznych. Rozmowy o biografii stały się po zjednoczeniu dość powszechne i odbywały się także w innych miejscach w Niemczech. Służyły one nie tylko zwykłemu poznaniu się Niemców ze Wschodu i z Zachodu, ale także – jak się wydaje – pełniły funkcję swoistego niemieckiego „okrągłego stołu”. Organizatorzy dbają bowiem o to, by żadna z osób uczestniczących w spotkaniach nie miała nad innymi przewagi, wszyscy traktowani byli na równi, okazywali sobie wzajemny szacunek, mimo niekiedy bardzo różnych, przeciwstawnych doświadczeń (np. w spotkaniach uczestniczą niekiedy dawni opozycjoniści i przedstawiciele dawnej władzy). Później Forum w Gödelitz organizowało spotkania biograficzne Niemców z Turkami zamieszkałymi w Niemczech, a następnie z Polakami zaproszonymi specjalnie z Polski. Ostatnio w programie Forum znajdują się spotkania niemiecko-rosyjskie. O idei rozmów o biografii piszą w niniejszej książce Wendelin Szalai i Dominique Kirste.

Niemcy ze Wschodu i z Zachodu spotykali się na rozmowach o biografii i miały one poniekąd znaczenie psychoterapeutyczne, zwłaszcza dla mieszkańców landów wschodnich, indoktrynowanych przez 40 lat istnienia NRD, którym wmawiano, iż żyli w jakoby moralnie i historycznie lepszych Niemczech. Zetknięcie się obywateli byłej NRD z przybyszami z zachodu Niemiec, postrzeganymi przez wielu ernerdownców jako kolonizatorzy i cywilizatorzy Wschodu, było dla wielu Niemców przykrym doświadczeniem. Dopiero dzięki tym rozmowom następowało stopniowe ich zbliżenie, choć oczywiście ograniczało się ono do samych uczestników spotkań, ich krewnych i znajomych, którzy dowiadawali się o takich spotkaniach. Niemniej już sama gotowość do rozmów, a także umiejętność porozumienia się, świadczą o wysokim poziomie kultury dyskusji mieszkańców obu części dawniej podzielonych Niemiec, którego my Polacy możemy się od

nich uczyć. W Polsce dotychczas takich rozmów nie prowadzono, bo też wydawały się zbędne (okrągły stół był tylko przedsięwzięciem politycznym, a nie społecznym). Jednak w obecnej sytuacji społeczno-politycznej, gdy podziały polityczne coraz częściej przenoszą się także w sferę życia społecznego, a nawet rodzinnego, w sytuacji antagonizującego się społeczeństwa – wskutek pogłębiających się różnic ideowych i światopoglądowych (np. w kwestii wpływu Kościoła katolickiego na politykę państwa i związanych z tym napięć, choćby w kwestii *in vitro*, aborcji, związków partnerskich, równouprawnienia mężczyzn i kobiet) – przydałyby się one także w Polsce. Któż jednak miałby organizować takie rozmowy? Biorąc pod uwagę wysoki stopień uspołecznienia, rozwinięte społeczeństwo obywatelskie w Niemczech z jednej strony i zatomizowane, niechętne instytucjonalnej socjalizacji społeczeństwo w Polsce z drugiej strony, trudno sobie nawet wyobrazić chęć prowadzenia rozmów między zwaśnionymi stronami w tym kraju, w wyniku których mogłoby dojść choćby do zbliżenia stanowisk, nie mówiąc o porozumieniu. Powinno się jednak spróbować stworzyć podobne do niemiecko-niemieckiego forum polsko-polskiej dyskusji o istotnych dla Polski i Polaków sprawach.

Można te relacje zebrane w książce czytać osobno – polskie i niemieckie, z których każda odzwierciedla inne perspektywy indywidualne, ale i społeczne. Ale można – i chyba powinno się – czytać kolejno jedno i drugie, gdyż książka ma służyć – jak swego czasu same spotkania niemiecko-niemieckie – nie tylko wzajemnemu zbliżeniu, ale przede wszystkim poznaniu się. Zwłaszcza po stronie niemieckiej, szczególnie w zachodnich landach, wiedza o Polsce i Polakach jest niewielka, podobnie jak zainteresowanie wschodnim sąsiadem. Czytelnicy polscy i niemieccy winni potraktować książkę nie tylko jako źródło wiedzy o mieszkańcach sąsiedniego kraju, ale także – przez odbiór ich przeżyć, myśli i uczuć – może wykształcą w sobie poczucie empatii, a nawet i sympatii do siebie. Na pewno czytelnicy książki powinni być zainteresowani poznaniem drugiej strony albo też pogłębieniem wiedzy o sobie i dlatego sięgnąć po nią powinni jedni i drudzy. Można jednak także potraktować zbiór tych biografii jako materiał do porównań różnic, odmienności i podobieństw w postawach wobec przeszłości, teraźniejszości, także wobec wyznawanych wartości, ale i różnic we wzorcach zachowań jednostkowych i zbiorowych. Lektura książki otworzyć może płaszczyzny porozumienia między Polakami i Niemcami. Wydobyć z ich biografii tego, co podobne i wspólne, oraz uświadomienie tego czytelnikom w obu krajach może zbliżyć oba narody. Skupię się tylko na najważniejszych elementach mogących służyć temu celowi.

Pierwszą dziedziną, w której losy Polaków i Niemców są podobne, jest ich podejście do terytorium, na którym niegdyś żyli bądź obecnie zamiesz-

kują. Część autorów – zarówno polskich, jak i niemieckich – urodziła się na terenach, które dzisiaj nie należą już do Polski czy Niemiec, lecz stały się częścią państw w granicach ustalonych po II wojnie światowej przez zwycięskie mocarstwa. Znaczna liczba Polaków zamieszkujących niegdysiejsze Kresy Wschodnie zmuszona została do przesiedlenia się na dawne ziemie poniemieckie. Są to fakty powszechnie znane w Polsce, ale w Niemczech mało uświadomione. Wielu Niemców nie wie, iż Polacy również utracili ziemie na Wschodzie i to podobieństwo utraty stron ojczystych powinno uzmysłwić obu narodom wspólnotę ich dziejów – nazwijmy ją „wspólnotą utraconej ojczyzny”. Niektórzy polscy autorzy książki mieszkają obecnie na dawnych ziemiach niemieckich, z którymi związani są emocjonalnie także ich dawni niemieccy mieszkańcy. Potomkowie tych ostatnich dzisiaj odwiedzają dawne miejsca zamieszkania swoich bliskich już bez poczucia doznanej krzywdy, jaką była utrata ojczyzny, ale ze świadomością odpowiedzialności samych Niemców za następstwa, także terytorialne, rozpętania przez hitlerowskie Niemcy II wojny światowej. Zdaje się, że świadomość utraconej ojczyzny na Wschodzie, choć z zupełnie innych powodów, jest wśród Niemców większa aniżeli wśród Polaków, wszak w Polsce powojennej – ani w PRL, ani w III RP – nie było liczących się organizacji wypędzonych ze wschodnich obszarów II Rzeczypospolitej. Tymczasem w powojennej RFN już w latach 50. działały bardzo aktywnie i wywierały istotny wpływ na politykę federalną i krajową związki wypędzonych i organizacje ziomkowskie.

Oprócz kwestii zamieszkiwanego obecnie terytorium ważną sprawą w biografiach zamieszczonych w książce jest pochodzenie etniczne ich autorów. Niektórzy z nich odkrywają swoje pierwotne (niemieckie bądź polskie) korzenie, nie wyrzekając się jednak związków z krajem swego obecnego zamieszkania. Niektórzy wychowywali się w rodzinach dwuetnicznych, dwujęzycznych, wielokulturowych (np. Karol Czejarek), musieli nawet dokonać wyboru przynależności narodowej i/lub państwowej. Przyjęcie określonej opcji narodowościowej bądź państwowej nie zawsze przynosiło korzyści osobom, których to dotyczyło, nierzadko wiązało się nawet z dyskryminacją. Dla niektórych autorów, np. Felicitas Söhner, pochodzenie rodziny (w tym przypadku ze Śląska) było inspiracją do podjęcia badań historycznych nad regionem i śląskością – poczuciem kulturowej odrębności Ślązaków zarówno względem Polaków, jak i Niemców. Inni autorzy podkreślają swoje związki rodzinne z Pomorzem czy z konkretnymi miastami, jak Gdańsk, Strzelce Opolskie, Złotoryja. Z kolei Polacy mieszkający na dawnych ziemiach niemieckich, dziś należących do Polski, mają poczucie bycia u siebie, ale nie zapominają również o ich dawniejszych niemieckich mieszkańcach. Marian Dygo, historyk urodzony już po wojnie, pisze: „Polscy osadnicy

w byłych Prusach Wschodnich po 1945 r. nie przekreślili 700 lat pruskich dziejów. Zasluguja one na to, aby wciąż je badać i przybliżać ludziom”. Szczeciński germanista Emil Daniel Lesner pisze swój „polsko-niemiecki życiorys”, w którym kreśli związki swojej rodziny z Niemcami. Pochodząca z rodziny polsko-niemieckiej Krystyna Kamińska z kolei zwraca uwagę m.in. na frankofilskie fascynacje jej niemieckich przodków i manifestowanie polskości w czasie okupacji hitlerowskiej. To, co dzisiaj bywa uważane za korzystne dla rozwoju młodych ludzi, a mianowicie wzrastanie w rodzinach dwujęzycznych i dwukulturowych, było dla autorki traumatycznym doświadczeniem. Inne spojrzenie reprezentuje młody historyk, Krzysztof Garczewski, który chciałby, by historię przekazywali ludzie, którzy przeżyli wojnę i niemiecką okupację – „z historycznym kontekstem, lecz bez politycznych emocji”. Anna Mastalerek, nauczycielka języka niemieckiego z pokolenia lat 80., postuluje coś więcej, na co starszym pokoleniom trudno się będzie zgodzić, „by w kontaktach między Polakami a Niemcami przestano mówić o przeszłości, a skupiano się na budowaniu wspólnej przyszłości”. To tylko niektóre wątki polsko-niemieckie poruszane w poszczególnych biografiach autorów.

Wśród tematów, które łączyć mogą Polaków i Niemców, wymienić można traumatyczne doświadczenia autorów pokolenia wojennego. Bombardowania miast i wsi, wypędzenia, przymusowe przesiedlenia, deportacja warszawiaków do Niemiec po powstaniu warszawskim, osadzanie Polaków w obozach koncentracyjnych czy obozach pracy, a także roboty przymusowe mają swój odpowiednik w powojennych losach części Niemców ze Wschodu. To może być kolejną płaszczyzną uświadamienia sobie porównywalnych losów. Niekiedy sytuacje Niemców i Polaków są paradoksalnie podobne, np. gdy w tym samym berlińskim schronie przeciwnie kryją się Niemcy i deportowani do Niemiec Polacy, o czym pisze Adam Koseski. Autor, mimo bolesnych doświadczeń dziecka wywiezionego z mamą do Niemiec, wyraża dzisiaj wdzięczność ludziom, którzy pomogli mu przetrwać okres deportacji: Polakom, Rosjanom, współczującym Niemcom... Wdzięczność odczuwać mogą także Polacy wspierani w czasach stanu wojennego przez organizacje charytatywne i pojedyncze osoby z Niemiec. O przysyłanych wówczas do Polski masowo paczkach z pomocą dla cierpiących niedostatek ludzi pisze w książce kilku autorów niemieckich.

Rozbicie Europy po II wojnie światowej na przeciwstawne systemy społeczno-polityczne i podział Niemiec na strefy okupacyjne, a następnie na dwa państwa o odmiennych ustrojach, znalazły odzwierciedlenie w sporej części tekstów. Dla Niemców podział ten był o wiele bardziej odczuwalny i bolesny, gdyż do chwili zbudowania muru berlińskiego w 1961 r. mogli oni w gruncie rzeczy wybierać ustrój, w którym chcieli żyć. Później podział Niemiec doty-

kał w sposób fizyczny nawet poszczególne rodziny. Świadomość odrębności politycznej mieszkańców obu państw niemieckich przekładała się na relacje nie tylko między Niemcami ze Wschodu i z Zachodu, przy czym tylko ci ostatni mogli odwiedzać rodziny w NRD (prawo to mieli w tym kraju wyłącznie emeryci i renciści oraz niekiedy także inne osoby w przypadkach losowych oraz nieliczni uprzywilejowani), ale także na postawy światopoglądowe i ideowe. Dość powiedzieć, że świadomość istnienia bogatego, rozwiniętego gospodarczo, demokratycznego i dającego swoim obywatelom szerokie prawa i wolności państwa na Zachodzie, świadomość umacniana w dodatku przez odbierane na większości obszaru NRD zachodniemieckie stacje telewizyjne i radiowe, była dla mieszkańców tego kraju czynnikiem frustrującym w o wiele szerszym stopniu niż w PRL. Polacy mieli ograniczony dostęp do zachodnich środków przekazu – radio Wolna Europa, Głos Ameryki czy BBC były słabo słyszalne i regularnie zagłuszane. Świadomość różnic między systemami – z jednej strony demokratycznego kapitalizmu, z drugiej strony tzw. realnego socjalizmu, odmiennie pojmującego demokrację i wolność obywateli, a w gruncie rzeczy ograniczającego ich prawa i swobody, przewija się przez bardzo liczne teksty, zwłaszcza autorów pochodzących z byłej NRD. Polska jawi się im jako kraj, w którym zrodził się bunt przeciwko komunistycznej dyktaturze, chociaż podkreślają oni także znaczenie wydarzeń na Węgrzech w 1956 r. i w Czechosłowacji w 1968 r. jako przygotowujących grunt pod przyszłe działania opozycji demokratycznej. Zjednoczenie Niemiec jest dla Niemców po okresie podziału momentem kluczowym w ich dziejach. Swoją wkład w zjednoczenie Niemiec mają także Polacy – tak przynajmniej uważają niektórzy mieszkańcy dawnej NRD.

Są też w książce inne refleksje, istotne w wymiarze indywidualnym, tj. dla samego autora, ale i społecznym, gdyż mogą pobudzić do zmian w nastawieniu do sąsiedniego kraju. Jeden z autorów starszego pokolenia opisuje swoją drogę od niemieckiego „rewanżysty”, wroga Polaków i „wypędzonego” ze Śląska do przyjaciela Polski (Walter Hunger). Inny, należący do młodej generacji (Frank Kutzner), przyznaje, że sympatyzował z neonazistami, jednak po zwiedzeniu obozu koncentracyjnego w Ravensbrück dokonała się w nim przemiana i obecnie potępia nazistowskie zbrodnie. Takie bardzo osobiste relacje dają nadzieję na to, że człowiek może się zmienić i otworzyć na to, co inne i obce.

Ciekawe są w książce także opinie ludzi reprezentujących myślenie w kategoriach lokalnych i regionalnych. Przykładem jest tekst Rolfa Karbauma, byłego nadburmistrza niemieckiego miasta przygranicznego Görlitz, który opisuje polsko-niemieckie sąsiedztwo po II wojnie światowej. Miasto to w 1945 r. zostało podzielone na dwie części. W czasach NRD, gdy przyjaźń

między Polakami a Niemcami była czysto deklaratywna, faktycznie jednak udawana, podział na niemieckie Görlitz i polski Zgorzelec był czymś „normalnym”. Dopiero po zjednoczeniu, po otwarciu granic, obie części miasta ponownie się zrastają.

Bardzo ciekawe są też wspomnienia lekarza Stefana Brunona Michaelseena czy też Wolfganga Nichta. Obaj nie pełnili żadnych ważnych funkcji państwowych (ten ostatni był działaczem związkowym), ale jako obywatele NRD niemający możliwości ani zamiaru ucieczki z tego kraju starali się przeżyć 40-letni okres socjalistycznej dyktatury w zgodzie ze swymi przekonaniami i własnym sumieniem. Wolfgang Nicht zwrócił uwagę na znaczenie nie tylko ruchów demokratycznych w innych krajach socjalistycznych, ale także Kościołów: ewangelickiego w NRD i katolickiego w Polsce.

Niepoślednią rolę w zbliżeniu między oboma narodami odgrywają liczne w Niemczech Towarzystwa Niemiecko-Polskie, jak np. Towarzystwo Współpracy Saksońsko-Polskiej (dodajmy, że takie towarzystwa mają swoje odpowiedniki także w Polsce, choć żaden z polskich autorów o nich nie wspomniał). Pozytywne wypowiedzi działaczy politycznych, jak Rolf Karbaum, czy członków gremiów tworzonych oddolnie, jak Wolfgang Nicht, są dowodem na współistnienie w Niemczech nurtów wzajemnie uzupełniających się w poszukiwaniu porozumienia z Polską. W tekstach polskich natomiast przeważają relacje oparte na doświadczeniach osobistych ich autorów, z których żaden nie wspomina o swoich dokonaniach w ramach zorganizowanych struktur współpracy polsko-niemieckiej, co nie oznacza, że w takich strukturach nie działa.

Są też w niniejszym zbiorze teksty o charakterze literackim, jak np. Piotra Roguskiego wspominającego swój ponad 20-letni pobyt w Niemczech w kontekście reminiscencji wojennych, albo Radjo Monka rekonstruującego swoje niemiecko-polsko-czesko-węgierskie korzenie czy Dietera Kalki podziwiającego bieszczadzką przyrodę i polską gościnność – choć także z odniesieniami historycznymi. Przez swą różnorodność tematyczną i formalną książka staje się lekturą nie tylko pouczającą, ale także pasjonującą. Jej walorem jest również uwarunkowana pokoleniowo odmiennosć spojrzeń na Polskę i Niemcy, na sąsiedztwo Polaków i Niemców z perspektywy ludzi mających do nich jasno określony, osobisty stosunek. To wszystko sprawia, iż lektura książki może wpłynąć na postrzeganie obu narodów po obu stronach Odry i Nysy w nowy sposób, z empatią, a może nawet z sympatią. Taki też cel przyświecał zarówno autorom, jak i redaktorom oraz wydawcom książki.

Informacja o Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora

Uczelnia posiada uprawnienia do kształcenia studentów na kierunkach: administracja, archeologia, bezpieczeństwo narodowe, informacja naukowa i bibliotekoznawstwo, filologia polska, historia, pedagogika, politologia, socjologia, turystyka i rekreacja.

Od roku 2012 w jej ramach działa też Międzywydziałowe Centrum Badań Niemcoznawczych, mogące poszczycić się już wieloma osiągnięciami.

Organem założycielskim AH jest Akademickie Towarzystwo Edukacyjne „ATENA”.

Historia uczelni zaczyna się 14 lipca 1994 r., kiedy ówczesny Minister Edukacji Narodowej wpisał Wyższą Szkołę Humanistyczną do rejestru szkół wyższych.

Od marca 2002 r. WSH nosi zaszczytne imię Aleksandra Gieysztora, wybitnego historyka światowej sławy, współtwórcy pułtuskiej Uczelni i jej wieloletniego wykładowcy.

Do tej pory ponad 35 tys. absolwentów zdobyło wiedzę pod kierownictwem ponad tysiąca nauczycieli Akademii, wybitnych postaci świata nauki.

Wspaniałym elementem jej nowoczesnej bazy dydaktyczno-naukowej jest Biblioteka Główna nosząca imię Andrzeja Bartnickiego, pierwszego Rektora WSH.

Nazwę Akademia Humanistyczna im. Aleksandra Gieysztora nadano Uczelni 1 października 2006 r.

Podkreślić należy, iż na przestrzeni 20 lat Uczelnia zdobyła wysoką pozycję i wielkie uznanie za wkład w polski dorobek edukacyjny.

Fundacja Marion Dönhoff

Marion Dönhoff założyła swą fundację (jak napisano w preambule: „z powodu cierpień, jakie przyniosła Niemcom oraz obywatelom państw Europy Wschodniej wojna, dyktatura oraz wygnanie”), chcąc przyczynić się do trwałego pojednania.

Działania fundacji wspierają dziś rozwój stosunków między Niemcami a obywatelami Europy Wschodniej, a w szczególności – z Polską. Mają polepszyć wzajemną o sobie wiedzę i przyczynić się w ten sposób do trwałego porozumienia oraz utrzymania pokoju.

Fundacja działa wyłącznie i bezpośrednio w celach społecznych, wspierając badania naukowe, okazując pomoc młodzieży i instytucjom kultury.

Cele te realizowane są w szczególności przez przyznawanie stypendiów i dotacji, udzielanie pomocy materialnej i merytorycznej instytucjom kształcącym młodzież oraz wschodnioeuropejskim artystom.

Gut Gödelitz...

Jest siedzibą ost-west-forum. Kompleks budynków byłego gospodarstwa hodowlanego został zaadaptowany na sale konferencyjno-seminaryjne, a dawna siedziba zarządcy – na zgrabny, wielofunkcyjny hotelik ze stołówką.

Gut Gödelitz leży w przepięknym „trójkącie” krajoznawczo-kulturalnym: Drezno–Miśnia–Freiberg i właśnie tam, na terenie dawnego gospodarstwa powstało w 1998 r. stowarzyszenie „ost-west-forum GUT GÖDELITZ E.V.” (w polskim tłumaczeniu Stowarzyszenie Wschód-Zachód Gödelitz), które od tamtej pory organizuje seminaria, workshopy, kolokwia, spotkania dyskusyjne, konferencje i wystawy. Ost-west-forum ma także swoje przedstawicielstwo w Warszawie.

Polecamy Gut Gödelitz jako kuźnię wypracowywania koncepcji, wymiany myśli i dyskusji, również jako miejsce niemiecko-polskiej współpracy. Właśnie tu, gdzie odbyło się już wiele merytorycznych spotkań, m.in. niemiecko-polskich (w tym biograficznych), zrodziła się idea wydania niniejszej książki. Sala wykładowa mieści około 250 uczestników, hotel zaś oferuje wygodne miejsca w jedno- i dwuosobowych pokojach. Można tu przyjechać i odpocząć na łonie natury w tym przepięknym i zacisznym miejscu (adres: 04720 Mochau OT Gut Gödelitz; tel. 034325/20434).

Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej

Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej w Warszawie wspiera dwustronne projekty, które służą rozwojowi wzajemnych, partnerskich kontaktów między Polską a Niemcami, w ramach Unii Europejskiej. W szczególności Fundacja wspiera finansowo wspólne projekty badań naukowych służących dialogowi i poszerzaniu wiedzy w obu krajach partnerskich, również wymianie naukowej oraz popularyzacji kultury i sztuki. Wsparła także pilotażowe, niemiecko-polskie spotkania biograficzne w Gödelitz. Ufamy, że wspierać będzie działania Międzywydziałowego Centrum Badań Niemcoznawczych Akademii Humanistycznej, w szczególności w zakresie organizacji seminariów, badań porównawczych i ich publikacji.

O potrzebie podjęcia badań różnic kulturowych

Ukazała się na ten temat książka warszawskiego politologa i niemcoznawcy, który sprawuje opiekę naukową nad niniejszą publikacją – prof. Tomasza G. Pszczółkowskiego. Ma tytuł: *Deutsche und polnische Kultur im kulturwissenschaftlichen Vergleich* (Niemiecka i polska kultura w porównaniu naukowym) i wydana została przez Uniwersytet Warszawski.

Co odkrywczego i godnego zauważenia jest w tej publikacji? Przede wszystkim naukowe uzasadnienie potrzeby podjęcia badań różnic kulturowych między Polakami a Niemcami. Ich analizowanie w ujęciu porównawczym, co niewątpliwie służyłoby dalszemu procesowi „pojednania i przebaczenia”, ale również współpracy oraz normalizacji stosunków między naszymi państwami i narodami.

Niemcy i Polska potraktowane zostały jako dwa obszary kulturowe, które powinny być przedmiotem porównań, choć nie wszystko jest porównywalne.

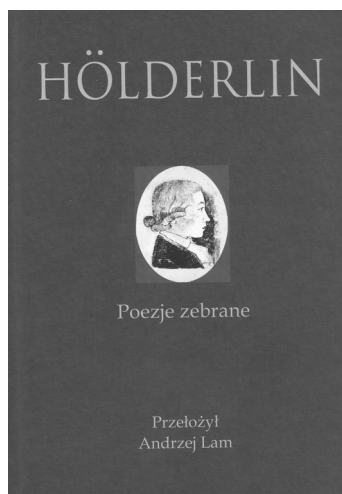
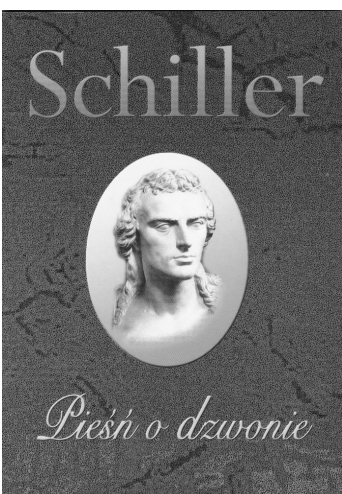
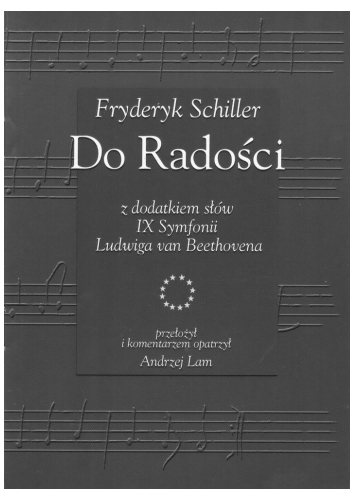
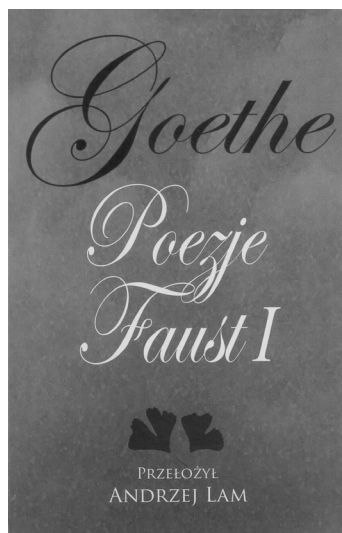
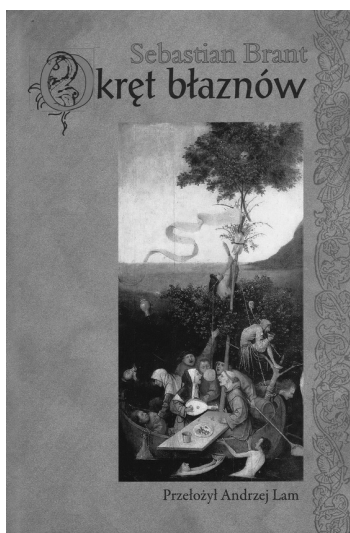
Autor za jeden z celów badawczych obrał opracowanie niemające żadnego pierwowzoru w metodologii porównywania kultur w ramach dyscypliny naukowej, zwanej „komparatystyką kulturową”. Proponuje zastąpienie perspektywy etnocentrycznej (czyli badacza opowiadającego się jedynie za przynależnością do własnego kręgu kulturowego) perspektywą policentryczną, uwzględniającą co najmniej dwie kultury! Książka wytycza więc – niezbędne w tym zakresie – obszary badań porównawczych i pod tym względem jest absolutnie nowatorska. Więcej: programowa, traktująca komparatystykę jako samodzielną dziedzinę wiedzy w ramach kulturoznawstwa. Zrywa z dotychczasowymi schematami i tradycjami prezentowania dorobku i znaczenia nauk humanistycznych w oparciu wyłącznie o rodzime dla każdego z narodów doświadczenia historyczno-społeczne. Komparatystyka (jako odrębna i suwerenna dyscyplina naukowa) pozwoli Polakom i Niemcom nie tylko pełniej zrozumieć i ocenić przeszłość, ale także budować duchowe zabezpieczenie przyszłości, co jest niezbędne zarówno w kontaktach bilateralnych, jak i w ramach integrującej się Europy.

Niemiecka poezja klasyczna w przekładach Andrzeja Lama

Prezentujemy i rekomendujemy wydane przez Akademię Humanistyczną im. Aleksandra Gieysztora zbiory niemieckiej poezji klasycznej w przekładach i opracowaniach prof. AH Andrzeja Lama. Profesor jest tłumaczem takich jej arcydzieł, jak: *Pieśń o Nibelungach*, *Minnesang*, utwory Wolframa von Eschenbach, Josepha von Eichendorffa, Eduarda Mörikego, Rainera Marii Rilkego, Ernsta Stadlera, Gottfrieda Benn, Georga Trakla, Georga Heyma. Wydany niedawno tom *Poezje. Faust I* Johanna W. Goethego zawiera pierwszy polski przekład prozą *Fausta*. Najnowszym przekładem Andrzeja Lama są *Poezje zebrane* Hölderina.

Rekomendowane książki są jeszcze do nabycia.
Wystarczy zadzwonić, wysłać e-mail lub napisać
do działu wydawniczego Akademii:

tel. 23 692 97 81
e-mail: wydawnictwo@ah.edu.pl





Uczestnicy trzeciego spotkania Biografii Polsko-Niemieckich w Gödelitz

Teilnehmer der dritten deutsch-polnischen Biographie – Gespräche in Gödelitz



Moderatorzy trzeciego spotkania Biografii Polsko-Niemieckich

Die Moderatoren des dritten deutsch-polnischen Biographie – Gesprächs